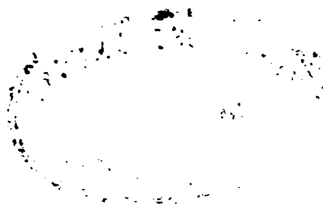

THE UNIVERSITY OF MICHIGAN
LIBRARIES
THE UNIVERSITY OF MICHIGAN
ARTES SCIENTIA VERITAS
1817


Towarzystwo Warszawski



KRAKÓW

Nakład J.K. Żupańskiego & K. J. Heumanna





TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE.



TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE.

LISTY DO PRZYJACIÓŁKI

PRZEZ

Antoni Zaleski

~~(Baronowa X. Y. Z.)~~

Wydanie drugie, przez autorkę przejrzane, poprawione
i znacznie rozszerzone.

Tom I

W KRAKOWIE,
Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna.
(odznaczonej najwyższą nagrodą na wystawie krajowej 1887.)
1888.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA.

Skoro ukazała się księgarska potrzeba drugiego wydania niniejszych listów, autorka nie mogła zgodzić się na nie, bez postawienia kilku warunków.

Pierwszym z tych warunków była konieczność zaprowadzenia w tekscie wielu zmian, uzupełnień i dodatków. Upłynęło już przeszło dwa lata od chwili kiedy „Listy do przyjaciółki" ukazały się po raz pierwszy w druku. Przez ten czas życie warszawskie dostarczyło wielu nowych faktów. Należało te fakta wciągnąć w tok opowiadania i tym sposobem zmodernizować niejako dawniejsze spostrzeżenia i uwagi. Przyczyniło się to w znacznej mierze do powiększenia rozmiarów tej książki a zwłaszcza do rozszerzenia sylwetek najwybitniejszych osobistości ze świata urzędowego.

Nadto sam przedmiot i okoliczności, w jakich książka niniejsza powstawała, wyrodziły pewne braki, które przy drugiem wydaniu należało koniecznie usunąć. Ztąd też wszędzie, gdzie tylko dawniejsza informacya zdawała się wątpliwa, usunięto ją lub

zastąpiono inną, czerpaną ze źródeł najwiarogodniejszych i najpewniejszych. W tym kierunku książka niniejsza uległa ścisłej kontroli i sumiennemu wszystkich podanych w niej faktów sprawdzeniu. Dalsza zaś obserwacya pozwoliła autorce dopełniać, poprawiać, bardziej wycieniować niektóre sylwetki, sądy, zdania i uwagi. Ztąd też to drugie wydanie jest nie tylko przejrzanem i poprawionem, ale i w znacznej części przerobionem, a zamyka w sobie obraz z życia Warszawy od 1863 do końca 1887. Wspomina o tem autorka, aby czytelnik wiedział, na jakiej dacie kończą się jej spostrzeżenia i informacye.

Co do reszty, a mianowicie co do tytułu niniejszej książki (który, że nie jest właściwym autorka sama najlepiej czuje) niech służy za wyjaśnienie, powtórzona poniżej przedmowa do wydania pierwszego.

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Czas rozpoczynając w jesieni 1885 r. druk niniejszych listów, poprzedził je następującą notatką:

Szanowny Redaktorze!

W lecie b. r. prowadziłam z jedną z moich warszawskich przyjaciółek nader ożywioną korespondencyą, której tematem było życie i ludzie tamtejsi. Nie znając dobrze Syreniego grodu, zapragnęłam zapoznać się z warunkami jego egzystencyi, towarzystwa, rozwoju i pracy umysłowej, a wybór mój padł na osobę, która dziesiątki lat mieszkając w Warszawie, zżyła się z nią doskonale i poznała gruntownie równie napływowe jak i miejscowe społeczeństwo tamtejsze.

Z licznych notatek i poufnych zwierzeń, złożył się plik spory, a w nim wiele uwag i faktów, które sądzę, że nie będą bez interesu i dla szerszego ogółu. Komunikuję więc je Panu w układzie bardziej

dziennikarskim i systematycznym. Jeźli chcesz, zrób z nich użytek, w każdym razie zaś przyjmij pozdrowienie od nieznanej ci osobiście, lecz pilnej dziennika Twego czytelniczki.

N. N.

Rękopis ten zawiera w formie listów interesującą charakterystykę obecnych stosunków warszawskich. Tytuł „Towarzystwo Warszawskie“ nie zupełnie może odpowiadający treści rękopisu, wybrany został zapewne ze względu na pokrewieństwo przedmiotu z publikacyami podobnego rodzaju o różnych stolicach europejskich, jak *Société de Berlin*, *Société de Vienne*, *Société de Londres*. Pozostawiamy go, nie chcąc zmieniać tytułu bez przyzwolenia nieznanej autorki, z którą nie mamy możności się porozumieć.

Przypisek Redakcyi „Czasu.“

LIST I.

Zamek i jego mieszkańcy.

TREŚĆ: Zamek i jego obecna fizyonomia. — Intendanci i p. Muchanow. — Dawne apartamenta królewskie. — Cesarz Mikołaj i orły polskie. — Pokoje jenerał-gubernatora. — Hr. Berg i jego charakterystyka. — Hrabina N. i jenerał Uszakow. — Reinecke-Fuchs. — Przyjęcia za W. Księcia. — Anegdota o Trepowie. — Pani Berg i jen. Lachnicka. — Hr. Paweł Kotzebue. — Jenerał Orżewski. — Pani Kotzebue i jej córki. — Jen. Albedyński. — „Uczciwy człowiek« i jego pogrzeb. — Mowa na Zamku i jej wrażenie. — Audyencya u ces. Aleksandra II. — Papież i cesarz. — Pani Albedyńska, jej zasługi i charakter. — Anegdota Rzewuskiego o ces. Pawle. — Jenerał Hurko. — Skobelewowskie tradycye. — Epizod z wojny. — Marya Andrejewna i kamarylla dworska. — Eksploatacya dobroczynna. — Zamek i sobór. — Archiepiskop Leoncyusz. — Loża w teatrze. — Kazanie jenerała. — Kamarylla dworska. — Przygoda na balu. — Jeszcze o jenerale Hurko. — Jego charakterystyka. — Tłumaczenie i zapowiedź.

Jeśli wjeżdżać będziesz do Warszawy od strony Pragi, uderzy Cię przedewszystkiem wielka budowla nad Wisłą, obszerna, szeroka, dość ciężka, pomimo licznych swoich tarasów i balkonów, ani zbyt brzydka, ani zbyt ładna, w stylu trochę włoskim, ale bardzo zeszpeconym późniejszemi dodatkami. To Zamek, „b. królewski Zamek“, jak go urzędo-

wnie nazywają, dawna rezydencya Wazów i Stanisława, później siedziba konstytucyjnych królów Kongresówki, pałac cesarski, ale tylko z tyłu, gdyż od czasu niefortunnej i niemądrej zkąd inąd detronizacyi Mikołaja, wyrzeczonej w tym gmachu, żaden z monarchów rosyjskich nie przenocował tu jeszcze ani razu. Cesarzowie stają zawsze w Belwederze lub w Łazienkach, a w Zamku bywają tylko na balach, dawniej u Namiestników, a dziś u jenerał-gubernatorów. Pamięć detronizacyi ciąży dla nich jakby przekleństwem nad temi murami i żaden z nich nie chce tu skłonić swej głowy, choćby na jednę noc, w obawie ujrzenia we śnie jakiejś „białej damy“, a może owej sceny sejmowej, uwiecznionej w *Kordyanie* Słowackiego, a tę idyosynkrazyę czują do Zamku nietylko sami monarchowie, ale i cała ich rodzina. Żaden z W. Książąt nie staje tu nigdy, wszyscy wolą się dusić w ciasnych pokoikach Łazienek lub skromnych komnatach Belwederu, aniżeli rozkładać swe manatki w obszernych i okazałych dziś jeszcze salonach Zamku. Jedyny wyjątek w czasie powstania zrobiono dla W. Ks. Konstantego, ale i ten mieszkał tu raczej w charakterze Namiestnika Królestwa Polskiego, aniżeli księcia krwi.

Od strony placu Zygmunta, Zamek warszawski wygląda raczej jakby ratusz jakiego porządnego miasteczka: dwupiętrowa kamienica z wieżą zegarową, a w niej koszary, w miejscu dawniejszej Izby poselskiej, z której dziś nie pozostało już śladu. Nawet skrawki aksamitu z konstytucyjnego tronu

Aleksandra i Mikołaja sprzedano niedawno na licytacyi starych rupieci. Z tem wszystkiem radzę Ci przypatrzeć się dobrze temu gmachowi, wkrótce bowiem i tych resztek Stanisławowskich nie będzie. Dziś już pomalowano Zamek na kolor ceglasto-pomarańczowy, a niebawem dostanie on zapewne dach zielony, a może i czerwone okiennice, aby lepiej przypominał mieszkańcom swoim ukochaną Ufę, Tambow i Wołogdę. Żyjemy w czasach, w których pewnego gatunku Rosyanin, jeśli widzi dokoła siebie cokolwiek, co mu przypomina Europę i jej cywilizacyę, już przez to samo uważa się za prześladowanego i męczennika. Dla petersburskich i warszawskich „samobytników“ brak zielonego dachu, krótkich, przysadkowatych wież, przypominających kształtami samowary, służba we frakach z galonami, a nie w kaftanach kacapskich i czerwonych koszulach, już jest wysoką prywacyą, zaliczoną do bardzo wielkich zasług i ofiar, składanych na ołtarzu ojczyzny. Niedługo więc zapewne dzisiejsi mieszkańcy Zamku podniosą krzyk, że ich patryotycznym piersiom, ich „szerokiej naturze“ za ciasno i za duszno w tym „polsko-łacińskim“ pałacu, tak w niczem nie przypominającym ani Krëmlu, ani Archangielska, i pójdą setki tysięcy rubli na zatarcie tych resztek wytworniejszego gustu i przemianę Zamku w pstrokatą budowlę, w rodzaju cerkwi prawosławnej na Pradze.

Stałoby się to niezawodnie, gdyby Zamek warszawski zależał wyłącznie od jenerał-gubernatorów;

jako jednak specyalna własność cesarska podlega nie ministeryum spraw wewnętrznych, lecz ministeryum Dworu, mającemu tu swój osobny zarząd, na którego czele stał jeszcze przed dwoma laty b. prezes teatrów, ochmistrz Najwyższego Dworu, p. Sergiusz Muchanow. Zarząd pałaców cesarskich w Warszawie, tak się nazywa to biuro, rozciąga swoją opiekę nad Zamkiem, Łazienkami i Belwederem, do niego należy czuwanie nad całością inwentarza, wszelkie reparacye i zmiany, a jenerał-gubernator ma tylko prawo używalności tych gmachów na przyjęcia i bale urzędowe. Wówczas to intendant pałacowy oddaje do jego rozporządzenia paradne apartamenta, wraz z serwisami, srebrami, służbą, słowem urządza wszystko, i tylko część kulinarna należy do p. jenerał-gubernatora. Bywają nieraz z tego powodu starcia i zatargi, bo jak we wszystkiem w Rosyi, tak i tu ranga decyduje i rozstrzyga tysiące zawiłych, a bardzo ważnych kombinacyj, o które toczą się urzędowe korespondencye z Petersburgiem i powstają kwestye stanu. Taki serwis np. może być tylko użyty na przyjęcie W. Książąt, inny znów dla samego cesarza, trzeci wreszcie dla feldmarszałków i jenerał-adjutantów itd. Intendant czasem wyraża wątpliwość, jenerał-gubernator się skarży, i dopiero Petersburg musi rozstrzygać, czy „godzi się“ p. gubernatorowej jadać na starej porcelanie saskiej, lub czy powinna poprzestać na fajansie. Konflikta stają się czasami bardzo ostre i za hr. Kotzebuego p. Muchanow,

o mało nie dostał dymisyi z powodu jakichś talerzy, na których, zdaniem jego, tylko N. Państwo mogli spożywać owoce i zjadać cukierki warszawskiego Loursa lub petersburskiego Balleta. Dawniej ten stosunek intendantury pałacowej do pp. jenerał-gubernatorstwa był bardzo drażliwym i skutkiem tego właśnie p. Muchanow otrzymał dymisyę pod pozorem, że posada zajmowana przez niego jest za niską stosunkowo do rangi dworskiej, jaką piastuje. Zarządca pałaców cesarskich w Warszawie zjechał o dwie klasy niżej i został nim jakiś pierwszy lepszy pułkownik liniowy (p. Gryniewickoj)*, człowiek bez najmniejszego o sztuce i architekturze pojęcia, prosty „stupajka“, bo jak powiedział Mickiewicz, w Rosyi każdy oficer może być „basem w orkiestrze i szkół dozorcą“, a więc równie dobrze i konserwatorem dzieł sztuki, oraz intendantem pałaców. P. Muchanow miał tę wielką zaletę, że jako człowiek gustu i dobrego wychowania, pilnował zawzięcie powierzonych mu resztek, kraść nie pozwalał i o ile możności, stawiał tamę wandalskim zapędom, pragnącym zatrzeć i te ostatnie ślady polskiej cywilizacyi i sztuki.

Co rok prawie Zamek się restauruje i niejedno zapewne nie zdoła się ostać i zaginie w prowadzonych przez petersburskiego architekta przeróbkach. Przybywa więc jeden wzgląd jeszcze, aby zanim przystąpię do opisu dawniejszych i dzisiejszych mieszkańców Zamku, oprowadzić Cię choć jakby *á vol d' oiseau* po tych starych Stanisławowskich komna-

*) później naczelnik [illegible] zorganizował [illegible] [illegible] i śledzeniu [illegible]

tach, które w wielu rzeczach zachowały jeszcze swą właściwą cechę i trochę historycznych pamiątek.

Od placu Zygmunta Zamek królewski jest po prostu koszarami. Nie dopytasz się już dziś, gdzie były dawne Izby poselskie i senatorskie, nie mówię już z czasów Rzeczypospolitej, ale nawet z epoki Królestwa kongresowego. Wielka sala poprzerabiana na bióra i klitki, na piętrze rozsiadła się załoga zamkowa (stoi tu batalion gwardyi i sotnia kozaków kubańskich), pozostały tylko same mury, wewnątrz niemasz ani jednej dawnej cegiełki. Wszystko zniszczono, jeszcze za Mikołaja, który wściekły na sejm za detronizacyę, kazał najdrobniejsze jego ślady zatrzeć, i niewątpliwie obróciłby był całe to skrzydło zamkowe w perzynę, gdyby nie wzgląd na potrzebę i wygodę. Orły polskie zachowały się gdzieniegdzie po kątach, i na chorągiewce wieżowej, a to dzięki tylko dokumentowi, starannie przechowywanemu w archiwach intendantury, na którym Mikołaj zapytany w tej mierze przez ks. Paszkiewicza, własnoręcznie napisał: *ostawit' etu pticu* (zostawić tego ptaka). „Ptak“ został więc jeszcze nad bramą wchodową z pierwszego dziedzińca, i to nie sam, ale w osobistym herbie królewskim, w towarzystwie Ciołka i Pogoni, oraz w paru salach pierwszego piętra; zresztą wyrugowano go zewsząd i bramy wjazdowe zdobi dziś dwugłowy orzeł rosyjski.

Zamek posiada trzy wielkie dziedzińce, a front jego stanowi nie plac Zygmunta, lecz przeciwnie

Wisła. Od tej strony jest on rzeczywiście najładniejszym. Do środkowego korpusu przybudował Stanisław dwa boczne pawilony, suto ornamentowane, pełne balkonów i tarasów, nawet tróchę lekkie, które jeszcze przed r. 1863 wyglądały uroczo, bo ogród zamkowy rozciągał się aż do samej Wisły, a mostu żelaznego i t. z. Zjazdu nie było wcale. Po schodach tarasowych zstępował Stanisław aż na sam brzeg i tam go oczekiwały przepyszne gondole, wiozące co wieczór wesołe towarzystwo królewskie do ukochanych Łazienek. Dziś dzieli ogród zamkowy od Wisły przebrzydła łacha piaskowa, a na niej baraki ułańskie, obszarpane, brudne, cuchnące, psują najpiękniejszy niewątpliwie widok całej Warszawy, sięgający gdzieś w dal, aż po za Wisłę, Pragę i Grochów. Na przeciwnym brzegu, wprost Zamku rozciąga się mały i nikły park t. zw. „Aleksandryjski", założony przed dwudziestu laty, a zakrywający zupełnie kościół praski i całe przedmieście.

Główna brama wjazdowa prowadzi od Krakowskiego Przedmieścia. Na prawo wiodą wygodne, szerokie schody do t. z. paradnych apartamentów, dawnych pokoi królewskich, w których jenerał-gubernator nie mieszka, ale tylko przyjmuje. Wszedłszy wprost ze schodów do poważnej, suto stiukami ozdobionej antykamery t. z. sali Mirowskiej (bo w niej stała za Stanisława straż Mirowskiego pułku) mijasz małą salkę „żółtą" i wchodzisz do pięknej, więcej długiej, niż szerokiej, w jednym kącie sko-

śnie ściętej *sali muzycznej*. Linie bardzo piękne, jak w ogóle w całej tej części Zamku, framugi okien i odrzwia dawne, freski plafonu tylko nowoczesne i to wcale nieszczególne, choć pędzla Wojciecha Gersona; aniołki mające reprezentować emblemata muzyczne, bardzo chuderlawe i nieponętne, rysunek niezły, ale wogóle suchy, sztywny, profesorski. Meble z czasów W. Ks. Konstantego II, niby Louis XV, ale nie świetnej roboty, chociaż wraz ze wszystkiemi bronzami aż z Paryża przed dwudziestu kilku laty sprowadzone. Z sali tej na prawo wiodą drzwi do dawnej kaplicy królewskiej, dziś jeszcze wcale nieźle zachowanej, bo za hrabiny Berg, katoliczki, używano jej do nabożeństw i w tym celu dość gustownie odnowiono. Ołtarz w pięknym renesansowym stylu o kształtnych marmurowych kolumnach, nie posiada żadnego obrazu. Krucyfiks marmurowy, poprawnej, lecz nie artystycznej roboty zajmuje ciemną czerwoną framugę; lichtarze i cyboryum grubo złocone, pięknie rzeźbiona szafa na aparaty kościelne i prześliczna posadzka dębowa — oto wszystko, co tu pozostało. Resztę ozdób, obrazy religijne, srebra i t. d. wywieziono do Petersburga, trochę aparatów oddano do katedry św. Jana, a nie potrzebuję Ci chyba wspominać, że od czasów hrabiny Berg, kaplica katolicka jest szczelnie zamkniętą i służy tylko na skład starych rupieci.

Z *sali muzycznej* przechodzi się do *sali karmazynowej*, która właściwie powinna się zwać malinową, gdyż dawne meble tak już wybla-

dły, iż krwawej purpury odgadnąć z nich trudno. Tu właśnie znajdziesz jeden z najcenniejszych niewątpliwie skarbów artystycznych Zamku: wspaniały zegar bronzowy z herbami Stanisława, który jakimś cudem ocalał przed zaborem do Ermitaża i samowolną gospodarką ks. Paszkiewicza, meblującego swój Homel w bardzo wygodny sposób, bo rabunkiem mnóstwa przepysznych dzieł sztuki z warszawskich pałaców królewskich.

Wogóle co cenniejsze: obrazy, portrety, marmury, wszystko to powędrowało oddawna do Petersburga, a pozostało tylko trochę bardzo ładnych bronzów i przepyszne stiuki, chociaż i z temi Książę Warszawski umiał dać sobie radę. Z jednej sali np. zabrał całe ściany marmurowe i kazał je najspokojniej wmurować w pałacu Homelskim, gdzie także dotychczas zdobi taras ogrodowy sławny „ks. Józef“ Thorwaldsena, o którym mówiono, że wygląda raczej na żołnierza w koszuli prowadzącego konia do pławienia, aniżeli na wodza i marszałka Francyi, taki ma być oryginalny w tej nagiej postawie na koniu.

Za salą karmazynową zobaczysz dawny pokój sypialny króla, późniejszy buduar niebieski W. Ks. Konstantowej. Prześliczny plafon Bacciarellego wychodzi jeszcze wspanialej na tle ścian wykładanych cisowem drzewem, oddrzwia i bronzy cudowne i rzadko gdzie z pewnością można zobaczyć coś podobnego w rodzaju inkrustacyi drzewnej. Radzę Ci także zwrócić uwagę na zachowane jeszcze

dotychczas zwierciadło, które stało naprzeciwko łóżka królewskiego, bo o niem ówczesna kronika skandaliczna tak wiele mówiła... Sprowadzone niegdyś z Wenecyi, dziś jeszcze uderza swojemi rozmiarami i przepyszną oprawą. Z pokoju sypialnego miniesz kilka mniejszych sal, dawnych gabinetów królewskich, z których jedna dla swych ozdób nazywa się grecką, i przez mały pasaż dochodzisz do sali tronowej. Ta rozmiarami nie jest wielką, ale bardzo kształtna i poważna. Obicia z pąsowego aksamitu, suto srebrnemi galonami szyte, posadzka prześliczna, kominki, bronzy, kandelabry, świeczniki kryształowe, wszystko to *de primo cartello.* Tronu naturalnie niema, ale są jego stopnie, na których spoczywa portret Mikołaja w jeneralskim polskim mundurze. Obok mały pawilon z werandą na ogród, w którym dawniej wisiały portrety wszystkich współczesnych Stanisławowi monarchów. Dziś pozostały tylko puste miejsca, a nad niemi herby Rosyi, Francyi, Austryi, Anglii, Szwecyi i t. d. Portrety zabrano do Ermitaża, nawet konterfekt Katarzyny, od innych rozmiarem większy, wiszący na honorowem miejscu, nad samym kominkiem, u którego wnętrza dopatrzysz się jeszcze wstydliwie ukrytych herbów polskich. W gabineciku, tem głównem podobno miejscu, jak mówi tradycya, narad Stanisława z ambasadorami i... szeptów miłosnych, były kiedyś także freski Bacciarallego, przedstawiające cztery główne zwycięstwa oręża polskiego. Zamalowano je za ks. Paszkiewicza na czerwono,

aby czasem nie nasuwały buntowniczych myśli, i ledwie tylko jakiś stary sługa wskaże Ci ich dawne miejsce.

Z sali tronowej (która mówiąc nawiasem, podczas balów za pobytu Cesarstwa służy za jadalnię dla N. Państwa i małego kółka wybranych), przechodzi się przez parę pokoi (dawną jadalnię Stanisława) do *sali balowej*, najpiękniejszej z całego zamku, dziś jeszcze mogącej rywalizować z pierwszemi w Europie. Zna ją cała Polska z obrazu Gryglewskiego, który był i u was w Krakowie na wystawie; zna tę przepyszną czystość i spokój linij architektonicznych, ten najpiękniejszy niezawodnie plafon Bacciarellego, tak oryginalny w kompozycyi, a taki imponujący rysunkiem i kolorytem, cieplejszym od wszystkich innych. Przedstawia on wskrzeszenie przez Stanisława nauki, sztuki, handlu, przemysłu i rolnictwa. Król jakby różczką czarodziejską obudza wszystko ze snu i w samym środku plafonu widnieje wschodzące słońce, zapowiedź lepszej przyszłości, która tak miała być zawodną i tragiczną. Nad drzwiami wchodowemi masz tu jeszcze płaskorzeźbę Stanisława, a przy nich dwie pyszne statuy marmurowe: Poniatowski, jako Apollo, i Katarzyna, jako Minerwa. Podobieństwo rysów nadzwyczajne, sami Rosyanie przyznają, że nawet w Petersburgu niema ani jednego portretu lub rzeźby, któraby tak wiernie oddawała Semiramidę północy. Król przygrywa na lirze i jakby wprowadza w te wspaniałe komnaty swoją Minerwę, zbrojną,

dumną, silną, potężną. Oparta na lancy, dziś jeszcze jest ta nie z Aten, lecz z nad Newy Minerwa najwymowniejszą alegoryą brutalnej siły, co uprzejmego i zalotnego gospodarza z własnych umiała wyrzucić kątów, odpłacając gościnność wydziedziczeniem. Nad drzwiami widnieją tu jeszcze w całej okazałości nie herby królewskie, ale nasze orły białe w złocistych koronach, wstydliwie kandelabrami zakryte. Zachowały się one dotychczas głównie dzięki owej decyzyi Mikołaja, nakazującej oszczędzać „ptaka“, ale po części także z powodu, że wyjąć ich nie było można bez zupełnego zepsucia prześlicznych stiuków, zanadto pamiętnych jeszcze z czasów młodości Aleksandrowi II, aby odważono się je zeskamotować tak odrazu. Bolą i drażnią niezmiernie te orły dzisiejszą naszą wielkorządczynię, lecz trudna rada, intendant pałacu nie może pomimo najgorętszej chęci przypodobania się poświęcić ich bez wyraźnego rozkazu imperatora, a trudno jakoś o taką drobnostkę nagabywać osobiście N. Pana.

Za salą balową idzie sala rycerska, zdobna portretami Aleksandra I w mundurze polskim, Aleksandra II i jego żony i wreszcie dwoma straszliwemi bohomazami, nadesłanemi w zeszłym roku z Petersburga, a mającemi przedstawiać Aleksandra III i Maryę Teodorównę. Rzeczywiście tak haniebnie malowanych portretów, jak te dwa ostatnie, nie widziałam dawno i naprawdę dziwić się potrzeba i tym, którzy odważyli się je przysłać, i tym, co

zdecydowali się je zawiesić. Wśród tych okazałych komnat, wśród tego artystycznego otoczenia wyglądają one po prostu ohydnie, a nie mają nawet zalety podobieństwa.

Na samym krańcu paradnych apartamentów mieści się sala teatralna i koncertowa, przemieniona przez ks. Paszkiewicza na cerkiew. Wszystko to już nowe, bizantyńskie, kapiące złotem, pełno ikonów, a urządzenie całe bardzo kosztowne, ale też i ogromnie nie smaczne.

Przekraczając próg tej cerkwi, znajdujesz się odrazu jakby o jakie tysiąc mil ku wschodowi. Kończą się już tu wspomnienia przeszłości a zaczyna pospolita rzeczywistość. Z cerkwi korytarzami przechodzisz do przeciwległego skrzydła zamku a w niem do mieszkalnych pokoi pp. jenerał-gubernatorstwa. Tam oni przyjmują poufalszych gości, tam odbywają się półurzędowe recepcye, obiady, tam wreszcie składa się wizyty p. jenerał-gubernatorowej. Naturalnie i tu śladów królewskich mnóstwo. Gdzieniegdzie piękne bronzy, ładne obrazy, stare meble, dawne obicia i materye, ale wszystko to już urządzone po modnemu, nie tylko według obecnych wymagań, ale na nową urzędową modłę bez gustu i smaku, wszystko to nie licuje z poważnemi murami i resztką ocalonych pamiątek. Nader przykre robią te apartamenta wrażenie, nawet nie zamku królewskiego, w którym rozłożył się szczęśliwy zwycięzca, lecz raczej wielkopańskiej siedziby, zamieszkałej przez dorobkiewicza, *un roturier*, który do-

chrapawszy się fortunki, udaje teraz personata. Czujesz, że ten nowy mieszkaniec nie umie ani ocenić tych dzieł sztuki, tak niegdyś szczodrze przez poprzedniego lokatora gromadzonych, ani uszanować nie już pamiątek historycznych, lecz estetyki i pojęcia piękna, które przecież jest międzynarodowem; czujesz, że tu do niego nic nie przemawiało, i nie przemawia, a widzisz przedewszystkiem brutalstwo siły i grosza połączone z zupełnym brakiem wszystkiego, co jest cechą jakiegoś wykwintniejszego, lepszego wychowania.. I przypomina Ci się na każdym kroku przysłowie o kuchcie i patynie.

Jakiś Francuz powiedział, że jak Buffon każe poznawać człowieka z jego stylu, tak równie dobrą miarą charakteru każdego jest jego apartament. Otóż z dzisiejszej fizyonomii Zamku nie radziłbym wyciągać wniosków o jego mieszkańcach. Byłyby one bardzo niepochlebne, a świadczyłyby głównie o braku wszelkiego delikatniejszngo poczucia piękna, wszelkich szlachetniejszych potrzeb i wymagań, które niezawsze daje dobre urodzenie, ale za to zawsze dobre wychowanie. Tu, przestępując próg, czujesz odrazu, że *la maison est mal tenue*, nie uderzy Cię nawet to, co zwykło w podobnych mieszkaniach uderzać: banalność i szablonowość rządowych apartamentów, w których się nie osiedla, lecz jest się tylko czasowym gościem, rodzaj hotelowych *chambres garnies* na wielką skalę. Ale nie, jest tu coś innego, nieprzyjemnego; coś, co mnie zraża na pierwszy rzut oka na progu tych salonów do pani

domu; coś dziwnie pospolitego i płaskiego: to nawet nie żołnierski biwak, nie namiot człowieka, obojętnego na wszelki wdzięk i elegancyę, ale poprostu *un bric à brac*, mieszanina bardzo pięknych rzeczy z bardzo szkaradnemi, pokoje nie wielkiej damy, ale zbogaconej kupczychy, pozującej na wicekrólową.

Nie wiem, może my kobiety jesteśmy pod tym względem dziwnie jakoś wydelikacone, może to wpływ innego wychowania i życia wśród odmiennej sfery, ale mnie przynajmniej, ile razy przekraczam (naturalnie z konieczności tylko) progi tych zamkowych apartamentów — zdaje się, że wszystkie te resztki pięknych bronzów, stiuków i fresków bacciarellowskich wznoszą do mnie błagalny wzrok z prośbą: „zabierzcie nas ztąd, bo nie w swojej jesteśmy sferze — *tout cela nous choque,* z salonu spadłyśmy do garderoby“. I widzę jak cienie wykwintnego towarzystwa, które przez lat tyle gościło w tych murach, jak ta elita salonów i dworu kręci zgrabnemi noskami, potrząsa harcopfami i kryje się po kątach, jakby z obawy zetknięcia się z tymi dorobkowiczami, co tu koczują, tęskniąc jeszcze za swojemi zielonemi dachami, za dawnemi kaftanami bojarów i kokosznikami Marf i Nadjeżd. I wśród tych cieniów poznaję modre oczy pani Grabowskiej, i zgrabną nóżkę pani de Vauban, i grecki nosek pani krajczyny Potockiej, i kształtną rączkę ks. marszałkowej Lubomirskiej itd., aż do księżny Łowickiej, a nawet do Aleksandra II, który bądź co

bądź był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, a którego, jak ich wszystkich, te nowe „samobotnicze“ maniery, te katkowowskie *nouvelles couches* raziłyby niepomału. A wszystkie te cienie, jakby się zakrywały chustkami — w ciągłej obawie, że to, co ich zalatuje, to nie „ląrendogra“, lecz... juchtowe buty. Nie, nie dla tego towarzystwa, co tu obecnie mieszka, ten Stanisławowski Zamek; nie dla nich te dzieła sztuki i artystyczne skarby, i jak Hamletowski aktor mogłyby one zawołać: „cóż ma Hekuba z nami a my z nią wspólnego?...“

Może to wszystko drobnostki, moja droga, ale taka już nasza natura kobieca. Jak go widzisz, tak go piszesz. Każda z nas, wchodząc do kogoś, lustruje zaraz na wstępie jego mieszkanie, przypatruje się toalecie, nie pominie żadnego guziczka, a jeśli ma trochę sprytu i doświadczenia, wyrabia sobie odrazu pierwsze ogólne pojęcie o osobie, którą widzi. Nie powinno to być jedynem kryteryum, ale bardzo często bywa dobrą wskazówką. Zrozumiesz więc, dlaczego zajęłam Ci tyle czasu opisem dawniejszego i dzisiejszego Zamku. Może na tem tle wypuklej wyjdą później niektóre osoby.

Tyle znasz Warszawę, choćby ze słyszenia, że nie potrzebuję Ci przypominać, iż Zamek i jego towarzystwo niezawsze był takim, jak dziś, że i on, jak wszystkie nasze sprawy, rozliczne przechodził fazy. Nie mówię tu bynajmniej o czasach dawniejszych, wspomnień historycznych kreślić nie zamierzam, mam tylko na myśli epokę popowstaniową,

lata po r. 1863, a w nich cztery główne ery czterech wielkorządców Królestwa: Berga, Kotzebuego, Albedyńskiego i Hurki. Za każdego z nich fizyonomia polityczna i towarzyska Zamku zmieniała się rdzennie, ramy i przedmiot obrazu pozostawał zawsze ten sam, ale jaka za to różnorodność w kolorycie, jaki odmienny rysunek figur, jakie inne ich ugrupowanie. Słowem, wszędzie bardziej, niż tu, zastosować można znany aforyzm francuski: *plus ça change, plus c'est la même chose.* Nie; tu, im bardziej się to zmienia, tem bardziej rzecz staje się inna, a nigdzie więcej, aniżeli na tym Zamku nie odbija się różnica systemów politycznych każdoczesnego z naszych wielkorządców; nic lepiej nie charakteryzuje i ich usposobienia względem kraju, i ich zasad, jakiemi się kierowali.

Nie może znać Rosyi i jej ludzi ten, kto nie czytuje dokładnie, i to z pierwszej ręki, masy dzienników i wydawnictw, jaka tam obecnie wychodzi; kto nie jest ściśle obznajomiony z różnorodnemi kierunkami gazeciarskich prądów z nad Newy i z pod murów Kremlu. Dłuższemu pobytowi memu w Petersburgu i koniecznej potrzebie zawdzięczam moją znajomość języka rosyjskiego, niezbyt świetną, ale taką przynajmniej, że mi wystarcza na przeczytanie gazety, a nawet i jakiego poważniejszego artykułu z licznych wydawanych tam *Revues.* Otóż niedawno wpadła mi w rękę *Russkaja Starina*, a w niej bardzo ciekawe „zapiski“ o hr. Bergu, podpisane pierwszemi tylko literami, a pochodzące, jak zape-

wnia redakcya, od jednego z wyższych urzędników, który długi czas służył pod ostatnim namiestnikiem Królestwa. — Rzecz prosta, że w piśmie, które drukowało pamiętniki Murawiewa, apoteozując tego „wieszatiela“ do godności najmędrszego męża stanu, jakiego kiedykolwiek miała Rosya, w t. z. prowincyach północno-zachodnich, sylwetka hr. Berga nie mogła wypaść dla niego dodatnio. W oczach Murawiewczyków, w oczach b. Komitetu Urządzającego i całej dzisiejszej partyi rządzącej, stary feldmarszałek był największym polakofilem, zasłaniał nas na każdym kroku, stawiał zaporę Milutynom, Samarynom i Czerkawskim, i gdyby nie ich nadzwyczajne poświęcenia i miłość Rosyi, nigdy tych przeszkód nie zdołali złamać i Królestwa Polskiego „urządzić“. Nie śmiej się i nie dziw.... Stoi to wszystko najwyraźniej wydrukowane i gdyby nie obawa pozy na jaką napchaną cytatami *bas bleu,* przytoczyłabym Ci numer i stronnicę tej *Russkiej Stariny*. Zresztą, czemuż się tu dziwić! Czyż nie pamiętasz głośnego w swoim czasie w *Revue des deux Mondes* artykułu p. Leroy-Beaulieu o Milutynie, w którym mniej więcej taką samą znajdziesz apoteozę Komitetu Urządzającego i takie same na hr. Berga zapatrywanie. Tamci przynajmniej wierzą może w to, co piszą, a w każdym razie mają jakąś podstawę, jakąś ideę państwową, zdolną do tego stopnia zawrócić głowę i zamącić pojęcia. Francuz tego tłomaczenia niema i albo dotyka przedmiotu, którego nie zna, a wtenczas jest nie-

mądrym, lub znając go, z umysłu rzecz fałszywie przedstawia, a wówczas jest podłym. Co do mnie, przypuszczałabym raczej to ostatnie, gdybym nie wiedziała, że nawet uczciwym zawróciły głowę nadzieje zbratania się Francyi z Rosyą w widokach mściwego odwetu.

Ale wracam do rzeczy. Otóż nie zdarzyło mi się dotychczas nigdzie spotkać z właściwą charakterystyką hr. Berga. Ani Rosyanie, ani Polacy nie umieją go należycie ocenić; pierwsi oskarżają go o jakąś stronniczość dla nas, której nie było, a nie-brak i wśród nas takich (tu przynajmniej w Warszawie), którzy wspominają hr. Berga, jeśli nie z równą wyrozumiałością, to przynajmniej z pewnym akcentem korzystniejszego porównania do obecnego położenia. Wypływa to po części z pamięci i tradycyi dawnych stosunków towarzyskich Bergowskiego Zamku, a już to samo powinno Cię przekonać, że mam racyę, kładąc na te stosunki tyle nacisku i zatrzymując się przy nich dłużej. W takiem, jak nasze, położeniu, wszystko, każda drobnostka ma swoje znaczenie i wagę — i nigdy nie trzeba pomijać rzeczy, na pozór nawet najbłahszych, bo w nich nieraz tkwi powód niejednego późniejszego zjawiska, klucz niejednej zagadki.

Hr. Berg był przedewszystkiem politycznym szalbierzem. Żołnierz starej mikołajewskiej szkoły, dziarski, rzeźwy, dziwnie aż do ostatnich chwil wytrzymały, sztywny, zapięty, nie bez istotnych zdolności i pewnego wzwyczajenia do systematycznej

pracy, Rosyaninem na prawdę nie czuł się nigdy, ale pozostał do śmierci Niemcem. I to Niemcem dawnej, niknącej już dziś, dzięki nierozsądnej germanofobii, petersburskiej szkoły, wierny sługa cesarza, ślepe narzędzie jego woli, jednak bez wszelkich patryotycznych zapędów, bez specyalnej żądzy rusyfikacyjnej misyi. Ultrakonserwatysta dawnego pokroju, mający w sobie coś z tej epoki i szkoły takich ludzi, jak Metternich, Castlereagh i t. d., z podejrzeniem zawsze patrzał na wszystkie nowe figury petersburskie, wietrząc w nich z wielką słusznością zakapturzonych rewolucyonistów. Germańska krew kurlandzkiego szlachcica, wychowanie w dawnych antirewolucyjnych zasadach, tyloletnia służba u Mikołaja, składały się na ten wstręt, jaki czuł do nowych ludzi; na ten ultrakonserwatyzm, idący nieraz tak daleko, że w sprawie włościańskiej nie wychodził po za obręb systematu dzierżawnego jak w Anglii i zżymał się na myśl uwłaszczenia. Coś w nim na zawsze zostało z tej starej metternichowskiej epoki, nazywał sam siebie człowiekiem porządku, a był właściwie żyjącą mumią mikołajewskiego zastoju i teroryzmu. Przekonań żadnych, a jeszcze mniej jakichś uczuć szlachetniejszych, w tym zasuszonym mundurze, o wyczernionych wąsach i gutaperkowej twarzy, serca chyba nigdy nie było, ale była za to pewna żądza władzy i zajadłe do niej przywiązanie, była szalona zarozumiałość w swój własny rozum i swoją finezyę.

Finezya!! Oto główna charakterystyka ostatnie-

go z Namiestników. Hr. Berg wierzył w nią jak w Pana Boga i był najmocniej przekonanym, że cały świat i wszyscy, z którymi się styka, to głupcy, on jeden tylko ma rozum; że każdy zarówno w Petersburgu, jak w Warszawie czeka tylko, aby wpaść w zastawione przez niego sidła. A tymczasem ta jego finezya była *cousüe de fils blancs*. Sądził, że złapie każdego, a tymczasem każdy jego łapał i ostatecznie wrogowie Namiestnika zrobili wszystko, co tylko chcieli, śmiejąc się mu pod nosem, a zwyciężyli nie dlatego, żeby nie był w stanie ich robocie przeszkodzić, lecz z powodu, że zawsze przemądrzał, zawsze przedelikacił i przedyplomatyzował. Wszystko polegało u niego na szalbierstwie, prostą drogą nie szedł nigdy, ale kłamał na wsze strony i grał od rana do wieczora komedyę, sądząc, że w ten sposób coś wygra. Uprzejmy, grzeczny, nadskakujący, niemal zalotny, tą zalotnością i pozorną układnością cechującą ludzi, których młodość sięgała czasów Aleksandra I., a wymustrowała się za Mikołaja, miał na zawołanie westchnienia, żal, najserdeczniejsze zapewnienia, łzy, nawet modlitwę. Czem ten człowiek nie frymarczył i czego nie udawał, jak zręcznie umiał uśpić największe obawy, jak potrafił osłodzić najbardziej gorzką pigułkę! Ze wszystkich ról swoich najlepiej grał Piłata. Tak umyć rąk — tak zrobiwszy coś z własnej woli, dla zaspokojenia własnej podłości na innych całą winę zrzucić, nikt, jak on, nie umiał.

Charakterystyczny opowiadano mi pod tym względ-

dem fakt. Hrabinie X. wywieziono na Sybir syna. Zrozpaczona matka używała wszelkich środków, aby trafić do hr. Berga. Przez pewną damę cudzoziemkę, zaprzyjaźnioną z Namiestnikową, dostaje nareszcie wyborne rekomendacye; pani Berg bierze bardzo gorąco sprawę jej do serca, a że wina nie wielka, a władza hrabiego dyskrecyonalna, więc zdawało się, że sprawa pójdzie jak najgładziej. Hr. Berg przyjmuje biedną matkę jak najgrzeczniej, płacze niemal nad jej losem, przyrzeka, że wszystko uczyni. On syna jej wróciłby natychmiast, ale *ces messieurs de St. Petersbourg,* zawzięli się na niego. Trzeba czekać, może tamci się ułagodzą, a wszystko pójdzie, jak z płatka.... Hrabina czeka miesiąc jeden, drugi, trzeci, słucha coraz to nowych zapewnień i obietnic, ale syn jak nie wraca, tak nie wraca. Nareszcie szturmuje po raz ostatni do Berga. Namiestnik mało nie płacze, setki razy pisał już o niego, ale *ces messieurs de St. Petersbourg* zawsze znajdą jakiegoś nowego kruczka, a że wiedział, jak gorliwą katoliczką jest biedna matka wygnańca, więc on, protestant, zwraca się do niej z propozycyą:

— *Savez-vous, comtesse, disons une neuvenne, peut-être le bon Dieu nos exaucera.*

Czy hrabina odmawiała nowennę — nie wiem, ale kiedy pojechała do Petersburga i tam przez stosunki dostała się do papierów syna, pokazało się, że w stolicy nikomu ani śniło się żadnych przeszkód stawiać i hr. X. byłby oddawna wolnym, gdyby nie ustawiczna opozycya hr. Berga.

A teraz druga próbka. Jen. Uszakow, rzucając po powstaniu kraj, w którym był jednym z gubernatorów, pod wpływem czy to wyrzutów sumienia, czy może starań ludzkich, przychodzi do hr. Berga z prośbą, że niesłusznie wysłał na Sybir jednego z obywateli swojej gubernii, pana K., że więc prosi Namiestnika, aby mu dopomógł do uwolnienia go, ma bowiem dowody, jako wprowadzono go w błąd i przesadzono winę. Stary słuchał całego przedstawienia odchodzącego gubernatora z uwagą i spokojem, nagle wstał z krzesła i zawołał:

— *Pourquoi ne l'avez-vous pendu....*

Najbliżsi hr. Berga urzędnicy mawiali nieraz na licznych balach Bankowych: „o, źle z tym Panem... bo hrabia bardzo dla niego uprzejmy i zbyt gorąco ręce mu ściska“ — jakoż zwykle na takiego gościa spadało wywiezienie lub inna kara.

Takim był ten stary lis niemiecki, pozujący na Reinecke-Fuchsa, ale w rzeczywistości przyłapywany na każdym kroku. Podobnych anegdot mogłabym przytoczyć tysiące. Wiadomą jest rzeczą, że kiedy rozwinięto taką energiczną propagandę za uwolnieniem Rawicza, że aż nawet król belgijski wstawiał się za nim osobiście, hr. Berg bojąc się nadejścia ułaskawienia, kazał potajemnie przyspieszyć w Siedlcach egzekucyę. Nad tym Rawiczem pastwiono się niemiłosiernie, a bito go tak straszliwie, że zaraz po straceniu trupa zasypano wapnem, aby publiczność nie dostrzegła, że to ciało było jakby jedną wielką raną od tysiąca kijów i batów.

Hr. Berg o tem pastwieniu się doskonale wiedział, wchodziło to w system owego „polakofila“. Podczas powstania wywieszał on z pewnością znacznie więcej, aniżeli nawet osławiony Murawiew wileński, a jeśli okazywał się nieco względniejszym dla Kościoła katolickiego, jeśli ocalił przed Czerkawskim Siostry Miłosierdzia, to głównie dlatego, że w gruncie był dla każdej religii obojętnym, więc nie czuł żadnej predylekcyi do prawosławia, a zatem i nienawiści do katolicyzmu, że mimo indyferentyzmu ale jako konserwatysta miał wstręt do podkopywania religii. Wiele z tego, co pod tym względem zrobił dobrego, przypisać głównie należy wpływowi żony i bardzo zacnej wychowanicy, jenerałowej Lachnickiej, gdyż obie te panie były bardzo gorliwemi katoliczkami. Że za Berga nastał największy rozwój ekonomiczny Królestwa, że założono tyle pożytecznych i ważnych instytucyj, jak Towarzystwo Kredytowe miejskie, Wzajemny Kredyt, Bank Handlowy, Bank Dyskontowy i t. d., wypływało to raczej z ówczesnego prądu w Petersburgu, z kierunku propagowanego przez ministra skarbu Reuterna, a nawet osobiście przez ces. Aleksandra II. To nie jego bynajmniej zasługa, lecz chwilowo sprzyjających okoliczności, ale za to winą jego niezaprzeczoną, winą największą i najcięższą: brakiem charakteru i powagi umożebnił dzieło zniszczenia wszelkiej autonomii Królestwa i całej roboty Komitetu Urządzającego.

Gdyby podzielał zapatrywania Milutynów, Sa-

marynów i Czerkawskich, gdyby należał do ich szkoły i szedł z nimi ręka w rękę — trudna rada — robiłby źle, haniebnie, lecz przynajmniej robiłby konsekwentnie. Lecz nie, on nie taił bynajmniej i zresztą powszechnie to było wiadomem, że stał z tymi panami na przeciwnych biegunach, że uważał ich za wrogów swoich i państwa, że potępiał ich politykę i przeczuwał fatalne owoce, jakie ona wyda. Czasy były inne, to nie dzisiejszy jenerał-gubernator, subaltern ministra spraw wewnętrznych, ale Namiestnik, wice-król Królestwa Polskiego, to feldmarszałek, który na stanowisku, jakie w Warszawie zajmował, był Rosyi potrzebnym, nawet niezbędnym, jego *veto* mogło coś w Petersburgu znaczyć, mogło poskromić wszystkich Milutynów i Czerkawskich, mogło przynajmniej choć pod tym względem kraj zasłonić. Kwestya postawiona na ostrzu miecza nie byłaby z pewnością na niekorzyść Berga rozstrzygniętą. Lecz on ufał, że swoją osławioną „finezyą“ potrafi ich wszystkich wyprowadzić w pole, że całą tę nasłaną czeredę przełknie za jednym haustem, śmiał się z nich i powtarzał: *oh! comme ces Russes sont bêtes* (ulubiona jego przed Polakami fraza), ale ostatecznie całą władzę pozwolił sobie z rąk wyrwać, stanowisko swoje zanihilować i zeszedł w końcu do roli dyrektora teatrów, mięszającego się do obsady ról w operze i balecie (fakt autentyczny), feldmarszałka figuranta, starego, przeznaczonego na wymarcie, ostatniego Namiestnika. Sądził, że wszystkich wyprowadzi w pole, a tym-

czasem sam pierwszy osiadł na koszu. To, czego nie chciał, zrobiono; to, przeciw czemu się bronił, narzucono: kraj wydany został na formalną *razzię*, zburzono wszystko do szczętu — zniesiono autonomię, odarto i prześladowano Kościół, skasowano klasztory, urządzono wbrew jego przekonaniom kwestyę włościańską, słowem zadrwiono z niego na każdym kroku i nie miał nawet tyle ambicyi, tyle poczucia godności własnej, żeby obrócić się plecami i podziękować za służbę. Stary, zaschnięty kot mikołajewski dogorywał na Zamku, a pod nosem tańcowały mu milutynowskie myszy i szczury, drwiąc sobie z mumii, która zeszła do roli drewnianego manekina.

Kiedy w samych początkach powstania W. Ks. Konstanty zaprosił na herbatę niektóre osoby z towarzystwa warszawskiego, a głównie członków Rady stanu, dano hasło, że nikt nie pójdzie tego wieczora na Zamek, i salony namiestnikowskie świeciły pustkami. Wówczas jeden z młodszych członków Rady stanu, przestrzegając przed niewczesną demonstracyą, rzekł: „Przyjdzie czas, że w daleko gorszych warunkach będziecie się tłoczyć na ten sam Zamek, ale już nie jako zaproszeni, lecz jako zawołani“.

Przepowiednia ta niebawem miała się spełnić! Zamek za hr. Berga nie był już wcale Zamkiem za W. Księcia. Różnica zaszła olbrzymia, niezmierna. Brat cesarski był wice-królem, przyjechał z życzliwem dla kraju usposobieniem, z szczerą chęcią pokojowego załatwienia sprawy, a W. Księżna z nietajoną

ambicyą utworzenia w Warszawie rodzaju odrębnego dworu obok petersburskiego.

Pomimo więc zamachów i strzałów, rozwijano niezmordowaną uprzejmość, a nawet zalotność, chcąc na przebój zdobyć sobie sympatyę kraju, miasta i jego kół towarzyskich. Oboje W. Księstwo prześcigali się w grzeczności i kokieteryi; oboje pragnęli osobistym urokiem i wyszukaną uprzejmością zjednać sobie popularność i zapełnić salony Zamku reprezentantami wszystkich stanów i powołań, stworzyć nietylko centrum urzędowe, ale i towarzyskie także. Oboje zaś mieli wielkie po temu dane. Od tych, którzy mieli sposobność poznać bliżej W. Ks. Konstantego za jego namiestnikowskich czasów w Warszawie — wiem, że W. Książę z tej epoki, a ten, jakiego później widywałem w Petersburgu, to dwaj całkiem odrębni ludzie. Zmiana była ogromna, nietylko zewnętrzna, ale rdzenna, inny to już był człowiek i inny charakter... Na prawdę, szkoda wielka, że tyle dobrych chęci, tyle istotnych danych i rzadkich u Romanowych warunków, zmarnowało się i poszło w błoto. Wykształcony, jeśli nie bystry, to w każdym razie bardzo lotny, W. Ks. Konstanty, gdyby zdołał utrzymać się w Warszawie, byłby niezawodnie dobrym administratorem powierzonego mu kraju. Miał on przedewszystkiem wielką zaletę: pragnął szczerze pomyślności tego kraju i chciał istotnie dobrze dlań robić. Korespondencya jego ówczesna z cesarzem, znana ludziom, którzy obu otaczali (dziś po większej części nieżyjącym

jak śp. ministrowi Łęskiemu) świadczy, że wszystkie szały, wybryki, niedorzeczności a niestety nieraz i zbrodnie, przed bratem tłomaczył, łagodził, usprawiedliwiał, byleby go nie zrazić i w dobrem utrzymać usposobieniu.

Inna rzecz, czy ta chęć dobra szła zawsze w parze z możnością, czy wystarczyłoby *à la longue* dość silnej woli i energii. Do trudności, jakie W. Książę spotkał przybywając do kraju, który przez dwa lata chwiejnych i zmieniających się wciąż rządów, ustępstw zbyt powolnie i skąpo czynionych, już był spiskiem szeroko rozgałęzionym zewsząd znurtowany a ogólną atmosferą polityczną ówczesnej Europy w najwyższym stopniu rozegzaltowany, dodać należy i tę okoliczność, że dla W. Księcia widownia, na którą wstępował, była zupełnie odmienną od tej, do której od młodości nawykł — charakter ludzi, cywilizacya, aspiracya społeczeństwa zgoła inna niż nad Newą.

Miękkim i chwiejnym bywał on nieraz, ale gdyby wypadki innym poszły torem, gdyby powierzono mu namiestnictwo Królestwa w spokojniejszych czasach, niezawodnie wyrobiłby się z niego bardzo dobry naczelnik kraju i wice-król *modèle*. Brakowało mu więcej inicyatywy, niż zdolności; wiadomości miał duże, wszystkiem zajmował się z prawdziwem zamiłowaniem, interesa pojmował łatwo, a miał przytem wielką skłonność do protegowania nauk i sztuk pięknych. Były też chwile, że pod tym względem roił sobie wiele; kto wie,

czy ten Zamek, Łazienki, te spotykane na każdym kroku wspomnienia Stanisława, nie dodawały mu impulsu do naśladownictwa ostatniego króla polskiego, który tak wielkie dla sztuk i literatury położył zasługi. Na Mecenasa miał on ogromne zacięcie — i wierzę, że łzy, któremi oboje żegnali Warszawę, były szczere i prawdziwe. Za ich czasów Zamek reprezentował też więcej, niż rezydencyę Namiestnika, tworzył się już pewien zawiązek dworu polskiego, z umysłu szukano zbliżenia się do Polaków, a ze sferami rosyjskiemi utrzymywano niezbędne tylko urzędowe stosunki, a im więcej stroniono od nich, tem bardziej W. Księstwo zwiększali swoją uprzejmość, podwajali kokieteryę. W. Książę gotów pierwsze uczynić kroki wszystkim wybitniejszym wówczas osobistościom, po rosyjsku nie odzywał się chyba nigdy, najwięcej mówił po francusku, a czasami i po polsku, bo język ten znał wcale nie źle, i przyjechawszy do Warszawy, zaczął nad nim usilnie pracować. Unikano wszystkiego, coby mogło ich obce pochodzenie przypominać, pozowano literalnie na dwór polski, na życzliwość dla kraju i szczere dobra jego pragnienie...

Inaczej też wówczas wyglądał Zamek, a chociaż często bywały w nim pustki... Lecz lepiej nie mówmy już o tem, bo wiesz, że pragnę uniknąć w tych listach, a zwłaszcza w tym pierwszym, wszelkich historycznych reminiscencyj i rekryminacyj. Co się stało, odstać się już nie może. Kładę więc krzyżyk nad temi wspomnieniami, bo mimowolnie niejeden

może zgrzyt wywarłby z pod mojego pióra, a rozmyślania na ten temat zaprowadziłyby mnie tam, gdzie zajść nie zamierzam.

Hr. Berg, „uśmierzywszy“ powstanie, zapragnął, aby Warszawa się bawiła. Zależało mu na tem, żeby świat i Petersburg widział, *que l'ordre regne à Varsovie* i że swoboda umysłów wróciła zupełnie. Sypały się więc bale i wieczory namiestnikowskie, jak z rogu obfitości. Gorszono się wówczas bardzo i u was, i w Paryżu, żeśmy na te bale chodziły, że miałyśmy czelność, jak się patetycznie wyrażono, „tańczyć na grobie Ojczyzny“. Moja droga! tym wszystkim, którzy nas tak w czambuł potępiali, radziłabym tylko, aby choć na chwilę raczyli zająć nasze miejsca, postawić się w naszem położeniu. Ile nas było, każda i każdy miał wówczas jakiś interes u Namiestnika: temu szło o uwolnienie brata, innej o wydobycie męża, trzeciej wreszcie o kogoś z przyjaciół lub rodziny. Niechby spróbowała nie pójść do Zamku, niechby odważyła się „frondować“ i otrzymawszy zaproszenie, lub z obawy przed niem, wyjechać na wieś... Kładło się tu na kartę losy najbliższych, a często i własną egzystencyę. Dobrze to z daleka doradzać męztwo i stawiać przykłady Spartanek. *La critique est aisée,* ale sztuka utrzymania w takich razach równowagi między koniecznością i musem, a godnością własną, niezmiernie trudna... Szczęśliwy ten, komu bez sromu i poniżenia udało się jakoś przepłynąć między owoczesną Scyllą i Charybdą. Tych zaś, co nie okazali

zdolności ekwilibrystycznych, potępiać w czambuł nie śmiem. Żałuję ich mocno, ale piętnować nie mam odwagi. Jakie to były ówczesne bale na Zamku, przekona Cię najlepiej następujący fakt, *notabene* najwierniej powtórzony...

W parę lat po powstaniu, hr. Berg dawał bal na Zamku. Salony były przepełnione, całe towarzystwo polskie w komplecie. Ktoś z naszych rozmawiając z jen. Trepowem, chcąc utrzymać banalną konwersacyę, zaryzykował frazes:

— *Mais general, la soirée est joliment reussit...*

— *Comment reussie?* odburknął oburzony Trepow — *on à fait venir 300 personnes, il n'ya ni 299, ni 301, il y'a trois cents.*

Masz z tego miarę, czy to tak łatwo było dostać migreny i zaproszenie z Zamku rzucić do kosza. Wszyscy jeszcze pamiętają fakt, jak jeden z obywateli, wzięty nagle z rozkazu Berga do cytadeli, dostał tam, tak z dobrej ochoty, 40 kijów. Nazajutrz po tej operacyi puszczono go na wolność, a w tydzień potem był zaproszony na bal w Zamku, gdzie go hr. Berg z całą kurtuazyą pytał troskliwie o zdrowie i ubolewał nad bladością cery.

W owych zapiskach *Russkiej Stariny* autor zawzięcie rzuca się na Namiestnika za to, że zapraszając do siebie na obiady niektóre wybitniejsze osobistości polskie, sadzał je u stołu bez względu na rangi i ordery innych obecnych Rosyan. Cytuje on z ogromnem zgorszeniem fakt, że na obiedzie galowym w dzień imienin cesarza, *kakaja to pol-*

skaja obezjana (le mot est joli n'est ce-pas?), niemająca nawet rangi honorowego sowietnika, siedziała wyżej u stołu od jenerała świty J. Ces. Mości i kawalera orderu św. Stanisława I klasy, dlatego jedynie, że nosiła historyczne polskie nazwisko. I na tym dopiero wypadku snuje cały akt oskarżenia na hr. Berga, zarzucając poniżanie umyślne Rosyan, stronność dla Polaków, umizgi do arystokracyi i t. d. Na takich to danych opiera się polakofilska sława hr. Berga. Śmiech rzeczywiście bierze, czytając wszystkie te elukubracye rosyjskie i zadaję sobie tylko pytanie, czy podobne brednie można pisać i drukować na seryo, czy są na prawdę tak ograniczone głowy, aby takie głupstwa brać poważnie i na nich opierać swe zdanie? Nie — dobrej wiary a nawet zaślepienia żadną miarą przypuścić tu nie mogę, lecz widzę tylko po prostu podłość zwyczajnego czynowniczyny, obrażonego za to, że stary Niemiec nie pozwalał mu się przynajmniej u siebie w salonie rozbijać i w stosunkach towarzyskich hamował *szerokaju naturu*. — O formy dbał Berg bardzo, był to stary lis niemiecki, wieszał na wszystkie strony, ale zawsze w białych rękawiczkach i ze łzą w oku. Miał pewną wstydliwość pozorów i to mu właśnie brano w rosyjskich kołach za złe. Czynowników nie dopuszczał do poufałości, lecz trzymał ich zawsze na *błagorodnoj dystancyi*, jak to Rosyanie nazywają; starym jenerałom nie podawał nawet ręki, sztywny był i zimny, a z wyrafinowaną grzecznością sypał piasek w oczy Polakom. Wystarczało

to już, aby go potępiono w katkowowskich kołach. Więcej jeszcze może od Murawjewa w wieszaniu i zsyłce Polaków zasłużony, nie otrzymał on, jak tamten, w darze od „dam russkich“ złotego topora i zeszedł ze świata przeklinany zarówno przez prześladowców, jak i prześladowanych, *Le vieux saltimbanque*, jak go tutaj nazywano — przespekulował się. Nikogo nigdy swoją „finezyą“ nie wywiódł w pole, a sam skończył nie jak Reinecke Fuchs, lecz jak najzwyczajniejszy lis w żelazach, i lada osieł pozwalał go sobie nogą potrącać. Tyle o hr. Bergu. Sprawiedliwość jednak nakazuje mi zakończyć jego charakterystykę następującą konkluzyą. Mimo tych wszystkich stron ujemnych, a nawet niskich, trzeba jednak względnie do dzisiejszego położenia powiedzieć i przyznać, że hr. Berg wrodzonej nienawiści a nawet złości do Polaków nie czuł, owszem w gruncie wolałby ich niż Rosyan, radby był, żeby się kraj ekonomicznie dźwignął, chętnie z Polakami przestawał, objaśnień o położeniu materyalnem i potrzebach szukał. Jako konserwatysta wstrętnemi mu były wszystkie destrukcyjne polityczne swawole, niszczenia, niechętnie na nie patrzał — ale jako służbista wykonywał. Zapewniają jednak świadomi, że na łożu śmierci w Petersburgu, kiedy dogorywającego cesarz Aleksander II odwiedził, prosił o jedno, to jest: o zaprzestanie groźnego i krwawego prześladowania.

Pani Berg, Włoszka z domu, mało się mięszała do interesów. Stara, chorowita, niewstająca prawie

z fotelu, za wpływem swojej wychowanicy jen. Lachnickiej wstawiała się do męża w sprawie to Sióstr Miłosierdzia, na które Czerkawski tak się zawziął, to zasłaniając, o ile możności, duchowieństwo i Kościół katolicki, którego była gorącą wyznawczynią. Pod tym względem zrobiła rzeczywiście dużo dobrego, a zasługa tu wspólna jej i pani Lachnickiej obu zacnych, dobrych i pobożnych pań. Dom hr. Bergów naturalnie w tych warunkach nie mógł być miłym, chodzono tam z przymusu, a wogóle stary Namiestnik z natury bardzo skąpy i na pieniądze chciwy, nie dbał tak bardzo o okazałość swego dworu i wspaniałe przyjęcia. Wszystkiego tam bywało szczupło i skąpo, prawdziwie po niemiecku, dużo blichtru, mało treści. Sumy na reprezentacyę dawano znaczne, ale wychodziła ich zaledwie drobna cząsteczka. W dzień imienin cesarskich telegrafował do Petersburga, że kazał rozdać tysiące obiadów ubogim dla uczczenia najdostojniejszych solenizantów. Brzmiało to bardzo szumnie i okazale, ale owe obiady, to po prostu dziesięciogroszowe marki na zupę rumfordzką, zakupywane w Towarzystwie Dobroczynności. I tak na każdym kroku, kieszeń miał bardzo ciasną i nie lubił nigdy rozwiązywać swej kieski. Zostawił też wielką fortunę, zwiększaną ustawicznie donacyami państwa.

Po śmierci Berga, Zamek przestał być rezydencyą namiestników, a stał się siedzibą jenerał-gubernatorów, czyli, jak się to jeszcze inaczej nazywa:

„głównych naczelników kraju.“ Pierwszym takim „głównym naczelnikiem“ był hr. Paweł Kotzebue, poprzednio jenerał-gubernator odeski. — Władzę jego znacznie ograniczono, działalność ścieśniono, a pozycyę zredukowano do znaczenia tej, jako zajmują podobni satrapi w Wilnie, Kijowie, Charkowie itd. Niemiec z pochodzenia, protestant, jak Berg żołnierz mikołajewski, nie miał on jednak tego, co jego poprzednik, stanowiska osobistego ani w armii, ani w Petersburgu, ani u cesarza. Obeznany z krajem jeszcze za czasów Paszkiewicza i ks. Gorczakowa (służył tu bowiem po r. 1831 w wojsku), przybywał do niego wprawdzie bez wielkiej życzliwości, ale i bez *parti pris* i zawziętości. Sam suchy i samolubny, tak też patrzał na świat otaczający i na swe obowiązki. Zastawał zupełną *tabula rasa.* Ekstyrpatory Komitetu Urządzającego przeszły już całe Królestwo Polskie, nie ostał się kamień na kamieniu, żadna więc poszczególna misya nie przypadła hr. Kotzebuemu w udziale. Twardy, dla podwładnych szorstki, nie lubił, ażeby mu dokazywano pod nosem, biurokracyę trzymał silnie w rękach, u gubernatorów miał może większą powagę, aniżeli Berg; względem Petersburga odznaczał się jeśli nie jakąś nadzwyczajną energią, to przynajmniej pewnego rodzaju uporem. Niezawsze osiągnął to, czego chciał, ale niełatwo odstępował od swoich żądań. Mściwym był i lubił zawsze złamać tych, co mu stawiali jakikolwiek opór. W swoim czasie

z powodu drobnego zajścia *) padł mściwości jego ofiarą prezes teatrów Muchanow, na którego tak się zawziął, że wychodząc na emeryturę, jeszcze w ostatniej chwili wymógł na cesarzu jego dymisyę. Pod koniec jego urzędowania, kiedy Apuchtin, ufny w swe wysokie protekcye nad Newą, zaczął zanadto sobie pozwalać i jakby drwić z jego władzy, poleciał do Petersburga i chociaż dymisyi mu nie wyrobił, to jednak p. Kuratora wezwano, a cesarz go osobiście wystrofował, robiąc wyrzuty, dlaczego ze *starikom* nie żyje w zgodzie. Za niego czynowniki siedziały przynajmniej, jak myszy pod miotłą, wszy-

---

*) Jenerał ks. Imeretyński pochodzący z krwi dawnych książąt gruzińskich nie zażywał wielkiej łaski u hr. Kotzebue a zwłaszcza hrabina bardzo nie lubiła księżnej i sztywna dla wszystkich, dla niej specyalnie była urzędownie chłodną i dawała niejednokrotnie uczuć wyższość swego biurokratycznego stanowiska. Ztąd księstwo bywali niechętnie w Zamku a kiedy hr. Kotzebue zwrócił raz na to uwagę księcia jenerała, robiąc mu gorzką wymówkę, iż stroni od Zamku, książę ów przycinek wziął za urzędową naganę a nawet za rozkaz zwierzchnika i na następnym balu ukazał się wraz z żoną. Ze strony hrabiny przyjęcie było tak sztywne i dumne, że oboje księstwo natychmiast opuścili bal zamkowy. Scena odegrała się publicznie i w swoim czasie stała się: *cause célèbre*. Ztąd jeszcze większe naprężenie stosunków, tém bardziej, iż coraz głośniej zaczęto wymieniać księcia jako następcę hr. Kotzebue. Winą p. Muchanowa było to tylko, iż prezes teatru bezpośrednio po tem zajściu zaprosił do siebie na obiad ks. Imeretyńskiego. Fakt ten tak rozgniewał hr. Kotzebue, iż Amfitryonowi zaprzysiągł od tej chwili srogą zemstę.

stko się oglądało na Zamek, i nikt nie ś
wadzić polityki na własną rękę. Bano się
coś dla nas znaczyło. Lada jenerał lub
sowietnik nie śmiał się tak, jak dziś,
a bywały wypadki, że i zwyczajny śmierl
u Kotzebuego znaleść sprawiedliwość i w
wę. Mikołajewski konserwatysta, człow
i porządku, Niemiec rządny i gospodarn
siadający w Estlandyi wzorowo urządzo
nie lubił podjudzania jednych warstw p
gim i dlatego w sprawach serwitutowy
pewien dodatni nacisk nagląc o szybki
sporów i ugodową dążność komisarzy.
żbista, nadsyłanych mu rozkazów nie
nigdy, dlatego też w sprawie unickie
bezwzględnie, robił, co mu kazano, st
rąbał, wysyłał masami na Sybir, ale
nie brał w tem wszystkiem inicyatywy
rozkazy, ale się o nie nie napraszał i
wych projektów eksterminacyjnych
Nie śmiej się z tego, że i to uważa
wnego rodzaju zaletę i rys dodatni. Po
a przekonasz się, że w porównaniu d
stanu różnica niemała. Zresztą hr.
w rzeczach religii i kościoła katolicki
indyferentny, ale jako wolnodumiec
z przekonania i usposobienia nieżyczli
Zkądinąd znowu jako człowiek rozu
i zachowawczy, czuł całą ohydę teg
wał, ale że choć nizki albo bardzo *a*

z powodu drobnego zajścia *) padł mściwości jego ofiarą prezes teatrów Muchanow, na którego tak się zawziął, że wychodząc na emeryturę, jeszcze w ostatniej chwili wymógł na cesarzu jego dymisyę. Pod koniec jego urzędowania, kiedy Apuchtin, ufny w swe wysokie protekcye nad Newą, zaczął zanadto sobie pozwalać i jakby drwić z jego władzy, poleciał do Petersburga i chociaż dymisyi mu nie wyrobił, to jednak p. Kuratora wezwano, a cesarz go osobiście wystrofował, robiąc wyrzuty, dlaczego ze *starikom* nie żyje w zgodzie. Za niego czynowniki siedziały przynajmniej, jak myszy pod miotłą, wszy-

---

*) Jenerał ks. Imeretyński pochodzący z krwi dawnych książąt gruzińskich nie zażywał wielkiej łaski u hr. Kotzebue a zwłaszcza hrabina bardzo nie lubiła księżnej i sztywna dla wszystkich, dla niej specyalnie była urzędownie chłodną i dawała niejednokrotnie uczuć wyższość swego biurokratycznego stanowiska. Ztąd księstwo bywali niechętnie w Zamku a kiedy hr. Kotzebue zwrócił raz na to uwagę księcia jenerała, robiąc mu gorzką wymówkę, iż stroni od Zamku, książę ów przycinek wziął za urzędową naganę a nawet za rozkaz zwierzchnika i na następnym balu ukazał się wraz z żoną. Ze strony hrabiny przyjęcie było tak sztywne i dumne, że oboje księstwo natychmiast opuścili bal zamkowy. Scena odegrała się publicznie i w swoim czasie stała się: *cause célèbre*. Ztąd jeszcze większe naprężenie stosunków, tém bardziej, iż coraz głośniej zaczęto wymieniać księcia jako następcę hr. Kotzebue. Winą p. Muchanowa było to tylko, iż prezes teatru bezpośrednio po tem zajściu zaprosił do siebie na obiad ks. Imeretyńskiego. Fakt ten tak rozgniewał hr. Kotzebue, iż Amfitryonowi zaprzysiągł od tej chwili srogą zemstę.

stko się oglądało na Zamek, i nikt ni
wadzić polityki na własną rękę. Banc
coś dla nas znaczyło. Lada jenerał
sowietnik nie śmiał się tak, jak d
a bywały wypadki, że i zwyczajny śı
u Kotzebuego znaleść sprawiedliwoś
wę. Mikołajewski konserwatysta, c
i porządku, Niemiec rządny i gosp
siadający w Estlandyi wzorowo urz
nie lubił podjudzania jednych war
gim i dlatego w sprawach serwitu
pewien dodatni nacisk nagląc o sz
sporów i ugodową dążność komisaı
żbista, nadsyłanych mu rozkazów
nigdy, dlatego też w sprawie uni
bezwzględnie, robił, co mu kazano
rąbał, wysyłał masami na Sybir,
nie brał w tem wszystkiem inicyat
rozkazy, ale się o nie naprasza
wych projektów eksterminacyjnyc
Nie śmiej się z tego, że i to uwa
wnego rodzaju zaletę i rys dodatni.
a przekonasz się, że w porównaniu
stanu różnica niemała. Zresztą hr
w rzeczach religii i kościoła katolic
indyferentny, ale jako wolnodumie
z przekonania i usposobienia nieżycz
Zkądinąd znowu jako człowiek rozı
i zachowawczy, czuł całą ohydę teg
wał, ale że choć nizki albo bardzo c

dzy zazdrosny, roił może, iż powolnością swoją w tej kwestyi utoruje sobie drogę do zupełnego zaufania rządu i przywrócenia upragnionego Namiestnictwa. Nie lubił ogromnie, aby ktokolwiek robił interes wprost z Petersburgiem, jego pomijając; wówczas mobilizował wszystkie swoje środki i wpływy, aby pomyślnego skutku nie dopuścić. Podwładnych traktował *en canaille.* Kiedy pewnego razu zwiedzał jedną z gubernij Królestwa, a nasłany gdzieś z Kazania czy Charkowa prezes komisyi włościańskiej, który *à outrance* zajątrzał spory serwitutowe i wbrew zasadom Naczelnika kraju starał się utrzymywać ferment niezadowolenia — zapragnął przedstawić mu komisarzy swojej gubernii — odwrócił się od niego i przy wszystkich rzekł na głos:

— *Ja znaju, czto wy z soboju wsiu swołocz priwieli*... (Ja wiem, że pan przywiozłeś z sobą całą hałastrę...).

Miał hr. Kotzebue tę ambicyę wspólną wszystkim porządniejszym niedobitkom mikołajewskim, że dbał o dobrą w Petersburgu reputacyę powierzonego mu kraju. Kiedy się zaczęły knowania nihilistyczne w Rosyi, hr. Kotzebue dumnym był z tego, że Królestwo Polskie wolnem jest od anarchicznej zarazy. Jemu nie szło o konieczne zaszczepienie tej zarazy wśród polskiej ludności i młodzieży, jemu ta niepokalaność Polaków nie stała bynajmniej solą w oku i przeciwnie nie szkalował nas pod tym względem, lecz raczej starał się bronić wobec ce-

sarza i sfer petersburskich. Nie c
przez jakąś specyalną sympatyę, l
kraju, lecz po prostu z ambicyi
tam, gdzie on stoi na czele, n
nie może.

Ztąd ustawiczna walka z raport
mi, a specyalnie z jen. Orżewski
kraj o ciągłe knowania, spiski i u
cznych robotach; ztąd wielka sta
ganiu wszystkich zakusów nihilisty
nych silną ręką; lecz w cichości, be
chęci zadokumentowania przed Pete
łym światem, że Polacy nie są le
że i ich dotknęła ta sama choroba.
żny i znaczący, różnica z postępow
szych jego następców wielka. Za I
kryto parę drukarń, przyłapano cał
klamacyj, schwytano kilkudziesięciu
ale wszystko to odbyło się cichut
świat w parę miesięcy później dowie
i to tylko głucho, w formie niepewn
Szumnych raportów, stwierdzający
istnienie agitacyi nihilistycznej w K
ogłaszano wcale. Późniejsze postępow
kiem inne. Kiedy przed kilku latami w
łach rosyjskich i to czysto urzędowych,
Bardowskiego,*) wnet jakby na dane l
rosyjskie uderzyły na alarm nie tając
swej *Schadenfreude* z tego, że zaraza

*) [handwritten note, largely illegible] ... poruczn... studentem ...

Królestwa. Za Kotzebuego coś podobnego nie mogłoby mieć nigdy miejsca.

Kiedy po wojnie rosyjsko-tureckiej kilku znanych półgłówków lwowskich wciągnęło grono tutejszej młodzieży w jakąś niemądrą awanturę, ograniczoną wreszcie na jednej, bynajmniej nie w Warszawie pisanej proklamacyi, hr. Kotzebue schwycił odrazu nieszczęśliwe ofiary niepoprawnych exdyktatorów, ale całą sprawę stłumił za jednym zamachem, przedstawiając w Petersburgu prawdziwy stan rzeczy, tłómacząc, iż ludność Królestwa, iż kraj nie ma nic z temi robotami wspólnego, i że są one tylko sporadycznym objawem. Bezwzględnym wykonawcą najostrzejszych nawet rozkazów (*vide* sprawa unicka) był on zawsze, instygatorem nigdy. I to coś już w naszych warunkach znaczy. Dbał o to, aby Królestwo miało opinię „spokojnego“ i co ważniejsza, umiał tę opinię w sferach najwyższych utrzymać i ochronić od wszelkich żandarmskich raportów i szkalowań. A nie przychodziło to bynajmniej łatwo. „Starik“ — jak go między sobą czynownicy nazywali — musiał się nieraz w Petersburgu bardzo ostro potykać z tymi, którzy pragnęli wmówić w cesarza i jego otoczenie, że Królestwo to wulkan, lada chwilę wybuchnąć mający. Z kilku stron prowadzono podjazdową przeciw niemu walkę, a główną kwaterą tej kampanii była zawsze dawna mennica królewska przy ul. Bielańskiej (pałac żandarmeryi), wodzem zaś, nienawidzącym nas całem sercem i duszą, jen. Orżewski.

Ciekawa to osobistość, ten młody jenerał, który

ani z potrzeby (gdyż sam jest kolo
ani dla karyery (służył bowiem
walergardach, pepinierze dygnit
i cywilnych w Rosyi), lecz z za
l'amour de l'art wszedł do żand
jącej — jak wiesz zapewne —
szpiegowską. Z rodziny wprawdz
o pochodzeniu jeneralsko-mieszcza
dawne małżeństwo z księżniczką
cznie pod względem towarzysk
podniesiony, wychowaniem gładki
wyglądał raczej z pozoru na jed
lasów, którzy zjeżdżają tu czasami
wesoło przehulać swoje kilkadzie
na lewka salonowego, aniżeli na o
kontroli podlegają wszyscy od
urzędniczyny, aż do Naczelnika kra
bardzo często, dawniej w Petersb
w Warszawie, bo *le beau général* la

Dość pracowity, niezmiernie b
miał dziwnie przenikliwe szpiego
że dotychczas oczy te (nawiasem n
kne jasno-niebieskie) nie mogą m
ci... — tak niemi przeszywał na w
jakby sondę w najskrytsze głęb
ludzkiej. Powołanie swoje trakt
fałszywego i bardziej układnego
łam; nikt, literalnie nikt (nie mó
o Polakach, lecz o Rosyanach), n
z nim stoi i nie ufał mu... Każd

ognia, i drżał przed jego tajnemi raportami... Dość Ci powiedzieć, że cytowano mi fakt, *nb.* całkiem autentyczny, jako *le beau général*, mając romans z żoną jednego z jenerałów, swego kolegi i przyjaciela z lat dziecinnych, męża jej najstraszliwiej w Petersburgu denuncyował i o mało nie pozbawił bardzo korzystnej a wygodnej posady... Dać Ci to może miarę *de la force de ce jeune homme* i rzadkich, a istotnie czysto rosyjskich zalet... Wspominam tu o nim dlatego, że właśnie główna jego działalność u nas rozwijała się za panowania hr. Kotzebuego, i że stary Kurlandczyk przez cały czas swego wielkorządztwa przed nim to musiał wszystkiemi sposobami kraj bronić. Fanatyk prawosławia na zimno, on także w prześladowaniach unickich znaczną i instygatorską odegrał rolę. Nie znoszący zwierzchnictwa, pod każdym naczelnikiem dołki kopał. Zimny, samolubny, ale namiętnie ambitny, chciał gorliwością prawosławczyka i rusyfikatora na wyższe wspinać się szczeble. Zkądinąd nieprzedajny i nieprzystępny — surowo dochodził i karcił nadużycia i przekupstwa; posiadał wrodzony zmysł władzy i porządku i dlatego w innych postawiony warunkach nie byłby dopuścił rozprężenia i samowolności administracyi, nie byłby także łechtał złych skłonności mas wiejskich i ulicznych w. widokach politycznej propagandy. Awansowany z naczelnika okręgu żandarmskiego w Warszawie na towarzysza ministra spraw wewnętrznych w Petersburgu (dawne stanowisko szefa III-go oddziału

kancelaryi cesarskiej) w kwestyi bezpiecz
osoby imperatora popadł w scysyę z innemi
dzami, a podobno głównie z „gradonaczalni
stolicy jen. Gresserem, i ostatecznie po d
walce dworsko-policyjnej, przegrał z kretesem
siał ustąpić miejsca jenerałowi Szebeko. Spraw
się też na nim ostatecznie dawne przysłowie
paniu dołków. Póty wietrzył różne intrygi, aż
reszcie sam padł tych intryg ofiarą. Dziś ża
posady niema i jak mówią Niemcy „prywatyz
nietając podobno wcale swego niezadowolenia z bi
spraw i wszechwładztwa panującej na dworze
czyńskim kliki.— jednak później został [illegible]

Niski, mały, zasuszony, o dobrotliwie zaw
uśmiechniętej twarzy, którą zdobiły szczotkowa
siwe faworytki, hr. Kotzebue w stosunkach tow
rzyskich był może o wiele od Berga sztywniejszy
i nie zadawał sobie tyle, co tamten, trudu olśnien
i ujęcia, ale za to nigdy nie grał roli *saltimbanqu*
i nie skakał na linie osobistej przyjaźni i gorliwośc
Zażyłym i poufałym z nikim nie był, tak dobrz
z Polakami, jak i z Rosyanami, nie ubliżał nikom
z umysłu, bo miał formy bardzo przyzwoite i gładkie
ale każdego trzymał w pewnej odległości. W dro
bnostkach starał się być uczynnym, w większyc
sprawach nie oszukiwał, szczerze objawiał swe zda
nie, czy rzecz jest możliwa, lub nie, do zrobienia
a chociaż jeździł ruskim zaprzęgiem, bo to naka
zywanem było z góry, na zawziętego rusyfikator
nie pozował i wstrętu do cywilizacyi nie żywi

rozmowie z Polakami używał stale języka fran-
ciego — podczas pobytów cesarskich nie usuwał
arzystwa polskiego na drugi plan, lecz przeciwnie
twiał mu zbliżenie się do Aleksandra, przestrze-
jąc oddanie. każdemu, co mu się należy. Miał
ewnego rodzaju wyrozumiałość dla trudnego po-
łożenia kraju i pojedynczych osobistości, nie roz-
czulał się nad niemi, ale przynajmniej, o ile mo-
żności, uwzględniał. W sprawach ekonomicznych
nie odmawiał swego poparcia i wstawiennictwa,
a wystawami naszemi (które za niego głównie
wzięły swój rozwój) interesował się nie ze względu
na to, jakimby sposobem przemysłowi naszemu
kark skręcić, ale dość szczerze i gorąco, o ile słowa
„gorąco“ można wogóle w charakterystyce hr. Kotze-
buego w jakiemkolwiek zastosowaniu użyć. Bezwa-
runkowo najlepszy ze wszystkich popowstaniowych
wielkorządców *administrator*, z przekonania i po-
chodzenia był szczerym konserwatystą, a jeśli w spra-
wie unickiej tak bezwzględnem stał się narzędziem,
to kto wie, czy nie w nadziei, że w nagrodę na
tem polu położonych zasług, otrzyma tytuł namie-
stnika. Ta myśl świtała w głowie jego bardzo często,
a rozbijała się zawsze w Petersburgu o przyjętą
już raz z taką stanowczością zasadę: zatracenia
wszelkiej odrębności Królestwa Polskiego. Przeko-
nawszy się kilkakrotnie o tem, hr. Kotzebue po-
stanowił szukać nagród mniej platoniczno-hierar-
hicznej natury. Rzadko który z dostojników rosyj-
ich był jak on, chciwym i łakomym na wszelkie

donacye i majoraty. Pod tym względ
niénasycony i umiał się tak urządz
wdzięczność monarchy nie miał się]
Zapłacono mu jego usługi donacyą
bardzo grubo. Patrząc na te zabieg
mi zawsze na myśl ta tak trafna
wieki prawdziwa definicya Beaumar
który na zapytanie, jak się zostaje
powiada Zuzannie: *Reçevoir, prend*
voila le secret en trois môts. Hr.
mował, brał i zawsze prosił, bo l
Szkodziło mu to u cesarza niemał
tecznie przyspieszyło rozstanie się
pozorem przejścia — jak u was to
wają — „w stały stan spoczynku"

Pani Kotzebue, Manteuffel z dom
ka, a dumna nietylko ze stanowisk
swego arystokratycznego pochodzer
i zimną, ale zawsze grzeczną i dol
Oburzali się na nią czynownicy i j
że nikomu prawie z nich nie pod
mną swą grzeczność zachowywała p
dla dam i pań polskich; ale poch
tamtych traktowała zawsze jako po
sze towarzystwo jako zaproszonych
tym względem pewną różnicę w o
co przypominało śmieszną etykietę
niemieckich, dyferencyę między *K*
befohlenen. Otóż dla pani Kotzeb
polska była *Kurfähig,* równa jej t

neralsze i czynownikowe tylko *Kurbefohlenen*, przypuszczone łaskawie do dworu. Kilkakrotnie brała ona inicyatywę w sprawach miłosierdzia, przewodniczyła komitetom ratunkowym dla dotkniętych powodzią i pogorzelców itd., bez wielkiego entuzyazmu i pozowania na filantropkę, ale z przyzwoitą gorliwością i chłodem kobiety, która rozumie, że ze stanowiska jej wypada i trzeba pomyśleć czasem o biednych. Wogóle, o ile pani Berg robiła wiele dobrego i wszystkie jaśniejsze strony rządów ostatniego Namiestnika są jej i pani Lachnickiej zasługą, a osobiście bardzo dużo osób umiała sobie zobowiązać, o tyle pani Kotzebue wdzięcznych serc w Warszawie nie zostawiła, ale też nie obarcza jej pamięci żadne przykre wspomnienie. Była zawsze i na każdem miejscu *correcte* i przyzwoitą i oto cała jej charakterystyka.

Za państwa Kotzebue przyjęcia w Zamku odznaczały się wielką wspaniałością. Hr. Berg był skneracą, hr. Kotzebue chciwym, różnica wielka; tamten spekulował na zaoszczędzeniu paru tysięcy rubli z kosztów reprezentacyjnych, ten o takie drobnostki nie dbał, lecz owszem, lubił się pokazać. Wszystkiego bywało tam dostatnio i dobrze, kuchnia doskonała i obfita, wina wyborne, służba nie w liberyi zamkowej, lecz w jego własnej z herbami Kotzebuych, zabawy urządzane z doświadczeniem i elegancyą. Czarną stroną domu pp. Kotzebue była mieszkająca przy rodzicach młodsza córka, starsza pani Rosen ukazywała się rzadko w Warszawie,

lecz druga, wydana za młodego i bardzo przystojnego adjutanta jenerał-gubernatora, p. Pilar von Pilchau, któremu cesarz pozwolił później używać tytułu i nazwiska żony (hr. Kotzebue-Pilar), zadzierała trochę nosa i nieraz bywała impertynencką i źle wychowaną. Nie lubiono jej za to powszechnie, zwłaszcza, że do tej wady przyłączyła się śmieszna pretensya do piękności, którą ani mama Kotzebue (sucha, wysoka Niemka), ani jej córki nie grzeszyły wcale. Za to p. Pilar, nieciekawa osobistość, miał, dzięki swym wąsikom i zgrabnej postawie, względne powodzenie w pewnych salonach, a bezwzględne w... balecie.

Jeśli się ma rządy znośne, spokojne, niedokuczliwe, a wśród nich stosunki przynajmniej jakie takie, wówczas każda możliwość zmiany wzbudza trwogę i strach, czy to, co nastąpi, nie będzie gorszem, czy znowu nie zejdziemy o jaki stopień niżej. Kiedy hr. Kotzebue odchodził z Warszawy, cofając się już na zawsze do życia prywatnego, nie było wielkiego żalu, ale była ogromna obawa wyboru następcy. W takich razach trzymamy się zawsze tej bolesnem doświadczeniem zdobytej zasady, że odleżała wizykatorya nie ciągnie, a w każdym razie ciągnie mniej aniżeli nowa i świeża. Ze staruszkiem zżyło się jakoś w ciągu lat kilku i co ważniejsza i on, samą siłą rzeczy, zżył się także trochę z tym krajem. Niech ten, co przyjdzie na jego miejsce, będzie innym; niech nie ma tej względnej uczciwości, jaka w wielu razach odznaczała

hr. Kotzebuego, a wówczas spadek ku dołowi niechybny... Pojmiesz więc, moja droga, z jak wielką trwogą oczekiwaliśmy tu wszyscy depeszy z Petersburga, zwiastującej wybór nowego wielkorządcy. Na szczęście, wybór ten wypadł względnie najpomyślniej. Naczelnikiem Królestwa Polskiego został jenerał-gubernator wileński, jenerał-adjutant Albedyński. Poznałaś go podczas pobytu waszego Cesarza w Krakowie, a poznałaś go ze strony korzystnej, bo reputacya jen. Albedyńskiego jako człowieka uczciwego, doszła aż do was w Galicyi, a na niewdzięczność pod tym względem Polaków zmarły jenerał-gubernator nie miał się chyba prawa uskarżać.

„Uczciwemu człowiekowi", oto napis, jaki na wieńcu pośmiertnym dla Albedyńskiego położyli studenci warszawscy; oto najlepsza niechybnie i najtrafniejsza charakterystyka. Człowiek, który tyle lat spędził w służbie carskiej; człowiek, który zajmował tak niezmiernie trudne i śliskie stanowiska, jak w Wilnie i w Warszawie i to wśród warunków dla nas najgorszych, wśród usposobienia w Petersburgu i sferach najwyższych tak nam wrogiego, w czasie, kiedy naganka dziennikarstwa zaczynała już przeciw nam w najlepsze huczeć... człowiek taki, jeśli przechodzi całą swą karyerę bez plamy i w końcu jako najwyższy hołd pośmiertny zdobywa tytuł „uczciwego", musi być chyba rzadkim fenomenem, zjawiskiem wyjątkowém, nie *rara*, ale już *rarissima avis*.

Takim on był rzeczywiście. Chcąc przedstawić

całą wartość i czystość Albedyńskiego, trzeba nie przykładać do niego miary zwyczajnego krawca politycznego i sucho podsumowywać bilans pozytywnych rezultatów rządów, lecz należy wniknąć głębiej, zważyć bardzo ściśle warunki, w których działał; zakres, w którym zmuszony się był obracać — i dopiero wówczas zabierać się do ferowania wyroku o człowieku i jego działalności. Dotychczas wielką już było pochwałą dla każdego dostojnika rosyjskiego, mającego nad nami władzę, jeśli się mówiło, że nie robił nic złego. To *summum* wszystkiego, cośmy od nich żądali, to jedyny nasz dezyderat. Do Albedyńskiego szablonu tego stosować nie należy. Warszawa nie dlatego uczciła go demonstracyjnie wspaniałym pogrzebem, że nic dla kraju złego nie zrobił, lecz dlatego, że on jeden jedyny, ze wszystkich naszych popowstaniowych wielkorządców, chciał istotnie dobrze robić, że dowiódł tego kilkakrotnie, a w wielu razach chęć stwierdził skutkiem. Prądu wiejącego z Petersburga zmienić nie mógł, systemu stosowanego do nas przewrócić nie był w stanie, cudów bowiem żądać trudno, ale niezaniedbał niemal niczego, coby mogło krajowi temu jakąkolwiek, chociażby najdrobniejszą ulgę przynieść, ale miał odwagę, na którą prócz niego żaden Rosyanin się nie zdobył, kołatać do cesarza, uderzać wprost do niego osobiście, walczyć i wstawiać się za nami. A odwaga ta nie była łatwą i nie tuzinkową.... Za każdym raportem, za każdą audyencyą u cesarza kładł na

kartę swoje stanowisko, co więcej swój byt, bo osobiście niezamożny, służby potrzebował; bo stawiał czoło sam jeden całej sferze, najpotężniejszym dworskim i ministeryalnym koalicyom; bo do ostatniej chwili, już za nowego panowania, nie wahał się na posiedzeniu Komitetu Ministrów w oczach Aleksandra III. zadać im energicznie kłam i krzyknąć „nieprawda“. To był więcej, niż „uczciwy człowiek“ — to był uczciwy charakter, zacne serce, szlachetny umysł. Rzucając Litwę, przedstawił raport, żądający zniesienia kontrybucyi; z Warszawy kilkakrotnie kołatał do Petersburga, borykał się z Apuchtinem, wstawiał się u Aleksandra II. — i kto wie, jaki obrót wzięłyby rzeczy, gdyby nie nieszczęsny i dla nas zamach 13 marca, śmierć cesarza i tak gwałtowny przewrót całego systemu polityki państwowej. Z czasem ta strona działalności Albedyńskiego wyjdzie na wierzch, z czasem znajdą się historyczne dokumenta, stwierdzające prawdę słów moich, a wówczas nikt chyba nie będzie nas posądzać o stronniczą zasług jego przesadę, opartą głównie na dotkliwem uczuciu kontrastu z dzisiejszymi następcami i dzisiejszemi rządami.

Mężem stanu, ani nawet dobrym administratorem Albedyński nie był, ale był tym, co Francuzi nazywają *un homme de bien*, chciał robić dobrze robił, o ile mógł, a wszędzie i zawsze w postępowaniu jego czułeś ten podstawowy ton szlachetny, tak u dygnitarzy rosyjskich niezwykły — to sumienie, którego nie zaprzedał i z którem w targi

się nie wdawał. Karyerę miał dworską, nie polityczną, wychowanie lekkie, salonowe, nawet niedyplomatyczne, bo może bardziej buduarowe, niż kancelaryjne, warunków mnóstwo na to, by stać się nadwornym Don Juanem i zakończyć życie, jako *Ober-Ceremonienmajster*, lub najwyższy *Hofmarszał* i dla tego tem dziwniejsze, że wśród tych egzotycznych kwiatów i w wirze walca, tańczonego z cesarzową Eugienią, zdołał się zachować w tym człowieku taki uczciwy charakter i taka czystość woli. Wszystko się składało na to, aby Albedyński całe życie pozostawał zniewieściałym dworakiem; hartu zażył on dopiero w drugiej połowie życia, kiedy osobiście mu bardzo życzliwy cesarz Aleksander II. zabrał go wprost z woskowanych posadzek do zielonego stolika. W ogniu nie był nigdy, trudów żołnierskich nie zakosztował i zaprawdę wyjątkowa musiała być ta natura, skoro wśród podobnej atmosfery nie zdołała się spaczyć i wykrzywić. Ślady młodzieńczej karyery odbijały się w nim później w przesadzonej i manierowanej nieco wykwintności obejścia, w pewnej lekkości, z jaką traktował poważne i zawiłe interesa, których długo słuchać nie mógł, bo go nużyły — zdolności mu nie brakowało, ale łatwiej mu było zdobyć się na *assiduité* przy damach, aniżeli nad papierami; lotnym był i pojętnym, tylko nie lubił się długo zatrzymywać przy jednym przedmiocie, nie mając tego, co Niemcy tak ordynarnie nazywają *Sitzfleischem*, a co byśmy nazwali zamiłowaniem do pracy. Owszem był ra-

czéj leniwym. Ztąd pewna powierzchowność i nieznajomość interesów, a co gorsza, nieznajomość podwładnych i nieumiejętność ich wyboru; ztąd brak stanowczości i energii w postępowaniu z urzędnikami, zbyteczna powolność, dobroć serca w szczegółach, która paraliżowała nieraz najlepsze dla ogółu chęci. Zanadto on nieraz ufał i wierzył, nie umiejąc odgadnąć podstępu; bał się komuś osobiście źle robić, chociażby to złe dla tysiąca innych na dobre wyjść mogło.

Czynownikom łatwo przychodziło go oszukać, a najlepszy dowód w tem, że ten sam Apuchtin, którego później wszelkiemi siłami chciał wyrzucić, w pewnej chwili, w samych początkach, absolutnie był od niego zależny i wystarczyłoby tylko trochę stanowczej decyzyi i bezwzględności ze strony Albedyńskiego, a p. kurator powędrowałby z powrotem nad Wołgę, bo w Petersburgu dymisya jego za ministerstwa wyjątkowo porządnego człowieka p. Nicolai już była podpisana, ale Apuchtin tak się ze swoją powolnością i posłuszeństwem sumitował, że jenerała w pole wyprowadził. Po ks. Gorczakowie (namiestniku z czasów powstania), niewątpliwie najwięcej *gentlemanem*, był Albedyński. W rozmowie błyskotliwy, z karyery swojej dyplomatycznej zachował jeszcze zamiłowanie do *phrases bien tournées*, okrągłych, gładkich, potoczystych, obliczonych trochę na efekt. Dyplomata jednak nie musiał być z niego tęgi, bo komedyi nigdy nie grywał, podstępem się brzydził, hipokryzyą pogardzał.

To, co mówił, czuł zawsze szczerze, a chociaż czasem wyglądało to sztucznie i robione, to jednak posądzano go najniesłuszniej o udawanie i zabawę, w wielkie frazesa. Miał Albedyński *la grande manière de parler* i ta *grande manière* robiła czasem wrażenie komedyi, jak wogóle nadskakujące jego obejście się porównywano do zabiegów starej kokietki. Tak jednak w istocie nie było. Kiedy nazajutrz po zabójstwie Aleksandra II., pospieszyły na Zamek władze Tow. kredytowego i deputacya obywateli, z wyrażeniem współczucia i żalu, wówczas wyszedł do nich Albedyński przybity, blady, zmieniony ogromnie i wypowiedział mowę komentowaną później bardzo rozmaicie.

— *Messieurs! l'Empereur vous a aimé, c'est pour vous une grande perte, une perte enorme. Il vous a aimé, il a voulu du bien à ce pays....*

Od tych słów zaczynała się ta pamiętna mowa, a za niemi szło zapewnienie, że niedawno właśnie rozmawiał ze zmarłym Monarchą, że miał wówczas sposobność przekonać się, jako dawna życzliwość Aleksandra dla Polaków nie wygasła jeszcze, oraz trochę hazardowna aluzya, że nagła śmierć cesarza oddala bliską już chwilę doniosłych zmian i ulg dla Królestwa Polskiego.... Wszystko było mówione gorączkowo, pod wrażeniem wezbranego uczucia i żalu, frazesów widocznie nie układał, tylko wyrywały mu się one z gardła gwałtem, jakby nieprzepartą siłą.... Uśmiechano się trochę, słysząc to zapewnienie, *que l'Empereur Alexandre II. vous*

a aimé.... ale nie ulega wątpliwości, że Albedyński mówił te słowa z najgłębszem przekonaniem i najlepszą wiarą, a że tak było w istocie, przekonywują mnie fakta, z bardzo pewnego zaczerpnięte źródła.

Niedawno, właśnie przed zamachem, był on w Petersburgu i miał długą audyencyę u cesarza. Czasy były lepsze, Loris-Melikow stał u władzy, więc zahazardował się jeszcze raz i przedstawił Aleksandrowi II. raport swój co do stanu Królestwa Polskiego, wraz z żądaniem pewnych ulg.... Cesarz słuchał raportu z roztargnieniem, chodząc gorączkowo po pokoju.... Nagle uniósł się gwałtownie, twarz mu poczerwieniała, wargi drżeć zaczęły.... Albedyński przeląkł się straszliwie....

— *Sire! si cela doit nuire a vôtre santé, je retire mon rapport, je viendrai une autre fois*... i zalękniony wstał z krzesła, cofając się ku drzwiom.

W tej chwili cesarz zbliżył się do niego, przycisnął silnie rękę o jego ramię i sadzając go gwałtownie napowrót na krześle, zawołał gromko:

— *Non, restez*....

Latanina po pokoju zaczęła się na nowo. Nagle Aleksander II. stanął przed Albedyńskim i podnosząc w górę zaciśnięte pięści, zawołał całym głosem:

— *Ah! s'ils savaient combien je les aimés*....

Całe to opowiadanie wydaje mi się wielce prawdziwem. Cesarz Aleksander II. był dobrotliwego serca, ale słabego charakteru, a ztąd uparty i zawzięty w swych żalach i rozgoryczeniach, dał się

opanować mściwemu prądowi Katkowszczyzny i wyzyskującej sytuacyę tłuszczy czynowniczej, a wreszcie wszechwładnym za niego podmuchem wrogów naszych berlińskich, ztąd nie mógł nigdy przebaczyć Polakom dawnego swego dla nich uczucia, uważał się za osobiście pokrzywdzonego i najokrutniej zawiedzionego, ale nie ulega wątpliwości, że w ostatnich latach jego życia usposobienie względem nas zaczęło się o wiele zmieniać na lepsze, zwłaszcza przy Loris-Melikowie, i kto wie, czy choć część proponowanych przez Albedyńskiego dla Królestwa ulg nie weszłaby w wykonanie.

Ostatnią wielką dla kraju zasługą Albedyńskiego, jest niewątpliwie tak trafny i szczęśliwy wybór biskupów. Ugoda ze Stolicą Apostolską wyszła z inicyatywy p. Giersa, ale wybór osób dla Królestwa zależał głównie od jenerał-gubernatora. Albedyński umiał wybrać najgodniejszych, wszelkie trudności w Petersburgu usunąć, zarzuty obalić, a wogóle cały czas jego rządów jeśli nie odznaczał się protekcyą Kościoła, bo to było niepodobieństwem, to przynajmniej pewną praw jego ochroną, interesów poszanowaniem. Jak zaś ochrona ta nie przychodziła łatwo i jak była potrzebną, wskaże Ci najlepiej następujący przykład. Za czasów administracyi archidyecezyą warszawską X. Sotkiewicza, dzisiejszego biskupa sandomierskiego, żandarmom, a właściwie jen. Orżewskiemu wydało się pewnego razu, że nabożeństwa t. z. galowe, t. j. odprawiane w dzień imienin i urodzin członków rodziny cesar-

skiej za pomyślność domu panującego — nie odbywały się w katedrze św. Jana z odpowiednią pompą. Ślė więc raport, jako przy asyście mało było kleryków, świece na ołtarzu za cienkie (*c'est textuel*), a *solo* wykonane na chórze brzydkie i niestaranne, z czego wszystkiego wnosić należy, że administrator dyecezyi nie dba należycie o wspaniałość nabożeństw cesarskich, że więc objawia w ten sposób lekceważenie dla N. Pana i t. d. Jeden egzemplarz tego raportu poszedł do kancelaryi jenerał-gubernatora, drugi do Petersburga. Jen. Albedyński nie wiedząc, co z tym fantem zrobić, a bojąc się, aby donos żandarmeryi nie zaszkodził w Petersburgu Administratorowi, przesłał mu po prostu „bumagę“ z prośbą o objaśnienie. X. Sotkiewicz musiał się więc tłómaczyć na piśmie bardzo obszernie, że jako z powodu wakacyj w seminaryum, tak mało jest kleryków w Warszawie i dlatego była asysta mniej liczna, że muzyka w katedrze nie należy ani do niego, ani do kapituły, lecz do dyrektora konserwatoryum, a ten objaśnia, że za marne wynagrodzenie, jakie mu rząd na utrzymanie tej muzyki przeznacza, lepszego *sola* zaprodukować nie jest w stanie i t. d. Słowem o te świece i o to *solo*, toczyła się cała korespondencya urzędowa, bo naturalnie Albędyński tłómaczenie administratora przesłał do Petersburga, z zaznaczeniem, że jak śledztwo wykazało, jest ono całkiem zgodne z prawdą, bał się bowiem, aby go tam żandarmerya

nie przedstawiła jako pierwszego buntownika i rewolucyonistę.

Masz z tego próbkę, jakiem jest położenie duchowieństwa w tym kraju i czy małą zasługa tego, co wszystkie codzienne, tak nawet drobnostkowe szykany pragnął usuwać i łagodzić. Nic też dziwnego, że duchowieństwo nasze przed innymi odczuło najdotkliwiej stratę „uczciwego człowieka“ i że kapituła archikatedralna zaraz nazajutrz po jego śmierci z własnej woli odprawiła uroczyste nabożeństwo na intencyę — jak opiewały doniesienia w tutejszych *Kuryerach* — „uproszenia u Pana Boga pociechy dla wdowy i rodziny po zacnej pamięci jen.-adj. Albedyńskim“.

Jen. Albedyński przemawiając nazajutrz po śmierci Aleksandra II. do deputacyi obywateli o życzliwych zamiarach zmarłego cesarza dla kraju i nowej erze, jaka niebawem dla Królestwa Polskiego miała nastąpić — dał już przez to samo dowód wielkiej odwagi. Gdyby był pospolitym tylko karyerowiczem, nie śmiałby się nigdy ryzykować na podobne przemówienie wobec niepewnej przyszłości, niepewniejszego jeszcze własnego stanowiska i uznałby raczej wskazówki, iż początek nowego panowania będzie tak dyametralnie różnym od końca poprzedniego. W innej chwili, dziś naprzykład, nie uszłoby mu to na sucho z pewnością, a że wówczas przeszło jakoś szczęśliwie, przypisać to należy raczej ogólnemu popłochowi i zamięszaniu, jakie po zamordowaniu cesarza zapanowało nad Newą. Zrazła-

nie wiedziano tam, w którą zwrócić się stronę. Dwa wpływy, dwa stronnictwa, prowadziły z sobą walkę o nowego władcę. Albedyński pojechał do Petersburga na pogrzeb monarchy, który mu był osobistym przyjacielem, bawił tam kilka tygodni, ale zmieniona jego pozycya przez ten czas nie wyjaśniła się wcale. Upadek Loris-Melikowa zachwiał i jego także, widocznem jednak było, że młody cesarz pod wrażeniem tragicznej śmierci ojca postanowił oszczędzać jego bliższych przyjaciół, przynajmniej przez jakiś czas, póki się żal synowski nie ukoi, i ten jedynie wzgląd tłómaczy chyba pozostawienie Albedyńskiego w Warszawie, nawet później, za ministerstwa Ignatiewa, kiedy reakcya wzięła górę, a popy i p. Pobiedonoscew stanęli u władzy.

Mówiono, że Aleksander III. czuły na czystość, którą nazwę finansową, t. j. na bezinteresowność w służbie i niewyciąganie państwa na donacye i pensye, cenił w nim głównie to, że tyle lat służąc, żadnej fortuny nie zebrał i osobistego majątku nie posiadał wcale. Mówiono także, że na jednej radzie ministeryalnej, kiedy rzucano się wprost na Albedyńskiego, dowodząc, że Królestwo Polskie przepełnione jest rewolucyonistami i lada chwila tam wybuchną niepokoje, a ten bronił się tak zawzięcie i wyrzekł owo gromkie „nieprawda“ — które niech mu na zawsze policzonem będzie — cesarz wziął stronę jenerał-gubernatora warszawskiego i tem przeciął dyskusyę, obrachowaną na nowe dla nas prze-wania i środki represyjne. Faktem jest jednak,

że Albedyński nie miał u Aleksandra III. ani setnej części tej łaski, jaką obdarzał go ojciec dzisiejszego monarchy. Pozostawiono go czasowo w Warszawie, ale kto wie, czy gdyby śmierć Albedyńskiego nie uratowała w samą porę sytuacyi, Aleksander III. nie dałby się był nakłonić pierwej lub później do wyrzucenia przyjaciela ojcowskiego, który tak był nie na rękę i taką stawiał tamę projektom petersburskich rządców. Kiedy Albedyński ciężką złożony chorobą, dogorywał w Warszawie, cesarz nawet an razu nie zapytał o jego zdrowie, chociaż chorob trwała nie tydzień lub dwa, ale całe miesiące. zapomnienie bolało mocno zmarłego jenerała.

— Jakto? mówił — *ce vieillard le Pape*, schizmatykowi przesyła swoje błogosławieństwo że dziękować za to, żem się przyczynił do nacyi biskupów i oszczędzał Kościół katolicki kraju; *et ce jeune homme*, którego ojcu i dz tyle lat wiernie służyłem, nie raczy się nav pytać, kiedy powędruję na tamten świat.

Przypomniano go sobie w samą porę. dni przed śmiercią otrzymał Albedyński z koronacyi order św. Włodzimierza I. klasy i cesarski, którego już nie czytał wcale, a w kraj powierzony jego pieczy nazwany był wiślańskim“ (jak to uczyniono w reskr Apuchtina), ale Królestwem Polskiem. Z przynajmniej w chwili śmierci tę względ łego delikatność.

Śmierć Albedyńskiego wywołała powszech

ju żal i współczucie, a pogrzeb jego był demonstracyjnie licznym i wspaniałym. Ze wszystkich stron słano dobrowolnie wieńce, jak dobrowolnie zbierano się w Zamku na nabożeństwach żałobnych i składano karty wdowie. Dzienniki nasze poświęciły nieboszczykowi krótkie, lecz pełne uznania artykuły, podnosząc jego sprawiedliwość i dobre dla kraju chęci, a ten hołd pośmiertny, tak powszechny, mógł być dla Petersburga najlepszą wskazówką, jak małe środki i ustępstwa wystarczyłyby na złagodzenie jego losów i uspokojenie drażnionych dziś ciągle umysłów. Co Albedyński zrobił? — czy wrócił Królestwu autonomię? — czy wrócił język, oddał szkoły, sądy, zapewnił wolność i bezpieczeństwo osobiste? Nie, bo to wszystko nie było w jego mocy. Ale tylko nie drażnił, nie jątrzył, nie podjudzał, nie pastwił się, postępował sprawiedliwie, nie był eksploatatorem, lecz opiekunem kraju, miał pewną dla niego życzliwość i dobre chęci, starał się go bronić i lepsze zgotować mu losy — i to wszystko wystarczyło na zdobycie mu takiej popularności, jakiej żaden jeszcze z dygnitarzy rosyjskich w tym kraju nie zażywał.

Za Albedyńskiego Zamek zmienił swoją fizyonomię. Kiedy podczas pobytu pp. Kotzebue wszystko tam było *correcte*, ale zimne i sztywne, za pp. Albedyńskich gościom polskim było jakoś bardziej swojsko, to, co Niemcy nazywają *gemüthlich*. Oboje gospodarstwo nie afektowali bynajmniej swego urzędowego stanowiska. Bywało się tam u pp. Albe-

dyńskich, ludzi bardzo miłych, dobrych i dobrze wychowanych, a nie na salonach pp. jenerał-gubernatorstwa. Pani sama, księżniczka Dołgoruki z domu, daleka krewna ks. Jurjewskiej, drugiej żony Aleksandra II., mało się udzielała towarzystwu, bo dziwnie krótki i słaby jej wzrok stawiał ją nieraz w kłopotliwem położeniu, nie pozwalając poznawać nawet najbliższych. — Niemniej jednak umiała ona tu zjednać sobie wielu życzliwych i pozostawiła jak najlepsze wspomnienie. Była to rzeczywiście kobieta szlachetna i z charakterem; wiele swoich stron dodatnich zawdzięczał Albedyński wpływowi żony, a *les intimes* ówczesnego Zamku zapewniają, że gdyby kiedykolwiek jenerał Albedyński zechciał zejść z prawej drogi, żona umiałaby go natychmiast powstrzymać i nie pozwoliła na żadną *bassesse*. Pod tym względem wyższa to była kobieta i godzi się każdemu dziś przed nią uchylić czoła. Do spraw mężowskich nie mieszała się wcale, oddana cała, z przykładną gorliwością najlepszej matki, wychowaniu dzieci i rodzinie. *Grande dame,* w całem znaczeniu tego słowa, wykwintna, uprzejma, nie przypominała w niczem tak nam dziś dobrze znanego typu pospolitej *generalszy;* z damami polskiemi utrzymywała, o ile możności, stosunki, bywając od czasu do czasu tu i tam, a zawsze skromna, bez impozycyi, bez tych *grands airs d'une vice-reine,* które się tak nam teraz dają we znaki. Sam jenerał miał tu wielu i licznych osobistych przyjaciół. Schodził też często z pytyjskiego trójnoga, odwiedzając

znajomych i ukazując się na balach, bądź to publicznych, bądź prywatnych, a wówczas odżywała w nim dawna paryska tradycya. *Causeur* wyborny, szarmant *de primo cartello*, nadskakiwał damom, sypał komplementa, a nikt lepiej od niego nie umiał „reprezentować“. Było coś prawdziwie salonowego w tej postawie, o pięknych, zawiesistych wąsach, noszonych z fantazyą, w tej galanteryi, która przypominała dwór Napoleoński, a w niczem nie zatrącała... juchtowemi butami. Ostatni raz widziałam go na raucie w Ratuszu; miał już wówczas na sobie nowo przepisany uniform: długie buty, kozacki mundur i czapkę barankową, uniform rzeczywiście doskonały do stajni, ale wprost niemożliwy w salonie. W tych butach i w tym armiaku wyglądał zupełnie, jakby wykwintnego jenerał-adjutanta przebrano za rosyjskiego *mużika* i był poprostu śmiesznym, tak to patryotyczne przebranie nie pasowało do człowieka, który całe życie miał wyczyszczone paznogcie i wonią stajenną nie zachwycał się wcale. Widziało się doskonale, że ten człowiek nie da się nałamać do nowej mody, że nie będzie licować *avec les nouvelles couches*, że czas jego już przeminął i przyjdą nowi ludzie i nowe obyczaje.

I przyszli też rzeczywiście.

Henryk Rzewuski chcąc dowieść omnipotencyi carskiej w Rosyi, opowiadał zawsze bardzo charakterystyczną anegdotę. Cesarz Paweł spotkawszy pewnego razu jedną z dam dworskich, która, jakby to delikatnie powiedzieć... — miała wkrótce uszczę-

śliwić swego męża, złożył jej przed
powinszowanie w słowach Pozdrawl
czikom. (Winszuję pani chłopca). Fa
skontowany przez cesarza, miał rzeczy
miejsce, z tą jednak różnicą, że r
dziecię nie było, jak raczył łaskawie
N. Pan, płci męskiej, lecz przeciwnie. C
nie może się jednak nigdy mylić. D
więc zostało za chłopca i jako takie
było długi czas. Dopiero śmierć Pawła
biedactwu jego płeć właściwą.

I oto w tem państwie, w tem „samo
którego nietykalność Aleksander III w
sięcy po wstąpieniu na tron w specyaln
manifeście, największego wpływu, najwię
potencyi używał tak długo, kto? Prost
karz, redaktor *Moskiewskich Wiedomosti* —
W tem, moja droga, leży dziś najważniej
obecnego panowania, w tem główny jego c
Nie władza osobista monarchy ciąży obe
nami, lecz wszechmoc stronnictwa, przewaga
która zawładnąwszy cesarzem, ujęła ster
w swoją rękę i na wszystkiem wyciska swe
wyzyskując dla swego fanatyzmu rzekome
dzierżawie. Kiedy w roku 1884 za poby
Państwa w Warszawie mówiono, że cesarz jest
zadowolonym z przyjęcia, jakie go tu spo
rozeszła się równocześnie pogłoska, iż p. K
zaalarmowany właśnie tem wrażeniem Aleks
przyleciał tu umyślnie *incognito*, by mu oświa

że każde ustępstwo dla nas będzie ciosem, zadanym w samo serce Rosyi. Czy tak było rzeczywiście, czy Warszawa miała zaszczyt istotnie goszczenia w swych murach redaktora *Moskiew. Wiedom.* — nie ręczę, wiem tylko, że po tem, co zaszło w Instytucie głuchoniemych*), podziękowanie wyrażone Apuchtinowi po powrocie ze Skierniewic na dworcu petersburskim, za „obrusienje“, było i niespodzianem, i stwierdzającem zupełnie ową pogłoskę o — mniejsza o to — osobistej, czy pośredniej interwencyi Katkowa.

W takiem położeniu rzeczy całkiem naturalnym był fakt, że skoro ze śmiercią Albedyńskiego zawakowała posada jenerał-gubernatora warszawskiego, wybór następcy rozstrzygał się nietyle w Petersburgu, ile w Moskwie. Lista kandydatów nie była wielką. Mówiono trochę o ks. Imeretyńskim, znanym tylko ze swego antagonizmu z hr. Kotzebue, ale jako poważnych kandydatów cytowano jedynie ks. Dondukowa-Korsakowa i jenerała Hurkę. O pierwszym słyszano trochę z czasów jego kijowskich i z niefortunnego „urządzenia“ Bułgaryi, o jen. Hurce dochodziły zaś z Odessy wcale niezłe wieści. rzecz warta zaznaczenia, nominacyi jego nie przyjęto tu bynajmniej, jako zapowiedzi nowych środków

---

*) Cesarz na egzaminie kazał Apuchtinowi czytać po ...u, a kiedy ten ze wstrętem oświadczył, że nie umie, ...kł: „No, to ja spróbuję“ — wziął książkę do ręki ...ł czytać: „Podaj mi każet....“

presyjnych, lecz raczej jako wojowniczą w demonstracyę przeciw Niemcom. Kładę na aby Cię przekonać, że nikt z nas nie b przeciw dzisiejszemu jenerał-gubernatoro dzonym, i nikt nie wyrabiał mu odrazu z tacyi. Dyskutowano tu trochę o jego po polskiem, ale ostatecznie mało to kogo ol bo znowu Kopernikiem nie jest, aby tak gv dobijać się o wspólną z nim krew; ci zaś, pod nim w ostatniej kampanii, nie ak bynajmniej ani jakiegoś specyalnego przeciw uprzedzenia, ani tem bardziej nienawiści. (się naturalnie zmian wielkich, ale nie przy ich wcale osobie nowego wielkorządcy, le przewadze wpływu Katkowa i Pobiedonosce tersburgu i jego omnipotencyi.

Jenerał Hurko w początkach swego u wania dawał wiele pozorów, stwierdzający puszczenia o jego demonstracyjnej, anti-ni misyi. Pod tym względem postawił się odra ostro. Nienawiść swą do Niemców zaznacz cznie, jaskrawo, ale na pierwszem przyj władnych powiedział otwarcie, że Rosyani winni się zachowywać w tym kraju jako z i że rusyfikacya nie należy bynajmniej w rządu. W równie umiarkowany sposób tegoż dnia do urzędników cywilnych i cia cielskiego. Zapowiedź tę przyjęto z pew wieniem, które nawet stanowczo było dodatniem, a wyzywającą postawę wobe

i Niemców uważano raczej za chęć odziedziczenia popularności po świeżo właśnie zmarłym Skobelewie, aniżeli za nakazany z Petersburga manewr. Niebawem jednak wszystko się miało zmienić. Ten sam jenerał Hurko, który tak gromko odgrażał się Germanii, ten przyszły dziedzic Skobelewowskiej famy i testamentu jego wykonawca — pojechał najpokorniej nad Spreę i wzniósł miodopłynny toast na cześć Niemiec i jej armii. Rozkaz wyższy kazał mu przejść to jarzmo kaudyjskie, a dla Berlina było to najlepszem zadośćuczynieniem, najdotkliwszem upokorzeniem zuchwałego Skobelewczyka. W oczach admiratorów p. Hurki czyn ten podniesiono jako bohaterską dla cesarza i Rosyi ofiarę, w naszem zaś przekonaniu nazywa się poprostu brakiem charakteru i konsekwencyi. Po tem, co zaszło, po tej głośnej mowie, człowiekowi porządnemu nie pozostawało nic innego, jak w razie zmiany frontu usunąć się, a nie okupywać swej pozycyi w Warszawie — upokorzeniem. Fakt zaś ten przyznasz chyba sama, zalecać ani wzbudzać szacunku nie mógł. Jenerał Hurko miał nietylko wspólną ze Skobelewem manię bundziuczenia się przeciw Niemcom, lecz karyera ich i fama wojenna bardzo ze sobą pokrewne. Jak tamten, tak i on zrobił sobie reputacyę odwagą wojskową do zuchwałości posuniętą; w nim także jest dużo awanturnika, dużo tej brzęczącej odwagi, która na pozór imponująco wygląda, ale w rezultacie i bezowocną, i niezmiernie dla życia ludzkiego kosztowną bywa. Wszakże Skobelew posiadał istotnie

obszerne wiadomości wojskowe, ale był nie t pijakiem i rozpustnikiem, lecz zarazem bardzo sa lubnym wyzyskiwaczem powodzeń drugich dla v snej ambicyi, błyskotliwym, intrygantem. Jene Hurko pod temi względami daleko wyżej stoi. J jednak zyskuje na porównaniu ze Skobelewem do charakteru, to natomiast traci wiele, jeśli mov o furyi i zdolności wojskowej. Przyznali to już ni tylko angielscy i niemieccy, lecz i francuscy str tegicy. Życie ludzkie cenił Hurko zawsze mnie niż guzik u mundura, i dzisiejsze jego wawrzyn bałkańskie spoczywają na całych lawinach ciał bie dnych pomarzniętych sołdatów. Jeden z oficerów który pod dowództwem Hurki przechodził Bałkany opowiadał mi następujący charakterystyczny fakt.

Pewnego dnia wojsko biwakowało pod samą Szypką; resztka niedomarzniętych żołnierzy grzała się przy ognisku, gotując w kotle ostatnią, jaka już była w zapasach, racyę mięsa. Nagle zagrano pobudkę, wszyscy rzucili się do broni, garstka tylko otoczyła kocioł, wydobywając z niego na gwałt kawałki niedogotowanego jeszcze mięsa. Wtem nadjechał jenerał. Minęło już parę minut po oznaczonym terminie i obóz powinien był być zwinięty więc zbliża się do owej kręcącej się koło kotł garstki żołnierzy i z całą zimną krwią strąca nog kocioł w przepaść. „Biedacy — mówił mi ów oficer - lżejby znieśli karę śmierci, aniżeli to pozbawien ich na samych szczytach Bałkanów ostatniego k wałka mięsa“.

Wzrostu niskiego, o długich siwych faworytach, jenerał Hurko nie robi bynajmniej wrażenia srogiego siepacza. Przeciwnie, jest coś nawet sympatycznego w tej twarzy; coś, co zwykło znamionować i siłę woli, i szorstką żołnierską uczciwość. Patrząc na niego, sądziłabyś, że to jakiś marmurowy charakter, niewzruszony jak skała i jak Kato niezłomny. Wygląda, jak uosobiona konsekwencya, a tymczasem brak konsekwencyi, to właśnie główna jego wada. Zgrzeszył nią w całej tej historyi z obrażeniem i przeprosinami Niemców, dał jej najlepszy dowód wyborem ludzi, jakimi się otoczył. Janerał Hurko jest osobiście niewątpliwie człowiekiem bardzo czystym, występuje też z ogromną surowością względem wszystkich kradzieży i rabunków skarbu cesarskiego. Kiedy w roku zeszłym toczył się tu proces o nadużycia w intendanturze armii, domagał się on jak najsurowszego ukarania winnych, wywierał nawet pewien nacisk jawny na sędziów (co mu w kołach wojskowych brano za złe), uczęszczając codziennie na wszystkie posiedzenia i wyrażając publicznie swe zdanie. Bardzo pięknie. Chwalebna to rzecz prześladować nadużycia tego rodzaju, a pod tym względem Rosya jest istną stajnią Augiasza, na wyczyszczenie której nie jeden, lecz stu nie wystarczyłoby Herkulesów.... Tylko tensam srogi dla liwerantów jenerał wybiera równocześnie naczelnika kancelaryi (posada najbardziej przy jenerał-gubernatorze wpływowa) w osobie p. Korniłowa, byłego prezesa tutejszej Izby skarbowej, którego za notorycznie

znane nadużycia przed paru laty sromotnie ztąd wydalono. Po żonie, jestto *le mauvais génie* jenerała Hurki — człowiek bez zdolności, ograniczony nawet, bez wykształcenia, bez znajomości języków, ale zły, mściwy, zaciekły — a jak wszyscy, co mieli z nim interesa ważniejsze, mówią, pośredniemi drogami pożądliwy łapówek. Interesów ani zna, ani rozumie — tyle ma tylko pojęcia, by złość swoją wywierać w rzeczach najczulszych dla kraju: języka, wiary i narodowości dotyczących. Tak już zużyty i ograniczony, że jenerał, który przez upór go trzyma, każe sobie interesa przedstawiać przez urzędników i naczelników wydziałów, a tylko w obecności Korniłowa, bo ten interesa ogarnąć i wytłomaczyć dokładnie nie potrafi.

W ogóle jeśli Albedyński grzeszył czasami nieznajomością ludzi, jeśli dokoła siebie miał nie samych tylko Arystydesów, to jen. Hurko otoczył się jak najgorszemi figurami, które odrazu nadały rządom jego cierpki, drażniący ton. Nie odnosi się to specyalnie do jednego tylko p. Korniłowa, ale do większości wszystkich. Tego, czego Zamek nasz dawniej nie posiadał ani za Berga, ani za Kotzebuego, ani tem mniej za Albedyńskiego — jakiejś „kamarylli“ dworskiej, to mamy teraz w całej pełni: osoba jenerał-gubernatora schodzi na drugi plan, ci siedzą na pierwszym i biją wszystkich w oczy. Nigdy rozluźnienie administracyi, samowola miejscowych władz, rozprzężenie, różnorodność stosowania przepisów nie były tak jawnemi. Nie p. Hurko rządzi obecnie

Królestwem, ale cała falanga rozmaitych indywiduów, a tej falandze główny ton nadaje — spódnica. Tak moja droga, płeć nasza teraz górą w Warszawie, nie jeneralskie szlify i żołnierskie ostrogi brzęczą nam nad uszami, ale kokoszniki i zapaski, ale falbany i tiurniury. Nie dziw się też, że więcej może w tym liście znajdziesz szczegółów o pani, aniżeli o p. Hurce. To, co nas tu wszystkich głównie drażni, te codzienne ukłucia szpilką, drobne szykany, tuzinkowe nieprzyjemności, wszystko to wypływa z tego, że do ogólnego, gniotącego nas systemu, z Petersburga przybył nam jeszcze mały systemik lokalny, nie polityka, lecz polityczka zamkowa, której główną inicyatorką jest właśnie szanowna Marya Andrejewna. W innych czasach może to działanie na własną rękę pani jenerał-gubernatorowej *nie byłoby* u góry tolerowanem, ale dziś wszystko, co ona robi, tak odpowiada systemowi i zasadom sfer wyższych, że dano jej zupełne pod tym względem *placet* i najszerszą swobodę.

Używa też jej w całej pełni. Nie miałam przyjemności znać przedtem pani jenerał-gubernatorowej, ani w Petersburgu (gdzie wyższe sfery towarzyskie były dla niej zamknięte), ani w Odessie — nie wiem zatem, czemu właściwie przypisać należy jej zawziętość i nienawiść względem nas i naszego kraju. Mówiono, że genezy owych uczuć szukać należy w czasach paryskich i wspomnieniach młodości. Wątpię. Kto tak jak ona postępuje, ten z pewnością zapomniał już chyba zupełnie jednej z najmil-

szych dam rosyjskich, jakie kiedykolwiek zdarzało mi się spotykać, tej dowcipnej, a przedewszystkiem tak dobrze wychowanej, usłużnej i gruntownie poczciwej hr. Sallias, która niestety nie miała zalet pedagogicznych, skoro jej córka tak we wszystkiem od matki różna.

Być jednak może, że zajmowane w domu rodzinnym stanowisko „kopciuszka“, nietyle dla braku urody, jak dla pospolitości i cierpkości charakteru wyrobiło dzisiejszą ostrość i surowość dla ludzi. Pojmuję doskonale to uczucie zwłaszcza u kobiet, bo już nieśmiertelny cyrulik sewilski powiedział: *bien rosser et garder rancune est aussi par trop feminin* — tylko doprawdy nie widzę za co i dla czego ta niechęć teraz właśnie, po tylu latach, tak gorączkową przybrała formę. Zdaje mi się też, że powodów działalności politycznej Maryi Andrejewnej szukać należy gdzieindziej.

Przypomnij sobie, że ile razy zdarzało Ci się spotykać „kobietę polityczną“, każda z nich była zawsze, nie powiem brzydka (gdyż to nie jest koniecznym, choć pospolitym warunkiem), ale z pewnemi mankamentami. Jedna dla szpetności, druga dla podtrzymania podszarganej reputacyi, bardzo rzadko która dla sportu, wszystkie z chęci znaczenia i odwetu rzucają się w ten wir agitacyj i intryg, chcąc w ten sposób narzucić światu stanowisko i wpływy, jakich ten świat właśnie dla owych mankamentów dobrowolnie im dać nie chciał. Komu brakowało zawsze daru jednania sobie ludzi, kto ani wy-

chowaniem, ani sprytem, ani uprzejmością nie mógł sobie nigdy wyrobić wybitniejszej pozycyi towarzyskiej i skazanym był wiecznie na rolę salonowego „kopciuszka“, ten skoro okoliczności nadadzą się po temu, schwyci niechybnie każdą okazyę, aby dać uczuć swoją wyższość i jak dorobkiewicz pieniądzmi, tak on swą władzą szastać będzie na wszystkie strony i świecić każdemu w oczy. Podobnie się stało i z Maryą Andrejewną. Przybyła ona do Warszawy jako misyonarka, z fanatyzmem, ale bez inteligencyi i wychowania panny Błudow, z postanowieniem i pewnością, że od niej dopiero zacznie się prawdziwa tego kraju rusyfikacya, że ona potrafi tu wszystkich nauczyć rozumu i wzniesie wysoko sztandar prawosławia. Nieprawdą jest wcale, aby towarzystwo warszawskie odrazu ją źle przyjęło i zaraz na wstępie zaczęło od niej stronić. Entuzyazmu naturalnie nie było żadnego, bo nikt tej pani poprzednio nie znał, a ci nawet, co mają z arystokracyą rosyjską stosunki, o Maryi Andrejewnie nic czego się od niej dowiedzieć nie mogli, ale przyjęto ją tak, jak każdą jenerał-gubernatorową, grzecznie, lecz wyczekująco. Tylko, że nowa wielkorządczyni wszelkie oczekiwania szybko skróciła, zrażając sobie za jednym zamachem wszystkich swoim nietaktem, pospolitością, zapoznaniem elementarnych zasad towarzyskich i salonowych. Trudna rada, życie salonowe jest z natury kosmopolitycznem i ma pewne prawa i wymagania, którym musi się poddać każdy, nawet książęta i księżniczki krwi, a cóż dopiero ro-

syjskie *generalsze*. Tych reguł nikt nie zmieni ani ich nie ominie, a kto będzie starać się *par force* przez nich się przedrzeć, ten zyska odrazu miano *d'un mal elevé* i na odosobnienie skazanym zostanie. Już Marcelina w *Weselu Figara* powiedziała: że w każdej kobiecie, najbardziej nawet awanturniczej, jest jakiś głos wewnętrzny, który jej mówi: *Sois belle, si tu peux, sage, si tu veux; mais sois considerée, il le faut*. Otóż pierwszego nie mogąc, drugiego nie chcąc, Marya Andrejewna nie umiała wyrobić sobie i trzeciego warunku, na który Beaumarchais taki kładł nacisk i czyniła wszystko, aby tej konsyderacyi nie zdobyć i tytuł osoby źle wychowanej jak najszybciej uzyskać. Dumna, niewiadomo z czego, imponująca, niewiadomo czem, wyobraziła sobie, że jest tu co najmniej wicekrólową, że więc wszyscy tu pokorni poddani, gotowi na jej skinienie i rozkazy. Naśladując modę petersburską, zaczęła pozować na narodowe zwyczaje i jakiś kulinarny patryotyzm.

Oddawna zaproszenia na bale i obiady zamkowe redagowane były po francusku i opatrzone co najmniej podwójną datą. Ona pierwsza kazała je wydrukować po rosyjsku i dzień tylko według starego oznaczyć kalendarza. Porządek tańców na balach i *ménu* kołacyi wylitografowano także grażdanką i w języku urzędowym. *Chaud-froid* z przepiórek nazywało się więc *popiełocznoje szo-frua*, *créme d'asperges*, *aspierznyj kriem* itp. dziwolągi grażdanki. Najzabawniejszem to, że Marya Andreje-

wna okazała tu *trop de zéle*. Podczas pobytu bowiem dworu *menus* obiadów cesarskich były wszystkie francuskie i zaproszenia także w tym języku wystosowane. Widocznie więc „idea państwowa“ tak znów gwałtownie tej śmiesznej gorliwości nie wymaga i szczęście Rosyi od grażdanki na zaproszeniach bynajmniej nie zależy. Najszersze pole do okazania swego nietaktu i nieznajomości świata miała Marya Andrejewna właśnie podczas uroczystości cesarskich. Tu na każdym kroku z premedytacyą chciała koniecznie zepchnąć na drugi plan polskie towarzystwo, a wysunąć swoje *generalsze* i *sowietnikowe*; afektowała niezmiernie niezwracanie uwagi na urodzenie i tytuł, lecz tylko na rangę urzędową i wyznanie, słowem potrafiła narobić takiego rozgardyaszu, że aż przyszło do interwencyi W. ochmistrzyni dworu, ks. Koczubej, i usunięcie pani Hurko od prezentacyi dam zostało już postanowionem. Był to dla niej afront niemały i nauczka dotkliwa, to też pan jenerał udał się wprost do cesarza — i czy uwierzysz? — zrobił z tej całej sprawy kwestyę gabinetową. Jeśli żona zostanie pominiętą — on podaje się natychmiast do dymisyi; powiedzianem to było stanowczo, z pewnym naciskiem *que c'est à prendre ou à laisser*. Dzięki takiemu obrotowi sprawy, Marya Andrejewna zwyciężyła, ale nie umitygowała się bynajmniej. Dwór miał z nią wiele w owych czasach kłopotu i pewno we wdzięcznej nie zachował jej pamięci, a udzielenie przez cesarzową wstęgi orderu św. Katarzyny

przypisać raczej należy szablonowemu zwyczajowi, aniżeli osobistym sentymentom.

Zachowanie się i osobistość pani Hurko nadaje też dzisiejszemu Zamkowi ten ton pospolitości, który go głównie czyni tak niesmacznym, nawet dla tych, co dbając o stosunki urzędowe, nie zwykli tak bardzo znowu oglądać się na podobnego rodzaju braki. Bale zamkowe stały się konwentami oficerskiemi, na których ton, hałas, zamaszysta dezynwoltura mundurowych tancerzy przypominają nie wykwintne towarzystwo Stanisława Augusta i Ks. Józefa, ale bale publiczne i kordegardę. Towarzystwo więc nasze ile można, ile się tylko da, unika je starannie, bynajmniej nie w celu jakiejś demonstracyi lub uchybienia, lecz poprostu tak, jak unikają ludzie dobrze wychowani tych, co wszelkiego pozbawieni są układu. Nie można tego nazwać stronieniem, lecz ustępowaniem, jak ustępuję każdemu z drogi, skoro widzę, że ten z umysłu lub z nieświadomości form gotów mi jest co chwilę nastąpić na nogę lub nadeptać ogon od sukni. Nie czynią tego bynajmniej tylko Polacy i Polki, ale i te resztki wyższego towarzystwa rosyjskiego, które się jeszcze po Warszawie tułają.

Ale to tylko towarzyska strona pani Hurko; gorszą, bo dotkliwszą jest jej polityczno-agitatorska działalność. Ona to właśnie nadaje dzisiejszym naszym rządom lokalnym tę miejscową ostrość, ona to wyrabia ów sos, którym zaprawiony wielki system państwowy stał się jeszcze nieznośniejszym

i bardziej drapie w gardle. Wchodzi tu przede- wszystkiem w grę sztuczny fanatyzm religijny, więcej wyrozumowany i jako narzędzie wpływu i znaczenia użyty — aniżeli szczery i z przekonania płynący. W nim źródło tej gorączkowej agitacyi przeciw SS. Miłosierdzia, a forytowania, gdzie się da, prawosławnych Elżbietanek; w nim to ustawiczne narzucanie publiczności naszej jakichś przedstawień i koncertów na cele Czerwonego Krzyża, na budowę ochronek i „prijuty“ mikołajewskie (w których przyjmują dzieci ubogich rodziców, lecz pod warunkiem ochrzczenia ich na prawosławie), na jakieś cerkwie i „czasownie“ (kaplice) — jakby na to wszystko państwo nie dawało już milionów i jakby potrzeba było jeszcze kołatać do miejscowej społeczności o subsydyum na wymierzone przeciw niej samej cele. Pod tym względem pani Hurko postępuje z pewnym rozmysłem i przebiegłością. Dotychczas urządzano raz tylko do roku wielką loteryę fantową na ochronkę mikołajewską dla dzieci żołnierskich. Festyn ten odbywa się zwykle w jesieni w ogrodzie Saskim, od pewnego czasu niedostępnym ani dla Towarzystwa Dobroczynności, ani dla wszelkich innych filantropijnych przedsięwzięć. Mniejsza o ten dziwaczny przywilej mikołajewskiego „prijutu“, który zresztą od miasta nie wiele przez tę parę dni zarobi, nikt bowiem na owe loterye nie uczęszcza i ogród Saski świeci zawsze pustkami. Ale pani Hurko od czasu swego przyjazdu postanowiła koniecznie narzucić się publiczności warszawskiej

ze swemi fanatycznemi celami i *coûte que coûte* dotrzeć do jej kieszeni. Co chwila więc mamy jakieś koncerta i przedstawienia w teatrze na Czerwony Krzyż i ochronki, ponieważ zaś zmiarkowała odrazu, że sam cel wymieniony wyraźnie na afiszu nie przyciąga, lecz raczej odstręcza publiczność, więc chwyciła się innego środka. Afisze mówią tylko, że taki a taki koncert lub przedstawienie odbędzie się „na cel dobroczynny“, bez szczegółowej wzmianki, jaki, aby tym sposobem podejść łatwowierną publiczność i napełnić nią salę. Nie bardzo się to udaje, bo Warszawa ma pod tym względem dziwnie wydelikacone poczucie i poznaje się odrazu na farbowanych lisach, lecz sam pomysł intencyi jest tu oburzającym.

Jakto, w chwili, kiedy u nas nędza wzmaga się w tak zatrważający sposób; kiedy Towarzystwo Dobroczynności przyjąwszy na siebie tyle ciężarów goni resztkami i końca z końcem związać nie może; kiedy odebrano szpitalom warszawskim 200.000 rs. zapomogi rządowej — kołatać z taką natarczywością do tych polskich kieszeni na rzecz jakichś, hojnie przez skarb uposażonych ochronek żołnierskich i Czerwonego Krzyża — to trzeba na to mieć wiele śmiałości i czelności. Takie rzeczy drażnią właśnie najbardziej, nie już towarzystwo warszawskie i inteligencyę, ale ten spokojny ludek, który doskonale pojmuje intencye i zamiary takiego postępowania. Podobna taktyka wygląda poprostu na szyderstwo, na naigrawanie się z tego ludu war-

szawskiego, któremu się mówi: „nietylko, że ni
przyczynimy się w niczem do ulżenia twej bied
i nędzy; nietylko, że tym, co dla ciebie coś zrobi
zechcą, stawiać będziemy na każdym kroku najd
tkliwsze przeszkody; nietylko rugujemy, zkąd s
tylko da, twoje świątobliwe opiekunki i dobrodziej
SS. Miłosierdzia, wsadzając na ich miejsce *) wą
pliwej moralności prawosławne Elżbietanki — *kilka*
kroć droższe a bez żadnego czysto chrześciańskieg
powołania — ale ty sam w tem wszystkiem *musisz*
nam podać rękę, ty musisz do naszych skarbów
swój wdowi grosz dorzucić i sam się przyczynić
do twego uciemiężenia“.

Ona pierwsza używa furtki miłosierdzia do prowadzenia prawosławnej propagandy; ona pierwsza korzysta z tej nędzy, ściągającej tutaj ze wszystkich stron kraju, aby kusić ją złotem do zmiany religii i wyparcia się prawdziwego Boga; ona podczas ostatniej powodzi sama siadała na galary i rozwoziła chleb, nie dlatego, żeby nieszczęśliwych ratować, lecz żeby do nich nie dopuścić naszych Sióstr Miłosierdzia, żeby im pokazać, iż pomocy w biedzie, ratunku, w potrzebie mogą szukać w jej zakładach, a tam za cenę zmiany religii hojne uposażenie dostaną. Ona to przez policyę każe nakła-

---

*) O tych Elżbietankach wiadomo powszechnie w całej *Rosyi*, że podczas wojny tureckiej żołnierz rosyjski stronił od nich a garnął się do naszych Sióstr Miłosierdzia, że niejedna z tych apostołek wracała z Bułgaryi z pomnożoną rodziną.

niać kobiety złego prowadzenia, aby nieślubne swe dzieci dały na prawosławie ochrzcić, za co otrzymają kilkunastorublowe wynagrodzenie. Nie o biedę i nędzę ludzką tu chodzi, lecz o agitacyę i prozelityzm, słowem: o świętokradczą bo polityczną dobroczynność. I dlatego tam, gdzie agitacya nieprawdopodobna, a nawracanie niepewne — tam jej niema i nigdy nie będzie. Do jakiegoś ogólno-dobroczynnego celu nie przyczyni się nigdy inicyatywą. Warszawa i jej bieda nic ją nie obchodzi, myśli ona tylko o nawracaniach z głodu umierających, o swoim Czerwonym Krzyżu i ochronkach, potrzebujących tak zapomóg warszawskich, jak milionowy Krezus dziesięcio-groszowego datku nędzarza. Lecz niedość na tem; nietylko, że się nie przyczynia w niczem, ale na robione jej propozycye jeszcze się oburza. Kiedy pewien Rosyanin, zawezwany do rady, w jaki sposób urządzić nadzwyczajny festyn w Łazienkach na Czerwony Krzyż, ośmielił się zrobić uwagę, że zabawa udałaby się lepiej, gdyby część jej dochodu przeznaczono na miejscowe Towarzystwo Dobroczynności — pani Hurko propozycyę tę przyjęła z najwyższem niezadowoleniem i w swój miły sposób inicyatora jej surowo zgromiła. Przed dwoma laty naciągnęła ona na swoje cele Ant. Rubinsteina, który jako dyrektor konserwatoryum petersburskiego nie mógł odmówić koncertu; wyeksploatowała Meiningerów aż na 2.000 rs., z których wszystko poszło na Czerwony Krzyż, a ani jeden grosz nie dostał się ubogim miasta. Teatrowi

każe na tenże cel dawać kilka przedstawie szturmuje nawet do biednych śpiewaków, pili swoje kilkunastorublowe *feu*; słowem, się wszędzie, nie mówiąc już o datkach os ściąganych z natarczywością najzawziętsz starki.

Działalność Maryi Andrejewny doszła kierunku w ostatnich czasach do objawów przestają już graniczyć z polityczną fila a wchodzą w zakres psychologicznego fen Muszę się też o tym fenomenie rozpisać tym dłużej, gdyż przez te dwa lata przybył cały faktów tak wymownych, że one same za u nienie dawnej charakterystyki starczą.

Stanąwszy na czele Towarzystwa Czerwo Krzyża (każda jenerał-gubernatorowa jest z ur prezesową komitetu dam) Marya Andrejewna po wiła sobie dwa cele: 1°) rozszerzenia zakresu To rzystwa i zużytkowanie go do propagandy poli cznej, 2°) pomnożenia jego funduszów. Cel pierw objawił się obsadzaniem Elżbietanek przy szpitala nietylko w Warszawie i w miastach gubernialnyc ale i na prowincyi, po miasteczkach a nawet wsiach. Wszędzie w dalszym ciągu i to z więks jeszcze systematycznością owe prawosławne dobr dziejki rugują nasze Szarytki, a jak na tem wy chodzą chorzy łatwo sobie wyobrazić. Odjęto im to, co dawała wiara i poświęcenie czystej chrześci-jańskiej duszy, dzieła miłosierdzia zastąpiono rodza-jem pańszczyzny, płatnej i z konieczności dla ka-

wałka chleba podejmowanej. Zorganizowane źle, Elżbietanki pomijając już brak wszelkich religijnych pobudek, nie mają i nie mogą posiadać ani tej wprawy, ani tej łagodności i umiejętności obchodzenia się z chorymi, jakiemi słyną na całym świecie córki Św. Wincentego à Paulo.

Wprawdzie pani Hurko utrzymuje inaczej, ale nie mówiąc już o nas, ma przeciw sobie zdanie największych powag naukowych świata. Istnieje w tej materyi cała literatura a wśród niej głosy i świadectwa nietylko niekatolików, lecz ludzi wszelkiej wiary pozbawionych, ateuszów otwartych i zaciętych, którzy na tym punkcie musieli jednak przyznać, że w obsłudze chorych Szarytki prym trzymają, że nikt ich nietylko nie zastąpi, ale nawet w setnej części nie dorówna. Sprawa ta już osądzona z punktu lekarskiego, humanitarnego, administracyjnego i dla człowieka rozsądku dwóch zdań w tym kierunku być nie może. Jest jedno na całym świecie a nie moja wina, że go Marja Andrejewna nie podziela.

Rekrutowane z najpośledniejszych sfer, najczęściej upadkiem lub położeniem bez wyjścia zapędzone do owego mniemanego klasztoru, Elżbietanki traktują swe powołanie nie jako obowiązek miłości, lecz jak pospolitą i bardzo nieprzyjemną służbę. Ufne w wyższą opiekę, czujące dobrze, iż im także cząstka *djejatielstwa* przypadła w udziele, z drugiej strony wobec swej zwierzchności niekarne i pobłażania pewne (gdyż Zamek coraz większą ich liczbę

potrzebuje i dla tego na wiele rzeczy przez szp
patrzy), względem chorych opryskliwe a niepra
sławnych jako upośledzonych traktujące , wo
lekarzy krnąbrne i w wielu wypadkach ich pra
myślność polityczną kontrolujące — wywołują
powszechne wśród zarządów szpitalnych narzekan
Skargi te nie dochodzą naturalnie uszów p. jener
gubernatorowej, gdyż w danych wypadkach r
strzygnie ona zawsze przeciw lekarzowi, a nad
go za „zuchwalstwo“ skarci, o niechęć polityczn
do Elżbietanek posądzi i miejsca pozbawi. Wię
jako bezskuteczne a co gorsza niebezpieczne pozo
stają tajonemi. Nie mniej jednak złe istnieje i o pom
stę do Boga woła. Bo przecież to rzecz straszna
nieludzka, nie chrześcijańska, aby dla celów poli-
tycznych, dla zachcianek jednej wielkorządczyni
codzień setki nieszczęśliwych padały ofiarą ekspery-
mentów rusyfikatorskich. A nadto pod względem
państwowym, jakie to nierozsądne i niebezpieczne
a wprost interesom rosyjskim w tym kraju prze-
ciwne. Te setki chorych szpitalnych, to przecież
najubożsi, owe warstwy ludowe, na które rząd tak
liczy i na których ma się jakoby opierać. Kto je
zraża, kto ich chorobę i nieszczęście wyzyskuje, kto
je w takiem położeniu drażni, temu chyba z umysłu
chodzi o gotowanie antirządowego w tych warstwach
usposobienia. Wszakże to rzecz niezmiernie prosta,
że taki biedny wyrobnik lub wieśniak, częsty szpi-
tali gość, mimowolnie musi porównać obchodzenie
się tych „nowych sióstr“ z dawnemi i swoim chłop-

skim rozumem właściwe wyciągnąć wnioski. To też jeśli co mnie w tem wszystkiem dziwi, to nie działalność szpitalna Maryi Andrejewny, ale fakt, iż na nią w Petersburgu pozwalają. Tłumaczę to sobie tylko tem, że albo doniosłości owej sprawy wprowadzania Elżbietanek wcale tam nie znają, lub wprost nie rozumieją. Inaczej bowiem graniczyłoby to z umyślną chęcią samobójstwa.

Największa presya rusyfikacyjna co do szpitali daje się odczuwać na Podlasiu, tam gdzie ludność jest jeszcze unicką. W tych stronach obsadza je Marya Andrejewna z wyraźnem poleceniem, aby umierającym Unitom sprowadzały popów prawosławnych i aby zmuszały „opornych" do przyjmowania ostatnich Sakramentów z rąk brodatego księdza.. Miła misya dla tych, co mają „łzy koić" i „strapionym pociechę przynosić". Już tego jednego faktu dosyć, by Ci dać pojęcie, czem są i właściwie mają być owe wesołe córy Czerwonego Krzyża.

Nie na tem jednak koniec. W pomysłowej, kiedy idzie o destrukcyę głowie Maryi Andrejewny urósł inny jeszcze projekt, wprowadzony także od paru lat w życie. Elżbietanki nie poprzestają na misyi po szpitalach i ochronkach, powierzono im nadto drugie, jakby wewnętrzne posłannictwo. Ściągają one do swego Zgromadzenia i takie kobiety, które ochrzczono w wierze katolickiej. Werbunek przychodzi łatwo. Jeśli ktoś ma do wyboru z jednej strony szpital, upodlenie, nędzę ostateczną, a z dru-

giej życie wygodne, względnie dostatnie
obyczajową bardzo szeroką, temu zdec
nie trudno. Znajdują się też kandydatki,
nie mówić jakie, i Marya Andrejewna
pocieszyć myślą, iż tyle a tyle katoliczek
albo niebawem przejdzie na prawosławie.
jej o jakość, ale o ilość, ta w sprawozdani
gląda pokaźnie i już przez to samo celo
wiada.

Co w tem wszystkiem najzabawniejszego,
sób, w jaki nasza wielkorządczyni stara się
maczyć, iż jej działalność filantropijna *jest is*
dla kraju dobroczynną i że *raczej* na wdzięc
aniżeli na skargi zasługuje. Kiedy przed dw
laty ukazały się listy niniejsze, wówczas Ma
Andrejewna skarżąc się na nie przed *pewnym k*
sulem zagranicznym (dziś już nieżyjącym), na
wód, iż wyrażony w nich sąd jest *stronniczy*
okazała całą plikę sprawozdań Czerwonego Krzyż
a w nich wykazy, że i katolicy korzystają z obsług
Elżbietanek i że oni także są przypuszczani do do
brodziejstw tej instytucyi. Rzeczywiście obrona cudowna! Brakowałoby tylko, żeby nieprawosławnych wyrzucano ze szpitali i żeby ci, *co nie zechcą* zmienić wiary, umierali na bruku. Poczekajmy, kto wie, czy jeśli rządy Maryi Andrejewny potrwają, nie przyjdzie i na to kolej. Wszystko jest możliwem na tym warszawskim Zamku dzisiejszym.

Bardziej widoczną, wciskającą się w życie codzienne i równie jak tamta całe Królestwo Polskie

obejmującą jest ta druga str
tropijnej Maryi Andrejewny,
kszania funduszów Czerwone
względem przeszła ona w ci
nie tylko to wszystko, cośm;
wkroczyła nawet w dziedzin
nigdzie ani tu, ani w całem
wynalazków. Bo proszę tylko

Nie dość jej przedstawie
koncertów i składek, ściągan;
rzy jakiekolwiek z Zamkiem
dość haraczów opłacanych r
snyj Krest" przez wszystkicl
jając nawet najniższych, hara
siące rubli rocznie — w zir
pragnęła urządzić coś „extra
kąś „monstre-karotę". I wy
niepraktykowaną w żadnym
rząd na świecie. Pięknego pon
obwieścił światu, iż w salach
odbędzie się zabawa na dochó
że wśród tej zabawy damy s
miotach chłodniki, cukry, cia
grywać będą dwie orkiestry i
takich bali nie bywało, zapo
jęto obojętnie, sądząc, że obc
rzystwo czysto rosyjskie i „r
cież z naszych nikt nigdy n
uczęszcza. Tymczasem naglé
wybitniejsze, ale bardziej zna

kich kół i sfer miasta otrzymują od pani p… wej Czerwonego Krzyża bilety na bal i to … giej ilości.*) Odesłać — strach, o pójściu nie … wy, ale zapłacić trzeba. Więc prawie wszysc… cili a niebrakło trwożliwych co do ceny zwy… grube dołączali naddatki. Każdy sądził, iż c… w sekrecie, tymczasem Marya Andrejewna … imienny wykaz ofiarodawców i za pośredn… prezesa cenzury poleciła go wydrukować we… stkich dziennikach. Możesz sobie wyobrazić … tych biednych ofiar „marchewki" zamkowej … zadowolenie.

Nie dość jednak na tem. To co zaszło póź… jest jeszcze bardziej niesłychane. Z polecenia Ma… Andrejewny biuro jenerał-gubernatora rozesłało … wszystkich gubernatorów, naczelników powiatów i na… czelników wszelkich władz miejskich i prowincyo… nalnych kilka tysięcy biletów na ową zabawę z prośbą, a raczej z poleceniem, rozprzedania ich „wśród koła znajomych" i z odpowiednią odezwą urzędową komitetu Czerwonego Krzyża. Cóż z tego wynikło? Rzecz prosta, że taki p. naczelnik nie miał bynajmniej ochoty płacenia z własnej kieszeni kilkuset

*) Ażeby dobrze zrozumieć ową manipulacyę, trzeba wiedzieć, że w Warszawie jest zwyczaj rozsyłania biletów na bale i przedstawienia dobroczynne do domów prywatnych z kartą wizytową lub listem zapraszającym i że zwyczaj ten powszechne wszedł użycie, tak, że każdy z obdarzonych bierze co najmniej jeden bilet a resztę odsyła komitetowi.

rubli za bilety wielkorządczyni. Rozłożył
podatek na swoich podwładnych, ci zaś na
i t. d., słowem haracz przeszedł wszystkie
hierarchii administracyjnej i ostatecznie sk
na kontrybuentach. Wpakowywano te bil
watelom ziemskim, sędziom gminnym, wójt
wet — proboszczom wiejskim. W jednym
tów gubernii siedleckiej p. naczelnik roze
prostu kilkanaście biletów między duchow
katolickie i przez tegoż rozsylnego wyegze
od każdego księdza po 2 ruble z duszy. N
pomogły tłómaczenia, wyszedł „ukaz“ z
rzecz skończona. I księża naturalnie płacili
Czerwonego Krzyża.

Opowiadano z tego powodu bardzo za
anegdotę o pewnym proboszczu na Podlasiu,
szku, który potrzebując wyjechać na kuracj
Warszawy, nie mógł żadną miarą wyprosić o
czelnika powiatu paszportu. Kiedy otrzymał b
let na bal Czerwonego Krzyża i kiedy przek
się, że nie ma innej rady tylko zapłacić, staro
nie wiele myśląc siada na kolej i przyjeżdża
Warszawy. W hotelu zaczepiają go naturalnie o
paszport.

— Nie mam paszportu, odpowiada probosz
— Jakto? to przecież ksiądz wiesz, że nie
żemy cię przyjąć.
— Kiedy ja jestem proszony na bal przez
nią Hurko, a to bilet i list jej. Przyjechałem na

bal, bo skoro proszą to widocznie wolno
balu wracam....

Sprawa oparła się o urząd policyjny
cznie księdza nie pociągnięto do odpowie
za brak paszportu, bo wywód jego logiczn
się zbić żadną miarą.

Takiemi to drogami Marya Andrejewna
do tego, iż dochód z owej zabawy ratuszow
niósł nie mniej ni więcej tylko sto tysięc
tych polskich (15 t. rubli). Bo któż się na tę
nie musiał składać? Nie było instytucyi, nie
prawie jednostki, którąby ufna w swą potęgę
korządczyni tego dnia nie wyzyskała. Samow
i arogancyę posuwano do ostatecznych granic. W
np. o wypadku, iż do jednego z domów prywatny
zgłoszono się o pożyczenie kosztownej lampy japo
skiej do namiotu pani jenerał-gubernatorowej. Na
miot ten stał się także historycznym. Urządził go
naturalnie nie Zamek, ale teatr, któremu nie zwró-
cono nietylko kosztów, lecz nie dano nawet ani ko-
piejki biednym maszynistom teatralnym, którzy przez
cztery dni pracowali przy ustawieniu owego na-
miotu w sali ratuszowej. Trzeba było widzieć miny
tych biedaków, jak narzekali na tę dodatkową
robotę i jak nie mogli zrozumieć zaszczytu tej bez-
płatnej dla potężnej wielkorządczyni pracy. Bło-
gosławili ją też zawzięcie! Takich błogosławieństw
było wogóle z okazyi owego balu dużo. Marya An-
drejewna bowiem, o ile jest szczodrą i wymagającą,
kiedy idzie o kieszeń drugich, względem własnej

okazuje się więcej niż skromną, prawi
siące pod tym względem cytowano m
Przytoczę tylko jeden, może zanadto d
ale bardzo charakterystyczny. Do nami
rał-gubernatorowej obstalowano na ów
chłodników i cukrów. Jak zwykle koszta
krów ponosi nie ogólna kasa balowa, ale
namiotu, sprzedająca owe chłodniki na
czynny. Kiedy nazajutrz przedstawiono p
rachunek owej cukierni, Marya Andrejew
wiła zapłaty, tłómacząc, iż na taki cel,
wony Krzyż, wszystko powinno iść z miast
chociaż rachunek nie obciążał kasy balow
prywatną kiesę p. jenerał-gubernatorowej.
ciel cukierni zaoponował, przyszło do kontr
a nawet groźb i w konkluzyi, Marya Andr
orzekła, iż trzeba koniecznie założyć ruską c
nię w Warszawie, aby damy prawosławne n
trzebowały się posługiwać polskiemi słodyc
Cukiernię taką istotnie założono, tylko że spr
dzony z Rosyi nowy „mistrz oprawosławienia
laków za pomocą czekoladek“ uznał za stosc
grubo się ubezpieczyć, a następnie podpalić. — W
jego była tak jawną, iż pomimo całej prote
Zamku, nie uszedł kozy i właśnie teraz prow
się przeciw niemu śledztwo.

Wszystko, co tu mówię, to jeszcze nie c
obrazu, lecz tylko rys jeden owej filantropijn
litycznej działalności naszej wielkorządczyni. S
ryczne wyliczanie poszczególnych wypadków

łoby za dużo miejsca i mogłoby w końcu uzupełn... Wolę więc wracać do przerwanej tem za... dawnej charakterystyki Maryi Andrejewny, ... gając sobie na ciąg dalszy resztę nowozdob... uwag i spostrzeżeń.

Wszystko to wypływa nie tylko z sztuc... fanatyzmu i chęci zrusyfikowania we wszelkic... runkach kraju, ale i z przekonania, że nie kto... nie jej mąż nawet, ale ona sama Marya An... wna I. jest tego kraju panią i władczynią... jenerał-gubernatorstwo warszawskie to więcej... dawne Namiestnictwo Królestwa Polskiego, wi... niż wszystkie inne posady tego rodzaju w Ces... stwie, że to coś, co dla niej specyalnie utworzo... i jej na osobistą pastwę i łup wydano. W te... mniemaniu szukać też należy wytłumaczenia owe... pozy na wice-królową, owych tonów monarszych, których tutaj codziennymi jesteśmy świadkami. I rzecz dziwna, uchodzi to jej jakoś w Petersburgu, choć dawniej za Aleksandra II. nie uszłoby z pewnością tak łatwo. Maleńką próbkę da Ci następujący fakcik, arcydrobnostkowy to prawda, lecz w naszych stosunkach wielce charakterystyczny.

We wszystkich teatrach naszych dwór ma swoją lożę, do której nie wolno było dotychczas nikomu, prócz członkom rodziny cesarskiej, wchodzić. Jenerał-gubernatorowie zaś i ich zastępcy mają aż dwie specyalnie dla siebie *avant-scènes*. Przed paru laty, jeszcze za Albedyńskiego, na jakiemś przedstawieniu dobroczynnem wszedł przez pomyłkę do owej loży

hr. X. (mówiąc nawiasem, szambelan i :
rządowa) i sądząc, że nietykalność jej 1
jątkowy raz zawieszoną została, zasiadł
niej w świecie. Zrobiono z tego nadzwycza
turę. Jen. Orżewski przybiegł natychmiast
pana, robiąc mu najostrzejsze wymówki,
sprofanować majestat cesarski, że biedn
nie ma nawet tyle względów w Warsz
poszanowano miejsce dlań przeznaczone....
Teatrów dostała surowe napomnienie, org
wie przedstawienia zapowiedź, że nigdy
otrzymają teatru, woźny natychmiastową
słowem, przewrócono z tego powodu cały
góry nogami. Dziś w tej loży nietylko, że
siaduje p. jenerał-gubernatorowa z całą sw
lijką (chociaż nie śmiała tego uczynić ani
Paszkiewiczowa, ani pani Berg, pomimo że
miestnikowemi), ale co więcej, od czasu (
ustępuje jej wychowanicom Maryjskiego I
Panien.... I jakoś ta profanacya majestat
skiego, na którą się tak nadzwyczajnie obu
nerał Orżewski, uchodzi i nikt nie zwraca
uwagi. Cóż chcesz! Czasy się zmieniły.

Niechby tak Mikołaj powiedział, jak A
der III. w Łazienkach podczas przyjęcia do
dotkniętych powodzią, do swego namiestnika:
tłómacz słowa moje na język polski", a
uczynił tego, jak to właśnie zrobił jen. Hu
z pewnością nie byłby więcej Namiestniki
nazajutrz oparłby się gdzieś o Tambow l

Jenerałowi Hurce to uszło i konsekwency[...] sarskich, które przecież znaczyły, że nacze[...] powinien znać jego język, nie było wcale [...]

Jakby dla zaokrąglenia swej misyonars[...] łalności, pani Hurko zajmuje się także pu[...] i *Dniewnik Warszawski* jest obecnie nie [...] ganem samego jenerał-gubernatora, ile je[...] żonki. Nie wiem i nie ręczę, czy pisuje sa[...] mówią tu wszyscy i zresztą znać to bardzo [...] źnie, że ów organ czerpie swe instrukcye spe[...] od Maryi Andrejewny i że ton jego główn[...] niej właśnie wychodzi. Do niedawna świste[...] pieru, wydawany tylko dla umieszczania urzędo[...] tłómaczeń ukazów cesarskich i nominacyj, *Dni[...] Warszawski* za ks. Golicyna próbował prow[...] jakąś politykę ugodową. Nie poszło mu to fortu[...] osławiony frazes o „złotym moście“ nie znalazł [...] dźwięku ani w Petersburgu, a tem bardziej tu[...] Nikt tych elukubracyj nie czytał, nikt się ni[...] nie zajmował. *Dniewnik* nie miał żadnego znacze[...] i nie był właściwie niczyim organem, a redakt[...] stwo ks. Golicyna skończyło się deficytem kilku t[...] sięcy rs., o które wierzyciele później się proces[...] wali, nie wskórawszy nic ani u rządu, ani tem bar[...] dziej u owego zaszarganego publicysty, który po[...] przednio sprawował zaszczytny urząd naczelnika tajnych szpiegów. Po przyjeździe jenerała Hurki redakcyę *Dniewnika* objął Szczebalski, poprzednio dyrektor jednego z gimnazyów tutejszych i nadał mu odrazu czysto Katkowowski ton. Z chwilą tej reor-

ganizacyi „*Dniewnik*“ zamienił się w najostrzejszy organ polakożerczy i zaczął prowadzić politykę, nawet zagraniczną na własną rękę. Pamiętasz zapewne ton, jakim w swoim czasie przemawiał o Austry i Niemczech, pamiętasz sposób traktowania sąsiadów przez organ urzędowy, który ostatecznie doprowadził do tego, iż mu w monarchii habsburskiej cofnięto debit. Owe komunikaty Zamkowe były nawet przedmiotem interpelacyj dyplomatycznych. Sprawa opierała się aż o p. Giersa a ten zakonkludował, iż *Dniewnik* nie przedstawia bynajmniej opinii rządu, lecz jest tylko przez rząd subwencyonowanym. Po śmierci Szczebalskiego redakcya *Dniewnika* przeszła w ręce p. Kułakowskiego; zmieniły się osoby, *spiritus movens* został ten sam,. *Dniewnik* jest dziś nawet daleko zacieklejszym, bardziej wynalazczym w złem niż rosyjskie dzienniki cesarstwa, które już doprawdy srodze nas nienawidzą i dokuczają. Śledzi za każdym objawem życia w kraju lub w dziennikach, bierze wciąż i nasuwa inicyatywy we wszystkich środkach mających zgnębić nietylko życie narodowe i moralne kraju, ale nawet interesa jego ekonomiczne. Tak np. mimo, że same dzienniki cesarstwa oddały słuszność przemysłowcom Łódzkim i ich memoryałowi w obronie przed majątkowemi prawami, jakie fabrykanci moskiewscy chcieli do nich zastosować, *Dniewnik* wystąpił z szeregiem bezzasadnych zupełnie argumentacyj, byleby tylko przemysł tutejszy zniszczyć. Tak samo projekt zamiany przymusowej dóbr majorackich lewego brzegu

Wisły, na majątki polskie prywatne na
brzegu położone i t. d. Specyalną jego c
stykę zostawiam do dalszych *listów, kied*
będę o wydawanych w Warszawie dzienni
pragnę tylko zaznaczyć udział, *jaki i w tej*
bierze Marya Andrejewna, i wpływ, jaki *prze*
Monitora wywiera. *Dniewnik bardzo* pilnie z
się Unitami galicyjskimi, umieszcza *wielce*
kterystyczne korespondencye z *Galicyi* i Buk
apoteozuje Naumowicza i urządza dla *niego*
W nim się to pojawił ów projekt nowego pod
Królestwa, stworzenia rosyjskiego „*Zabużia*" *i*
miany majoratów po tej stronie Bugu na maj
polskie po tamtej ... On sygnalizował *pierwszy*
formę Banku Polskiego, on gardłuje obecnie za n
odzowną potrzebą stworzenia w *Warszawie* ·*rosy*
skiego teatru: słowem, wszystko, co później zaczęł
wchodzić w wykonanie, omawiano *poprzednio w tem*
piśmie jako projekta i konieczne reformy.... Masz
więc dowód, że czucie między ulicą *Miodową a Zamkiem* jest bardzo ścisłe i że prąd jego idzie *właśnie* wyłącznie niemal za pośrednictwem *Maryi* Andrejewny, szczęśliwej, że chociaż ten jeden *dziennik* wychwala pod niebiosa jej towarzyską uprzejmość, talent przyjmowania gości i maniery pierwszej *księżniczki* wersalskiego dworu. Z *Dniewnika* możesz też zawsze powziąć wyobrażenie, co znów *nowego* świta w głowie naszej wielkorządczyni, a jeśli go czytać będziesz uważnie, to odnajdziesz *także ślady* niektórych ciekawych, nie powiem, intryżek — ale

dysonansów między Maryą Andrejewną, a pewnemi sferami czysto rosyjskiemi.

Nie rób sobie bowiem illuzyi, aby i w kołach rosyjskich ekstraurzędowych i ultra-prawosławnych, pani Hurko tak wielkiej zażywała popularności. O nie, wcale! Wiedz bowiem, że i prawosławie nie idzie zawsze w parze ze złem wychowaniem i że ci, co biją pokłony w Soborze na Długiej ulicy, nie lubią również, aby zbytecznie zadzierano przed nimi nosa na placu Zygmunta. — Nie mówię już nawet o książętach i hrabiach, o arystokracyi rosyjskiej, której zresztą jest tu teraz bardzo niewiele, ale o tajnych radcach i pułkownikach, którzy przez same stosunki z Polakami otarli się już trochę w świecie i mają jakie takie maniery. Tych także wszystko to razi, mniej niż nas naturalnie, ale zawsze trochę. I pocichu wyśmiewają się oni srodze ze swej *naczalnicy*. Podczas obchodu np. śś. Cyryla i Metodego pani Hurko urządziła w Zamku oryginalną uroczystość. Naspraszała mnóstwo Rosyan i wyprawiła im — zgadnij co? — wielki obiad, bal, kolacyę i raut? nie — odczyt o działalności apostołów, odczyt miany nb. przez pułkownika jeneralnego sztabu, inżyniera z fachu. Czytało biedne pułkowniczysko swoje wypracowanie przez dwie przeszło godziny, audytoryum wypościło się i wynudziło straszliwie i nie dostało nawet ani szklanki herbaty. Dla Rosyan, u których niema przyjęcia bez „szampańskawo“, choćby nawet dońskiego, a tembardziej bez wódki i zakąsek, podobna misyonar-

sko-platoniczna „freuda“ była istną ironią grawaniem się. Wyrzekali też oni straszliwi kiś biedny oficerzyna skarżył się przed mo jomym:

— Widzisz pan — oszalała, czy co.... K cerom, jakby popom jakim, gadać dwugodzi zanie o świętych Pańskich. Mamy już teg w cerkwi, a Zamek na to, żeby w nim tro hulać i choć garstkę cukierków przynieść d do domu....

Istnieje zwyczaj, jeszcze za ks. Paszkiewic prowadzony, że w nocy Wielkiej Soboty ws Rosyanie i cały świat urzędowy zbiera się p zurekcyi u arcybiskupa prawosławnego przy S rze na ulicy Długiej. „Jeho Wysoko Preoświadcz stwo“ pobiera nawet specyalną sumę na koszta te przyjęcia, które jest ogólnem i otwierającem ow nocy podwoje „Archipastyra“ wszystkim wyznawcon prawosławnej Cerkwi.... Otóż pani Hurko zapra gnęła podobne przyjęcie urządzić u siebie i wszyscy czynownicy, praporszczyki i oficerowie sypnęli hurmem na Zamek. Nie podobało się to bardzo na Długiej ulicy i najprzewielebniejszy Leoncyusz miał podobno uskarżać się aż w Petersburgu, że pani jenerał-gubernatorowa robi mu konkurencyę i wchodzi w jego prawa do przyjęcia pierwszych pocałunków z „Christos Woskres“.... Powtórzyła się nieśmiertelna scena z *Pięknej Heleny;* stary Kalchas zaczął spoglądać podejrzliwem okiem na nowego przybysza z Cytery i zawyrokował, że to

dziwne trochę maniery — jak na W. Augura. Odtąd, a podobno jeszcze i wcześniej, powstał pewien dysonans między archirejskim pałacem a Zamkiem i właśnie śladów tego dysonansu dopatrzeć się można w łamach *Warszawskiego Dniewnika*. Na Leoncyuszu ciąży głównie zarzut, że niedość wspiera i wynagradza byłych popów unickich, przybyłych z Galicyi do Chełmu. Rzeczywiście ma on z tą hałastrą wiele kłopotów, bo po większej części same to wyrzutki społeczeństwa, prości kryminaliści, którzy radziby odrazu wszystko zagarnąć i jak największe ciągnąć zyski. Kiedy pewien obywatel uskarżał się raz przed nim na takiego galicyjskiego parocha, który w jego wiosce kryminalnych poprostu dopuszczał się zbrodni, Leoncyusz machnął ręką i nie mógł się powstrzymać od krzyku:

— Już to ja mam z tymi łotrami robotę....

Otóż zdaje się, że pod tym względem zachodzi główna dyferencya między Zamkiem a Soborem. Marya Andrejewna radaby wrota niebieskie otworzyć galicyjskim męczennikom i drogę przed nimi usłać różami; najprzewielebniejszy zaś Leoncyusz nie widzi powodu krzywdzić dla nich innych, przybyłych z głębi Rosyi duchownych, którzy przecież także chcieliby najprędzej dojść do grosza i nie myślą wszystkiego „męczennikom“ ustępować.... W ostrej rywalizacyi między popami z Rosyi a popami z Galicyi bierze on zawsze stronę pierwszych i ostatecznie ze swego stanowiska ma najzupełniejszą racyę. Niezadowolenie z takiej taktyki wzrosło

do tego stopnia, że, rzecz w Rosyi ni
w jakiemś piśmie moskiewskiem, bodaj
w samym dzienniku p. Katkowa, ukazała
spondencya z Warszawy, narzekająca, że I
zanadto często opuszcza swoją rezydencyę,
zbawia owieczki osobistego zarządu, że już
lat nie był w Chełmie itd. W ślad zaś za
respondencyą — Dniewnik Warszawski zacz
skliwie notować wszystkie wyjazdy i przyjazdy
Arcybiskupa, jakby dla zaznaczenia, że rzeczy
zarzut jest usprawiedliwiony i że kilkodniowe
byty w Warszawie najwyższego zwierzchnika
wosławnej cerkwi w Królestwie źle świadczą o
pasterskiej gorliwości.... Jak się to wszystko sk
czy — nie wiem, wątpię jednak, aby Marya A
drejewna i tu zwyciężyła, gdyż najprzewielebniejs
Leoncyusz ma w Petersburgu plecy i Najświęts
Synod niezawodnie nie zechce go poświęcić kobie
cemu kaprysowi.

Najbliższe otoczenie pani jenerał-gubernatorowej
składa jej rodzina. Znam te panie niezmiernie mało,
a przypatrzyłam się im głównie nietyle na Zamku,
jak w tej cesarskiej loży, w której się tak dumnie
rozsiadają. Maryi Andrejewnie towarzyszą tam zwykle dwie kobiety: jedna bardzo otyła, zawsze szkaradnie ubrana, nie mająca ani szczypty elegancyi i wdzięku, brzydka, mówiąca ciągle po rosyjsku (bo po francusku podobno nie umie) — to panna Sołucew, czy jakoś tam inaczej — *un nom très obscur* — siostrzenica, czy synowica samej pani. Druga, trochę

przystojniejsza, ale także do cesarskiej loży arcyniepasująca, to pani Ozierow, także kuzynka, świeżo właśnie wydana za młodego adjutanta czy sekretarza jeneral-gubernatora, sprowadzonego tu z Odessy. Mąż jej, młody chłopak, z zaspanemi oczami, wsławił się swą rosyjską komendą tańców na balu cesarskim w Zamku. Zachowanie się jego wówczas było tego rodzaju, że sam cesarz w kontredansie, którego tańczyła cesarzowa z księciem Altenburskim, podszedł do żony i wycofał ją z koła; p. Ozierow bowiem wbrew wszelkim przepisom etykiety, nie czekając, aż N. Pani raczy zaprzestać szóstą figurę, wydał „komandirówkę“ ogólnego *krużka* (rond) ku wielkiemu zgorszeniu nietylko już W. ochmistrzyni dworu, ale nawet samego cesarza*) Drugim wielkim, mówią niektórzy, że największym faworytem Maryi Andrejewny jest pan Jankuljo, do niedawna urzędnik do szczególnych poruczeń przy jeneral-gubernatorze, młodzieniec o zyzowatem oku, długich faworytach i typowo petersburskiej fizyonomii. Ten także—to import odeski. Rumun z pochodzenia, dzięki faworom raczej pani niż pana Hurki, dochrapał się rangi rzeczywistego radcy stanu, a świeżo właśnie

---

*) To też Marya Andrejewna nie cieszy się bynajmniej od owych czasów osobistemi względami u dworu gatczyńskiego. Podczas ostatniej bytności pary cesarskiej w Spale pani Hurko miała kilkakrotnie sposobność poznać to usposobienie ukoronowanych osób. Ale i to nawet nie zdołało poskromić opętania tej kobiety.

mianowany został prezesem komitetu cenz
minacya ta nastąpiła z podwójnych wzglę
dla tego, iż Marya Andrejewna chciała
w ten sposób bezpośredni wpływ na los
warszawskiej, a powtóre pan Jankuljo zadł
mocno i finanse jego potrzebowały konieczn
prawy. Więc usunięto p. Ryżewa, który p
akomodował się wszystkiemi sposobami —
tylko otworzyć dostatnią dla faworyta pensyę
rs. rocznie i mieszkanie). Panu Jankulii wsz
jedno, czym będzie, interesa nic go nie obch
nie tylko ich nie zna, ale nawet poznać się
stara, lubi żyć i użyć i na tem polega cała j
filozofia. Stanął na czele cenzury, bo mu tak kaza
wszelka inicyatywa i zarząd przeszedł do Zam
a on nawet się nie troszczy o to, czy nowa pens
wystarczy lub nie na spłacenie długów. On ty
długów płacić nie myśli, więc czy ich nie zapła
jako urzędnik kancelaryi gubernatorskiej, czy jak
prezes cenzury — wszystko to mu jedno. Położenie
niczem się nie zmieni, a na tej kombinacyi wyjdzie
tylko najgorzej prasa, z chwilą bowiem nominacyi p. Jankulii przestał istnieć komitet cenzury na ulicy Miodowej, a wstąpiła i na ten tron Marya Andrejewna I.

Do kamarylli zamkowej zaliczyć jeszcze należy kilku podrzędniejszych jenerałów i *diejatjeli*, kilka jeneralszy i dużo małych rybek, które pokłonami, uniżonością i nadskakiwaniem pragną wcisnąć się w łaski wszechpotężnej wielkorządczyni.

Z tych kilku rysów masz próbkę, czem się otacza dzisiejszy Zamek i jaki główny prąd jego. Pani Hurko mogłaby być wcale inteligentną, oczytaną i ożywionej rozmowy osobą — zdolności i sprytu nie zaprzeczam jej wcale — ale szkodzi temu wszystkiemu istotne opętanie przez ambicyę, pychę i potrzebę propagandy, przez złość niepohamowaną do wszystkiego co polskie, przez namiętność otaczania siebie i męża moskiewskim i prawosławnym zelotyzmem. Wynalazczy jej umysł knuje wciąż i snuje coraz to nowe projekta dokuczania i tak już nieszczęśliwemu i bliznami okrytemu narodowi. Wyrazu opętania użyłam tu z umysłu, bo inaczej rzeczywiście trudno określić tę furyę, z jaką pani jenerał-gubernatorowa jęła dokuczać i drażnić wciąż to biedne społeczeństwo. Zadanie to spełnia z Kulissenreisserei bohaterki małomiasteczkowego teatru, bez żadnej finezyi, pospolicie, brutalnie, na nic nie zważając i z niczem się nie rachując. Od niej to wychodziła i wychodzi inicyatywa wszystkich najbardziej jątrzących rozporządzeń Zamku i myliłby się ten, co źródła najnowszej fazy obrüsienia chciałby wyłącznie szukać w Petersburgu. Prąd i usposobienie tamtejsze umożliwiają tylko istnienie lokalnego systemu. Z nad Newy otrzymujemy tylko ogólne kontury, tu nad Wisłą następuje wypracowanie szczegółów. To wypracowanie jest przeważnem Maryi Andrejewny zajęciem. Posuwa się ona w tym kierunku do granic, których przekraczanie gdzieindziej pociągnęłoby za sobą srogą

odpowiedzialność. Nigdy bowiem bardziej jednostki nie zajmowała jawniej i widoczni wszelkiego prawa, słuszności i sprawiedliwo wu zacytuję ci fakta, byś mnie o gołosło posądziła.

Od samego początku panowania Maryi jewny stała się ona punktem zbornym w denuncyacyj i oskarżeń, wprowadzając mode średnich do Zamku donosów w przedmioc „nieposzanowania języka rosyjskiego“ i „obe narodowości rosyjskiej“. Jak jedno i drugie jest elastycznem i ile do nadużyć daje okazy żesz sobie sama wyobrazić. Objaśni Ci to na następujący przykład.

Do sklepu kwiatowego Bardeta przychodzi oficer i żąda pewnej planty, wymieniając jej n po rosyjsku. Kupczyk oświadcza, iż nie roz o co chodzi i prosi o nomenklaturę polską, fra zką albo wreszcie łacińską. Oficer zaczyna się bijać, wrzeszczeć, narzeka, iż nie pojmuje, jak Bardet może być tyle zuchwałym, żeby nie t mać w swym sklepie subjektów, umiejących rosyjsku, słowem robi z całej tej sprawy kwestyę lityczną. Usłyszawszy hałas zjawia się i sam w ściciel magazynu. Następuje eksplikacya. Oficer zży się coraz bardziej, p. Bardet oświadcza w koń iż ani on, ani jego subjekci nie są wcale obowi zani do znajomości języka rosyjskiego. Zapalczyw interlokutor grozi skargą do Zamku i zamknięcie sklepu. Jakoż nazajutrz zjawia się komisarz pol

cyjny i oznajmia p. Bardetowi,
stanie dopóty zamkniętym, dop
jekta, mówiącego po rosyjsku, co
stępuje do urzędowego zamknięcia
ście p. Bardet jest obcym podda
do konsula francuzkiego a ten, nie
cząć odnosi się w drodze telegrafi
sady w Petersburgu. Na drugi d
ztamtąd wyjaśnienie, iż według pr
mają wcale obowiązku trzymania su
skich, a równocześnie wiadomość, iż
polecono telegraficznie policyi sklep
nadto p. Bardet może sobie likwidow
samowolne zamknięcie interesu. Spotka
ryę Andrejewnę wielka konfuzya, gdyż
ście powstało z jej osobistej inicyatywy
jednak, aby ta jednorazowa przegrana
szyki. Opętanych nic nie powstrzyma i na
jedno tylko lekarstwo: odosobnienie.

Drugi analogiczny wypadek zaszedł pr
nocześnie z pewnym składem łóżek i poś
ulicy Czystej. Do sklepu tego zjawił się
Hurko i wybrawszy całe urządzenie sypi
koju, polecił przysłać je na kredyt
Właścicielka sklepu oświadczyła, iż k
zwykła udzielać nikomu, a tembardziej n
Na to pan Hurko zauważył, iż racz
najmiłościwiej nam panującego jenera
I to nie zrobiło wrażenia, o ostrożn
wiedząc, jakto wyglądają p... iej ow

tarzy rosyjskich, oświadczyła stanowczo, i
między towaru ze sklepu nie wypuści. Pr
gniewów, oburzeń, nawet obelg — i c
rzysz? — Kupcową aresztowano na mocy
zamkowego i kto wie, jakiby ją los sp
to, iż śmiała niekredytować dostojnemu i
samego pana Hurki, gdyby na szczęś
z rozsądniejszych nie zwrócił uwagi, iż sp
może pociągnąć za sobą niemiłe dla Zamku
stwa. Oprzytomniała więc Marya Andrejewna
ścicielkę sklepu wkrótce wypuszczono na w

Cała historya znanego zajścia w cyrku
mońskiego wyszła także z inicyatywy tej pan
to nadawała kierunek śledztwu i ona wpłynę
owo niesłychane postanowienie p. jenerał-g
natora co do dzienników warszawskich. W tyn
padku szło jej głównie o zgnębienie prasy, o l
zanie, że i nad nią ma swą władzę i że jej s
użyć potrafi. Nie brakło insynuacyi, iż owa l
pania anti-dziennikarska, rozpoczęta przez p
Hurko i prowadzona (drugi wypadek z „Dzie
kiem dla Wszystkich“, nominacya p. Janku
z równem, jak wszystko co od niej wychodzi, o
taniem, jest zemstą za listy niniejsze twojej pr
jaciółki. Gdyby tak było istotnie, wówczas stwi
dziłoby się raz jeszcze przysłowie o ślusarzu i k
walu, ale wątpię, zbyt bowiem korzystne ma
wyobrażenie o sprycie i domyślności naszej wielk
rządczyni, abym ją mogła posądzać o podobni
nonsensowne zestawienie. Marya Andrejewna wi

doskonale, gdzie mnie szukać, i j...
jej gniewu i oburzenia na autorkę
wozdań tak były wielkiemi,
tego, że czuje wyborni są jako po...
władzy mnie osobiście, dosięgnąć
wiadomość i świadomość najbard...
a jeśli w całej tej sprawie może k...
kiejś tajemnicy, to sekret istnieje
czności, nie ma go i być nie może
Lecz wracam dalej do moich u...
sprawa Tanti-Salomonsky skończyła
dnem dla Zamku fiaskiem, gdyż ostat...
z dzienników rosyjskich, najbardz...
nie pochwalił tego „postanowienia
gubernatora a słynny Kijewlanin
otwarcie, iż tym razem „administra...
liła" — to wszystko jednak nie w...
mniej na opamiętanie pani Hurko i
pomysłom męża. W ostatnich czas...
inicyatorski Zamku wystąpił znowu
giem rozmaitych środków rusyfikator...
zatem rozporządzenie, aby pieczęcie
były rosyjskie, aby na stacyach ko...
polskie napisy a pozostawiono jedyn...
skie, aby uczyniono to samo na ws...
na ch drogi żelaznej warsz.-wiedeńs...
Bydgoskiej. Ma ona jeszcze w zana...
dzenie o wyłącznie rosyjskich szyld...
warciu spisu potraw po restauracyach
języku. Kwestye teatru rosyjskiego

poruszam obszerniej na innem miejscu (tom IIgi), więc ją tu tylko mimochodem wspominam, zaznaczając zupełne i na tem polu niepowodzenie. Słowem, krótko mówiąc, nie ma takiej dziedziny naszego życia społecznego, nie ma takiej warstwy ludności kraju, nie ma prawie instytucyi, którejby się ta kobieta i jej „opętanie“ nie dało we znaki, a to nie raz, dwa, ale setki razy, codzień, niemal co godzina*). Wszędzie się ona wciska i do wszystkiego się mięsza, wszystkiem rządzi i wszystkim się narzuca i jeśli pismo powiada, iż po stworzeniu świata „duch unosił się nad wodami“, to o Maryi Andrejewnie można powiedzieć, iż duch jej się unosi nad naszemi codziennemi sprawami i troskami, że ona to wybija na nich swe piętno i całej epoce dzisiejszej nazwę daje.

Sztuczny fanatyzm prawosławny, misyonarska agitacya, chęć pozowania na „matkę Cerkwi“ i Katkowa w spódnicy, zasada ciągłego drażnienia i drobnych szykan, brak wszelkich form towarzyskich, rusyfikacya posunięta aż do kuchni i komendy tańców, polityczka na własną rękę, marny, lecz wielce

*) Na dowód, jaką pod tym względem ma publiczność warszawska opinię o Maryi Andrejewnie, niech służy ów pomysł jakiegoś dowcipnisia, który puścił raz po mieście pogłoskę, iż z rozkazu pani Hurko wystrzelano wszystkie wróble polskie w Łazienkach, a na ich miejsce sprowadzono mietłuszki z gub. Samarskiej. Dowcip ten o „prawosławnych wróblach“ miał w swoim czasie wielkie powodzenie i obiegał całe miasto.

dokuczliwy systemik lokalny, a przedewszystkiem górująca na pierwszym planie jakaś zawziętość i nienawiść do wszystkiego, co polskie — oto główne rysy Maryi Andrejewny. Co do nas, patrzymy na to wszystko więcej z politowaniem, niż złością, trzymając się jedynie możliwej w takich stosunkach zasady: *guarda e passa* i radząc pani gubernatorowej, aby kiedyś przypomniała sobie paryskie swe czasy i wzięła do ręki starego Montaigna, gdyż w nim znajdzie bardzo mądrą i jakby dla niej samej napisaną radę: *qu'il faut mésnager la cholere et ne l'espandre à tout prix, car cela en empesche l'effect et lé poids: la criaillerie temeraire et ordinaire passe en usage et faiet que chascun la mesrrise.*

Tyle się rozpisałam o pani Hurkowej, że choćby *ad honoris causam* wypada mi jeszcze powrócić do jej męża. Bohater z pod Szypki był i jest dla mnie zagadkowym. Sprawdza on doskonale przysłowie o pozorach, które mylą. Wszystko inaczej się zapowiadało w tym człowieku, a inaczej wypadło. Jako żołnierz ostry, surowy, rygorzysta, wyglądał raczej na służbistę, powolne narzędzie cesarza, a nie na człowieka koteryi czy stronnictwa. Tymczasem jest on *par excellence un homme de parti,* czystej krwi „diejatiel“, który nie poprzestaje na roli wykonawcy rozkazów, ale sam się o nie doprasza, sam występuje z inicyatywą. Projekta i zapowiedzi dziennikarskie przez niego wchodzą w życie, Katkowowskie elaborata idą z Moskwy *via* Warszawa do

Petersburga. Przeszłość wojskowa wskazywałaby energię i samoistność, tymczasem wobec otoczenia pokazuje się on słabym — wpływom ulega, podszeptom nastawia ucha. Nie administrator z niego, lecz misyonarz; nie rządzi, lecz urządza i ma taką minę, jakby wraz ze sławą wojskową Skobelewa chciał wziąć także w spuściznie sławę cywilną ks. Czerkawskiego i jego Komitetu. Chociaż zrazu oświadczył swoim podwładnym, że nie powinni zachowywać się w tym kraju jako zwycięzcy, sam pierwszy przybiera taki ton, jakby wkroczył co tylko do nowo-zdobytej prowincyi i pierwszy w niej zatknął sztandar rosyjski. W stosunkach codziennych nie sztywny, lecz szorstki, ostry, udaje pedagoga, któremu dano do poprawy rozlampartowanych urwiszów. Przyszedł z wyrobionem z góry uprzedzeniem i pod jednym tylko względem dał się trochę przekonać, pod tym mianowicie, że w kraju naszym niema pola dla nihilistycznych agitacyj. Przyszło mu to ciężko, ale ostatecznie trzebaby mieć bardzo zatwardziałą głowę i umysł, aby po tem, co się pokazało, przy dawnem upierać się zdaniu. Co w nim najbardziej mnie zadziwia, a co jest niesłychanem, to ów ustęp ze słynnego raportu, w którym w tak przebiegły sposób podaje w wątpliwość przyjęcie, jakie niedawno spotkało N. Państwa w Królestwie. Ręczę, że na to sam osobiście się nie zdobył, lecz że owa insynuacya wyszła od jego otoczenia lub podsunięta mu została z Moskwy. Jakiej to jednak trzeba słabości i czegoś więcej

jeszcze, aby rzecz podobną przyjąć, w raporcie umieścić i podpisać. Wojskiem rządzi dobrze i ma w niem powagę, jakiej naturalnie Albedyński nie mógł zażywać. Czas swój też głównie spędza na manewrach, ćwiczeniach i paradach, poświęcając się im z zamiłowaniem i znajomością rzeczy.

Interesa spycha przeważnie na kancelaryę; pojmuje je ciężko, a wykształcenia lub praktyki administracyjnej niema żadnej. Bóg go raczy wiedzieć, czy jest w duszy konserwatystą; chyba nie, skoro tak kategoryczna po przyjściu jego zaszła w sprawach serwitutowych zmiana i skoro waśnienie jednych warstw przeciw drugim rozpoczęło się znowu w najlepsze. W każdym razie taki jak on konserwatysta dałby się na najbardziej rewolucyjną zapędzić drogę. Przy całej swej rusyfikacyjnej zawziętości używa stale w rozmowie z Polakami, zwłaszcza starszymi, francuskiego języka, wychodząc z zasady, że ci, co nowych szkół nie przeszli, nie są obowiązani do znajomości ruszczyzny. Wogóle mam najgłębsze przekonanie, że w innem otoczeniu, pod innym niż Maryi Andrejewny wpływem, nie byłby takim jak dziś, a w każdym razie nie byłby również szorstkim i nienawistnym.

Kto waleczny jak on, kto stokrotnie życie narażał, kto znosił z męztwem i wytrwałością wszystkie niewygody i prywacye, kto z poświęceniem niesłychanem ludzi, ale wśród nich zawsze na czele przeszedł Bałkany — nie może być powszednim karyerowiczem. To też jen. Hurko posiada, kiedy idzie

o stanowisko i powagę, wiele niebywałej w Rosyi niepodległości, szorstkiego nawet poczucia własnej godności wobec monarchy, członków rodziny cesarskiej i najwyższych urzędników państwa. Co do mnie, powtarzam to raz jeszcze, mniemam, iż nie jest on wcale złym z natury, ani z natury nam nienawistnym. Ale praktycznie biorąc, przedstawia się jako człowiek zacieśnionego widnokręgu, jako reprezentant fałszywej panmoskiewskiej doktryny — może nawet demokratyczny liberał tego pokroju co bardzo licho, drobno- i krótkowidzący liberalizm petersburski lub bulwarowy paryzki. Podejrzliwościami i nienawiściami do katolicyzmu i księży przez żonę i otoczenie wykarmiony, z mrzonkami słowiańskiemi w głowie — bez żadnych elementarnych, podstawowych, koniecznych znajomości zasad i warunków porządku politycznego, społecznego, administracyjnego i ekonomicznego, ztąd administrator najgorszy i poza rusyfikacyą nic nie widzący, człowiek, który nic kraju nie znał i dotąd nie zna a poznać nawet nie usiłuje — człowiek kilku formuł, kilku żołnierskich haseł służbowych, w rzemiośle swem jedynie zamiłowany, wszystko inne lekceważący — ten, co sam polskiego pochodzenia *) i wiary stał się zupełnie Rosyaninem i prawosławnym, myśleć może, że skoro sam na tem dobrze wyszedł,

*) Ojciec był jeszcze katolikiem — stara rodzina białoruska.

to naród tak samo zyszcze, jeśli w jego wstąpi ślady i utonie w panmoskiewskim makrokozmie.

Tacy niefachowi wielkorządcy i administratorowie, a żołnierze ciasnych i nowatorskich doktryn, stać się mogą plagą kraju, którym zawiadują, tem bardziej, jeśli powolni są nad wyraz podmuchom, natarczywościom, żądzom takich apostołek, takich złośliwych i niepohamowanych ambicyj, jakie trawią jego towarzyszkę życia i bardzo złe a liche najbliższe otoczenie.

Poprzednicy Hurki mogli kraju nie lubić, mogli być powolnemi narzędziami rosnących już wówczas a panujących dziś prądów Katkowsko-Pobiedonoscewskich, to jest najciaśniejszego szowinizmu moskiewskiego i najciaśniejszego bramińskiego fanatyzmu i bigoteryi prawosławnej. Zbyt jednak siebie i swoje cenili powołanie, żeby nie starali się poznać kraju, jego stanu, przeszłości, urządzeń, ekonomicznych i cywilizacyjnych odrębności. Jenerał Hurko zamyka przed sobą te źródła wiadomości i poczucie sytuacyi, bo z umysłu i z idyosynkrazyą niebywałą unika wszelkiego zetknięcia i zbliżenia z ludźmi, którzy mogliby go objaśnić i pouczyć o potrzebach kraju i nadużyciach w nim grasujących. Słowem, jen. Hurko to żołnierz i nic zgoła więcej — cywilnego nietylko zarządcy, ale człowieka, ale natury i umysłu nie ma w nim źdźbła, nie ma zgoła tego poczucia, rozumienia i instynktu.

W Petersburgu ani na dworze, ani w ministeryach wielkiego nie zażywa miru. Do tego brak

mu giętkości i ogłady. Przeciwnie uczciwość, sz stkość, imponująca obraźliwość, bezwzględna służ stość a niezależność opryskliwa, kiedy idzie o je osobę, czynią go wszędzie tam niepopularnym. Żo mu także przy wrodzonych swych przymiotach p pularności i życzliwości nie zaskarbi.

Petersburg i Cesarz trzymają go w Warszaw znoszą niejako, bo mają przesadzone pojęcie o je zdolnościach wojskowych, bo uważają go za jed nego naczelnego wodza w razie starcia z Zachode Tymczasem zdaje mi się, iż o ile słyszę zdolno to na dywizyjnego lub korpusowego tylko dowód a nigdy na *jeneralissimusa*. Dla tego na wszyst mu pozwalają — a ona ufna w to małżeństwo k rzysta z dyktatury bez kontroli.

Znowu jeden dowód więcej, co to za rozprzę nie i niewola to dzisiejsze samodzierżawie, któ zgoła nie jest samowładztwem lecz swawolą cz nowników, dziennikarza, zakrystyana i buńczuczne żołnierza.

Dawniejsi Namiestnicy Królestwa, nawet k Paszkiewicz (ten ostatni choć niskiej osobistej wa tości moralnej człowiek), choć brutal, arbitraln i w wysokim stopniu terorysta, ale mający du poczucie władzy i porządku obok sporych zdolnoś administracyjnych i jasnego umysłu, jednoczyli s z interesami kraju powoli, dbali o ład wewnętrzn a nawet o postęp jego materyalny. Ten groźn Paszkiewicz dzierżył brutalnie swą władzę, pragn posłuszeństwa, porządku, uległości, ale nie wymy

ślał środków rusyfikacyi i praw
przed niemi czasami kraj zasłan
cudzoziemca oprowadzał po wyr
drze św. Jana, odzywał się o W
niatowskim jak o *mes prédécesseu*

Dziś dla chleba i wygody mam
wykonywających rozkazy, urzędnikó
nistrowi — inicyatywa ich ogranicz
biania Moskwie i Petersburgowi pr
rusyfikacyi i prawosławienia.

Jeśli Berg i Kotzebue byli ludźmi
go teroryzmu, ale Niemcami, więc ko
szanującymi własność i władzę, ludzie
Albedyński człowiekiem pierwszych l
Aleksandra II., jeszcze przeciw nam n
nego — Hurko jest nawskróś reprezenta
szkoły, rosyjskiego szowinizmu, człowiek
może Aleksandra III., jak Katkowa. Ma o
oczach coś z mistyka, a takich ludzi ch
wają czasem nieźli, fałszywy jednak syst
zapędzić bardzo daleko, bo aż do rozjusz
ciekłości.

W tym powłóczystym, trochę zamglo
ku, w tem głębokiem a zagadkowem
w tej spokojnej napozór, jednak
twarzy, odbija się charakter na tego czło
wygląda na sfinksa, ale nie przed
może w Żyżkę i będzie palił, rąbał i s
potoki krwi rozlewać, sądzę że w te
ojczyzny znajdzie zbawienie, Niebez

wiek, „wojującej Cerkwi“ kapłan, niebezpie
tyle może subjektywnie, aniżeli jako narzędz
przez innych użyte może być i straszne, i
On nie mówi o sobie, jak Wrangel w Schiller
Wallensteinie: Ich hab' hier blos ein An
keine Meinung, lecz powtarza raczej z Gess

Ein allzu milder Herrscher bin ich noch
Gegen dies Volk — die Zungen sind noch fre
Es ist noch ganz, wie es soll, gebändigt —
Doch es soll anders werden, ich gelob'es:
Ein neu Gesetz will ich in diesen Landen
Verkündigen....

Na tem kończę, moja droga, list pierwszy.
rałam Ci w nim przedstawić fazy — jakie pod wz
dem towarzyskim i politycznym przechodził nasz
mek i odrysować figury czterech naszych popows
niowych wielkorządców. Zastrzegam z góry, że
są one całkiem wypukłe i w kolorycie wyraźn
Ani czas, ani pora ku temu, aby w malowaniu p
dobnych sylwetek wszystkich naraz używać far
Niejedno musiałam pominąć z umysłu, niejedno je
szcze do czasu zataić! Wogóle zaprzęgłaś mnie d
roboty, z samej natury swojej niezmiernie trudne
i delikatnej. Trzeba tu każde słówko ważyć, nad
każdym faktem lub nazwiskiem dziesięć razy się za-
stanowić, zanim je przyjdzie wymienić. Jak miecz
Damoklesa wisi nademną ciągła obawa zaszkodzenia
komu lub czemuś, bo rozumiesz to doskonale, że
pisząc do was o kimś dobrze, wyrządza mu się
ciężką krzywdę, pisząc zaś źle, wyrabia się nagrody

i uznania. Najprostszem tego z…
wyjściem, byłoby zapewne nie pisa…
jednak wytwarza u was taką nieśw…
stosunków i ludzi, taki chaos …
i przekonaniach, że aż rozpacz bier…
które wasze dzienniki i słuchając …
wnych wcale nawet wykształconyc…
dobna wreszcie nie syknąć kiedy środ…
pliwości i potulności jest także miar…
uczciwi Rosyanie wiedzą, jak tu n…
szlawią, bezczeszczą prawdziwy patr…
Oto mi głównie idzie i tego celu p…
głam. Listy niniejsze czytano i to ba…
rosyjskich, zajmowała się niemi nawe…
bardzo poważne i bardzo wybitne …
dobrze, przynajmniej tą drogą niech…
dochodzą nasze bole i skargi, skoro …
przed niemi zamknięte.

W następnych listach trzymać się b…
a jedynie racyonalnej taktyki: cytowa…
nazwisk i ludzi, a jak najwięcej og…
i ogólnej charakterystyki, nieodnoszą…
jedynczej jednostki, lecz do całego …
wnych sobie figur. To zastrzegłszy, p…
stępnym liście trochę uwag o Rosya…
szawie, a specyalnie o sferze urzędni…
l[illegible]ą oni bynajmniej do „warszawsk…
stwa", ale tytuł ten biorę bardzo sze…
jąc pod nim opis mieszkańców dzisiejs…
ich życia, położenia i warunków.

LIST II.

Rosyanie w Warszawie.

TREŚĆ: Romans pani Łańskoj. — „Obrusitieli.« — Omn potencya armii za Mikołaja i Aleksandra II. — Wzgl dna uczciwość. — Jenerał Starynkiewicz. — Asymil cya i eksterminacya. — Jenerał Buturlin. — Rozruch antisemickie. — Odezwa p. Oberpolicmajstra. — P Własowski i Polenow. — Policyjna poezya. — Je Tołstoj i jego żona. — Sergiusz Muchanow. — Baro Medem. — Senator Gerard. — P. Trachimowski. Sądownictwo rosyjskie niższe i wyższe. — Manife jenerała Ignatiewa. — Jego wrażenie i następstwa. Czynownictwo w Rosyi. — Jego potęga i wpływ politykę państwa. — Zaklęte koło. — Geneza prz kupstwa. — Życie nad stan. — Łapówka i łapown cy. — Pan Apuchtin. — Jego charakterystyka. Czem jest element urzędnika i nauczyciela rosyjski go w tym kraju? — Nihilistyczna zaraza. — Spraw Żukowicza. — Apuchtin i Witte. — Sprawa pan Jentes. — Instytut Maryjski. — P. Szuchow. — Kl ruski. — Awantura z p. Koczetowem — Oficerow rosyjscy. — Gwardya. — Dorożkarska popularność. Ks. Wołkoński. — Zakończenie.

Czy znasz romans p. Łańskoj p. tyt.: „Obrus tieli?“*) Rzecz to artystycznie dość słaba, ale pol tycznie i społecznie ciekawa. Wyborna to satyr a raczej niezmiernie realistyczny obraz gospodar

---

*) Przekład jego umieścił „Kuryer Poznański.“

tej czeredy urzędników, która jak szarańcza na kraj niby w misyonarskim celu rusyfikacyi, ściwie dla napełnienia własnej kieszeni, r i eksploatacyi. Pani Łańskoj (pseudonim żo kiegoś wice-gubernatora na Polesiu) osnuła sw wiadanie na tle głośnej sprawy Tokarewa, przed paru laty rozstrzygała się przed sądam minalnemi. Przedstawia ona w barwach zapoż nych nieraz od Zoli cały szereg figur, ściągni ze wszystkich krańców Rosyi, rozmaitych dym nowanych oficerów, wypędzonych pisarzy gmin zaszarganych popowiczów, którzy na wieść o fiającej się gratce walą się hurmem całym do dnego Polesia i tam *con amore* rozpoczynają d „obrusienja". Galerya niezmiernie ciekawa, a wiernie kopiowana, że niema w niej ani jedne szywej kreski, ani jednego błędu w rysunku. W stko tchnie prawdą, wszystko wre życiem; nie s to, lecz fotografie, przypominające owe albumy minalistów, które możesz oglądać w każdem b policyi. Książka ta przeszła w Rosyi bez wraż chociaż pisana była z prawdziwym, szlachet patryotyzmem, z chęcią wskazania niedoli nies śliwego ludu, wydanego na łup i pastwę, z za rem powiedzenia, że nie tędy droga i że nie w sposób dochodzi się do celu. Autorka nie pot bynajmniej samej myśli rusyfikacyi, lecz tylko środki; nie miesza w całą tę sprawę Polaków, z umysłu wybiera grunt całkiem neutralny, lud łoruski, prawosławny, oddany wiernie rządowi i

sarzowi — i na tem tle rozwija niezmiernie barwną charakterystykę owych „obrusitieli“ od najwyższych do najniższych szczebli hierarchicznych. Jest więc tam trochę pokrewny Sienkiewiczowskiemu Zołzikiewiczowi pisarz gminny Łapcewicz, jest wyborny komisarz włościański i *isprawnik*, jest wreszcie gubernator i cała galerya prowincyonalnych dygnitarzy. Wszystko to rabuje, pije, napełnia własne kieszenie, dusi chłopa i wysysa z niego krew; istne wampiry, nasłane na kraj, aby ostatnią z niego wydusić kroplę, ostatnią zedrzeć z grzbietu koszulę. W podobnym rodzaju istnieje także wyborna powieść Szczedryna „Gospoda Taszkendcy“, która w swoim czasie miała ogromne powodzenie.

Przeczytaj koniecznie obie powieści, a będziesz miała przynajmniej ogólne wyobrażenie, czem jest urzędnik rosyjski w tym kraju i jak po większej części spełnia on swą rusyfikacyjną misyę. Byłaby to jednak częściowa tylko charakterystyka naszych „obrusitieli“. Typ jeden, ogólny, powszechny nie istnieje wcale, a raczej zastosować się da tylko do najpośledniejszej kategoryi prowincyonalnych wampirów. Tu w Warszawie, w stolicy kraju, w centrum lokalnego rządu, odmiana gatunków nadzwyczaj wielka, różnorodność olbrzymia, a cechy charakterystyczne nader ciekawe. Czas, okoliczności, stosunki, wreszcie zmiany systemów i prądów, wyrobiły tu i różne kategorye, i różne odcienia. Są źli, gorsi i najgorsi, ale są też lepsi, spokojniejsi, neutralni i bierni. Świateł mało, lecz rozmaitość cieniów wiel-

ka, od pospolitego „stupajki“ do wykwintne
tera salonów przeskok zbyt duży, aby na poś
drodze nie było tysiąca przejściowych przem
Zacznę od mniej jaskrawych, bo tych op
zawsze jest przyjemniej. I tu odpowiedzieć
wszystkiem muszę na pytanie z taką natarczy
powtarzane: czy wśród Rosyan, mieszkających w
szawie, są ludzie prawdziwie zacni i uczciwi
wyrok potępienia i winy ściągać należy bez
kowo do wszystkich? Otóż pod tym względe
simy się najpierw porozumieć. Rosyan mieszka
prywatnie w Warszawie niema wielu, są tylko
armii urzędnicy zostający w czynnej służbi
tacy, którzy dosłużywszy się emerytury, zży
z miastem i w niem osiedli. Zawsze więc o
się musimy w świecie czysto-biurokratycznym,
to będzie wielki pan, magnat rosyjski, ksią
hrabia, czy wysłużony jenerał lub emerytowan
gnitarz, dorobkowicz majątku lub stanowiska,
gacony mieszczanin lub uszlachcony popowi
każdy z nich był lub jest urzędnikiem, każdy
rokratą i elementem nasłanym krajowi, a nie
słym na jego gruncie. Gdzieniegdzie spotkasz je
niedobitków z czasów t. z. polskich, z przed za
wadzenia języka rosyjskiego w urzędach i sąd
ale ci dziś już całkiem nieczynni, odgrywający r
skazanych na wymarcie Mohikanów. Są to jene
łowie, którzy otrzymali w kraju donacye i rzadki
w Rosyi wypadkiem osobiście niemi rządzą: dym
syonowani wojskowi, co pożeniwszy się z Polkam

woleli pożegnać się z awansem, aniżeli wyruszyć z Warszawy; trochę kupców, bardzo mało synów urzędników, zajmujących tu dawniej wysokie stanowisko, kilkudziesięciu popów — i oto wszystko. Ton jednak główny rosyjskiemu u nas towarzystwu nadawała i nadawać zawsze będzie armia, a wśród niej gromady jenerałów (których jest w Warszawie kilkudziesięciu), całe legiony młodych oficerów gwardyi, często bardzo bogatych, a częściej jeszcze bardziej hulających i zadłużonych. Koło nich grupują się rodziny i figury czysto urzędnicze, czynownikowstwo niższe i wyższe, a wśród niego dwie boczące się zawsze na siebie grupy: sądowników, dumnych z pewnego rodzaju niezależności coraz już dziś mniejszej i coraz bardziej okrawywanej, i urzędników administracyjnych, podległych każdemu skinieniu naczalstwa, wiernych rozkazu wykonawców, pokornych wszelkiego systemu sług i narzędzi.

Za Mikołaja jenerał był w Rosyi wszystkiem. On rządził państwem, dyrygował szkołami, kierował teatrem, prezydował cerkiewnym soborom, pisał prawa, urządzał banki, wypracowywał ekonomiczne projekta, słowem, był „basem w orkiestrze i szkół dozorcą“. Na każdym szczeblu służby państwowej, najwyższym i najniższym, spotykałeś się zawsze z mundurem. Karyera wojskowa otwierała wszędzie drogę nawet do — cerkwi i baletu. Za panowania Aleksandra II. zmieniło się to trochę; armia nie straciła swego przeważnego stanowiska, ale choć część wyłącznie dotąd przez się dzierżonego *domi-*

nium musiała kawałkami oddawać cywilnym — i dziś możesz się już chociaż rzadko spotkać z gubernatorem, który nie ma wojskowego stopnia, a wiele bardzo posad administracyjnych przeszło całkowicie niemal w ręce pozbawionych szlif i adjutanckich bulionów, pocieszających się tem przynajmniej, że ranga radcy stanu odpowiada mniej więcej brygadyerowi, a *djejstwitielnyj sztatskij sowietnik* ma bezwarunkowo prawo tytułować się jenerałem. To też i u nas w Warszawie nie wszystkie posady są w rękach wojskowych. Pomijając sądownictwo, administracya cała, przynajmniej centralna, składa się z czynowników, a na prowincyi jest jeden czy dwóch gubernatorów, nienależących wcale do armii.

Wracam jednak do twego pytánia o Rosyanach uczciwych. Czy są i jacy są, w czem się ta ich uczciwość objawia i jaka z niej dla nas korzyść? I znowu powtórzyć muszę — porozumiejmy się najpierw. Pojęcie uczciwości w tych warunkach i ramach musi być nader elastycznem. Jeśli chcesz, sam fakt przyjęcia służby u rządu, który w tym kraju eksterminacyjne ma tylko cele, który pragnie go wynarodowić, religię gnębi, sprawiedliwość zatraca, prawom wszelkim zaprzecza, który nie rządzi, lecz eksploatuje — nie może absolutnie wzięty uczciwym się nazywać. Kto do złej roboty przykłada rękę, ten niewątpliwie część winy ściąga na siebie, zwłaszcza, jeśli to czyni nie z potrzeby, lecz z amatorstwa gdyż wielka część dygnitarzy rosyjskich jest a właściwie mogłaby być osobiście bardzo zamożną,

posiada bowiem znaczne obszary ziemi, którą nie zajmuje się wcale, żyjąc kosztem skarbu. Trzeba tu jednak kwestyę postawić inaczej, trzeba pogodzić się z faktem przyjęcia służby i na tym dopiero gruncie badać, czy spełnianą jest ona z nienawiścią dla kraju i społeczeństwa, czy z pewną dla niego jeśli nie życzliwością, to przynajmniej wyrozumiałością, z szczerą chęcią łagodzenia losu rządzonych i ułatwienia im ciężkich warunków. Tak odwróciwszy twoje pytanie odpowiem, że są w Warszawie Rosyanie uczciwi, chociaż liczba ich coraz więcej maleje. Zastrzegę się jednak znowu, że jest to uczciwość subjektywna, więcej z natury samej i osobistego usposobienia płynąca, aniżeli wyrozumowana, zasadnicza, w systemie i przekonaniu ugruntowana. Najlepiej to jednak zobaczysz na przykładach. Przyjrzyjmy się więc tym wyjątkom trochę bliżej.

Na czele naszego zarządu miejskiego stoi od śmierci jenerała Witkowskiego jenerał-porucznik Sylwester Starynkiewicz. Człowiek to uczciwy i porządny. Umiał on wyrobić sobie w Warszawie pewną popularność, która jeśli chcesz nie jest bynajmniej entuzyazmem, lecz raczej uznaniem zasług rzeczywistych i lojalnego postępowania. Przewodnicząc Magistratowi, z którym większość mieszkańców Warszawy codziennie niemal ma stosunki, prezydent Starynkiewicz dba istotnie i szczerze o dobro miasta i jego interesa. Nie nagina on tych interesów do siebie, lecz swoją osobę do nich. Czystv. nieposzla-

kowany, grosza miejskiego jak Cerber strzeże i trwonić go nie pozwala. Z podwładnymi obchodzi się po ludzku, urzędników polskich specyalnie bynajmniej nie proteguje, lecz też ich dlatego, że nie są prawosławnymi, kawałka chleba nie pozbawia; sprawiedliwy, w stosunkach z publicznością uprzejmy i uprzejmości przestrzegający, posiada wyrobioną doświadczeniem znajomość spraw miejskich i pewne fachowe uzdolnienie, z zawodu jest bowiem inżynierem. Za jego prezydentury Warszawa dużo się istotnie podniosła. Bruki mamy lepsze, porządek w mieście wcale niezły, regulacyę ulic szybko postępującą, a przedewszystkiem kanalizacyę, którą rozpoczęto nareszcie nie bez wielkich ze strony jenerała Starynkiewicza zasług, trudów i kłopotów. Niemałe to bowiem było zadanie, wyrobić zatwierdzenie planów tej kanalizacyi w Petersburgu, i starania o nie ciągnęły się lata całe. Że przezwyciężono wreszcie wszystkie przeszkody, że w ministeryum zdołano obalić coraz to nowe powstające zapory, główna w tem i niezaprzeczona zasługa Prezydenta, a że niełatwa — dość Ci przytoczyć, iż jednym z ważniejszych motywów, dla których owego zatwierdzenia nad Newą odmawiano, był ten, że skoro ani Petersburg, ani Moskwa dotychczas kanalizacyi nie mają, nie wypada więc, aby ją wpierw otrzymać miało takie trzeciorzędne jak Warszawa miasto. Jenerał Starynkiewicz zrobił ze sprawy kanalizacyjnej kwestyę niemal osobistą, przeprowadzić ją było dla niego punktem honoru i miłości własnej,

ulubioną myślą, której się chwycił z zamiłowaniem i zawziętością. Więc póty kołatał, szturmował, jeździł do Petersburga, przedstawiał i prosił, aż nareszcie dopiął celu, i jeśli Warszawa wkrótce stanie pod względem higienicznym na równi z innemi miastami Europy, jeśli otrzyma dobrą wodę i pozbędzie się cuchnących rynsztoków, zawdzięczy to w głównej części swemu Prezydentowi i jego zapobiegliwości. Zapobiegliwość ta może nawet poszła za daleko, może na zbyt wielką skalę rozwinął kanalizacyę, pomijając inne bardzo ważne potrzeby a obciążając budżet miejski wygórowaną sumą zobowiązań. Ma Starynkiewicz inne jeszcze zasługi, o gorliwości jego dla miasta świadczące. Nie piszę tu życiorysu, więc wszystkich zmian i ulepszeń za jego rządów wyliczać nie będę. Nie o szczegóły mi idzie, lecz o ogólną tej postaci charakterystykę, więc wspomnę jeszcze tylko o tramwajach, regulacyi ulic, zakładaniu licznych skwerów, czynnej pomocy przy budowie kościołów WW. Świętych i św. Piotra i Pawła na Koszykach i t. d.

Wysokiego wzrostu, szczupły, wyschnięty, o ruchach poważnych, lecz żywych, ma on typ raczej małorusiński, niż rosyjski. Twarzy wielce sympatycznej, o charakterystycznych złotych okularach i szczotkowatych wąsach, robi wrażenie więcej biurowego mola, aniżeli dzielnego syna Marsa. Pomimo dość podeszłego wieku żwawym jest i czynnym bardzo, pracowitym niezmiernie i w znajomości spraw miejskich prawie drobiazgowym. Nie wiem,

czy jest drugi Rosyanin w Warszawie, któryby tak całe miasto i wszystkich jego wybitniejszych mieszkańców doskonale znał, jak Starynkiewicz. Od szewca do najzamożniejszego finansisty i mieszczanina — wszystko to jego osobiści znajomi, różnemi grzecznościami zjednani, coś mu za siebie lub za drugich do zawdzięczenia mający. Przystępny, w obejściu łatwy, ma jakąś jednającą sympatyę, dobroduszność, która nie jest jednak słabością i chęcią zaskarbienia tanim kosztem życzliwego uznania. — Wszystko, co może, zrobi z chęcią i bez emfazy, nie afektując bynajmniej jakiegoś nadzwyczajnego wysiłku i Herkulesowej potęgi. Uczynny, a co ważniejsza, odczuwający i nędzę Warszawy, i jej ubogich potrzeby, na każde przedstawienie lub koncert filantropijny chętnie użycza Ratusza, chociaż zawsze z pewną obawą troskliwego gospodarza, dbającego o to, aby mu zbytecznie nie zniszczono posadzki i nie zabrudzono wcale pięknie utrzymywanej sali. Żyje skromnie, cicho, jak najzwyczajniejszy filister i przeciętny obywatel, a ma tę pociechę, że kiedy przed paru latu zmarł mu syn, młody lekarz, wskutek zarażenia się przy operacyi, wówczas ani dzienniki, ani publiczność warszawska nie szczędziły jemu i jego rodzinie szczerych dowodów sympatyi i współczucia. Czuje też dobrze, że Warszawa jego zacną pracę uznaje i wielce jest z tego dumny, choć się bynajmniej swą względną popularnością nie pyszni i nikomu jej nie narzuca.

W kołach rosyjskich uchodzi Starynkiewicz za

„spolaczonego“ i dlatego w Zamku i w klubie ruskim patrzą na niego z pewną podejrzliwością. Opinia ta jednak jest całkiem nieuzasadnioną. Starynkiewicz był, jest i będzie Rosyaninem czystej krwi, a co go tylko od innych odróżnia, to osobista prawość i wstręt do wszelkich finansowych szacherek i nadużyć. Naturalnie, kto inny na jego miejscu zrobiłby w krótkim czasie fortunę; tyle dostaw, liwerunków, przedsiębiorstw, licytacyj, to dopiero raj dla prawdziwie „karenno ruskiej duszy“. Nawet niewidocznie, nie tak bardzo krzywdząc miasto, możnaby krocie z tego wyciągnąć, na wszystkich dostawców nałożyć haracze, na każdem przedsiębiorstwie jakie parę tysięcy rubli zarobić, a jeśli nie samemu wyciskać cytrynę, to przynajmniej drugim na tę operacyę pozwalać. Pod tym względem Starynkiewicz jest nieubłaganym i jak żona Cezara od wszelkich podejrzeń wolnym. Ztąd też gniew i polakofilska opinia. Rosyanin on jednak i wierny sługa cesarza, jak tysiące innych.... Jak wiele rzeczy, tak i swój patryotyzm posuwa czasem do śmiesznej drobiazgowości....

W wielkiej sali Ratusza, t. z. Aleksandryjskiej, wisi na wprost głównego wejścia portret cesarski. Otóż Starynkiewicz pozwala chętnie, aby w tej sali grywano na cele dobroczynne teatra amatorskie, ale pod warunkiem, że estrada będzie bez kulis i dekoracyj, gdyż zakrycie portretu Naj. Pana ubliżałoby jego monarszej powadze. Warunek to *sine qua non*, od którego za nic odstąpić nie chce....

Więc pewnego karnawału np. Modrzejewska i Popielka grały w ratuszu *Iskierkę* Paillerona na odkrytej estradzie przybranej tylko w kwiaty, wśród których w ogrodzie pięknej margrabiny (jak tego wymaga scenaryusz), unosiła się naturalnej wielkości postawa cesarza, jedyna tej improwizowanej sceny dekoracya....

Jak pod względem patryotyzmu rosyjskiego jest pomimo wszystkiego Starynkiewicz drobiazgowo drażliwym, dowodzi zachowanie się jego w głośnej w swoim czasie sprawie p. Ratyńskiej, redaktorki *Mód paryskich*. Pani ta dołączyła pewnego razu do swojego pisma arkusze z formami krojów, na których obok liter łacińskich znajdowały się także litery rosyjskie. Podobna innowacya w piśmie polskiem zrobiła złe wrażenie, zwrócono na to uwagę redaktorki *Mód*, a ta nie zastanowiwszy się dobrze, co robi i na co się naraża, ogłosiła w *Kuryerze Warszawskim* list tłómaczący, że owe litery dostały się tam przypadkowo, że żałuje niezmiernie swego niedopatrzenia i na przyszłość przyrzeka, że coś podobnego nigdy już nie będzie miało miejsca. List ten oburzył ogromnie tutejsze koła rosyjskie. Wypieranie się owych liter uważano za obrazę narodowości i języka rosyjskiego. *Dniewnik* wystąpił z piorunującym artykułem, a pan Starynkiewicz pierwszy odesłał p. Ratyńskiej jej pismo z wyrazami ubolewania, że odważyła się tak ostro zadrasnąć jego narodową dumę, wypierając się jakby zbrodni jakiej umieszczenia kilku liter rosyjskich. List był napi-

sany w tonie bardzo przyzwoitym, ale niemniej stanowczym, dowodzącym, że struna narodowa jest u prezydenta naszego bardzo czułą, a sam ten fakt wskazuje, jak śmiesznemi są posądzenia o zobojętnienie i brak rosyjskiego patryotyzmu. Zdaniem tych panów z „Ruskiego Klubu“ brak ów objawiać się ma w Starynkiewiczu nietylko ogólnem, przyzwoitem i lojalnem względem ludności polskiej zachowaniem, ale i tem, że do robót miejskich nie sprowadza on inżynierów gdzieś z Charkowa lub Astrachania, lecz stara się zatrudniać siły miejscowe, że cegłę do kanalizacyi nie nad Wołgą, ale u p. Grancowa kupuje, że rury wodociągowe daje porządne z fabryk miejscowych, a nie sprowadza tandetnych, jak to niedawno chciano uczynić przy restaurowaniu Zamku itd. Wszystko to, jak widzisz, są zarzuty tego rodzaju, że możnaby je zreasumować w jeden pod nazwą uczciwości. I nie sądź, aby nieprzyjaciołom jen. Starynkiewicza stało solą w oku lojalne i przyzwoite względem miasta i jego mieszkańców zachowanie się. Nie. Ich głównie kłuje czystość rąk jego, niepokalaność sumienia, cerberostwo miejskiego grosza. *Inde irae*. Ztąd gniew i zawziętość, ztąd ciągłe podkopywanie jego i fama jakiejś specyalnej dla nas życzliwości. — Pochodzenia czysto-rosyjskiego, ultramontanin prawosławny, jen. Starynkiewicz ani stosunkami rodzinnemi, ani wreszcie duchem, jaki w jego domu i otoczeniu panuje, w niczem się z nami nie wiąże. Tyle lat stojąc na czele zarządu miasta, zżył się z Warszawą i z jej interesami

Przy końcu swego [illegible] / przeszedł do dymisyi w stopniu jenerała artyleryi i zamieszkał w Warszawie. Kiedy czas nie [illegible] mu dowodów uznania, otrzymał mnóstwo adresów i upominków, między innemi artystyczną i drogą szkatułę w formie „łady" [illegible] Arystokracya i plutokracya miejscowa chciała kupić i ofiarować mu w prezencie dom w Warszawie, ale oświadczył, że tego nigdy nie przyjmie. Jedną z ulic [illegible] nazwano jego imieniem. Następcą jego jest jenerał-major Bibikow

i naturalnie jak każdy biurokrata samą siłą rzeczy przyrósł trochę do nich. Można go więc nazwać „owarszawionym" i to będzie prawdą, ale „opolaczonym" nigdy, bo byłby to fałsz wierutny i psychologiczne niepodobieństwo.

Dwa są systemata, które zwycięzcy stosować zwykli w zdobytym kraju: eksterminacyjny, polegający na wynaradawianiu gwałtem, siłą, i asymilacyjny, dochodzący do celu łagodnemi środkami, oswojeniem ludności z nowym porządkiem rzeczy, jednaniem jej dla niego dobrem obchodzeniem i uczciwością. Cel ten sam, a różnica w środkach tylko. Patrząc na Irlandyę, widzisz do jakiego rezultatu wiekowe prześladowania, ucisk i gwałty doprowadzają; przykład zaś postępowania Francyi w Alzacyi i Lotaryngii wskaże najlepiej, co może zrobić z podbitego kraju, rząd, który właściwości kraju szanuje, prawa przestrzega, gwałtami gardzi i nie przemocą, lecz sprawiedliwością jedna. Tamta wzorem eksterminacyjnych środków, te przykładem uczciwego asymilacyjnego działania. Rozumie to dobrze jen. Starynkiewicz i dlatego chociaż w gruncie popiera także ideę rusyfikacyi i niemniej od innych zapalonym i gorliwym jest *obrusitielem*, sądzi jednak, że prędzej się celu dosięga przez uczciwą administracyę i uczciwych urzędników. „Asymilator", oto też jego właściwa i najbardziej odpowiednia nazwa.

Podobna nazwa należałaby się także po części niedawno usuniętemu z Warszawy oberpolicmaj-

strowi, jenerałowi Buturlinowi.x) I ten urzędując kilkanaście lat w mieście naszem, zrósł się z niem i ‚owarszawił. On także był asymilacyjnego systemu wyznawcą, tylko z szerszemi nieco jeszcze widokami, z głębokiem przekonaniem i wiarą, że przez Polskę, przez dobre z nią obchodzenie się i sprawiedliwe postępowanie, Rosya oddziaływać może jedynie na Słowiańszczyznę — stając się jej przodowniczką i opiekunką. Typ to jednak pod wielu względami od jenerała Starynkiewicza odmienny, mniej od tamtego dodatni, a chociaż i on używał tu pewnej popularności, różnica jednak w jej odcieniach wielka. Starynkiewicza ceniono, Buturlina lubiono. Tamtego traktowano jako człowieka pracy i zasługi; tego jako *bon enfant,* dziecko trochę może wyrosłe na warszawskim bruku, a w każdym razie wielce do niego pasujące. Wielki pan, birbant, hulaka pierwszej wody, utracyusz, Buturlin miał niezawodnie dobre serce i szczerą już nietylko dla miasta, ale i dla kraju życzliwość. Zajmował posadę niezmiernie ważną, która czyniła go niemal panem spokoju i wolności każdego mieszkańca — w razie złej woli mógł nietylko szykanować, lecz tyranizować i każdemu zajść za skórę; miał zalet dużo, ale i wad też niemało, które ostatecznie na nim się głównie skrupiły, doprowadzając do stanu, w jakim się obecnie znajduje. Zdolności mu nie brakowało, miał dużo wrodzonej a dobrodusznej finezyi, a co ważniejsza chęci najlepsze i gdyby się chciał trochę ustatkować (a wiek już był po temu),

wyrobiłby się niezawodnie na wzorowego w tym kraju urzędnika. Ale niestety ta czysto rosyjska natura stała tu zawsze na przeszkodzie... Majątek swój osobisty cały stracił; wzięty pod kuratelę, musiał się ograniczyć na wcale jeszcze pokaźnych apanażach i bardzo okrągłej pensyi... Wszystko to razem wynosiło jakie kilkanaście tysięcy rs. rocznej renty, nie licząc rządowego pomieszkania w Ratuszu. Przyzwyczajonemu jednak do szalonych wydatków paniczowi wszystko to było za mało... Więc w ciągłych siedział długach, w ciągłym teroryzmie przed lichwiarzami, którzy chętnie mu dostarczali pieniędzy, w nadziei, że tem go osaczywszy, będą panami sytuacyi i zrobią z p. oberpolicmajstrem, co się im tylko podoba... Tak jednak nie było. Trzeba przyznać Buturlinowi, na którego tyle już zwalają win, że zanadto był szlachetnym i za wielkie miał poczucie honoru, aby kiedykolwiek maczać palce w skarbowych pieniądzach i pozycyi swej dla zysku lub zarobku nadużywać. Nie — to fałsz i potwarz. Ale z drugiej strony przy całej słabości, jaką do tego „dobrego chłopca“ miałam, niepodobna mi zaprzeczyć, aby wiecznie kłopotliwe położenie finansowe nie paraliżowało jego czynności urzędowych... Trudna rada, kogo żydzi duszą, ten nigdy zupełnie swobodnych ruchów mieć nie będzie... Nie miał ich też i Buturlin. Lekkomyślnym wyborem pomocnika, dyrektora kancelaryi Matiuszkina, na którym pokazały się później notoryczne nad-

użycia, najwięcej sobie i swoim policyjnym rządom zaszkodził.

Wina wszystkich ciemnych stron z czasów Buturlina spada na tego jegomościa.... On wchodził w różne szacherki i frymarki, on umiał tak podejść oberpolicmajstra, że ten zupełnie mu zaufał i w ścisłą kontrolę jego czynności się nie wdawał. Nie myślę tu bynajmniej usprawiedliwiać Buturlina, bo zwierzchnik jest zawsze odpowiedzialnym za swego podwładnego, tylko szukam na gwałt okoliczności łagodzących. Chciałabym bowiem koniecznie choć w części oczyścić tego człowieka, który może miał bardzo wiele wad, ale i dużo zalet, i na stanowisku przez lat tyle zajmowanem oddał dużo większych i mniejszych usług pojedynczym osobom, a niejednem się przyczynił i ku ogólnemu dobru....

Rodzina Buturlinów, chociaż żadnego tytułu nie posiada, jest jedną z najstarszych w Rosyi i w najpierwszej księdze szlacheckiej zapisaną. Każdy Buturlin musi być dobrym Rosyaninem i o brak patryotyzmu lub narodową oziębłość posądzać go nie wolno. Niemniej jednak spokrewniona z domami polskiemi oddawna, a jedna jej gałęź (Tahańcza na Ukrainie) przyjęła nawet jeszcze za Katarzyny katolicyzm i dotąd w nim trwa gorliwie. Z tradycyi więc niejako późniejszy Oberpolicmajster przybywając przed kilkunastu laty do Warszawy, był już społeczeństwu tutejszemu bliższym i życzliwszym.... Życzliwości tej nie zawiódł też nigdy. Pod tym względem niech co chcą na Buturlina mówią — bronić go będę

zawsze — bo istotnie lubił Warszawę, szczerze jej dobra pragnął i gotów był w danym razie za nią się zastawić.... Zalety towarzyskie, uczynność i uprzejmość zjednały mu odrazu wielu przyjaciół na warszawskim bruku i dały wstęp do towarzystw i domów polskich. Zrazu pomocnik Oberpolicmajstra przy jen. Własowie, później jego następca, Buturlin w wielu wypadkach znajdował się w arcytrudnem położeniu i umiał zeń szczęśliwie wybrnąć. Nigdy nie poddawał eksterminacyjnych projektów, nigdy nie używał swej władzy w celu gnębienia lub prześladowania, lecz przeciwnie pragnął raczej ostrość ogólnych przepisów łagodzić, rygor ciążących nad nami rozporządzeń osłabiać, umożliwiał życie w tych warunkach, strzegł od szykan i drobnostkowych ukłuć szpilką. Baczył troskliwie, aby podwładne mu organa policyjne zachowywały się z publicznością grzecznie i wyrozumiale, skargi wszystkie uwzględniał i sprawiedliwie załatwiał; jeśli kiedy wynikła jaka sprawa między mieszkańcami a policyą, nie sądził jej nigdy według zasady, że policya musi mieć zawsze racyę, lecz docierał do gruntu, badał sumiennie, kto winien, i kozłów ofiarnych nie szukał. O ile na to pozwalały warunki miejscowe, dopuszczał pewnego rodzaju kontrolę publiczności nad policyą. Za niego można się było w dziennikach poskarżyć na jakieś nadużycia lub niedbalstwa policyjne, a wówczas nie leciał, jak się to dziś dzieje z donosem do cenzury i alarmem, że ta pozwala krytykować jego czynności, lecz w każdym poszczególnym wypadku przepro-

wadzał śledztwo i z urzędu albo podaną w *Kuryerach* wiadomość prostował lub zaszły wypadek wyjaśniał. Pod tym względem postępowanie jego było zawsze równie lojalnem jak Starynkiewicza, który także nie odmawia nigdy wyjaśnień słusznym reklamacyom i nie składa je *ad acta*, uważając słusznie, że to jedyna droga, którą publiczność może się dopominać przynajmniej w kwestyach zarządu miejskiego praw swoich i sprawiedliwości.

Znał Buturlin doskonale Warszawę i umiał z ludem jej mówić. Dość było, ażeby podczas pożaru, zbiegowiska jakiego lub ulicznych tumultów ukazał się na mieście, a wnet bez potrzeby nahajek kozackich i siły zbrojnej zapanowywał wzorowy porządek. Kiedy w r. 1881 wybuchły antisemickie zaburzenia, Buturlina nie było w Warszawie, siedział dla interesów w Petersburgu. Policya zachowywała się nadzwyczaj niedołężnie, na Ratuszu stracono formalnie głowę, a p. Matiuszkin tak postępował, jakby mu nie o przytłumienie, lecz raczej o rozniecenie tych zaburzeń chodziło. Wydano jakąś niemądrą proklamacyę, suchą, niewyraźną, mdłą, która też żadnego wrażenia nie zrobiła i skutku nie osiągnęła. Zawezwany telegrafem Buturlin przybiegł natychmiast w drugim czy trzecim dniu zamieszek i wystarczyła jedna tylko jego odezwa, napisana bardzo zręcznie a odwołująca się do dobrej sławy tej spokojnej ludności warszawskiej, która nie powinna ścierpieć, aby garstka urwiszów i łobuzów plamiła jej honor, szarpała reputacyę. W tym to trochę

nawet pochlebnym tonie napisana odezwa poskutkowała natychmiast, nieporządki zaraz ustały, bo ekscedenci zrozumieli odrazu, że Buturlin nie myśli z nimi fraternizować, lecz szczerze podaje rękę obywatelom miasta, chcącym jak najprędzej hańbiącym rozruchom kres położyć. Pod tym względem miał Buturlin rzadki talent, umiał przemówić do Warszawy, umiał do niej trafić. Na oberpolicmajstra kwalifikacya to niemała, a jego umiejętność obchodzenia się z publicznością stała się jeszcze cenniejszą — skoro na pomocnika narzucono mu pułkownika Włassowskiego *), figurę arcyniesympatyczną, zwyczajnego jak to u was nazywają *spitzla*, a u nas „stupajki“ policyjnego, który odrazu potrafił narazić się wszystkim. Ten pan Włassowski miał sobie powierzone czuwanie nad porządkiem na ulicach miasta. Otóż tak on się kwalifikuje do tej roboty, jak wół do karety.

Dziwny miał ten człowiek talent nie utrzymywania porządku, ale przeciwnie robienia zamieszania. Jak zaczął swoich „stójkowych“ poganiać, żandarmami konnymi przechodzących najeżdżać, publiczność i dorożki musztrować — każdego ruszać, przestawiać, kręcić — tak z pewnością z najmniejszej bagateli zrobił zaraz tumult i chaos bez wyjścia. Krzyczał, latał, kręcił się na wszystkie strony, jak strzała pędził co chwila w swej *prelotce* po ulicach miasta, zdawałoby się, że ten człowiek upada pod

*) Przeniesiony już dziś do Rygi.

Schwytany nożem w brzuch ... w Moskwie.
Po katastrofie na Chodynce ... otrzymał dymisyę ... w Rosyi.

brzemieniem pracy, a tymczasem on nic właściwie nie robił i więcej przeszkadzał niż pomagał. Własowskiemu powierzyć utrzymanie porządku gdzieś na wyścigach, wystawie lub przy wjeździe do teatru, a z pewnością wszystko pójdzie jak najgorzej. Powozy będą się cisnąć, konie pieszych najeżdżać, powstanie hałas, zamieszanie, gwar, istna Franciszkańska ulica.... Awanturował się np. systematycznie na wystawach tak, że musiano go aż z góry mitygować. To litery rosyjskie na szyldach były mu mniejsze od polskich, to czerwony kolor chorągwi zanadto jaskrawy, to znów mieszanina barw sztandarów zbyt patryotyczna itd., słowem, szukał jak to mówią, na każdym kroku zaczepki i szykanował, jakby z umysłu.

Buturlin starał się zawsze tego Własowskiego o ile możności w karbach trzymać, nietaktowne jego postępowanie naprawiać, szykany łagodzić, miał z nim bardzo wiele przykrości i wiele z jego powodu kłopotów. Nie umiał jednak a właściwie i nie mógł, paraliżowany ciągle rozmaitemi względami, zabrać się do energicznej „puryfikacyi“ warszawskich policyjnych urzędów, nie umiał poskramiać rozmaitych nadużyć komisarzy cyrkułowych i ich pomocników i dać uczuć całej tej czeredzie swoją silną rękę. A nie umiał właśnie dla tego, że tej „silnej ręki“ mu brakło. Chcąc zreformować warszawską policyę i do europejskiego doprowadzić ją stanu, trzebaby przedewszystkiem mieć możność wyrzucenia co najmniej większej połowy jej urzędników,

swobodę wybierania nietylko między najstarszymi i prawosławnymi, a przedewszystkiem nadzwyczajną energię i siłę, budzącą postrach. Tego postrachu Buturlin nie wzniecał wcale. Wiedziano o nim, że jeśli ktoś z publiczności pójdzie do jenerała na skargę, to sprawę wygrać może; wiedziano, że brutalstwo, niegrzeczność, wyzywającą zaczepkę nie pozwoli, ale wiedziano dobrze, że wszystkie ciche niebijące w oczy nadużycia, potajemne szacherki, spółki ze złodziejami i „passerami," codzienne łapówki, itp. ujdą płazem, nie dla tego, aby je oberpolicmajster z zasady tolerował, lecz dla tej prostej przyczyny, że podobna kontrola była dla niego i za trudną, i wymagała nadzwyczajnej energii i pewnego *sui generis* sprytu. Buturlin traktował swoją pozycyę zbyt lekko, nie jako wytrawny kot policyjny, lecz raczej jak wielki pan, któremu podobało się tak dla zabicia czasu zostać oberpolicmajstrem. Wszystko brał po wierzchu, do gruntu sprawy nie dochodził, więcej się bawił, niż rządził. Znajomość ludzi żadna, na największym nicponiu (*vide* Matiuszkin) poznać się nie umiał, lada chłystkowi wierzył i z łatwością dał się podejść — z podwładnymi rządził się więcej dobrem sercem, aniżeli bezstronną surowością. W takich warunkach maszyna nie mogła iść dobrze i rozprzężenie musiało być ogólnem.

Nie dlatego jednak upadł i nie względy służbowe stały się przyczyną jego dymisyi, która spadła nań odrazu jak dachówka w chwili, kiedy on

i wszyscy najmniej się tego spodziewali. Nie mogę nawet powiedzieć, aby dobre strony Buturlina były powodem jego usunięcia.... Kto inny miałby z pewnością wielką *malam notam* u sfer wyższych za tę pewnego rodzaju popularność, jakiej zażywał w Warszawie, i stygmat „opolaczenja“ zgubiłby go niezawodnie — ale Buturlin posiadał wielkie w stolicy stosunki, nieboszczyk cesarz lubił go bardzo, sfery dworskie sprzyjały, a chociaż zawziętego miał wroga, nietylko politycznego, lecz i osobistego w jen. Orżewskim, to jednak pozycya jego była tak w Petersburgu silna, że zdawało się, iż nic i nikt zachwiać jej nie potrafi. Więc gdzieindziej szukać należy przyczyny takiej nagłej łask odmiany, a mianowicie w osobistem zajściu między nim a jen. Hurko, zajściu, o którem bardzo wiele mówiono, ale przemilczeć je muszę, gdyż nie miałam dotąd sposobności sprawdzić, o ile i te dotyczące Buturlina wieści są uzasadnione.... — Faktem jest, że otrzymał dymisyę w brutalny sposób. Jen. Hurko oświadczył mu po prostu: „Nie chcę z panem służyć“; nie dano mu żadnego innego stanowiska, zostawiono na lodzie bez pensyi i emerytury i dziś mieszka w Petersburgu w skromnym podobno pokoiku hotelu Demouta, bez zajęcia i posady, czekając lepszej losu odmiany. W każdym razie żal mi bardzo tego człowieka; zmarnował się nie przeczę w wielkiej części z własnej winy, ale ostatecznie miał bardzo dużo dobrych stron i chęci, serce nieocenione, usłużność wielką i prawdziwą dla Warszawy i społe-

czeństwa naszego życzliwość.... To specyalny nasz „pech“ zaprawdę, aby taki właśnie człowiek tak smutnie zakończył.

Drugim pomocnikiem oberpolicmajstra był za Buturlina i jest jeszcze obecnie jenerał Palenow. Nie znam go osobiście, a widuję tylko w teatrze, więc nie wiem właściwie, jaki to w gruncie człowiek.... Zdaje mi się jednak, że niezły, a przedewszystkiem spokojny.... Przynajmniej nie słychać o nim nic jaskrawego....

Miejsce oberpolicmajstra zajął po Buturlinie sprowadzony przez jen. Hurkę z Płocka gubernator tamtejszy jenerał-major Tołstoj. Skończył on już swoją karyerę w Warszawie, swieżo właśnie otrzymał dymisyę, więc mogę o nim pomówić otwarciej i pełniej, aniżeli w pierwszem wydaniu tych listów. Przyszedł tu z reputacyą człowieka spokojnego i sprawiedliwego, a żonę jego ceniono głównie w Płocku dla jej filantropijnej gorliwości, nieograniczającej się bynajmniej na specyalnej protekcyi „Czerwonego Krzyża“ lecz prawdziwie humanitarnej i dobroczynnej. Reputacya pani Tołstoj pozostała w Warszawie taką, jaką była w Płocku, ale co do pana to nie jeden spotkał nas zawód i niejedno rozczarowanie. Jak powierzchowność tak i zalety administracyjne, zdolności i charakter jen. Tołstoja są wątłe, nikłe, wypłowiałe niejako. Ani pojmował, ani miał możność pojmowania właściwie i odpowiednio swego stanowiska. Zbłądził najpierw tem, że przyjął je z rąk warszawskiego „Zamku“ z benefisem inwentarza.

Odrazu, zaraz w pierwszym roku nie umiał się postawić odpowiednio względem jenerał-gubernatora, a zwłaszcza względem Maryi Andrejewny. Uległ i ulegał później bardzo często naciskowi z góry, nie mając sam ani dosyć energii, ani dosyć odwagi, aby wykazać, że to co od niego żądają jest złem, niekonsekwentnem i przekracza atrybucyę zwierzchnika. Później kilkakrotnie opierał się wprawdzie arbitralnym wymaganiom naszej wielkorządczyni, ale uczynił to zapóźno i bez należytej umiejętności postawienia się. Ztąd też w sprawach policyjnych osobistość jego zaczęła coraz bardziej schodzić na drugi plan, a na pierwszy wysuwała się kamarylla i jej hałaśliwa prowodyrka. Policeman żaden, nie miał ani odpowiedniej wprawy, ani doświadczenia, ani sprytu, a tembardziej znajomości tego fachu. Zrazu zaczął się rzucać i przedsiębrać coś w rodzaju oczyszczenia personalu policyjnego, czynił to jednak dorywczo, bez żadnego systemu, bez zaznaczenia wyraźnej w tym kierunku woli i chęci. Znajomość ludzi żadna, srogość względem nadużyć pozorna i jakby tylko na pokaz obliczona. Za rządów jego powychodziły na jaw różne okropności w biurach oberpolicmajstra, kilku urzędników oddano pod sąd, kilku dymisyonowano, ale wszystko było tylko cząstkową reformą, zrywaniem się do lotu ale nie lotem. Na to miał jen. Tołstoj za mało charakteru i za mało zdolności. W ostatnich czasach stał się dla podwładnych zwierzchnikiem niemiłym i samo-

wolnym i urzędników rosyjskich z krzywdą dla Polaków protegował.

Przez cały czas jego urzędowania stosunki policyi do publiczności psuły się coraz bardziej. Rozpoczął się szereg szykan policyjnych, które wkrótce stały się systematycznemi. Zapewne, że główna tych szykan inicyatywa wychodziła z Zamku, ale jenerał Tołstoj winien, iż nie umiał tego nacisku hamować i do refleksyi nakłonić. Jeśli kto, to on właśnie powinien był tego podjąć się zadania, jeśli już nie w interesie miasta i jego porządku oraz spokoju, to przynajmniej w swoim własnym. Niebawem bowiem miał się przekonać, że system ulegania kaprysom kobiecym do niczego nie prowadzi, że i tak na miejscu się nie utrzyma, skoro Marya Andrejewna zagięła na niego parol.

O pani Tołstoj muszę przedewszystkiem powiedzieć, że odrazu z korzystnej strony przedstawiła się Warszawie. Poprzedziła ją wprawdzie dobra fama płocka, ale i ona sama wychowaniem, taktem, uprzejmością, a głównie szczerą chęcią zajęcia się sprawami ubogich miasta umiała sobie wyrobić życzliwe przyjęcie. Córka zamożnej rodziny kupieckiej, panna Safonow z domu, Rosyanka gorąca, wykształcona, pani Tołstoj pod wielu względami była antitezą pani Hurko. O ile Marya Andrejewna nieprzyjemna i źle wychowana, o tyle ta grzeczna i dobrego towarzystwa; tamta pozuje także na filantropkę, a jest właściwie lichego gatunku agitatorką, ta miała pewne w sprawach dobroczynnych doświad-

czenie, wielką gorliwość i dobrą wolę niemieszania polityki do miłosierdzia. Z jej inicyatywy powstały tu w zimie t. z. przytułki nocne, instytucya nader pożyteczna, bo dająca schronienie i strawę biedakom pozbawionym dachu. Potrafiła pani Tołstoj dobrze nią zarządzić, organizatorką okazała się zręczną i wprawną, a przytułki oddały istotne nędzy warszawskiej usługi. Kto wie, czy właśnie te zalety pani Tołstoj tak źle nie uprzedziły względem niej Zamku, iż ostatecznie postanowiono usunąć ją i jej męża. O powodach dymisyi jen. Tołstoja dużo bardzo mówiono. Zdaje się ze wszystkiego, iż spowodowała ją nietyko niechęć i brak powolności dla Zamku, ale i w wielkiej mierze niedołęztwo administracyjne i policyjne b. gubernatora płockiego. *)

Starałam się scharakteryzować Ci tu głównie tych dygnitarzy rosyjskich, którzy postawieni na stanowiskach, najczęstszą z publicznością styczność mają i najbardziej są z tego powodu znani. Nie sądź jednak, aby to był koniec galeryi uczciwych Rosyan. Jest ich tu jeszcze w Warszawie między wyższymi urzędnikami wielu, a było dawniej więcej. Weź naprzykład takiego Sergiusza Muchanowa. Typ to bardzo dodatni, chociaż niestety arcywyjątkowy. O jego urzędowej działalności jako prezesa teatrów pomówię trochę obszerniej w innym liście, jak również o jego żonie, bo jej w rocznikach salonów i rozwoju artystycznego w Warszawie należy się nie jedna, lecz kilkanaście kart. Tu tylko pragnę choć mimochodem zaznaczyć sympatyę, jakiej ten

człowiek w mieście naszem zażywa, i osobiste jego zalety.

Sergiusz Muchanow stanowi z wielu względów rzadki pomiędzy dygnitarzami rosyjskimi wyjątek. Byli w Rosyi ludzie, z natury i usposobienia należący do epoki Aleksandra I., której tradycya odnawiała się później w pierwszych latach panowania Aleksandra II. Dążyli oni w kraju naszym do asymilacyi przez dobre pożycie. Takim właśnie jednym z ostatnich niedobitków jest b. prezes warszawskich teatrów. W gruncie z uczuć Rosyanin szczery i gorący, a co rzadko się u nich zdarza, monarchista i konserwatysta liberalny, Muchanow nie zajmował nigdy ani w Rosyi, ani u nas politycznego stanowiska, ale wyjątkowo został wierny zasadom, dążeniom i programowi, jaki za W. Księcia i Margrabiego przeważał.

Dawniej służył w gwardyi i jako jej pułkownik był bardzo krótki czas, bo zaledwie parę miesięcy tylko, oberpolicmajstrem m. Warszawy. Polityki nie lubił, gdyż nie odpowiadała ona w gruncie trochę światowemu i lekkiemu usposobieniu, od ciężkich i poważnych spraw stronił, wielki sztuki miłośnik, przez żonę jeszcze bardziej w tem amatorstwie utwierdzony i podtrzymywany, wychowany wykwintnie, z formami francuskiemi, na których znać jednak pewien dworsko-petersburski połysk, inteligencyi żywej i błyskotliwej, bardzo oczytany, trochę w sądzie o ludziach pesymista (naturalna rządów teatralnych konsekwencya), w przyjaźni wierny

a w stosunkach bardzo·lojalny. Muchanow tyle lat mieszkając w Warszawie, nietylko się z nią zżył, ale i do miasta naszego się przywiązał.

Powiem więcej, jego życzliwość dla społeczeństwa polskiego wchodzi nawet w sferę pewnej serdeczności. Nietylko ludzie w tym kraju mieszkający obchodzą go szczerze, ale i kraj sam, jego losy i stan polityczny. Zajmie go to, co nas zwykło zajmować; zmartwi, co nam dokuczy; obejdzie niekorzystna dla nas zmiana, każde nowe losu pogorszenie. Różnych cech czysto-rosyjskich nie pozbył się wcale, ale nabrał także wad i zalet polskich. Z usposobienia przypominający trochę Buturlina, jest o wiele od niego solidniejszym, bardziej seryo. W urzędowaniu swojem postępował zawsze prawą i prostą drogą, szlachetnych w nim motywów dużo i wart jest istotnie tego, że go nietylko lubią, ale i cenią. Na stanowisku intendanta pałaców cesarskich występował zawsze w obronie sztuki i jej zabytków, pewną amatorską opieką otaczał powierzone mu resztki, znał się na nich i dlatego tak sumiennie strzegł, a miał jeszcze i tę zasługę, że w jego zarządzie sami prawie służyli Polacy i że cała służba Zamku i Łazienek była krajową. Nie uszło to wymówki niektórych osób, bo i taka bagatela, jak polskie pochodzenie lokai, drażni dzisiejszych Zamku mieszkańców. Robiono z tego powodu Muchanowowi i jego podwładnym uwagę, ale intendant odpowiedział, że lepszej, uczciwszej służby wśród Rosyan nie znajdzie i że gotów jest na zmiany, lecz pod

warunkiem, iż każde złodziejstwo patryotycznych lokai, każde ich nadużycie p. jenerał-gubernator z własnej pokryje kieszeni. Od śmierci żony Muchanow mało się towarzystwu udziela, a wogóle z chwilą, w której musiał porzucić teatr, trochę od ludzi stroni. Karyera Muchanowa już dziś skończona. Jest on ochmistrzem dworu i teraz właśnie podał się do dymisyi, a chociaż posiada po żonie w Cesarstwie wcale piękne dobra, nie myśli bynajmniej z Warszawy się wynosić i do Rosyi wracać. Wątpię zresztą, czyby już potrafił tam wyżyć. Zanadto jest na to Europejczykiem i za wiele dawnych i nowych łączy go z Warszawą węzłów.

Czy przypominasz sobie z powieści Turgieniewa „Now“ (*Les terres vierges*) ową mistrzowsko skreśloną figurę dygnitarza z liberalnej epoki Aleksandra II. Nie pomnę w tej chwili, jak się ta postać nazywa, wiem tylko, że jest ona więcej liberalizującą, niż liberalną, manier układnych, postępowania na pozór arcyszlachetnego, w gruncie jednak karyerowicz pospolitej natury. Niektóre tej figury rysy przywodzą mi na pamięć gubernatora warszawskiego barona Medema. I ten miał epokę pewnej popularności, i on uchodził także za bardzo liberalnego, spokojnego i porządnego, za człowieka lepszych usposobień i asymilacyjnego systemu. Tymczasem nie we wszystkiem tak jest w istocie. Wykształcony, sprytny, giętki bardzo, a jeszcze bardziej zmienny, bar. Medem różne przechodził fazy. Za Berga kiedy sprawował urząd gubernatora w Płocku, twardy; za

Kotzebuego przeniesiony do Warszawy, okazywał się w wielu rzeczach wolniejszym, liberalizował dużo i na arcyżyczliwego dla kraju pozował. Był czas, że w kwestyi językowej nie dostrajał się do ogólnego chóru, lecz sądził wówczas, że podobne postępowanie nie będzie źle w Petersburgu widzianem, i że raczej przychylna tolerancya, aniżeli nagana go spotka. Kiedy jednak stało się inaczej, kiedy zrobiono mu z owych ulg *crimen* i prawowierność zakwestyonowano, przycichł odrazu i dawszy nurka, niebawem w innej wypłynął postaci. Dziś pokumał się z Maryą Andrejewną i na jej przygrywa dudach. Złym go nie nazwę, dobrym nie jest, neutralnym także nie, biernością się nie odznacza i pospolitym narzędziem nie był nigdy. Po nad strychulec zwyczajnych gubernatorów-czynowników wychodzi bardzo, ma węch wydelikacony i to wyborne poczucie, na co można liczyć, a co jak najprędzej odrzucić należy. Jak trzcina podda się w stronę, z której wiatr wieje, jak chorągiewka wykręci, ale nie uczyni tego brutalnie, jaskrawo, po chłopsku. W tych kilkakrotnych zmianach będzie pewien karyerowiczowski artyzm, dużo dobrego smaku, który nie pozwoli na gwałtowną zmianę kolorytu, lecz raczej wskaże przejście chromatycznej gamy tonów. Lubuje się w półcieniach i półśrodkach, zanadto przezorny, aby odrazu w jedną przerzucić się stronę; zanadto ostrożny, ażeby nie zostawić sobie choćby małej furteczki; zanadto wreszcie rozumny, aby nie liczyć się z opinią ludzką i z nią brawować. Wszystko, co

robi, pokrywa bardzo pięknemi formami towarzystwa dobrego, wychowania salonowego, nie odmówi ci niczego odrazu, lecz zachowując wszelkie pozory najlepszej woli i chęci, namyśli się dziesięć razy, czy mu to w czemkolwiek i gdziekolwiek nie zaszkodzi, i najczęściej nie zrobi. Drobnostkami jednać, formami ujmować, ani u góry, ani u dołu nikogo nie razić — oto jego zasada. Stanowisko gubernatora warszawskiego jest naturalnie o wiele wyższe i bardziej wpływowe, aniżeli innych gubernatorów prowincyonalnych. Od niego zależą wszystkie instytucye miłosierdzia, prezyduje bowiem w Radzie dobroczynności publicznej i tu właśnie coraz bardziej zaczyna Maryi Andrejewnie wtórować. Ta właśnie zgodność z prądem, któremu przekonaniami jest całkiem obcym, to nastrajanie się do chwilowego tonu i kierunku, najbardziej mnie do tego człowieka zraża i pierwotne korzystne o nim wyobrażenie podkopuje. Charakter to żaden, człowiek niepewny, zdolność w falach karyery poroniona, serce niezłe, a umysł wcale jasny w sekciarstwie niezasklepiony. Wogóle ma on tu w Warszawie reputacyę dość czystą i w razie pomyślniejszych dla nas zmian umiałby niezawodnie znowu na powierzchnię popularności wypłynąć. Szkoda tego człowieka, bo żeby nie karyerowiczostwo a może i chciwość jest w nim spory materyał inteligencyi, zachowawczości, umiarkowania, bezstronności i na lepszą miarę niż zwykli urzędnicy sposobny.

Pani Medem, z domu Kapherr, słynęła nie tak

dawno jeszcze z piękności. Ma ona wiele wdzięku, bardzo dobre wychowanie i dużo towarzyskich zalet. Byłaby niewątpliwie najprzyjemniejszą damą rosyjskiego towarzystwa gdyby nie giętkość jej wielka, dwulicowość i ambicya utrzymania siebie i męża na stanowisku. Ztąd też i ona przerzuciła się z niezmierną łatwością z atmosfery Albedyńskiego w Andrejewszczyznę.

Porządnym człowiekiem był niedawny prezes Izby sądowej, senator Gerard. Przyszedł w arcytrudnych i ciężkich warunkach, został pierwszym zwierzchnikiem sądownictwa w Królestwie po reformie i zniesieniu dawnych instytucyj. *Homo novus,* ani z przeszłością sądowniczą kraju, ani z jego tradycyami nieobeznany, Gerard znalazł się wobec nader delikatnego zadania i trzeba było rzeczywiście wiele taktu i wiele uczciwości, aby z tego położenia wybrnąć dodatnio i dobre po sobie zostawić imię. Główną jego cechą była sprawiedliwość, równa względem podwładnych, z którymi obchodził się nader życzliwie, nie robiąc wcale narodowych różnic, jak i względem społeczeństwa, na które zapatrywał się bez uprzedzeń i bez żadnej rusyfikacyjnej zajadłości. Polityka nic go nie obchodziła, był on przedewszystkiem prawnikiem i pragnął zawsze pozostawać w zakresie swego fachu. Tam, gdzie z konieczności narzucano mu polityczne względy, starał się je omijać i niepotrzebnemu draźnieniu zapobiegać. Tak np. wyszedł z Petersburga rozkaz, aby w okolicach zamieszkałych przez unitów, wszyscy sędziowie byli

bezwarunkowo Rosyanami i prawosławnymi. Zapobiedz temu Gerard nie mógł, ale wiem z pewnego źródła, że zawsze przy nominacyach starał się wybierać w Chełmskie i Siedleckie ludzi spokojnych i nie fanatyków. Nad takim wyborem zastanawiał się dziesięć razy, zasięgał informacyi, szperał w papierach, przewlekał i namyślał się, aby tylko o ile możności nie dać użyć sądownictwa do celów politycznych. Już to samo dowodzi, że nie był człowiekiem stronnictwa, misyonarzem rusyfikacyjnym, lecz prawnikiem i człowiekiem prawym. Z urzędnikami polskimi zachowywał się przyzwoicie, dla Rosyan żadnej specyalnie predylekcyi nie okazywał, lecz przeciwnie rozumiał ciężkie położenie dawnych spadłych z etatu sądowników i tych, co reformę przetrwać zdołali, i o ile możności starał się los ich złagodzić. Dosyć wykształcony, choć nie nadmiernych zdolności, uprzejmy, dobrze wychowany, miał trochę stosunków w sferach polskich, a zwłaszcza wśród obywateli z Litwy, tam bowiem ma swój majątek i często w nim przesiaduje. — Poznałam go kiedyś na wieczorze u Kossakowskich, danym z powodu jubileuszu Odyńca, z którym łączyła go dawna sąsiedzka podobno zażyłość.

Za jego urzędowania, w epoce Loris-Melikowa, rozgrywała się w Petersburgu nader ważna dla Królestwa Polskiego sprawa. Szło mianowicie o zaprowadzenie istniejących już nawet na Litwie, w prowincyach południowo-zachodnich, sądów przysięgłych. Zapytany o to przez ministeryum, Gerard odpowie-

dział w obszernym memoryale, dowodzącym, że 1° społeczeństwo tutejsze jest zupełnie dla takiej instytucyi dojrzałem, że funkcyonowałaby ona w Królestwie bez porównania lepiej i prawidłowiej, aniżeli w Cesarstwie, bo ogół jest bardziej w swoich pojęciach moralnych wyrobionym i wytrawnym, że więc pod tym względem kraj nasz jest całkiem gotów na przyjęcie tak ważnej, a tak jednak obosiecznej instytucyi, jaką są sądy przysięgłych; 2° że politycznych obaw nie można już mieć żadnych i nie należy przypuszczać, aby sądy przysięgłych kierowały się w ocenianiu winy jakiemiś narodowościowemi względami. Na te dwa punkta kładł Gerard w swoim raporcie wielki nacisk, podnosząc wyrobienie i dojrzałość prawną polskiego społeczeństwa i wywodząc, że oba te względy przemawiałyby jak najenergiczniej za wprowadzeniem *jury*. Natomiast był w owym raporcie punkt trzeci, o który cała sprawa ostatecznie się rozbiła. Ten mianowicie, że jeśli i w sądach przysięgłych język rosyjski ma być wyłącznie używanym, wówczas nie może on brać na swoją odpowiedzialność prawidłowego ich funkcyonowania, ludność bowiem miejscowa nie jest jeszcze do tego stopnia obeznana z językiem urzędowym, aby mogła w nim słuchać rozpraw i wydawać wyroki. Powiedzianem to było bardzo stanowczo, a chociaż ostateczna konkluzya nie była wyraźnie określoną, to jednak wynikało z niej, że pan Gerard zgadza się na zaprowadzenie sądów przysięgłych w Królestwie, ale pod warunkiem, aby rozprawy sądowe odbywały

się po polsku. Inaczéj nie widzi żadnego z tej instytucyi pożytku i nie uznaje bynajmniej jej racyi bytu. Logicznem to było bardzo i dodajmy — sumiennem. Naturalnie w Petersburgu nawet za Loris-Melikowa o ten szkopuł wszystko się musiało rozbić; w najbardziej sprzyjających dla nas okolicznościach zawahano się przed zrobieniem językowi polskiemu tego przynajmniej ustępstwa i wyłomu. To też cała sprawa poszła *ad acta*.

Rezultat jej przypomina mi rozmowę, jaką jedna z moich znajomych miała kiedyś z Piotrem Szuwałowem. Zgadało się o możliwych dla Królestwa ulgach. Szuwałow robił różne nadzieje na wypadek pomyślnych w Petersburgu zmian, ale zapytany o szkoły i sądy, odpowiedział: *Quand à ça, madame, soyez sure, que jamais*. Widzisz więc z tego, że omnipotencya języka rosyjskiego wchodzi w program nietylko pewnej koteryi, ale każdego przeciętnego Rosyanina, mniej lub więcej zasługującego na przymiotnik: „porządny“. To już nie system lecz zasada, tkwiąca w ich krwi, wyssana z mlekiem matki, pojmujesz więc moja droga, dlaczego kreśląc te dodatnie sylwetki uczciwych Rosyan w Warszawie — tylokrotnie zastrzegam się co do samego pojęcia owej uczciwości i zawsze powtarzam, że nie jest, nie może być ona bezwzględną, lecz względną, w porównaniu do innych i ich wobec nas postępowania braną.

Zalety osobiste i służbowe senatora Gerarda, który obecnie jest w Petersburgu towarzyszem za-

rządzającego instytucyami dobroczynnemi imienia Cesarzowej Maryi, a kiedyś kandydatem na pomocnika ministra sprawiedliwości — odbiły się niekorzystnie, skoro następcą jego został jako prezes Izby sądowej, p. Trachimowskij. Znanym on już był poprzednio w Warszawie, piastował bowiem za Gerarda urząd naczelnego prokuratora. Człowiek ze szkoły eksliberałów epoki Aleksandra II, niegdyś za młodych lat swoich w Dorpacie był wielkim polakofilem i w ścisłych z młodzieżą naszą żył stosunkach. I dziś zawziętym nie jest z przekonania, ale dla służby, bo inne wieje powietrze, bo cała przyroda jego nie jest wcale wyższą ani z umysłu, ani z charakteru, ani z wychowania, ani z obejścia a nawet i z powierzchowności. Trochę kryminalista, cywilistą nie jest, wykształcenie ogólne drugorzędne, formy niepociągające, gromki, zamaszysty w ruchach i swadzie, reszta wątpliwa. — Karyerowicz to skończony, co tem przykrzej razi, że z pochodzenia trochę polskiego, bo matka jego jest dotychczas nawet wcale gorliwą katoliczką. Ma też p. Trachimowskij różne swoje słabostki finansowej natury. Za Gerarda rozdawano corocznie biednym dyetaryuszom skromną gratyfikacyę. Zwyczaj ten obecnie ustał, a sumy oddane do osobistego rozporządzenia starszemu prezesowi Izby, giną gdzieś w pomroku. Prawdopodobnie obracane są one na gratyfikacyę, ale dla kogo — niewiadomo... Wogóle p. prezes podobno... nieprzystępnym nie był. — Ciągle w długach żydowskich, żyć przecież musi, a więc *rece-*

voir, prendre et demander... Protekcye ma możne, stosunki familijne wygodnie spożytkować się dające, u Apuchtina respekt i wzięcie. Wszystko to warunki wybiciu się nader sprzyjające... został też niedawno powołanym do senatu.

Następca jego p. Butowskij pracowitszy, zdolniejszy, gruntowniej jako prawnik-kryminalista wykształcony, ale bez szerszego poglądu i usposobienia, całą gębą ruski, bo to u nas idzie *crescendo*.

Kiedy mowa o prezesie Izby sądowej warszawskiej, nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o Rosyanach, służących tu w instytucyach, podległych ministrowi sprawiedliwości.

Jest ich wielu, gdyż po reformie r. 1876, Polaków została w sądach mała garstka, ci przeważnie, co kończyli uniwersytety w cesarstwie i język urzędowy znali dobrze, natomiast z Rosyi napłynęła cała kawalkada ludzi różnego gatunku i autoramentu, począwszy od najporządniejszych, aż do prostych defraudatorów, jak np. p. Koni, sędzia pokoju, złapany przed paru laty na kradzieży znacznej sumy z depozytów sierocińskich. Trzeba jednak przyznać, że podobne wypadki, jak z p. Konim, jak z Bardowskim, z Danielewskim (wydalonym sądownie ze służby za nadużycia i przekupstwo), są dosyć rzadkie i na wyjątkach ogólnej nie należy stanowić reguły. — Stosunkowo biorąc, sądownicy rosyjscy, są wiele porządniejsi od urzędników innych wydziałów. — *Ce n'est pas beaucoup dire,* to prawda, ale zawsze to już coś. Zrazu

w Petersburgu robiono dla sądownictwa w Królestwie Polskiem staranniejszy wybór. Przybyli też oni do nas z miną nieposzlakowanych Katonów, niedających się niczem zjednać, i rzeczywiście w początkach zachowywali wszelkie pozory i dobrą sławę. Później jednak owa surowość wyboru zaczęła słabnąć, do kadrów porządniejszych sądowników Rosyan wkradli się i mniej niezłomni i dzisiaj dobra reputacya pozostała niemal wyłącznie przy wydziałach cywilnych, choć i te psuć się zaczynają tak w Warszawie jak i na prowincyi; na kryminalne zaś niejedno pada już podejrzenie i niejeden dowód wpływu i zabiegów żydowskich. Wogóle jednak, powtarzam, sądownictwo wyższe w tym kraju trzymało się dotychczas jakoś lepiej, w formach przynajmniej jest bardziej cywilizowane, a pochodzi to z pewnej niezależności, jaką urząd sędziowski w Rosyi daje, i z lepszego wykształcenia. Sądownik Rosyanin już przez to samo, że do niedawna był *inamovible* (zasada ta ma być obecnie w Radzie państwa zniesioną), z pewną dumą spogląda na innych czynowników, zwłaszcza administracyjnych, a im wyżej stoi w hierarchii, tem stara się pozować na bardziej *honorable*, cywilizowanego i przystępnego. Od czasów ministerstwa Manaseyna wszystko się radykalnie w Cesarstwie i u nas psuje. I tu wre już polityczna zaciekłość, rusyfikacya i prawosławie. W prowincyach Bałtyckich p. Manaseyne zdobył sobie w tym kierunku bardzo smutną sławę.

Jak ów wspomniany przy Medemie dygnitarz

z powieści Turgeniewa, większość ich jeśli nie jest w gruncie liberalną, to usiłuje przynajmniej liberalizować. Taki sądownik (zawsze powtarzam wyższy) będzie nieraz z tobą mówił bardzo swobodnie, odważy się na krytykę rządu, wyśmieje nawet niejednego z miejscowych satrapów, oburzy na Apuchtina i Maryę Andrejewnę. Zaafektuje on nawet pewną dla społeczeństwa życzliwość — powie, że każdy uczciwy Rosyanin pragnie w gruncie poprawy naszego położenia, ale temu p. Pobiedonoscew i popi stoją na przeszkodzie; z zawziętością napądnie na Katkowa i uczyni to szczerze i w dobrej wierze, nie przez sympatyę dla nas, lecz dlatego, że *Moskiewskie Wiedomosti* i ich partya, są dziś najzawziętszymi nowego sądownictwa wrogami; o koryfeuszach „Ruskiego Klubu“ i „djejatielach“ odezwie się z przekąsem — ale to wszystko może z tej racyi, że ostatecznie dochrapawszy się posady członka Sądu okręgowego lub Izby Sądowej, o los swój jest do pewnego stopnia spokojnym. Lada kaprys prezesa lub donos żandarmów nie pozbawi go miejsca, a przynajmniej nie tak łatwo. Więc są oni wszyscy w mowie i zachowaniu się swojem swobodniejsi, bardziej przystępni i Europejczycy. Z konieczności każdy z nich musiał się choć trochę po polsku nauczyć, fanatyków między nimi mało, a wogóle jak w całej Rosyi, tak i u nas istnieje pewna między władzami sądowemi a administracyjnemi rywalizacya, pewna chęć dowiedzenia, że na wymiar sprawiedliwości względy

polityczne nie wpływają wcale i że nikt sądom nie ma prawa i nie może zdania swego narzucić.

Bywają czasem wśród sądowników rosyjskich tacy, którzy „liberalizują“ nietylko prywatnie, ale i publicznie. Dzisiejszy znany adwokat petersburski, a przedtem prokurator warszawskiego sądu, ks. Urusow, kiedy oskarżał mordercę prof. Girsztowta, nie wahał się zakończyć swej mowy patetycznym ustępem: „Nie dla ciebie jasne i pogodne niebo Polski, ty idź w zimne, ponure śniegi Sybiru, tam, gdzie zbrodniarzy męka i nieszczęśliwych Golgota, idź tam, boś wyrodnym synem polskiego społeczeństwa, bo mu zabrałeś jego ozdobę, boś go pozbawił męża nauki, narodu swego chluby....“ Takie frazesy naturalnie dodatnio działają na audytoryum i jednają sympatyę, ale dowodzą one raczej pewnej chęci zaskarbiania sobie popularności, aniżeli zasadniczego przekonania.

Wszystko jednak, co tu powiedziałam, odnosi się prawie wyłącznie niemal do tych, co zajmują wyższe posady sądowe — za to niższe szczeble, a szczególnie t. z. sędziowie pokoju *mirowi* (czyli, jak ich ludek przez kpiny nazywa: *morowi*), bywają tu w Warszawie, a zwłaszcza na prowincyi, prawdziwą klęską ludności.

O ile członek sądu okręgowego lub Izby starać się będzie jakby z zasady być dla interesantów grzecznym i przystępnym, o tyle taki jegomość udaje często tureckiego baszę, przemawia z trójnoga i zadziera nosa, jakby ten łańcuch co go na piersi nosi,

czynił go conajmniej twoim panem lub zwierzchnikiem. Wogóle w ocenianiu urzędników rosyjskich radzę Ci się zawsze trzymać maksymy, że lepiej z panem przegrać, aniżeli z lokajem wygrać; jeśli masz jaki interes, unikaj o ile możności małych figur, a zaczynaj od najwyższych.

Niezawsze to niestety praktyczna droga, ale z pewnością przyjemniejsza i mniej Cię na niegrzeczność narażają. Są wprawdzie ludzie w Warszawie, dowodzący, że panem życia i spokoju każdego nie jest cesarz lub jego namiestnik — lecz — *rewirowy*)* — ale to dobra rada dla tych, co w robieniu interesów w Rosyi trzymają się starej zasady, że małe pieski zmogą nieraz największego brytana.

Nie przeczę, że bardzo często za parę rubli, zręcznie wsuniętych pomocnikowi ostatniego podpisarza, można więcej zrobić, aniżeli przez stosunki osobiste i protekcye najwyższych dygnitarzy, ale z drugiej znów strony nowicyusz, nieobeznany dokładnie z naszemi warunkami, może wpaść w pułapkę takiego wydrwigrosza, dać mu się na wszystkie strony wyzyskiwać i żadnego skutku nigdy się nie doczekać. Podobnych pijawek, czyhających tylko na twoją kieszeń, w każdym urzędzie tu pełno —

---

*) Każdy cyrkuł, na którego czele stoi komisarz policyjny, dzieli się na pewną ilość rewirów; naczelnik właśnie takiego „rewiru" nazywa się w gwarze warszawskiej *rewirowym* a jest właściwie drugim po *stójkowym* (milicyancie) stopniem policyjnym.

a przed dwoma laty toczył się w tutejszych sądach skandaliczny proces naczelnika Wydziału śledczego policyi warszawskiej, p. Sikorskiego, który od jednego z lekarzy wyłudził parę set rubli pod pozorem, że jego czy jego brata (nie pamiętam już dobrze w tej chwili) uwolni od dozoru policyjnego. Sprawa skończyła się naturalnie wydaleniem i ukaraniem p. Sikorskiego, ale nie sądź bynajmniej, aby ten przykład zastraszyć miał innych.... Tamto swoją drogą, a to swoją. O kimś, który złapany na gorącym uczynku, pada ofiarą, mówią koledzy, że osieł, i wraz z innymi oburzać się będą na niego, ale ani im na myśl nie przyjdzie zaniechać podobnych praktyk.... Od czegoż przysłowie rosyjskie, które mówi, że wszystko można, tylko ostrożnie.... Wszakże w przysłowiach mądrość ludu spoczywa. Więc należy w nie wierzyć i według nich postępować.

I oto przychodzę do najdrażliwszej listu tego kwesyi, do przekupstwa, czyli, jak my to powszechnie nazywamy, **łapownictwa** urzędników rosyjskich, nietylko w tym kraju, ale w całem państwie. Charakterystyczna to ich cecha, czysto rodowe znamię, tajemnica publiczna, zwyczaj powszechny, który tak wszedł w życie, że mówi się o nim otwarcie, bez żadnych ogródek, jako o *malum necessarium*, na które żadnej już niema rady. Możnaby w samej beletrystyce rosyjskiej zebrać całą bibliotekę książek i szkiców, romansów i powieści na tle urzędniczego przekupstwa i nadużyć skreślonych, możnaby zestawić niezmiernie ciekawą galeryę różnego rodzaju „łapo-



wników“ przez samych Rosyan spisanych i w Rosyi drukowanych, począwszy od Gogolewskiego „Rewizora“, a skończywszy na tryskających życiem sylwetkach Szczedrina. Od tylu lat uczciwsza literatura rosyjska gnębi i prześladuje tę plagę, od tylu lat walczą z nią całe szeregi powieściopisarzy i publicystów, a wszystko napróżno. Choroba weszła w krew tego społeczeństwa i chyba wraz z niem zginie. Zatrutego organizmu nic już nie wyleczy, a koncept jakiegoś petersburskiego dowcipnisia, który zapytany, w jaki sposób możnaby uwolnić Rosyę od nihilistów, odpowiedział: „wsunąć im w łapę parę milionów rubli“, wygląda na pozór trochę może karykaturalnie, ale w istocie nie jest pozbawiony pewnej psychologicznej prawdy.

Nic mnie tak nie rozśmieszyło, jak okólnik, którym jenerał Ignatiew rozpoczął swe ministeryalne rządy.... Było to nazajutrz po upadku Loris-Melikowa, tego wyjątkowego w Rosyi człowieka choć miernego, bardzo ministra, który całe życie czystym był jak łza, przekupstwo srodze ścigał i tępił, jak bocian żaby. I p. Ignatiew, obejmując spadek po tym człowieku, występuje z okólnikiem do gubernatorów, w którym w patetycznych wyrazach przedstawia, jako święta „matuszka Rasija“ dlatego w takiej pogrążona niedoli i smutku, że są słudzy cesarza, niepomni swego honoru i obowiązku, co dla hańbiącego zysku nie wahają się prawa obchodzić, nadużywać zaufania, złamać przysięgi i t. d. Żałuję, że nie mam tego okólnika w tej chwili pod ręką,



mogłabym bowiem humorystyczne porobić z niego cytaty. Podobnego *testimonium paupertatis*, świadectwa nędzy, dezorganizacyi i zgnilizny organizmu państwowego nie wystawił Rosyi żaden jeszcze z jej dygnitarzy.... Zdawało się, że po takiej zapowiedzi nastąpi jakaś powszechna na łapowników *razzia*, że tylko wzgląd ratowania zagrożonej już do ostateczności ojczyzny mógł zrodzić takie bohaterstwo *der Selbstkritik*.... Sądzono, że ten anti-złodziejski manifest poprzedza jakiś ogólny przewrot, gruntowną naprawę administracyjnej maszyny. Tymczasem był to najzwyczajniejszy tuzinkowy... fajerwerk. P. Ignatiew napisał go gwoli zaspokojenia osobistego instynktu nowego cesarza, ale napisawszy rzucił najspokojniej do kosza. Manifest ministra został manifestem, ale nikogo nie zastraszył, nić nie powstrzymał; sam zaś p. Ignatiew Arystydesem nie jest. Choć ogromny ma majątek nie brzydził się robić afer, korzystając z tego, że był u źródła politycznego informacyi tak jak to niegdyś praktykował Kś. Morny za drugiego Cesarstwa.

Rosya, jako kraj przeważnie rolniczy, ma przed sobą ogromne bogactwo. Dwadzieścia cztery tysiące mil kwadratowych najpiękniejszego czarnoziemu, kulturę ziemi niezmiernie zaniedbaną, ludność małą, powszechną abstencyę szlachty, w której rękach przeważnie ziemia ta spoczywa, przemysł czynny i coraz bardziej rozwijający się, ale obcy, przez cudzoziemców głównie prowadzony i wyzyskiwany, handel z niezmiernemi widokami na przyszłość, bo

cała Azya otwiera przed nim swe wrota, ale nieumiejący dotychczas wytworzyć nawet rosyjskiego kupca, bo to, co jest i na co się tak Rosyanie powołują, należy raczej „przekupniem“ niż kupcem nazwać; wszystko to olbrzymie pole dla rozwoju sił narodowych i narodowej produkcyi. Tymczasem ani w rolnictwie, ani w przemyśle, ani w handlu tej narodowej produkcyi niema. Intenzywność sił rosyjskich w inną bowiem zwróciła się stronę i na co innego całkowicie się zużywa. Jedyną czysto narodową produkcyą, na którą się Rosya zdobyła, jest właśnie produkcya czynowników. To jej grunt i podstawa obecnego narodowego rozwoju, to otchłań, która wszystkie żywotne siły pochłania — wszystko absorbuje, rozwój tamtych ubezwładnia i uniemożliwia. Nie z rolnictwa, nie z przemysłu, nie z handlu żyje dziś przeciętny Rosyanin, lecz z *kazny*. Na tę *kaznę* ogląda się dziś każdy, na nią liczy, na niej opiera swoje rachuby; nie „matka ziemia“, lecz ona ma być ich wszystkich żywicielką. Każdy zbankrutowany magnat poluje na miejsce gubernatora; lada szlachetka, który przetrwonił i przepił swoje dziedzictwo, idzie do skarbu i żąda od niego utrzymania; syn bogatego kupca w służbie wojskowej lub administracyjnej pragnie zdobyć sobie wyższą socyalną pozycyę; lada popowicz dąży w ten sposób do wybicia się z ciasnego labiryntu poniżanej i nienawidzonej kasty. Wielki pan, magnat, wypuszcza olbrzymie swe majątki żydom w dzierżawę, niszczy je i rujnuje, a sam dla tradycyi i karyery

wstępuje do służby i żyje z *kazny;* syn obdarzonego majoratami jenerała to samo, progenitura urzędnicza również i t. d.

A musi być tych czynowników nadmiar w każdem biórze, bo nic literalnie nie robią. Jenerał Trepow mawiał, że gdyby te czeredy tylko połowę tego robiły co powinny, Rosya byłaby wybornie administrowana. Słowem liczba czynowników i kandydatów na nich wzrasta z każdym dniem zatrważająco. Ci co są, wytwarzają wśród siebie ściśle solidarną kastę. Każdy z nich zawczasu przygotowuje swoich synów do służby i urzędów i z góry rezerwuje dla nich miejsca, więc wszystkie posady są formalnie rozgrabione, na najpodrzędniejszą czyhają tysiące amatorów, zgłodniałych i protegowanych przez swoich ojców, wyższych i niższych dygnitarzy. A przecież nie na tem koniec, przecież całe legiony nowych kandydatów czekają na miejsca; wszystkich dzieci kupców, synów średnio zamożnego szlachcica, wzbogaconego przemysłowca, popowiczów i t. d., armia pomieścić nie może. Więc i oni cisną się do *kazny* i oni chcieliby coś z niej zabrać. Ztąd hiperprodukcya czynowników, ztąd taki nawał aspirantów, że z konieczności trzeba dla nich wyszukiwać nowych miejsc i nowych posad. I to jest jedna z przyczyn koniecznej potrzeby rozszerzania granic Rosyi; ztąd ten wewnętrzny ferment, który ją ku temu ze wszystkich sił popycha i przeć będzie. Nieunikniona to konieczność fatalnej sytuacyi.

Nie przez współczucie dla Słowian bałkańskich i panslawizm popchnął naród rosyjski swego samowładcę do wojny z Turcyą; nie idea cywilizacyjna prze dziś Rosyę do Azyi, lecz prosta potrzeba wyszukania jakichś nowych posad dla wzmagającej się wciąż liczby czynowników. Oni rozsadzają to państwo, więc klapa bezpieczeństwa niezbędna, bo inaczej cała maszyna pęknie. Ztąd w chwili przekroczenia Dunaju znalazła się odrazu cała armia urzędników; wszystkie posady, od gubernatorów aż do najniższego sekretarzyny z góry już były obsadzone i nikt lepiej, aniżeli Rosyanin, p. Utin, nie odmalował owej zgłodniałej szarańczy, która całem stadem rzuciła się odrazu na biedną Bułgaryę. Dziś kwestya rusyfikacyi dlatego stała się u nas tak groźną, dlatego coraz ostrzejsze przybiera i przybierać będzie formy, iż zamieniła ona się dla tysięcy ludzi po prostu w kwestyę bytu i chleba. Czynownictwo stało się dla państwa groźnem, ono paraliżuje swobodę jego ruchów, ono uniemożliwia wszelką zmianę kierunku. Niech przypuszczam, stanie się jaki cud nadzwyczajny, niech system w Królestwie się zmieni, co zrobi rząd z całą tą zgłodniałą i wypasioną na dobrym chlebie tłuszczą urzędniczą, gdzie ich pośle, gdzie umieści, jakie im da zatrudnienie? Do niczego innego niezdolni, rolnictwem, handlem, przemysłem się nie zajmą, wisieć zawsze będą u tej *kazny*, którą wysysają na wszystkie strony i jak cytrynę duszą. Zostawić ich zaś na lodzie niepodobna, bo w Rosyi spadły z etatu

urzędnik, to najpodatniejszy na nihilistę materyał, to najdoskónalszy i najbardziej groźny ich adept, mścić bowiem będzie nietylko krzywdę ludzkości, lecz swoją osobistą. Niech ich liczba wzrośnie nagle w tysiące, a odrazu o tyle się zwiększą nihilistyczne kadry. Fatalna to sytuacya, z której wyjścia niema, zaklęte koło, co osaczyło całą Rosyę i popychać ją wciąż będzie do nowych zaborów i ustawicznego rozszerzania granic.

Dajmy już pokój tym ogólnym uwagom, a wróćmy raczej do czynowników rosyjskich u nas i przypatrzmy się, w jakich to fazach i formach importowane z Rosyi łapownictwo występuje na gruncie warszawskim.

Trzeba Ci najprzód wiedzieć, moja droga, że wszyscy Rosyanie siedzą w Warszawie po większej części po uszy w długach. Pochodzi to z bardzo prostej przyczyny, że żyją nad stan. Porównaj np. skalę życia, jaką prowadzi średni urzędnik lub wojskowy we Francyi, Austryi lub Niemczech z tem, jaki tego samego stopnia dygnitarz wiedzie w Warszawie, a zrozumiesz odrazu, zkąd to ciągłe kłopotliwe położenie finansowe, zkąd ta ustawiczna za groszem latanina. Zagranicą urzędnik mający parę tysięcy pensyi nie zna, co to obszerne mieszkanie, hulanki, powozy, konie; prowadzi dom w ścisłem kółku rodzinnem, przyjęć żadnych nie wydaje; jeśli kiedy pokaże się w handelku, to na to chyba, aby wypić skromny kufelek piwa. U nas lada oficerzyna nie może się obejść bez szampana, a lada wyższy nieco urzę-

dnik bez wspaniałego mieszkania, hulaszczych śniadań, hawańskich cygar i kolacyjek w gronie wesołych cór Koryntu. Te „córy Koryntu" to także niemały powód finansowego stanu tych panów.... Większość ich utrzymuje nie jeden, lecz dwa domy naraz... a to wszystko w Warszawie, gdzie życie drogie, a stopa jego wogóle wygórowana, pochłania sumy niemałe.... Pensya, chociaż w porównaniu do innych krajów, a szczególnie w porównaniu uposażenia polskich urzędników wysoka, dać ich nie może, nie pokryją ich także t. z. „legalne" dochody, mówiąc nawiasem, arcy-problematycznej natury; nie wystarcza nawet dodatek, jaki każdy urzędnik Rosyanin pobiera w tym kraju osobno nad etat, za to tylko, że raczył się „poświęcić" i nad Wisłę przybyć...Prędzej czy później struna pęknąć musi; przychodzą długi, a za niemi konieczność powiększania dochodów, skoro „szerokaja natura" wydatków zmniejszać nie pozwala.... I oto geneza „łapówki". Były i są liczne wyjątki, są znowu tacy co zrazu, bardziej wstydliwi, od niej się bronili; byli tacy, którym ten sposób zarobkowania nie wydawał się pociągającym, ale ostatecznie natura zwyciężyła i szli wraz z innymi utartym gościńcem.... Wśród nich jednak są rozmaite odcienia i gatunki.

W sławnym monologu IV. aktu, Figaro opowiadając koleje swego życia mówi: *je commençais même á comprendre que pour gagner du bien, le savoir-faire vaut mieux que le savoir. Mais comme chacun pillait autour de moi, en exigeant que je*

fusse honnéte, il fallait bien périr.... W podobnem położeniu, jak sewilski cyrulik, znajduje się każdy *przeciętny* urzędnik rosyjski. I dla niego, nie *le savoir,* lecz *le savoir-faire* jest główną podstawą, głównym środkiem dojścia do celu i otrzymania wymarzonego miejsca, z tą tylko różnicą, że od Beaumarchowskiego Figara praktyczniejszy nie myśli bynajmniej ginąć dlatego, że wszyscy dokoła rabując, od niego jednego uczciwości żądają.

Widząc, co nad nim i pod nim się dzieje, wybiera najwygodniejszą drogę i na zasadzie przysłowia o wronie i krakaniu dostraja się do ogólnej normy. Tworzy się więc w ten sposób błędne kółeczko, *kleine aber honnete Gesellschaft,* nie spółka, lecz wzajemna tolerancya. Ty zrobisz dziś to dla mnie, ja jutro dla ciebie, pojutrze trzeci dla nas obydwóch i t. d. w nieskończoność. Od zwierzchnika aż do ostatniego woźnego każdy prowadzi jakiś interesik na własną rękę; każdy udaje, że się drugiego boi, ale w gruncie wie, że tamten taki sam jak on, tylko pozory wymagają pewnej wstydliwości. Masz więc pierwszy najpospolitszy rodzaj łapówki, branej nie za to, aby zrobić coś przeciwnego prawu lub dopuścić się jakiegoś nadużycia, lecz dla ułatwienia jedynie biegu interesu, dla wyświadczenia grzeczności. Jakiś papier zalega u prezesa, od lada pomocnika sekretarza zależy zręczne podsunięcie do podpisu i przyspieszenie w ten sposób rezolucyi. Dajesz mu więc parę rubelków, i oto ów podpis, na który czekałeś całe miesiące,

jest już nazajutrz. To nie żadne nadużycie, to tylko „grzeczność", według niektórych całkiem słusznie warta nagrody, bo niewchodząca w zakres obowiązku urzędnika. U nas bowiem skutkiem tyloletniej gospodarki rosyjskiej tak się pojęcie o tem co uczciwe a nieuczciwe spaczyło, że na mnóstwo rzeczy patrzy się z jakiegoś utylitarnego stanowiska, niemającego nic z bezwzględną moralnością wspólnego. Ten rodzaj łapówki jest najpospolitszym i mówię, absolutnie niema bióra rządowego, nawet najporządniejszego, w któremby nie grasował powszechnie.

— Drugi stopień jest już o szczebel wyższy. Nie bierze się za to, aby samą manipulacyę kancelaryjną przyspieszyć, lecz dlatego, aby żadnych przeszkód nie stawiać. Ku temu trzeba już trochę wyższego urzędnika. Podajesz się n. p. na wsi o paszport. — Od urzędu powiatowego zależy po części, jak prędko i czy go otrzymasz lub nie, zawsze bowiem naczelnik powiatu, jak i naczelnik straży ziemskiej wydać musi kwalifikacyę, czy bezpiecznie cię puszczać za granicę. Trzeba więc dać, aby ta kwalifikacya była dobra, a później trzeba dać raz jeszcze drugi w urzędzie gubernialnym, aby za dobrą uznaną została, i po raz trzeci w kancelaryi gubernatora, aby podpisania paszportu nie wstrzymano ci długo. Słowem paszport według taksy powinien kosztować 15 rs. kop. 60, a kosztuje zawsze w ten sposób dwadzieścia kilka. Oswojono się już w lat ciągu z tego rodzaju podatkiem i każdy jest nań z góry przygotowany.

Oba te stopnie wchodzą jeszcze w zakres „grzeczności“. W Warszawie grzeczność ta opłaca się skromną gotóweczką; na prowincyi często *in natura*, owsem dla koni, zbożem, owocami, warzywami, zającem i t. d. Karygodnego nic się w tem nie widzi, bo każdy powiada sobie, że przecież i taki biedny urzędniczyna żyć musi — pensya nie może mu wystarczyć na utrzymanie licznej rodziny i jakiego takiego domu.

Te dwie kategorye łapówek mają tysiące drobniejszych gatunków i odcieni, zależnych od osobistości, zajmowanego stanowiska, ważności interesu i t. d. Do nich właściwie zaliczyć należy i trzecią: obejście, lub pominięcie jakiegoś podpisu, lub czczej formalności, która właściwie niema żadnego waloru, a jest jednak potrzebną. Tak n. p. przedstawiasz jakiś papier, który powinien być podpisany przez prezesa, naczelnika kancelaryjnego i sekretarza, a legalizowany przez inną jeszcze władzę. Otóż spieszno ci, nie masz po prostu czasu legalizacyę tę wyrabiać; urzędnik, który ten papier od ciebie przyjmuje, wie doskonale, iż podpisy są autentyczne.... O nadużyciu więc nie może być mowy. Idzie tylko o jego „grzeczność“. Wsuń w łapę, a grzeczność ta wyświadczoną ci zostanie. Krzywda nikomu się tu nie stała, prawa nie złamano, pominięto — tylko formalność.

Ostrzejszym jest już stopień łapówki i grubszą musi być też suma, kiedy *a priori* jest ona obliczoną i z góry parol na ciebie zagięty. Wówczas

przechodzi we formę wyzysku i *chantage'u*. Dotychczas zależało to od twojej woli dać lub nie dać; jeśli ścisnąłeś kieszeń, interes pomimo tego się zrobił, tylko znacznie później. Tu wynik sam interesu zależy od tego, czy dasz lub niedasz. Masz n. p. syna w szkołach, wiedzą o nim, że pochodzi z rodziny zamożnej, z góry więc nakładają na ciebie haracz. Niech twój chłopak jaknajlepiej się uczy, niech będzie z całej klasy najpilniejszy, nic to nie pomoże i profesor rosyjskiego języka zadecyduje wkrótce, iż jak Michasiowi Sienkiewicza „brak mu akcentu“ i dlatego promocyi nie dostanie. Nie broń się wtenczas, bo najgorzej na tem wyjdziesz, daj a szybko, gdyż inaczej powiększysz zawziętość i sumę pożądaną podwoisz.

Ale to wszystko, jeszcze nie obejście prawa. Jak to przychodzi, wymagania wzrastają olbrzymio. Każdy urzędnik rosyjski zrobi ci wszystko, co chcesz, ale w myśl zasady Bazylego z *Cyrulika Sewilskiego*, że — *dans l'harmonie du bon ordre.... un jugement inique, un passe-droit evident, sont des dissonnances qu'on doit toujours préparer et sauver par l'accord parfait de l'or.* I to praktykuje się u nas i na wielką skalę. Niemasz rzeczy, w którejby w tym kraju w sprawach rządowych pieniądzmi nie można zrobić. Największe nieprawdopodobieństwo staje się rzeczywistością; najbardziej fantastyczne marzenie przyobleka się w ciało i nie dla konceptu, ale naprawdę zdaje mi się, że ów żyd hamburski, który przed kilkunastu

laty proponował, aby mu Polacy złożyli miliony, a on w Petersburgu kwestyę naszą stanowczo najpomyślniej rozwiąże — nie był chyba takim szaleńcem, za jakiego go mieli ci, wobec których z ową propozycyą wystąpił. Korupcya u nas pod tym względem zupełna, demoralizacya społeczeństwa wielka i dziś od prostego chłopa aż do najinteligentniejszego obywatela, każdy po części staje się współwinnym, szukając tą przynajmniej drogą ratunku i obrony. — Nie mówię już o wstrętnych nadużyciach gorzelanych, o sumach pochłanianych przez komisarzy włościańskich, ale czy znajdziesz gdzie w całej w Warszawie lub Królestwie choć jednę instytucyę, jednę fabrykę, któraby w budżet swój nie musiała wstawiać okrągłej co rok sumki na *faux frais*. Suma taka bywa wydawana czasem bezpośrednio a często także i pośrednio, bo jak łapówki są różnego rodzaju i gatunku, tak i łapownicy nie wszyscy w jednaki przyjmują je sposób. Jeden weźmie wprost z rączki do rączki, drugi zajrzy do papierów i zapyta, jak ów dygnitarz petersburski: *czy wy z Łamańskim pryszli?* czy przyszedłeś pan z Łamańskim? (podpis zarządzającego kasą na storublówkach), trzeci przyjmie datek za pośrednictwem wskazanej osoby, inny wreszcie wprost cynicznie oświadczy ci na pytanie:

— Czy panie radco da się coś w tej sprawie zrobić?

— Jak się *da,* to się zrobi.

Są także tacy, którzy nie wezmą pieniędzy, ale

musisz im wyświadczyć tysiące jeszcze kosztowniejszych grzeczności, lub obdarzać prezentami. Jest nareszcie najłagodniejszy rodzaj: **śniadankowiczów**. Tych trzeba fetować, żyć z nimi za pan brat, ugaszczać i przyjmować, a wówczas wszystko będzie dobrze i pójdzie na karb „przyjaźni". Najgorsi jednak są **pożyczkowicze**. Najbardziej to zdradliwa forma łapówki i najniebezpieczniejszy rodzaj łapowników. Ten niby honor swój zachowuje nietykalny, do niczego się konkretnie nie zobowiązuje, nic nie przyrzeka, wyświadczasz mu grzeczność, pożyczasz, a więc masz nadzieję odebrania.... Ubliżyłabyś mu, przypuszczając inaczej. A jeśli ci nic nie zrobi, to co najwyżej nazwać go możesz „złym dłużnikiem" i niczem więcej.... Strzeż się więc „pożyczkowiczów"....

Nie sądź jednak, aby ci wszyscy łapownicy nie mieli *sui generis* moralności. A jakże, mają ją i to nawet surową. Wziąć i zrobić, to rzecz uczciwa, ale wziąć i nic nie zrobić, to hańba i wstyd. Znam takich, którzy nic wskórać nie mogąc, zwracają najsumienniej pieniądze, tłómacząc, że im się nie należą i pomimo wszelkich perswazyj, że przecież koło interesu chodzili, czas marnowali, trud ponieśli, a jeśli się nie udało, to nie ich wina, honoraryum żadnego przyjąć nie chcą. Znam drugich, chlubiących się tem, że nigdy żadnych żądań nie stawiali, biorąc tylko to, co im dawano. „Bierz Michale, co Bóg daje". Przyszło to jakoś samo, więc grzechu niema.... Są wreszcie tacy, którzy

swoje łapówki usprawiedliwiają dosyć racyonalnie: Chcąc mieć pokój, trzeba się także u góry zapewnić i dobry numer wyrobić, więc należy przyjjmować zwierzchników, żyć z nimi, przegrywać w karty.... Wszystko to kosztuje, a pensya nie wystarcza. Więc *viribus unitis*. Jeśli jesteście ze mnie jako naczelnika powiatu kontenci, pomóżcie zatem, aby i gubernator był ze mnie zadowolony. Ręka rękę myje, ażeby ją myć, trzeba na to ręcznika i mydła, więc mi je dajcie. Tych do pewnego stopnia i ja nawet muszę usprawiedliwić. Trudna rada, taki to już system państwowy, więc ciężko z nim walczyć, ale trzeba się bronić, jak można. *Le savoir faire vaut mieux que le savoir,* my na to nic nie poradzimy.

Teraz, skoro już mniej więcej znasz różne pospolitsze typy urzędników rosyjskich w tym kraju, wróćmy znów do pojedynczych osobistości. Wpierw jednak muszę jedno jeszcze zrobić zastrzeżenie. Powiedziałam powyżej, że każdy przeciętny urzędnik rosyjski żyje ponad stan i dlatego ma długi. Są jednak tacy, którzy łapówki nie poświęcają na opędzenie codziennych potrzeb, lecz je kapitalizują. Ma to nawet w języku rosyjskim specyalną nazwę, niedającą się na żaden inny przetłómaczyć język, a kto w ten sposób doszedł do pieniędzy, o tym się mówi: *charoszyje diengi nażył.* Taki opuszcza później miasto i kraj, jedzie na Litwę lub do zabranych prowincyj, gdzie korzystając z ulg dla Rosyan nabywających od Polaków majątki i zapomóg

rządowych, zamienia się w obywatela. Znaczna liczba majątków rosyjskich w tych prowincyach nabywaną jest z podobnego źródła. Przyznasz, że dzielny to środek rusyfikacyjny. Podobne indywidua świetnie scharakteryzowała p. Łańska w swoim romansie „Obrusitieli", który posłużył mi właśnie za wstęp do niniejszego listu. Jeszcze raz muszę się na tę książkę powołać, bo w niej znajdziesz praktycznie przeprowadzoną niektórych naszych „obrusitieli" charakterystykę, przekonasz się przytem, że nie trzeba na to być Polką i katoliczką, aby widzieć rzeczy takiemi, jak one są, ale że i najgorliwsza Rosyanka, do tego wice-gubernatorowa, jeźli prawdy rzetelnie poszuka, do innego wniosku nie dojdzie i jaśniejszych barw nie użyje.

Nie myślę bynajmniej kusić się o nakreślenie dokładnej sylwetki p. Apuchtina. Wreszcie znacie go trochę lepiej od innych, bo osobistość to głośna i imię jego wciąż się po dziennikach powtarza, a sława nienawiści sięga daleko. Niski, przysadkowaty, o pulchnej czerwonej twarzy, krótko strzyżonych włosach i siwych wąsach, ma on twarz tak dobroduszną i poczciwą, że gotów jest rozczarować najzawziętszego nawet zwolennika fizyognomistycznej teoryi. To nie sukcesor wileńskiej Nowosilcowa sławy, to nie ten groźny i ponury satrapa, na jakiego z czynów swoich wygląda. Spojrz na niego, a będziesz przekonaną, że to jakiś potulny i poczciwy stary podstarości, zakonserwowany w dworku szlacheckim; ubierz go w kontusz, przypasz ka-

rabelę i włóż konfederatkę, a przypomni ci posła upickiego i będzie miał taką minę, jakby za chwilę miał porwać się do korda i krzyknąć „nie pozwalam“. O początkowej jego karyerze wiem tyle tylko, że już w latach najmłodszych jako niepoczesny oficerzyna odznaczał się wielką ku wszystkiemu co polskie nienawiścią. Pod tym względem jest on konsekwentniejszym aniżeli jego prototyp i protektor p. Pobiedonoscew. O prokuratorze Najśw. Synodu dowiedziałam się bowiem od jednego z towarzyszów jego lat młodych, iż służąc jako oficer w Królestwie, mówił nie źle po polsku i udawał wcale nam życzliwego. Później w Petersburgu zaczął szukać karyery, lecz nie przez popów, tylko jako liberał czystej wody, „niewierzący ani w Boga, ani w djabła“. Ze skrajnego ateuszostwa przeszedł później na bigoteryę prawosławną i dziś głównie tem stoi. Takie się to czasem trafiają w Rosyi przemiany. Pan Apuchtin przeciwnie. Takim, jak jest, zaznaczył się odrazu. Pod tym względem rusyfikator to w każdym calu, jak w każdym calu był Lear królem. Tylko rusyfikator arcypospolity, gatunku bardzo powszedniego, nietylko bez zdolności, ale i bez wprawy. Robi on na mnie wrażenie nie wytrawnego i doświadczonego operatora, ale małomiasteczkowego felczera, który rżnie, kraje, nie pytając gdzie i jak, aby tylko jak najwięcej krwi upuścić i jak najdrożej za bandaże policzyć. Nienawidzi nas zawzięcie, radby wszystkich wytopić i w łonie matek zgnębić, ale za co, jaki powód tej

nienawiści, gdzie jej źródło, i czyżby niem miała być przyjaźń i wiara w Katkowa? Wątpię. Nie znam dokładnie historyi p. Apuchtina, ale przypuszczam, że pierwszy zarodek tej nienawiści musiał mieć jakiś czysto osobisty powód, a przyznam Ci szczerze, że nie wierzę, aby na wyrobienie dzisiejszego fanatyzmu miały się składać same polityczne względy i przekonania. Nie, tu nietylko o nawracanie na prawosławie i rusyfikacyę chodzi, tu bodaj czy nie przeważną gra rolę pospolita chętka odznaczenia się i popularności, rachuba na karyerę i awanse, względy nie tak wysoko państwowe i platoniczne. Przekonanie ustępuje tu na drugi plan; gdyby wiatr się zmienił, on byłby niezawodnie innym i jeszczeby konfederatkę włożył na głowę i pobrząkiwał karabelą. Nie wiem napewno, ale ręczyłabym za to, że w drugiem lub trzeciem pokoleniu musi być popowiczem i że może za młodu przeznaczony był do czerńców. Są w nim bowiem charakterystyczne cechy tej kasty, jest jakaś zasklepiałość i ciasnota wyobrażeń, niepozwalających dalej się rozejrzeć; jest ślepe przywiązanie nie do ducha, lecz do litery księgi, cechujące djaczków, którzy śpiewają po cerkwiach psalmy, nie rozumiejąc nawet słów przez siebie wymawianych. Tylko w takiej ciasnej bizantyjskiej głowie mogło powstać zuchwałe przekonanie, że w przeciągu lat dziesięciu żadna matka nie będzie w tym kraju inaczej do dzieci przemawiać, jak po rosyjsku.

Słowa te, przypisywane Apuchtinowi, są nb.

całkiem autentyczne a wyjść one mogły z ust chyba Azyaty, a nie Europejczyka. Człowiek bowiem cywilizowany nie mógłby takiego nonsensu powiedzieć i w tak ryzykowne wdać się horoskopy. Do dziesięciolecia Apuchtinowskich rządów nie tak już daleko, a ostatecznie jakiż rezultat jego tak wychwalanej przez „samobytników“ działalności? Weźmy tak bezstronnie, jakby tu nie o nas i o naszą skórę chodziło, ale gdyby nam kazano sądzić ludzi całkiem obcych i to z wyłącznego stanowiska „idei państwowej“ — i zapytajmy, co pan Apuchtin dla „obrusienja“ dzieci polskich zrobił i gdzie jego praktyczne korzyści? Czy poczucie polskości choć w czemkolwiek w młodszych generacyach naszych osłabło? Czy te dzieciaki, chociaż po rosyjsku tak doskonale umieją, po polsku zapomniały zupełnie? Czy ich naturę p. kurator przetworzył, uczucia zgnębił, wyobrażenia przemienił, serca wyziębił? Nie. Ale za to swojem postępowaniem idei państwowej jako takiej najgorsze oddał usługi, bo w tych młodych sercach zaszczepił nienawiść nawet tam, gdzie już jej prawie nie było; bo smarkaczy wysforował kilkakrotnie na bohaterów; bo tym, których prześladuje, dał przedsmak popularności i rangę narodowych ofiar; bo wszystkie tlejące już zaledwie uczucia na nowo rozżarzył, zaprawił młodzież do solidarności, koleżeństwo rozwinął, przywiązanie do mowy i rzeczy ojczystych w dwójnasób powiększył. Jak niema to dziecko rosyjskiego języka z duszy nienawidzieć i wstrętu do niego uczuwać, jeśli od

dziesiątego roku życia nauka jego jest dla niego istotną męczarnią, źródłem ustawicznych kar i zmartwień, jak ma ono literaturę rosyjską polubić, jeśli w niej widzi tylko narzędzie prześladowania, synonim szykany! Jakimi to ludźmi p. Apuchtin posługuje się w swych szkołach, czy wielu z nich ma jakiekolwiek pedagogiczne zasady i wyobrażenia, czy wielu z nich jest uczciwych i prawych? Niech p. Apuchtin nie udaje, że nie wie, iż w szkołach naszych stopnie zdobywają się pieniędzmi, że są dyrektorowie, którzy pod tym względem przodują nauczycielom i niech tego na „polskie intrygi“ nie składa. x/

Wie on o tem lepiej od nas wszystkich, a jednak te wołające o pomstę do Boga nadużycia toleruje i sam do nich czynną przykłada rękę, protegując największych „wziątecczników“, palcami wskazywanych po mieście nieuków i najlichszych z wykształcenia i charakteru profesorów, dla tego tylk o że się łaszą i do jego nuty nastrajają. A proteguje dlatego, że prawosławni, że po cerkwiach biją pokłony i mądrość jego i patryotyzm podziwiają, że brutalstwo swego zwierzchnika naśladują, że biednych malców prawdziwie po rosyjsku „rugają“, że polskie rozmowy dotkliwie karzą. Taka szkoła jest w stanie wychować bohaterów albo kretynów, a trzeba rzeczywiście podziwiać odporność żywiołu polskiego przeciw destrukcyjnym zasadom, skoro się widzi, jak pomimo wszelkich ku temu danych i licznych ze strony pana Apuchtina ułatwień młodzież

nasza tak dzielnie się broni od nihilistycznych sieci. P. Apuchtin bowiem jest pierwszym u nas nihilistą. Nie mówię tego bynajmniej przez ironię i dla konceptu i nie używam tego wyrazu nawet w znaczeniu anihilacyi wszystkiego, co polskie i nasze. Biorę nawet nazwę *à la lettre* i powtarzam raz jeszcze, iż głównym propagatorem w Królestwie antipaństwowych zasad wywrotu jest właśnie p. Kurator okręgu naukowego i reprezentowany przez niego system.

Jeżli się sprowadza na uniwersytet tutejszy dla dowiedzenia, że ma on młodzież rosyjską, popowiczów i studentów, powydalanych ze wszystkich innych akademij, byle tylko prawosławnych; jeśli nadaje się im przywileje, uposaża stypendyami nb. z polskich powstałemi zapisów; jeśli się ich protęguje na każdym kroku i w ten sposób ściąga całą czeredę, która później staje się rozsadnikiem nihilizmu i stara się, jak Żukowicz polską do swych robót wciągać młodzież — to pytam — czyja w tem wina i czyja zasługa? Jeśli na nauczycieli ludowych nasyła się jakieś podejrzane z głębi Rosyi indywidua, które zamiast chłopa uczyć, zasiewają w nim nieznaną mu poprzednio nienawiść i judzą przeciw majętniejszym, jątrząc jedną warstwę społeczną przeciw drugiej, to jeśli z czasem z tego posiewu zejdą zboża, kto będzie za to odpowiedzialnym?

To nie sofizmaty, ale szczera prawda; to nie nakręcanie wywodów, lecz fakt istotny. — Niech znowu p. Apuchtin nie udaje; wie on doskonale,

co robi, i znane mu były wybornie żywioły, które naprowadza, a które później taką wybitną odgrywały rolę w spisku Bardowskiego i w innych nihilistycznych zawiązkach. Byli tam pewni jego protegowani stypendziści, byli tacy, co oddarty od ust biednego studenta polskiego chleb zjadali; tych się gdzieś aż z nad Amuru sprowadzało, a później się tłomaczyło nieszczęściem i niemożnością sprawdzenia przekonań każdego przybywającego do Warszawy Rosyanina, względami politycznemi i t. p. wykrętami. Niech p. Apuchtin przysłucha się, co jego protegowani wykładają czasem po szkołach i w uniwersytecie, niech dokładnie zbada tę podjazdową robotę, krytą w fałdach wielko-państwowej polityki, a tak nieraz socyalistyczną, że nie Aleksandra Newskiego, lecz podziękowanie od komitetu wykonawczego powinien on dostać. Ale zacietrzewiony w swojej prześladowczej robocie tego wszystkiego nie widzi i jeśli łamie sobie głowę, to nad tem tylko, aby jakie nowe dręczenia dla młodzieży wymyśleć, aby zaprodukować coś, coby wszystkich rozdrażnić i ferment nienawiści podsycić mogło.

Tu nie idzie już o antypatyę narodową, ale o porządek społeczny, o jego interesa i byt. Stwórz prawdziwe łączniki interesów, celów i dążeń między podbitym a panującym żywiołem, a będą bez gwałtu i nacisku uczyć się po rosyjsku. Wszakże ks. Sapieha sam wniósł potrzebę większego udziału w szkołach galicyjskich nauki języka niemieckiego. Wszakże w parlamencie wiedeńskim Polacy mówią lepiej

po niemiecku niż w Berlinie, choć szkoła Galicyi jest na wskróś polską. Alzacya i Lotaryngia mówi po francuzku i jest patryotyczną, bo należycie się z nią obchodzono. Przyznać to musi każdy najbezstronniejszy znawca Rosyi, że element urzędnika i profesora rosyjskiego w Królestwie Polskiem jest na wskróś rewolucyjnym i nihilistycznym. Społeczeństwo polskie jest w gruncie bardziej konserwatywnem i monarchicznem, aniżeli rosyjskie. Myśmy chorowali na anarchię, ale mieliśmy zawsze uszanowanie dla zasad i porządku społecznego, wierność dla tronu. W Rosyi tego wszystkiego niema, w Rosyi nie znajdziesz nawet tej osławionej i tak przez niektórych uwielbianej wierności tronowi. Jest tam tylko coś, cobym nazwał „kornością wobec władzy“, nie jej szacunek, ale obawę przed nią. Niech ta władza będzie inną, a taksamo wszyscy się przed nią ukorzą; na rozkaz dany z góry opinia zmieni swój prąd; ci, co staną u szczytu, znajdą zawsze posłuch i powolność. Kiedy Loris-Melikow opuszczał władzę, dziesięć tysięcy biletów wizytowych rzucono mu w dzień jego dymisyi; demonstracya ta stała się nawet zatrważającą, ale w parę dni potem najgorliwsi wielbiciele zaczęli od niego stronić w obawie, ażeby ich nie posądzono o solidarność z dawnym kierunkiem. Za liberalnych rządów *Mosk. Wiedomosti* ledwie dyszały i liczba ich prenumeratorów spadła ogromnie; później dziennik Katkowa miał ich kilkadziesiąt tysięcy i wzrastał ustawicznie dlatego, że był wyrazem nowego kierunku

rządu. Wszystko to nie poszanowanie, ale właśnie ta „korność“, czy jeśli wolisz pokora dla władzy. Rosya zaś przechodzi obecnie sama przez stan gorączkowego wewnętrznego przerabiania się, ztąd to wszystko, co z niej tutaj napływa, ma fałszywe pojęcia ekonomiczne, polityczne, społeczne i staje się propagatorami przewrotu. Odnosi się to do nich wszystkich, ale stan nauczycielski jest specyalnie gorszym jeszcze i bardziej niebezpiecznym od innych, bo już za Mikołaja brutalna materyalistyczna filozofia, Büchnerowska *Kraft und Stoff*, była katechizmem rosyjskich uniwersytetów. Doskonale to oddał Turgieniew w powieści „Ojcowie i dzieci“ i do niej Cię odsyłam, moja droga, jeźli chcesz poznać z niezmiernym artyzmem i głębokością prawdziwego obserwatora odwzorowany typ przeciętnego uniwersytetów tych wychowańca.

W takich warunkach wychowani, wpośród takiego społeczeństwa wzrośli nauczyciele, muszą na ustrój umysłowy dziecka najfatalniej oddziaływać, zwłaszcza jeśli ten brutalny materyalizm łączy się z prawdziwie azyatyckim cynizmem. — Pod tym względem formalna też na młodzież naszą odbywa się *razzia*, pojmujesz więc, dlaczego już nie z punktu czysto narodowego ale społecznego i konserwatywnego prawdziwa nas przed skutkami takiego systemu ogarnia trwoga, dlaczego każdy oddając swe dzieci do szkół tutejszych nie o polskość jego, ale o zdrowie moralne, o zasady społeczne, o kierunek, jaki tym dziewiczym umysłom nadają, drży

i truchleje i woli raczej do wszelkich w kraju karyer zamknąć mu drogę, aniżeli wydawać dobrowolnie na łup i moralne zniszczenie.

Sprawa Żukowicza jest dotychczas jeszcze pokryta tajemniczą zasłoną; nie zdarły jej listy biednego samobójcy, ogłoszone w dziennikach lwowskich. Zagadka pozostała między nim a p. Apuchtinem. Co to była za „sprawa osobista“, której ofiarą padła tak nieszczęśliwie młodzież nasza, wie o tem p. kurator okręgu naukowego i on jeden mógłby to wszystko wyjaśnić. Ale czy nie jest uderzającem to osobiste zetknięcie się i stosunki młodzieńca, o którym wiadomo już dzisiaj, z czyjego działał ramienia, wprost z p. Apuchtinem? czy to nie nasuwa różnych przypuszczeń i domysłów? Nie posądzam bynajmniej, aby p. kurator wchodził w bezpośrednie stosunki z nasłanymi tu z Rosyi krzewicielami przewrotu, ale jestem najmocniej przekonana, że wszystkie późniejsze wykrycia nie były dla niego żadną tajemnicą. Jemu jak wszystkim pokrewnym mu duchom, zależało niezmiernie, aby kraj nasz pozbawić jego nihilistycznej niepokalaności; im stało solą w oku to zasklepienie się naszej młodzieży, która dzięki tylko instynktownemu stronieniu od rosyjskich kolegów, uniknęła dotychczas ogólnego przynajmniej zakażenia; ich korciło to niezmiernie, że uniwersytet warszawski do czasu wyróżniał się od innych rosyjskich swojem zachowaniem się i biernością. I cel upragniony osiągnięty został. Dzięki tajemniczemu zajściu z Żukowiczem,

który jak wiesz był Rosyaninen
wosławnym, młodzież polska,
solidarnością i koleżeństwem, d
i bez zastanowienia porwać. N
tem, jaka to sprawa, czy czys
widziano w niej tylko sposobn
p. Apuchtinie odwetu. Kto wi
burzę. P. kurator zanadto gorli
kilku nienawiść w sercach m
i nękał, aby rozdrażnienie nie
przy lada sposobności. Od młodz
żądać dojrzałości politycznej i
stanu. Ciągle podsycana gorąc
do *delirium*. Nieporządki wyb
zachował się po tchórzowsku,
zwalał odpowiedzialność na rekt
nika, a był właściwie inicyator
Wyruszyło wojsko na ulice, s
założono na Krakowskiem Prz
obozy, i Bóg wie jak długo
komedya, gdyby nie zręczne i
się jen. Strukowa, który dowcip
do studentów osiągnął więcej
ułańskie konwoje i szarże drag

— Wiecie co panowie — r
studentów, zamkniętej wojski
i niechcącej się rozprószyć —
się już jeść. Pójdźmy wszyscy
jeźli wasza wola, zejdziemy si
my patrzeć jedni na drugich.

Studenci śmiechem przyjęli tę propozycyę i w parę minut zbiegowiska nie było. Masz w tem najlepszy dowód, że nie wielkiej potrzeba na to filozofii, aby porządek uliczny w Warszawie utrzymać.

Zapytuję zawsze, zkąd to potężne stanowisko, jakie w Petersburgu p. Apuchtin posiada; zkąd wysokie wpływy, jakiemi bezwarunkowo rozporządza? Zapewne w wielkiej części dlatego, że postępowanie jego tak jest zgodnem i odpowiedniem systemowi eksterminacyjnemu polakożerstwa i nienawiści. Ale z drugiej strony musi on mieć i bardzo silne relacye osobiste, musi mieć u dworu i sfer rządzących *des petites entrées*, przez które wszystko robi, skoro zdołał się utrzymać w lepszych czasach za Loris-Melikowa i Saburowa, pomimo jawnej dysharmonii z tutejszymi jenerał-gubernatorami hr. Kotzebue i Albedyńskim. W tej jego pozycyi i potędze tkwi jakaś tajemnica, coś, co zachęca i zachęcało zawsze do rzadkiej względem zwierzchników zuchwałości. Z hr. Kotzebue zwłaszcza stał on na stopie więcej niż nieprzyjaznej.

Stary Estlandczyk nie lubił, aby się mu pod nosem zanadto rozbijano, a p. Apuchtin zaczął właśnie od tego swoją w Królestwie karyerę; nie lubił żadnych jaskrawości, a ten mu przecież czerwono wszystko farbował; nie lubił krzyków, hałasów i drażnienia, a on urzędowanie swoje zainaugurował samobójstwem Neufelda z powodu marnego wieńca dla Modrzejewskiej i wywołał demonstracyjny tego malca pogrzeb. Nie znosił wreszcie u podwładnych

żadnych krytyk swego postępowania, a p. Apuchtin pozwalał ich sobie głośno i publicznie. Kiedy w Ratuszu obywatele miasta dawali pożegnalny dla hr. Kotzebue obiad i hr. Tomasz Zamoyski wzniósł w ich imieniu toast francuski na cześć odchodzącego jenerał-gubernatora, p. Apuchtin publicznie wyraził swe oburzenie, że poddany rosyjski śmie przemawiać do reprezentanta swego cesarza w innym, niż urzędowym języku, i że ten reprezentant w odpowiedzi swojej użył także francuskiej mowy. Stary jenerał dowiedział się o tem i był zuchwałością p. Apuchtina oburzony, zuchwałością tem większą, że niedawno sam cesarz zgromił go ostro za to, że ze *„starikom"* nie żyje w zgodzie. Hr. Kotzebue mściwym był i uraz nie darowywał, Muchanowowi nie przebaczył obiadu danego dla ks. Imieretyńskiego, więc z pewnością nie oszczędził też trudów, aby Apuchtinowi porządnego przystawić stołka.

P. kurator ocalał jednak szczęśliwie. Dlaczego? To tajemnica *des petits entrées.* Za Albedyńskiego już o mało nie wyleciał, tylko znowu jakieś djabelskie zabłysło mu szczęście. Dziś zaś jest on wszechwładnym panem położenia, według Maryi Andrejewny wzorem rosyjskiego *diejatiela,* szczytem obywatelskiego poświęcenia. Więc pozostanie niechybnie tak długo, jak mu się żywnie spodoba.

Pracowitym jest ten zajadły człowiek i tak swemu przecież *„karennie russkamu"* otoczeniu nieufny, że sam każdy papier przegląda, sam każdy referat załatwia, wszystko wie i wszystko czyta, ale

jak już powiedziałam, nie przeszkadza to bynajmniej, że w kuratoryi i w szkołach tutejszych dzieją się najokropniejsze nadużycia, przekupstwa i wyzyskiwania. Nie powiem, aby p. Apuchtin osobiście w tem zawinił, karze je, gdy o nich wie, pod względem finansowym jest on osobiście czystym zupełnie, to przyznaję chętnie, lecz je toleruje, patrząc przez szpary, na postępowanie swoich podwładnych, od których jednej tylko wymaga kwalifikacyi: pokłonu w cerkwi i gruntownej do Polaków nienawiści. Jeśli to jest, mniejsza o wszystko inne. Niech nauczyciel nic nie umie, niech będzie najgorszego pod względem moralnym prowadzenia, niech najbrutalniej obchodzi się z uczniami — wszystko mu ujdzie, aby tylko „obrusjał“ i po *matiuszkie* malców *rugał*. Demoralizacya w szkołach do tego dochodzi stopnia, że sama słyszałam raz, jak jeden malec przechwalał się przed drugim, że spotkawszy ogródkową *bellę* swego profesora, ukłonił się jej bardzo grzecznie.

— E! co tam! odpowiedział mu dwunastoletni kolega — ja jej już parę razy cukierków zaniosłem i różę wczoraj kupiłem, i zobaczysz, że będę miał piątkę z russkiego.

System padagogiczny nieprawda, że świetny? Żaki we wszystkich szkołach wiedzą doskonale, gdzie, który z pp. profesorów lub inspektorów wieczorami zachodzi, jakie bóstwa jego miano i stan. I zaprawiają się wreszcie w zwyczajną w Rosyi drogę, robienia interesów za pośrednictwem ulicznych kurtyzanek.... Jeśli pod tym względem p. Apuchtin

chciał „obrusit“ naszą młodzież, to bliskim już jest celu.... Wszakże przed dwoma laty wykryto prostą szajkę złodziejską w jednem z gimnazyów na Krakowskiem przedmieściu, która kradła po sklepach, aby tylko zaspokoić żądania „*belli*“.... Byli to malce z czysto rosyjskich domów, synowie jenerała, prokuratora i rewirowego, prawosławni, zawczasu zaprawiający się na przyszłych „djejatieli“..., Ładne koleżeństwo i ładny przykład — nieprawda?

Ani nauki, ani wykształcenia lub jakiejkolwiek znajomości pedagogicznej p. Apuchtin nie posiada wcale. Powtarzam Ci raz jeszcze, to żaden pedagog, to nie zręczny operator, nie artysta rusyfikacyi, ale najpospolitszy felczer. Co za porównania z poprzednikiem jego Wittem! — Tamten miał stokroć więcej rozumu i doświadczenia i dla tego był od Apuchtina daleko bardziej niebezpiecznym i więcej dla młodzieży naszej szkodliwym. Przebiegły Niemiec umiał systematycznie, wytrwale. bez jaskrawości, lecz z wielkiem sprytem i finezyą swoją misyę rusyfikacyjną prowadzić i szkoły nasze dezorganizować, niszcząc za jednym zamachem wszystko, co po świetnych Wielopolskiego czasach pozostało. On nie pozornie, lecz gruntownie młodzież rusyfikował, on jej ducha zatruwał, wszelkie narodowe poczucie przygłuszał, on znał wszelkie polskiego studenta słabe strony, więc umiał w nie uderzyć, ran nie rozjątrzał, lecz wypalał. Co tamten przytłumił, Apuchtin na nowo rozżarzył, pod względem narodowym uczucia polskie podniósł, serca zgalwa-

nizował, drażliwość wydelikacił; sądzi, że „obrusił“, a tymczasem do wprost przeciwnych doszedł rezultatów. I to jedyna dobra rządów jego strona. Złą zaś, zniweczenie wszelkich zasad porządku, demoralizacya nie narodowa, lecz społeczna, prowadzona nie z umysłu, lecz z ciasnoty. P. Apuchtinowi zdaje się, że jest on sprężystym i że o wszystkiem wie, i na wszystko baczne zwraca oko. Że jednak tak nie jest — dowodem głośna sprawa panny Jentys i wykrycie ogniska spisku Bardowskiego w instytucie Maryjskim Panien.

Instytut ten przeniesiony z Puław na miejsce dawnego szlacheckiego, pozostaje obecnie pod zarządem pani Mezencow. Inspektorem jego był pan Szuchow, figura arcylicha, która pedagogię pojmuje ze strony romantycznej, a różne sprawki jego kwalifikowałyby się raczej nie tu, lecz do rewelacyj w rodzaju *Pall Mall Gazette*. Pan Szuchow z Instytutu Panien zrobił też istny Babilon. Każda młodsza i przystojniejsza dama klasowa mogła być pewną jego łask i protekcyi, ale pod warunkiem.... zupełnej uległości. Praktykowało się to lata całe i wszyscy udawali, że o tej eksploatacyi p. Szuchowa nic nie wiedzą. Raz przybyła do Instytutu z Petersburga panna Kowalska, opatrzona wszelkiemi możliwemi patentami i dyplomami, a że była młodziutką i bardzo ponętną, więc z kolei zwrócił p. Inspektor swoje miłosne zapały. Dla panny Kowalskiej zawieszono cały regulamin zakładu.... Jest przepis, że każdy, kto do Instytutu wchodzi, musi

się wpierw u portyera zapisać i zameldować albo Inspektorowi, albo samej przełożonej. Goście panny Kowalskiej wyjęci zostali odrazu z pod tego rygoru. Wolno im było chodzić o każdej porze dnia i nocy i nikt się nie pytał, co za jedni i po co przychodzą. Panna Kowalska mieszkała razem z panną Jentys, więc i ta z zalotów inspektorskich korzystała także. Odbywały się więc w pokojach tych pań bardzo często zebrania i wieczorynki, na których p. Szuchow nieraz bywał i bardzo wesoło się bawił, nie wiedząc, że owi goście to właśnie najczynniejsi spisku Bardowskiego członkowie. Cóż dziwnego, miłość zaślepia, a niedarmo Carmen nazwała ją „cygańskiem dziecięciem“, któremu „ani ufaj, ani wierz“. — Pan Szuchow zaufał i uwierzył i oto w jaki sposób spisek ten znalazł najbezpieczniejsze schronienie i najwygodniejsze przytulisko pod opiekuńczemi skrzydłami p. Apuchtina i w zakładzie imienia samej cesarzowej. Spisek odkryto, panna Kowalska i panna Jentys padły ofiarą i p. Szuchow otrzymał dymisyę, z Petersburga przybyła umyślnie z ramienia cesarzowej p. Raden na rewizyę i reformę Instytutu, ale znowu czy głównym winowajcą nie jest ten, kto takich mianuje inspektorów i na takie pozwala mu postępowanie, czy odpowiedzialność nie spada na p. kuratora tak zacietrzewionego w swojej rusyfikacyi, że „jak głuszec, gdy tokuje, nic nie widzi, nic nie czuje“.

Adjutantów i kamarylli p. kuratora określać Ci nie będę. Są to figury podrzędne, różne wywłoki,

dymisyonowani oficerowie, wypędzeni za łapówki komisarze, popowicze, którzy pokończyli uniwersytet tutejszy. Pospolita to czereda, niewarta, aby się nad nią zastanawiać. Gdzieniegdzie w jakiemś gimnazyum znajduje się uczciwsze indywiduum, gdzieniegdzie spotkasz wśród tego sztabu pedagogicznego człowieka o szlachetniejszych trochę instynktach i czystszych rękach, ale będzie to wyjątek rzadki, ptak ukryty w cieniu, siedzący jak mysz pod miotłą w ciągłej obawie i trwodze, że lada chwilę wygryzą go za to, że wszedłszy między wrony, nie kraka jak i one.

Los takich ludzi pożałowania godny, a sprawiedliwość każe mi przyznać, że są i między nimi Rosyanie....

P. Apuchtin ma ten szczególny talent, że nienawidzą go nietylko Polacy, ale i właśni jego rodacy i to bardzo pokrewnego mu zakroju. *Exemplum* zachowanie się „Russkiego klubu“ w sprawie p. Koczetowa, korrespondenta *Nowoje Wremia*, znanego z pseudonimu „Russkij strannik“.

„Russkij klub“ powstał tu po wypadkach w celach bynajmniej nie towarzyskich, lecz czysto politycznych. Miało to być centrum rosyjskiego życia w Warszawie, ognisko rusyfikacyi, główna kwatera najezdniczej hordy. Powołany do życia za hr. Berga, który bardzo niechętnie zgodził się na jego otworzenie i krzywem nań zawsze patrzał okiem, ulokowany w dawnym pałacu Andrzeja Zamoyskiego przy Nowym Świecie, „Klub Russki“ odegrał główną

swą rolę podczas Komitetu Urządzającego za czasów Czerkawskiego, Milutyna i Samaryna. Tam odbywały się poufne naszych organizatorów narady, tam w przyjacielskiej gawędce snuły się wielkie eksterminacyjne plany, ztamtąd wreszcie wychodziły hasła i padały najhałaśliwsze bomby. W „Klubie“ tym przyjmowano w r. 1867 jadących do Moskwy Czechów, w nim odbył się bal dla cesarza Aleksandra II. wracającego z Paryża po zamachu Berezowskiego, w nim urządzono szumne obiady i wypowiadano wszystkie te głośne mowy, pożegnania i toasty na cześć odjeżdżających z Królestwa Polskiego organizatorów. W ciągu lat „Klub“ zaczął tracić swoją misyjną cechę, a zamienił się w prosty dom gry i miejsce schadzek.

Restaurator kredytował, wina były nie złe, wódka doskonała, zaleganie w długach karcianych nie tak ostro jak w innych klubach karane, więc spieszyli tam czynowniki i czynowniczęta, by raczej pohulać, aniżeli o polityce rozprawiać. Oficerowie przenieśli się przeważnie do swoich klubów pułkowych, gdzie i swoboda była większa i kontroli żadnej, więc woleli wieczorami tam przesiadywać, pewni, że nikt się tam nie zgorszy, jeźli po pijanemu potłuką jakich parę tuzinów talerzy i nikt im nie będzie kołatać głowy misyjnemi celami. Kwiat zaś armii, synowie porządniejszych rodzin, zamożniejsi i lepiej wychowani, zapisali się do „Klubu myśliwskiego“ na Saskim placu, przekładając polskie towarzystwo nad czysto narodowe *gulanje*.

W klubie więc zostały same mniejsze ryby, płotki, bo urzędnicy, wyżsi dygnitarze, uczęszczają tam bardzo rzadko, Rosyanin niechętnie bowiem lubi się spotykać z swoim podwładnym gdzieindziej niż w biurze i nie pozwala mu się za „pan brat“ traktować. Klub stracił więc całkiem swoją pierwotną cechę. Od czasu do czasu dawano w nim jakieś rosyjskie teatra amatorskie, „słowiańskie“ koncerta, parę razy do roku oficyalnie obiady i na tem koniec. Zresztą przez cały rok Boży, karty, karty i karty....

P. Apuchtin postanowił i to zreformować i klub na nowo „obrusit“. W tym celu dał się wybrać z kilku przyjaciołmi na „starszynę“ (członka komitetu) i rozpoczął misyonarstwo.... A więc odczyty i „familijne wieczorki“, więc ciągłe jakieś patryotyczne obchody, przedstawienia, koncerty, mowy.... Zupełnie tak, jak Marya Andrejewna, która na cześć św. Cyrylla i Metodego urządziła w Zamku raut bez herbaty, ale z jeneralskiem kazaniem.

W misyi tej pani jenerał-gubernatorowa poparła go bardzo. *Dniewnik Warszawski* zaczął występować z artykułami, dowodzącemi konieczności reformy „Klubu“, Marya Andrejewna zaszczyciła kilkakrotnie patryotyczne zebranie „Klubu“ i jak mówią złe języki chcąc im nadać czysto narodową barwę, sama zasiadła do kart z papierosem w ustach.... Dziwne nieprawda maniery, jak na wielkiego Augura, ale za to czysto „samobytnicze“. Za jej inicyatywą zawiązane przez jen. Paniutina „Towarzy-

stwo amatorów rosyjskiego teatru", dało kilka przedstawień, odśpiewano parę aktów „Żiźni za Carja". Z początku to patryotyczne ożywienie Klubu podobało się trochę, ale później, kiedy przyszły odczyty i kazania, kiedy zaczęło się nawracanie na „patryotyzm", odezwało się wiele niechętnych tej reformie głosów. Agitacya jest rzeczą bardzo piękną, „djejatielstwo" jeszcze piękniejszą, skoro zwłaszcza połączone z pieniężnemi korzyściami, ale w swojem kółku, przed samymi sobą udawać wciąż Augurów i siedzieć na trójnogu, to może w końcu znudzić wszystkich, nawet najwytrwalszych.... I po co? Dla „podtrzymywania wśród siebie rosyjskiego ducha". Ależ oni tego ducha mają dosyć i podniecać go nie potrzeba, bo nie wygasł wcale.... Oni chcą tu przynajmniej grać swobodnie w karty i zapijać wódkę, a nie słuchać prawowiernych kazań i jakichś odczytów. Myśl więc p. Apuchtina nie znalazła, ku wielkiemu zgorszeniu Zamku, poklasku, a niechęć dla p. kuratora miała niebawem w ostrej objawić się formie. P. Koczetow pisząc do *Nowoje Wremia* swoje sławne listy z Warszawy, zadrasnął także i „Klub Russki", utyskując, że nie w nim, ale gdzieś aż w *Château des fleurs* na Długiej ulicy szukać musiał rosyjskich szansonistek i rosyjskiego życia, a że przytem miał na sobie różne kondemnatki z odeskich czasów, więc kiedy go p. Apuchtin na członka Klubu przedstawił, liczba czarnych przy balotowaniu gałek okazała się przeważającą. Wprowadziło to p. kuratora we wściekłość.

Jakto! jego kandydat, taki prawowierny, taki polakożerca przepada i to gdzie? w „Russkim Klubie“ w Warszawie! Podał się więc wraz ze swymi przyjaciołmi do dymisyi i z Klubu wystąpił.

Chcąc załagodzić sprawę, zarządzono drugie nad p. Koczetowem balotowanie. Tym razem liczba czarnych gałek wzrosła olbrzymio, było ich sto kilkadziesiąt, a białych zaledwie kilkanaście. Cała sprawa nabrała wielkiego rozgłosu. *Dniewnik* poświęcił jej szereg namiętnych artykułów, atakujących Klub otwarcie; krzyknięto, że Rosyanie sami dają zgorszenie, buntując się przeciw Apuchtinowi. Jak się to wszystko skończyło, nie wiem; wiadomo mi tylko, że ucztę dla pp. Naumowicza, Płoszczańskiego i Markowa urządził p. Apuchtin już nie w „Klubie Russkim“, lecz w hotelu Rzymskim.... Lokal w pałacu Zamoyskich uznano za niegodny przyjęcia takich, jak ci panowie „narodowych świętości“....

Jeśli chcesz wiedzieć, czy który z Rosyan warszawskich jest względnie przyzwoitszym, a przynajmniej z jaką taką ogładą towarzyską, pytaj zawsze czy należy do „Klubu myśliwskiego“? Nie będzie to wielką rekomendacyą, ale przynajmniej wskazówką, że z lepszej pochodzi rodziny i grając w karty przegraną płaci. Klub ten właśnie założony został umyślnie celem wytworzenia jakiegoś neutralnego gruntu, na którym i porządniejsi Rosyanie mogliby się spotykać z Polakami. Misyi politycznej nie ma on żadnej, lecz tylko zadanie czysto towarzyskie; prezesem był nominalnie hr. Tomasz Zamoyski,

który tam zresztą bardzo rzadko bywa, a członkami ci z wyższego towarzystwa polskiego, co lubią grę grubą i znaczniejszą. Bywają w tym Klubie i Naczelnicy kraju, a Albedyński przychodził tam często na zwyczajną partyę „wista;“ bywają cywilizowani jenerałowie, utytułowani oficerowie gwardyi i dygnitarze rosyjscy pokroju Muchanowa. Ponieważ przyjętą jest zasada balotowania, więc lada kto tam się nie wciśnie i dlatego członkowie rosyjscy do pewnego stopnia dają przyzwoitości rękojmię. Gra tam idzie wysoko, a wogóle klub cały urządzony po-europejsku i utrzymany na nader przyzwoitej stopie. W dwóch innych naszych resursach Rosyan wcale nie spotkasz, statuta bowiem Resursy Kupieckiej nie pozwalają przyjmować wojskowych, a Obywatelska trzyma się także w ściśle zamkniętem kółku.

Ten zakaz przyjmowania do resursy wojskowych pochodzi jeszcze, wyobraź sobie, z czasów przed r. 1831, a wydanym został przez W. Ks. Konstantego Pawłowicza, który obawiał się, aby oficerowie polscy w resursie nie dawali się wciągnąć w grę hazardową i nie kompromitowali w ten sposób swoich skromnych finansów. Przestrzega się go pilnie, bo oficer rosyjski nawet najporządniejszy nie jest bynajmniej w towarzystwach tutejszych pożądanym gościem, i jeśli nie przyjętem jest wogóle w Warszawie, aby panny chodziły na bale publiczne, to głównie ze względu nierobienia znajomości i tańczenia z nimi. Wogóle nie sądź tutejszych wojsko-

wych europejską miarą. Co przez myśl nie przejdzie oficerowi niemieckiemu, francuskiemu lub austryackiemu, to tutejsi praktykować gotowi w najlepsze. Przedewszystkiem wszędzie ich pełno i wszędzie ich widzisz, po teatrach, ulicach, koncertach, ogrodach, restauracyach, hotelach, handelkach, knajpach i t. d. Poszanowania dla munduru żadnego, do najgorszej dziury zalezie ci oficer tutejszy (mam tu zawsze na myśli głównie liniowych, z piechoty), i będzie się bił w lada ogródku z czeladnikami. Niema dnia, ażeby takiej bójki nie było, a jeśli w rządowych teatrach naszych zachowują się przyzwoiciej, to dzięki tylko wielkiej czujności policyi i placmajora pułkownika Modla, który takich awantur nie znosi i zaraz ekscedenta aresztować każe. Ale zapytaj którego z panów, niech ci opowiedzą o zachowaniu się tych „obrońców ojczyzny“ w innych, przez mniej przyzwoitą publiczność uczęszczanych miejscach....

Horrendum! na całym świecie z pułku wyrzuciliby i przegnali na cztery wiatry, a tu nikogo to nie razi, bywają zaś wypadki, że w podobnem starciu biedny oficerzyna dostanie — po fizyonomii, wówczas zawoła: „wot skandał“ — obróci się na pięcie i najspokojniej pójdzie dalej.... Poniewiera się ten mundur po najbardziej podejrzanych miejscach, a każde święto pułkowe zakończyć się musi na obmierzłej orgii, wśród ulicznic i rynsztokowego błota. Zkąd się na te wszystkie hulanki biorą pieniądze, zkąd taki oficerzyna, co ma 40 rs. pensyi miesięcznie, znajduje środki i na codzienne szam-

pańskie, i dla wesołych cór Koryntu, i na zapłacenie potłuczonego szkła i serwisu. — to już ich tajemnica. Długów mają zawsze po uszy, ale jakoś to idzie. Specyalną manią oficerów rosyjskich jest tłuczenie serwisów. W restauracyjkach i zakładach, w których się odbywają orgie, kończące święta pułkowe, właściciele mają już specyalne serwisy fajansowe, przeznaczone na pastwę.... Oblicza się to już z góry i nieodmiennie na rachunku figurować musi. Inaczej niema żadnej zabawy i między sobą oceniają oni każdą taką orgię skalą stłuczonych talerzy.

— Ile u was wczoraj poszło tuzinów? pyta swego kolegi oficer innego pułku, nazajutrz po takiej zabawie.

— Aż dwanaście! W naszym pułku nigdy mniej nie idzie....

— *Wot prelest.... U nas tolko czetyry!...*

Bardziej już dbają o swój honor i reputacyę oficerowie gwardyi. Ci zwykle zamożniejsi, z lepszych pochodzą rodzin i są bohaterami warszawskiego baletu i *demi mondu.* To świat, w którym się obracają i są prawdziwymi lwami. Hulają też zawzięcie i rozrzucają pieniądze, dlatego mają *sui generis* popularność, którąbym nazwała dorożkarską. Nie masz pojęcia, jak taki g w a r d i j e c szasta zwykle pieniądzmi i jakie wydaje sumy. Przed paru laty n. p. przybył tu z Petersburga dziedzic jednego z świetniejszych imion Rosyi, syn bardzo wysoko postawionego dygnitarza dworskiego. Bawił tu parę

tygodni i codziennie wyprawiał w jednej z zamiejskich restauracyj lukulusowe uczty. Każdego wieczora przygrywała mu orkiestra, za którą płacił kilkaset rubli, najwykwintniejsze potrawy zastawiano na jego stole, szampan lał się strumieniami, a *pourboiry* nie były mniejsze, jak od 15 do 25 rubli. Codzień na doróżkarzy szło kilkanaście butelek szampańskiego, za paczkę papierosów rzucał dziesięciorublowy papierek, garsoni porobili na nim majątki, a półświatek wspominać go będzie długie lata. Wśród restauratorów i doróżkarzy wytworzyła się formalna legenda o nim. Przez kilka dni urósł na bohatera warszawskiego bruku i gdzie się kto ruszył, wszędzie o nim mówiono.... Tego właśnie rodzaju jest popularność gwardyi w Warszawie i to ci tłómaczy, dlaczego, kiedy po ostatniej wojnie pułki wołyński i litewski wracały do Warszawy, przyjmowano je tu kwiatami i wieńcami.... Tegoż dnia jeszcze wszystkie te kwiaty i wieńce wróciły *retour* do baletowych kulis....

Wśród nich bywają jednak czasem dziwne nieraz zamiłowania i charakterystyczne rysy. Od kilku lat przewodniczył birbantom gwardyjskim młody oficer ks. W., bogaty bardzo, a jeszcze bardziej hulaka. Otóż ten książę, ten dziedzic jednego z przedniejszych imion w Rosyi, ten wielki pan uczuł nagle dziwne powołanie, zgadnij do czego — do policyi! Sprawował jakiś czas z zamiłowaniem urząd jakiegoś nędznego subalterna, coś w rodzaju komisarza czy rewirowego. Oryginalne upodobanie —

nie prawdaż? a tak w naszych warunkach dziwne, że właśni księcia koledzy postawili mu do wyboru albo przeniesienie się z pułku, lub służbę policyjną. Mówiono o tem bardzo dużo w sferach oficerskich i ostatecznie ks. W. został adjutantem jenerał-gubernatora. W r. 1895 został policmajstrem w Niżnim-Nowogrodzie

Jakiem jest w Warszawie czysto rosyjskie towarzystwo, tego ci określić nie potrafię. — Nikt z nas tam nie bywa, nikt go też nie zna, a doprawdy nie wiem, czy wszyscy ci panowie i panie spotykają się między sobą gdzieindziej, aniżeli na urzędowych przyjęciach w Zamku i na rzadkich wieczorach w „Klubie Russkim.“

Na tem kończę mój list o Rosyanach w Warszawie. I znowu jak przy pierwszym zastrzedz się muszę, że nie jest on zupełnym i całkowitego obrazu nie przedstawia. Starałam się głównie nakreślić ci tu sylwetki wybitniejszej osobistości, nietylko bardziej w mieście znanych, ale zajmujących znaczniejsze stanowiska i przez to na ogólne nasze położenie wpływ mających. Takie bowiem tylko mogą szerszy ogół polski obchodzić. Innych, cichych, bez stanowiska, a zatem i bez wpływu, spokojnych, często uczciwych, bardzo często łotrów skończonych, pominęłam wielu. Znaczna liczba utonąć musiała w ogólnych charakterystykach i typach. Zastrzegam sobie także że to, co mówiłam powyżej o urzędnikach, odnosi się specyalnie do Rosyan. Polacy wejdą w zakres jednego z następnych listów. A teraz kończę, bo mi już pilno zająć się naszem towarzy-

stwem polskiem w Warszawie i jemu przypatrzyć się trochę bliżej. Tylko z góry cię uprzedzam, że tu żadnych sylwetek się nie spodziewaj i osobistych szczegółów nie szukaj. W naszych stosunkach absolutnie to niemożebne. Naruszać nikogo nie myślę, nazwiska więc zostawiam do osobistego się z tobą widzenia, a jaknajściślej postaram się zamknąć w ogólnej charakterystyce i zbiorowych typach. — Wprzód jednak jeszcze trochę o naszem ciele dyplomatycznem.

[illegible]

LIST III.

Nasi Konsulowie.

TREŚĆ: Ciało dyplomatyczne w Warsza
konsulatów. — Rzeczywiste i tytu
Rechemberg. — Jego charakteryst
Berga. — *Agent provocateur.* —
giem. — Baron Brenner von Fels
Wysocki i Gietschke. — Baron K
i baron Finaud. — P. Mansfield i
porta o Unitach. — Pułkownik Ma
tytularni. — Mania finansistów.
Mowa....... — Żałoba dyploma
Ministeryum spraw zagranicznych

Kiedy już poznałaś nasz świat
patrz się z kolei — ciału dyplom
szawy. Tak, my tu mamy naszą
na cyfry nawet bardzo liczną. W
jak Peszt posiada w swych mura
sulaty, które bynajmniej nie czy
cele. Znaczenie ich może większ
bo bardziej polityczne, są to rac
chiczne, zależne od ambasadoró
w ważnych jednak razach całkie
respondujące wprost z gabineta
dawnych konsulów wyszło już
sadorów i w karyerze młodyc

zajmuje miejsce bardzo wybitne, jest etapem przejściowym, z którego idzie się zwykle na Wschód lub dalej w głąb Rosyi. Pod względem reprezentacyi dyplomatycznej była kiedyś Warszawa daleko lepiej uposażona niż obecnie. Z wyjątkiem jedynie Prus, które taksamo dawniej, jak teraz bardzo inteligentnych miały tu konsulów, od 1836 roku począwszy, inne państwa widocznie daleko mniej dziś dbają o należyte obsadzenie tutejszego dyplomatycznego stanowiska. Ludzie, co pamiętają czasy dawniejsze, wspominają mianowicie Anglię i Francyę, które staranny czyniły wybór swoich reprezentantów w Warszawie. Jeszcze przed wypadkami 1863 r. i wśród nich, mieliśmy tu p. Valberaine'a, konsula francuskiego, bardzo inteligentnego człowieka, a w konsulacie angielskim mr. W. White, dziś ambasadora w Konstantynopolu. Za Mikołaja wybór był jeszcze staranniejszym. Później nastąpiło ogólne w tym kierunku obniżenie. Trzeba jednak odrazu odróżnić konsulaty poważne, rzeczywiste, od tytularnych tylko, prawowanych przez miejscowych kupców i banierów. Tych ostatnich liczba przeważająca i jeżeli icesz wedle tytułów obliczać nasze ciało dyplomaczne, to personal jego dojdzie do imponującej cyfry kudziesięciu osób. Do pierwszej kategoryi zaliczać ko mogę reprezentantów czterech wielkich motw: Niemiec, Austryi, Francyi i Anglii, do dru-: Belgię, Włochy, Holandyę, Szwajcaryę, Hiię, Szwecyę, Stany Zjednoczone, Persyę i Peru, ten kraj posiada swego konsula w Warszawie.

Pierwsze cztery mocarstwa mają tu swoje jeneralne konsulaty, a na czele ich osoby, z któremi, jeżeli chcesz dobrze towarzystwo warszawskie poznać, muszę cię najprzód zaznajomić. Bez wpływu na nasze życie towarzyskie a nawet i sprawy oni nie są i niektóre z tych figur są i ciekawe, i pod każdym względem bliższej znajomości warte. Zaczniemy zaś od najwybitniejszej i najbardziej wpływowej.

Jeneralnym konsulem niemieckim jest baron Rechemberg. Osiadły w Warszawie od lat dwudzie stu kilku, pan baron nietylko z wieku i stanowisk jest dziekanem naszego ciała dyplomatycznego. P nuje on nad swymi kolegami inteligencyą, spryt i wpływem, jaki tu umiał sobie w wielu sfer wyrobić, używa też nietylko powagi, ale raczej p wagi. Za hr. Berga głosu jego słuchano w Za niejednokrotnie; powiadają, że on to właśnie sunął Namiestnikowi myśl nakładania kontry i konfiskat, dowodząc, że w ten sposób ruch najszybciej stłumić i że ten środek teroryzo będzie najpraktyczniejszym. Ważniejsze nom i rozporządzenia nie obchodziły się bez jego u Była to zenitowa epoka jego znaczenia. Ty bitnie pruskiego, stary ale rzeźwy, o wieczn wonej twarzy i w kasztanowatej peruce, R berg przypomina mi zawsze owego Van der z *Dory* Wiktora Sardou, dyplomaty-ajent w rodzaju więcej może policyjnego niż polit dygnitarza, który wszystko zrobi, aby tylko w o wszystkiem i rząd swój dokładnie infor

Pod tym względem muszę mu oddać sprawiedliwość — jest on doskonałym ajentem i stanowiska swego nie pojmuje jako synekury i bióra do załatwiania spraw handlowych, lecz zręcznie nadaje mu wyższą polityczną barwę i jest raczej rezydentem pruskim w Królestwie Polskiem, aniżeli zwyczajnym konsulem. Kraj nasz i jego ludzi zna doskonale, umie odrazu wybornie ocenić doniosłość każdego wypadku, rozróżnić najmniejsze odcienia, zaznaczyć każde szybsze uderzenie pulsu, każdy ruch bardziej przyspieszony. Na nikogo się nie ogląda i niczego się nie boi. Jemu nie idzie o to, aby się wyższym sferom tutejszym w czemkolwiek nie narażać, on ustępstw żadnych nie zrobi, a jeżeli się na nie zdecyduje, to tylko pozornie, na oko, bo w gruncie on zawsze na swojem postawi. I kiedy konsulat austryacki nigdy nie obchodzi uroczyście imienin lub urodzin swego cesarza, z obawy, aby mu tego nie wzięto w Zamku lub na Ratuszu za złe, kiedy bar. Brenner nie chciał się nawet w dzień jubileuszu cesarza Franciszka Józefa zgodzić na uroczyste nabożeństwo i wspólną ucztę, bar. Rechemberg corocznie przewodniczy wspaniałej biesiadzie niemieckiej w dzień urodzin Wilhelma, wznosi toasta i posyła elegramy do Berlina.

Poddanymi swego państwa opiekuje się dobrze, turalnie o ile nie są Polakami, chociaż i wównawet prędzejby się za nimi wstawił, aniżeli ulat austryacki za swoimi. Znać w nim siłę agę nietylko tych, których reprezentuje, ale

i samego reprezentanta. Chytry, *bardz*
doskonały węch i potrafi się zmienić *ja*
stosownie do wiatru, jaki z Berlina *zaw*
czasy, że po mowie Skobelewa p. *Reche*
wnie dawał się słyszeć z pogróżkami i
występował otwarcie w roli *agent provoca*
szałam sama, jak na pewnym wieczorze
ludzi poważnych odzywał się podczas *pob*
belewa, że teraz właśnie byłby czas, *aby*
zmądrzeli i jawnie się do Prus przechylili,
nie szkodziłoby *„qu'on fasse quelques béti*
to dałoby Niemcom asumpt do wystąpienia

Rusofilem bynajmniej nie jest, chociaż
kiego u niektórych płytkich głów na Zamku
indziej jeszcze uchodzi. Jego rusofilstwo
na tem, że o Polakach, gdy mu potrzeba
się z lekceważeniem i do wszelkich kroków
syjnych zachęci i popchnie. Na tem wła
łapią i naiwnie w przyjaźń jego i gorliwość
wierzą. Chytry to jednak Prusak, który nie
nas po krzyżacku — to prawda — ale i
w sercu bynajmniej nie chowa i jeden, je
tylko na względzie interes t. j. aby wszys
cowali dla króla pruskiego. Najwięksi też
manofobi rosyjscy tańczą nieraz, jak on ir
i sami nawet nie wiedzą, jak często dali si
nić do czegoś, co tylko sprzyjać mogło je
resom. Zręczny jest pod tym względem i
wszędzie ma swoich ludzi, o wszystkiem wie,
stkiem donosi. — Najmniejsza bagatelka ni

bystrego wzroku. — Zwróć tylko uwagę, że
-oć który z tutejszych dzienników z byle jakiej
i odezwie się trochę, nie powiem życzliwiej,
mniej ostro o Bismarku lub Niemczech, wnet
bne wystąpienie zaznaczonem będzie w *Nord.*
Ztg., bo w konsulacie wszystko czytają i naj-
adniejsze raporta z prasy ślą do Berlina. Pod
względem ma on wydelikacony węch i dosko-
wyrobione przez kilkunastoletnią obserwacyę
ıcie. Kiedy podczas ostatniego pobytu cesarza
ły się tak długie pertraktacye o to, czy Ale-
er *III.* wstąpi do jakiego kościoła katolickiego,
Zamku robiono wszystko, aby go od tego za-
odwieść, i kiedy sam cesarz z własnej inicya-
zatrzymał się przed kościołem św. Aleksan-
szedł tam na chwilę z żoną i następcą tronu —
nęło minuty, a wnet poleciała depesza o tem
na z dodatkiem, że przy tej jedynej okazyi
itał monarchę sympatycznym okrzykiem
ztą cały wjazd jego odbył się wśród gro-
ilczenia prawdziwej publiczności.
a Rechemberga będą z czasem jednym
wszych dla nas materyałów z tajnego
pruskiego, a jest ich tam chyba nieje-
in, bo żadne ministeryum w Petersburgu
tak dokładnych o wszystkiem, co się
informacyj, jak ks. Bismark. — Jestem
że każda z wybitniejszych osobistości
na już oddawna swoją w nich chara-
specyalne akta, ustawicznie uzupełnia-

ne i że gdyby kiedykolwiek, co nie daj
Królestwa weszli Prusacy, obracaliby się
własnym kraju. Przed paru laty, kiedy
między Rosyą a Niemcami były tak napr
wien wyższy oficer sztabowy opowiadał mi, ż
ku widział mapę dowodzącą, że wszyst
żniejsze punkta strategiczne po tej stronie
już oddawna w rękach pruskich. Tu most
a przy nim młyn, a kto tego młyna właśc
jakiś kolonista niemiecki. Tam znowu lasek
w danym razie ważny. Czyją on własnością
pruskiego kolonisty. W tem znowu miejsc
przejść rzekę w bród, czyje grunta na jednym
brzegu? Niemca-kolonisty. I tak we wszystki
ryś ze Skobelewczyków zadał sobie dużo trud
chawszy cały kraj, wszystkie te punkta n
oznaczył. Mapie się w Zamku przypatrywano,
dy Skobelewowska fantazya minęła, złożon
acta i kolonizacya niemiecka postępuje w Kr
nie bez pewnego systemu i militarnych wid

---

*) Pewien obywatel z Podlaskiego opowiad
przed paru laty do majątku jego przyjechało ki
bowców rosyjskich, by wyznaczyć bród na Bug
więc najwytrawniejszych rybaków, przeszli z ni
bród na miejscu wyznaczyli, a gdy przewodniko
fatygę po 3 rublowym papierku, ci niezadowol
małego datku, na pożegnanie poczęstowali ich na
nowiną: — Łońskiego było tu trzech Niemców,
skonale wiedzieli, gdzie można przejść, ale spr
chcieli i dali nam za to nie jakieś tam papierki,
złote sztuki, za któreśmy wzięli więcej niż po 8

Nowa z tego próbka, że posada p. Rechember-
ga nie jest bynajmniej synekurą, i że konsul jene-
ralny Niemiec na darmo czasu nie traci. Pracowi-
tym musiał być dawniej bardzo, dziś już stary,
więc używa wczasu, ale swoje zawsze zrobi i do-
pilnuje; w towarzystwach mało bywa, chociaż zna
prawie całe miasto; spotkać go możesz tylko w nie-
których salonach arystokracyi finansowej. W Ber-
linie używa wielkiego zachowania i u ks. Bismarka
jest doskonale notowany. On jeden w Skierniewi-
cach przypuszczony był do narad i całemi dniami
przesiadywał w apartamentach kanclerza. Najlepszy
zaś dowód, jak jest swemu rządowi pożyteczny
i w Warszawie niezbędny, w tem, że pomimo tylo-
letniej służby i wielkich zasług tak długo nie
awansuje i na wyższą posadę przeniesionym nie
zostaje. Hierarchicznie biorąc, dawno już powinien
być posłem przy jakim drugorzędnym dworze, trzy-
mają go jednak tutaj i jestem przekonana, że długo
jeszcze będzie siedział na skromnej posadzie jene-
ralnego konsula w Warszawie, tak im jest potrze-
bny i pożyteczny. Osobiście figura charakterysty-
czna, w formach ciężka, przyzwoity, lecz w obejściu
czasem zbyt poufały, rubaszny, to znów sztywny,
Prusak czystej krwi i pod tym względem typ skoń-
czony. Wszakże po świecie obyły, ztąd nie bez
pewnej światowej zaprawy, ożywienia i dowcipu
w rozmowie, przy okrutnej dozie blagi i kłamstwa.
Przyjaciół tu niema, ale też o nich nie dba, w ko-
ach rosyjskich boją się go do pewnego stopnia,

bo wiedzą, gdzie jego stosunki sięgają, i
bezpiecznie z nim zadzierać, tak bowiem
uszyć komu butów i nieznacznie skompromi
nikt nie potrafi.

W tem, co mówi, jest pewna brutalność
przy całym swoim sprycie nie dyplomatyzuje
rąbie otwarcie i śmiało. W danej chwili kry
wać będzie rząd tutejszy, wyśmiewać jego p
rzeczności, da do zrozumienia, że głupcy to
się raz zdobyć na energię i „coś urządzić“, c
przy zmianie prądu pochwali to wszystko, pe
niej ganił i powie *qu'avec vous on ne* ko
agir autrement i skoro nie umieliśmy w
z chwili, słusznie teraz cierpimy i t. d. W
nienawidzi nas a jeszcze bardziej lekceważ
manizator, i *Drang nach Osten* ma w nim
liwszego poplecznika. Jak niegdyś jego po
za Stanisława Augusta, Buchholz, przy in
politycznych robi także państwowo-finanso
chodząc z zasady, że skoro Rosya okłada p
niemieckich podatkiem paszportowym, więc
nawzajem powinni ściągać z poddanych
podobny haracz, zaprowadził wizy pa
których dawniej nie było, i każdy jadąc
miec musi wprzód opłacić taksę w kons
czej go bowiem na granicy pruskiej
Innowacya ta przynosi podobno konsu
szemu poważną sumę, i w części przy
pokrycia kosztów utrzymania. Natura
nawzajem podniesiono za to pensya

Warszawę i na stanowisko, jakie zajmuje, doskonale jest uposażony. Wogóle biorąc, człowiek to bardzo zręczny i ajent wytrawny i zobaczysz, że nie będę fałszywym prorokiem, przepowiadając mu w razie jakich ważnych zmian w Królestwie, okupacyi pruskiej np., bardzo wielką rolę i pierwszorzędne stanowisko, jeśli Bóg da mu życie, bo mimo czerstwej miny i rudawej peruki jest to człowiek bardzo stary. Konsulat niemiecki mieści się przy ulicy Niecałej pod Nr. 8 i zajmuje lokal niezmiernie skromny, brudny i ciasny. Na pozór zdawałoby ci się, że to najpodrzędniejszy z konsulatów. Tymczasem to pierwsze skrzypce naszego ciała dyplomatycznego. W danym razie, jeżeli idzie o wspólny jaki krok w Zamku, *môt d'ordre* daje pan Rechemberg i on to zwykle przewodniczy wszystkim urzędowym audyencyom wszystkich konsulów u jenerał-gubernatora. Żona i dzieci jego mieszkają za granicą, więc domu u siebie nie prowadzi i żadnych przyjęć nie daje. Raz do roku obchodzi wraz z kolonią uroczystym składkowym obiadem w hotelu urodziny ces. Wilhelma i wówczas na tę ucztę zaprasza tych dygnitarzy tutejszych, którzy posiadają ordery pruskie. Nieuczynny do najwyższego stopnia, taką już sobie wyrobił tu reputacyę pod tym względem, że go nikt o nic nigdy nie prosi i stosunków oraz wpływów jego nie używa.

Reprezentantem Austro-Węgier był dawniej baron Brenner von Felsach, później poseł pełnomocny przy dworze portugalskim. Człowiek to uczciwy,

ale też nic więcej, typ sko
stryackiej starego, *tranchons*
autoramentu. Gatunek ten p
szcze u was wymarł, ale rze
prawdę zrozumieć, dlaczego
najprzedniejszy jego okaz p
tutaj trzymano. Jeśli to był
go winszuję hr. Andrassemu
nie przypuszczam nawet, aby
nera była w Wiedniu dla k
skoro p. Kallay, będąc jeszc
ryum spraw zagranicznych,
przez pewnego politycznego
kiem otwarcie: *N'allez pas*
vaut-pas la peine. Osobiście c
wychowany, dobry, nadzwycza
czniony, w towarzystwie mił
zmiernie lubiany; *Kurmacher,*
wych faworytów, pierwszej kl
tantem nie Austro-Węgier, l
biurokratycznego *Schlendrian*
w swych pojęciach, pomimo, ż
zmieniło, pozostał zawsze sobą
i zadaniem dyplomatycznem b
nie posądził go kto o sprzyjan
tego zarzutu, jak ognia, i na k
się przed nim, jakby przed gr
Ta myśl tak zaprzątała jego u
nic innego nie widział i nie
mógł . . .

Franciszka Józefa w dzień jego jubileuszu od tutejszej kolonii austryackiej, upierał się koniecznie, aby tekst był cały po niemiecku, chociaż sami Czesi przyznali, że skoro olbrzymia większość poddanych austryackich w Królestwie jest polską, więc w ich języku należy adres zredagować, a tylko przekład niemiecki dołączyć. Innym znów razem, przy zaślubinach Arcyksięcia Rudolfa przeciwnym był bardzo, aby adres przez osobną posłać deputacyę, lecz chciał go zakomunikować zwyczajną drogą urzędową, naturalnie dlatego, aby po kilku miesiącach doszedł swego celu i żadnego wrażenia nie wywarł. Słowem, w podobnych wypadkach reprezentant Austro-Węgier zapoznawał iście konieczne stanowisko. Nietylko, że nie zachęcał swojej kolonii do wyrażania uczuć wierności i przywiązania do swego monarchy, lecz przeciwnie na każdym kroku okazywał wahanie się i lękliwość, sądząc naiwnie, że poczytanem to mu będzie za roztropność i wielką zręczność dyplomatyczną i że tem właśnie swemu cesarzowi dogodzi. Przykre go też opanowało zdziwienie, gdy jeden z członków kolonii austryackiej, nie zważając na fochy i „finezye“, zabrał adres do Wiednia, wręczył Arcyksięciu i był nader łaskawie rzez Cesarza i Cesarzewicza na specyalnych audyenach przyjęty. Przebudził się wówczas staruszek, etarł oczy i dopiero zoryentował się, że po kilastu latach jednak stosunki się nieco zmieniły awny *Schlendrian* niezawsze dobrej udziela rady. ego ten konsul właściwie się bał i na co się

oglądał, tego, przyznam ci się otwarcie o
gdy nie mogłam. Wszakże Niemcy nawe
roku urodziny cesarskie, wszakże Rz
francuscy urządzają bankiet w święta
litej, naturalnie pod egidą swego konsu
góżby jeden tylko Cesarz austryacki mia
zbawiony honorów, oddawanych mu w
nawet w najodleglejszych krańcach świat
rząd chyba mu nie szło, bo przecież tak d
instrukcyj żaden gabinet by nie dawał,
żało mu może na tutejszych figurach i r
nie posądzano go w kołach rosyjskich
woływania demonstracyj. I ta obawa był

Opowiadano mi, że w dzień jubileu
Franciszka Józefa, dygnitarze tutejsi,
derami austryackiemi, wyczekiwali ty
nia na uroczyste nabożeństwo i uczte
najskwapliwiej przyjąć, tak im podob
dawał się rzeczą prostą i naturaln
zdziwieniem dowiedzieli się, iż w ty
bar. Brenner wyjechał umyślnie z
owa święcona na całym świecie p
stryackie data, minęła w jednej
głucho i cicho. A więc była to cl
lityka", która ostatecznie na człon
lonii austryackiej bardzo przykre
i gdyby nie wstawiennictwo kill
ludzi, osobiście baronowi życzliw
już wówczas dostałaby się do g

lękliwości swej był bar. Brenner konsekwentym i zawsze, czy to z okazyi powitania przejeżżającego arcyksięcia Karola Ludwika, lub przy innych jakichkolwiek sposobnościach występował z zastrzeżeniami. Przy konsulacie austryackim niema dotychczas np. żadnego *Hilfsvereinu*, chociaż egzystuje on przy konsulacie francuskim, a zagranicą przy wszystkich innych niemal austryacko-węgierskich, a stowarzyszenie takie byłoby niezmiernie pożyteczne, bo poddanych waszych jest w Królestwie około 30.000, i nieraz bieda i nędza wśród nich tak wielka, że nie mają za co do domu powrócić. Ale żądać od p. bar. Brennera jakiejś inicyatywy, byłoby to wymagać niepodobieństwa. On siedział tylko tutaj, aby załatwiać „kawałki“, legalizować podpisy. Wszelką inną energiczniejszą trochę działalność uważał już za niebezpieczną, więc drżał przed nią i uchylał się. Nietylko sam mało robił, ale innym jeszcze robić nie pozwolił i każdego bardziej ruchliwego vicekonsula starał się hamować i gorliwość jego krępował. — Sam baron o Bożym świecie nie wiedział, żartowano z niego, że nie było mu znanem to, co pisywały gazety tutejsze i o czem publicznie w całem mieście mówiono. Nic nie robić, nic nie wiedzieć, siedzieć cicho i spokojnie się dosługiwać wstęgi św. Stanisława I. klasy, która przecież na piersiach bardzo ładnie wygląda, oto była cała bar. Brennera „wyższa polityka!“ Złym on nie był, nawet wszystkie te jego śmieszne obawy i względy nie pochodziły bynajmniej z braku życzliwoś

ku Polakom. Nie; owszem, on nas
i krajowi bardzo dobrze życzył, tylko
to zaśniedziały i niedołężny biurokrat
do pozycyi, którą zajmował, nie dorós
wiązków, które na nim spoczywały, nie
Że to wszystko kolonię austryacką bardz
że zwłaszcza porównując jego postępow
powagą, wpływem i śmiałością, z jaką za
stępował konsul niemiecki, czuli się wasi
manni niejako upokorzeni i niejako w sw
stwowej dumie drażnieni, to przecież rzecz
naturalna. — Pomimo wszystkiego baron
nie umiał nawet wyrobić sobie chociażby s
powagi w kołach urzędowych. Nikt się z n
rachował i nikt się na niego nie oglądał i ni
zaiste, czego się tak ciągle bał, bo na praw
tu na „poczciwego barona“ nie zwracał
i nikt go tak bardzo nie kontrolował. W sa
tutejszych bywał dużo i wszędzie, a panie
wały bardzo, skoro nareszcie zabrano go do
galii na stanowisko tak jego zdolnościom i u
bieniu odpowiednie. Tam „reprezentować“ b
on doskonale, wygląda imponująco, nosi bar
dne ordery i wstęgi, a jakby przyszło kied
małżeństwo urządzić, z podobnej arcytrudnej
wywiązałby się niewątpliwie znakomicie. . . .

Następcą bar. Brennera został bar. Krau
dobno poprzednio wysoki urzędnik w minist
spraw zagranicznych w Wiedniu. Człowiek
kiem innego niż „poczciwy baron“ pokroju.

'a bystrzejsza, i ruchliwość większa, i inne
m pojęcie stanowiska. Spokrewniony z rodzi-
polskiemi, włada naszym językiem wcale nie
ιociaż z pewną trudnością, interesuje się wszy-
, obserwacyę ma trafną i niezawodnie prędko
unkach zoryentować się potrafi. — Zdolność
aprzeczona i umysł bystry wyrobiony. Z Wie-
sano mi o nim, że podobno nie bardzo lubi
v; tu znowu *Nowoje Wremia* napadła kiedyś
o za to, jakoby miał być całkiem polako-
dzie prawda, oznaczyć trudno. W każdym
dyby nawet wersya wiedeńska była pra-
wówczas trzeba mu przyznać, że niechęć
nie pogodzić z dyplomatycznem i dobrze
nego człowieka stanowiskiem.
ego potrafił sobie wyrobić stosunki towa-
- w wielu domach bywa i wszędzie zrobił
bre wrażenie. Poważny to człowiek i dy-
ardziej seryo, na bojaźliwego nie wygląda
ręcznym z pewnością być potrafi. W sile
około 40, ma twarz wielce sympatyczną
iańską niż niemiecką, obejścia ujmującego,
wiedzieć się stara. Na powagę bynaj-
ozuje, a w ogóle robi na mnie wrażenie
e szkoły Kallaya, a ta podobno u was
ι, bardziej przedsiębiorcza i ruchliwa.
razie interesa austro-węgierskie na tej
ały wiele i mam jakieś przeczucie, że
powoli stanowiskiem, wpływami i zna-
u stanie do swego niemieckiego kolegi

w tym samym stosunku, co
do Niemiec.

Najlepszy dowód, że w
był dobrze znany, jest ten -
wsze zdolnych i uczciwych v
był nim dzisiejszy poseł
Urzędował on w Warszawie
Brenner bał się i tego, że
kiem, po polsku mówił i m
przełożonego niezmierną wa
stko wiedzieć i mieć zawsze
łowe informacye. Młodszen
szkole, trudno się było ze
zgodzić, krępowało go też
barona, bo darł się do sam
załatwianiu kawałków nie
stał też niebawem awans d
dyplomatycznej przeszedł
warszawscy jego przyjaciel
wodzenia, pewni, że na tej
mógł okazać swe zdolności i
dowaniu.

Po p. Wysockim był
także bardzo krótko p. O
policyi w Sarajewie. Mł
i zdolny, pochodził z ro
we Lwowie osiadłej, znał
się Polakiem. — Zmarł w
siową, która go przedwc
wił wielu przyjaciół i k

mnienie. — Miejsce jego zajął także młody wychowaniec akademii oryentalnej p. Pietschke. Spotykałam go często, lubię go bardzo dla jego rzadkich salonowych zalet i istotnego do muzyki talentu, a z wielu stron słyszałam o nim dużo dobrego. Chociaż nie Polak (pochodzi z Morawy), językiem naszym włada doskonale, dużo czyta i dużo wie, w Warszawie zaaklimatyzował się wybornie, miał tu stosunki rozległe i dobre i zdaje mi się, że obserwator z niego poważny i wytrawny. — Grzeczny, ujmujący, uczynny, ma pewną bystrość, która powinna w karyerze jego bardzo mu być pomocną; zręcznym jest i ruchliwym, ogólnego tu używał szacunku i sympatyi i w każdym domu bywa nietylko miłym, ale i pożądanym gościem. Członkowie kolonii austryackiej chwalą go bardzo za szybkie i energiczne załatwianie interesów i za poważne pojmowanie obowiązku opieki nad poddanymi swego państwa. Przed rokiem przeniesiono go na konsula do Jass.

Rzeczpospolitą francuską reprezentuje obecnie p. Bayard, a do niedawna stanowisko jeneralnego konsula zajmował całej Warszawie doskonale znany i bardzo na jej bruku popularny, zmarły niedawno bar. de Finot. O p. Bayard niewiele ci mogę powiedzieć: wygląda, jak wszyscy urzędnicy francuscy a nowego porządku rzeczy. Przyjechał tu z Tryestu zajmuje się wyłącznie sprawami handlowemi. Człowiek oczytany, zdrowego zdania, bardzo ostrożny, wszystkich zalet i dowcipu właściwego Francuzom się nie wiele posiadać. *Debaty* czy inny jakiś

ien
zer
stw
m
ınd
a (
ną
ıtejs
ców
eres
ego
tyk(
robi
ach
sp
o be
tnie
lok
rze(
uch
Zı
awi
ı je
rzov
ywa
stej
o g
yńs
intı
ıięte

stawiał wobec rządów i władz tutejszych, ale osobiście był to człowiek bardzo sympatyczny, uczynny, a przy swoich stosunkach z Petersburgiem i Barjatyńskim, niejednemu się starał dobrze zrobić i w interesie dopomódz. Do społeczeństwa tutejszego przylgnął szczerze i tak Warszawę polubił, że chociaż bez miejsca, tu mieszkał. Codzień w teatrze, oswoił już tak oczy ze swym widokiem, że kiedy go w pierwszym rzędzie krzeseł brakło, dziwnie jakoś ta sala wielkiego teatru wygląda. Wszyscy go tu znali i wszyscy lubili, nietylko w salonach w teatrze, lecz niemniej i w mieście. O politynych zdolnościach nie mówimy naturalnie wcale, e było nawet pola do ich rozwinięcia, bo w czah, w których on w Warszawie urzędował, polizne interesa francuskie w Warszawie były już ie i gdyby nawet zapragnął, to nicby już na polu nie zrobił....

awniej, przed powstaniem, taki konsul p. de , była to figura choć pompatyczna, nieco ztąd na, ale poniekąd wpływowa, a jeszcze więcej ı ten wpływ i znaczenie.... Ale dziś.... tej strony nie popełnił on ostatecznie wzglęs przynajmniej grzechów, a jeśli żałujemy ze jeszcze wszyscy ś. p. bar. Finot, to głóıtego, że był to dobrego serca i dobrych łowiek miły, ujmujący, gładki, wybornie ıy. Choć może nawykły do złych tradycyj kiego dworu i towarzystwa, wniósł do ruznaczną lekkość i zbytnią wolność słowa.

Przyjaci
nym, a cho
jednak i on
port o prze
przez niego
i zajmująco,
des, w któr
zrobił wrażen
kiedy gdzieś
francuskiego
że go ztamtąd
przypadkiem h
i mordy dzia
w oczach całe
tolerancyi wszy
Raporta o
tniego konsula
niesiony na re
swego miejsca
nikt nie posądz
dalej sięgał w
a kiedy nowe r
nie ich było nie
przyjaciół konsu
formował się wy
pliwie, z history
skonale; wszystk
tach, które, je
były po literack
pisarskim talent

uprawiał także i niwę belletrystyczną i pó-
dał pod pseudonimem jednę czy dwie po-
ytułu ich w tej chwili nie pomnę), osnu-
;le naszych stosunków. W powieściach tych
o talentu, ale grzeszyły one głównie tem,
płytkość warszawskich salonów zgenerali-
całe wyższe towarzystwo polskie i w wielce
nem przedstawiał je świetle. Ztąd to tło
emno i brudno, a nie pomylę się z pe-
wierdząc, że pewne osobiste urazy i nie-
grały w tworzeniu tego romansu ważną
kazanie się raportów unickich pułkownika
wywołało ogromne przeciw niemu obu-
ferach rosyjskich. Sam wcale inteligentny
y, złośliwy i kwaśny cynik popularność
ırszawie zawdzięczał głównie swej żonie,
gdyś z piękności i prześlicznych złotych
ıni Mansfield była na bruku warszawskim
e do swego męża, lecz raczej do barona
zyscy ją tu znali, wszędzie bywała, w sto-
warzyskich nie przebierała wcale, mogłaś
i w teatrach amatorskich, i w żywych
ıa koncertach, w teatrze, w salonach fi-
arystokratycznych, przemysłowych, mie-
, literackich, słowem była to kontrady-
pojęcia, jakie my zwykle o Angielkach
.. Bardziej ruchliwej i wszędobylskiej
nałam. Wprawdzie złośliwe języki mó-
może to wszystko plotki, więc po co je

Za Berga zrobiła ona rze
i niejedno ułaskawienie lub
dnała. Postępowała z nim
z taką natarczywością stareg
wiono się, jak jej to wszy
Już to tupet miała znamien
ki wśród Rosyan liczne i p
na wszystkie strony wyzysk
tere a polityczne, i teatr i li
del, rolnictwo... słowem w
musiała się dotknąć, każd
mnóstwo chaotycznych ba
wiadomości, istna encyklop
szłym roku widziałam ją t
tersburga, aby uzyskać pate
raków. Obładowana cała
to pokazuje jakąś dyserta
daje ci do spróbowania fla
wina sfabrykowanego, to z
mie zyski przyniosłoby w
biorstwo i ileby na niem r
sze. Słowem, rozstawszy
dała się zupełnie interesom
i zamierza na winie bural
Lelka, płocha, nie bez s
Mansfield jakiś czas w sa
mowała stanowisko nie
Był czas, że bywano u n
bawiono. Złotowłosa Ang
rojem adoratorów... Pó

i raz salon pani konsulowej zaroił się tylko samemi frakami, bo żadna z pań nie przyjechała.... Stało się to z powodu — ale w plotki stanowczo nie chcę się wdawać. Wiele się przez nią i z jej pomocą zrobiło dobrego, więc nie należy w Katońską bawić się surowość. W każdym razie była to kobieta inteligentna, zdolna, zręczna i inaczej pokierowana, mogłaby na zawsze utrzymać dawne towarzyskie stanowisko.

Późniejszy reprezentant rządu królowej Wiktoryi, pułkownik Maude, był dyplomatą gatunku bar. Brennera, tylko, że jego informacye sięgały jeszcze mniej daleko, i nie jestem znowu tak zupełnie przekonaną, czy o zmianie ministeryum w Anglii nie dowiadywał się ostatecznie z odmiennego podpisu na nadchodzących do konsulatu papierach. Byłoby niepodobieństwem mówić o politycznem jego stanowisku, bo nader ograniczony i wojny z Bachusem nie lubił, niesprawiedliwością zaś nie przyznać, że był spokojnym i nieszkodliwym. Cechą jego główną, że lubił bardzo grać, a grał bardzo źle wista, Jakiś czas zajmował się gospodarstwem i założył pod Warszawą fermę wzorową, na której też wzorowo stracił. Mówił źle po francusku, jak każdy Anglik, bywał wiele w świecie, a sekretarza miał Polaka, hr. Morsztyna, który czasem w zastępstwie konsula opiekował się staremi guwernantkami angielskiemi i urządzał w konsulacie angielskim nabożeństwa. Następcy jego pan i pani Grant są na-

tomiast bardzo mili, dobrze wychowani i wybornych form towarzyskich ludzie.

Tytułu jeneralnego konsula Włoch i Belgii używa bankier tutejszy pan Mieczysław Epstein — od którego też zaczynam szereg konsulów tytularnych. Jest ich w Warszawie mnogość wielka, a staranie o powierzenie sobie reprezentacyi jakiegobądź kraiku stały się do takiego stopnia w finansowych sferach naszych powszechnemi, że nawet tak rozumny człowiek jak p. Bloch nie umiał się ustrzedz tej śmieszności i jest konsulem szwedzko-norwegskim. Co w tem za cel i jaka z tego korzyść? — doprawdy dobrze nie rozumiem. Śmieszność większa, niż honor, powaga żadna, bo prócz tamtych czterech inni konsulowie na Zamek nie bywają wcale wzywani i do korpusu konsularnego urzędownie nie są zaliczeni. Cała zaś przyjemność owej „dyplomacyi“ na tem polega, że w dnie galowe można się ubrać w wielki mundur, przepasać przez piersi zieloną wstęgę Lwa i Słońca i pojechać do Soboru na *mołebeń* za cesarza. Każdy z tych panów czyni to z punktualnością wzorową i w przekonaniu, że musi być w cerkwi koniecznie, bo inaczej mieliby mu to za złe. Tymczasem złudna to nadzieja, bo Holandya, Peru i Persya mogą być całe lata wcale niereprezentowane na nabożeństwie cesarskiem, a nikt na to nie zwróci uwagi i p. Giers z pewnością ambasadorom żadnych przedstawień nie poczyni. Zabawny to wielce typ takiego warszawskiego konsula. Próbował go schwycić jeden z komedyopisarzy, ale

uczynił to niezgrabnie i wielce samej przez się komicznej figury nie wyzyskał wcale. Daleko dowcipniej opisał Sienkiewicz we wstępie do „Listów z Ameryki“ swoją wizytę u konsula Stanów Zjednoczonych i radość, jaką mu sprawił prośbą o zawizowanie paszportu.

Mania konsulostwa wydaje też sfery finansowe na łup śmieszności i czyni ich istną ofiarą dowcipnisiów. Co tu anegdot puszczano o konsulu perskim podczas pobytu szacha, lub ile obiega komentarzy do każdego nowego orderu, jakiemi konsulowie nasi bywają od czasu do czasu przez swych monarchów zaszczyceni! Dla tych to orderów i dla owych mundurów przyjmują oni owe konsulaty i prowadzą nieistniejące interesa, kopiując zawzięcie owego ambasadora od guana z *Doit on le dire* Labicha. Śmieszność, próżność, małostka, zwyczajnie jak na miejskim bruku, czyhają tylko na okazyę, aby się popisać trochę.

Istnieje także osobne bióro dyplomatyczne przy jenerał-gubernatorze, złożone z jednego tylko urzędnika, delegowanego tu przez ministeryum spraw zewnętrznych do legalizowania podpisów konsulów. Wygodna to posada, bardzo miła i spokojna, a o jej posiadaczu wiem tylko tyle, że ma z pół kopy orderów i że puszczono o nim w swoim czasie zkądinąd znany już kalambur: *qu'il n'est pas aux affaires etrangeres mais etranger aux affaires.*

LIST IV.

Życie towarzyskie Warszawy.

TREŚĆ: Kraków i Lwów a Warszawa. — *Tout Varsovie* i jej pojęcie. — Nasze pałace i „apartamenta. — Kółka, koła i kółeczka. — Villemain o salonach warszawskich. — Dawniej i dzisiaj. — Arystokracya i finanse. — Salony olgierdowsko-marszałkowskie. — Zakonserwowany przesąd. — Litwinki. — Atrakcya salonów finansowych. — Zbytek i jego krytycy. — Koła wiejsko-szlacheckie. — Świat przemysłowy i mieszczański. — Nasza młodzież salonowa. — Papieros i karty. — Wystawa i wyścigi. — Letnie mieszkania. — Jesień warszawska. — Zakończenie.

Każde miasto ma swoją odrębną towarzyską cechę. Ma ją i Warszawa. Kto zna tylko Lwów i Kraków, kto w waszych jedynie bywał salonach, ten na gruncie warszawskim nie potrafi się tak łatwo i odrazu zoryentować. Uderzy go przed innemi jedna główna, zasadnicza różnica. Każdy przybywający po raz pierwszy do Warszawy nadpełtwiański lub podwawelski *gommeux*, ogląda się przedewszystkiem za tem, co u was nosi miano „towarzystwa", a co ma być kontradykcyą „miasta". Otóż oglądanie się takie będzie nadaremnem, bo *la société* w waszem ciaśniejszem pojęciu nie istnieje tu wcale, a raczej rozumianą jest inaczej i w daleko szerszym

zakresie. Może gdzieś cichaczem która z naszych *douairière* robi różnicę między „paniami z towarzystwa“ i „paniami z miasta“, ale podobna nomenklatura nie jest bynajmniej upowszechnioną i nie posiada prawa obywatelstwa. Do „towarzystwa“ należy każdy i każda, kto ma dobre wychowanie i wybitniejsze stanowisko społeczne; „człowiekiem towarzystwa“ może być równie dobrze hrabia, książę, baron i szlachcic, jak inżynier, adwokat, dziennikarz, lekarz, artysta, ziemianin i t. p., jeśli warunki salonowe posiada, ma pewną osobistą wartość, towarzyskie przymioty i dobrą reputacyę. Wyłączności i przywilejów nikt tu nie uznaje, jak nie ma także tego, co wy nazywacie „przewodniemi domami“. Salonu, do którego raz wszedłszy, miałabyś już przez to samo wszystkie inne otwarte, w Warszawie nie znajdziesz wcale. Są u nas koła, kółka i kółeczka, i jeśli chcesz dobrze miasto nasze poznać, musisz nie zasklepiać się w jednem, ale szukać wstępu do wszystkich, bywać tu i tam, a uczynić to możesz spokojnie, bez obawy, że ci ten towarzyski eklektyzm weźmie kto za złe, bo ani pani hrabina nie będzie się krzywić za to, że tańczyłaś na balu u pani adwokatowej, ani nawzajem ta nie posądzi cię dla twoich arystokratycznych stosunków o jakąś nierozsądną chęć imponowania lub chwalbę. Swoboda pod tym względem zupełna, tak samo dla pań jak i dla panów. Salonowej prawowierności nikt tu nie kontroluje, a nikomu nie przyjdzie na myśl klasyfikować domy, w których ten „co się szanuje“, jedynie bywać po-

winien. Skrzywią się czasem na tych, co bywają „u żydów“ tj. w kołach bankierskich i finansowych, ale i to nie tam, gdzie wyście zwykły szukać „towarzystwa“, w sferach arystokratycznych, lecz raczej w kołach obywatelskich, wiejskich, pod tym względem jeszcze drażliwszych i bardziej wyłącznych. Ale i to „skrzywienie“ będzie nader niewinne, raczej pełen wyrozumiałości przycinek, aniżeli ostra uwaga, stawiana kategorycznie: wybieraj między jednem lub drugiem.

Podczas kiedy pojęcie *tout Cracovie* i *tout Léopol* ogranicza się prawie wyłącznie na arystokracyi i tych, co z nią w zażylszych pozostają stosunkach, *tout Varsovie* nie będzie tam, gdzie się same tylko mitry i korony zbiorą. Jeśli się u nas mówi, że na jakimś balu, koncercie, teatrze lub wyścigach była „cała Warszawa,“ to znaczy, że widziano tam i historyczne nazwiska, i finanse, i wielki przemysł, i obywatelstwo wiejskie, sfery adwokackie, literackie, artystyczne, lekarskie itd., słowem wszystko, co miasto posiada wybitniejszego i zamożniejszego. Organizując jakąś zabawę lub przedstawienie publiczne, nie można się na jednem tylko ograniczyć kółku i w jednej zasklepić sferze, bo z pewnością *fiasco* będzie zupełne i zabiegi próżnemi. Trzeba umieć wszystkich pociągnąć i wszystkich zainteresować, a wówczas *tout Varsovie* stanie do apelu, i rzecz się wybornie uda. Kto chce też otworzyć nie s a l o n (bo ten już w dawnem pojęciu jak na całym świecie, tak i u nas prawie zupełnie zniknął), lecz s a l o n y

(różnica bardzo wielka), ten również nie wśród jednego tylko kółka zaproszonych musi szukać. Dopiero konglomerat wszystkich sfer i wszystkich stanowisk uformuje ci to, co należy pod salonami warszawskiemi rozumieć. Wytworzy to pewną mozaikowość i różnobarwność — która niejednego może będzie krępować i ogólną zabawę zamrozi, ale natomiast da innym ciekawe do obserwacyi pole, a salonom wielkomiejski charakter.

Warszawa lubi, a co więcej i umie się bawić. Ogólnie biorąc nasze salony mają pozór bardzo elegancki i świetny a zbytkiem w przyjęciach przechodzimy stanowczo wszystkie inne miasta polskie. Wypływa to po części z tego, że gród nasz posiada daleko więcej zamożniejszych domów niż Lwów i Kraków; że ci, co się bawią, mają na to i wychodzą z zasady, że *man muss leben und leben lassen,* ale nie da się także zaprzeczyć, że od lat kilkunastu skalę życia znacznie wyśrubowano, i że nie zawsze jest ona w zgodzie z ogólnym stanem finansowym kraju. Ci, co od was zaglądają tu czasami na karnawał i wyścigi, nie mogą się dość wydziwić naszej zamożności i wykwintnej stopie życia. Dzienniki nasze niejednokrotnie pisały na ten temat łzawe lamenta i budujące kazania, a kiedyś *Kuryer Warszawski* zainaugurował formalną kampanię za „wieczorkami wełnianemi,“ które miały być jakoby wzorem skromnej, a jednak niemniej ochoczej i wesołej zabawy.

W nawoływaniach tych jest dużo prawdy, ale

nieco także i nieuniknionej w podobnych razach przesady. Przeciw nierozsądnym zbytkom, przepychowi toalet, kulinarnym popisom, przesadzaniu się i zgubnej rywalizacyi, trzeba i należy powstawać, ostro je piętnować i do koniecznej w tym kierunku reformy nawoływać, ale z drugiej strony, nie należy nigdy w przeciwną wpadać ostateczność i zbyt radykalnych zalecać środków. Od tego wytwornego i zbytkownego życia, jakie tu zbyt wielu prowadzi, do sielankowych „wieczorków wełnianych," na których przy szklaneczce herbaty czytuje się poważnych pisarzy dzieła i wszystkich zgromadzonych okłada się filantropijnym podatkiem, przeskok zbyt wielki, aby podobna rada rzeczywiście usłuchaną została i w wykonanie weszła. Nie należy zapominać, że ruch towarzyski i pewne jego potrzeby dają zarobek całemu drobnemu handlowi, że z niego właśnie żyć jedynie może i musi: rękawicznik, restaurator, tapicer, krawiec, modniarka, ogrodnik itp. Niech więc wydają ci, co mają na to, i których środki finansowe pozwalają, aby sami żyjąc, dali też i drugim przy sobie się pożywić, ale niech to czynią w granicach rozsądku i umiarkowania, niech mniej zamożnych do rywalizacyi nie pociągają i złego przykładu nie szerzą — niech nie śrubują skali życia po nad wszelką normę i nowych dotąd nieznanych towarzyskich potrzeb życia nie wytwarzają. Byłoby to bardzo pożądanem, bo odpowiadałoby istotnemu położeniu rzeczy i kraju a byłoby daleko rosądniejszem i godniejszem wobec wro-

gów, czychających na nasze mienie i drwiących z naszej lekkomyślności. Kraj zaś istotnie w latach ostatnich bardzo zubożał. Ale z drugiej strony należy także piętnując zbytku propagatorów, odezwać się i do tych, co na zły przykład narzekając, niemniej jednak od naśladowania go powstrzymać się nie umieją. Gdzie się obrócisz, słyszeć będziesz wciąż narzekania na zbytki, przepych, nieznane dawniej wymagania i potrzeby towarzyskie, a jednak ci sami krytycy, ogólnym wirem pociągnięci, oprzeć mu się nie umieją i wśród fal jego toną. Tamtych bynajmniej w obronę nie biorę, ale tych znów zapytać muszę, czyja większa wina, czy tych, co nie wydając dziesiątej części swoich dochodów, zbytkowne i wykwintne prowadzą życie, czy raczej tych, co bezrozumnie starając się im dorównać, znajdują się wkrótce na dnie przepaści i pierwsi podnoszą lament na zgorszenie i zbytki. Kiedy widzisz złe, kiedy ze wszystkich stron je pokazują i codziennie fatalne następstwa przepowiadają i skutki, nie naśladuj go i niewątpliwych konsekwencyj unikaj; ale naśladując, narzekać jeszcze, że to konieczność, i przybierać minę ofiary, której nóż na gardle położono, to poprostu tartiuferya i hipokryzya. Zresztą wrócimy jeszcze do tego przedmiotu, bo nim jakiś czas bardzo się zajmowano, a ogłoszone w *Świcie* — listy pośmiertne pani Maryi Raczyńskiej poświęciły kilka bardzo trafnych uwag tym gazeciarskim lamentom i powszechnym na zbytek warszawski narzekaniom.

Każdego, który pierwszy raz do Warszawy zawita, uderza przedewszystkiem jej ruchliwość i ożywienie ulic, przeciągające się aż do późnej nocy. Pod tym względem mamy słuszną pretensyę do rangi stolicy i po Paryżu i Londynie mało które z największych w Europie miast może naszemu Syreniemu grodowi sprostać. Weź n. p. Wiedeń i porównaj go z Warszawą. Nad Dunajem o godzinie 8-ej wszystkie sklepy pozamykane, ulice puste, teatra o 10-ej pokończone, tramwaye wstrzymane, doróżek mało i z trudnością znajdziesz gdzie jaką pierwszorzędną restauracyę otwartą. U nas ruch wieczorny miasta zaczyna się dopiero o tej porze. Żaden z teatrów nie kończy się w zimie przed jedenastą, w lecie jeszcze później; na głównych ulicach ruch powozów nie ustaje nigdy, bo trwa właściwie do 4-ej rano, a zaczyna od 5-ej; wszystkie hotele i restauracye napełniają się dopiero gośćmi koło północy, a tramwaye przestają kursować po jedenastej, wiele sklepów do późnej nocy otwartych, a ulice oświetlone porządnie i na ciemności egipskie i Towarzystwo desauskie nie mamy bynajmniej powodu się uskarżać. Warunki życia kosztowne, to prawda, za to wcale wytworne i dążące do komfortu. Tak dobrze i pięknie budowanych domów, jak w Warszawie, nie w każdem większem znajdziesz mieście; mieszkania w porównaniu z krakowskiemi i lwowskiemi obszerne, czyste, wygodne, a cena ich nie tak znowu wygórowana, jak to zwykła głosić fama i jakby sądzić można z ustawicznych

narzekań *Kuryerów* na „kamieniczników" i ich wyzysk. Pięknych budowli i starożytnych pałaców dużo jeszcze, pomimo, że większość ich skonfiskowana przez rząd lub dobrowolnie sprzedana w inne przeszła już ręce i innemu służy celowi. Niedawno ukończono restauracyę pałacu Brühlowskiego, który dawniej był rezydencyą margrabiego Wielopolskiego. a później służył za przytulisko to dla komitetu urządzającego, to na czas jakiś dla cenzury i rozlicznych wystaw. Ostatnim lokatorem było Towarzystwo Wioślarskie, po którem wprowadziło się obecnie do wcale starannie odnowionego gmachu bióro telegraficzne. Dawny pałac Radziwiłłów, późniejszy namiestnikowski, jest siedzibą rządu gubernialnego i biur jenerał-gubernatora. W pałacu Tarnowskich przy Krakowskiem Przedmieściu mieści się Bank Dyskontowy, w przysłowiowym Paca sąd okręgowy, w Prymasowskim szkoła junkrów, w Krasińskich Izba sądowa, Badenich archiwa, biskupów krakowskich (przy ul. Miodowej) zakład fotograficzny Mieczkowskiego, Mostowskich dawniej Komisya sprawiedliwości, dzisiaj prezes Izby sądowej, Blanqu'a sklepy i mieszkania prywatne, jak również i Łubieńskich przy ul. Królewskiej i t. d. Dom marszałków sejmowych przy ulicy tegoż nazwiska, ocalał jeszcze zupełnie i jest własnością prywatną, a służy za przytulisko dla jakiejś bawaryi. Towarzystwo Przyjaciół Nauk zamieniono na gimnazyum, a w pałacu arcybiskupim przy ulicy Miodowej środkowy tylko korpus zajmuje nasz arcybiskup i jego konsystorz,

w jednem z bocznych skrzydeł umieszczono komitet cenzury — w drugiem sklepy i lokatorów prywatnych. Ocalały tylko: pałac błękitny ordynacyi Zamoyskich, dwa pałace Potockich (hr. Augusta i hr. Stanisława) przy Krakowskiem Przedmieściu, Ordynacya Krasińskich z piękną biblioteką, odkrytą obecnie od strony ul. hr. Berga, niezgrabny i niesmaczny pałac Uruskich i niedawno wykończony pałac Zawiszów przy ul. Bielańskiej, którego schody zdobi wspaniały plafon Siemiradzkiego, przedstawiający walkę światła z ciemnością. Na placu Ewangielickim wznosi się ciężki i prawdziwie bankierski pałac Kronenberga w stylu nowożytnym wiedeńskim; na rogu ul. Marszałkowskiej, pozornie na zwyczajną kamienicę wyglądający pałac p. Blocha, a w Ujazdowskich alejach kilkanaście lekkich, bardzo gustownych willi wśród pięknych ogrodów, róż i kwiatów. Najładniejsza to niezawodnie część Warszawy, a najpiękniejszą wśród tych alei willa p. Raua, p. Feliksa Sobańskiego, oraz pp. Wernickich i Lilpopów.

Tego, co się nazywa w Paryżu *quartier St. Germain,* u nas wcale niema. Arystokratyczna dzielnica w Warszawie nie istnieje, ale od kiedy miasto zaczęło się rozszerzać ku Łazienkom i Koszykom, wszyscy się przeważnie przenieśli w tamtą stronę. Na Długiej, Miodowej, Senatorskiej, Bielańskiej, St. Jerskiej i t. d. mieszkają dziś tylko kupcy, adwokaci i sądownicy, których ściąga tam bliskość biur i magistratur, za to część miasta po drugiej stronie Saskiego placu, ulica Mazowiecka, Włodzimierska,

Warecka, Bracka i Chmielna, Aleje Jerozolimskie, Zielony Plac i t. d. zmieniły się w centrum towarzyskiego życia; za Alejami Jerozolimskiemi ku Mokotowowi, na Kruczej, Nowogrodzkiej, Hożej, Żórawiej, Wspólnej i t. d. urzędnicy, emeryci, ludzie średnio zamożni, bo mieszkania tam tanie a bardzo wygodne, a przed paru laty otworzono od Nowego Swiata nową ulicę t. z. Foxal, gdzie stanęło kilka pięknych domów, a wśród nich pałac hr. Konst. Zamoyskiego, oraz pałac hr. Konstantego Przezdzieckiego, przepełniony cennemi zabytkami sztuki, a urządzony z artyzmem i gustem prawdziwego znawcy.

Już to Warszawa może się poszczycić wspaniałemi apartamentami i nasi tapicerowie i dekoratorowie na brak roboty uskarżać się nie powinni. Nowoczesne wymagania mody mają tę dobrą stronę, że dziś każdy chciałby mieć w swojem mieszkaniu jaki starożytny mebel, piękny obraz, średniowieczną makatę, gobelin, majoliki, szafę gdańską i t. d. Gust pod tym względem powszechny i zbytek w mieszkaniach może największy. Dawnych szablonowych salonów, w których pod ścianą stała poczciwa, rożłożysta kanapa, przed nią stół okrągły, a dokoła jak żołnierze, w szeregach fotele i krzesła, znajdziesz tu już nie wiele. — Wszędzie wpływ Paryża, a może więcej jeszcze Wiednia, meble różnobarwne, imitacye starożytności, plusze, aksamity i hiszpańskie skóry, wszędzie okna zaciemnione, bronzów i obrazów dużo, nic błyszczącego, jaskrawego, rzucającego się w oczy, a wszystko raczej trzymane w tak

modnych dziś półtonach, miękkie, ciepłe, szarawe.... Chociaż nas starych posądzają zawsze o wieczną tęsknotę za tem, co było dawniej, i uparte obstawanie, że dziś nic już lepszego i piękniejszego być nie może, przyznaję chętnie, że teraźniejszy sposób urządzania mieszkań podoba mi się o wiele bardziej, niż ten, do jakiego przywykłam z czasów mej młodości. A podoba się dlatego głównie, że sztuka zastosowana do przemysłu, teraz naprawdę zaczyna się u nas rozwijać.... Nie wiem, jak tam w Krakowie, ale tu w Warszawie każdy najskromniejszy nawet salonik musi mieć jakiś chociażby mały obrazek bardziej znanego pendzla, jakieś dzieło sztuki, starożytny świecznik, dawną makatę i t. d. Reprodukcye i drzeworyty zeszły do przedpokojów, prędzej ktoś poprzestanie na kretonach, aniżeli miałby mieć gołe ściany w swem mieszkaniu. — Naturalnie, że jak zagranicą, tak i u nas, autentycznych starożytności nikt nastarczyć nie może, więc nasi stolarze robią przepyszne biurka *à la Louis XV.*, kopiują na gwałt wszystkie Stanisławowskie meble z Łazienek i Zamku, sztuka stolarska i dekoracyjna zaczyna u rzemieślników warszawskich robić ogromne postępy, a na wystawach obrazów ruch wielki i o nabywców nie trudno. Wszystkie tańsze i mniejsze rozmiarami obrazy rozchwytywane bywają odrazu. Nie masz nic złego, coby na dobre nie wyszło, a ten niektórych sfer naszych zbytek popiera istotnie przemysł i rozwija sztukę....

Dla zaokrąglenia obrazu powinnabym Ci właści-

wie dać opis kilku najwspanialszych apartamentów warszawskich, boję się jednak wejść w sferę zanadto prywatną i łechtać osobiste próżności. — Wspomnę więc Ci tylko, że w Ordynacyi Krasińskich znajdziesz przepyszną zbrojownię i dużo po Napoleonie pamiątek, wiele bardzo pięknych obrazów i ciekawych portretów, że znów pałac błękitny olśni Cię swojem umeblowaniem w stylu najczystszego *Empire,* pyszną biblioteką, ślicznemi zbiorami i emaliami z Limoges i z Florencyi, kilku bardzo dobremi obrazami. W pałacu Augusta Potockiego śliczne meble, srebrne zastawy, obrazy, bronzy, przypominające wytworny smak dawnych właścicieli. U p. Blocha zobaczysz „Iwana Groźnego“ Matejki i cztery pory roku Makarta, u hr. Maryi Przezdzieckiej spotkasz wspaniałe *atelier* artystki, a w pałacu jej syna hr. Konstantego, obok wielu innych wartościowych rzeczy, pokój jadalny cały ozdobiony rzeźbami z drzewa, wybieranemi po kawałku ze starych domów w Gdańsku, że znajdziesz tam prawdziwy oryginalny komin polski i szafę gdańską jedną z najpiękniejszych, jakie znam. — Zaadresuję dalej miłośników archeologii do pałacu Zawiszów, a amatorów miniatur do p. Lucyana Wrotnowskiego, który posiada ich zbiór rzadki i doborowy; dodam, że kto chce widzieć piękne Stanisławowskie podobno zastawy, niech poprosi o ich pokazanie hr. Stanisława Zyberg-Platera, że śliczną kolekcyę tabakierek posiada znów p. Józef Kościelski, że wreszcie w każdym niemal zamożniejszym

domu warszawskim znajdzie się jakieś dzieło sztuki niepośledniej wartości, a zamiłowanie do takich zbiorów rozpowszechnia się coraz bardziej, schodzi od klas zamożniejszych do mniej zamożnych, nawet do kupców i cukierników, bo świeżo właśnie jedną z nowo otworzonych cukierni ozdobiono bardzo dobrego pędzla obrazem.

Dziś w Warszawie stało się już prawie zwyczajem, że jako *cadeau de noce* ofiaruje się pannie młodej nie same tylko brylanty i biżuterye, lecz ładne obrazy, stare meble, piękną porcelanę, bronzy i t. d. Sztuka dekoracyjna ma tu wielu wśród nas adeptów, a roboty z tego zakresu, wykonane w Warszawie, zbliżają się do pierwszorzędnych wyrobów paryskich i wiedeńskich. Od czasu do czasu który z gazeciarzy czuje się w obowiązku palnąć jaką ognistą filipikę na temat niepopierania krajowego przemysłu, a sprowadzania wszystkiego z zagranicy, lecz wierzaj mi, że i te lamenta bywają często bardzo przesadne i realnej pozbawione podstawy. Że tam czasem ktoś jakąś rzecz, której absolutnie w Warszawie nie dostanie, z zagranicy sprowadzi; że niektóre z pań naszych spekulują często na taniość i wdają się w bezpośrednie z domami zagranicznemi stosunki, to jeszcze nie zbrodnia i nie ogólna reguła. Publiczność nasza, olbrzymia większość sfer towarzyskich, zaopatruje się zwykle u miejscowych dostawców i główną stanowi ich klientelę, a eleganci, posyłający koszule do prania aż do Paryża, i strojnisie, które innej niż od Wortha nie

wezmą sukni, stały się prawie mytem, a przynajmniej bardzo rzadkim wyjątkiem.

Dwa są punkta kulminacyjne w życiu towarzyskiem Warszawy: karnawał i wyścigi. W czerwcu, kiedy równocześnie schodzi się i wystawa i jarmark wełniany, zjazd bywa wielki gości, zwłaszcza wiejskich dużo, nastaje właśnie ta druga epoka warszawskich zabaw, karnawałem letnim nazwana. Od kiedy znam Warszawę, co roku powtarza się zawsze ta sama historya, że w listopadzie i grudniu zaczynają się złowrogie przepowieści, iż karnawał będzie nieszczególny, balów mało, zjazd żaden, bo rok ciężki i zły, zbiory niepomyślne a ceny zboża niskie. Tymczasem nadchodzi styczeń i luty, wszystkie przepowiednie zawodzą, bale sypią się jak z rogu obfitości, Lewandowskiemu puchną ręce i hulamy, jakby za najlepszych i najweselszych czasów. Stosunkowo najmniej bawi się arystokracya, to kółko właśnie, które najbardziej jeszcze, chociaż zawsze z przymieszką *haute finance,* odpowiadałoby waszym krakowskim o „towarzystwie“ pojęciom. Przypatrzmy się z kolei salonom trochę bliżej.

Warszawa posiadała niegdyś tradycyę najświetniejszych w Polsce salonów. Już Villemain powiedział, że po paryskiem najprzyjemniejsze znalazł towarzystwo nad Wisłą. Dawne pamiętniki i wspomnienia młodości osób starszych opowiedzą ci, co to były za salony warszawskie za czasów Kongresowego Królestwa, kiedy przewodniczyła im pani

Ordynatowa Zamoyska w pałacu Błękitnym, a tradycya Puław była jeszcze świeżą i żywą.

Za mojej pamięci, przed laty czterdziestu, mieliśmy tu jeszcze kilkanaście domów, niezmiernie miłych, wykwintnych i istotnie na miano salonów zasługujących. Była jeszcze taka ks. Teresa Jabłonowska, pani Rozalia Rzewuska, Lubomirska z domu, ks. Michałowa Radziwiłłowa, żona naczelnego wodza, pani Liza Krasińska, pani Ludwikowa Małachowska, której trzy piękne córki skupiały około siebie całą niemal ówczesną młodzież, pani Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu, Augustowie Potoccy, Aleksandrowie Przeździeccy, starzy pp. Kossakowscy, Ksawerowie Pusłowscy, Kazimierzowie Łubieńscy, Andrzejowie i Augustowie Zamoyscy, pani Róża Sobańska, księżniczka Janina Czetwertyńska. Parę zim spędzili w Warszawie Adamowie i Alfredowie Potoccy, Konstantowie Braniccy, Leon Łubieński okraszał wszystkie zebrania swemi dowcipami, a jenerał Tomasz Łubieński wspomnieniami z epopei Napoleońskiej. Był salon literacki pani Niny Łuszczewskiej, matki Deotymy, było wiele innych, których w tej chwili nie pomnę, a zresztą wszystkich wyliczać niepodobna. Po powstaniu wszystko się rozbiło, znikło i rozstrzeliło. Przez kilka lat nie zbierano się wcale, później nastały rauty z niewinnemi grami, a jeszcze później życie towarzyskie całkiem inne przybrało kształty.

Znikł dawny staropolski, skromny lecz poważny i wesoły s a l o n, a powstały s a l o n y, zbytek w przy-

jęciach, jakiegośmy dawniej nie znały, okazałość apartamentów i toalet, słowem dzisiejsze nasze życie kosztowne, ruchliwe, pełne wiru i gorączki. Dziś wyłącznie arystokratycznego salonu w Warszawie niema, bo i arystokracya nie nadaje przeważnego tonu życiu towarzyskiemu, mięsza się ona coraz bardziej z finansami. Ogólny polor więcej kosmopolityczny niż polski, język przeważający francuski, maniery nie do porównania z dawnym, wykwintnym układem, ogładą i grzecznością, poglądy towarzyskie mniej niż w innych miastach ekskluzywne, oswojenie się z myślą i faktem, że niekoniecznie tytuł i historyczne nazwisko daje salonową rangę i powagę, pewna z nad Sekwany importowana trzpiotowatość i swoboda, coraz większy brak pięknych kobiet i pięknych umysłów, wykształcenie powierzchowne czcze i jałowe, rozmowy puste, ubóstwo umysłowe obracające się w kółku plotek i strojów, zupełna nieobecność tego, cośmy dawniej nazywały „matronami,“ chęć zabawy wielka i rywalizacya w przepychu widoczna — oto byłyby główne tej kategoryi salonów warszawskich rysy. Polityka, sztuka, literatura, które gdzie indziej tyle dają żywiołu w rozmowie, mało kogo interesują. Dawniej mogłaś co dzień zajść wieczorem do kilku a nawet kilkunastu gościnnych salonów i najprzyjemniej spędzić czas w ożywionej rozrywce umysłowej; dziś takie salony, takie domy prawie nie istnieją. Panie z tych sfer ubierają się bardzo pięknie, wyczytują chętnie swoje nazwiska w dziennikach, mają tę wielką wa-

dę, że jeśli czasem ukażą się w teatrze, to tylko na operze i podczas występu włoskich artystów. W „Rozmaitości“ ujrzysz je rzadko, a zwłaszcza na tak zwanych premierach, pierwszych przedstawieniach zwłaszcza polskich sztuk oryginalnych. Zapełnienie sali zostawiają wówczas t. z. inteligencyi, sferom mieszczańskim i niższym finansom. Kiedy n. p. dawano w teatrze jubileuszowe przedstawienie „Halki,“ to pomimo, że dochód z tego trzechsetnego widowiska przeznaczony był dla wdowy po Moniuszce, w lożach I piętra nie spotkałeś ani jednego historycznego nazwiska, ani jednej z dam wyższych finansów. Za to na Russel, na Włochach zawsze ich pełno. Koncerta protegują, o ile są w ich kółku „modne“; na takie, na które publiczność warszawska uczęszcza więcej dla zasady i celu, niż dla artystycznej przyjemności (studenckie, puławskie, na kasy rzemieślnicze i t. d.), ukaże się ich tyle tylko, ile zaproszono do sprzedaży programów. To samo z odczytami. Na modnych zalegną wszystkie pierwsze rzędy krzeseł, na innych zaświecą nieobecnością. Dobroczynne są szczerze i do wszystkich dzieł miłosierdzia chętnie przykładają rękę. Wyjątków wśród nich zacnych, rozumnych, poważniejszych dużo, ale nie o te wyjątki idzie mi właśnie, lecz raczej o ogół a przynajmniej o przeważającą jego większość. Młodzież tych salonów rekrutować się będzie różnorodnie. Znajdziesz wśród niej i dziedziców rodu, obywateli wiejskich, i zwyczajnych posagowych łowców, i ludzi poważniejszych, i *des petits crévets*,

których żadnemu kółku i żadnemu salonowi nie brakuje, ale ta młodzież wyłącznie do nich nie należy, bo bywa wszędzie, wszędzie tańcuje i w różnych wodach zastawia swe sieci.

Wogóle mówiąc o tych salonach warszawskich, trzeba raz jeszcze powtórzyć, że o ile dawniej przy skromniejszych wymaganiach życie towarzyskie było bardzo odznaczające się i wabiło udziałem wielu dam wykształconych i niepospolitą obdarzonych inteligencyą — o tyle dziś wszysto co straciło na wdzięku w rozmowie, wykwintności, dowcipie, „ozdobności“ — jak za Księstwa Warszawskiego mawiano — umysłu, stara się zastąpić zbytkownością umeblowania, wystawnością przyjęć i wspaniałością toalet. To też przyznać muszę, że nieraz w towarzystwach ze sfery pracowniczej, kupieckiej, mieszczańskiej znajdowałam łatwiej inteligentniejszą rozmowę, poważniejsze usposobienia i ukształceńszy nastrój umysłowy, którego — trudna rada — ani lukullusowa kolacya, ani najkosztowniejsza toaleta w życiu towarzyskiem żadną miarą zastąpić nie zdoła, i wracając do swojego kółka czułam tem dotkliwiej wielką między dawnemi a nowemi czasy różnicę i znaczne ku upadkowi chylenie się.

Byłabym niezmiernie niesprawiedliwą, gdybym nie zastrzegła się raz jeszcze co do wyjątków i nie zacytowała ich kilka najświatlejszych. Nie będą to jednak salony, lecz domy arystokratyczne, ciche, spokojne, nie jaśniejące świetnemi przyjęciami i tłumnemi balami, lecz otwarte dla dobrych znajomych,

zawsze jednakie, zawsze równie serdeczne, a wśród nich znajdziesz i poważniejszą rozmowę, i wielkie cnoty, i rozumne obowiązków wypełnienie. Idź na Krakowskie-Przedmieście i wstąp do pałacu Ordynacyi Krasińskich, a w bocznym jego pawilonie spotkasz królewskiego Wilanowa panią, którą widywać tylko możesz w jej własnym domu, bo nigdzie już prawie nie bywa, i od pewnego czasu w większych zebraniach nie ukazuje się wcale, cała oddana sprawom miłosierdzia i dobrym uczynkom. Bardzo rozumna, wykształcona choć nie błyskotliwa, niepospolitego charakteru i dzielności, pierwsza to niezawodnie dama w Warszawie — którą — jak wy w Krakowie jej imienniczkę — my wszyscy nie inaczej, jak panią Augustową nazywamy. Jestto zgoła pani, o której powtórzyć można to, co mawiał Stakelberg po zgonie braci Czartoryskich, że nie ma teraz przed kim głowy w Warszawie uchylić. Gdzieby nie była, w Paryżu, w Rzymie, w Londynie, należeć będzie do najpierwszych rozumem, charakterem i cnotą, a jak jej zabraknie, nie masz komu ze czcią rękę ucałować. Idź dalej, a w tym samym pałacu zastaniesz niestety bardzo rzadko i jakby w przelocie tylko synową Zygmunta, która posiada wszystkie warunki, aby stworzyć prawdziwy tradycyjny salon, bo serce i umysł wyższy i rzadki dar jednania i łączenia ludzi, i to coś *ewig weibliches*, co pociąga każdego do tej wielkiej pani, jednej z najmilszych i najbardziej wytwornych, jakie w Polsce zdarzyło mi się spotykać.

Piękne a tylu pamiątek pełne salony Ordynacyi stoją najczęściej pustkami, bo obowiązki matki odciągają ustawicznie uroczą ich gospodynię od tej Warszawy, z którą łączy ją i nazwisko, i rodzinna tradycya, i szczere do miasta naszego przywiązanie. Idź dalej na Nowy Świat, a spotkasz taki czysty staropolski szlachecki dom pp. Wacławów Popielów, który ci serdecznością i rodzinnym jakoby zakrojem przypomni Ruszczę i kamienicę narożną waszej św. Jańskiej ulicy, co w pamiętnikach późniejszych tak wielką odegra rolę, a gościom warszawskim zawsze głęboko w sercu i pamięci pozostanie. Jeśli zechcesz zobaczyć salon, jak go tutaj w Warszawie pojmują, przekrocz próg ślicznych apartamentów hr. Konstantego Przezdzieckiego na Foxalu, a spotkasz tam nietylko całe jakoby muzeum starych zabytków i dzieł sztuki, lecz obok kwiatu naszego towarzystwa wszystko, co świat literacki i artystyczny Warszawy ma wybitniejszego: redaktorów, malarzy, publicystów, muzyków, dziennikarzy, literatów, uczonych i profesorów i t. d., bo syn Aleksandra Przezdzieckiego naukowe i artystyczne tradycye ojcowskiego przechowuje domu. — A ci dwaj bracia, których tu z różnych względów wymienić nie chcę, ci, co w społeczeństwie naszem zacne i poważne zajmują stanowiska, ci, którzy na każdem polu przodują przykładem, rozumem i pracą — zajrzyj do ich domów, a przekonasz się także, że jeszcze nie wygasły u nas cnoty obywatelskie, i że w tych właśnie domach nie wszystko czcze, jałowe i puste — tylko właśnie

to lepsze i najprzedniejsze w cieniu spoczywa i tylko przez bliższych ocenione być może. Pałac w Frascati także niestety prawie zawsze jest pustym, choć urocza właścicielka jego, błyszcząca nietylko urodą i wdziękiem, ale i darami umysłu byłaby prawdziwą ozdobą tutejszego towarzystwa — tem łatwiej; że najszlachetniejszego serca i dążeń mąż jej oddawna zyskał tu powszechną miłość i uznanie swej zacności i szczodrobliwości.

Władysław Branicki ze Stawiszcz

W ogóle gdyby rozrzucone po różnych stronach kraju i zagranicy żywioły naszego społeczeństwa nazwiskami i imieniem górujące, chciały i poczuwały się do obowiązku skupiania się w Warszawie, (która bądź co bądź jest zawsze ogniskiem narodowego życia i niem pozostanie niewątpliwie) wpłynęłoby to najkorzystniej na poziom umysłowy i moralny naszego życia towarzyskiego. Kraj zaś skuty i ubezwładniony w życiu swem zewnętrznem dźwignąłby się przez ten ruch towarzyski w wielkiej mierze.

Dla dokładności wspomnieć jeszcze muszę o literackich zebraniach u hr. St. Kossakowskiego oraz o domu pp. Zawiszów, pogrążonym obecnie w żałobie, a którego sama gospodyni, bardzo sprytna, oczytana i inteligentna.

Jedną z dam, która w towarzystwie warszawskiem *sui generis*, zajmowała stanowisko, zabrała nam ku wielkiemu a powszechnemu żalowi przed paru laty Galicya. PP. Antoniowie Wrotnowscy nie prowadzili tu otwartego domu, balów ani rautów nie wydawali, — lecz w po-

ważnym i zajmującym salonie ich na Mazowieckiej ulicy świeciło się codzień i co wieczór mogłaś tam zajść na filiżankę herbaty, pewna, że spotkasz małe ale dobrane kółko, a wśród niego nieustający ruch i ożywienie. To pani domu organizuje jakieś nowe dzieło miłosierdzia lub urządza przedstawienie na swój ukochany szpitalik, to inna znów ogólna debatuje się kwestya, formują się projekta, wyszukują środki zaradcze, łamią się przeszkody i usuwają zapory. Niejedna rzecz dobra w Warszawie powstała, jej niemal jednej istnienie swoje zawdzięcza, bo dziwna ta pani miała wytrwałość i rzadkie serce, które odczuwało gorąco każdą biedę i nędzę, a dla spraw krajowych umiała nietylko sama najżywsze chować uczucie, ale rozniecać je i w innych, wszystkim dokoła siebie swej ruchliwości i zapału użyczać, wszystkich elektryzować i do roboty dla dobrego celu zaprzęgać. Znało ją caluteńkie miasto i wszystkie sfery i ona też wszystkim była więcej niż znajomą, bo gotową w każdej chwili do rady, pomocy i najserdeczniejszego w każdem nieszczęściu lub trudnościach współudziału. Nie dziw się więc, że pamięć pani Antoniowej Wrotnowskiej tak wśród nas żywą i wdzięczną pozostała, a brak jej dotkliwym....

W listach swych do panny Anieli Tripplin śp. Marya Raczyńska poświęciła cały, bardzo sarkastyczny i pełen ironii ustęp tym z salonów warszawskich, które dowcipnie nazwała „olgierdowsko-marszałkowskiemi“. Tu właśnie miejsce wspomnieć

o nich choć trochę obszerniej. W społeczeństwie naszem niezawodnie niezmiernie wiele moralnie i narodowo wart Litwin, bo w najcięższem z nas wszystkich znajdując się położeniu, ma zdumiewającą siłę odporną, instynkt zachowawczy rzadki, przywiązanie do ojcowizny wytrwałe i tę w prześladowaniu niezmierną cnotę, że gnieciony kurczy się dziesięć razy, jak jeż zwinie się w kłębek, ale zagryźć się, zdławić nie da. Wszystko przetrwa, wszystko przeczeka, lecz rękami i zębami ostatniego kawałka ziemi trzymać się będzie. Ale są Litwini i Litwini, i wśród nich obok bohaterów znajdziesz karykatury, obok cnót wielkich i śmieszności jeszcze większe, wad a przesądów mnóstwo, z których inne prowincye polskie bardziej się już wykurować umiały; nie panów, lecz „panków" i to w najpośledniejszym gatunku, którzy pomimo tyloletniego ich prześladowania przez literaturę i belletrystykę ostać się jeszcze pomimo wszystkiego umieli. *Les extrêmes se touchent* i dlatego im światła są większe, im bardziej blaskiem swoim w oczy biją, tem jaskrawiej występują też i cienie, gorsząc wszystkich prawdziwych męczeńskiej Litwy wielbicieli. Te właśnie cienie miała zmarła córka Zygmunta na myśli, skoro o „olgierdowsko-marszałkowskich" obiadach i balach mówiła z takim przekąsem.

Wyobraź sobie panią lub panicza, który zjeżdża do Warszawy na karnawał, cały oszołomiony swoją powiatową popularnością, gdzie dla urzędu sprawowanego przez ojca, dla zamożności, fortuny i ucz-

ciwego, szlacheckiego nazwiska, dom jego i rodzina miały większe od innych zachowanie i parafialną pozycyę. Na warszawskim bruku odnowi on lub ona naprzód swoją kniaziowską mitrę (każdy Litwin tej kategoryi jest kniaziem) i będzie przekonanym, że dlatego, iż Pan Bóg dał mu się nazywać Iksem, już ma jakieś wyjątkowe przywileje i prawa. O tych Iksach nic wprawdzie Towarzystwo warszawskie nie słyszało, fama powiatowej znakomitości ich rodu nie doszła tu wcale, marszałkowski tytuł i rodowód od Olgierda wywiedziony nie imponuje bynajmniej, a rozległość wiosek i obszar fortuny jest jeszcze towarzyskim probierzem, lecz tylko w matrymonialnych kombinacyach — ale Iksowe, Iksówny i Iksięta nie będą na to wcale zważać. W swojem przekonaniu są one znakomitościami i z łaski Bożej należy im się wyjątkowe w towarzystwie miejsce. Więc sądzą, że jeśli powiedzą: *je suis Iks*, to już wystarczy całej Warszawie i jak legendowy Sezam otworzy przed nimi wszystkie wrota; że nie potrzeba żadnego nakładu, ani uprzejmości, ani gracyi, ani światowej rutyny, ani wykształcenia, ani wartości osobistej, lecz majątek i to nazwisko Iks zastąpi wszystko. Mały Iksik nie przedstawi się też pierwszy nikomu, bo uważałby to za poniżenie swej kniaziowskiej mitry; mała Iksówna skrzywi się mocno, jeśli zaprosi ją do tańca ktoś, którego rodowodu i stanu majątkowego nie zna jeszcze dokładnie; mama Iksowa o kimś, kto nie posiada wioski i cugów odezwie się z pogardą:

Ni to obywatel, ni to co.... Zabroni córce z nim rozmawiać. Dla niej jeszcze cały świat kończy się na tem „obywatelstwie“; wykształcenie, wychowanie, nauka, wartość osobista, stanowisko społeczne i t. d. to *terra ignota*.

Przeciwnie afektować będzie *avec dédain*, że to profesor, „bakałarz,“ *un pion*; ona się zdziwi, że towarzystwo może przyjmować jakiegoś kauzyperdę i panią „adwokatową“; ona zaboleje, że salon taki mieszany, skoro w nim spotykasz ludzi, co nie mają ani jednej „dziesięciny“ ziemi, a jeśli zobaczy jakiegoś w nim dziennikarza lub literata, to naiwnie zapyta: *„pourquoi a-t-on fait venir ces messieurs? pewno na to, aby opisywali nasze toalety po Kuryerkach“*. Cały rozum polega u Iksów na francuzczyznie, cała inteligencya na „parlowaniu“, a towarzyski urok na modnych sukniach i zgrabnym fraczku. Sama słyszałam, jak jednej z takich Iksowych robił krewny jej, człowiek w świecie naukowym głośny, uwagę, że synów na próżniaków wychowała i żadnych szkół nie dała im pokończyć, a ta z całą naiwnością odrzekła:

— Oh! *mon cousin*, ani jeden jeszcze z Iksów nie był profesorem i jak ty rodu swego nie splamił...

Wygląda to bajecznie, nieprawdaż, i przypomina biednego Syrokomli satyry, borykające się przez tyle lat z temi fumami litewskich „panków“. Ale to mnie właśnie gniewa że kiedy już wszędzie towarzystwo polskie wyleczyło się z podobnie zaśnie-

działych przesądów, kiedy niema już nigdzie ani tu u nas, ani w Galicyi, ani w Poznańskiem takich egzemplarzy, coby z podobnemi zapatrywaniami śmiały jawnie i otwarcie występować, kiedy lata i doświadczenie wyrobiło powszechną pod tym względem wstydliwość i nikt tu w żadnem kółku nie zapyta: „kto go rodzi i co ma“, tylko „czem jest i co robi“, ci jedni litewcy Iksowie i Iksięta zdołali się zakonserwować jak muchy w bursztynie i dziś tacy sami, jak przed 40 laty. To powiedziawszy, dodam jednak, że jeśli masz krewnego lub syna do wyswatania, to żeń go z Litwinką, naturalnie nie z Iksówną, bo grzechem byłoby twierdzić, że one wszystkie takie, a jeszcze bardziej nie dlatego, że główny kontyngens heritierek dostarcza nam właśnie Wilno, (bo przy „czternastce“ posagi córek z najbogatszych nawet rodzin są zawsze problematyczne). Żeń go dla tej prostej przyczyny, że w tych kołach litewskich, które do wyższego towarzystwa się nie pną, w tych cichych, zamkniętych, spokojnych domach, które tu do nas więcej dla edukacyi dzieci i ukończenia nauk, aniżeli dla zabawy zjeżdżają, spotkasz wiele cnót rzadkich, wychowanie praktyczne, rozumne i staranne, serca nieocenione, umysły zdolne, pojęcie obowiązków poważne, familijny dar ładu i rządności, pracowitości, poświęcenia i o wiele mniej niż gdzieindziej warszawskiego rozbalowania się i gonitwy za zabawami. Z takiego domu bierz synowę i ukorz się przed nimi i przyznaj, że jeśli tak często po-

czuwają się do pewnej nad Koroniarkami wyższości, to rzeczywiście wiele mają do tego tytułów, a kiedy właśnie te koła litewskie poznasz, kiedy w nich się rozpatrzysz, wówczas większa cię jeszcze złość porwie na owych Iksów i Iksięta i tem zawzięciej chciała byś ich fumy wytępić i przesądy wykorzenić.

Osobne kółko stanowią także i salony ukraińsko-wołyńskie; żyją one jednak ściśle zamknięte i odgraniczone i ani do sfer arystokratycznych, ani tem bardziej finansowych nie zdążają wcale. Odrębna to kolonia, bardziej napływowa, rekrutująca się w zimie głównie z przyjezdnych; cech specyalnych nie dużo i wogóle doskonale dają się podciągnąć pód kategoryę salonów wiejskich, obywatelskich, szlacheckich, o której poniżej.

Sfery finansowe Warszawy dzielą się na wyższe, pośrednie i niższe. Do pierwszej kategoryi należy tylko kilka najprzedniejszych domów, a jeśli wolisz firm bankierskich. W tych bywa z małemi wyjątkami cała niemal arystokracya rodowa: mitry i korony hrabiowskie spotykasz tam co krok, już nietylko w stosunkach towarzyskich, ale nawet w pewnej zażyłości osobistej. Łączy ich przedewszystkiem teraz sam zwyczaj; owe domy nie od dziś już mają ze światem arystokratycznym relacye — trwa to lat kilkanaście, więc stosunki miały czas się ustalić i nierozerwalnie zawiązać.

Młodsza generacya nieraz zastaje je już gotowe, więc samo dobre wychowanie nie pozwala zrywać ich lub nie odnawiać, a względy nawet trochę

familijne nakazywały raczej zacieśniać niż rozluźniać. Łączy dalej wspólny panów interes, koleżeństwo w rozmaitych instytucyach, kolejach żelaznych, bankach i t. p., obowiązujące do wzajemnego u siebie bywania i nieograniczania się na li tylko biurowych stosunkach. Łączą wreszcie sprawy miłosierdzia. Każdy z tych panów i pań, proszony o składkę lub udział w jakiem przedsięwzięciu filantropijnem sypnie hojnie, bardzo hojnie, od nich wszystkie kwesty zwykły się zaczynać, a nie idzie to na dziesiątki lub setki, lecz na tysiące rubli — więc *l'utilité rapproche bientôt les distances.* Kiedy umiesz znaleść takiego p. bankiera lub p. bankierową, skoro prosisz o zapomogę dla protegowanej przez ciebie instytucyi lub rodziny, byłoby niekonsekwencyą i nietaktem, w życiu codziennem salonowem ignorować ich i przed niemi drzwi zamykać lub zaproszenia nie przyjąć. Podobne postępowanie nazywałoby się awanią, a żeby się na nią zdobyć, trzeba niezmiernie ważnych przyczyn lub braku wychowania. Pierwsze nie istnieją, na drugie rzadko kiedy przyjdzie ci się w Warszawie użalać. W finansach średnich arystokracyi rodowej spotkasz mało i ujrzysz tam damy przeważnie jeśli nie wyłącznie niemal z bankierskiego koła, ale za to wśród czarnych fraków mnóstwo bywalców najprzedniejszych salonów warszawskich, młodzież doborową, inteligencyę, nawet dużo reprezentantów literackiego świata. Tych wszystkich nie ściąga tu ani konieczność utrzymywania dawniej już zawiązanych stosunków, ani wzgląd in-

teresów i bankowego koleżeństwa, ani wreszcie rachuba filantropijna i chęć eksploatacyi salonowych znajomości na cele dobroczynne. Wabią ich tu zalety czysto towarzyskie, uprzejmość i ten cały skomplikowany aparat tysiącznych grzeczności, używany na to, aby towarzystwo twoje na dłużej sobie zapewnić, aby dom, w którym bywasz, uczynić ci przyjemnym i przyciągającym.

Rzecz prosta, że w żadnych sferach nie czynią tyle towarzyskiego nakładu i nie rozwijają takiej zabiegliwości i arkanów, co w tych właśnie. Wszystko jest na to obliczone i wszystko ku jak największemu rozszerzaniu stosunków zmierza. Podobne zabiegi przedstawił autor niedawno właśnie drukowanej w *Revue* powieści *Les Monachs* trochę karykaturalnie, niemniej jednak z pewną dozą realizmu i żywej obserwacyi. Fortuna dorobiona, wystawne życie, wpływy i znaczenie nie dają jeszcze towarzyskiego stanowiska; trzeba je sobie wyrobić i zdobyć. A to zdobycie nie przychodzi łatwo.

Wymaga ono wielkiej zręczności, taktu i specyalnego talentu, a dodam, że nieraz i zaparcia się siebie, bo niejedną przyjdzie wśród tych zabiegów gorzką przełknąć pigułkę, z niejednem spotkać się upokorzeniem i zrazić zawodem. Miłosierdzie i dobre uczynki łączą z sobą ludzi i na polu filantropijnem zbliżenie najłatwiejsze. Więc też pieniądz zarobiony w kraju, hojny nędzy i biedzie opłaca corocznie podatek. Nie masz pojęcia, jak poważne sumy na te cele z tych właśnie sfer płyną; dość

ci powiedzieć, że budżet dobroczynny jednego z pierwszych naszych *haute finance* domów, oznaczony jest stale co roku na 30.000 rs., ale te nigdy nie wystarczają i preliminarz pierwotny znacznie przekraczanym bywa. Nie sądź jednak, aby tylko chęć błyszczenia i potrzeba towarzyskiego okupu była jedynem tej nadzwyczajnej hojności źródłem. Nie; sprawiedliwość każe przyznać, że w wielu razach nie próżność tu daje, ale serce i szczere poczucie obowiązku, jaki bogaty winien mieć względem ubogiego.

Nie należę do tych, co młodzieży naszej biorą za złe bywanie „u żydów“ w średnich nawet finansach, bo doszłam do przekonania, że nie jeden tylko przepych przyjęć i gastronomiczne popisy tam ich ciągną. Dobry to lep dla kilku smakoszów i pieczeniarzy, ale ogół nie jest znów tak płaskim, aby dał się nań schwytać. Ciągną ich tam kobiety — od początku świata zawsze najważniejsza salonów atrakcya. Lucyan Siemieński pisząc o Fredrze zauważył kiedyś bardzo trafnie, że „Geldhab“ w czasie swego powstania był raczej przeczuciem i przepowiednią, aniżeli realnego życia obrazem, bo o księciach żeniących się z córkami bankierów wówczas jeszcze nie słyszano. — To też dzisiejszy komedyopisarz, chcąc dać typ panny tego świata, musiałby ją całkiem odmienną od panny Flory uczynić i inaczej całą jej charakterystykę oświetlić. Panie i panny z towarzystwa finansowego odznaczają się przedewszystkiem wykształceniem, które nie powiem, aże-

by było gruntowniejszem, ale jest bardziej błyskotliwem, ponętnem i pociągającem. Każdą z nich od dzieciństwa zaprawiają do umiejętnego gości zabawiania. Młoda panienka będzie tu śmielszą od innych, bardziej przedsiębiorczą, potrafi najnudniejszego towarzysza rozmowy rozruszać, zada sobie dużo trudu, aby go zabawić, i to nie w żadnym specyalnym celu, nie dlatego, aby jakieś miała na niego plany — broń Boże — lecz przez towarzyską kokieteryę, przez usilne postanowienie zdobycia sobie tytułu miłej, pociągającej gospodyni, a salonom swoich rodziców zapewnienia najliczniejszej frekwencyi. Tej nie zaimponujesz tylko ładnym wąsikiem, zgrabną figurką i pięknym tańcem, ona cię nie odznaczy dlatego, że jesteś majętniejszym od innych; jeśli co ma w jej oczach wielki urok, to może najwięcej tytuł i hrabskie korony, ale na ten lep lgną podobno nie same tylko bankierówny.

Salonowa kokieterya wymaga odpowiedniego rynsztunku, więc czytać będzie dużo i chciwie, uczyć się wszystkiego, ale bardzo powierzchownie, więcej dla popisu, niż z zamiłowania, potrafi każdą rozmowę, najpoważniejszą i najbardziej banalną podtrzymać, wszystko ją żywo zajmie, patryotką będzie bardzo gorącą, a zaimponuje ci odrazu doskonałem swego stanowiska społecznego zrozumieniem. Będzie ci mówić otwarcie o żydach, o uprzedzeniach przeciw nim, o upokorzeniach doznawanych, różnicy na każdem kroku odczutej i t. d. To wszystko połączone z wrodzonem tego pochodzenia sprytem i zrę-

12

cznością potrafi cię odrazu zjednać, sympatyę pozyskać, ale niech ta tylko dostrzeżoną będzie, wnet tysiączne sposoby zaczną ją powiększać, starannie hodować i nie spostrzeżesz się, jak niebawem staniesz w kole bardziej poufałych przyjaciół. „Interesujące“ — oto byłaby główna tych panienek charakterystyka. Każda z nich pragnie po za przeciętny wyjść szablon; jeśli to czyni zręcznie i ze sprytem, wówczas cel osiąga i istotnie zajmującą się staje; jeśli przeciwnie, zabraknie jej niezbędnego do podobnej towarzyskiej kokieteryi taktu i sprytu, w takim razie przemienia się w jedno z najnieznośniejszych stworzeń, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się po salonach spotykać; nie ujmuje, ale po prostu narzuca się, nie wabi, ale odstręcza i zraża. Próżność będzie tu podstawowym tonem; powierzchowność główną umysłu i wykształcenia wadą, wyrafinowana kokieterya towarzyska, salonowego powodzenia tajemnicą.

Młode mężatki innej znów używać będą taktyki. Tych kokieterya będzie już wytrawniejszą i bardziej różnorodną. Lżejszych pociągną większą w rozmowie swobodą, pewnemi ustępstwami, o które w innych salonach jeszcze trudno; po kilku wizytach staniesz na stopie *sui generis* poufałości, często przyzwoitej i niewinnej, lecz niemniej dla wielu panów ponętnej. Specyalna do każdego z osobna stosowana metoda kokieteryi, pochlebi twojej miłości własnej: jeśli jesteś artystą, wszystkie twoje dzieła będą jej znane, a o każdy obraz toczyć się będzie dyskusya; jeśliś literatem, wszystko coś napisał przeczytane, każda

nowa twoja praca po pismach wyśledzona, każdy zamysł i plan wydobyty. Zażądaj jakiej książki, dostaniesz tę, co dopiero wczoraj wyszła, nieraz z nierozciętemi kartkami, co prawda, ale zawsze będzie. Teatr, sztuka, lekka literatura, polityka nawet nie są jej obce. O wszystkiem potrafi mówić, z tym Warszawianek specyalnym talentem zręcznego wymijania trudności i pływania po wierzchu, z pewną zabawną powagą, a bez pozy na sawantkę. Wszystko to będzie bardzo błyskotliwe, zabawne, z pewnym sensualistycznym podkładem, jakieś inne i nowe, tak, że każdego młodego człowieka zainteresuje i w stałego tych salonów zamieni gościa.

Wyobraź sobie teraz to wszystko na tle pięknych apartamentów, wśród zbytku i komfortu; uważ, że wiele z tych pań odznacza się prawdziwą pięknością, że wszystkie te zabiegi odbywają się po doskonałym obiedzie, wśród woni egzotycznych kwiatów i przy rozmarzających dźwiękach fortepianu, a przyznasz, że trzeba być bardzo katońskim Faustem, ażeby w tem towarzystwie nie zasmakować. Nie dziwię się też wcale tym młodym panom, którzy znudzeni na naszych rautach lub wieczorach, gdzie są dla nich grzeczni i uprzejmi, ale w żadne specyalne wyszczególnienia się nie wdają, biorą coprędzej za szapoklak i czmychają do finansowych salonów. Młodość ma swoje prawa, miłość własna ma jeszcze większe, a każdy woli być poszukiwanym, aniżeli tolerowanym tylko. Tam raczą go przyjmować, tu są kontenci, że on bywa; tam tyle tylko

że go nie odstręczają, tu wabią i zachęcają; tam zaproszą często li tylko dla nóg i tańca i jeśli *danser* mniej do zabawy usposobionym będzie, uznają go ciężkim nudziarzem i na odosobnienie skażą; tu ośmielą, rozruszają, do rozmowy wciągną i pierwsze kroki poczynią. Słowem tam musi zdobywać, tu jest zdobywanym. Przyznasz, że wybór nie trudny i decyzya niewątpliwa.

To jednak byłyby nie bardzo szkodliwe tych salonów strony, a złe? O! jest ich dużo i bynajmniej na nie oczów zamykać nie myślę. Wszystko, co ci powyżej opisałam, wypływa bardzo często tylko z próżności. Próżność każe zrobić największy w swoim salonie dobór, próżność każe być najbardziej w rozmowie poszukiwaną i otoczoną, zalotność pozwoli na niejedną, chociaż zawsze raczej platoniczną swobodę, chęć zaimponowania drugim będzie bodźcem do zdobycia jakiejś wybitniejszej i bardziej głośnej osoby, towarzyska natarczywość popchnie do wyrabiania sobie stosunków *par force*, wciskania się *par la douce violence* do twej zażyłości i przyjaźni, obsypywania cię milionami grzeczności, które cię zobowiązują, ale z czasem i znużą. Zazdrość wyrodzi chęć koniecznego sprostania powodzeniu salonowemu drugiej i formalną nieraz o to powodzenie „walkę kobiet"…. Na dnie tego błyskotliwego wykształcenia, przy całym naturalnym, sprycie, przy najlepszem nawet sercu, spotkasz nieraz to, co nazwałabym brakiem tradycyi, a co wypływa bynajmniej nie z urodzenia, lecz raczej z zu-

pełnego braku wykształcenia religijnego. Cała moralność opiera się tu więcej na konwenansie niż na zasadach, i to właśnie sprawia, że kiedy ochłoniesz ze wszystkich sensualistycznych wrażeń, kiedy uchylisz kunsztownych akcesoryów zasłonę, spotkasz pewną pustkę i jałowość, brak jakiegoś nerwu, który wielu rzeczy nie pozwoli zrozumieć i odczuć. Nie wiem, czy się jasno tłumaczę, ale są pewne pojęcia i wyobrażenia, co do których my i oni nie zrozumiemy się nigdy, są gdzieś w najtajniejszych głębinach myśli i serca ukryte instynkta, które przy najlepszych nawet warunach dopasować się nie dadzą i zawsze będzie jakaś dysharmonia, jakiś ton fałszywy, jakiś zgrzyt i jakby nerwowe wstrząśnienie. Trudna rada, natura ma także swoje prawa, inna krew, tradycya, wychowanie i pojęcia pierwej czy później odezwać się muszą i uczuć się dadzą....

I Lea w *Les Monàchs* niemniej jest sympatyczną, pociągającą, nawet bohaterską, a jednak zawsze inną, odrębną, nie taką, nie taką przedewszystkiem, jak to spokojne, ciche, niepociągające zda się na pozór niczem, a poświęceniem i miłością takie wielkie, choć skromne dziewczę wiejskie, jak ta córka Gomarrów, jasnowłosa Helenka....

W powieści francuskiej katastrofa piętrzy się około faktu, iż rodzina bankierówny nie chce pozwolić, aby panna poślubiając margrabiego zmieniła religię. Tak jest rzeczywiście we Francyi. U nas na szczęście jednak inaczej. U nas, dotychczas przynajmniej, aby wejść do towarzystwa a co więcej do

społeczeństwa polskiego trzeba się ochrzcić. I to było dobrze i świadczyło o żywotności wiary i zespoleniu się jej z narodem. Nie brak wprawdzie takich, co w wielu wypadkach w istotne nawrócenie się nie wierzą i widzą w tem nie dzieło przekonania, lecz konwenansu lub interesu, nie brak takich; co wskazują na t. z. Frankistów i powtarzają, iż są oni wciąż, pomimo stuletniej konwersyi chrześcijanami z nazwy a żydami z przekonania — ale co do mnie, kiedy o tej kwestyi mowa, to mam wciąż na myśli słowa pewnego kapłana tutejszego, któremu zarzucano, że nie roztrząsając dokładnie motywów jest zbyt żarliwym wobec żydów prozelitą: „Pozostawiając na boku kwestye czystości intencyi, zawsze trzeba mieć na oku tę rzecz kardynalną, że chrzest rodziców otwiera drogę światła i wiary dzieciom i że ułatwia następnym pokoleniom religijne i narodowe zespolenie się ze społeczeństwem.“ Z tego też punktu zapatrywania wychodząc muszę zwrócić twoją uwagę, że wielu z tych, których w towarzystwie warszawskiem zowią „żydami,“ byli nimi kiedyś z pochodzenia; nie są już wcale z wyznania. Dużo w trzeciem lub czwartem pokoleniu wyznaje katolicką wiarę, posiada często indygenaty szlacheckie od sejmów Stanisława Augusta lub księstwa Warszawskiego, a nie wiem na prawdę, zkąd wzięła początek pogardliwa ich nazwa mechesów; inni przechrzcili się znacznie później, wielu z rzeczywistego przekonania i wiary. Wśród nich znajdziesz często najgorliwszych „ultramontanów,“ co do ko-

ścioła chodzą nie na pokaz i dla zadokumentowania swego chrystyanizmu, lecz z prawdziwej pobożności, w godzinach rannych, a modlą się nie na francuskich książkach, lecz na zwyczajnym Złotym Ołtarzyku, swoją drogą nabywanym często od panny służącej, aby był tylko zużytym, starym i o dawnem wyznawstwie Chrystusa świadczył. Dla takich jednak wartoby przynajmniej pewien zrobić wyjątek i ustawicznie im tego żydowstwa nie wytykać.... Bo trzeba Ci wiedzieć moja droga, że to u nas tak.... Bywa się w tych domach, zostaje się z nimi w największej nieraz zażyłości, w codziennych towarzyskich stosunkach, wchodzi się nawet do ich rodzin, a jednak wygaduje się ustawicznie na „tych Żydów,“ przedrzeźnia się ich i ośmiesza.

I to najbardziej ci, co najczęściej do ich stołu zasiadają lub pochodzeniem nader im są bliscy... Zdarza się bowiem często, że głównymi matadorami naszego antisemityzmu bywają właśnie ci *mechesi*, którzy udają, że sami nie wiedzą, jako świat ich równie mianem „Żydów“ obdarza i tym antisemityzmem pragną naiwnie semicką swą krew zatrzeć... To samo dzieje się po salonach. Najostrzejsze krytyki i narzekania na zbytki, korupcyę, podniesienie skali życia, na import nieznanego dawniej w Warszawie przepychu usłyszysz od tych, co najczęstszymi owych „gorszących“ salonów bywają gośćmi... Co do mnie, trzymam się zawsze dowcipnej maksymy jednego z moich starych przyjaciół, który zwykł

był powtarzać: „Nie wygaduję na Żydów, bo nie chcę, aby i mnie za Żyda wzięli...“ Bo moja droga, mówiąc to wszystko pragnę, ażebyś nie zapominała, że wielu z tych bankierów żydowskiego pochodzenia jest zarazem bardzo poważnymi, często znamienitymi przemysłowcami, wielu z nich posiada znaczne majątki ziemskie, większość uważa się i jest w uczuciach polską, a wykształceniem i inteligencyą równa się a nieraz przewyższa nawet rdzennych krajowców. Po r. 1863 przyczynili się do dźwignienia kraju z ruiny, zastoju i nędzy ekonomiczno-finansowej. Ich współdziałaniu a nieraz inicyatywie kraj zawdzięcza wiele przedsiębiorstw, fabryk, kolei żelaznych i t. d. Są to więc zasłużeni, użyteczni, istotnie produkcyjni obywatele i szaleństwem a głupotą byłoby nie przygarniać ich i od wspólności krajowej odtrącać, zwłaszcza, że się do niej sami garną. Swoją drogą mówiąc o tych sferach muszę koniecznie uderzyć na to, że wystawność życia przechodzi nieraz a właściwie przechodziła dawniej u nich wszelką rozsądną miarę, że zwłaszcza zbytek kuchni doprowadzony bywał *ad absurdum*... Wiesz dobrze, dlaczego nie jestem „wełnianych wieczorków“ protektorką, ale znowu z drugiej strony sprowadzanie całych obiadów z Paryża lub Berlina, sadzenie się na ciągłe nadzwyczajności i przesada trufli, które zaczynały się literalnie na zupie, a kończyły oniemal na leguminie, wydają mi się tak śmiesznemi, że dziwi mnie naprawdę, iż tej śmieszności dopuszczają się ci właśnie, co zkądinąd niezmiernie

na języki ludzkie bywają czuli... Bawić się tem można, wyśmiewać należy, ale najlepszy sposób... nie naśladować, a całe „zgorszenie“ i „zły przykład“ odrazu znihilowane zostaną. Przyjmują cię bankierzy truflami, sprowadzają dla ciebie aż z Laponii renifera mięso — daj im u siebie wołowinę i najzwyczajniejsze grzyby, a jak się skrzywią, przestań zapraszać i bywać... I cała historya będzie skończona. Lecz u nas nie, u nas się krzyczy, hałasuje, piętnuje, ale każdy jak ta żaba pragnąłby dorównać wołowi, a jeśli nie może lub próbując jak ona pęknie; wówczas podnosi alarm i woła: „na pomoc“. Co do mnie sądzę jednak, że dałam ci dosyć już dowodów bezstronności i braku wszelkich kastowych uprzedzeń, abym nie poczuwała się do zabrania swobodnego w tym przedmiocie głosu i wypowiedzenia całej rzetelnej prawdy.

Niejednokrotnie jeszcze przyjdzie mi w tych listach na importowany przez sfery finansowe zbytek narzekać i fatalne jego następstwa wskazywać. Jest to bowiem jednym z głównych tych salonów grzechem. Dawniej nie znaliśmy ani tak wspaniałych apartamentów, ani kuchni tak wyrafinowanej i kosztownej, ani tak szalonego w strojach przepychu, a jednak Warszawa posiadała zawsze dużo domów zamożnych, życie towarzyskie niezmiernie wykwintne, mniej zapewne liczne, ale dostatnie, nawet niektóre bardzo bogate firmy bankierskie i kupieckie. Salony żydowskie dawniej nie istniały. Są one produktem nowszych czasów a pochodzenie

swe, często zaś i towarzyską wstrętność zaczęły okupywać zbytkiem i wykwintnością kuchni. I tego wszystkiego nie było. Wymagania wzrosły dopiero po r. 1863. Źródłem ich jest częścią ogólna moda, lecz głównie jednak jakaś chęć imponowania właśnie na tem polu ludziom, niezdrowa gorączka błyszczenia, powszechna, jakby powiedziano w Paryżu, pod tym względem *newroza.* Co życie towarzyskie straciło na uroku, to zastąpić chciano zbytkiem. A nigdzie bardziej, jak tu właśnie nie bywa przykład zaraźliwym.... W świecie finansowym, jak we wszystkich innych zresztą, każdy i każda ma swój wzór, na który modelować się pragnie... Jeśli pan Iks ma tak wspaniałe apartamenta i wykwintną kuchnię, to pan Ipsylon musi mu koniecznie pokazać, że i jego na podobny przepych stać także; za p. Ipsylonem pójdzie pan Z., dla którego tamten jest znów wzorem i tak dalej ku dołowi, aż *newroza* ogarnie wszystkich i stanie się tak powszechną, iż wszelkie nawoływania do koniecznej reformy będą bezowocnemi i odbiją się jak groch o ścianę. Od sfer finansowych przejdzie to po części na wszystkich, co z niemi towarzyskie utrzymują stosunki... To, co z początku tylko zadziwiało, stanie się wkrótce niezbędnym niemal warunkiem.... I nastał czas, iż nie było balu, któryby się odbył bez szampańskiego wina; niebyło rautu bez sutej kolacyi; niema obiadu bez trufli i ryb zamorskich.... Za suknię płacono po kilkaset i tysiąc rubli, a sama widziałam na jednym

balu młodziutką, szesnastoletnią panienkę, która miała na sobie kostium sprowadzony z Paryża kosztem nie mniej niż 400 rs.... Rzeczywiście patrząc na te koronki i guipiury, trudno było nie westchnąć za dawnemi czasy, kiedy sukienka za 100 złotych polskich była szczytem naszych marzeń i jak ów moralista z *Rodziny Benoiton* W. Sardou zawołać: „gdzieżeś ach gdzieżeś o święty muślinie!“

Niedawno w Paryżu powstała kampania najpoważniejszych krytyków teatralnych przeciw zbytkowności toalet na scenie.... Podobną walkę podnoszono i u nas niejednokrotnie w dziennikach i pismach. Była ona jednak zawsze bezskuteczną, nie tą bowiem drogą da się złe naprawić i ogólną skalę życia choć trochę zniżyć.... Tu zaradczą mogłaby być tylko inicyatywa prywatna, towarzyski przykład.... Niech ci, co stoją na czele naszego towarzyskiego życia, niech te więc powagi początek zrobią i od siebie reformę rozpoczną, a wnet w modzie nastanie przewrót.... Pierwszy obowiązek takiej inicyatywy spoczywa właśnie na sferach finansowych. Od nich złe wyszło, na nich powinno się skończyć. Tych kilku milionerów nikt o sknerstwo i zachwianie się nie posądzi, jeśli mniej trochę trufli na swych obiadach dawać będą i skalę przyjęć ograniczą. Niech więc dadzą początek, a dopóki się to nie stanie, dopóki te sfery przodować będą zbytkiem i rozrzutnością, dopóty wina złego na nich głównie spadać będzie, choć lekkomyślnych naśladowców nic nie rozgrzeszy także. — W ostatnich paru latach

dawała się odczuwać pewna i w tym kierunku reforma i nie zaznaczając jej popełniłabym archaizm. Ogólne ciężkie czasy nie pozostały i tu bez wpływu. Zbytek stał się mniej jaskrawym i zelżał znacznie. Ale to wszystko mało, to dopiero początek początku, a daj Boże, aby nie ciężkie lata lecz rozsądek i opamiętanie posuwały na przyszłość dalszą w tym kierunku reformę. Wszystko, co tu powiedziałam, odnosi się głównie do finansowych salonów i ich cech przeważających. O wpływie, jakiego u nas świat ten zażywa i o stanowisku społecznem, jakie w kraju naszem zajmuje, rozgadam się trochę obszerniej *) w następnym liście. Teraz pilno mi przejść do charakterystyki innych jeszcze wybitniejszych miasta naszego kółek.

Jeśli chcesz się przypatrzeć zabawie ochoczej, żywej, wesołej; jeśli chcesz sobie przypomnieć, jak to dawniej wyglądały szlacheckie salony i jak się one z każdym rokiem modernizują i do ogólnego nastrajają tonu, wejdź w towarzystwo t. z. obywatelskie, między szlachtę przybywającą ze wsi na karnawał, do domów, których tu w zimie bywa bardzo dużo, a które między sobą tworzą rozliczne kółka i kółeczka. W nich bezwarunkowo bawią się najlepiej, w nich spotkasz najwięcej ładnych kobiet, młodzież, która ci jeszcze dawnego potrafi zatańczyć mazura, całą galeryę Klar i Anieli, mnóstwo wstępujących w świat panienek, które są jeszcze w pier-

*) Tom II. „Sylwetki warszawskie.“

wszej fazie i tańcują dla tańca. Przyjęcie będzie dostatnie, ale nie zbytkowne, z szampanem spotkasz się tylko przy nadzwyczajnej okazyi, apartamenta będą ładne, ale więcej szablonowe niż artystyczne, towarzystwo odświeżające się ciągle przybyszami ze wsi, wesołość nie wymuszona, pewna swoboda w wykwintnych salonowych granicach.

Wchodząc do takiego salonu, zobaczysz odrazu, że wszyscy goście nie po to się tu zeszli, aby odbyć wzajemną toalet lustracyę, ale rzeczywiście dla zabawy i tańca. Pozy bardzo nie wiele, a gościnność istotnie staropolska, ta, co to trzyma środek między obowiązkową uprzejmością sfer arystokratycznych, a zabiegliwą i nużącą kokieteryą towarzyską finansowych salonów. Wśród pań i panienek znajdziesz tu nieraz i niepośledne wykształcenie, i sprytu dużo, i humor, i dosyć interesującą rozmowę, i przesądów z każdym rokiem coraz mniej, ale rysem charakterystycznym będzie tu specyalne warszawskie rozbawienie i rozrzucenie się.

Porwana wirem codziennych niemal balów i zabaw młoda główka rozmarza się łatwo i tak do gorączkowego życia karnawału przywyka, że cały czas schodzi na tanach, śnie, wizytach i toaletach. Wieczór spędzony w domu wydaje się już torturą, książka wzięta do ręki zadaną lekcyą, na odczyty się chodzi trochę przez poczucie obowiązku, więcej w nadziei spotkania mnóstwa znajomych, ale ich się słucha z roztargnieniem, kładąc konieczny warunek, aby były zabawne. Tego przymiotnika

żąda się od wszystkiego: i kościół musi być zabawny t. j. musi być na mszy dużo przyjaciółek i znajomych, wizyty i odczyty, i wędrówki po sklepach, i teatr i koncerta, wszystko to musi być zabawne. Czyta się bardzo nie wiele i w czasie karnawału główka zupełnie ugorować musi, bojując tylko resztkami pensyonarskich wiadomości; do wszelkiej poważniejszej rozmowy ma się wstręt nieprzezwyciężony, ludzi się sądzi według tego tylko, czy są lub nie zabawni — słowem panna tego kółka, zjechawszy na parę miesięcy do Warszawy na zabawę, niczego innego prócz tej zabawy nie szuka. Ztąd pewna czczość i jałowość (zresztą wszystkim salonom warszawskim wspólna). Ztąd ten gorączkowy wir towarzyskiego życia, który tych, co weń wpadają, całkowicie absorbuje, od wszelkiej pracy odciąga, nieraz marnuje, często bardzo z właściwego toru wykoleja; ztąd tego życia tak ciężkie wymagania, że zaprzągłszy się raz w jego taczkę, trudno się od niej oderwać i brnie się w wir coraz dalej, a chodząc z balu na bal, z jednego rautu na drugi, tańczy się nieraz do godz. 10-tej z rana, a później znowu o 10-tej wieczór zaczyna nową „robotę", wypełniając przerwę snem, wizytami i teatrem.

Powstaje z tego ogólne rozbałamucenie, sztucznie przez siebie samych wytworzona gorączka, która słabnie z wiosną, a później na nowo zaczyna się z wyścigami i wystawą. Takich kilka karnawałów może nieraz wiejską panienkę popsuć, zaprawiając do życia, którego wyszedłszy za mąż zwłaszcza na

wsi nie znajdzie wcale; podnosi ogromnie skałę jej wymagań od świata i towarzystwa, rozmarza główkę a wyjaławia serce. — Znam mnóstwo takich, których to gwarne i gorączkowe życie nie wypaczyło wcale i wyszedłszy za mąż, te najbardziej „rozbawione“ salonów warszawskich panny stawały się najlepszemi żonami i najbardziej oszczędnemi gospodyniami.... Ale to wszystko dzięki potędze uczucia, przywiązania do męża. Nie brak jednak i tych, w których ślad warszawskiego życia pozostanie wiecznym i nie daj Boże mniej pomyślnych w małżeństwie warunków, a młode serduszko będzie zawsze wspomnieniami karnawału żyło, będzie się zawsze do tej Warszawy rwało i lata przejdą, zanim się z owego „rozbawienia“ wyleczy.... Niech zaś na męża słabego trafi, niech te wspomnienia odnowić zapragnie, a wówczas natura pociągnie wilka do lasu; co roku na karnawał do Warszawy zjeżdżać się będzie i tracić majątek bez myśli i zastanowienia. Ileż to takich ruin przed mojemi przesunęło się oczami, ileż to w ten sposób fortun pękło, w obce przeszło ręce. A wszystkiego zawsze genezą było warszawskie r o z b a w i e n i e s i ę. Nie dziw więc, że ono zaczyna już wielu zrażać i kandydatów do małżeństwa zniechęcać. Dziś wiejski *epouseur* będzie się zawsze obawiał wziąć pannę, co w Warszawie kilka spędziła karnawałów, bo straszy go przyszłość, wstrzymuje obawa, aby ta gorączka nie powtarzała się i później, odstręcza licznemi przy-

kładami utwierdzone przekonanie, że czem skorupka nasiąknie za młodu, tem na starość... pachnie.

Bawią się także zimą i latem dużo w sferach przemysłowych, mieszczańskich i adwokackich, lekarskich i t. d. Tu właśnie jak i w niższych finansach zbytek bywa największy i najkarygodniejszy. Prawda, że wyjątkowo w Warszawie sfery te są od innych zamożniejsze. Przemysł Warszawy i Królestwa miał swe tłuste lata, wtedy ulegli właściciele fabryk powszechnemu usposobieniu do zbytków i wystawności i te sfery równie jak finansowe mają wiele sobie w tym względzie do wyrzucenia. Krzyczą one na szlachtę, a niepowściągliwemi i nieprzezornemi okazali się również. Dziś prawdziwa szlachta wiejska stokroć od nich skromniejsza. To też jak przyszły chude lata, okazał się brak zasobów dla przetrzymania kryzys. Nie mówię już o przemysłowcach, dorabiających się fortuny, a wogóle w Warszawie bardzo solidnych, ale wielu znacznych adwokatów, lekarzy, inżynierów i t. d., ma, a zwłaszcza miało dawniej takie dochody, jakich u was nie posiadają nawet ministrowie. Lecz w tem znowu bieda, że tym, co wydawali, bo mieli na to, chcieli dorównać w przyjęciach także i mniej zamożni i mniej powodzenia mający, dlatego tylko, aby pokazać, że i on od swojego kolegi nie gorszy i że równie dobrze jak tamten „stoi“. Więc mniejszy przemysłowiec i finansista sadził się na wspaniałe apartamenta i bale w przekonaniu, że to „podtrzymuje jego kredyt“, więc adwokat, zarabiający

dajmy na to 6,000 rs. rocznie, pozował na takiego, co ma 20,000 rs., aby tylko tamtemu nie ustąpić i wśród kolegów i klientów wyrobić przekonanie, że i jego praktyka niemniejsza; lekarz to samo, inżynier również i t. d. W tych właśnie kołach zbytek był największym, bo nieproporcyonalnym i skala życia najbardziej wyśrubowaną. I to wszystko nietyle się robiło dla samej zabawy, jak dla popisu, dla prześcignięcia drugich, dla zamaskowania prawdziwego swego położenia; rzucało się tu piasek w oczy, jak w owej wesołej komedyi Labicha *La poudre aux yeux*, która właśnie śmieszności tych sfer najdotkliwiej chłoszcze. Byłam przed paru laty na kilku w tych kołach rautach i balach. Co za przepych w toaletach, co za kosztowne przyjęcia! Krzyczymy wszyscy na zbytki żydów i bankierów, a słowo daję, tu nie mniejsze, tylko że tamci mają miliony, a ci zaledwie tysiące. I żeby to przynajmniej miało służyć za środek jakiejś zabawy! Ale nie. Na balach jeszcze tańczą, ale rauty są tylko polem do popisu toalet jednej damy przed drugą; wszyscy bowiem panowie zasiadają odrazu do kart i wśród sukien gdzieniegdzie tylko mignie się jaki czarny fraczek etatowego „bawidamy", który dlatego jedynie otrzymał zaproszenie, że dobrze „rozmawiać" umie.... Przez parę godzin odbywa się jeneralna lustracya toalet, później następuje lukullusowa wieczerza, żony wyczekują jeszcze chwilkę na kończących ostatniego robra mężów... i *finita la comedia.* Ale znowu mówiąc to muszę się zastrzedz,

że to co powiedziałam korzystnego wyżej o niektórych sferach finansowych żydowskiego pochodzenia, stokroć bardziej stosuje się do naszego mieszczaństwa niemieckiego kiedyś urodzenia. Są między nimi najlepsi, najzacniejsi, wykształceni obywatele kraju — są też powszechnie szanowani. Tacy Szlenkierzy, Temlery, Szwedowie, Pfeifrowie, Spiessowie, Brunowie, Wernerzy, Herbsty, Simlery, Lilpopi, Sztrasburgery to już kość z naszej kości i krew z naszej krwi — z dodatkiem refleksyi, pracy, oszczędności i wytrwałości niemieckiej. Wspominam o tem wszystkiem obszerniej w drugim tomie niniejszych listów („Sylwetki warszawskie“), tu zastrzegam się tylko mimochodem, abyś nie sądziła, że potępiam w czambuł całe nasze mieszczaństwo i że je oceniam z wyłącznie salonowego i towarzyskiego punktu widzenia.

Już to plagą wszystkich naszych salonów warszawskich są karty i papieros. Do zielonych stolików zasiadają wszyscy starsi panowie, a nierzadko i tacy, coby mogli jeszcze doskonale jeśli nie tańczyć, to przynajmniej „mamy“ bawić, czasami oblega stoliki także i młodzież.

Na papierosa wymyka się co chwila z salonu każdy danser i dziś żaden bal nie uda się, jeśli liczba młodzieży nie będzie w dwójnasób większą od cyfry tancerek. Trzeba bowiem koniecznie „dublować“ tych, co większą część wieczoru przesiedzą w „fumoirze“ i z osobą swoją tak się targują, jakby z jakim rarytasem.... Dziś młodzieniec, danser,

któryby chciał i umiał z paniami rozmawiać, należy do rzadkości, nadano mu nawet specyalnie warszawską pogardliwą nazwę: „bawidamy“. Każdy skończywszy swój *tour,* zmyka co prędzej „na papierosa“, a biedne panie i panienki siedzą same pod ścianami, wyczekując jak zmiłowania Bożego nowego zaproszenia do tańca. Wogóle biorąc, chorobą salonów warszawskich jest właśnie powszechny brak młodzieży. Liczebnie jest ona znaczną, jakościowo coraz gorszą. Dziś o dobór młodych ludzi tak bywa trudno, wymagania towarzyskie tak pod tym względem wzrosły, że to właśnie głównie przyczynia się do powiększenia szeregu niezliczonych kłopotów, jakie każdy gospodarz i gospodyni mają, zanim się im uda odpowiedni kontyngens dla swoich wieczorów zebrać. Najwięcej jeszcze dostarcza prowincya i z młodych wieśniaków rekrutują się głównie nasze tancerskie kadry. Ci do zabawy najlepsi, stanowią również poważne bataliony e p u z e r ó w, bez których ostatecznie ruch salonowy omdlewa i na interesie traci.

Ale i ta młodzież jakaś inna — niż dawniej bywało, jakaś dziwnie wymuszona, ociężała, wygodna, apatyczna i przeżyta.... Dziś rzadko spotkasz w naszych salonach prawdziwego tańcu i zabawy amatora, dziś z trudnością znajdziesz takiego, któryby wśród panien nie przebierał i z każdą po kolei tańczył, z najbrzydszą i najładniejszą, i trzymał się jedynie zasady przyczyniania się do ogólnego humoru i zabawy.... Nie — jeśli ma osobisty interes,

jeśli mu chodzi o tę lub ową posażną pannę, wówczas rozwinie całą swą salonową usilność, ale dla niej jednej, o resztę towarzystwa nie dbając.... Jeśli zaś nie, jeśli w tem kółku właśnie nic go nie łączy i nie wiąże, wówczas przybiera minę „szanującego się“ młodzieńca, tańczyć będzie mało, rozmawiać jeszcze mniej i większą część czasu spędzi nie w salonie, lecz w „fumoirze“.... I to z każdym rokiem idzie gorzej, coraz mniej wśród młodzieży salonowych zalet, coraz więcej jakiejś apatyi, przeżycia i „zblazowania“ — tak, że starsi, co już przeszli trzydziestkę, a jeszcze nie doszli czterdziestki, tak zwana „stara gwardya“ salonowa, uchodzi jeszcze za najprzyjemniejszą i bardzo przez panny i gospodarstwa poszukiwaną bywa.

W ogóle mówiąc o młodzieży tutejszej, z bólem serca należy podnieść fakt, że między tą, która do Warszawy na karnawał z prowincyi przyjeżdża, jest zbyt wielki procent lekkomyślnych utracyuszów, co szczupły i pracowicie uzbierany przez rodziców dorobek marnują i trwonią na karty, na życie nad stan, na huczenie po bruku zbytkownemi powozami, na hotele i rozpustne zabawy. Młodzież tej kategoryi bezmyślna, ślimacza, bezkrwista i bez ciepła, bez wykształcenia, bez treści w myślach i rozmowie, bez istotnej nawet wyższej ogłady, nie sięga po za kategoryę pospolitej *fashionableness*. Jeśli który z nich dobrze tańczy, to przynajmniej tyle dobrego o nim da się powiedzieć. To też trzeba widzieć, jak taki *vortänzer* bierze na seryo swoją tancerską misyę,

z jakiem zadowoleniem z siebie i uroczystością spełnia swoje zadanie, jak gdyby szedł lub wracał zwycięzki z wyprawy pod Wiedeń, lub ważną sprawę publiczną załatwiał. Typ ten doskonale pochwycił komedyopisarz w znanej postaci Fikalskiego. — Wielu z tych paniczów i paniczyków zamiast szlifować bruk warszawski a froterować posadzki, zrobiłoby stokroć lepiej, gdyby zamienili swe lakierowane trzewiki na juchtowe buty i zaprzęgli się do gospodarstwa, do sądów, do pracy w gminie, w parafii, gdyby na wsi przyłożyli ręki do obowiązków publicznych, do wiązania spojeń między dworem a ludem, bez których i oni i kraj spadać będzie coraz niżej. — A tak są tylko materyałami na bankrutów, na pastwę dla lichwiarzy i żydów, na których wymyślają — na pieczeniarzy, moralnych i materyalnych żebraków.

Zabawa, lenistwo, używanie i rozpieszczenie tak głęboko tkwią w naszej naturze, że najsroższe nawet doświadczenia i próby nie zdołały wielu wytrzeźwić. Ta kategorya młodzieży myśli, że jest elegancką — a jest tylko przedmiotem politowania, a często oburzenia wszystkich nie to moralistów, ale prawdziwie dobrze wychowanych, wykształconych choć światowych ludzi — służy też za cel żartów i śmiechu tych, z którymi wydatkami i stanem życia równać się myśli.

Wszędzie na świecie, we Francyi, Anglii, Niemczech, Włoszech każde pokolenie dorzuca swą cegiełkę do budowy poprzedników — ztąd powstaje

to ciągłe przyrastanie i nagromadzanie pracy, zasobów kapitału narodowego — u nas tylko wielka część społeczeństwa, bodaj najliczniejsza nie tylko nic nie przymnaża dorobku poprzednich generacyj, ale trwoni co po nich wzięła, a nawet eskontuje naprzód przyszłe realne lub fikcyjne dochody. Nigdzie też majątki nie przedstawiają tak małej trwałości jak u nas. — Obejrz się po naszych wsiach, większość ich przechodzi z rąk do rąk, co jedno lub dwa pokolenia, a często parę razy w ciągu 40—50 lat.

Na nieszczęście nie tylko średnia własność, ale i prawdziwie wielka, tak zwana magnacka rozprasza się i marnuje z krzywdą dla rodów, z krzywdą dla kraju. Nie jeden z jej reprezentantów w Warszawie do ruiny majątkowej dokłada wstrętny przykład i zachętę skandalicznego życia — istnego zatarcia w sobie wszelkiego zmysłu moralnego. W innych warunkach postawieni, możeby byli hulaszczość swoją do szlachetniejszych celów zwrócili i samo społeczeństwo byłoby skuteczniejszą kontrolę i wpływ na nich wywarło. Obecnie bez oddechu żadnego, bez widoków i pobudek szerszych marnują i psują siebie i drugich.

Brak publicznego zajęcia, służby cywilnej i wojskowej, zgoła szerszego pola działania, jest prawdziwą dla młodzieży klęską. Traci na tem wykształcenie jej nie tylko umysłowe i charakteru, ale nawet fizyczne. — Dzisiejsze pokolenia są w ogóle dziwnie fizycznie wątłe, rozpieszczone i wygodne. Od sześć-

dziesięciu blisko lat zawód wojskowy jest moralnie i faktycznie dla Polaków zamknięty — służba cywilna, sądowa i administracyjna, nawet nauczycielska od dwudziestu pięciu lat prawie niedostępna. Widnokrąg umysłowy, praktyczna znajomość publicznych i ogólnych interesów, karność i sprężystość charakterów, wreszcie fizyczne nawet rozwinięcie cierpią na tem niezmiernie. Rozpieszczenie i łatwe zabawy zajęły ich miejsce w znacznej liczbie dostatniejszej młodzieży. Dlatego wyznaję, iż z przyjemnością widzę młodych ludzi, którzy choć wyścigami i polowaniem się trudnią, zapisują się do klubu wioślarskiego, bo przynajmniej tym sposobem bronią się od zupełnej ospałości i fizycznej degeneracyi.

Długi stan niewoli wymaga koniecznie skuteczniejszych środków obrony w łonie ciemiężonego społeczeństwa. — Nienormalne warunki egsystencyi skoro się przeciągają — grożą nieżytem, rozstrojem i rozkładem, wreszcie kretynizmem, wychowanym wśród tych warunków pokoleniom. Ciężko i bolesno Polakowi służyć w wojsku — ciężko i trudno w urzędowaniu miejsce sobie wyrobić. Gdyby jednak młodzież nasza wynosiła z domu zasady religijne, moralne i narodowe mocno ugruntowane, to sądzę, że służba choćby w wojsku, w urzędowaniu, byleby niesprzecznem z godnością i sumieniem, w kraju czy w Cesarstwie, nawet przy małych widokach awansu, byłaby stokroć lepszą niż lenistwo i gnuśność duszy i ciała, na które ogromna ilość młodzieży naszej jest skazaną — bo kraj nie jest dostatecznie

ekonomicznie rozwinięty, by wszystkie jej siły spożytkować. — Pod tym ostatnim względem wiele jednak pozostaje do zrobienia. Byleby rodzice praktyczniej i przezorniej kierowali przygotowaniem naukowem swych dzieci, byleby młodzież sposobiła się trafniej do pewnych zawodów, a pracowała usilnie, wytrwale i poczciwie, jeszcze znajdzie w kraju mnóstwo stanowisk przez Niemców i obcokrajowców zajętych, które ona posiąść powinna.

Jak myślę o Was w Galicyi, nie mogę wyjść z podziwu, że tak mało Polaków poświęca się służbie wojskowej — w Austryi wielka część trudności, które tu istnieją, na Was nie cięży. Ślimactwo fizyczne i moralne, takaż miękkość i rozpieszczenie są bodaj główną tego przyczyną.

Młodzież tutejsza zdaje mi się cieplejszą niż Wasza — ale tego jeszcze nie dosyć — przyszłość należy do wierzących wspaniale i wysoko, do mężnych, rozumnych, wytrwałych i wytrzymałych; — pieszczochy i wygodnisie do stołu jej nie zasiądą.

Ale po tej może trochę kaznodziejskiej wycieczce wracam do dalszego ciągu mych sprawozdań towarzyskich.

Zabawy zimowe trwają w Warszawie przez cały karnawał i wielki post. Po świętach Wielkanocnych ruch towarzyski zaczyna słabnąć na parę miesięcy, ażeby znowu w czerwcu ożywić się i zabłysnąć w epoce wyścigów i wystawy.... Na „letni karnawał" zjazd ze wsi bywa mniejszy, zawsze jednak jest znaczny, a zebrania przenoszą się z salonów

do lóż wystawowych, na wyścigi, gdzie się odwiedza znajomych w ich powozach — a jeśli zjazd liczny i chęć do zabaw większa, to trafi się czasem i niejeden bal prywatny i parę pikników towarzyskich w jakimś arystokratycznym lokalu lub za miastem, najczęściej w Marcelinie, willi-restauracyi, położonej za rogatkami belwederskiemi.

Podobne zabawy mają swój specyalny urok, swoją odrębną cechę *des bals champêtres,* połączonych z fajerwerkami i iluminacyą ogrodów. Panie występują wówczas w toaletach spacerowych, satinetka zastępuje „tiule“ i „illuzye,“ zabawa przeciąga się długo i jeśli ma być sławną, musi się zakończyć wspaniałym, przy blaskach wschodzącego słońca „białym mazurem“. — Gremialny powrót do miasta, ranna przejażdżka po Łazienkach lub wspólna po pikniku wycieczka do Willanowa, nadają tego rodzaju zabawom warszawskim czysto lokalny charakter i bardzo dużo powabu. W ogóle w czasie letniego karnawału, więcej tu jeździmy, aniżeli tańczymy.... Pora to, w której piękny zaprząg i spacerowe toalety wyłącznie zaczynają panować, a nasze czerwcowe c o r s o po alejach Ujazdowskich i Łazienkach wygląda nader wspaniale i wierzaj mi w mniejszym zakresie, naturalnie bez dworu i urzędowych ekwipaży, przypomina znaną wiedeńską zabawę *Praterfahrt.*

Latem, po wystawie, towarzystwo warszawskie niknie zupełnie. Wszystko, co żyje, wyjeżdża na wieś, do wód, lub co najmniej na letnie mieszkania....

Te letnie mieszkania, to także specyalnie warszawska moda i cecha. Przez lipiec, sierpień i wrzesień każdy „szanujący się“ Warszawiak, każdy dom zamożniejszy, nie może bawić w mieście.... lecz co najmniej za rogatkami Warszawy, bodaj w Marcellinie.... Więc przy naszych kolejach potworzyły się formalne letnich mieszkań kolonie, całe miasteczka, wiele gustownych willi, domów szwajcarskich, pałacyków i t. d. Zaczyna się to na drodze warszawsko-wiedeńskiej od Pruszkowa, a kończy aż na Skierniewicach; na Terespolskiej idzie aż do Nowo-Mińska; na Nadwiślańskiej ulubionym punktem jest Jabłonna. Kto ma i kto nie ma na to, ten wyjeżdża na letnie mieszkanie.... W Warszawie zostają tylko mężowie, ci, co obowiązkiem przykuci do miasta, żadną już miarą uciec z niego nie mogą... ale tacy nawet bardzo często rannym pociągiem przyjeżdżają do Warszawy, a wieczornym wracają znowu na letnie mieszkanie. W niedziele i święta odbywa się formalna wszystkiemi kolejami pielgrzymka, każdy spieszy na wieś do swoich znajomych; zaproszenia na niedzielne obiady są jakby abonamentem... a pomimo to jednak stałej publiczności warszawskiej wystarczy jeszcze na zapełnienie wszystkich naszych teatrów i teatrzyków ogródkowych i ogród Saski, ten „letni salon Warszawy,“ świetny w czerwcu, w lipcu i sierpniu, przepełniony jest zawsze spacerującą publicznością....

Wędrowne ptaki warszawskie zlatują stadami dopiero w pierwszych dniach października. — O tej

porze zatem, późną już jesienią, otwierają się wszystkie nasze salony, ale dla gości więcej poufałych, dla bliższych znajomych. Na bale już nie pora, bo adwent za pasem, rauty mają tylko wielkopostny przywilej, więc co najwięcej tu i tam rozpocznie się szereg proszonych obiadów i mniejszych zebrań.... Najlepszy to sezon dla teatru. — Centrum warszawskiego towarzystwa tam się o tej porze przenosi; do lóż Wielkiego Teatru, na opery panie przywdziewają wieczorowe toalety, a panowie obowiązkowe fraki; na sposób włoski oddaje się w lożach w czasie antraktów wizyty; koncerta mają wielkie powodzenie, a rozmowa zaczyna się coraz bardziej obracać na temat przepowiedni przyszłego karnawału i widoków zimowych zabaw...

Oto masz w grubszych zarysach obraz naszego życia towarzyskiego. Widzisz, że patryotyzmem warszawskim nie unoszę się wcale i więcej stron ujemnych, niż dodatnich wykazać ci się staram. Rozważ sama, w którym kierunku szala się przechyla i czy ogólnie biorąc w porównaniu z towarzystwem innych miast polskich, zasługujemy raczej na pochwałę, niż na naganę. Mnie się zdaje, że pomimo wszystkiego, ta pierwsza sprawiedliwiejby się nam należała. Jeśli życie salonowe nad miarę wielu u nas ludzi absorbuje, jeśli pochłania zbyt wiele naszego czasu i od poważniejszych odrywa zajęć, jeśli czasem wyradza płytkość, rozbawienie, gonitwę dnia za dniem i te strony ujemne, których bynajmniej przed tobą nie taiłam, to jednak może ono na swoje uspra-

wiedliwienie przytoczyć, że jest jedynem, że musi po części zastąpić to, co wy nazywacie życiem publicznem, że koncentruje w sobie dużo narodowego instynktu, ludzi nawzajem zbliża, jednoczy i zapoznaje z sobą.

Jakkolwiek jest to towarzystwo warszawskie, ma jednak tę wielką zaletę, że trzyma się odrębnie, że z małemi niezmiernie wyjątkami od napływowego żywiołu stroni, że świat i ludzie rosyjscy mają do niego wstęp niezmiernie utrudniony, a nawet w wielu razach niemożliwy....

Na tem polu koncesyj nie spotkasz żadnych, albo przynajmniej bardzo wyjątkowe. Niech nam tu jeszcze drugie tyle Rosyan do Warszawy naślą, niech wybierają wśród nich nawet najcywilizowańszych i najbardziej jednać sobie ludzi umiejących — towarzystwo warszawskie pojedynczo tolerować ich będzie, ale nigdy nie straci swej wybitnej polskiej cechy, nigdy nie stanie się zupełnie kosmopolitycznem i nie wynarodowi się. Warszawa była jak i będzie polską, chociażby procent żydów i Rosyan i Niemców wzrósł jeszcze w dwójnasób, a jej towarzystwo pomimo wszystkiego zawsze polskiem pozostanie.

Obyczajów swoich nikt nam nie narzuci, bo chcąc wśród nas i z nami żyć, musi przedewszystkiem przyjąć nasze. „Parlować“ będziemy wszyscy, począwszy od p. hrabiny i pani bankierowej, a skończywszy na żonie ostatniego urzędnika i modystce (u nas bowiem po francusku mówią nawet garsoni

po hotelach), ale każda nędza kraju rozwiąże nasze kieszenie, każda myśl narodowa zapali nasze umysły, każde wołanie o pomoc wnet nas z „rozbawienia" rozbudzi i jak na Szlązaków daliśmy przeszło 100,000 rs., jak potrafiliśmy własnemi siłami skutki kilku powodzi zażegnać, jak tyle instytucyj dobroczynnych miasta i kraju sami utrzymujemy, tak we wszystkiem będziemy zawsze gotowi — i bądź przekonana, że ci, co u nas najwięcej się bawią, ostatni w szeregach do uczciwej, rozumnej i dodatniej a legalnej pracy nie staną. Każda sprawa publiczna, każde przedsięwzięcie mające na celu pożytek ogólny, znajdzie zaraz ludzi gotowych pomódz, pracę, czas swój poświęcić, byle zamiar taki poprzeć, niech to sobie będzie wystawa, bal dobroczynny, stowarzyszenie użyteczne i t. p. Mimo wszystkie wady żywotnością swoją, ofiarnością, ciepłem, zapałem, wreszcie gościnnością jest i zostanie Warszawa stolicą Polski. Kto chciałby towarzystwo warszawskie w czambuł potępiać, niech spojrzy na naszego miłosierdzia rubrykę — a wówczas się zawaha i katoński swój zapęd powstrzyma. Kto na „rozbawienie" warszawskie i gorączkową po salonach wędrówkę *anathema* rzucić zechce i bezwzględnie to nasze życie karcić, niech sobie przypomni, że już stary Villemain powiedział: *„qu'une société, qui a un salon intelligent, est une société qui vit encore"*.

Otóż Warszawa żyje i żyje bardzo jawnie, wyraźnie i silnie. — W ludziach jak w bruku tutej-

szym są iskry, jest ogień niewygasły, a jeśli salonowe życie w porównaniu z dawnem dużo pod względem umysłowym i rzeczywistej ogłady straciło, nie sądź jednak, by ruch inteligencyi zmniejszył się albo ustał. Bynajmniej, tylko się gdzieindziej przeniósł. Ludzi dojrzałych i młodych pracujących seryo przybyło w każdym zawodzie — ale tych w tak zwanych salonach i na zabawach mało widać. Dawne karyery w służbie publicznej z wielką krzywdą kraju zamknięte — ale w zawodach, przedsiębiorstwach, instytucyach prywatnych wielu ludzi się kształci i pracuje gruntownie, wielu z nich, niby rozsadniki cywilizacyi, szuka umieszczenia w Cesarstwie, i byleby ducha Bożego i polskiego w sobie nie gasili, korzystnie przysłużyć się krajowi mogą.

Młodzież tutejsza ucząca się lub w zawodach praktycznych doucząjąca się, wystawiona jest niestety na bardzo niebezpieczne prądy bezwyznaniowe, materyalistyczne, ze szkół, z napływu rosyjskiego, z rzekomo postępowej i scientyficznej literatury zachodu wiejące, wystawiona na nie bez należytego przeciwdziałanie jak na Zachodzie, literatury i nauki innej, lepszej, szlachetniejszej gruntowniejszej, bez przeciwdziałania życia zdrowego, przykładów i działalności rozwijających się normalnie, jawnie i otrzeźwiająco w każdem społeczeństwie, posiadającem niepodległość i nieodzowne warunki samoistnego bytu. — Brak ten srogo czuć się daje — a jednak młodzież ta ma tu więcej zapału, gorąca, żądzy

nauki, niż w dzielnicach kraju, znajdujących się w stokroć szczęśliwszych warunkach.

Sfery przemysłowe, finansowe, mieszczańskie zgoła, są tu bez porównania nietylko liczniejsze niż w Galicyi, Poznańskiem, Litwie, Rusi, ale o wiele poważniejsze, bardziej wykształcone, w interesach uczciwe i szanujące się, daleko bardziej polskie i wpływowe niż w którejkolwiek części dawnej Polski.

Tak zwane Królestwo nie było nigdy siedliskiem przemożnych bogactwem rodów. Kupiły się one daleko więcej na Rusi, na Litwie niż w przeważnie mazurskiem Królestwie. Dziś prócz jednej Ordynacyi Zamoyskich „magnackich“ fortun terytoryalnych nie ma prawie wcale — jest kilka zaledwie „pańskich“ majątków. W słowach znajdziesz w Warszawie i na prowincyi, a w szczególności w bardzo *niedojrzałej* i *głupiutkiej* nieraz, podrzędnej prasie, krzyki na tak zwaną *arystokracyę* u nas. Nie bronię jej bezwzględnie i bronić nie mam z własnego usposobienia ochoty; wiele bardzo z tych narzekań podzielam, a nawet głośniej i konsekwentniej w życiu bym podniosła, bo jest *nieraz* mimo doświadczenia krwawego i bardzo dawnego w sobie podzielona, niesprzężna, ambicyami i pychami indywidualnemi do szpiku przesiąkła, marnotrawna, leniwa, w chęci zabaw i użycia niepowściągliwa, umysłowo i naukowo niewykształcona i zacofana, niedorzecznemi próżnościami a czasem arogancyą nadziana — ale i co z niej się przechowało i utrzymało dotąd jest bar-

dzo często stokroć lepszą niż było przy upadku kraju.

Ci co krzyczą i piszą najgłośniej w Warszawie, niechaj się koło siebie obejrzą trzeźwo i spokojnie, a przyznać muszą, że tak zwana arystokracya jest wszędzie *obecna*, gdzie idzie o dźwiganie kościołów, szpitali, o dzieła miłosierdzia, o wydawnictwa poważne i kosztowne, o publikacye codzienne lub peryodyczne, o przechowanie pamiątek krajowych, o sztukę krajową, o muzea przemysłu, o instytucye jak ziemski i miejski kredyt, wystawy krajowe, ulepszone gospodarstwa i hodowle i t. p.

Zamiast więc dziwić się i przedrzeźniać — prasa i opinia winny do zgody i harmonii społecznej nąwoływać, wątłe i tak siły jednością krzepić, a jeśli karcić i nawoływać to bardzo poważnie, gruntownie a zawsze miłośnie, bo wszystkie klasy w towarzystwie warszawskiem i Królestwa nie są bez wad i win i grzechów licznych, ale nie są też bez cnót, bez dobrego, bez zasług, a szczególnie bez dobrej woli i chęci dla kraju i swoich.

Tą też ogólną uwagą kończę część pierwszą niniejszych listów, pragnąc w drugiej przejść do bardziej szczegółowych sylwetek wybitniejszych osobistości warszawskich, do dziennikarstwa, literatury i sztuki, a zakończyć ogólnym na dzisiejszy stan naszego kraju poglądem.

Koniec części pierwszej.

SPIS TREŚCI.

Jedną z wpływowych figur w Uniwersytecie Warszawskim był p. Sonin, dziekan wydziału matematycznego, później członek Akademii petersburskiej. Dzięki jego protekcyi przyjęto do kancellaryi na służbę jako pomocnika inspektora jego brata, wypędzonego z wojska porucznika. Studenci uniwersytetu płacili wówczas wpisowe zwykle w kaznaczejstwie na ul. Rymarskiej, po okazaniu w inspekcyi pokwitowania przykładano do matrykuły pieczęć z napisem: wpis zapłacony, dającą prawo wejścia na wykłady. Bywały jednak wypadki dość częste, że student potrzebujący dostać urlop albo przystąpić do egzaminu, a który dotąd wpisu nie opłacił, składał pieniądze w inspekcyi, skąd odsyłano je później do kaznaczejstwa. W r. 1885 z rozpoczęciem się egzaminów wielu studentów okazało się niedopuszczonych do egzaminów z powodu jakoby niezapłacenia wpisu; tymczasem nietylko wszyscy wpis opłacili, ale posiadali świadectwo na matrykułach. Okazało się, że wszyscy oni wnieśli opłatę na ręce p. Sonina, który pieczęcie przykładał, a pieniądze chował do kieszeni, skradłszy w taki sposób znaczną sumę około 700 rubli. Najmądrzejszy wyrok p. Apuchtina postanowił: studentom pozwolić składać egzamina z warunkiem, że po wakacyach wpis zapłacą powtórnie, p. Sonina zaś za karę przenieść na posadę pomocnika sekretarza do kancellaryi zarządu okręgu naukowego.

Pewnego razu Uniwersytet Jagielloński [illegible] swoje [illegible] bibliotekami jego nie zginął rzadki druk „Psałterz Dawida” gdyż

podobny exemplarz ofiarowano Wszechnicy Krakowski[ej]
gdy tymczasem istnieje tylko kilka znanych egzemp[larzy]
dania i jeden należy do biblioteki Uniwersytetu Wa[rszawskiego]
Gdy rektor kazał bibliotekarzowi druk ten sobie pokaz[ać]
zał p. Tichomirow, długo ociągał się ze spełnieniem
pewnie oświadczył, że dzieło to skradziono. Śledz[two w]
sprawie okazało, że do Krakowa książka dostała się
nictwem antykwaryusza warszawskiego Bolecewic[za]
nie umiał nazwać osoby od której nietylko ten dr[uk]
wiele innych rzadkich książek nabył za bezcen. O
tylko że pamięta powierzchowność sprzedającego. Gd[y]
Bolcewicza do biblioteki Uniwersyteckiej odrazu w[skazał]
na p. Tichomirowa - bibliotekarza. Za karę ostatni z[ostał prze-]
niesiony na służbę do kancellaryi gubernatora W[...]
Istnieje rozporządzenie tajemne dane władzom [...]
aby w razie jeżeli urzędnik rosyjski złapie się [na]
złodziejstwie, nie kierować sprawy do sądu a zał[atwić]
„po usmotrenija", żeby „nie kompromitirować czy[nowników]
russkago proischożdenija w głazach miestnago [naselenija]"
- tak brzmi dosłowny tekst owego rozkazu. Nie [dziw-]
nego, że urzędnicy russcy w kraju nie przebiera[ją w]
środkach, będąc pewni, że w razie wykrycia ich [...]
sąd im nie grozi, a naczalstwo srogo karać nie [...]
tych, co zarówno pełnią ... służby „na okra[inach"]

TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE.

TOWARZYSTWO
WARSZAWSKIE.

LISTY DO PRZYJACIÓŁKI

przez

Baronową X. Y. Z.

TOM II.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1887.

Odbicie z dziennika „CZAS“. — Nakładem Redakcyi.

LIST PIĄTY.

Sylwetki warszawskie.

TREŚĆ: Wstęp i zastrzeżenie. — Dawniej i dzisiaj. — Wielki pan. — Pan podstoli. — Praca organiczna i jej uosobienie. — Arystokrata-finansista. — Możnowładcze tradycye. — Amator prezesostwa. — Dzieciak warszawski. — Mecenas sztuki. — Dobry pan. — Przymusowa luka. — Mrówcza działalność. — „Nieobecni.“ Nasi dworący. — Trzy kategorye. — Leopold Kronenberg. — Świat finansowy i jego sylwetki. — Nasza giełda. — Przemysł i mieszczaństwo. — Adwokaci. — Urzędnik Polak w służbie rosyjskiej.

Czy wśród warunków, w jakich kraj nasz znajduje się, czy wśród tego położenia, w którem niemal wszystkie drogi służby publicznej zamknięte lub skrępowane, może się wyrobić człowiek wybitniejszy, a stanowisko społeczne istnieć? Oto pytanie, które kilkakrotnie powtarzasz, a na które zaraz na wstępie niniejszego listu pragnęłabym odpowiedzieć. Ale z góry muszę cię uprzedzić, że odpowiedź ta nie będzie ani dokładną, ani dla wszystkich jasną. Pisząc zkądinąd, niż z Warszawy, i o ludziach, mających szerokie polityczne pole działania w sejmach, parlamentach, radach powiatowych, urzędach i t. d. miałabym prawo postę-

powanie ich jawnej poddawać analizie, nad każdym zosobna zastanowić się szczegółowo, każdy rys charakterystyczny chwytać i w ten sposób sylwetki moje rysować na podstawie bogatego materyału faktycznego, z obserwacyi sięgającej tam, gdzie wzrok każdego zapuścić się może, i gdzie wglądać nie byłoby niedyskrecyą, a sądzić lekkomyślnością.

Dawniej za cesarza Mikołaja, a tembardziej później za Aleksandra II można jeszcze było, pisząc z Królestwa Polskiego, mówić o ludziach, co polityczne zajmują stanowiska. Mieliśmy jeszcze resztki samorządu, mieliśmy nasze krajowe instytucye, więc można było mówić o Andrzeju Zamoyskim, o margrabiu Wielopolskim, o Tomaszu Potockim; o takich urzędnikach jak Skarbek, dyrektor komisyi skarbu; Morawski, dyrektor komisyi sprawiedliwości, Wyczychowski i t. d. Dziś nastało takie znicestwienie całego kraju, takie odsunięcie go od wszelkiego udziału w rządzie i nienawiść do wszystkiego, co do miary i rusyfikacyjnych dążeń nagiąć się nie da, że wszelka indywidualność jednostek ginie, że są zaanihilowane zupełnie i w morzu gniotącego nas systemu toną. Zkąd więc czerpać farb do takich osobistych portretów, kiedy wzgląd naturalny, konieczność i doświadczenie nakazują wstrzemięźliwość; kiedy zresztą z natury rzeczy musiałabym samych tutaj używać półtonów, koloryt na szaro zamazywać, mnóstwa szczegółów nie domawiać, jeszcze więcej pomijać....

Daj jedną szarą barwę malarzowi i każ mu nią cały wymalować portret, a projekt twój w żart obróci i propozycyę zbędzie śmiechem. W podobnem położeniu znajduje się i twoja przyjaciółka. Więc nie pozostaje jej nic innego, jak pędzel i paletę odrzucić na bok, a wziąć do ręki zwyczajny ołówek i szkicować zgrubsza przynajmniej nie portrety i fotografie, lecz z umysłu zamazane niewyraźne anonimowe sylwetki. I znów przejdziemy tu różne koła naszego miasta, nie goniąc jednak za towarzyskiemi ich cechami, lecz raczej za tem, co nazwę ogólną ich, raczej społeczną niż osobistą fizyonomią.

I pierwszym, który się nam w tym przeglądzie nasunie na oczy, będzie wielki pan, magnackiego rodu syn, dziedzic nazwiska, co ogółowi naszemu takie drogie i ukochane. Ten ma *de facto* w społeczeństwie stanowisko znaczne i wyjątkowe, zapewne niełatwe, często bardzo przykre, ale przez to właśnie niezmiernie zaszczytne. On te odziedziczone obowiązki doskonale pojmuje i stanowisko, jakie mu przypadło w udziale, sprostać godnie pragnie, choć wszystko go ogranicza i krępuje, choć wszystko pozycyę jego tak trudnem czyni, iż z każdym krokiem rachować się musi, i kiedy w rzadkich okazyach, jakie mu okoliczności na barki jego walą, chciałby i użytecznie przemówić, i użytecznej doczekać się odpowiedzi, to zawsze jednak nadaremnie... Każą mu wraz z innymi kraj ten czasem przed tronem reprezentować, każą

mu w nas wszystkich imieniu wierno-poddańcze uczucia i zapewnienia składać, i u dworu asystować, i nie tytularnie tylko, lecz naprawdę ochmistrzowski sprawować urząd... On to wszystko zrobi, on konieczności raczej swego nazwiska, niż stanowiska podda się, ale z tem melancholijnem przekonaniem, iż owe podróże i reprezentacye na nic się nie zdadzą, z tem uczuciem i poczuciem, że jeśli go wzywają, to na to tylko, aby był, lecz nie na to, aby go słuchać. Gdyby zaś sam niepytany przemówić pragnął, to znalazłby się w położeniu tego dziada, co wciąż gadał do obrazu, a obraz do niego ani razu... On to wszystko doskonale czuje i rozumie, mimoto jednak, ile razy mu każą, pojedzie, nie dlatego tylko, że poniekąd musi, lecz, że w tem widzi obowiązku swego wypełnienie, okazyę przedsiębrania jednej jeszcze nadaremnej próby, a może trochę i w myśli, że już samą obecnością swoją przywiedzie kraj na pamięć i na to, co się w nim dzieje, najwyższą uwagę zwróci. Rycerski, pełen imponującej pańskości, hardości karku i tej impozycyi, którą wyłącznie na eksport zachowuje, uniknie tam z niezmierną drażliwością wszystkiego, coby mogło mieć choćby pozór prywatnego interesu, forytowania własnych spraw lub starania się o dostojeństwa, tytuły albo wstęgi, i przez to swoje osobiste w podobnych okazyach zachowanie się zyska, na przekór innym, wśród Rosyan szacunek i w wyższem towarzystwie stolicy wyjątkowo, a nawet znacząco

poważne zajmie stanowisko. Oni mu tej powagi, a nawet nad nimi samymi rycerskości przewagi nie przyznają, lecz ją raczej instynktownie odczują. Obdarzony w wysokim stopniu naturalnym zmysłem oględności, ma ten zdrowy rozsądek, co nazywają „chłopskim rozumem", który w każdym ogółu dotyczącym kroku każe zaufanych rad zasięgać, wszystko zważyć, każdy drobiazg przezornie obmyślić, niczego na własną nie przedsię brać rękę i pospolitą ambicyę nadziejom pożytecznej dla kraju usługi podporządkować. Niemniej jednak choć taki do ulegania radom drugich skory, wszystkie nieprzyjemności na siebie przyjmie, a jeśli co dobrego się stanie, to je komu innemu przypisze. Jakiejś niezdrowej oligarchicznej ambicyi i chęci przewodzenia nie znajdziesz w nim ani śladu; gdyby sądził, iż wolno mu pójść za własnym instynktem, to niewątpliwie wolałby raczej nie na drugi, lecz na dziesiąty zejść plan i spokojnie *paterna rura* uprawiać — czując jednak, iż jest inaczej i że cofnięcie się poczytaliby mu swoi za dezercyę, kolcami, jakie na działalności publicznej spotyka, nie zraża się wcale i do wygodnego usunięcia się i zapisania się w liczny poczet „nieobecnych" skorym nie jest. Charakter to zacny, na wskróś rycerski, umysł od wszelkich zboczeń i doktryneryzmu wolny, intencya niczem nieskażona i żadną z pospolitych wad naszych niezaprawiona.

W kraju do wszystkich użytecznych przedsię-

biorstw, skoro tylko udziału jego zapragną i pomocy zawezwą, chętnie i ochoczo przystąpi, nazwiska jednak swego użycza tam tylko, gdzie ludzi i czystych spraw pewnym będzie, na frymarkę i łudzącą firmę nie wyda i nie poniży. Zażywa też wśród wszystkich więcej szacunku niż popularności. Niejeden nie rozumiejąc konieczności i położenia sarknie czasem na jego wędrówki i sprawowane u dworu służby, każdy jednak uczci w nim rycerskiego człowieka, prawego obywatela, noszącego godnie nazwisko, co zawsze było nieskalanem i czystością intencyi w kraju błyszczało. O popularność nie dba, jeno przestrzega, by obowiązki, które odziedziczył, godnie a w miarę możności i użytecznie spełnić. Spełnianie tych obowiązków do znaczenia ofiary i poświęcenia nie podniesie, dyskutować nad niemi nie będzie, ale pójdzie prostą drogą w przekonaniu, że cokolwiek powiedzą, sumienie będzie mieć zawsze czyste. Człowiek porządku i zachowawczych zasad, choć czuje, że w danych warunkach zyskać się niczego nie da, niemniej rąk apatycznie nie zakłada, czem może i gdzie może społeczeństwu swemu wiernie służy, czując doskonale, iż tem najlepiej sprosta tradycyi swego nazwiska i przekazanemu starszeństwem wieku stanowisku.

A teraz ten drugi, nie magnat, nie dziedzic historycznego nazwiska, lecz typ rozumnego szlachcica i obywatela wiejskiego, współczesny nasz „Pan Podstoli“. Ten ma pierwsze w kraju gospo-

darstwo, złotym odznaczone medalem, opinię znakomitego agronoma a przedewszystkiem rzadki zaiste w Polsce dar administrowania własną nie magnacką lecz dostatnio szlachecką fortuną. Ta gospodarcza administracya jego może służyć za wzór wszystkim rolnikom i jest naprawdę imponującą, a dowodzi, że jeśli często w sprawach ziemiańskich głos zabiera i rady drugim udziela, to nie czyni tego na podstawie li tylko książkowej teoryi, lecz na zasadzie długoletnią pracą zdobytego doświadczenia i praktyki. Obowiązki też właściciela większych posiadłości, które tak pięknie i szczegółowo wyłożył, sam wzorowo i przykładnie spełnia, a cały kraj wie, iż wśród wszystkich moralizatorów ziemiańskich do niego jednego może nie da się zastosować przysłowie o kazaniu i plebanie. Zażywa też wielkiej wśród społeczeństwa naszego powagi, która się czasem zamienia i w przewagę. Zacności i uczciwości więcej niż nieposzlakowanej, samym współudziałem swoim każdej sprawie i interesowi — zaufanie zdobywa i obywatelskości dostateczną rękojmię daje. Z natury twardy, nieugięty, często nawet szorstki i porywczy, w zdaniu niezmiernie stały a nawet uparty, w działaniu jest zawsze jednak rozważnym i pojednawczym. Przywykły sam siebie w karbach trzymać, chciałby te karby wszystkim nałożyć, a jeżeli czasem do burczenia okazuje skłonność i w dyskusyi opryskliwym bywa, jest to raczej następstwem temperamentu a może i wieku aniżeli zarozumiałości.

Czuje on wybornie, co wart i co mu się należy, ale hołdów nie żądny, zdawkową popularnością się brzydzi i robi raczej wszystko, ażeby jej nie mieć, aniżeli ażeby ją osobistą kokieteryą i drobnostkowem nadskakiwaniem jednostkom i tłumom zdobyć. Zasad religijnych gorących i niezachwianych posunie się w nich czasem aż do skrajności i ekskluzywności. Pod tym względem jest nieprzejednanym i w sądach o drugich niezmiernie surowym a czasem nawet i niesprawiedliwym. Publicysta pierwszorzędny ma w piśmie wdzięk starej szkoły, wielką jasność wykładu i ten styl, co za Księstwa Warszawskiego „potoczystym“ zwano. Charakteru bardzo niezależnego, głównie tą niezawisłością innym imponuje, ma hardość własnemi siłami zdobytego stanowiska, powagę wielką i jeśli nie miłość, to za to szacunek powszechny budzi a uznanie zyskuje.

Skoro pragniesz, abym Ci wytłumaczyla, co znaczy właściwie owe tak często powtarzane u nas hasło „praca organiczna“, to właśnie korzystam z okazyi, aby odpowiedzieć Ci nie ogólnikami lecz szczegółem, nie teoryą lecz praktyką. Oto spróbuję Ci nakreślić sylwetkę człowieka, który jest jakby uosobieniem owej „organicznej pracy“. Nie ogólnemi rysami lecz krwią poprzedniemu bratni, jest innego niż tamten zakroju, osobistego i społecznego wyglądu. Cały oddany owej cichej, spokojnej, organicznej u podstaw pracy, mniej może niż tamten w kraju i na wsi znany, w mieście za

to zażywa wyjątkowej niemal pozycyi i ma ten urok, co go jakby pewną aureolą otacza. Zajęty suchą, żmudną i uciążliwą pracą, która ani jego usposobieniu ani naturalnemu pociągowi nie odpowiada, podjął się owego stanowiska dlatego jedynie, że w niem widział możność służenia społeczeństwu, a postawił sobie za zadanie, niczem nigdy nie gardzić, każdej chociażby najniewdzięczniejszej chwytać się roboty, a chwyciwszy się dojść w niej do doskonałości i pracowitością oraz sumiennością wypełnienia zaciągniętych dobrowolnie obowiązków innym przodować i za wzór służyć. Wzorem jest też istotnie i można go stawić za przykład, jak w takiem nawet położeniu jak nasze, należy i trzeba dług swój ogółowi spłacać i w jaki sposób owa spłata odbywać się powinna. Wykształcenie w nim duże i najróżnorodniejsze, nauka prawdziwa, wszechstronna i głęboka, oczytanie wielkie, pracowitość niezmierna, umysł jasny, prosty, żadnemi formułkami nie zasklepiony, umiejętność poznawania i zużytkowania ludzi rzadka i ten nadzwyczajny dar oraz i zaleta pewnego w sądzeniu ludzi, nie powiem, optymizmu, bo ten bywa często tuzinkowym, ale zdrowej i chrześciańskiej zasady, że każdy ma w sobie jakąś lepszą stronę, której domacać się trzeba i ku ogólnemu dobru zużytkować. Dla siebie surowy i dobroci własnej roboty zawsze niepewny, w sądach o drugich bardzo jest oględnym, nie zwykł się odrazu zrażać i z punktu potępiać, lecz z dziwną wytrwałością, wyrozumie

niem i cierpliwością będzie kołatał, pukał, szturmował, aż nareszcie dodatnią strunę poruszy, wyciągnie i na niej zagra. To kierunek, który nie krzyczy, ale pociąga za sobą. Choć sam tak pracą przeciążony, że pod jej brzemieniem literalnie upada, jednak zawsze dla każdego, młodego zwłaszcza, znajdzie i czas na radę, i pomoże mu w pracy, i kilku słowy poruszy myśl dobrą, i na przedmiot, którym się tamten zajmuje, nowe rzuci światło. Marzył kiedyś o profesorskiej karyerze i był jej nawet bliskim a szkoda wielka, że okoliczności stanęły na przeszkodzie urzeczywistnieniu młodzieńczych zamiarów i predylekcyi, bo coby to był za profesor, co za młodzieży pedagog! Cichy, skromny, ukryty w cieniu, piastujący stanowisko, które nikogo w oczy nie bije i żadnego wpływu nie daje, wywiera go jednak na każdym, do którego się zbliży i z którym się zetknie, a asekuracyjne swoje zadanie pojmuje także i w znaczeniu moralnem. Znałam dużo umysłów świetnych, głębokich, jasnych, znałam inteligencye, co to odrazu olśniewają i jakby blaskami promieni rażą, ale nie wiem, czy wiele zdarzyło mi się spotkać umysłów tak sympatycznych, ponętnych i pociągających jak ten właśnie. On wzbudza nietylko szacunek, ale wśród tych, co u warstatu pracy mają sposobność poznać go, nieci rodzaj uczucia, które zakrawa nieraz na entuzyazm. Dziwny ten człowiek ma talent przekonywania. Umiarkowaniem, spokojem, wyrozumiałością i wytrwałością zdoła naj-

zaciętszych umitygować; każdego potrafi sobie w przeciągu paru minut zjednać, każdemu swoją spokojną, nieskaczącą w oczy nauką zaimponować; wszystko, co powié, jest głębokie, równe, akademickie, a przecież utartych frazesów tam nie znajdziesz, rzucanych z trójnoga wyroczni i zasad nie usłyszysz. Do wyklinania i potępiania *à priori* umysł i serce niezdolne; niepobłażliwość atoli i jakaś apatyczna tolerancya, lecz wyrozumiałość i zasada jednania *par la douce violence*, oto jego cecha charakterystyczna.

Ujmujący i uroku pełen w życiu i stosunkach, nie tyle na wsi jak w mieście zażywa, nie powiem, szacunku i uznania, bo to byłoby za mało, nie powiem popularności, bo ta zwykle bywa zdawkową i nie taką cichą, spokojną pracą się jedna, ale tego *prestige*, na który składają się setki osobistych sympatyj. Gdzie nikt nic już nie potrafi zrobić, on zrobi wszystko... *La douce violence* zwycięży każdą przeszkodę... Rozciąć i zerwać węzeł nie sztuka, ale rozwikłać go — oto prawdziwej cierpliwości i talentu kunszt. On ten kunszt w wysokim posiada stopniu. Przytem rozum, bystrość, znajomość ludzi, położenia i warunków kraju, wreszcie wrodzony a wzmocniony wykształceniem i ustawiczną nad sobą samym pracą! zmysł wytrawny, czynią go jedną z pierwszych w społeczeństwie naszem powag, dar zaś zdobywania serc i jednania umysłów, przystępność i serdeczność obejścia jednają mu powszechną sympatyę i mi-

łość ludzką. Wolny od wszelkiej zarozumiałości, cienia jej nawet nie posiadając, nigdy i w niczem nie wysunie się naprzód — ale zawsze pozostanie w ukryciu, gotów, kiedy idzie o rzecz, do ostatecznego zaparcia się swojej osoby. Nie ma dla niego rzeczy tak małej i drobnostkowej, którąby uważał za niegodną swego zajęcia się; pod tym względem wychodzi z zasady, *que les gens, qui ne veulent rien faire de rien, n'avancent rien, et ne sont bons à rien*. Od siebie wymaga bardzo dużo, ale dla drugich jest niezmiernie wyrozumiałym. Wszystko, czego się tknie, zaprawia specyalną obywatelskości cechą, przekonany, że w naszych warunkach obowiązkiem sumienia każdą chwytać sposobność, co daje chociażby nawet cień w nadziei użyteczności i społecznej korzyści. Niema tak suchego i specyalnego zajęcia, w któreby tej ożywczej myśli przewodniej wlać nie umiał. Pod względem religijnym bardzo jest gorącym, ale wszelkiej zbytecznej jaskrawości, venilotyzmu i anatemów przeciwnik. Wielki, mało powiedzieć admirator, bo więcej niż entuzyasta Lacordaira, za lat młodych był dziennikarzem i talent publicystyczny ma pierwszorzędny. Dziś rzadziej bezpośrednio w prasie głos zabiera, ale jeśli to kiedykolwiek uczyni, to w sposób niepospolity i powszechną zwracający uwagę. Ma doskonałe każdej pozycyi zrozumienie, wytrawność, spokój i wytrwałość, które zawsze wszelkim jego przedsięwzięciom powodzenie zapewnić muszą. W innym kraju i w innych warun-

kach człowiek tej miary i pokroju byłby owem drzewem, z którego się robi ministrów; tu zajmuje stanowisko skromne, ciche, ukryte, ale, że na wszystkich niemal polach „organicznie" pracuje, więc godzien jest zaiste wyjątkowego uznania i wyjątkowej sympatyi, która tym, co go przy niegasnącym nigdy prawie ogniu roboty nie widzieli, wyda się może przesadną, ale dla znawców tego rzadkiego zaiste w naszem społeczeństwie człowieka zawsze będzie zbyt małą i niedostateczną.

Całkiem znów odrębnym będzie ten, który z natury zajęć swoich kwalifikowałby się raczej do galeryi portretów ze świata finansowego. Ten do żadnej pozycyi ogólno-społecznej pretensyi nie rości i z góry się jej zrzeka, nie dlatego, aby jej nie pragnął, lecz że czuje, iż taka, jakąby chciał mieć, zająć się nie da. Rozumie więc tylko ekonomiczną działalność i jej z całym oddaje się zapałem, mając — rzadki to u nas fenomen — szczęśliwą do wszystkich przedsiębiorstw rękę i zmysł łączenia pożytecznych przedsięwzięć ze świetnym osobistym interesem. Zwiększa on fortunę ustawicznie i jest dziś bodaj czy nie pierwszym w kraju potentatem finansowym. Ma zmysł do interesu olbrzymi, przezorność i wytrawność iście bankierską, instynkt zachowawczy wydelikacony, samoistność wielką. Zapala się odrazu bardzo łatwo, ale jeszcze łatwiej z tego się zapału otrzeźwia i staje się chłodnym, spokojnym i fantazyom porwać się nie dającym, wszystko z kredką w ręku wprzód roz-

waży i na niepewne fale grosza swego nie puści. Dyskusya bywa z nim często trudna, bo ją zwykle swoją przezornością i zachowawczym instynktem zmrozi, a czasem jest uszczypliwym a nawet osobistym. Inteligencya potężna, doświadczenie i wytrawność w interesach wielkie, obywatel bardzo gorący, w tym kierunku do zapału nawet skłonny, wiele poważnych usług społeczeństwu naszemu oddał, kilka pożytecznych instytucyj założył i hojnie uposażył, ale i tu działalności swojej rozstrzeliwać nie lubi, tłómacząc, że robiąc dużo rzeczy naraz, żadnej porządnie wykonać nie można, i że do stanowiska *d'un homme á tout faire*, ani skłonności ani popędu nie czuje. Ztąd w wielu razach jego bierność i lodowata oziębłość. W kołach finansowych i przemysłowych wielkiej zażywa powagi, ale przy niej i pewien wzbudza postrach, naturalny wynik pieniężnej potęgi i wyższej do interesów inteligencyi. Przy wielkiej i gorącej obywatelskości ma jednak dużą osobistą ambicyę i dzięki temu stoi najczęściej całkiem odrębnie, niczem i z nikim nie złączony, pewny, że stanowisko, jakie posiada, na zbyt potężnych oparte podstawach, aby kiedykolwiek miało się zachwiać; spokojny, że najlepszem tego stanowiska wzmocnieniem będzie wzrost fortuny, którą tak doskonale po kupiecku obracać umie, oraz ostrożne, a pewne i zachowawcze jej używanie. Przy tem wszystkiem zaś wielkie poczucie godności i obywatelskości oraz umie-

jętność imponowania nietylko majątkiem, ale rozumem i inteligencyą.

Weż teraz z kolei inny rodzaj człowieka, który wzrósł do znaczenia wielkiej, a w wielu razach zupełnie zasłużonej na naszym gruncie powagi. Będzie to arystokrata, dziedzic jednego z najpiękniejszych imion w Polsce, niezmiernej zacności i prawości a nawet nauki, ale trochę uznania chciwy i pewnej aureoli żądny. Ten pójdzie zawsze swoim sztychem, zazdroszcząc nieco innym ich stanowisk; popularnym będzie bardzo, bo lada szewcowi poda na ulicy ramię, o zdrowie zapyta i przyjacielem swym nazwie, każdego potrafi sobie zjednać i będzie miał wydelikacone poczucie tego, gdzie i kiedy należy się w Warszawie pokazać, na jaki pójść pogrzeb, na jakiem zasiąść zebraniu, do czyjego jubileuszu się przyłączyć i t. d. W ten sposób zdobędzie sobie ową popularność, za którą więcej platonicznie niż szkodliwie goni. Nauki i pracowitości wielkiej, niezmiernego zażywa wśród całego miasta szacunku i poważania a choć to wszystko jak najzasłużeniej, to jednak każdy bystrzejszy nieco obserwator dostrzeże w nim niejakie ślady a raczej resztki starych możnowładczych zachcianek i jakby odbłysk owej dawnych magnatów naszych zasady, iż „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą“. On ich „niewoli“ tylko „czapką“ to prawda, ale w tem niewoleniu właśnie jest coś zatrącającego o dawny oligarchizm, jest pewna chęć wzbicia się wbrew wszystkim i

pomimo wszystkich. W razie danym, w innych warunkach i wśród odmiennego położenia szedłby zawsze na własną rękę, byłby „dzikim“ i niczyjemu kierownictwu nie poddałby się chyba nigdy. Z drugiej jednak strony ofiarność, mianowicie co do osoby, czasu i życia prawie ascetyczna, poczucie obowiązku prawie ogromne, zdolności stosowane do nauki pierwszorzędne i jednakże przy tem wszystkiem brak równowagi w umyśle, tak, że czy w nauce, czy w życiu, zawsze grozi w nim pewna jednostronność. Osobiście niezmiernie zacny, ofiarny, gorący, pełen serca i tkliwej a wskutek tego często i nużącej sentymentalności, pesymistą jest wielkim i zwykle wszystko w czarnych widzi barwach. Pesymizmowi temu trudno się dziwić, poniesionych w przyszłości ofiar nie uznawać i przed niemi czoła nie uchylić, hołdu licznym cnotom nie złożyć, nie dziw się jednak, że pomimo tego wszystkiego owa drobna resztka zakonserwowanego w nim oligarchizmu, korci w nim, razi i bezwarunkowej a pod wielu względami tyle zasłużonej apoteozie na przeszkodzie staje.

Niebrak wśród naszego towarzystwa arystokratycznego i takich, coby chcieli koniecznie coś znaczyć i jakieś wybitniejsze na gwałt zająć stanowisko. Ci polować będą na wszelkie prezesostwa, chociażby najśmieszniejsze i najbardziej błahe, na każdem zebraniu zasiędą odrazu przy stole komitetowym, przekonani najmocniej, że podrzędniejszego miejsca ani ich tarcza herbowa, ani osobista

powaga nie zniesie. Nie wyższa ambicya, ale pospolita ambicyjka kierować będzie ich postępowaniem. Nie chęć służenia czem można ogółowi, lecz chęć odznaczenia się będzie ich przewodnią nutą i *Leitmotivem*. Nie mogą siebie pojąć na jakimś balu publicznym, wystawie i t. d. inaczej, aniżeli z czerwoną kokardką przy fraku lub surducie i obowiązki te sprawować będą z arcyzabawną napuszystością, przekonani, że oczy wszystkich na tę ich „publiczną“ działalność wytężone, bo zajmują bardzo ważne stanowisko i do „powag społecznych“ należą. Dla zaspokojenia tych małych ambicyjek, dla złapania jakiejś prezesurki lub przewodnictwa w tym lub owym komitecie filantropijnym dopuszczą się większych i małych intryżek, ale uczynią to niezręcznie, więcej narażając się na śmieszność i żarty ludzkie, aniżeli na wzięcie i popularność w mieście. Z takich moja droga, śmiejemy się tu wszyscy, więcej oni nas bawią — aniżeli nam szkodzą, i jak ów pułkownik w Bettelstudencie przechodzimy nad nimi do porządku dziennego, mówiąc: *Schwamm drüber.*

Robiąc dalej przegląd naszych arystokratycznych salonów, spotykam tam także młodego człowieka, który jest dzieckiem nietylko Warszawy, ale wyłącznie warszawskiego bruku, ostatni już może zabytek tego wesołego a nawet swawolnego typu, który był dawniej specyalnością Warszawy, a teraz jest nielada rzadkością, a który tak się z miastem naszem zżył, że każdy dorożkarz inaczej go

jak po imieniu nie nazywa i zdrobniałem przezwiskiem zawsze tytułuje. W tem dziecku Warszawy pozostało dużo może jeszcze dzieciaka. Dzieciak bywa często zbytnikiem i różne ciocie, wujaszkowie oraz „moraliści o spojrzeniu kota“ a może i ja pierwsza znajduję w nim wiele do zganienia, ale z drugiej strony przyznać muszę z pociechą, bo mam jakąś do tego tak specyalnie warszawskiego typu pewną słabość, że na widowni wyrabia on sobie powoli stanowisko zaszczytniejsze, zaczyna się zajmować wielu pożytecznemi rzeczami, garnie się do nich ochoczo, przynosząc ze sobą nie bez pewnego dla galeryi zdziwienia — niespodzianą dozę wytrwałości, znawstwo stosunków miejscowych, gorliwość i ruchliwość wielką. W każdej zabawie czy zatrudnieniu, w towarzystwie czy na wyścigach, jego temperament i rasa sprawiają, iż *ściga* się literalnie z innymi; wszędzie na wezwanie jest gotów, a kiedy się czasem zajmie, to szczerze i nie bez pewnego przywiązania. Przy wielu więcej może tradycyjnych niż osobistych brakach, stron w nim dobrych i dodatnich, a jak wad tak również i dziedzicznych zalet dużo. Umie on być w dobrem znaczeniu lubianym, ma warszawskie w obejściu się z innymi zacięcie, żadnych fum i niewczesnej dumy — a dużo dobrych skłonności i poczciwych chęci. To, co robi, robi ochoczo i wesoło, bez prozopopei i z dobrodusznością miłego chłopaka, którą niektórzy biorą często może i niesłusznie za lekkomyślność. Wię-

cej powagi i statku byłoby mu się nieraz przydało, *bon compagnon*, zawsze i wszędzie, przywiązanie do Warszawy ma bardzo czułe i szczere, bez niej i po za nią żyćby z pewnością nie mógł, i dlatego trzeba go brać koniecznie na jego rodzinnym gruncie, zważyć warunki, w których wzrósł i wśród jakich się obraca, a tak go oceniając, dojdzie się do przekonania, że bezsprzecznie jest tu materyału dobrego dużo, danych wiele, a co więcej, że ten materyał zaczyna się coraz bardziej wyrabiać, dzieciak warszawski poważnieć i do społecznej garnąć się pracy.

A teraz z kolei znowu wielki pan, prawdziwy archeolog i sztuk pięknych miłośnik oraz znawca. Ten żadnego oficyalnego stanowiska nie zajmuje, ale je ma i wykracza po za szablonowość pospolitego mecenasa sztuki. Odziedziczone po ojcu nietylko zbiory, ale i stosunki z światem naukowym i literackim, z wielkim pietyzmem utrzymuje i pielęgnuje, po matce ma znów artystyczne aspiracye, żywe zainteresowanie się sztuką, gorliwe a czynne jej poparcie, wielką w obu tych kierunkach ruchliwość i skrzętność, a przytem żadnej ekskluzywności, ani śladu tego, co już kiedyś stary Witwicki tak srodze gromił, a co u nas coraz bardziej grasować zaczyna: zaściankowości i prowincyonalizmu. On się równie będzie interesował tem, co na polu archeologii, sztuki, literatury i t. d. robią, u was i gdzieindziej, jak pracami warszawskiemi, a zajęciu się temu oddaje z takiem zamiłowaniem, że

wytwarza z niego rodzaj sportu. Nietylko wciąż się uczy, swe liczne notatki uzupełnia, a zbiory kompletuje, ale się tem wszystkiem bawi. Archeologia i sztuka, to jego żywioł. O wszystkiem, co się obu tyczy, drobiazgowe zbiera wiadomości, każda nowa cegła w starożytną bramę wprawiona, musi mu być sygnalizowaną, każdy nowy przybytek do Muzeum narodowego zanotowany. Drobiazgowym jest pod tym względem, ale cała też archeologia na takiej drobiazgowości polega. Literaturą i dziennikarstwem interesuje się bardzo, wszystko czyta i drugim do czytania daje, pod tym względem wzorowy czytelnik, sam jednak, nawet o archeologii pisuje mało, a szkoda, bo — ktoby się tego domyślał — ten przeładowany zawsze uczonemi notatkami adept tak ciężkiej i poważnej, jak archeologia nauki, ma pióro bardzo lekkie i w dziennikarstwie n. p. będzie zwolennikiem francuskiego *à la Figaro* sposobu pisania, łączącego naukę z zabawą. W zbiorach jego jest mnóstwo rzeczy pięknych i ciekawych, a rosną one wciąż jak na drożdżach, nie leżąc bynajmniej bezużytecznie. Różni się bowiem tem od innych, iż nie jest o owe zbiory zazdrosnym, i chętnie je udziela i pokazuje. Uczynny w tym kierunku bardzo i z tej uczynności swojej w kołach artystyczno-literackich i dziennikarskich dobrze znany. Kiedy się zważy, ilu-to konserwatyzm swych zbiorów na tem zasadza, aby żywej duszy do nich nie dopuścić i samemu nie użytkując, drugim użytkować nie pozwolić — cnota

taka nabiera tem większej wartości i staje się kardynalną. Do tych archeologicznych i literackich robót, do których rękę przyłoży, przywiązuje się bardzo; pod tym względem jest iście wyjątkowym w społeczeństwie naszym żywiołem. Żadnej w nim niema niezdrowej ambicyi ani śladu chęci, aby koniecznie w takich robotach i przedsięwzięciach pierwszym i wyłącznym być panem, ze skromnością zawsze przemawia i sam jej ciągle daje dowody. W każdem towarzystwie pożądany to bardzo czynnik, w naszych stosunkach samorodny, oryginalny, a niezmiernie pożyteczny, zacny i dodatni odcień. Stanisław Zamojski †

Byłby jeszcze do zaznaczenia ten istotny typ pana polskiego, który całkiem oddany rodzinie i obowiązkom wiejskiego obywatela, żadnych innych pretensyj nie rości, tylko tę jedną ma ambicyę, aby w swoich włościach tytuł „dobrego pana" zdobyć i prawdziwie ojcowską nad całą swą czeladką opiekę roztoczyć. Należy on do najsympatyczniejszych naszego świata arystokratycznego figur. Wzorowy obywatel, gospodarz zawołany, staje się ojcem rodziny w szerszem społecznem znaczeniu, i nietylko nad swymi najbliższymi, ale nad wszystkimi, co w skład jego domu wchodzą, opiekuńcze rozwija skrzydła. Uczy i do rzemiosł zaprawia sług swoich dzieci, nad ich moralnością, oświatą i dobrem z troskliwością ojcowską, a doświadczeniem i rozumem głębszym czuwa, zajmuje się drobnym przemysłem i specyalną w tym

kierunku zakłada u siebie szkołę, patryarchalny z włościanami zawiązuje stosunek i pod tym względem za wzór wszystkim ziemianom służyć może. W tych obowiązkach jednak zamyka się cały, tłómacząc się zasadą, że one w zakres sumienia wchodząc całkowitego wymagają poświęcenia się i wyłącznej troski, więc wszystko inne na bok odłoży, a tym, co mu powiedzą ze starożytnym mężem, że *et haec facienda, et illa non omittenda*, odpowie, iż skoro to pierwsze dobrze dziś wypełnić można, do innych rzeczy rwać się nie potrzeba i działalności swej rozstrzeliwać nie należy. Ztąd w Warszawie mniej może będzie znany, chociaż uprzejmością i obejściem zjedna sobie powszechną sympatyę i szacunek, a tem, co dla ludu robi, pozyska powszechną aprobatę.

Powag dawnych z przed dwudziestu kilku laty jeszcze dzisiaj kilka w kraju się ostało. Postacie to wybitne, choć dziś już więcej do przeszłości niż do teraźniejszości należą. Gdyby nie obawa, że im się narażę i przykrość sprawię, rozpisałabym się o nich obszerniej, a znalazłabym ich wiele jeszcze w tej instytucyi, która jedna zachowała zasadę wybieralności i ma jeszcze nie domniemanych, lecz istotnych kraju reprezentantów. Wiem jednak dobrze, że jeśli gdzie, to tu właśnie winnam być jak najbardziej ostrożną i w pochwałach oraz sylwetkach, do których rwie się moje pióro, oględną. Więc będzie w tym rozdziale luka wielka, bo w pobieżnej galeryi szkiców warszaw-

skich zabraknie niestety tych, którzy bardziej może, niż wielu innych warci są obserwacyi i ponętny do niej stanowią materyał. Dobra jednak rada każe mi pierwotnego zaniechać zamiaru, a kiedyż owej rady nie posłuchać, jeśli nie wówczas, skoro stosuje się ona właśnie do „radców.“ Niepodobna jednak, abym tę kategoryę naszych społecznych powag zupełnie pominęła milczeniem.

Spróbuję zatem choć prześliznąć się po wierzchu i tu i owdzie jakiś rys wybitniejszy zanotować. Więc na czele spotkam najprzód człowieka stworzonego raczej na pedagoga, niż na męża publicznego: bogaty on wykształceniem fachowem, gruntowną znajomością rzeczy, wytrawną rozwagą i cierpliwością ogromną. Ceni bardzo naukę i postęp materyalny, sam ma rzadki zmysł rządności, bez najmniejszego cienia sknerstwa lub chciwości, wzór dobrego ojca, pana i gospodarza, synów potrafił wychować i wykształcić tak, że dziś już część moralnej spuścizny ojcowskiej przypada im w udziale, w obejściu nader prosty, spokojny i niczem nierogaty, tak, że i tosamo zapewnia mu już przyjaźń sąsiadów i wielkie w kołach ziemiańskich wzięcie. Umysł wytrawny, lecz chłodny, natura więcej kwakierska, ogromnie surowa i purytańskiej niepokalaności przestrzegająca; zasług wiele i licznych. Choć mimochodem muszę więc przed takim obywatelem czoła uchylić i przynajmniej w tych kilku słowach wielkiej jego zacności, przeszłości i teraźniejszości hołd złożyć. Albo znów ten, co

się już dzisiaj niestety zupełnie usunął. Ekonomista i rolnik, pisarz dziwnego wdzięku i jasności, umysł wielkiej szlachetności, ale trochę marzycielski i do utopii skłonny. Każda naukowa nowość będzie go wabić, a brak silnych filozoficznych zasad wytworzy pewien eklektyzm. Te zbyt nieraz poetyczne i sielankowe aspiracye otoczą go jakąś mgławą atmosferą, utworzą nad jego głową nimbus jakiejś jakby nadziemskiej szlachetności. Dziś on usunął się niestety, ale dawniej pierwszorzędnej zażywał powagi, i dlatego żadną miarą zupełnem milczeniem pominąć się nie da.

Albo wreszcie ci inni jeszcze, co z wielkiem poświęceniem i gorliwością oddają się cali obowiązkom; ci pracownicy cisi, spokojni, wytrwali, niezmordowani, którym każdy przypatrzywszy się bliżej, hołd i uznanie złożyć musi, tych paru, co ostali się jeszcze z przed lat trzydziestu, a jak dawniej, tak i dzisiaj wielkiej zażywają powagi i zasług bardzo wiele położyli, lub to pokolenie młodsze, a jednak tak już dziś przykładne i pracowite, mające rzadki zmysł praktyczny, zdrowie moralne i możność pracy tak olbrzymią, że dźwigając na swych barkach mnóstwo najrozmaitszych zajęć, każde z nich wypełnia wzorowo, jak wół zaprzężony w pługu od rana do wieczora. Są między nimi ludzie nauki i pisarze, którzy literaturę umieją doskonale łączyć z ziemianina obowiązkami, są rolnicy, ekonomiści, publicyści, redaktorowie, finansiści i t. d., słowem jest wielu

takich, co podwaja się i potraja w swoich obowiązkach, wszędzie zawsze dodatnio żyjąc, ochoczy i niezmordowani, istne mrówki pracownicze... Z jakąż przyjemnością i gustem opisałabym ich wszystkich po kolei, z jaką lubością przedstawiłabym ci tyle odmiennych figur i cech charakterystycznych... a możebym i niejedną wielką zasługę i wielki charakter na jaw wyciągnęła. Ale cóż, trudna z radcami rada... Więc wolę zaczekać sposobniejszej do zupełnej szczerości chwili, wolę tę seryę moich sylwetek na przyszłość odłożyć, a może dożyję jeszcze owego momentu, w którym nie oglądając się już na nic, będę mogła spokojnie ich wszystkich naszkicować i po kolei ci, jak się dawniej mawiało: „zarekomendować.“ Dziś zaś kusić się o to niepodobna, choćby ze względu, iż skoro są mniej szerszemu ogółowi znani, anonimowe i ogólnikowe ich sylwetki nikogoby nie zajęły, a z konieczności stałyby się mdłe, nikłe i zamglone. Więc odkładam je *ad feliciora tempora*, a skoro zapragniesz, nie omieszkam się stawić do apelu i lukę niniejszą w miarę możności wypełnić... Kto wie zresztą, czy nie stanie się to wkrótce, choćby w drugiem (jeśli będzie) wydaniu tej książki...

Teraz pilno mi jeszcze przejść do paru ogólnych uwag, a przedewszystkiem do naszych „nieobecnych“ i tych także, co swą obecność w odmienny od wszystkich i innych zaznaczają sposób.

Przed paru laty wielkiej wrzawy narobił ogło-

szony w *Niwie* artykuł p. t. „Nieobecni.“ Wzywał on tych wszystkich, co historyczne noszą imiona i rodzinną odziedziczyli fortunę, aby bardziej garnęli się do służby społecznej i nie pozwalali na zaleganie wszystkich wybitniejszych stanowisk przez ...bergów, ...steinów i ...blumów. Artykuł wywołał senzacyę; odpowiedziało nań z wielkim spokojem i umiarkowaniem *Ateneum*, wmieszały się w dyskusyę inne pisma, słowem kwestya „nieobecnych“ stanęła na porządku dziennym i rozprawy przybrały bardzo poważne rozmiary. Otóż według mnie cała ta dyskusya miała jedną słabą stronę, tę mianowicie, że w wielu razach była to strzelanina na wiatr. Aby kogoś wzywać do zajęcia stanowiska, trzeba przedewszystkiem otworzyć mu do niego drogę, a tych, co się tej pracy podjęli, nie zrażać i fałszywych przeciw nim nie rzucać podejrzeń. Nie myślę tu bynajmniej brać w obronę arystokracyi naszej ogół; są w niej światli ludzie, wiele pracowitych pszczółek, są jednak i trutnie. Ale tych ostatecznie gdzie niema, i w jakiej warstwie społecznej nie przyjdzie się na nich użalać? Ci, co siedzą na wsi, pracują w miarę możności, zdolności i upodobania i równie dobrze, jak zwyczajni szlachcice, sprawują urzęda gminne, służą Towarzystwu kredytowemu, starają się szerzyć moralność i oświatę między ludem i t. d. Ale niech który z nich właśnie dla tej „służby społecznej“ wieś rzuci i do Warszawy zjedzie, niech tu czynniejszemu za-

pragnie oddać się życiu i puści się na pole ekonomiczne i finansowe, wnet ci sami nawoływacze i współziemianie krzykną na niego, że pracuje „u żydów“, że im się wysługuje i od nich jest zależnym. Proszę mi teraz z takiego błędnego koła znaleźć drogę wyjścia. Do urzędu nie wstąpi, bo go nie puszczą, zresztą dziś przyniósłby w nim raczej szkodę, niż pożytek krajowi; jeśli na skromnej ziemianina roli poprzestać nie zechce, jedyna przed nim tylko droga stoi otworem: ekonomiczno-finansowa. Ta spoczywa właśnie w rękach „żydów“, przez nich głównie rozszerzoną została, ich kapitałami się ożywia. Jeśli więc na nią chce wejść, musi koniecznie z tymi „żydami“ się zetknąć i do wspólnej z nimi zaprządz się pracy. I za to właśnie, że tak się stosunki ukształtowały, za to, że *homo novus* przychodząc do nich ani wszystkiego odrazu zmienić, ani *status quo* obalić nie w stanie, sypią się na biedną jego głowę krzyki, że bergom i steinom zależność swą zaprzedał, że im się wysługuje i za narzędzie wpływu oraz znaczenia używać się daje. Trzeba tu być konsekwentnym i albo „nieobecnych“ wcale nie wołać, lub zawoławszy, kiedy na tę jedynie otwartą i praktyczną wstępują drogę, nie piętnować i sprzedażą „uczciwego nazwiska w żydowskie ręce“ nie szkalować i nie zrażać. Inaczej bowiem przyjść koniecznie musi posądzenie, że tu nie o istotny interes kraju, lecz o popularny okrzyk i błyskotliwy fajerwerk chodziło.

Historycznym rodzinom nie brak taksamo trutniów, jak nie brak ich finansowym, przemysłowym, ziemiańskim i handlowym. Ci, co w kraju nie siedząc, majątki swe za granicą trwonią; ci, co li tylko sobkowskie mając na oku cele o wszelkich obowiązkach społecznych zapominają, życie z dnia na dzień pędzą, nazwisko swe i tytuł poniewierają — ci są, byli i będą zawsze — równie dobrze u nas, jak w Galicyi, w Poznańskiem, jak są wreszcie we wszystkich innych krajach i społeczeństwach. Takich nawoływać „daremny trud i próżne żale“, bo takich bezmyślnego życia nic nie zmieni, a zaiste lepiejby było i praktyczniej, przeciw tej drugiej powstać wadzie i ludzi pracy, stanowiska i istotnych zasług od niegodnych a więcej lekkomyślnych i szablonowych, niż złośliwych zasłaniać szkalowań. Ostatecznie wolę ja jeszcze tamtych osławionych lekkoduchów, marnotrawców lub egoistów i zwyczajnych mieszczańskich roturierów, wolę całą tę kategoryę „nieobecnych“ od tych, taksamo „dziedziców rodu“ i posiadaczy historycznych nazwisk, którzy na innych tu polach obecność swoją zadokumentować pragną i do różnych stanowisk się pną, sądząc naiwnie, że są one politycznemi, i że płaszczykiem służby publicznej pokryć się dadzą.

Takich mamy w kołach arystokratycznych Warszawy niewielu, ale ci, którzy są, stanowią ciekawe okazy i nieraz bardzo zabawne dla obserwatorów egzemplarze.

W świetnej swej przedmowie do *Wesela Figara* Beaumarchais dzieli dworaków na trzy kategorye, dające się także doskonale zastosować do tych, co u nas tytularnie dworskie piastują urzęda i szambelańskie noszą klucze. Pierwszą nazywa: *l'homme de la cour,* kwalifikuje ją jako *un noble étât* i powiada: *qu'il est l'homme de qualité vivant avec la noblesse et l'éclat que son rang lui impose aimant le bien par goût et sans intêret; loin de jamais nuir à personne, il se fait estimer de ses maîtres, aimer de ses égaux et respecter des autres.* Tej miary nie dworaka, ale tego, co w Wiedniu nazywają *ein Cavalier,* przedstawiłam Ci na początku niniejszego listu, a wiesz zapewne, że i nasz „Pan Podstoli" ochmistrzowski sprawuje urząd. Nie wszyscy jednak do tej szlachetnej i rycerskiej kategoryi należą. Wśród tutejszych dworaków znajdziesz i szambelanów bardzo podobnych do tego, jakim w Jowialskim bawi nas Żółkowski, znajdziesz typy iście warszawskie, wyobrażające sobie, że te klucze i mundury dają im jakąś specyalną pozycyę i w społeczeństwie znaczenie. I między nimi będą tacy, którzy Cię tylko zabawią; będą inni, co oburzą i zgorszą. Jeśli ktoś opowiadając o sobie da Ci zlekka do zrozumienia, że mu się excellencyi tytuł należy, że musi być niezmiernie ostrożnym, bo na niego wszystkich oczy zwrócone, jeśli w najbardziej nawet zaufanem kółku będzie Ci się z każdem słowem wahać, a kiedy o rządzie i jego postępowaniu mowa, zrobi

minę taką, jakby mu tego wszystkiego przykro słuchać było, bo on także do tego rządu należy i solidaryzować się z nim musi — wszystko Cię to niezmiernie zabawi, ale powiesz: Fredrowski to szambelan, śmieszny, lecz nieszkodliwy.

Weź jednak drugiego, który już nie poprzestaje na skromnej, choć napuszystej roli, lecz w swojem przekonaniu wielką polityczną spełnia misyę i na świeczniku społecznym stoi, a jest w gruncie niczem, najpospolitszem zerem, już nietylko śmiesznem, ale coś więcej nawet. Niezależny i niczego właściwie nie potrzebujący, z zamiłowania przed każdym nawet najmarniejszym władzy reprezentantem korzyć się on i poniżać będzie, lada orderzynę z największą rozkoszą złapie, dla jednego więcej na mundurze galonu gotów się we dwoje zgiąć i po rękach każdego wpływowego dygnitarza całować; serwilista, który pozyskanych tą drogą dostojeństw i honorów nawet dla siebie, dla osobistego interesu zużytkować nie potrafi; Strachajło który własnego cienia obawiać się będzie i w jednej tylko umie stanąć postawie: pokornego dworaka, o nową jakąś gwiazdkę lub świecidełko tentującego.

Nie mówię już o kraju, ale on sam, ani nikt żadnego z tych dostojeństw i rang dworskich nie będzie miał pożytku; boi się on narazić lokajowi ministra, a umarłby ze strachu, gdyby mu przyszło przemówić za kim słówko lub wstawić się w czyimś interesie. Ten to już nie będzie *l'homme*

de la cour, ale zaliczyć go przyjdzie do tej drugiej kategoryi Beaumarchaisgo *(l'homme de cour) pressant le main à tout le monde en glissant chemin à travers; menant finement son intrigue avec l'air de toujours servir; ne se faisant point d'ennemis mais donnant, pres d'un fossé, dans l'occasion, de l'épaule, au meilleur ami.... laissant à part tout prejugé qui pourrait ralentir sa marche*; *souriant à ce qui lui déplait et critiquant ce qu'il approuve selon les hommes qui l'écoutent.* Słowem jak powiada La Fointaine:

Prenant tout, pour le faire court,
En véritable homme de cour.

Z tego nie śmiej się tylko, bo on rzeczywiście nie śmiechu, ale wstrętu raczej wart, a żałuję bardzo, że nie wypada mi przytoczyć pewnego wierszyka, który przed laty obiegał po całej Warszawie, a charakteryzował go doskonale. W wierszyku tym była mowa coś o profilu i o tem, „że przed władzami, jak pantofel“, że „czasem pruski, zawsze ruski“, i że z gośćmi „kelner grzeczniusieńki....“ Dom prowadzi rzeczywiście bardzo otwarty, ale znajdziesz tam zbieraninę z całego świata, a przedewszystkiem masę urzędników i oficyalnych figur, i to bez żadnego wyboru, od najwyższych aż do najniższych, a ktoś zapewniał mnie niedawno, że spotkał tam nawet komisarza policyjnego z poblizkiego cyrkułu... Chodzą do niego wszyscy, bo zacnej i godnej szacunku ro-

dzinie nie chcą robić przykrości i za „cudze winy“ ją karać. Ale on sam tego nie rozumie i tłok na swoich balach oraz rautach bierze za uznanie dla siebie i swego towarzyskiego eklektyzmu, który do znaczenia zasady i programu politycznego podnosi. Figura mała, nędzna, płaska, ale szastająca się, i dlatego każdego w oczy uderza, trzeba więc, aby wiedziano, że jest wyjątkową i nic prócz nazwiska i pochodzenia z ogółem naszym nie mająca wspólnego.

Obok niego stanie inny, równie dworak, jeszcze od tamtego zabawniejszy, tylko bardziej naiwny. Ten będzie się miał za paladyna monarchicznych zasad, i kiedy o królu hiszpańskim powiesz coś swobodniejszego, zatknie uszy i słuchać nie zechce, powtarzając z swej głębokości:

— *Qu'une tête couronnée est toujours une tête couronnée.*

Dla niego gwiazda orderowa, nowa *lenta* jest szczytem marzeń i ziemskiego szczęścia, dwór i obcowanie z książętami krwi, Mahometa rajem. Kiedy otrzyma nową jaką wstęgę, pójdzie na grób rodziców modlić się pobożnie w najgłębszem przekonaniu, że ich właśnie wstawiennictwu w niebiosach szczęście to i blask zawdzięcza, w niego potrafisz zartobliwie wmówić, że kraj cały widzi pomyślną dla siebie wróżbę w gwiaździe, jaka na tę dostojną pierś spadła. Wszystko to weźmie za dobrą monetę; naiwnie uwierzy, że ma stanowisko

i jest personatem. Z takiego więcej się śmiać, niż się nim gorszyć należy.

Nie braknie nam jednak niestety i trzeciego wskazanego w ulubionym moim autorze gatunku dworaka: *courtisan par métier.... haut et bas à la fois, rampant avec orgueuil, ayant toutes les prétentions, sans en justifier une,* typu marnego bez charakteru, zdolności, zasad, który poniżając siebie poniża także pośrednio i społeczeństwo, z którego wyszedł, szukającego nietylko platonicznych honorów i dostojeństw, lecz zysku i materyalnej korzyści. Dlatego będzie każda droga dobra, każdy cel godziwym. Straciwszy majątek, gotów nawet przejść na prawosławie, aby mu tylko nie zabrakło kawałka chleba i do hulanek środków; on swój tytuł dworski zużyje na interesa i *geschäfta,* on swe stosunki obróci na to, by jakąś otrzymać synekurę i ciągnąć z niej dochody. Figury nędzne, płaskie, wstrętne, bardzo na szczęście na warszawskim bruku wyjątkowe, istniejące jednak, i dlatego milczeniem pominąć ich nie wolno.

Jak we wszystkich poprzednich listach, tak i tu powtarzać Ci muszę, że nie o same dodatnie społeczeństwa naszego idzie mi strony, lecz o wierny jego obraz, o prawdę, która nie pozwala zatajać chociażby najciemniejszych rysów, wypierać się nawet wyjątków. Zanadto jesteś rozsądna, ażebyś miała z tego gremialne wyciągać wnioski — i wiesz zbyt dobrze, że ogół za pojedynczych odpowiadać nie może, zwłaszcza jeśli, jak u nas, podobne

egzemplarze bynajmniej tolerowane nie są i wszyscy ludzie poważniejsi doskonale na nich poznać się i swoje o nich zdanie dać uczuć umieją, a towarzystwo także od nich stroni i tylko wyjątkowo a bardzo niechętnie przyjmuje. A teraz przejdźmy z kolei do innych sfer naszego miasta.

Świata finansowego Warszawy, jego historyi, powstania, prądów, zasad i zwyczajów nie może poznać dokładnie ten, co nie przypatrzył się całej działalności Leopolda Kronenberga i nie miał sposobności studyować jej *in anima vili.* Postać to niezmiernie wybitna, tytan, który nasz świat handlowy sam niemal stworzył i nadał mu cechy, jakie pomimo wszystkiego do dziśdnia się jeszcze ostały. Rzecz dziwna, że nikt się dotąd nie zdobył na wystawienie L. Kronenbergowi trwałego literackiego pomnika, że nikt nie napisał wyczerpującej i zupełnej życia jego biografii, chociaż podobna praca jest i wielce ponętną, i dla badaczów ekonomicznego rozwoju Warszawy i Królestwa niezmiernie ważną.

Studyum Kraszewskiego w *Ateneum* nazwaćby raczej można wspomnieniem osobistego przyjaciela, aniżeli nawet materyałem dla późniejszego biografa. Jakim był Leopold Kronenberg człowiekiem, możesz się ztamtąd dowiedzieć, ale co właściwie dla kraju zrobił, jakie olbrzymie położył dlań zasługi, opisu przewrotu w finansowym świecie naszym dokonanego, zasad w nim wszczepionych, zwyczajów zaprowadzonych i t. d. nie znalazłabyś

wcale. Naturalnie, że braki te uzupełniać nie może być mojem zadaniem, pragnęłabym tylko współczesne finansowej Warszawy sylwetki uzupełnić tą jedną pośmiertną w przekonaniu, że tak wybitnej i w śladach do dziśdnia jeszcze widniejącej postaci żadną miarą pominąć nie można.

Leopold Kronenberg wyrasta po nad poziom zwyczajnych świata finansowego potęg nietylko inteligencyą, hołdem, charakterem i siłą woli niezłomną, ale całą swoją indywidualnością. Pospolitych cech swego pochodzenia, tak łatwych do odszukania wśród najzaszczytniejszych nawet wyjątków, nie miał on żadnych: ani arogancyi, ani pyszałkowatości, ani tendencyi zużytkowania złych instynktów ludzkich. Jeśli co ostało się w nim żydowskiego, to pracowitość olbrzymia, spryt do interesów i bajeczny ze szczęściem sojusz. Powodzenie sprzyjało mu wiernie, nawet wówczas, kiedy pierwsze najtrudniejsze stawiał kroki, kiedy dobijając się fortuny miał to niepraktykowane niemal w świecie finansowym szczęście, że zarodek jego milionów (monopol tabaczny) powstał nie w żadnem nadużyciu, przekupstwie lub podejrzanej spekulacyi, lecz jedynie w nader pomyślnym zbiegu okoliczności, w sprytnem zrozumieniu interesu i energicznem jego poprowadzeniu. Objął administracyę tabaczną zorganizowaną źle, kierowaną niedbale i niedołężnie ze stratą równie skarbu, jak i publiczności, której potrzeby lekceważono, dostarczając złego towaru. Zaprowadził natomiast

służbę sprężystą, zdolną i uczciwą, był niezmiernie przedsiębiorczym, pozakładał nowe fabryki, umiał doskonale połączyć własny interes z interesem swoich odbiorców, jakby pamiętny maksymy *Figara: c'est faire à la fois le bien public et particulier: chef-d'oeuvre de morale.* Nie o gwałtowne dorobienie się jednym zamachem olbrzymiej fortuny chodziło mu wyłącznie, lecz o handel uczciwy, zdrowy i racyonalny. Więc dostarczał towaru wyborowego po nizkich cenach. Ztąd konsumcya tytoniu zaczęła olbrzymio w kraju wzrastać i publiczność była zadowolona, przedsiębiorca zarabiał dużo i wciąż skarbowi tenuty podnosił, nieznany dotychczas w kraju przemysł tabaczny rozwinął się olbrzymio i L. Kronenberg znalazł się wkrótce w posiadaniu pierwszego miliona. I oto geneza późniejszej fortuny. Nie wiem, czy gdziekolwiek, nietylko u nas, ale w całej Europie znajdziesz dużo finansowych potęg, któreby podobnie czystem źródłem poszczycić się mogły.

„Cała sztuka i trud — zwykł był mawiać stary Kronenberg — pierwszego dorobić się miliona, następne robią się same". I musiały się zrobić, przy niezmiernie bystrej, lotnej i przenikliwej inteligencyi, pracowitości, energii i zmyśle do interesów wyjątkowym. O zdolności w świecie finansowym łatwo, o spryt i inteligencyę również, a pewne nawet poczuwanie się do obowiązków względem społeczeństwa i hojne jemu podatku opłacenie — także; ale o co to niezmiernie trudno i co

właściwie było główną L. Kronenberg
o zasady, o uczciwość kupiecką, cel lek
przed oczyma mającą. Kronenbergowi
przedstawiały się jako jedyna społeczn
wiska racya bytu, nie przez nie tylko
się tego stanowiska dobić i pozycyę sw
cić. Gdyby nie był posiadaczem tak
fortuny, gdyby nie stał na czele jedneg
nych w Europie domów handlowych, g
ście nie tak mu sprzyjało i pozostał
średnim finansistą, to jednak intelige
charakterem i osobistą wartością wyb
zawodnie po nad przeciętny poziom
zajął pozycyę. Zdaje mi się, że to n
pochwałą i najwymowniejsza charakte
był dumnym, to nie z milionów, któ
dział, lecz ze swej indywidualnej
był nieraz twardym i terorystą, to
że w świecie, na którego czele st
dobrego zrobić nie podobna, jeśli
tych dokoła siebie, co jego żelaz
poddać ręce, to jedynie z wiary
chce jest dobrem, a taka droga
do celu prowadząca.

Wyłącznym inicyatorem i twó
sowo-ekonomicznego, jaki w
tach 1856 — 1858 powstał,
ga trudno nazwać; byłoby j
wością nie przyznać mu pie
udziału i olbrzymiej zasługi

dlowy warszawski jemu niemal wyłącznie zawdzięcza swą nową konsolidacyę, on umiał mu narzucić swoje zasady i zdrowia ich przestrzegał z katońską surowością i bezwzględnością, którą usprawiedliwiał zawsze potrzebą natychmiastowego wypalania ran gorącem żelazem, aby gangrena nie objęła całego ciała. Jeśli niezdrowa spekulacya, gra giełdowa, oszustwo publiczne i wyzyskiwanie łatwowierności ogółu było i do pewnego stopnia jest dziś jeszcze sferom finansowym warszawskim nieznane, główna w tem L. Kronenberga zasługa. Każde pokuszenie się, każdy krok na tej drodze zrobiony karcił, każde zachcianki *Gründerstwa* uniemożliwiał, podobnym indywiduom natychmiast grunt z pod nóg wysunąć umiał, unicestwiał ich i swą potęgą przygniatał. A to wszystko nie dla zaspokojenia osobistej nienawiści lub zemsty, lecz jedynie celem zachowania ogólnego świata finansowego zdrowia, celem ochrony tej moralności handlowej, za którą tworząc warszawską giełdę czuł się niejako solidarnym poręczycielem, osobiście odpowiedzialnym. Nie mogę tu wyliczać wszystkich instytucyj, które L. Kronenbergowi swoje zawdzięczają powstanie, i każdej zosobna historyę opowiadać. Pierwej czy później znaleźć się musi ktoś, co tę żmudną pracę podejmie i ważny przyczynek do dziejów naszego finansowo-przemysłowego rozwoju postawi. Wspomnę tylko, że energii, zdolnościom i niezmiernej zabiegliwości Kronenberga zawdzięczamy, że najważniejsza z naszych kolei

Warszawsko-Wiedeńska przeszła z rąk niemieckich w krajowe. Trzeba było rzeczywiście takiej siły, woli i odwagi, jaką Kronenberg posiadał, aby puszczać się na przedsięwzięcie, które mogło jeśli nie całą jego fortunę zachwiać, to przynajmniej grubo ją podkopać. Ale taka już była natura tego człowieka. Pewny celu i jego dla kraju pożytku, ufny w swój rozum i zmysł decydował się bardzo szybko, a zdecydowawszy się półśrodków nie używał lecz szedł *usque ad finem*, zdobywając pozycyę szturmem i przebojem. Tak było zawsze i we wszystkiem. Dziwnie ruchliwa i żywa natura, bezczynności znosić nie mogła. Nie było takiego pola, na któremby Kronenberg sił swych nie próbował i nowego nie wzniecał życia. Bankier, finansista, przemysłowiec, rolnik, powoływał nowe instytucye do życia, zakładał fabryki, kupował majątki i wzorowo w nich urządzał gospodarstwa. Była to działalność ogromnie ruchliwa, a jednak nie gorączkowa. Z głowy jego nie wystrzeliwały fantastyczne projekta, lecz myśl odrazu oblekała się w konkretną formę, opracowywaną była praktycznie, gruntownie, z uwzględnieniem wszelkich potrzeb i konjunktur, i jeśli wchodziła w wykonanie, to nie po to, aby efemeryczne prowadzić życie, zabłysnąć i wkrótce zgasnąć. Słyszałam kilkakrotnie jak powtarzał: „Ile razy biorę się do nowego przedsięwzięcia, nie myślę nigdy, co ono przyniesie, ale aby dobrze było poprowadzone, a zysk sam się znajdzie“. To była jego *gründerska* zasada, bo najlepsza jego

organizatorskiej zdolności charakterystyka, to wreszcie cała może tajemnica powodzenia. Wygadać się dobrze z nowym projektem, który w głowie jego powstał, nie umiał, a tembardziej wypisać się, ale miał zawsze pod ręką ludzi, którzy myśli jego odgadywali, z naturą umysłu się zżyli i impulsowi poddać się musieli. Znajomość ludzi miał ogromną, umiał się doskonale na nich poznać, zdolności oceniał i zużytkował, a jeśli kiedy spotkał go jaki zawód, to się nim nie rozczulał i nie roztkliwiał, na drugich się zaś nie mścił, lecz szedł dalej swoją drogą, nie patrząc na zawiści i zabiegi ludzkie, ufny powtarzam zawsze, więcej w swój rozum niż miliony i pewny, że prędzej czy później zwyciężyć musi. Życie prowadził nadzwyczajnie skromne i do pewnego stopnia twarde. Na własne wygody i komfort wydawał mało, przyjęciami i kuchnią ludzi jednać nie pragnął, dom jego stał zawsze dla przyjaciół i współpracowników otworem, ale nie nęcił ich zbytkiem, lecz raczej prostotą przyjęcia posuniętą nawet do abnegacyi odstraszał. Pod tym względem miał dumę wielką i wymagał, aby go raczej dla jego rozumu i zasług poszukiwano, aniżeli sam siebie i swoją rodziną drugim miał narzucać. Hardym był i nigdy się przed nikim nie płaszczył, raczej zgiął i złamał we dwoje, aniżeli kosztem godności własnej miałby kogo dla siebie lub dla swych projektów zjednać. „Ja nie szukam uznania, ale poparcia“, zwykł był często mawiać i istotnie tak rzeczywi-

ście było. Od podwładnych wymagał wiele, ale też hojnie ich wynagradzał. Synekur nie znosił, próżniaków tępił, pochlebcom ucha nie nadstawiał i na czczą popularność drażliwym nie był.

Ale jeszcze nie to wszystko zapewniło L. Kronenbergowi wyjątkowe w mieście i kraju naszem stanowisko. To mogło mu tylko jednać osobisty szacunek, nie dawałoby atoli powagi i tak powszechnego uznania, że dziś jeszcze najzaciętszy antisemita, piętnując cały nasz świat finansowy, dla L. Kronenberga zrobi pewien wyjątek i co do niego osobiście się zastrzeże. Jeśli dotychczas kwestya asymilacyi żywiołu żydowskiego w społeczeństwie naszem traktowaną była więcej teoretycznie, jeśli ideał polskiego żyda przedstawiał się nam w świetle romantycznego Jankla z „Pana Tadeusza“ przy dźwiękach cymbałów i na tle sielankowem — L. Kronenberg wskazał dopiero, jak żyd polski potrafi naprawdę społeczeństwu swojemu służyć, jak do gruntu pozbyć się może wszystkich cech swego pochodzenia, spolszczyć się i stać się istotnym kraju obywatelem. On o przyznanie tych praw obywatelskich nie dobijał się i nie napraszał, lecz sam je siłą swej inteligencyi i pracy zdobył, on stanowiska nie żądał i nie domagał się, lecz sam je zajął i zająwszy pokazał, w jaki sposób należy uznania w kraju się dorabiać i jak wszelkie dawne przesądy oraz niechęć druzgotać. Wszyscy wiedzą już dziś i pamiętają, jakie było zachowanie się Kronenberga w bolesnych

kraju naszego przesileniach, wszyscy wiedzą i pamiętać mu zawsze będą, iż w każdym razie i w każdym wypadku całą swoją fortunę na usługi i potrzeby ogółu oddawał i zarówno swoich majątków jak i osoby nie oszczędzał. Nie było takiego pożytecznego w kraju przedsięwzięcia, któregoby Kronenberg nie wspierał. Kiedy w r. 1858 zaczęto zakładać domy komisowe rolników, Kronenberg otworzył im szeroki kredyt, kiedy parę lat później nastało w całym kraju straszliwe przesilenie finansowe, sam jeden niemal zagrożone domy kupieckie podtrzymywał. Myślą jego było, wszystkich do wspólnej zaprządz pracy, więc też instytucyj przez siebie założonych nie ograniczał na swojej i swoich protegowanych pomocy, lecz wciągał do niej ludzi i z po za sfery finansowej, nie dla tego jedynie, aby świecili w nich swemi nazwiskami i piasek w oczy krajowi rzucali, lecz wybierał wśród nich istotnie zdolnych i istotnie przydatnych. Nie o firmę mu tylko chodziło, bo jego własna wystarczała, lecz kierował się zasadą rozbudzenia w całym kraju i wśród wszystkich jego warstw żywszego życia ekonomicznego i finansowego. Kiedy budował kolej Terespolską, pierwszeństwo w posadach przyznawał tym, co służąc w urzędach świeżo właśnie po reformie z etatu spadli, wszędzie dla sił krajowych otwierał drogę, wszędzie je tylko zatrudnić pragnął, przeciw naciskowi z góry trzymał się zawsze odpornie i umiał z nim wytrwale walczyć.

Przy tem wszystkiem trzeba jednak powiedzieć,

że zmysłu i wytrawności politycznej brakło mu zupełnie; pod tym względem był to umysł chaotyczny, trochę bałamutny i po utartych szlakach pospolitych haseł idący. Raz Garibaldczyk, drugi raz Gambecista, nie umiał wniknąć w położenie i stosunki innych krajów, rządził się więcej uprzedzeniem, niż wiedzą, i modelował swe przekonania na wzór przeciętnego liberalizmu warszawskiego. Zasad religijnych żadnych, na religię zapatrywał się litylko z punktu narodowego i wówczas on bezwyznaniowiec gotów się był zapalać i żarliwością innych prześcignąć. Ta bezwyznaniowość i liberalizm miały jednak tę wielką zaletę, że były nieszkodliwe i zamykały się w czysto-indywidualnej, prywatnej sferze. Zarówno on, jak i wielu innych t. z. naszych liberałów przypominało mi zawsze owego spokojnego Spiessbürgera z *Hermana i Doroty* Goethego, który lubi wojnę, ale gdzieś tam daleko — w Turcyi! Taksamo i Kronenberg wszystkie swoje polityczne wyobrażenia stosował do Francyi, Włoch i t. d., tam nienawidził zachowawców, przeciwny był wpływom duchowieństwa i t. d., ale zdrowy rozum nie pozwalał mu nigdy twierdzić, aby podobne zasady i poglądy miały i u nas racyę bytu. Tam był republikaninem; tu zachowawcą, tam anti-klerykalnym, tu — tylko obojętnym. I to go właśnie od innych pospolitych Confessionslosów i bankierskich liberałów niezmiernie różniło. Nad podobnemi wyobrażeniami tego człowieka można

było ubolewać i ich żałować — ale tylko dla niego. Na działalność jego znacznego one wpływu nie miały i prawie żadnej nie przynosiły jej szkody.

Jedna z pierwszych inteligencyj w kraju, człowiek czynu, hartu i woli, charakter nieugięty, pracownik niezmordowany, inicyator bystry, wykonawca wytrwały, reformator przezorny, obywatel wzorowy, patryota gorący i dla społeczeństwa swego niezmiernie chociaż najczęściej w skrytości ofiarny — L. Kronenberg zasłużył na to, że na pogrzebie jego powiedziano: „Chowamy dziś jednego z najlepszych Polaków.“

Tak — Leopold Kronenberg był Polakiem, nie z pochodzenia, bo to rzecz przypadku, nie z wiary, bo to z łaską spływa, nie z potrzeby, bo ta wśród naszych warunków nie istniała, nie z rachuby, bośmy mu ani zaszczytów, ani blasku i dostojeństw dać nie mogli, nie z nadziei pomyślniejszej stosunków krajowych odmiany — bo w tęśmy już chyba wszyscy zwątpili — lecz przez poczucie obowiązku, przez to głębokie przekonanie, że skoro ktoś równych praw w społeczeństwie żąda, równą mu też winien nieść służbę przez pracę, rozum i wytrwałość, przez poświęcenie, ofiarność i zasługę. Przychodził bez fortuny, nazwiska, tradycyi, *homo novus* nikomu nieznany, a od wszystkich prawie uprzedzeniami, przesądem i instynktową podejrzliwością odgrodzony; wszystko, co posiadł, sobie samemu zawdzięczał, wszystko, do czego doszedł, musiał krwawo sobie wywalczyć

i zdobyć. Był dorobkiewiczem nietylko fortuny i mienia, ale stanowiska, szacunku i uznania, prosty żołnierz, co marszałkowskiej dobił się buławy, zaczynał jak przeciętny kantorowicz — skończył jako jeden z pierwszych kraju obywateli. Takiemu dorobkiewiczowi należy się hołd i cześć; pamięć takiego człowieka winna w kraju niezatartą pozostać, a najwymowniejszym jego pomnikiem ślady, które na każdym spotkasz kroku, kilkudziesięcioletniej pracy i działalności owoce i skutki. Takiego, jak L. Kronenberg finansisty-obywatela, kraj nasz od jego śmierci nie posiada wcale i z pewnością nie posiądzie go tak prędko. Wyjątkowa to była postać i rzadki charakter. Z dzisiejszych nikt mu sprostać nie w stanie i ztąd taka wielka po nim pustka, taki brak wielki. Stanowisko po nim opróżnione, lecz kandydatów nie widzę wcale. Są jego miliony, są instytucye przez niego dźwignięte lub stworzone, są jeszcze nawet zasady, które on wszczepił — niema jego ducha i niema jego rozumu.

Synowie Leopolda Kronenberga przejęli po nim w spadku majątek, lecz nie mogli naturalnie objąć i społecznego stanowiska. Przeciwnie, pod tym względem spadek ojcowski raczej nad nimi zaciężył, a w każdym razie zdwoił ostrość sądów i powiększył skalę wymagań. Rzadko się też zdarza, aby mówiono: „ojciec ich zrobiłby taksamo“, ale za to częściej: „stary Kronenberg postąpiłby inaczej“ lub „za starego takby nie było“... Poj-

muję doskonale, że te ciągłe porównania mogą nieraz drażnić, a nawet niecierpliwić, ale z drugiej strony są one naturalnem następstwem zasług i stanowiska ojca. Najstarszy Stanisław zdolności niemałych i wielu dobrych usposobień stoi dziś na czele domu handlowego, jest prezesem rady zarządzającej kolei Nadwiślańskiej i Terespolskiej a na Warszawsko-Wiedeńskiej ma wpływ przeważający. Oszczędny, majątek swój znacznie powiększa, ale w wielu bardzo razach tradycyi ojcowskiej sprostać nie w stanie. Brak mu głównie temperamentu, ciągłości w działaniu, a szkodzi wielce podejrzliwość i skłonność do gorączkowej działalności, która jak febra przychodzi i jak paroksyzm mija. Pracowitość wielka — ma niezmiernie drażliwe poczucie uczciwości i tego wszystkiego, co godziwe. W danych razach umié okazać w rzeczach publicznych ojcowski upór i postawić na swojem, do pamięci ojcowskiej wielce przywiązany dla niej dużo zrobi. Do dróg ubocznych ma wstręt wrodzony i jak w świeżym właśnie wypadku woli się narazić raczej na poważne bardzo straty, a nawet niebezpieczeństwa, ale przed użyciem powszechnego środka i sposobu będzie się do ostatniej chwili uparcie bronił. Dowodzi to, że nieprawdziwym jest zarzut, iż odziedziczył same tylko wady ojcowskie; przeciwnie, niektóre L. Kronenberga zalety i właściwości ostały się i w panu Stanisławie i działalność jego wybitnie cechują.

† Wychowaniec Szkoły Głównej, żołnierz francuski.

z 1870—71 roku, miał dużo ku temu danych, aby świetną towarzyską i społeczną zająć pozycyę i moralny spadek ojcowski godnie podtrzymać. Stało się trochę inaczej, a przynajmniej nie w tym stopniu, w jakim się stać mogło.... Pan St. Kronenberg jest żonaty z Rosyanką, córką marszałka szlachty z czernichowskiej czy z twerskiej gubernii, słynną niegdyś z piękności, a i dziś jeszcze bardzo piękną.... Jest on wiceprezesem Towarzystwa pomocy naukowej im. Józefa Mianowskiego, przewodniczy w jednej z sekcyj Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, posiada stopień Dra filozofii uniwersytetu w Heidelbergu i jest wydawcą Biblioteki Umiejętności prawnych. Prócz zdobytej zaszczytnie na polu bitwy legii honorowej posiada także krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa.

Drugi z kolei syn L. Kronenberga Władysław, cichy, spokojny, do interesów nie mieszający się zupełnie, meloman zawołany i sam kompozytor wielu wcale udatnych pieśni i romansów, wydanych pod pseudonimem *Wieńca,* ożenił się z panną Chevreaux, córką prefekta, a synowicą ministra francuskiego z czasów cesarstwa. Ten jest bardzo na cele artystyczne ofiarnym i udziela dużo stypendyów młodym śpiewakom, muzykom i t. d. kształcącym się tu w kraju lub zagranicą. Życie prowadzi niezmiernie ciche i filantropijne, nigdzie prawie nie bywa.

Trzeci wreszcie Leopold, najbardziej z nich

wszystkich towarzyski, pracuje w domu handlowym i oddaje się z większem zamiłowaniem, aniżeli szczęściem sportowi. Konie jego stada biegają zawsze na wyścigach warszawskich, carskosielskich i moskiewskich, ku wielkiemu nieraz zawodowi tych, co się odważają czasem je „na szansc“ właśnie w „totalizatorze“ obstawiać. Poślubił on przed rokiem pannę Józefinę Reszke, słynną śpiewaczkę a piękną, miłą i ujmującą osobę.... Od tego czasu mieszka prawie ciągle na wsi lub zagranicą, a salon pp. Leopoldów Kronenbergów, na który bardzo w Warszawie liczono i wiele po nim sobie obiecywano, świeci jakoś dotychczas nieobecnością.... Pani Józefina po roku zmarła, podobno z połogu.

Tyle znasz chyba Warszawę i tyleś o niej słyszała, że nie potrzebuję Cię wtajemniczać w ów rozdział, jaki przed kilkunastu laty w naszym świecie finansowym powstał. Walka między dwiema najpotężniejszemi firmami istnieje i dziś jeszcze, a jeśli czasem słabnie, to dlatego jedynie, że nie zawsze konkurencya ma sposobność na jaw wychodzić i nie wszystkich bić będzie odrazu w oczy. Walka ta przycichła i jest obecnie głuchą, tajoną, od czasu do czasu tylko w gwałtowniejszej i ostrzejszej występującą formie. Dwa stronnictwa istnieją jak dawniej i po dawnemu boczą się na siebie. Świat finansowy dzieli się na dwa obozy, frakcya pośrednia, coś w rodzaju centrum, albo całkiem niezależnego lub chylącego się nieznacznie *vom Fall zu Fall* ku tej lub tamtej stronie. Poznałaś

głównego założyciela i twórcę jednego stronnictwa, przypatrz się teraz z kolei temu, co miał odwagę do otwartego z L. Kronenbergiem wystąpić współzawodnictwa i w niedługim czasie zdołał wyróść na drugą po nim bankierską potencyę.

Największą zawsze fortuną bankierską był i jest połączony dom Kronenbergów, pojedynczo jednak biorąc, p. J. G. Bloch przewyższa środkami, znaczeniem i wpływem każdego z synów założyciela finansowej dynastyi. Bankierem właściwie nie jest, bo kantor jego prowadzi bardzo małe i nieznaczne interesa, istniejąc więcej *pro forma*, dla wypłat, aniżeli dla giełdowych obrotów, finansista to raczej specyalnie kolejowy. Wpływu ogromnego, działalności wielkiej i niezmiernie ruchliwy, jest on dzisiejszego świata finansowego Warszawy niewątpliwie najwybitniejszą i najciekawszą postacią. Zdolność to wielka, indywidualność nieposlednia, umysł bystry, a choć powierzchowny, to jednak dziwnie asymilacyjny, mogący się dużo sferami i rzeczami naraz zainteresować.

Obok niepospolitego sprytu i znajomości rutynicznej interesów, spotkasz tu dużo pozy i zarozumiałości, połączonej z pewną pyszałkowatością, przy tem wszystkiem atoli wiele taktu i zręczności w stosunkach i w prowadzeniu rodziny, przy pomocy dobrej, dobroczynnej i wykwintnie wychowanej żony. Jest dużo rzeczy, które muszą w tym człowieku zadziwiać i uderzać. Pierwiastkowo pospolity p o d r a d c z y k, przedsiębiorczy, zręczny,

układny, nie przebierający nawet w środkach dopięcia celu, z czasem jednak, w miarę ogarniania szerszych sfer, interesów, wyrabia się na człowieka finansowego większej miary. Całe swoje wykształcenie, niezmiernie różnostronne, sobie samemu zawdzięcza, rozmowa też jego robi zawsze wrażenie *d'un parvenu intellectuel*. Wyszedłszy z tak małego jak on, przy niezmiernej łatwości pojmowania i zdolności asymilacyjnej, w krótkim czasie zdołał sobie przyswoić niepoślednią znajomość języków, literatury, sztuki, ekonomii politycznej, skarbowości i t. d., i to w tak wysokim stopniu, że gdyby już nic innego, to jedno może wysoce w tym człowieku zaimponować. Z najrozmaitszych zakresów posiada on mnóstwo wiadomości, umysł niezmiernie lotny i łatwo się oryentujący, wykształcenie niemal fachowe, talent organizacyjny wielki, a nawet zdolność, którąbym nazwała więcej pomysłową i redaktorską, aniżeli pisarską... Olbrzymie jego dzieło statystyczno naukowe: *Drogi żelazne w Rosyi*, wydane jednocześnie w trzech językach, jest owocem długoletnich studyów i wielkiego naukowego nakładu. Przez całe lata utrzymywał biuro, które pod jego kierunkiem i za jego wskazówkami zbierało materyały, gromadziło daty statystyczne, szeregowało cyfry i układało tablice. On to następnie wszystko zbierał, do jednego mianownika doprowadzał, sam niezmiernie dużo w to dzieło pracy swej włożył i w końcu zdobył się na wydawnictwo, któremu

równe nigdzie może nie wyszło z inicyatywy i nakładem jednego człowieka, lecz *sub auspiciis* jakiejś Akademii nauk lub Instytutu.

Talent jednania ludzi znaczny, składa się nań nietylko zręczność obejścia, bardzo gładkie formy i ponętna umysłu błyskotliwość, ale przedewszystkiem to, cobym nazwała nie ofiarnością, lecz raczej łatwością dawania. Pod tym względem człowiek to wyjątkowy; kieszeń jego zamienia się nieraz, a częściej zamieniała się dawniej w róg obfitości. Z tej łatwości dawania korzystali nieraz prawdziwie biedni, ale także bardzo często stawała się ona pastwą nadmiernej eksploatacyi i zapomogi sypały się tam nawet, gdzie niczem nie były usprawiedliwione. Używano jej i nadużywano ze wszystkich stron, a wielką uczynność jego w tym kierunku wszyscy uznać też muszą, chociaż niebrak złośliwych, co utrzymują, iż jest w niej pewna doza próżności i chęć widzenia swego nazwiska w dziennikach na czele wszystkich składek. Kto się też do niego nie zwracał, rzadziej dla siebie, częściej dla drugich, z prośbą o posadę, zapomogę lub ratunek dla jakiejś nędzy albo niedoli? Każdy prawie — a rzadko kto z próżnemi odszedł rękoma. Biuro p. Blocha było też długi czas istnem Towarzystwem Dobroczynności, za takie przynajmniej zaczynano je w Warszawie uważać, a sumy, które ten człowiek na podobne wydaje, a zwłaszcza wydawał dawniej cele, sięgają nieraz cyfr niemal bajecznych. To też jeśli

mówiłam poprzednio o podatku z dorobionej w kraju fortuny hojnie opłacanym, to p. Bloch właśnie należy chyba do najwyżej opodatkowanych i nigdy sekwestratorów nie potrzebuje. Można o nim powiedzieć, że lubi *leben und leben lassen.* Jeśli na jakim interesie sam zarobi, to niemniej jednak wielką będzie liczba tych, co przy nim i przy jego pomocy i dopuszczeniu do udziału, do znacznej stosunkowo doszli zamożności i niepośledniej dorobili się fortunki. Wychodzi pod tym względem widocznie z zasady, która po wieczne czasy będzie praktyczną, że *en occupant les gens de leur propre intêret, on les empêche de nuire à l'intêret d'autrui.*

Wobec tego dziwić się trudno, że liczba jego satelitów wielka, a wśród nich entuzyazm i zapał dla swego słońca znaczny, a obawa przed nim jeszcze większa.

Długi czas przebywał p. Bloch w Rosyi i tam swoje interesa rozpoczynał, posiada więc wyborną znajomość Petersburga, a w nim specyalnie tych sfer, które w danym razie dadzą się użyć. — Jedyny z naszych finansistów piastuje honorowy urząd w ministeryum skarbu, jest członkiem t. z. „Komitetu uczonego“, posiada nie bez pewnego zadowolenia rangę radcy stanu i ztąd czasami *par les intimes* „jenerałem“ bywa nazywany. Ten jenerał-finansista nie wszystkim się zapewnie podoba, nieprzyjaciół ma mnóstwo, zawistnych jeszcze więcej; nie brak mu także sprawiedliwych krytyków, co sądząc bezstronnie, bynajmniej nie ze stanowiska konkurencyi i współzawodnictwa, nieje-

dno, zwłaszcza dawniej, znaleźliby do wytknięcia — ale z drugiej strony nikt mu nie może odmówić sprytu, inteligencyi, wielkiej zręczności i energii, której dowody daje zwłaszcza w Petersburgu. Tam jest uparty, zawzięty, cierpliwy, umie doskonale wszędzie trafić, w środkach nie przebiera i dlatego zawsze celu dopiąć musi i wykołatać to, co sobie zamierzył. Przez kilka lat starał się on usilnie o założenie w Warszawie szkoły politechnicznej; kilka razy był już bliskim celu, kilka razy interes miał się ku końcowi, ale zawsze wynaleziono jakąś nową przeszkodę i sprawa szła w odwłokę. W tych usiłowaniach jednak obok istotnej chęci pozostawienia po sobie miastu pamiątki, dużą także odgrywał rolę fakt, że Warszawa posiada już szkołę handlową, założoną przez Leopolda Kronenberga. Ambitny bardzo, marzył przed paru laty o zajęciu pierwszej w mieście pozycyi, pod tym względem jednak łudził się i wpływy swoje, oraz umiejętność wywierania ich przeceniał.

W ostatnich czasach wiele narobił wrzawy głośny memoryał Komitetu giełdowego w sprawie żydowskiej podpisany właśnie na pierwszem miejscu przez p. Blocha. Musiałaś zapewne czytać fulminujące z tego powodu artykuły prasy warszawskiej, a zwłaszcza *Niwy*, która pierwsza ten memoryał wydrukowała. Istotnie miano się czego irytować i na co oburzać, a zaiste nie mogę zrozumieć, jak człowiek, dotychczas we wszystkich publicznych wystąpieniach tak ostrożny, zdecydował

się położyć swe nazwisko na piśmie, które co najmniej zasługuje na nazwę bardzo nietaktownego. Kwintesencya owego memoryału polega na tem, że w kraju naszym wszystko, co powstało i powstaje na polu przemysłowo-ekonomicznem, jest wyłącznem dziełem i zasługą „plemienia“ żydowskiego, a nie „rdzennie tutejszego żywiołu“, jak autorowie memoryału nazywają resztę mieszkańców Królestwa Polskiego. Ta autoadmiracya musiała tembardziej rozdrażnić, że po raz to pierwszy w akcie jeśli nie publicznym, to bądź co bądź urzędowym, (memoryał złożonym został komisyi do sprawy żydowskiej, prezydowanej przez p. Mengdena) zrobiono odróżnienie między „plemieniem żydowskiem“ a „rdzennie tutejszym żywiołem“. Gdyby już nic innego, to jedno wystarcza jako kontrast z nazwą „Polaków mojżeszowego wyznania“, na którą Izraelici nasi tak zawsze byli drażliwi i wielką do niej przywiązywali wagę. Ataków na memoryał p. Bloch nie wziął wcale do serca. Mniema on widocznie, że kto tyle odniósł sukcesów, ten może się raz potknąć; nie przypuszczam atoli, aby jak mniema wielu, podpisał ów memoryał bez zastanowienia się i nie dzieląc jego wywodów. Lekkomyślnym nigdy nie był, co najwyżej mniemał, iż owe pismo nigdy nie zostanie ogłoszonem. W przeciwnym bowie razie zredagowałby je sam, inaczej, bardziej aksamitnie i zręczniej, chociaż do tej samej doszedłby konkluzyi, bo podobno w gruncie jest on najmocniej przeko-

nany, iż cały rozwój ekonomiczny Królestwa stoi wyłącznie na żydach i jest ich dziełem. Pod tym względem ma on jedną wielką wadę: zbyt się zapatrzył w siebie samego i według swojej działalności chciałby sądzić wszystkich dawnych współwyznawców. Choć dziś różny od nich wiarą, spogląda jednak chętnie wstecz po za swe obecne stanowisko i podobno lubi czasem zagrać na strunie solidarności plemiennej. Cytowano mi jako przykład mowę, jaką miał do żydów radomskich podczas otwarcia kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, tłumacząc im dobrodziejstwa swego przedsiębiorstwa... Nie w polskim języku wypowiedzianą była ta mowa... Ambitny wielce mniema, iż dość zrobił, aby w danym razie jeśli nie w kraju to w mieście zająć pierwsze stanowisko; arbitralny bardzo, ma tę arbitralność, jaką daje ciągłe przewodniczenie interesom i przedsiębiorstwom wielkiego zakresu. Często, dawniej zwłaszcza, powodzeniem upajał się zanadto, dziś głównie eskontuje przeszłość. W konkurencyi zacięty i bezwzględny, był w swoim czasie głównym bohaterem walki prowadzonej o kolej Nadwiślańską z Leop. Kronenbergiem, u którego dawniej pracował i wielkiego zażywał zaufania. Walka to była niezmiernie zawziętą, a nawet (przyznać trzeba, że z obu stron) brutalną, a w niej wiele epizodów bardzo charakterystycznych. Obecnie jest p. Bloch prezesem kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej i Fabryczno-Łódzkiej, dawniej prezesem, a obecnie głównym

akcyonaryuszem kolei południowo-zachodnich i starszym zgromadzenia kupców.

W życiu prywatnem stosuje również jak i w publicznem zasadę: *leben und leben lassen*, dom prowadzi na stopie niezmiernie zbytkownej i okazałej, twierdząc, że kto ma dużo, ten również dużo wydawać musi i innym dać przy sobie zarobić. Na sztukach pięknych i starożytnościach zna się wcale nie po dyletancku i jak przeciętny bankier, goniący za osobliwościami, apartamentów swoich nie mebluje. Przeciwnie i tu zadziwia wytrawnym i delikatnym gustem. Pracowity bardzo, można powiedzieć, że brzemieniem zajęć przywalony, umie jednak doskonale czas swój na wszystko dzielić, ambitnym jest bardzo i ma minę zręcznego a nie zawsze przezornego nowej dynastyi założyciela.

Robiąc dalej przegląd naszych sfer finansowych, muszę znowu pomimowoli o pośmiertną potrącić sylwetkę. Jakóba Natansona pominąć niepodobna, bo był to typ całkiem od innych odmienny, specyalno-warszawski, a dałby Bóg, żeby i specyalnie polski. Ten był i pozostał zawsze żydem, nietylko z pochodzenia, ale i z wyznania. On jeden z naszych większych finansistów religii nie zmienił, wychodząc z zasady, że kto chce na niższe i ciemne sfery żydowskie działać, kto chce dobroczynny wśród nich wpływ posiadać i oświatę oraz poczucie obywatelskie budzić, ten winien od owej tłuszczy nie odgradzać się, lecz raczej w wspólnej religii łączności z nią szukać i przykładem

pokazać, że można być Mojżesza wyznawcą a jednak wiernym kraju synem. Rodzina Natansonów jest tu w Warszawie wśród naszego żydowstwa otoczona jakąś aureolą powagi i wzięcia, a o Jakóbie mówiono — że to papież Judei. Człowiek to był rzeczywiście wyjątkowy, prawdziwy typ żyda polskiego, łączącego w sobie sielankowe tradycye Mickiewiczowskiego Jankla, z wielką nauką, dużym rozumem, pracą i poświęceniem. Życiorysów jego i portretów powstało w ostatnich czasach dużo, bo po zgonie Jakóba Natansona, tak dla kraju przedwczesnym, każde pismo nasze spieszyło z hołdem pośmiertnym. Odsyłam Cię więc do tych życiorysów, a przedewszystkiem do zeszłorocznego sprawozdania Dyrekcyi warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń, w którem wytrawne a obywatelskie pióro skreśliło wymownie szerokiej jego działalności obraz, żegnając go jako kolegę i jako jednego z pierwszych kraju synów.

Świat finansowo-handlowy Warszawy przy wielu swoich brakach, wadach i chybach ma jednak jedną wielką zaletę, o której już wspominałam, rozwodząc się nieco obszerniej nad Leopoldem Kronenbergiem. Oto mianowicie moralność kupiecka u nas jest o wiele wyższą i czulszą, aniżeli we wszystkich innych miastach, nie mówię już zagranicą, ale nawet w Polsce. To, co u was nieraz uchodzi, to, co w Wiedniu uszłoby nietylko podrzędniejszemu finansiście, ale nawet najbogatszemu panu i dziedzicowi rodu, tu w Warszawie

wywołuje zgorszenie, ogólne odsunięcie się i piętnowanie. Gründerstwo nie znajdzie u nas gruntu, wspólnictwa i poparcia — fałszywa kryda, wyrozumiałości — wyzyskiwanie łatwowierności ogółu — pobłażania. Rozbój publiczny tolerowany nie będzie, jak jest niestety cierpianym przy swobodzie i możności prawodawczych środków gdzieindziej. Giełda warszawska gry nie prowadzi i nie usłyszysz tu nigdy, żeby ten lub ów finansista stracił na „bursie" lub puścił całą fortunę, spekulując na haussę i baissę. Pod tym względem różnica wielka między wami i nami. U nas ludzie trwonią majątki przez nierząd i zbytki, finansiści podkopują się niebezpieczną spekulacyą na cukrze, drzewie lub innym produkcie, ale gra giełdowa we właściwem znaczeniu, ta „epidemia," którą niegdyś tak dzielnie schłostał Narzymski, ta jest na szczęście dla nas *terra ignota*. I tu wpływ dodatni sfer finansowych na całą ludność Królestwa. Sami nie grają i publiczności do gry nie wciągają. Nie usłyszysz tu nigdy, żeby ktoś stracił majątek „na giełdzie," a niestety z listów Twoich widzę, że niewszędzie tak bywa i że u was mianowicie dawniej szerzona z Wiednia zaraza, choć w mniejszym stopniu, trwa jednak wciąż jeszcze. Jeśli u nas mówią czasem o jakich szczęśliwych lub niepomyślnych obrotach giełdowych, będzie to zawsze jakaś sporadyczna spekulacya na kursie rubli i markach, ale mina i kontrmina, sztuczne śrubowanie kursów, kulisa, i t. p. nieznajdowały dotych-

czas pola i poprostu możności rozwoju. Ztąd giełda nasza wygląda dosyć marnie, ale dobrze i jej i nam z tem, a miło, że ta jedyna większa giełda polska uczciwszej od innych zażywa reputacyi i żadnym krachem skalaną dotąd nie była.

Do dodatnich stron naszego lepszego świata finansowego zaliczyć także należy wielką jego pracowitość. Znam n. p. jednego z drugorzędnych bankierów, który posiada już przeszło milionową fortunę, a jednak pracuje wciąż niezmordowanie, wysiadując po ośm i dziesięć godzin dziennie przy biurku. Od lat kilkunastu nie wie on co to choćby na jeden dzień wyjechać z Warszawy i od zajęć się swoich oderwać. Pracowitość ta wchodzi u nich w krew i staje się niemal potrzebą i przyzwyczajeniem, a przyznasz chyba, że rzadka to w Polsce cnota i że kiedy się ją gdzieś spotyka, podnieść i zaznaczyć warto. Uderzy Cię ona równie u wielkich, średnich, jak i małych i po części wyjaśni zagadkę szybkiego mnożenia się fortuny i przeciętnie bardzo znacznej tych sfer zamożności.

Obok koryfeuszów, o których cały kraj wie i każdy ma na nich oczy zwrócone, znajdziesz tu wiele drugo- i trzeciorzędnych potęg finansowych, niegłośnych, a jednak bardzo, jak to nazywają, solidnych, prowadzących swe interesa spokojnie, porządnie, z ostrożnością i wytrwałością. Ci może będą jeszcze najlepszym świata finansowego elementem, wśród nich spotkasz właśnie ową moralność kupiecką najbardziej rozwiniętą, najdra-

żliwszą, poczucie obywatelskości znaczne, polonizowanie się coraz większe i zupełną z krajem solidarność. Uderzy Cię tu i owdzie śmieszna pyszałkowatość i właściwa temu urodzeniu arogancya, zabawi próżność a zgorszy niezawodnie zbytek.

I tu jeszcze raz muszę powtórzyć, że jednym z najgorszych wpływów, jaki świat finansowy warszawski na miasto i życie jego towarzyskie wywiera, jest właśnie owa zbytkowność przyjęcia i niepotrzebne podniesienie często *ad absurdum* skali i wymagań życia. Od nich przeszły te wszystkie przepychy w apartamentach, kulinarne popisy i ekstrawagancye na świat przemysłowy i kupiecki, a po części i na nas wszystkich. Wywiązała się pod tym względem jakaś chorobliwa rywalizacya i przesadzanie się jednych nad drugimi. Natura polska bardzo jest pochopną do stosowania starego przysłowia: „zastawić się a postawić.“ Promotorom zbytków wszystkie te przepychy i luksy nie szkodzą, ale natomiast iluż to innych mniej zamożnych naprawdę się zastawia i po nad skalę żyje, aby się tylko postawić i ogólnemu poziomowi dorównać. Nie dość jednak na tem. Sfery finansowe przed laty, jeszcze za polskiej administracyi pierwsze robiły usiłowania korupcyi urzędników i prowadzenia interesów pobocznemi środkami. Przekupstwa wówczas nie było, więc nie na nie się uskarżam, ale zaprowadzono w tę porę kaptowanie sobie przyjęciami, wykwintne śniadanka, zamorskie obiady i t. d., a początek tego rodzaju

machinacyi datuje się jeszcze z czasów poprzedzających Leopolda Kronenberga.

Wreszcie najważniejszy zarzut, jakibym sferom finansowym postawiła, byłby ten, że one właśnie jak na całym świecie tak i u nas dostarczają najwięcej adeptów fałszywego liberalizmu, luźności zasad i pewnego bezwyznaniowego pokostu. Często liberalizm ten bywa jak u Leopolda Kronenberga nieszkodliwy i stosuje się *dort hinten in die Türkei,* ale z drugiej strony, w ostatnich zwłaszcza latach, kiedy wytworzył się u nas obóz pozytywistyczny, *gros* jego adeptów znalazło się odrazu wśród młodzieży żydowskiej, między świeżo wyszłymi z uniwersytetu adwokatami, w świecie kantorowiczów i niedowarzonych praktykantów dziennikarskich i t. d. Przyjrzyj się zbliska temu obozowi, a zobaczysz, jaka w nim przewaga żydowskiego żywiołu, policz koryfeuszów a przekonasz się, że jeśli nie wyłącznie, to jednak przeważnie z tych sfer się oni rekrutują. Tam, gdzie tradycya może być tylko kupiecką, gdzie religijnych zasad brak zupełny, a wyznanie jest raczej kwestyą towarzystwa niż sumienia, gdzie w wielu razach panuje wielka luźność wyobrażeń, a większa jeszcze pojęć i zasad, tam z natury rzeczy grunt staje się niezmiernie pochopnym do przyjęcia wszelkich wytartych i zszarganych już teoryj, tam wykwitnąć zaraz musi fałszywy liberalizm i nieodstępna nigdy jego towarzyska — bezwyznaniowość. W tych kołach

spotkasz też n. p. ciekawe dla obserwatora spe cimina: młodej panienki bezwyznaniowej, a raczej na bezwyznaniową pozującej, której główka napchaną będzie wszelkiemi pozytywistycznemi teoryami pełno chaotycznych naleciałości i ekstraktu artykułów naszej postępowej prasy. Wśród tych sfer p. Świętochowski znajduje swoje najgorętsze wielbicielki, w nich *Prawda* i *Przegląd tygodniowy* bywają ewangieliami, a powiem raczej ignorowanie, niż nienawiść katolicyzmu, artykułem wiary. Liberalizm ten i bezwyznaniowość będzie krępowana względami narodowemi, więc nie wystąpi w takiej ostrej, jak n. p. w Wiedniu formie, lecz raczej zamknie się w teoryi i abstrakcyi, aniżeli wejdzie w praktykę, ale zawsze główne kadry bezwyznaniowe znajdą swój punkt oparcia w sferach średnich i niższych finansów, wśród t. z. inteligencyi żydowskiej — i ztamtąd dopiero promieniować będą dalej i szerzej. Do tego przedmiotu wrócę raz jeszcze, kiedy przyjdzie kolej na prasę, jej wpływ i zakres działania. Tu tylko dla uzupełnienia charakterystyki naszych sfer finansowych pragnęłam tę ich cechę choć pobieżnie zaznaczyć.

W świecie przemysłowym i kupieckim znalazłoby się dużo także typów dodatnich, sylwetek ciekawych, osobistości bardzo wybitnych, obywateli wielce zasłużonych. Żałuję niezmiernie, że i tak wzrastające wciąż rozmiary niniejszych listów nie pozwalają mi się bardziej nad nimi rozszerzyć i

w szczegółową wchodzić charakterystykę. Nie mogę tego uczynić, choćby ze względu, że musiałabym zaraz wdać się w rozprawę o dziejach i stanie naszego przemysłu i zastanowić się dokładnie nad pytaniem, o ile cały ten przemysł jest sztucznym, efemerycznym, na chwilowej polityce celnej i kursie rubla opartym, a w jakiej mierze istotnym, krajowym, grunt swój i podstawę wśród nas mającym. Zaprowadziłoby to nas na pole ekonomicznej dysertacyi, której uniknąć pragnę, a poniekąd z położenia mojego muszę, a oderwało od głównego celu niniejszych listów: zapoznania się z różnemi miasta naszego kołami i tem, co nazywam jego społeczną fizyonomią.

Typ przemysłowca i kupca warszawskiego będzie także całkiem innym od tych, jakich wy posiadacie, nie przestanie jednak być nawskróś polskim, odrębnym, wśród swojej własnej tradycyi i obyczajów handlowych wyrobionym. Cechą jego główną będzie wielkie poczucie obywatelskości i wspólna ze wszystkimi innymi praca spółeczna, większa niż w innych częściach Polski dojrzałość, wytrawność i cywilizacya, brak pospolitych cech małomiasteczkowego **łyka**, tej chęci burmistrzowania, przewodzenia i jakby kastowej do innych niechęci. Nie jestto bynajmniej francuski *épicier*, którego w gruncie nic nie obchodzi, ani kraj, ani jego dola, honor, sława i położenie, zmateryalizowany do szpiku kości, dbający tylko o to, aby jaknajprędzej z interesu się wycofać, rentę sobie

zapewnić i jej spokojnie używać. Nie będzie to również flegmatyczny, ociężały filister niemiecki, wielbiący przy kufelku piwa ks. Bismarka i z wielkości Niemiec dumny, ale w gruncie apatyczny, łatwo się na pasku wodzić dający i egoista.

Nie; nasz świat przemysłowy i kupiecki ma stron dodatnich bardzo wiele: pracowitość dużą, sumienność i uczciwość rzadką, gorące sprawami społeczeństwa i kraju zainteresowanie się, poczucie godności rozwinięte, a uprzedzeń kastowych mało. On się wszystkiem zainteresuje, do wspólnej pracy zawezwany stanie ochoczo, wnosząc do niej doświadczenie, ofiarność, wpływ znaczny i wielkie do kraju przywiązanie. Obchodzić go będzie literatura, teatr, sztuki piękne i t. d., i w tem wszystkiem nietylko zabawy i pospolitej rozrywki, lecz celów wyższych, obywatelskich szukać będzie.

Niech zkądkolwiek, z jakiegobądź kółka wyjdzie pożyteczna dla kraju myśl, praktyczny projekt, on mu poparcia nie odmówi i oglądać się na to nie będzie, kto jest inicyatorem, tylko co inicyuje. W wielu instytucyach świata tego ludzie pracować będą gorliwie i rozumnie; stosunek z robotnikami w fabrykach naszych znajdziesz lepszy może niż gdzieindziej, chrześciańskich zasad prawdziwe zastosowanie, pewną patryarchalność i przezorną nad pracującymi w warsztatach opiekę, wypływającą bynajmniej nie z popisu i błyszczenia, lecz z głębokiego i szczerego poczucia obowiązku. „Solidnych“, wzorowych kupców i prze-

mysłowców mamy tu dużo, a jeśli niebrak nam także i pod tym względem cieni i stron ujemnych, to jeszcze jednak ogólnie biorąc niema powodu rąk z rozpaczy załamywać i wołać, że u nas gorzej, niż gdzieindziej.

Stało się zwyczajem odpowiadać na ustawiczne a wzmagające się coraz bardziej skargi i lamenta szlachty na zły rok i ciężkie czasy cytacyą owej bajki o mrówce i koniku polnym, który całe lato prześpiewał i nic na zimę zachować nie umiał. Prawda to niechybna, że nasi ziemianie niejednokrotnie do konika polnego podobni bywają, ale z drugiej strony czyż ta bajka nie da się równie dobrze zastosować do świata przemysłowego i kupieckiego? Im także odpowiedzieć można, że obecne narzekania na zastój, stagnacyę i ślamazarny interesów obrót wynikają głównie z braku przezorności i przedwczesnego obliczenia się z faktem, iż po siedmiu krowach tłustych przychodzić zwykło siedm krów chudych. Przemysł nasz i handel tyle miał lat świetnych, tyle pomyślnych dla swego rozwoju i zarobku konjunktur, że właściwie mógł się zawczasu przygotować na obecny zastój i ciężkie chwile. Ale właśnie tej przezorności brak nam wielki i on to głównym naszego przemysłowo-kupieckiego świata grzechem. Było i poszło; Maciek zrobił — Maciek zjadł, a teraz dopiero lament i płacz.... Czyśmy to nie widzieli, jak niektórzy z przemysłowców starali się zakasować wystawnością życia najbogatszych finansistów i miliono-

wych panów; czy nie wszyscy byliśmy świadkami upadku najpotężniejszych niegdyś firm przemysłowych? Trudna rada; jednej rzeczy trzeba się od Niemców nauczyć — przezorności i oszczędności. Bez tego na nic pójdą wszelkie inne cnoty i marnieć będziemy powolnie, lecz doszczętnie.

Chcąc nakreślić kilka choćby najwybitniejszych świata prawniczo-adwokackiego sylwetek, musiałabym sięgnąć w przeszłość i rozwinąć przed Tobą obraz naszej dawnej magistratury warszawskiej. Podkopana bardzo za Mikołaja, kiedy w kraju nie było uniwersytetu, lecz litylko t. z. kursa prawne, kiedy wykształcenie i naukę utrudniano na każdym kroku i w ściśniętych trzymano karbach, magistratura nasza jednak wydała ludzi bardzo niepospolitych i wykształconych, wyrobiła język i doktrynę prawną w Polsce. Z niej wyszli tacy znakomici prawnicy, jak Tys, Jan Kanty Wołowski, zmarły niedawno dziekan Dutkiewicz, oraz wielu innych, a na liście obrończej mieliśmy i mamy dotąd jeszcze z tamtych właśnie czasów kilku bardzo niepospolitych mecenasów, odznaczających się wielką nauką, obywatelskiem poczuciem oraz niezmierną uczciwością i zacnością. Dziś te minionej epoki niedobitki świecą jeszcze wśród naszego prawniczego świata, usunięci po większej części od interesów, a z małemi tylko wyjątkami wciąż jeszcze czynni, ruchliwi, że tu przytoczę nazwiska Wincentego Majewskiego, Edwarda Grabowskiego, Zygmunta Krysińskiego, Andrzeja Brzezińskiego,

Aleksandra Krajewskiego i t. d. i t. d. Wśród młodszej generacyi znalazłoby się także wielu ludzi bardzo wybitnych, nauki i stanowiska znacznego, uczciwości wypróbowanej i uczuć niezmiernie obywatelskich. Wogóle jednak biorąc dzisiejsza palestra Warszawy jakże różną jest od dawnej i jak w wielu razach niegodną nawet porównania! Liczebnie wzrośliśmy ogromnie, moralnie i naukowo spadliśmy bardzo znacznie. Co roku uniwersytet tutejszy wydaje całe szeregi kandydatów adwokackich, młodzież zwłaszcza żydowska pcha się hurmą do tego zawodu, niebawem będziemy mieli więcej obrońców, niż klientów; więcej powołanych niż wybranych, a wśród nich bardzo dużo kąkolu, z któregoby należało koniecznie ziarno oczyścić i kompromitującą plewę odrzucić! Ale cóż? Izby adwokackiej, jakiegoś syndykatu, któryby w danym razie mógł dyscyplinarną sprawować władzę, nie mamy wcale i pomimo najusilniejszych starań rząd zgodzić się nigdy na nią nie chciał. Więc też palestra nasza została bez wodzów, kontroli i możności czuwania nad honoru i imienia swego dobrem. Winić więc jej nie należy, lecz też zupełnie z rozmaitych indywiduów rozgrzeszyć niepodobna. Pomimo wszystkiego jednak, pomimo licznych w tym kierunku prób i usiłowań pozostala ona na wskróś polską i obywatelską, a nie wiem naprawdę, czy w całej Warszawie naliczyłabyś choć kilku adwokatów pochodzenia rosyjskiego. Wszystkie próby pelzną na niczem, publiczność bowiem nasza in-

?nktownie będzie od każdego adwokata Rosyani- stronić i chociażby miał największą sławę i jlepsze stosunki, do niego się nigdy nie zwróci. asem w bardzo ważnych razach który z Rosyan ;ejszych sprowadzi z Petersburga ks. Urusowa lub Żukowskiego, wyłącznie w sprawach kryminalch, licząc głównie na ich powagę i świetną wymo;, lecz to „krasoreczje" nie zaimponuje bynajmniej dom tutejszym, które przywykły słuchać wywodów lolfa Pepłowskiego, słynnego ze swej wykwintj i wspaniałej wymowy rosyjskiej. Pepłowski to ichaud warszawski, dar krasomówczy rzeczywiie niezmiernie rzadki, swada niezrównana, dowcip ronia cięte, wytworność wyrażeń i taka książkoego języka rosyjskiego znajomość, że mu jej naet sami Rosyanie zazdroszczą. Kiedy w Piotrkoe bronił raz szlachcica przed zarzutem oporu adzy (za wyrzucenie komornika), a prokurator cąc się poszczycić swoją znajomością literatury lskiej zaczął dowodzić, że już w „Panu Tadezu" Mickiewicz wskazał, jak szlachta polska lonną jest do zajazdów, burd i bezprawia — ;płowski odpowiedział mu na to:

„Jak dalece z utworów literackich nie należy ?rokować o charakterze i zwyczajach narodo?ch, mógłbym również udowodnić to cytatą jeego z najprzedniejszych pisarzy rosyjskich. W peiej powieści Gogola na zapytanie przyjezdne: jacy w mieście ludzie? ten odpowiada: „Gurnator łapownik, wice-gubernator pijanica, starszy

asesor karciarz — jeden prokurator tylko porządny człowiek, *no w prjoczem i tot s....*" Ja z tego bynajmniej wywodzić nie chcę, aby wszyscy prokuratorowie i t. d."

Możesz sobie wyobrazić, jak homeryczny śmiech wywołała ta cięta replika, zwłaszcza, że wypowiedziana była wobec całego audytoryum gubernatorów, asesorów i t. d. piotrkowskich.

Na zakończenie wypada mi jeszcze powiedzieć choć kilka słów o urzędnikach Polakach.— Tych gatunki bywają rozliczne, a wartość moralna rozmaita. Są między nimi ludzie bardzo zacni, bardzo rozumni, są gorsi, tchórzliwi, dbający o urząd jako jedyny kawałek chleba i bytu zapewnienie, trwożliwi i każdego cienia się strzegący. — Tych zawsze najszczerzej żałuję i trudności położenia niezmiernie rozumiem. Taki biedak musi używać nadzwyczajnej ostrożności, na każdym kroku nad sobą czuwać, z każdem słowem się liczyć, każdą okoliczność rozważyć, i kłaniać się, i pokornie dąsy znosić, i do narzucanego mu systemu naginać się, wszelkie przekonanie w sobie stłumić, wszelkie poczucie i godności własnej i obywatelstwa zataić. A w zamian za to wszystko doznawać ustawicznego upokorzenia, dla swej religii i narodowości bywać we wszystkiem pomijanym, patrzeć jak lada popowicz nasłany z Petersburga z przed nosa należny mu awans zabiera; jak praca jego, pilność, wytrwałość i choćby największa rzeczy znajomość na nic się nie przyda i uwzglę-

dnioną nie będzie. Istny Syzyf, który pcha wciąż swój kamień ku górze i widzi, jak ten ustawicznie mu do nóg się stacza, od wierzchołka daleki, bez nadziei uznania i losu polepszenia, co najgorsze, bez wewnętrznego przekonania, że ta jego służba jakiś pożytek krajowi przyniesie i choć w drobnej cząstce obowiązki względem społeczeństwa spełnić pozwoli. Są drudzy, karyerowicze, którzy doskonale zastosować się potrafią, zręcznie wszelkie przeszkody ominąć umieją, o wszystkiem zapomną, aby tylko upragnionego dopiąć celu. Ci zrusyfikują się zaraz na wstępie tem, że wraz ze swymi prawosławnymi kolegami do wszelkich nadużyć stanąć gotowi, z łapownictwem ścisłe zrobią „primirenje,“ o żadne względy społeczne i kraju dbać nie będą, wszelkich zasad się wyrzekną i wraz z napływowymi czynownikami utartym pójdą śladem.

Są najgorsi wreszcie, którzy w gorliwości urzędniczej samych Rosyan przejdą, i to już nie z tchórzostwa lub obawy, nie z obowiązku i w nadziei zapewnienia sobie spokojnego kawałka chleba i miejsca, lecz przez miłość dla sztuki, przez jakąś dziwną organizacyę mózgową, która z nich wytworzy najwstrętniejszy typ, jaki na warszawskim bruku spotkać Ci się zdarzy: urzędnika zruszczonego, *plus russe que le czar*. Takich bywa dużo, ci są i najdokuczliwsi. O nich się zapytaj a powiedzą Ci, że bez porównania bywają gorsi od najgorszych nawet Rosyan i w prześladowaniu

wyrafinowani. I żeby to przynajmniej robili w jakimś celu samolubnym lub materyalnym. Nie — oni doskonale czują, że wszelkie te ich podłości na nic się nie zdadzą, że ich zasługi i nowych pomysłów eksterminacyjnych rząd nie wynagrodzi, że dlatego, iż polskiego są pochodzenia, żadnego wyższego urzędu nie dostaną i zawsze będą musieli ustąpić pierwszego kroku nasłanym z Rosyi czynownikom. Więc co ich do tego powoduje, co każe im w prześladowaniu najzawziętszych nawet prześcigać Rosyan? Co? Tylko nikczemna, podła i płaska natura, tylko jakieś dzikie zamiłowanie w pastwieniu się, chęć pokazania, że władzę posiadają i jej na złe użyć potrafią. Sylwetek ich pojedynczych kreślić nie będę, zanadto są czarne i brudne, i dlatego za wstrętne. Zresztą inny mnie jeszcze wzgląd powstrzymuje. Musiałabym ich przedstawić tak plastycznie, żeby odrazu poznani zostali, a w tem przedstawieniu wymienić, jak i co złego nam wyrządzają. To zaś mogłoby w ich zwierzchniczych sferach życzliwą ściągnąć na nich uwagę i łaski oraz awansy sprowadzić. Przyczyniać się zaś tą drogą do odznaczeń i karyery tego pokroju Polaków w służbie rosyjskiej, nie mam bynajmniej ani ochoty, ani zamiaru. Wolę więc przejść nad nimi do porządku dziennego, kończąc list niniejszy. W następnym starać się będę dla uzupełnienia obrazu scharakteryzować Ci tutejsze sfery dziennikarskie, literackie i artystyczne.



dnioną nie będzie. Istny Syzyf, który pcha wciąż swój kamień ku górze i widzi, jak ten ustawicznie mu do nóg się stacza, od wierzchołka daleki, bez nadziei uznania i losu polepszenia, co najgorsze, bez wewnętrznego przekonania, że ta jego służba jakiś pożytek krajowi przyniesie i choć w drobnej cząstce obowiązki względem społeczeństwa spełnić pozwoli. Są drudzy, karyerowicze, którzy doskonale zastosować się potrafią, zręcznie wszelkie przeszkody ominąć umieją, o wszystkiem zapomną, aby tylko upragnionego dopiąć celu. Ci zrusyfikują się zaraz na wstępie tem, że wraz ze swymi prawosławnymi kolegami do wszelkich nadużyć stanąć gotowi, z łapownictwem ściste zrobią „primirenje," o żadne względy społeczne i kraj dbać nie będą, wszelkich zasad się wyrzekną wraz z napływowymi czynownikami utartym p... dą śladem.

Są najgorsi wreszcie, którzy w gorliwości ... zę-
dniczej samych Rosyan przejdą, i to już nie ... chó-
rzostwa lub obawy, nie z obowiązku i w ... dzieci
zapewnienia sobie spokojnego kawałka ... eba i
miejsca, lecz przez miłość dla sztuki, która ... jakąś
dziwną organizacyę mózgową, ... wy-
tworzy najwstrętniejszy typ, jaki na ...
bruku spotkać Ci się zdarzy: urzędników ...
nego, *plus russe que le czar*. Takich ...
ci są i najdokuczliwsi. O nich się zap...
wiedzą Ci, że bez porównania bywają gorsi od
najgorszych nawet Rosyan i w prześladowaniu

wyrafinowani. I żeby to prz
kimś celu samolubnym lub
oni doskonale czują, że ws
na nic się nie zdadzą, że
pomysłów eksterminacyjnych
że dlatego, iż polskiego są
wyższego urzędu nie dostana
sieli ustąpić pierwszego krok
czynownikom. Więc co ich
każe im w prześladowaniu n
prześcigać Rosyan? Co? Tyl
i płaska natura, tylko jakieś
w pastwieniu się, chęć pokaz
siadają i jej na złe użyć pot
pojedynczych kreślić nie będę
i brudne, i dlatego za wstrętne
jeszcze wzgląd powstrzymuje
przedstawić tak plastycznie, że
zostali, a w tem przedstawieni
co złego nam wyrządzają. To
zwierzchniczych sferach życzliw
uwagę i łaski oraz awansy spro
niać się zaś tą drogą do odznac
go pokroju Polaków w służbie ros
bynajmniej ani ochoty, ani zami
przejść nad nimi do porządku dzi
list niniejszy. W następnym star
uzupełnienia obrazu scharakteryzo
sfery dziennikarskie, literackie i a

LIST SZÓSTY.

Cenzura i dziennikarstwo.

TREŚĆ: Spotkanie u wód. — Moje kłopoty. — Dwa systemata cenzuralne. — System Mikołajewski. — Przykłady i anegdoty. — Kurator Muchanow. — Jak dawniej wyglądały dzienniki? — System Aleksandrowski. — Porównanie. — Cenzura teatralna. — Obecny Komitet cenzury. — P. Ryżow. — Warunki dziennikarskie. — *Gazeta Warszawska*. — Józef Kenig — Wincenty Korotyński. — *Kuryer Warszawski*. — Wacław Szymanowski. — Władysław Bogusławski. — Bolesław Prus. — *Gazeta Polska*. — Edward Leo. Aleksander Rembowski. — Dyonizy Henkiel. — M. Gawalewicz. — *Wiek*. — K. Zalewski. — A. Niewiarowski. — Henryk Sienkiewicz. — Jego charakterystyka. — Rozmowa z Brandesem. — *Słowo*. — Władysław Olendzki. — X. Z. Chełmicki. — A. Zaleski. — *Kuryer Codzienny*. — *Kuryer Poranny*. — *Tygodnik Illustrowany*. — Ludwik Jenike. — Ed. Lubowski. — *Kłosy*. — Adam Pług. — Kaź. Kaszewski. — *Biesiada literacka*. — Piotr Jaxa Bykowski. — *Wędrowiec*. — *Chwila*. — W. Przyborowski. — *Rola*. — *Świt*. — *Bluszcz*. — *Kronika Rodzinna*. — *Niwa* i jej znaczenie. — *Biblioteka Warszawska*. — *Ateneum*. — Prasa postępowa. — Obóz pozytywistyczny i jego rozbicie. — Adam Wiślicki. — Aleksander Świętochowski. — Co zrobili pozytywiści? — Organ urzędowy. — *Dniewnik Warszawski*.

Przed paru laty bawiłam u pewnych wód zagranicznych. Jak zwykle, Polaków było mnóstwo, i jak zwykle, z Warszawy najwięcej, a wśród nich

wielu takich, o których nikt nie wiedział, co zacz i co za jedni. Przyjmowano ich do towarzystwa i dopuszczano nawet do pewnej poufałości, bo zwyczajem naszym nie bardzośmy przebierały wśród rodaków, zapędzonych chorobą lub chęcią wypoczynku do owego *Kurortu*, żądając tylko od nich jakiej takiej oglady i łatwej rozmowy. Tą drogą właśnie wcisnął się do owego kółka pewien jegomość, który niebawem zwrócił szczególniejszą moją uwagę. Niski, szczupły, łysy, o sumiastym, polskim wąsie, wyglądał jakby szlachcic jaki z pod Łęczycy lub Sieradza. Rozmownym był i gadatliwym wielce, a co właśnie mnie uderzyło, to niezmierna swoboda, z jaką głośno i publicznie wypowiadał swe sądy o Rosyi, o położeniu Królestwa Polskiego, o naszych wielkorządcach i wielkorządczyniach. Jak na prostego szlachcica było to trochę za śmiałem i niezwykłem, bo nie wiem, czy zauważałaś ten fakt charakterystyczny, że system, pod jakim żyjemy, wyrobił we wszystkich prawie taką trwożliwość, ostrożność i rachowanie się ze słowem, taką obawę długich uszów, nawet zagranicą, że niczem nieraz p. Strachajło z waszego dowcipnego *Szczutka*. Otóż jegomość ten nie krępował się wcale... Mówił o Hurce, Maryi Andrejewnie, Apuchtinie, nie tak nawet, jakby rozsądnie mówić należało, ale jakby deklamował tuzinkowy wasz tromtadrata.

Ten patryotyzm eksportowy uderzył mnie do tego stopnia, że nie omieszkałam coprędzej za-

glądnąć do *Kurlisty*, aby się przekonać, co zacz jest ów ognisty patryota. I wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedym wyczytala, że to ni mniej, ni więcej, tylko *S. Excellenz kais. russ. wirklicher Staatsrath ...stein.* Nie wiedziałam jeszcze wówczas, jaki ta „excelencya“ urząd w Warszawie sprawuje, ale deklamacye tromtadratyczne „rzeczywistego radcy stanu“ o nazwisku brzmiącem nie po polsku zainteresowały mnie do tego stopnia, że postanowiłam bliższą zawiązać z nim znajomość i choćby dla ostrożności swojej i drugich dociec, do jakiego celu ta zastawiona na łatwowiernych łapka patryotyczna prowadzi. Przyszło mi to bardzo łatwo; „excelencyi“ pochlebiały wielce moje zachody. W parę dni byliśmy z sobą doskonale, a ciekawość moja otrzymała sowitą nagrodę, skoro w owym nieprzejednanym patryocie, który od morza Czarnego aż do Bałtyku nie chciał piędzi ziemi polskiej odstąpić, poznałam jednę z pierwszych i najbardziej wpływowych figur — zgadnij czego? — „warszawskiego komitetu cenzury“, osobistości, o której różne dochodziły mnie słuchy w Warszawie...

Nosząc się już wówczas z myślą listów niniejszych, byłam w prawdziwym kłopocie, co poczn꿅, kiedy przyjdzie mi z kolei mówić o dziennikach i dziennikarzach tutejszych. Z gazetami i gazeciarzami dałabym sobie jeszcze jakotako radę bo przecież i z nich wielu można w świecie i po salonach spotkać, wszystko co piszą i drukują

czytać, a dowiedzieć się reszty z łatwością, zwłaszcza w tak plotkarskiem jak Warszawa mieście... Ale jak tu mówić o prasie warszawskiej, nie określiwszy wpierw warunków, wśród których owa prasa istnieje; nie dawszy dokładnego obrazu tego, czem jest, co znaczy i jak działa owa maszyna, która ostatecznie reguluje wszystko, a zowie się: cenzura. Przypadkowa więc moja znajomość i zażyłość była istotnie *une eminente trouvaille.* Dzięki jej poznałam się z różnemi kółkami i trybami owej skomplikowanej maszyny, lepiej może, aniżeli niejeden z tych, co z nią codziennie mają do czynienia, a w każdym razie więcej, aniżelibym mogła przy pomocy wysilonej nawet dyplomacyi kobiecej dowiedzieć się od którego z naszych pp. redaktorów i dziennikarzy. Ci panowie bowiem unikają bardzo starannie tego przedmiotu rozmowy i dowiesz się od nich o cenzurze mniej, aniżeli od pierwszego lepszego roznosiciela gazet lub woźnego z redakcyi. Jeśli to z zasady: *qu'il faut laver son linge sale en famille,* to przyznam się, że nie bardzo pojmuję tego oportunistycznego podciągania cenzury i jej komitetu pod własną rodzinę....

Nie myślę bynajmniej opowiadać historyi cenzury, ani tem bardziej porywać się na jej definicyę. Jesteś moją rówieśniczką, a zatem możesz jeszcze pamiętać te czasy, kiedy to i u was przed laty pięćdziesięciu błogość systemu cenzuralnego ogarniała wszystkich i wszystko, i kiedy

w lwowskim teatrze, w znanej piosnce o ptaszku, co do wolności wzdycha i wolnością żyje, na żądanie cenzora słowo „wolność“ zastąpiono cesarzem, i biedna ptaszyna przez kilka wieczorów „wzdychała do cesarza“ i „cesarzem żyła“. Zresztą jeśli pragniesz zapoznać się bliżej z tym zabytkiem archeologicznym w Niemczech i w Austryi, weź pisma zbiorowe Börnego i przeczytaj w nich artykuł: *Denkwürdigkeiten der Frankfurter Censur.* Znajdziesz tam anegdot i przykładów mnóstwo, a porównywując je z tem, co w dalszym ciągu tego listu spotkasz, przekonasz się, że choć cenzura nie jest specyficznie rosyjskim wynalazkiem, to jednak na gruncie i w rękach rosyjskich nabiera odrębnych a ciekawych cech charakterystycznych. Przekonasz się dalej, że chociaż iskrząca dowcipem i werwą satyryczną rozprawą Börnego pisaną była w roku 1819, a zatem lat temu bez mała 70, to jednak w porównaniu z tem, co się u nas dzieje, podane w niej fakta bledną i wyglądają na niewinne dziwactwa, więcej śmieszne, aniżeli szkodliwe.

W naszych stosunkach odróżnić należy przedewszystkiem dwa główne systemata cenzuralne: jeden nazwałabym Mikołajewskim, drugi nowoczesnym, Aleksandrowskim. System pierwszy w Petersburgu zaginął już podobno doszczętnie; w komitecie warszawskim miał on jeszcze do niedawna kilku epigonów, a wogóle odznacza się monstrualną śmiesznością, połączoną z zupełną bez-

myślnością; drugi jest bardziej wytrawny, ogładzony, na racyonalniejszych oparty podstawach. Tamten miał cel jasno określony: gnębienie wszelkiej myśli, słowa i pisma; ten zaś twierdzi, że chodzi mu nie o doszczętne zniszczenie piśmiennictwa, ale o rządową nad nim kontrolę. Mikołajewski opierał się na uświęconych formułkach i zasadach urzędowych, wykreślających raz na zawsze z druku używanie pewnych wyrażeń, zwrotów, porównań, nawet nazwisk i przymiotników. Czepiał się on nietyle myśli, ile raczej słów. Według niego „rewolucya“ nie mogła być używaną w druku, nawet w znaczeniu przewrotu sił przyrody; rząd powinien się był pisać zawsze przez duże R i z predykatem „opiekuńczy“, a o wszelkiej głowie koronowanej nie wolno było inaczej, jak z najgłębszym odzywać się szacunkiem i z dodatkiem wszystkich należnych jej tytułów, a to zarówno o cesarzu Wszechrosyi, jak i o królowej Madagaskaru i królu wysp Honolulu. Cenzor Mikołajewski nie puszczał nigdy żadnej wiadomości o zamachu przeciw władzy w jakimkolwiek kraju, o detronizacyi lub zmianie formy rządu, choćby na wyspach Haiti lub w królestwie Zanzibaru...

Kiedy w r. 1848 upadł Ludwik Filip, ówczesna cenzura warszawska pozwoliła na ogłoszenie tej wiadomości dopiero w kilka tygodni po rewolucyi lipcowej, skoro gabinet petersburski uznał już urzędownie Rzeczpospolitę. Nazwisko człowieka politycznie podejrzanego, emigranta, spiskowca,

słowem każdego, który nie miał patentu „prawomyślności,“ nie mogło się pod żadnym pozorem ukazać w druku. W wiadomościach miejscowych wszystko, co odnosiło się do jakiejkolwiek władzy, musiało być wprzód jej komunikowanem i dopiero po raz wtóry szło do cenzury.

Tak n. p. kiedy słynny jenerał Abramowicz był oberpolicmajstrem i zarazem prezesem teatrów, każda recenzya z przedstawienia i sztuki szła do jego aprobaty; i jeśli mu przypadła do gustu, ukazywała się w druku, w razie przeciwnym ginęła w koszu. Nie wszyscy mieli odwagę wdawać się wogóle w jakiekolwiek sądy o teatrze. Pierwszą próbę t. z. „rozumowanych“ recenzyj zrobił za Abramowicza J. Kenig, dzięki faworom, jakie wszechpotężny oberpolicmajster okazywał Antoniemu Lesznowskiemu, właścicielowi i redaktorowi *Gazety Warszawskiej*. Wpierw taż *Gazeta* i *Kuryer* ograniczały swe sprawozdania teatralne do krótkich notatek w tym n. p. rodzaju: „Wczoraj grano w Teatrze wielkim po raz szósty *Ritę Hiszpankę*. Imcipana Żółkowskiego wywoływano po akcie I-szym 3 razy, po akcie II-gim 5 razy, po III-cim 6 razy; Imćp. Królikowskiego po akcie I-szym 4 razy, po II gim 5 razy“ i t. d. Oto wszystko.

Najlepiej charakteryzuje ówczesny system cenzuralny następujący fakt: ks. Paskiewicz dawał bal; *Kuryer* podając opis tego balu wspomniał, że na schodach zamkowych stał rząd przepysznych

drzew pomarańczowych z oranżeryj łazienkowskich. Cenzor czytając tę wiadomość,. w słowie „rząd“ poprawił *r* na wielką literę i dopisał przed nim „opiekuńczy“. Czytaliśmy więc nazajutrz w *Kuryerze*, że „na schodach zamkowych, u wejścia do sali balowej, stał Opiekuńczy Rząd wspaniałych drzew pomarańczowych...“ Z tych także czasów datuje się drugi wiekopomny wypadek cenzuralny. Kiedy w r. 1847 stany lombardzkie podały do cesarza austryackiego prośbę o nadanie konstytucyi, *Gazeta Warszawska* umieściła ten fakt w formie jak najsuchszej i z zacytowaniem urzędowego źródła wiedeńskiego. Cenzor nietylko przekreślił ową wiadomość, ale dopisał na marginesie: „Żądania te jako nielegalne nie mogą być drukiem ogłaszane“.

Słowo „niewolnik“ nie kwalifikowało się wówczas pod żadnym pozorem do druku. Kiedy ktoś napisał: „niewolnik swoich namiętności,“ cenzor przemienił mu owego niewolnika na murzyna i słynny „murzyn swoich namiętności“ figuruje dotychczas w starem wydaniu pewnej głośnej i dziś jeszcze powieści. W jakiemś dziele chemicznem cenzor wymazał „kwas pruski,“ motywując swój ostracyzm tem, że dwór król. pruski jest spokrewniony z dworem rosyjskim, a więc nie wypada, aby trucizna tak silna, jak ów kwas, nosiła nazwę „pruskiej.“

Podobnych anegdot mogłabym przytoczyć jeszcze tysiące, ale wspominam o tych czasach dla-

tego jedynie, aby Ci wskazać, jakie to były podstawy Mikołajewskiego systemu cenzury, który przetrwał długi czas zmianę panowania i powstanie 1863 r.

Do wielkiej reformy administracyjnej, cenzura podlegała wprost namiestnikowi i przyłączoną była do okręgu naukowego. Na czele tego okręgu stał słynny kurator Paweł Muchanow, który najsrożej może ze wszystkich dał się we znaki ówczesnej prasie. On to przyjmując raz redaktorów uskarżających się, że cenzorowie tak wymazują, iż nie wiedzą literalnie, o czem pisać, wyrzekł łamaną polszczyzną owe pamiętne słowa, które obiegały całe miasto: *Piszitie Panowie o więżu morskim, to bardzo interesnyj przedmiot.*

Od tej pory ten „wież morskij“ stał się historycznym, a we wszystkich redakcyach, kiedy przychodziły czasy formalnej *razzii* cenzuralnej, powtarzano go sobie jako znamię chwilowego prądu. Bardzo też ciekawie wyglądały ówczesne gazety. Małe, nikłe, puste, z konieczności zajmowały się tylko i to w bardzo skromnej mierze kwestyami literackiemi; główną ich podstawę stanowił fejleton, zapełniony powieściami, przeważnie tłómaczonemi. Ukazanie się powieści oryginalnej było wielkim ewenementem i robiło szalone wrażenie, a podobne wypadki zaczęły się dopiero częściej powtarzać, kiedy na niwie beletrystycznej zajaśniał Kraszewski, a później Korzeniowski. Wiadomości polityczne pojawiały się w homeopatycznych do-

zach. Redakcyi nie wolno było nietylko podawać jakichkolwiek własnych uwag i rozumowań, ale nawet zamieszczać choćby najdrobniejszego faktu bez zacytowania źródła. Co więcej — i tych źródeł, uznanych przez cenzurę za kompetentne, było bardzo nie wiele. Stanowił je głównie *Journal de St. Petersbourg* i rzecz charakterystyczna, ówczesny pruski *Staatsanzeiger*, czasami *Debaty*, bardzo rzadko *Gazeta Kolońska*.

Dowcipniejszym i przebieglejszym redaktorom i „politykom“ jak np. Kenigowi, udawało się czasem obejść ten surowy przepis i o wypadkach w Lombardyi lub w Anglii albo Szwecyi dać własny sąd i „rozumowany“ artykuł, ale to tylko *fuchsem* pod nagłówkiem np.: „Czytamy w *Gazecie Kolońskiej* lub w *Debatach* i t. d.“ Wprawdzie ani *Gazeta Kolońska*, ani *Debaty* nic właśnie w tym przedmiocie nie pisały, a wszystko, co podawano jako mniemany z nich wyciąg, wyszło świeżo z pod pióra Keniga, ale cenzor nie miał czasu na sprawdzenie, więc puszczał, i przepis był zachowany... Kiedy tenże Kenig zdołał nareszcie po długich zachodach i latach wielu otworzyć w *Gazecie Warszawskiej* rubrykę „Ostatnich wiadomości“, w których własnemi słowami a nie w wiernym przekładzie podawał *resumé* z ostatniej poczty zagranicznej, co to był za postęp, co za szalony efekt dziennikarski! Artykuły wstępne od redakcyi, naturalnie o sprawach polityki zagranicznej, w żadnej z interesami Rosyi

nie stojącej styczności, ukazały się dopiero znacznie później, w latach 60-tych, jeśli się nie mylę. Były one bardzo ważnym krokiem w rozwoju dziennikarstwa warszawskiego, a jak w wielu rzeczach, tak i w tej zasługa i inicyatywa przypada głównie w udziale Antoniemu Lesznowskiemu i Kenigowi.

Przypominam sobie dziś jeszcze dokładnie, jak to przed 40 laty wyglądał n. p. *Kuryerek Warszawski*, ten sam *Kuryer*, który naśladując wielkie pisma wiedeńskie, wychodzi obecnie w podwójnej edycyi: rannej i wieczornej. Na szarym, bibułowatym świstku, po wyliczeniu wszystkich nabożeństw i odpustów następowały wiadomości miejscowe a na ich czele takie najważniejsze, jak n. p. „Dziś flaki u Resslera," potem szła rubryka: „przyjechali i wyjechali," dalej wiadomości teatralne, a raczej statystyka wywoływań aktorów, potem nareszcie „dział polityczny,"a w nich rubryka „Anglia." Londyn: „Bal u królowej. Roznoszono chłodniki." „Austrya." Wiedeń: „Pod Schönbrunnem odbyły się wielkie manewra, na których raczył być obecny Najjaśniej. Cesarz austryacki" i t. p. — Korespondencye, telegramy — wszystko to było jeszcze nieznane i niepraktykowane. Pierwsze ewolucye telegraficzne zaczął wyprawiać L. Kronenberg, nabywszy *Gazetę Codzienną* i przemieniwszy na dzisiejszą *Polską*. Przedtem nikt o niczem podobnem nietylko nie marzył, ale nawet nie słyszał. Żywiły się te biedne gazety

i kuryery przedrukami z dzienników zagranicznych, komunikatami urzędowemi, a główną ich podstawą była powieść, zajmująca większą połowę wydawnictwa i stanowiąca jedyną prawie *great attraction* dla prenumeratorów. W tem to najważniejsza może przyczyna ówczesnego rozwielmożnienia się beletrystyki, w tem powód przeważnego jej wpływu i znaczenia, jakie w rozwoju intelektualnym społeczeństwa zdobyła. Wszystko, czego nie można było wprost i otwarcie powiedzieć, cała moralizatorska i pedagogiczna strona dziennikarstwa, musiało przyoblekać powieściową formę. Romans zastępował wiele rzeczy; znaczenie też i jego wpływ wzrosły do niebywałych gdzieindziej rozmiarów.

Nie piszę tu historyi dziennikarstwa warszawskiego, lecz przesyłam Ci luźne tylko o niem notatki, a że jak we wszystkiem w tych listach, tak i w tem zajmuje mnie głównie nietyle przeszłość, jak teraźniejszość, więc tych kilka szczegółów ma jedynie posłużyć jako rys charakterystyczny owego systemu, który nazwałam Mikołajewskim, a z którego rozwinął się w dalszym ciągu ten, co dziś panuje nad naszą prasą, warunkując jej byt, rozwój i znaczenie. Łączył się on, był wynikiem i wyrazem ogólnego systemu rządowego, mającego na celu niedopuszczanie do mas jakiejkolwiek oświaty. Wówczas nie szło o to, w jakim języku oświata ta będzie niesioną, ale o to, aby nie istniała wcale. Nie ścieśniano

zatem prasy, ale ją tępiono. Była więc w tem pewna konsekwencya, a ówczesny system cenzuralny umiał wynaleść sobie i wśród naszego społeczeństwa podatne narzędzia — siepaczy, którzy z zamiłowaniem, a nawet z pewną służalczą rozkoszą korzystali z nadanej im władzy, aby nakazaną przez rząd szykanę jeszcze ostrzejszą i dokuczliwszą uczynić, rozwinąć ją i udoskonalić. Czepiano się więc każdego słówka, każdej najniewinniejszej myśli, każdego wyrazu, położonego na indeksie... Wszystko, co się w owej porze drukowało, wtłaczano w pewne stałe formułki, wybijając na nich piętno idyotyzmu, a pisarz, który chciał cokolwiekbądź w Warszawie ogłaszać, musiał przedewszystkiem pogodzić się z myślą, iż rozporządza mniejszym daleko zasobem wyrazów, i że tysiące jest takich, których pod żadnym pozorem używać nie wolno. Do czego to prowadziło z punktu widzenia państwowego, tego nikt jeszcze nigdy nie wytłumaczył i nie wyrozumiał, nawet moja „excelencya“....

Po zniesieniu Namiestnictwa w Królestwie Polskiem, warszawski komitet cenzury przyłączono bezpośrednio do ministeryum spraw wewnętrznych i oddano go pod zarząd osobnego „departamentu prasy,“ istniejącego przy temże ministeryum. Składa się ten komitet obecnie z prezesa, dwóch kategoryj cenzorów: starszych i młodszych, oraz ze sporego zastępu urzędników manipulacyjnych. Starsi cenzorowie zasiadają na sesyach i tworzą właści-

wy komitet cenzury, rezydujący obecnie w prawem skrzydle pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej. Dawniej droga apelacyi była następująca: od cenzora do kuratora okręgu naukowego, a od tegoż do Namiestnika, jako do najwyższej i ostatniej instancyi. Teraz, jak mnie poinformowała moja „excelencya,“ od cenzora apelować można do komitetu, od komitetu do departamentu prasy, a ztamtąd wprost do ministra spraw wewnętrznych. Właściwie komitet cenzury powinien być li tylko od tego ministra zależnym. Wszystkie też nominacye przychodzą od niego za pośrednictwem departamentu prasy, ale drugą jakąś nieokreśloną władzą dla komitetu jest także jenerał-gubernator. Co tydzień prezes lub jego zastępca chodzi do Zamku z „dokładami,“ a co się tyczy skarg na prasę i umieszczane w niej wiadomości, to właściwie niema ani jednej władzy, któraby się nie czuła upoważnioną do nagabywania niemi bezpośrednio komitetu cenzury i jej prezesa. Odbiera on więc najpierw cyrkularze od departamentu prasy w Petersburgu, tyczące się ogólnych spraw dziennikarskich w Rosyi; to znów specyalne „bumagi“ z biura jenerał-gubernatora, zabraniające pisać o tej lub owej kwestyi; skargi od kuratora okręgu naukowego, od oberpolicmajstra i t. d. Słowem wszyscy tę cenzurę cenzurują i roszczą do niej pretensye. Jakiś *Kuryerek* napisze, mówiąc o pewnem zajściu, że to gust „prawdziwie pomarańczowy“ (brukowe wyrażenie war-

szawskie), wnet p. oberpolicmajster będzie się skarżyć, że cenzura puściła wyraźną aluzyę do policyi, bo ta nosi pomarańczowe wyłogi na kołnierzach mundurów. Ale po nad wszystkiemi skargami i kontrolami stoi jedna najwyższa i najgroźniejsza: żandarmi. Tych komitet cenzury boi się więcej, aniżeli wszystkich jenerał-gubernatorów, oberpolicmajstrów i Apuchtinów. Ci bowiem są właściwie obercenzorami wszystkich pism i samego komitetu i przed ich bacznem okiem nic się ukryć nie zdoła.

Stałych zasad i regulaminu niema, chociaż jest osobna ustawa cenzuralna. Ta mówi tylko w punkcie pierwszym, że nie wolno jest żadnemu dziennikowi, wychodzącemu w państwie rosyjskiem, podawać czegokolwiek o cesarzu i członkach domu panującego inaczej, niż w cytacyi z *Gońca urzędowego*; następnie, że nie wolno krytykować postępowania władz rządowych, występować nieprzyjaźnie przeciw religii prawosławnej, a w końcu nie wolno zamieszczać szczegółów spraw sądowych przed ukończeniem śledztwa i w jakiejkolwiek formie krytykować wyroków sądowych.

Oto wszystko, o czem mówi ustawa. W te zaś cztery punkta każdy cenzor wtłacza według własnego przekonania i widzimisię wszystko, co mu się żywnie podoba i co za stosowne uzna. Zasadniczo więc cenzura w Rosyi jest władzą nawskróś dyskrecyonalną, żadnemi przepisami nie ujętą, żadnym prawom niepodlegającą. Cenzorowi

wolno jest wszystkiego się domyślać i we wszystkiem dopatrywać się uchybienia względem przytoczonych powyżej czterech punktów kardynalnych. Jeśli więc cenzor zechce, może wymazać: „Dziś deszcz padał, a na jutro zapowiada się pogoda,“ i motywować swój rygor tem, że to aluzya polityczna do zmiany położenia kraju, które jest dziś złem, a jutro może być dobrem. Bywały wypadki, że wymazywano jeszcze niewinniejsze rzeczy, a mój towarzysz z wód opowiadał mi wiele bardzo ciekawych szczegółów o jakimś panu Kitycow czy Kitycynow, który przed paru laty był tu cenzorem, i ten w opisie balu: „cudownie wyglądała sala, przystrojona egzotycznemi kwiatami,“ wymazał wyraz c u d o w n i e, wychodząc z zasady, że *cudow niet* (cudów niema), a zatem nie należy o nich pisać... Inny znów cenzor w zdaniu, w którem następowało wyliczanie: Polacy, Hiszpanie, Niemcy, wielkie *P* przemienił na małe, a w nekrologu oficera z r. 1831, gdzie było powiedzianem, że czas taki a taki p r z e s i e d z i a ł w w i ę z i e n i u — trzy te wyrazy przemienił na: p r z e w a ł ę s a ł.

Ta zasadnicza dyskrecyonalność cenzury wytwarza jej niejednostajność; to, co puszczą w jednem piśmie, równocześnie w drugiem wymażą; to, co wczoraj uległo wykreśleniu, może za parę dni zyskać aprobatę tegoż samego cenzora. Zależy to wyłącznie od chwilowego humoru danej osobistości i jej subjektywnych zapatrywań. System i zasada nie ma z tem nic wspólnego. Ztąd też w ta-

kiej władzy, jak cenzura, wszystko znaczy: dobór jednostek i osobistość bezpośredniego zwierzchnika, prezesa. Jedynie praktykowana apelacya jest od cenzora do prezesa komitetu; prezes ów jest więc niejako regulatorem ich wszystkich i tą pieczęcią, która wybija ostateczny stempel. Prezes zaś ten taksamo nie kieruje się żadnemi zasadami i przepisami, ale zdaniem indywidualnem, czerpanem najczęściej w zrozumiałem zresztą z jego stanowiska życzeniu, aby wszystko szło cicho i spokojnie, aby uniknąć wszelkich skarg oraz „bumag.“

Duchów pokutujących pierwszego systemu jest jeszcze w warszawskim komitecie cenzury paru. Cenzura teatralna jest owiana zupełnie dawnemi zasadami. Według nich nazwisko Słowackiego nie może się ukazać na afiszu, bo autor *Balladyny* był „politycznie skompromitowany“ i żadna amnestya plamy tej z jego imienia nie zdjęła. Kiedy więc przed kilkunastu laty pani Modrzejewska wprowadziła na naszą scenę *Mazepę* — na afiszu pod tytułem stało: „Tragedya w 5 aktach wierszem przez J. S.“ — a króla przemieniono na „księcia“, i p. Rapacki przez cały wieczór deklamując wspaniały wiersz Juliusza, wszędzie, gdzie jest „korona“, mówi „mitra“... Te nieśmiertelne *J. S.* figurują wciąż jeszcze na afiszach teatralnych, skoro dają *Mazepę*, a autor owej „finezyi cenzuralnej“ szczyci się wielce swym pomysłem, chociaż wie doskonale, że w całym teatrze niema ani jednego,

którymby nie wiedział, że ów J. S., to po prostu Juliusz Słowacki, a „książę“, to Jan Kazimierz. W operze *Bal maskowy* księcia Ricardo zrobiono „hrabią“ — byłoby to bowiem zgorszeniem, aby panujący ginął z rąk spiskowców na scenie...

Wszystkie te kombinacye i finezye cenzuralne dadzą się chyba porównać do łamigłówek średniowiecznych pseudofilozofów, ośmieszanych i powtarzanych tylokrotnie. Bo co to państwu rosyjskiemu pomoże lub zaszkodzi, jeżeli na afiszu będzie zamiast J. S. — Słowacki, król — zamiast książę, a Ricardo zginie pod sztyletami nie jako książę, lecz jako hrabia; co to pomoże, jeśli tenże sam cenzor ze sztuki, w której jedna figura mówi: powróciłam wczoraj ze Lwowa, wymaże „ze Lwowa“, a wstawi „zdaleka“ i t. d. Niech mi kto pożytek podobnych śmieszności wykaże, a dam mu konia z rzędem. Ośmieszają się tylko ci, na rachunek których dokonywa się podobnych operacyj, a ośmieszanie takie jest iście niedźwiedzią usługą, za którą nie nagroda, lecz najsurowsza kara spotykać powinna. Kiedy w roku 1860 był zjazd w Warszawie cesarza Aleksandra II-go i rejenta pruskiego ks. Wilhelma, a dnia tego dawano w teatrze znany balet *Robert i Bertrand* czyli *Dwaj Złodzieje*, ówczesna cenzura wymazała na ów dzień z afisza *Dwaj Złodzieje*, aby tego nie uważano za aluzyę do przybyłych. I za podobną gorliwość nie pozbawiono owego „pełnego finezyi“

cenzora posady i nie zesłano go na Sybir jako winnego obrazy majestatu...

Lecz dość już tych przykładów, pilno mi bowiem przystąpić do charakterystyki tego dzisiejszego systemu cenzuralnego, który nazwałam postępowym, a powinnam była właściwie nazwać zreformowanym, stosownie do nowego panowania i nowej mody. Ażeby użyć trochę zbyt plastycznego porównania, system cenzuralny dzisiejszy wobec dawniejszego wygląda tak, jak żołnierz przybrany w narodową ruską rubaszkę i czapkę barankową wobec Mikołajewskiego sołdata w opiętym fraczku, łosiowych spodniach i bermycy na głowie. Sołdat pozostał sołdatem, zmieniono mu tylko strój. Dawniejszy był okropnie ciasny, sztywny i straszliwie niewygodny. Dzisiejsza „rubaszka“ swobodniejsza, szarawary wolniejsze i szersze, pierś nie tak ściśnięta jak w żelaznym gorsecie, ale za to zapach juchtu i dziegciu nieodłączny od nowej formy i kręcący w nosie od rana do wieczora. Tamten system gonił tylko za słowami, ten czepia się więcej myśli; tamtemu można było podać odezwę rewolucyjną, ułożoną tylko zgrabnie i umiejętnie, a przeszłaby niezawodnie, ten przestrzega jeno, aby w niczem nie objawiały się potępione przez państwo dążności i aby nie wyszło z druku nic jaskrawego, nic takiego, co pod jakimkolwiek względem mogłoby zwrócić uwagę i sprowadzić nawałnicę skarg oraz „bumag.“ Wynikałoby z tego, że system obecny jest łagodniejszy

i znośniejszy, aniżeli dawniejszy. Zapewne, w wielu razach tak, a ogólnie biorąc, cenzura dzisiejsza różni się od Mikołajewskiej olbrzymio, tylko znowu zależy to wszystko od indywidualności cenzora, od jego osobistego zapatrywania i uprzedzenia, od stosunku, w jakim pozostaje do pisma i jego redaktora, oraz od stopnia zaufania, jakie posiada u swego prezesa. I znowu jak we wszystkiem u nas, tak i tutaj kwestya osób wychodzi po nad kwestyę systemu — i szykana lub względność osobista zajmuje miejsce zasady i prawa.

Warszawski komitet cenzury składa się obecnie przeważnie z Rosyan. Nieprawosławnych cenzorów jest zaledwie kilku, katolika chyba ani jednego. Z najrozmaitszych warstw i dykasteryj rekrutują się ci cenzorowie. Byli tam i dymisyonowani pastorowie, i profesorowie gimnazyalni, i urzędnicy ministeryalni, są i dziś jeszcze dawniejsi komisarze włościańscy, urzędnicy skarbowi i t. d. Kwalifikacyj naukowych nie wymaga się żadnych chociaż gdzież bardziej, aniżeli tu, wymagać się ich powinno. Dzisiejszy prezes komitetu służył dawniej wojskowo i był pułkownikiem inżynieryi; inny znowu cenzor akcyżnikiem, trzeci kształcił się na geometrę... Słowem *Misch-Masch*, zupełne zbiegowisko z całego świata. Niedawno zaś do tego grona wstąpił na aplikanta a świeżo teraz otrzymał posadę młodszego cenzora najstarszy syn p. jenerał-gubernatora, młody Hurko. Jak na dziedzica imienia bohatera z pod Szypki, karye-

ra zaiste odpowiednia, a znak czasu bardzo wymowny!....

Prezesem komitetu cenzury jest p. Mikołaj Ryżow, ów właśnie dawniejszy inżynier i oficer jeneralnego sztabu... Poznałam go niedawno na *asamblu* w Zamku, a kiedy miałam raz do niego interes (szło o jakieś przedstawienie amatorskie w miasteczku prowincyonalnem), przyjął mnie, przyznać to muszę, grzecznie i zrobił wszystko z uprzejmością dobrze wychowanego człowieka, a zacięciem petersburskiego czynownika. Spełnia on swoje obowiązki z gorliwością godną lepszej sprawy. Surowy jest bardzo, Rosyanin zabity, dzisiejszemu Zamkowi wiernie oddany, w sercu nas bynajmniej nie chowa, boi się wielce wszelkich skarg i hałasów na prasę ze stron urzędowych, i jak tylko one przyjdą, mści się srodze na tych, co mu się sprawcami „nieprzyjemności,“ jaka go spotkała, wydają. Ma jednak przytem swoją urzędniczą uczciwość i jeżli powstanie z jakim dziennikiem awantura, lubi ją załatwić prędko, *en famille*, choćby najsroższemi karami, ale *extra muros* nie wywleka i sam do Petersburga nigdy nie denuncyuje; denuncyonowanych zaś niesłusznie nie bez pewnej odwagi broni. Jak na „chachoła“ z Małorosyi, to wiele, a przytem, jak słyszę ze wszystkich stron jest on.... finansowo nieprzystępnym i za pomocą argumentów brzęczących nic się u niego wskórać nie da. Jeżli wśród urzędujących tu Rosyan ma też nieprzyjaciół, to chyba

z tego jedynie powodu. Zresztą nieprzyjaciół tych nie potrzebuje się obawiać. U Maryi Andrejewny *persona grata*, może więc spokojnie zażywać swojej posady i być jej nietykalności pewnym...

Viceprezesem i zastępcą p. Ryżowa w razie jego wyjazdów jest obecnie p. Worszew, rzeczywisty radca stanu, człowiek podobno bardzo wykształcony i dobrze wychowany, cenzor surowy i twardy, ale nie fantastyk i nie „stupajka,“ jedyny może z rosyjskich cenzorów, znający na prawdę gruntownie język polski ze wszystkiemi odcieniami i rozumiejący rzeczywiście to co czyta W kołach dziennikarskich uważają go też, jak słyszę, za najniebezpieczniejszego, bo żadna, choćby najniewinniejsza aluzya uwagi jego nie ujdzie, każdą myśl przeniknie i o co chodzi, zrozumie. Nietak jednak inni. Wielu język polski zna bardzo powierzchownie, wymazują więc na prawo i na lewo, dlatego tylko, aby wymazać najniewinniejsze rzeczy, a najjaskrawsze puszczają. Kiedy zaś powstanie awantura, to winę całą walą na redaktora i na *podwoď* (podejście) z jego strony. I kiedy redaktor idzie na *isprawlenje,*[1]) znosi tysiączne

[1]) Rodzaj kary administracyjnej polegającej, jak mnie poinformowano, na tem, że artykuły nie są przedstawiane cenzorowi w korektach, ale w złamanych kolumnach, które następnie po ocenzurowaniu trzeba po kilka razy łamać na nowo, co naturalnie opóźnia wyjście dziennika o parę godzin i przynosi mu wielkie materyalne straty.

szykany, widzi, jak dana kwestya poruszaną i omawianą jest we wszystkich pismach, tylko nie w jego, jak każda najdrobniejsza nawet wiadomość jest obcinaną, skracaną, a cały dziennik wygryzany (techniczne wyrażenie dziennikarskie) t. j. z każdego artykułu, a raczej z każdego ustępu wymazują mu po kilka wierszy lub wyrazów, tak, że arkusz cenzuralny wraca z Miodowej ulicy do redakcyi pstrokaty jak biblijne jagnięta nieboszczyka Labana.

Już to samo wystarczy Ci na dowód, że miał wielką słuszność Blackstone, kiedy mówił: „Podciągnąć prasę pod ścieśniającą kontrolę cenzury, znaczy rzucać wszelką swobodę opinii na pastwę uprzedzeń jednego człowieka, który się staje sędzią arbitralnym i nieomylnym we wszystkich kwestyach spornych.“ Od samowoli jednostki zależy tu u nas byt pisma, jego rozwój, postęp, a zatem w głównej części i powodzenie. Ilu cenzorów, tyle metod cenzurowania, a co więcej, ile pism, tyle norm cenzuralnych. Inna zupełnie miara przykładana bywa do pism brukowych, poczytnych i popularnych; inna do dzienników politycznych; inna znowu do tygodników illustrowanych, miesięczników i prac naukowych, a przedewszystkiem inna dla teatru i prelekcyj publicznych. Mógłby morze wypić ten, coby chciał wszystkie te odcienia cenzuralne rozsegregować, w jakąś ogólną zasadę ująć i pewne granice postawić. Ani się to wszystko określić, ani zreasumować

nie da. Ażeby zaś z pomiędzy tylu Scyll i Charybd wypłynąć, ażeby wszystkie te podwodne skały ominąć i wydostać się w końcu na pełne morze, trzeba mieć zaiste bezdenną cierpliwość, doświadczenie i znajomość wszystkich tych kółek miejscowych, a sztuka redaktorska nabywa na naszym gruncie mnóstwo odrębnych zupełnie cech, tajemnic i właściwości, o których kierownicy waszych dzienników nie mogą mieć wyobrażenia, a które rzeczywiście trudnością istnienia i warunkami bytu podnoszą o wiele znaczenie i względną wartość prasy warszawskiej.

Kiedy się ma o tej prasie mówić, kiedy się ma dobre jej strony podnosić, a ujemne wskazywać, to nie godzi się przedewszystkiem o tym najważniejszym aksyomacie zapominać, że w tak ciężkich warunkach, jak nasze, w takiem położeniu, jak obecne, wśród tylu trudności, przeszkód i zawad sam fakt istnienia i rozwoju tej prasy dowodzi o wielkiej jej żywotności i istotnych zasług tych, co się podobnie uciążliwej i niewdzięcznej roboty chwytają, nie zakładając rąk i nie zrażając się przeciwnościami. Niełatwą jest wogóle egzystencya pism polskich, zwłaszcza tych, co z drogi uczciwej nie schodzą i w spekulacyjnym brudzie nie toną; niełatwą także i u was, wiem o tem doskonale, ale bądź co bądź warunki, na jakich wszystko, co mieni się być dziennikarstwem i literaturą, tutaj polega, ów rygor cenzuralny, owa zapora rządowa, jeśli błędów i wad nie

umniejsza i winy nie łagodzi, to w każdym razie zaletom i zasługom większego blasku dodaje i tem cenniejszemi je czyni.

To powiedziawszy, mogę teraz spokojnie przejść do bardziej szczegółowych uwag nad prasą warszawską i różnemi jej odcieniami, a wierna metodzie, stosowanej w poprzednich listach, starać się będę zapoznać Cię moja droga przedewszystkiem z głównemi osobistościami naszego dziennikarskiego i literackiego świata, dodając przy każdej z nich charakterystykę dziennika lub wydawnictwa, na którem wybijają swe piętno i któremi kierują.

Zaczynam od najstarszej w Polsce *Gazety Warszawskiej*. Redaktorem jej, duszą, głównym a prawie jedynym współpracownikiem jest Józef Kenig. Właściwie *Gazeta* to on, a on to *Gazeta* Nieodłączne to od siebie pojęcia. Jak niema Keniga bez *Gazety* lub po za nią, tak również chyba nie byłoby *Gazety* bez niego. Dobre to może dla redaktora, ale złe dla dziennika, który nie powinien się nigdy koncentrować w jednym człowieku. Całe życie stał on sam, sił młodych około siebie nie skupiał, następców nie kształcił. Zejdzie też z czasem (oby jak najpóźniej) ze stanowiska, jak ów król bezdzietny, co zamyka dynastyę. A szkoda, bo dynastya to dzielna i jędrna, i dobrego w niej wiele. Wysoki, o pięknej siwej brodzie, majestatycznością przypominający poważnego biskupa ze Wschodu, pomimo wieku dziwnie jeszcze rzeźki,

tęgi i pracowity, Józef Kenig jest jedną z najpopularniejszych postaci Warszawy. Popularność ta jednak jest nietylko lokalna. Kenig nigdy artykułów swoich nie podpisywał, a jednak zna go kraj cały. Dawniej, kiedy społeczeństwo nasze było bardziej rozpolitykowane i od wielkich zawikłań europejskich oczekiwało ratunku i wybawienia, *Gazeta* była istną wyrocznią polityczną przeciętnego mieszkańca Królestwa. Skoro Kenig napisał, że będzie wojna, wierzono w nią niezbicie; wszystkie jego proroctwa brano za dobrą monetę, a sądom nieograniczonego udzielano kredytu. *Gazeta* miewała i 7,000 prenumeratorów, a Kenig był przez nią prawdziwym potentatem opinii. Później zmieniło się to znacznie. Do dziś jednak zachował Kenig, w starszej zwłaszcza generacyi, pewien wyjątkowy urok, kredytu ma jeszcze dużo, a nie brak mu i fanatycznych admiratorów, tylko że ci admiratorowie i abonenci wymierają, nowych nie przybywa już wielu. Zmieniły się stosunki i potrzeby czytelników. Politykowanie *in partibus* przestało być jedyną strawą społeczeństwa. Kenig pozostał trochę w tyle... Niemniej jednak nie przestał być pierwszorzędną w naszej prasie postacią.

Jeden z najwytworniejszych u nas znawców teatru powiedział kiedyś o Żółkowskim, że „byłby to rzeczywiście wielki aktor, gdyby grywał wielki repertoar“. Zdanie to da się doskonale zastosować do Józefa Keniga. Byłby on istotnie

znakomitym dziennikarzem politycznym, gdyby dziennikarstwo polityczne w wielkim stylu u nas istniało. Niema go, być nie mogło i nie może, więc i Kenig jest wybornym sprawozdawcą politycznym, ale dziennikarzem istotnym, tym, co nietylko pisze, lecz działa, nie jest, bo być nim nie mógł ani on, ani żaden choćby najgienialniejszy w naszych warunkach. Łatwość pisania i pracy wielka, język poprawny, piękny, styl barwny, umysł żywy, oryentujący się dobrze i prędko — nie wolny jednak od uprzedzeń, zdań powziętych *a priori* i pewnej dozy doktryneryzmu; oczytanie wielkie i prowadzone systematycznie w jednym kierunku; wykształcenie polityczne czysto teoretyczne, książkowe, polegające nie na żywej obserwacyi i praktyce, ale na pilnej, choć jednostronnej lekturze. Żadnego z tych społeczeństw, które od lat tylu sądzi, dokładnie nie zna, zbliska mu się nie przypatrzył, rozwoju jego politycznego na uczynku nie studyował. Wszystko więc, co nam daje, jest świetną często przeróbką, przetrawioną długiem doświadczeniem i wyrobieniem — ale zawsze tylko przeróbką. Ze znakomitą istotnie intuicyą, zręcznością i talentem umiał się zastosować do warunków cenzuralnych i dojść w nich do idealnej niemal wprawy i jasnego wypowiadania swych myśli i oddziaływania na czytelników. Główna to jego cecha i pod tym względem może on służyć już nie za wzór, ale za typ. Jest to za-

gdyby
nas

pewne wiele, w naszy
ale nie wystarcza jes
dnego dziennikarza i
skim, tak i w nim w
którego okoliczności
talentu. Skala to ob
Keniga musiał łama
pisać, aniżeli co nap
miejsce, przewaga te
Odcięty od wielkiego
czony do przeżuwani
macyą nigdy chyba
o każdej sprawie mu
abstrakcyjnego, ale
ten lub ów przedmi
położenia punkta. Zt
zawsze pewne sympa
ztąd ten jego liberal
starej daty, co prawo
dział, ztąd te jego p
bunów Gambettów, G
jedno tylko: ich has
hasło w praktyce sto
literat polityczny, aniż
zawsze i jest dziś jesz
sze doświadczenia i za
żnych dawniejszych pre
łość młodzieńczych idea
szlachetna i ładna, zaci
inąd wzrok i sądy jego

kowym liberalizmem, dziś już zupełnie przestarzałym, który obniża wartość jego politycznych sprawozdań, wykrzywia je i paczy.

Tu także geneza zasadniczej niekonsekwencyi Keniga. W sprawach wewnętrznych krajowych on i *Gazeta* były i są pismem konserwatywnem, jeśli pod konserwatyzmem mamy rozumieć poszanowanie dla przeszłości, połączone z rozumnem uwzględnieniem teraźniejszości. Kenig nie skalał nigdy swego pióra napaściami na Kościół i Stolicę Apostolską, odzywał się zawsze z wielkim szacunkiem o religii katolickiej i jej przedstawicielach, a z wyjątkiem korespondencyj rzymskich, płynących z znanego wam dobrze, a osławionego źródła, nie spotykałam w *Gazecie* nigdy (a znam ją od lat przeszło czterdziestu) niczego, coby bezpośrednio miało być antikatolickiem. Prawda, że afirmacyi szczerej i jawnej nie było nigdy, ale nie było też i negacyi. Pod tym względem Kenig jest zapewne katolikiem więcej z poczucia interesu narodowego, aniżeli z dogmatycznego przekonania. Stanowisko jego i *Gazety* nie płynęło nigdy, jak to ma miejsce z pewnemi dziennikami, z jakichś względów na popularność i prenumeratę — broń Boże — ale z głębokiego poczucia, że taka droga jest jedynie zdrową, pewną i naszemu położeniu odpowiednią. Ale kiedy idzie o Francyę lub Włochy, kiedy przychodzi mu z kolei pisać n. p. o terorystycznych zapędach rzeczypospolitej francuskiej i jej z Kościołem walce, naówczas za-

pomina o swem domowem wyznaniu wiary i przybiera ton, przypominający najskrajniejsze nieraz dzienniki liberalne z nad Sekwany i z nad Dunaju. Ginie wówczas jego miara, niknie bystrość sądu, młodzieńcza predylekcya bierze górę i Kenig, który zawsze po nad szablon wychodzi, traci swą oryginalność i wydobywa z zapasu swych, więcej może wspomnień, niż przekonań politycznych zużytą już i wypłowiałą miarę doktrynerskich 1848 roku frazesów liberalnych. To wszystko zaś składa się na brak konsekwencyi w Kenigu i w *Gazecie*, na dwulicowość polityki, innej *intra muros* a innej *extra*, na wielką luźność w korespondencyach, które najwięcej w *Gazecie* broją, a z których często szkodliwemi, z gruntu i z umysłu (naturalnie bez wiedzy redaktora) błędnemi są listy z Galicyi. Umieszczanie takich listów, jak n. p. ów o mniemanych rozruchach chłopskich i wogóle całe nieraz bardzo bałamutne stanowisko *Gazety* wobec spraw galicyjskich pochodzi ztąd właśnie, że Kenig boi się jak ognia podejrzenia o stronną życzliwość dla t. z. u was Stańczyków i wskutek tego wpada w pułapkę różnych swych korespondentów i staje się nieraz mimowoli poplecznikiem i sojusznikiem tych żywiołów waszych, które w gruncie lekceważy i *praeter propter* warcholstwo ich potępia. I to właśnie mam mu za złe, bo niepodobna, aby wykształcenie rozumu a wreszcie zdrowy zmysł dziennikarski nie ciągnęły go raczej w przeciwną stronę

i nie pozwalały widzieć istotnej prawdy, tylko uprzedzenie wzrok ten doświadczony i wytrawny zaćmiewa, a obawa afirmacyi po stronie ludzi, których przezwano arystokratami i oligarchami, w drugą ostateczność rzuca. Są tacy, którzy wskutek tego właśnie zarzucają Kenigowi brak zmysłu politycznego. Może to za surowo. On ten zmysł ma, tylko nie dość wyrobiony i zahartowany, a przedewszystkiem skrępowany długoletnią do zapałów dla opozycyi nawyczką oraz obawą utraty tego, co mniema być samodzielnością i niezależnością zdania, a co rzuca nieraz sąd jego na pastwę chwilowych rozdrażnień, niechęci i uprzedzeń i wiecznej troski o to, aby nie być posądzonym, iż coś lub głównie ktoś zaimponować mu zdołał.

W sprawach krajowych, lokalnych rzadko osobiście głos zabiera, ale czyni to zawsze w sposób bardzo gruntowny, istotnie poważny, nie dyletancki, a więc przez to samo nie pospolity. O najsuchszych kwestyach pisać zwykł barwnie, zajmująco i z tą czystością oraz lekkością stylu, która najbardziej nawet specyalnym jego studyom, jak n. p. przed paru laty „o budżecie miasta Warszawy,“ lub „administracyi finansowej teatru“ nadaje tę przejrzystość, jaka cechowała dawniejsze referaty urzędowe Królestwa za t. z. polskich rządów. Drugą specyalnością Keniga obok polityki jest — teatr. Najstarszy to z naszych krytyków teatralnych, a oni sami przyznają mu je-

dnogłośnie palmę pierwszeństwa. Barwność i lekkość pióra łączy ze znajomością teatru, ale głównie sceny warszawskiej, na którą patrzy od lat tylu tak, iż się nieco w nią zapatrzył, co czuć nieraz w jego recenzyach; łączyły go z nią węzły osobiste, miał bowiem za żonę znaną artystkę Palińską. Recenzye jego bywają wolne od tonu mentorskiego, a względnie sprawiedliwe dla autorów i aktorów. Zażywają też one wielkiej powagi w Warszawie, nietyle jednak może u publiczności, jak w świecie artystycznym i literackim.

W jednej z komedyj Barriéra, jakaś figura pyta bohatera:

— Co robisz? czem jesteś?

— *Je ne fais rien, je fais les autres: je suis journaliste.*

Zdanie to bardzo prawdziwe, nie da się jednak do Keniga zastosować. Nikogo on nie zrobił, do przyznania talentu a nawet zdolności drugim trudnym był zawsze, nietyle przecież, aby istotnych i uznanych ocenić nie umiał, zawsze jednak raczej po za *Gazetą*, aniżeli w niej. Małostkowym nie jest i pod tym względem przerasta innych o całą głowę. Zarozumiały, ale nie pyszałkowaty, ma swój bardzo zabawny a odrębny sposób wyrażania się o ludziach i rzeczach. W pożyciu łatwy, *bon camarade*, lubi dużo mówić a mało słuchać, a jeżeli za młodu używał na salonach tutejszych opinii bardzo miłego *causeur*, to teraz stał się raczej tem, czem jakiś dowcipny fejletonista

francuski nazwał wogóle dziennik dzisiejszy: *un Gargantua de la causerie.* Bardzo światowy i dziś jeszcze towarzystwa pięknych pań nie unika, w kołach koleżeńskich używa wielkiej powagi i zachowania, ale dla bezwzględności, z jaką nieraz sądy swe wydaje, dużo niechętnych miewa.

Cytowano niejedną charakteryzującą go doskonale anegdotę. Ktoś napisał bezimiennie książkę, która wiele narobiła wrzawy. Kenig spotkawszy owego domniemanego w opinii publicznej autora, zaczepia go:

— Wiesz, wpadła mi w ręce owa broszura.

— No i cóż, pyta tamten, chciwy pochwał takiej jak Kenig powagi..

— Przerzuciłem początek, uważasz, powiem ci, bardzo głupi, środka nie czytałem, *a comme de raison* i końca także, — ale powiadają, żeś to ty napisał...

Możesz sobie wyobrazić, jak gorąco delinkwent wypierał się swego autorstwa.

Nie sądź jednak, aby Kenig w ten sposób prowadził dziennikarską polemikę. Owszem w piśmie jest on bardzo wytwornym, o ton przyzwoity niezmiernie dbałym, a do polemiki wogóle ma wstręt zasadniczy. W głośnej swego czasu walce z pozytywistami osobistego udziału nie brał, więcej może przez lekceważenie, niż oziębłość. Do technicznych reform dziennikarskich nie skory, za efektami gonić nie lubi, w telegramy jeszcze nie bardzo wierzy, o błyskawiczny pośpiech nie dba.

Jego *Gazeta* wygląda też zewnętrznie, jak dama ubrana jeszcze w krynolinę i mantylę.

Jakim byłby Kenig na wielkiej arenie życia politycznego, trudno przesądzać. Zdaje mi się jednak, że należałby chyba w ciągłej obawie o niezależność swego zdania do „dzikich“ i szedłby sam w pojedynkę, chociaż przyznają mu, że ilekroć razy stawały na porządku dziennym kwestye ogólne istotnej wagi, solidarnie się trzymał i cudzą inicyatywą nie gardził. Namiętnym nie jest i do opozycyi *quand même* nakłonićby się nigdy nie dał. O popularność nie dba, uznania nie łaknie, rozgłosu i reklamy nie żąda. W usposobieniu jego i naturze są punkta tak żywe, gorące i ukochane, że oneby ostatecznie w każdej sprawie krajowej stanowisko jego regulowały i wszystkie nawyknienia oraz uprzedzenia przezwyciężały, a jeżeli prawdziwem jest wielce to, co powiedział jakiś Francuz, że *le journalisme est le plus vil des métiers quand'il n'en est pas le plus honorable,* to Kenig może sobie powinszować, że obrał najzaszczytniejszy z zawodów.

Prócz Keniga wybitniejszą siłą przywiązaną do *Gazety Warsz.* jest Wincenty Korotyński, przyjaciel Syrokomli i wydawca dzieł jego, stary brodaty Litwin, jeden z najlepiej piszących u nas po polsku, literatury ojczystej wielki znawca. Niedość to może uznany i oceniony człowiek, cichej pracy, licznych zasług, wielkich zdolności, zmarnowanych i zagrzebanych w codziennym deptaku

dziennikarskim, który go coraz bardziej zużywa, a do którego i do *Gazety* przyrósł całą duszą. Szkoda zaś wielka i dziś już zapewne niepowrotna, że Moloch gazeciarski pochłonął zdolność istotną, która właściwie temperamentu dziennikarskiego nie miała nigdy, ale która na poważniejszej literackiej niwie mogłaby pozostawić już nie dorywcze, porozrzucane po rozmaitych pismach i tygodnikach szkice, ale studya literackie niepośledniej wartości.

Wydawcą i właścicielem *Gazety Warsz.* jest p. Stanisław Lesznowski, syn Ludwika a synowiec Antoniego, głośnego niegdyś redaktora, a właściwego twórcy i organizatora dzisiejszej *Gazety*.

Redaktorem najstarszego po *Gazecie*, a najbardziej rozpowszechnionego ze wszystkich pism *Kuryera Warszawskiego*, jest Wacław Szymanowski. Typowa to postać warszawska, tak znana i popularna, że go najczęściej nieinaczej, jak „Wackiem" nazywają. Nietylko wyrósł on na naszym bruku, ale zrósł się z nim tak, że można sobie wyobrazić Szymanowskiego bez *Kuryera* i Warszawy, ale Warszawy literackiej oczywiście bez niego — nie. Niski, szpakowaty, o wyrazie twarzy trochę sardonicznym, ale miłym i pociągającym, Szymanowski, dawniej zwłaszcza, kiedy był młodszy i zdrowszy, nie chodził po Warszawie, ale raczej w niej celebrował. Gdzie tylko odbywało się jakieś liczniejsze zebranie publiczne, tam musiał być koniecznie, nie z potrzeby lub amatorstwa,

lecz w przekonaniu, że to jego obowiązek. W angielskim *makintoszu*, z laską Paracelsa, fioletową wstążeczką Akademii francuskiej w dziurce od guzika, otoczony jakby akolitami całym sztabem reporterów kuryerowych, celebrował w teatrze, na koncertach, odczytach, obiadach składkowych, fetach literackich, jubileuszach, pogrzebach, dawniej nawet przy pożarach. Każdy oswoił się z tą postacią i każdy jej szukał. Nikt go się nie bał, ale wszyscy potrzebowali. Opiewany wierszem, prozą, rysowany setkami razy po rozmaitych pismach humorystycznych, mógłby, jak to czyni podobno ks. Bismark, utworzyć sobie kolekcyę własnych karykatur i sylwetek. Anegdot o nim kursuje setki, dowcipów tysiące, każdą jego oryginalność i typowość podniesiono do potęgi, z much powstawały wielbłądy, z plotek legendy. Wszyscy wiedzą jak się ubiera, jak grywa w szachy, jak śpiewa, pisze, mówi — słowem, żyje on tu pod kloszem. On także słynie z opowiadania anegdot, a historyczną stała się często przez niego przytaczana o rękawiczkach Bartoszewicza, na którą zawsze wyciągał go, ile razy się tu zjawił, wasz tak dowcipny i wesoły Anczyc.

Nie sądź jednak, aby ta popularność była ujemną lub uzurpowaną. Broń Boże! Jak go wszyscy znają, tak go i wszyscy kochają i szanują. Szacunek to zaś tem większy, a opinia tem cenniejszą, że powszechna i szczera, a najzupełniej zasłużona. Najzacniejszy to człowiek pod słońcem,

jak łza czysty, jak kryształ przejrzysty, serca złotego, a uczynności wielkiej. Na stanowisku swojem wiele bardzo zasług położył, a w tutejszym świecie dziennikarskim jest niewątpliwie jedną z najdodatniejszych postaci.

Redaktor więcej *de nomine* niż *de facto*, dziennikarzem bynajmniej z zawodu i powołania nie był nigdy. Wacław Szymanowski, to przedewszystkiem i jedynie — literat. Pracował on zawsze na najrozmaitszych polach, żadnego za swą specyalność nie obierając. Poeta więcej może kunsztowny, niż natchniony; dramaturg starego, Ponsardowskiego pokroju, przez lat wiele pisywał fejletony w *Tygodniku illustrowanym*, żywe, barwne, lekkością swą francuską nowe i oryginalne; w przerwach wydawał książki dla dzieci, opowiadania, szkice historyczne, nawet przedmowy do „Przewodników po Warszawie“, aż nareszcie przed kilku laty został redaktorem i zawód ten najbardziej ukochał.

Kiedy Chateaubrianda zawezwano raz jako świadka do sądu, zapytany o stan swój i powołanie, odpowiedział:

— *Journaliste.*

Poszła w kąt *Athalia* i *Renée*, poszła cała karyera polityczna i sława poetycka, został tylko— dziennikarz.

Podobnie dzieje się i z Wacławem Szymanowskim. Ogół zna go nie jako poetę, którego rodzaj talentu jest przecież wybitnym i wdzięcznym; nie

jako dramaturga, nie jako jednego z najbieglejszych znawców tajemnic języka naszego, ale jako redaktora *Kuryerka* i pod tym względem wielka dzieje mu się krzywda. Istnieje bowiem pole, na którem jest on istotnie znakomitym. Polem tem są jego przekłady wierszem. Te stawiają go obok Odyńca, a nawet Siemieńskiego. Towarzysz młodych lat Henryka Rzewuskiego, wychowany wytwornie, młodość swą spędził wśród najpierwszych salonów literackich i w wirze ówczesnej cyganeryi warszawskiej. Po pierwszych została mu wielka znajomość epoki i świata, druga dała mu ten zapał starej szkoły, cześć dla poezyi i miłość ideału, której ani wiek nie stępił, ani przeciwności nie zmroziły. Stan jego literackiej służby zaszczytny i wzorowy, a w dziennikarskiej złożył bądź co bądź dowody wielkiej zawsze u redaktorów cnoty: umiejętnego skupienia około siebie sił nowych, młodych i zdolnych. Nie wiem, czy wielu jest w Warszawie piszących, którzyby od czasu redaktorstwa Szymanowskiego przez łamy *Kuryera* nie przeszli.

Na niebywałe w Polsce powodzenie *Kuryera* (liczył on chwilowo przeszło 20 tysięcy prenumeratorów) złożyło się wiele okoliczności, ale faktem jest, że przyszło ono pod redakcyą Szymanowskiego. Dużo w tem może szczęścia i cudzej zasługi, ale *Kuryer* niewątpliwie przyczynił się bardzo do zreformowania pod względem technicznym całej naszej prasy i pchnął ją na nowe tory. On

pierwszy wprowadził oryginalne telegramy, specyalnych korespondentów, fejleton swój zamknął dla tłumaczeń, nakładów nie szczędził i przez konkurencyę wszystkich ożywił. Tendencyę miał zawsze uczciwą i zacną, poczytności swej na złe nigdy nie nadużył, osobistym celom, interesom względom nie wysługiwał się. Jak to wiele, dość pomyśleć, coby się stało, gdyby było inaczej. Takie jak *Kuryer* pismo w rękach nietyle co dzisiejsze uczciwych, stałoby się plagą, gorszą od wszystkich egipskich, *le plus vil des mêtiers*. Można mu za to darować wszystkie jego słabości, można przebaczyć płytkość w sądach, zwłaszcza, kiedy idzie o sprawy ekonomiczne, i pozę na *Timesa*, i dziwnie czasem śmieszną napuszystość artykułów politycznych, i brak jednolitości redakcyjnej, i pretensyę do pierwszych w kraju skrzypiec, i wiele innych usterek. Ostatecznie nie są one szkodliwe, jeno zabawne, tak samo, jak zabawną tylko była owa włóczęga Szymanowskiego po kongresach międzynarodowych i w dobrej wierze podjęta reprezentacya literatury polskiej. Oburzano się na nią wielce w swoim czasie, ale ja osobiście nie mam mu tego za złe jak nie mam i owego upojenia powodzeniami, branego przez złośliwych za zarozumiałość, nieprzechodzącą jednak nigdy w arogancyę. Wolno każdemu wierzyć, że jest wielkim, tylko nie wolno tej wielkości swojej sztucznie i podstępnie narzucać, a tego Szymanowski nie robił nigdy. Pozował, ale przed

tymi tylko, którzy chcieli dobrowolnie i bezpłatnie patrzeć. Patrzyli zaś najczęściej dlatego, że Szymanowski zawsze i wszędzie jest sympatyczny. Najlepiej zaś charakteryzuje to nieszkodliwe upojenie się niezwykłem rzeczywiście u nas powodzeniem *Kuryera*, fakt, który mi przed kilku opowiadano laty. Ktoś z Krakowian zapraszał go bardzo, aby przybył do podwawelskiego grodu.

— Dobrze, odrzekł na pół żartem nasz „Wacek“, ale zupełnie *incognito*, żadnych owacyj dla redaktora *Kuryera*, boby to go mogło skompromitować.

Czasami to samo powodzenie każe mu mniemać, że *Kuryer*, to kraj cały i publiczna opinia. Kiedy raz spotkał go konsul niemiecki Rechemberg w ogrodzie Saskim i dłuższy czas o najpotoczniejszych rozmawiał z nim rzeczach, Szymanowski wpadł do redakcyi i pod sekretem wyznał swym zaufanym:

— Musi się zanosić na coś wielkiego, Rechemberg był dla mnie bardzo grzeczny...

W walce z pozytywistami i on, i *Kuryer* brali bardzo gorący udział, a Szymanowski osobiście wiele za to wycierpiał — i był przez dłuższy czas istny *bête noire* młodej prasy. Nie wpłynęło to jednak bynajmniej ani na jego odwagę, ani na gotowość do dalszej walki. Przodował jej zawsze z młodzieńczym zapałem.

Człowiek przeważnie serca, do spraw publicznych, w których przez samo stanowisko swoje jest nieuniknionym, przynosi zawsze gotowość do

usług, najlepszą wiarę i chęci i te właśnie czynią go pożytecznym, w wielu razach zasłużonym i powszechnego szacunku oraz uznania godnym.

Jednym z tych współpracowników *Kuryera, à qui il ne faut pas déplaire* — jak mawiał Saint-Simon o faworytach Ludwika XIV — jest Władysław Bogusławski. Dzierży on w *Kuryerze* berło krytyki teatralnej i artystycznej. Najwięcej ze wszystkich recenzentów czytany, jest też i najbardziej słuchanym (chociaż nie zawsze przez publiczność), nie chcę rozstrzygać, czy więcej na mocy pewnego teroryzmu, który wszedł już w obyczaj warszawski, czy też skutkiem przyznawanego mu talentu. Od niego zależy los autorów i artystów, on istotnie rządzi teatrem, a nawet p. Gudowskim, chociaż, co najzabawniejsze, nasz prezes-senator wcale się tego nie domyśla i przeżegnałby się na tę wiadomość; o nim to właśnie daleko słuszniej aniżeli o Kenigu powiedzieć można: *qu'il fait les autres,* chociaż niestety, co zresztą jest łatwiejszem — *il en a defait plus qu'il n' en a fait.* Wnuk Wojciecha, syn Stanisława, żartobliwie Bogusławskim III nazwany, ma dla teatru dziedziczny zapał i zamiłowanie, przechodzące często w fanatyzm, skutkiem którego traci nieraz perspektywę i miarę co do ważności i znaczenia teatru wogóle. Wychowaniec Heidelberskiego uniwersytetu, autor bardzo cennego i poważnego o *Fauście* studyum, napisał przed paru laty obszerną a niepospolitą o scenie warszawskiej książkę.

Scenę zna, ale doskonale tylko warszawską, choć zna wszystkie wybitniejsze europejskie, smak ma niby bardzo wydelikacony, poczucia estetyczne czułe aż do maniery, styl barwny, język piękny, a jeśli nie mogę mu przyznać absolutnej bezstronności i najsprawiedliwszym z krytyków nie nazwę, to dla tej prostej przyczyny, że wogóle w bezstronność krytyki teatralnej zwłaszcza w Warszawie nie wierzę. Zarzucają mu, że drapuje się nieraz w katońską togę, że przykłada za wielką miarę do naszych małych rzeczy, staje się niepotrzebnie drobiazgowym i nie od predylekcyi, ale raczej od uprzedzeń wolnym nie jest — wreszcie, że — *journaliste il est quelquefois journalier.*

Temu ostatniemu jednak nie dziwię się zupełnie, lecz przeciwnie podziwiam raczej człowieka, który jest w stanie tyle lat o teatrze pisać, mieć z nim stosunki, w atmosferze jego żyć i pomimo tego wszelkich iluzyj nie stracić i — wytrzymać. Dowodzi to wielkiego hartu nerwów i wytrwałości. Pisarz to zdolny i poważny, człowiek mający wśród krytykowanych i krytykujących niechęci i zawiści dużo i więcej osobistego szacunku, aniżeli uznania.

Fejletonista *Kuryera Warsz.* Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) był w swoim czasie bardzo popularnym. Jego kroniki odznaczały się humorem często trywialnym, ale nigdy dotkliwym i osobistym. Drwił on z rzeczy, nie z ludzi, nad osobistościami się nie pastwił, pod tym względem

stał wyżej od Lama. Werwą jednak satyryczną i ostrością dowcipu nigdy mu nie dorównywał. Pięknego poranku jednak powodzenie humorysty zaczęło mu się przykrzyć, postanowił więc zostać ekonomistą, socyologiem, lekarzem społecznym i przemienił fejleton *Kuryera* w katedrę a raczej na kazalnicę. Odtąd stał się wprawdzie bardzo oryginalnym, ale za to i bardzo nudnym, a kroniki jego zaczęły tracić na poczytności a zatem i wpływie. Nie zraża go to jednak i brnie dalej. Dyletantyzm, oto główna jego jako publicysty cecha. Zacietrzewiony w swych szczerze i uczciwie demokratycznych teoryach, z własnego więcej może dziwacznego niż oryginalnego punktu widzenia sądzi wszystko: ekonomię, sztuki piękne, poezyę, teatr, kwestye społeczne, przemysł, a przedewszystkiem — rolnictwo. Powiedział on sobie, że będzie reformatorem i moralistą naszych ziemian, pali też co tydzień kazania, które z początku bawiły naiwną nieznajomością wsi i elementarnych warunków gospodarstwa, później zaczęły monotonnością nudzić, a w końcu pretensyonalnością drażnić. Dziś ani bawią, ani drażnią, ani nudzą — zobojętniały zupełnie. Jako kronikarz, Prus zeszedł na drugi plan, żyje resztkami dawnego wzięcia.

Oryginalny to typ, w gruncie bardzo sympatyczny, skromny, niegoniący za reklamą, osobiście przysłowiowo zacny i wiary najlepszej.

Dzieje się z nim to, co z pewnym znanym u nas skrzypkiem. Znakomity artysta, ale tuzinkowy literat, o sławę wirtuozowską nie dbał, ale do literackiej miał wielką pretensyę. Tak samo z Prusem. Z zawodu jest on właściwie nowelistą, talent ma jeźli nie znakomity, to w każdym razie wybitny i oryginalny, stokroć wyższy, aniżeli wszystkie pp. Marrenowe, Hajoty, Kościałkowskie, Ostoje i t. d., we własnem jednak przekonaniu jest daleko większym ekonomistą, aniżeli powieściopisarzem. Zamiast poświęcić się wyłącznie beletrystyce, debiutuje wciąż na polu najfantastyczniejszych projektów i najniepraktyczniejszych rad. I rzecz dziwna, ten sam człowiek, który w nowelkach ma i zmysł spostrzegawczy, i poezyi dużo, i poczucia piękna sporo — w krytycznych swych ćwiczeniach mija się z tem wszystkiem i staje się nie oryginalnym, ale oryginałem. Wygląda to czasem tak monstrualnie, że ma się ochotę posądzić go o umyślną na oryginała pozę. Tak jednak nie jest. W głębiej swej naiwności Prus wszystko, cokolwiek robi, robi szczerze i z głębokiego przekonania. To go po części usprawiedliwia, ale niemniej czyni niebezpiecznym, a często nawet szkodliwym. Zdaje mu się, że jest rzecznikiem praktycznego rozsądku, a właśnie tej praktyczności wszystkim jego projektom i radom brak; lubi opierać się na cyfrach, ale najfałszywsze z tych cyfr wyciąga wnioski, chwyta szczegóły, ale całości ogarnąć nie potrafi. Impresyonista, samouk, bez wykształ-

cenia literackiego, z doktryneryzmem, który przechodzi coraz częściej w manię, Prus pozostaje zawsze pod wpływem ostatniéj przeczytanej książki. Niech w tej książce uderzy go coś, co odpowiada jego formułkom, wnet ogłasza to światu jako wynalazek i jako generalne na wszystko *panacaeum*, nie bacząc i nie wiedząc, że *schon alles da gewesen*, a nie mając na tyle nawet w sobie fałszu, aby ową niewiadomość zręcznie pokryć i z nią się tak naiwnie nie zdradzać. Osobiście niezmiernie sympatyczny, w kołach koleżeńskich wielkiego zażywa miru i należy, jak mnie zapewniają jego znajomi, do tych, na których można się gniewać, zżymać, nawet potępiać — ale trzeba koniecznie szanować i kochać.

Wśród licznego grona współpracowników *Kuryera* wybitniejszą siłą jest p. Teodor Jeske-Choiński, powieściopisarz zanadto jeszcze surowy i niewyrobiony, dziennikarz wszakże nie bez temperamentu i zdolności, ale i zarozumiałości, oraz p. Julian Łętowski, autor kilku nowelek, które w nawale innych odróżniają się trafną obserwacyą i poprawną formą.
Sekretarzem redakcyi jest obecnie po p. Tadeuszu Czapelskim, którego sprytowi i ruchliwości *Kuryer* wiele ze swego kolosalnego rozwoju zawdzięcza, p. Władysław Sabowski (Wołody Skiba), zbyt wam w Galicyi znany, abym miała się o nim dłużej rozpisywać, a jak dobrze wiecie, odznaczający się rzadką w Polsce konsekwencyą w pracowitości.

Obecnie wydawca Franciszek [illegible], redaktor Antoni [illegible] /Adam [illegible] właściciel Salomon Löwenthal, z tąd nowa dyrekcya i [illegible] [illegible] [illegible]

Kuryer Warszawski należy w jednej połowie do firmy Gebethnera i Wolffa, w drugiej zaś do W. Szymanowskiego, w jednej drobnej części do Bogusławskiego. Liczy on obecnie około 14.000 abonentów i wychodzi dwa razy dziennie.

Na czele *Gazety Polskiej* stoi Edward Leo, prawnik z zawodu, jeden z pierwszych mecenasów, którzy po reformie sądowej podali się do dymisyi. Edward Leo choć od lat najmłodszych na niwę dziennikarską zaglądał, dziennikarzem nie jest. Sam pisuje mało i to w kwestyach bardzo specyalnych, suchych; ma jednak wielki dar jednoczenia około siebie talentów i ludzi — i większe jeszcze do nich szczęście. On to pierwszy umiał się poznać na Sienkiewiczu i właściwie go zużytkować, a zbyt to ciekawy ze względu na autora „Ogniem i mieczem" szczegół, abym go nie miała przy tej okazyi opowiedzieć.

Lat kilkanaście temu, kiedy losami *Gazety Polskiej* władał ówczesny jej redaktor p. Sikorski, w gronie współpracowników był także młody chłopak, który świeżo ukończył wydział filologiczny w „Szkole głównej" i debiutował w *Tygodniku Illustrowanym* z rozprawą o Sępie Szarzyńskim. Polecono mu w *Gazecie* pisywanie fejletonów tygodniowych. Młodzieniec zabrał się do tej pracy z zapałem, a ówczesne jego kroniki zwróciły odrazu uwagę wszystkich na nowo objawiający się talent. P. Sikorskiemu jednak bardzo się nie podobały owe fejletony, pełne młodzieńczej werwy,

młodzieńczego zapału i poezyi. Autorowi ich odmawiał zupełnie talentu, a co więcej zarzucał mu niesumienność dlatego, że za wiele było w jego kronikach poezyi, a za mało faktów.

— Ja chcę faktów! proszę o fakta!... powtarzał ustawicznie biednemu Litwosowi, kreśląc mu wszystko, co było tylko żywszem, oryginalniejszem i po nad szablon wyskakiwało. Z fejletonu leciały też co tydzień strzępki, a zostawał tylko suchy szkielet. Taka była jednak potęga tego talentu, że i ten szkielet zdradzał jeszcze niepospolitą zdolność. Pewnego razu ktoś z współpracowników *Gazety* winszował Sikorskiemu fejletonisty.

— Wielka sztuka! — odpowiedział surowy Argus — patrz pan, ile tu musiałem wyrzucić i jakem się napracował!

I pokazywał rękopism cały pokreślony, a w nim powymazywane najpiękniejsze ustępy, istne perełki poezyi. Chcąc też wyrobić „niesumiennego młodzieńca“ powierzał mu najsuchsze i najpospolitsze roboty reporterskie. Nic też dziwnego, że pod takim redaktorem biedny Litwos czuł się skrępowanym i tracił wszelką do pisania ochotę. Odżył on dopiero, kiedy Edward Leo objął redakcyę *Gazety*. Ten poznał się odrazu na wielkim talencie, otworzył mu łamy *Gazety* i przez parę lat miała ona kronikarza *hors ligne*, a fejletony jej „Z chwili bieżącej“ godneby były zaiste osobnego w książce wydania.

Talent Sienkiewicza zaczął się w nich po raz pierwszy rozwijać i powszechną na siebie zwracać uwagę, a Litwos stał się odtąd Benjaminkiem *Gazety* i jej ukochanem dzieckiem. W jej łamach ukazywały się wszystkie prawie początkowe powieści i nowele Litwosa. Ona to miała szczęście drukować pierwsza „Szkice węglem“, „Przez stepy“, „Hanię“... Była to najświetniejsza epoka *Gazety*. Obok Sienkiewicza ukazywały się w fejletonie powieści i utwory najznakomitszych w Polsce piór, a pod względem literackim należała niewątpliwie do najlepiej i najświetniej redagowanych u nas pism.

Słynny ze swego dowcipu Edward Leo — dowcip ten odziedziczył po ojcu, wziętym bardzo w swoim czasie lekarzu warszawskim. Pamiętam doskonale, jak przed laty 40 bawiły nas kursujące po calem mieście anegdotki i kalambury Dra Leo ojca. Wezwany kiedyś do Ostendy przez jednego z bankierów warszawskich, Dr Leo wracał z nim później do kraju. Na jakimś noclegu pyszny ów bankier zapisał się w książce hotelowej: *Banquier X. aus Warschau mit seinem Arzt Dr Leo.* Korciło to wesołego lekarza, więc na następnym noclegu spieszy pierwszy do biura hotelu i pisze w rejestrze gości: *Dr Leo aus Warschau mit seinem Banquier Herrn X.*

Z licznych kalamburów Edwarda Leo przytoczę Ci na próbkę parę. Pewien *meches* warszawski chciał się koniecznie podszywać pod starą polską

szlachtę i wmawiał w ludzi, że jeden z przodków jego był konfederatem barskim.

— Konfederatem nie, odpowiedział na to Ed. Leo, ale konfederatnikiem, a to różnica wielka.

Istotnie zaś dziad owego *mechesa*, będąc z zawodu czapnikiem, mógł robić konfederatom rogatywki.

Innym znów razem przy wykwintnym artystyczno-literackim obiedzie wypadło Ed. Leo miejsce obok słynnej artystki teatru warszawskiego, czarującej zarówno talentem, jak i wdziękami. Wyciętą w „karo“ sukienkę spinała przepyszna agrafka, bizantyńskiej roboty, a umieszczona z wielką kokieteryą, jakby rogatka zamykająca ogród Hesperyd.

— To dar cesarza Aleksandra II, odrzekła artystka, widząc z jaką ciekawością przypatruje się Leo owej agrafce.

— Tak, tak, oto nowa zapora, jaką nam rząd stawia....

Najmilszy towarzysz i najlepszy kolega, Edward Leo nie będąc dziennikarzem stał się jednak osią, około której zgrupował się znaczny bardzo od[łam] najwybitniejszych sił literackich, nietylko z Gaz[ety] ale i z kilku innych dzienników. Dowodzi to [naj]lepiej siły atrakcyjnej tego człowieka, oraz [nie]zwyczajnego podobno w kołach gazeciarskich [fe]nomenu, że po za wzajemną konkurencyą [za] sprzecznością nietylko zdań i przekona[ń] i in-

teresów, może istnieć punkt styczny i łączny, który wszystkich jednoczy. Takim właśnie punktem jest Edward Leo. Jedyny to niewątpliwie u nas redaktor, którego wpływ sięga nietylko po za *Gazetę* i jej współpracowników, ale oddziaływa także na tych, co nietylko w innych dziennikach pracują, ale i niemi kierują. Dojść zaś mógł do niego nietylko człowiek niezmiernej zacności osobistej, ale i redaktor pojmujący swe stanowisko publiczne ofiarnie i szlachetnie, od wszelkich osobistych względów wolny, sprawę ogólną na pierwszem stawiający miejscu.

Être admiré n'est rien, le toût est d'être aimé, powiedział kiedyś Musset, a zdanie to musi się chyba często przypominać Edwardowi Leo. Miłość, jakiej zażywa w kołach koleżeńskich, równa się szacunkowi, jakim obdarzają go w całem mieście. Czynny w rozmaitych instytucyach i towarzystwach, do stanowiska redaktorskiego przywiązuje wielką wagę i o nie dba najwięcej. Troskliwy o dobór i niepokalaność ludzi, których wciąga do swej redakcyi, pod tym względem niemal przysłowiowo czuły Edward Leo potrafił wyrobić *Gazecie* to niezmiernie zaszczytne stanowisko, że jak żona Cezara jest ona od wszelkich podejrzeń wolną i po nad niemi stoi. Zawsze najlepszej wiary i woli, bez krzty zarozumiałości i impozycyi, chętnie rad dobrych słucha i im ulega, w kwestyach zaś ogólnych, krajowych, zasadę solidarności posuwa niemal aż do drobiazgów. O *Gazetę* można

też być spokojnym, że „dziką“ nigdy nie będzie i w pojedynkę nie pójdzie, że ambicye osobiste stanowiskiem jej nie pokierują i na sprawy publiczne nie wpłyną. Konserwatywna na wzór i modłę Keniga, ma, a raczej miała dawniej też same co *Gazeta Warszawska* wady, uprzedzenia i zastarzałe liberalistyczne predylekcye. Przez długi czas specyalnością jej były ciągłe przewidywania i zapowiedzi wojny. W sprawach galicyjskich zajmuje mniej więcej takie same jak *Gazeta Warszawska* stanowisko, z tym tylko arcyprzykrym dodatkiem, że do niedawna zwłaszcza pozostawiała swym korespondentom pole do rozsiewania fałszywych wieści nietylko politycznych, ale i osobistych. Pod tym względem była *Gazeta* często bardzo echem tromtadracyi galicyjskiej, podrzędniejszego nawet gatunku i otwierała swe łamy dla zaściankowej ze Stańczykami walki. Było to tem bardziej anormalnem i uderzającem, że tenże sam dziennik drukował nie tak dawno jeszcze głośne w swoim czasie „Listy o Galicyi.“ *Gazeta* choruje też na pewien rodzaj eklektyzmu, który nie wyklucza pewnych dla popularności ofiar, a pozwala nieprzyjaciołom zapewnie niesłusznie twierdzić, iż chciałaby mieć przywileje dwóch krzeseł. Niesmaczny ten i tak niewłaściwy dla poważnego pisma ton zmienił się znacznie od chwili, kiedy stałym i jawnym korespondentem *Gazety* z Galicyi został ś. p. Lam. Na zamianie tej wyszła dobrze nietylko *Gazeta*, ale do pewnego stopnia

Stańczycy. Korespondencye bowiem Lama miały tę wielką zaletę, że nie przenosiły waszej warcholskiej wrzawy i agitacyi na grunt warszawski, lecz przeciwnie były stosunkowo dość objektywnemi i umiarkowanemi, w każdym razie już przez to samo, że nie tuzinkowe, mniej były szkodliwemi, a więcej z prawdą i sprawiedliwością zgodnemi. Równie jak *Gazeta Warszawska* i ona zajmuje się przeważnie polityką zagraniczną; kwestyom wewnętrznym i ekonomicznym mało poświęca miejsca. Dawniej interesowała się dużo literaturą i pomieszczała wiele sprawozdań i recenzyj; dziś dział krytyczny ogranicza się w niej prawie wyłącznie do teatru. *Gazeta* jak tyle innych rzeczy u nas oparła się o Leopolda Kronenberga, który ją przekazał swojemu domowi z tym charakterystycznym jednak rysem, że dom ten najmniejszego wpływu ani przywłaszcza sobie, ani wywiera. Ciekawym zaś jest fakt, że głowa tego domu, p. Stanisław Kronenberg, przed paru laty nabył dawne pozytywistyczne *Nowiny* z myślą utworzenia z nich swego *Leiborganu* i stał się przez to konkurentem swej własnej *Gazety*. *Nowiny* kosztowały go przez pół roku przeszło 40,000 rs., a ostatecznie p. S. Kronenberg nie zlał ich z *Gazetą*, ale zamknął.

W ostatnich czasach *Gazeta Polska* ożywiła się bardzo, zmodernizowała swój układ, siły ma dobre i liczne, a grono współpracowników wyborowe. Między współpracownikami tymi muszę wy-

mienić dwóch: Aleksandra Rembowskiego i Dyonizego Henkla.

Rembowski, to przedewszystkiem człowiek nauki. Dziennikarstwo traktuje jako *Nebensache* i nie ma do niego ani temperamentu, ani pociągu. — Autor licznych a bardzo cennych prac z dziedziny prawnopolitycznej, redaktor *Biblioteki umiejętności prawnych*, jest jedną z pierwszych naszych powag naukowych. Główne jego miejsce nie w *Gazecie*, ale w *Niwie*. Do *Gazety* pisuje artykuły polityczne, poważne, gruntowne, a oparte zawsze na naukowym podkładzie. W *Niwie* umieszcza specyalniejsze rozprawy, a świeżo właśnie drukuje tam bardzo ciekawą i doniosłą rozprawę o czynszownikach w kraju południowo-zachodnim, która równocześnie wyszła także w Petersburgu w języku rosyjskim. Pierwszorzędna siła i zdolność, Rembowski jest filarem *Niwy*, a ozdobą *Gazety*; więcej na profesora uniwersytetu, aniżeli na dziennikarza i publicystę stworzony, a został nim dla tej prostej przyczyny, że do właściwego jego nauce i zdolnościom stanowiska droga u nas zamknięta.

Dyonizy Henkiel ma dużo w sobie temperamentu i zdolności dziennikarskich. — Jego polemiki z prasą rosyjską zwracają zwykle powszechną uwagę. Trzyma on w *Gazecie* pierwsze skrzypce: jest pomocnikiem, a często nawet i zastępcą redaktora. Pióro ma łatwe, talent pisarski niepospolity, zmysł krytyczny wielki, wykształcenie historyczne wielkie; czasami uprawia także poezyę, a

dawniej był przez długi czas z mniejszem powołaniem recenzentem teatralnym — wogóle publicysta to niepośledni, siła wybitna, cenna i pożyteczna. Zażywa on w ściślejszem kółku koleżeńskiem wielkiej powagi i uchodzi za krytyczną wyrocznię. Po za *Gazetą* nie pisuje on nigdzie, a w niej zajmuje się wiele kwestyą rusińską, którą zna dobrze, ale sądzi nieraz zbyt platonicznie, oraz sprawami wschodniemi i słowiańskiemi.

Stałym współpracownikiem *Gazety* jest także Maryan Gawalewicz. Korzystam z tej okazyi, aby go choć w kilku słowach scharakteryzować. Komedyopisarz, nowelista, dziennikarz, poeta, prelegent, fejletonista, deklamator, monologista, Gawalewicz ma rodzaj talentu, do którego doskonale da się zastosować przymiotnik: miły. Jego komedyjki, nowelki, obrazki, wiersze — wszystko to bardzo wdzięczne i miłe, a on sam jest tak miłym, jak na autora „Milusińskich“ przystało. Pisuje bardzo wiele i w rozlicznych pismach. Do stanowiska publicysty nie ma pretensyi; napisał kilka pracowitych bardzo i poważnych studyów literackich, był redaktorem zwiniętego przed rokiem *Tygodnika powszechnego*, recenzentem teatralnym jest karmelkowym, a mimo tego nastroił się jakby z musu do batuty głównego kapelmistrza — Bogusławskiego, i cieszy się sympatyą i powodzeniem, którego mu wielu zazdrości. Ztąd też ma dużo zawistnych, ale tych podobno nikomu nie brakuje. Skory do uznania talentu i zasług

u drugich, admirator łatwo zapalny, słodki zawsze i uprzejmy, Gawalewicz jako dziennikarz należy do tych, o których zwykli mawiać Francuzi: *notre aimable confrère.*

Fejletonistą teatralnym *Gazety* jest od dwóch lat *Incognitus,* pseudonim bardzo zręcznie ukrywany. Nowa to podobno, dotychczas zupełnie nieznana siła. Krytyki jego bywają czasem zanadto robione, znać w nich forsowną erudycyę i pewną na nią pozę, niemniej jednak pisane są z talentem i znajomością przedmiotu, a bez preokupacyj pobocznych, które tak wielkie zajmują miejsce w orkiestrze warszawskich recenzentów.

P. Kazimierz Zalewski jest w pierwszym rzędzie komedyopisarzem, ale jest także i redaktorem *Wieku.* Mało go spotykałam, nie mogę zatem wiele więcej o nim powiedzieć nad to, co już powszechnie jest znanem i ogadanem. Sądząc z pozorów, przypuściłby można, że jednym z głównych rysów p. Zalewskiego, wspólnym zresztą z wieloma osobami, które dużo z ludźmi miały do czynienia, jest wyrobione ujemne o nich zdanie. Z powodu, iż nie znam osobiście redaktora *Wieku,* najwłaściwiej będzie nie powtarzać licznych już sądów, do czego ograniczyćbym się musiała. Będzie to zresztą niezwykłem wśród rozgłosu i wrzawy, które często około nazwiska tego autora powstają. Wrzawa ta słyszeć się daje na dwóch drogach, na scenicznej i dziennikarskiej, a przyznać muszę, że bez względu na nią *Wiek* posiada moją sympatyę.

Jako komedyopisarz p. Zalewski jest niezaprzeczenie sprytnym i zręcznym. Umie on wybierać przedmiot i chwilę. Kiedy dawniej sztuki polskie przy wszystkich swoich literackich zaletach grzeszyły naiwnością roboty scenicznej, brakiem tego, co Francuzi nazywają *la charpente theatrale*, p. Zalewski zrozumiał doskonale, że przez tę właśnie szczerbę będzie można zwycięsko wejść na scenę. Komedye też jego pierwsze nie miały tyle oryginalnych pomysłów, ani nowych figur, ani charakterystyki osób, ani głębszej społeczności obserwacyi, jak raczej trzymały się na scenie, szły dość raźnie, faktura ich była ruchliwą. Tem odskakiwały od innych, a widz nie zagłębiając się w sąd literacki, przyjmował chętnie tę nowość. Przyszedł jednak czas, że zręczność sceniczna zaczęła nie wystarczać. Pojawiły się nowe talenta i utwory, które obok literackiej miały także sceniczną wartość. Wtedy wstąpił p. Zalewski na inne pole i napisał *Górą Nasi*, komedyę, której nie widziałam na scenie, a która wam jest dobrze znana. Późniejszych utworów tego autora również nie widziałam na scenie.

Wiek uchodzi za organ konserwatywny i jest nim istotnie w wielu wypadkach. Założony przez Lewestama, a nabyty od niego przez p. Zalewskiego, prócz usiłowań właściciela rozwinął się on głównie i nabrał wyraźnej barwy dzięki zabiegom i energii ś. p. Zygmunta Sumińskiego, który przez długi czas był jego filarem. On to go ustalił, p. Za-

lewski spuściznę tę po Sumińskim utrzymać się stara. Prowadzi on swój dziennik inteligentnie, w kwestyach zasadniczych nie pozwala mu wypaść z równowagi. Konserwatyzm *Wieku* jest raczej biernym, niż czynnym. Od czasu do czasu zamanifestuje go w jakimś szczególe (kiedy idzie np. o obraz Munkacsego), później cichnie, lecz baczy, aby nie ściągnąć na siebie nagany *Przeglądu Katolickiego*. Afirmacyi jasnej, wyraźnej tam nie zawsze znajdziesz. W walce z prasą pozytywistyczną np. *Wiek* zajmuje obojętne stanowisko. Ignoruje ją i w polemikę nigdy się niewdaje. Za to w kwestyi semickiej n. p. jest on bardzo jaskrawym. Idzie tu solidarnie ręka w rękę z *Rolą* p. Jeleńskiego i jest też gorliwie przez nią popieranym. Szkodliwym nie jest, owszem dużo w nim artykułów dobrych i zachowawczych, tylko wybitnym nie jest a to niestety odpowiada nieraz usposobieniu ujemnemu naszego społeczeństwa, które nie lubi ani tego co jest wybitnem, ani zwłaszcza zdań wybitnych. Jest to zatem czasem sposób przemówienia do jego przekonania.

Jednym z współpracowników utalentowanych *Wieku* jest p. Aleksander Niewiarowski, tensam, co zwykł się teraz „Półkozicem“ podpisywać. Nie sądź bynajmniej, aby to była jakaś młoda początkująca zdolność... Nie, znany to stary literat, autor „Laokoona“ słynny niegdyś „gwiazdkarz“ *Gazety Warszawskiej*. Duży talent, zmarnowany i do

bardzo wziętym, czytanym i popularnym. Później wstąpił do urzędowego *Dziennika Warszawskiego* za redakcyi Pawliszczewa. Następnie pisywał tylko pod pseudonimem. Ile razy przypomnę sobie jego fejletony (g w i a z d k i) w *Gazecie*, tak w swoim czasie rozrywane i popularne — żal mi tego istotnego talentu.

Zdolnością w pewnym kierunku jest także drugi współpracownik *Wieku* p. Szaniawski (Klemens Junosza). Pisuje on obrazki z życia ludu wiejskiego, niepozbawione prawdy i werwy, a od niedawna rzucił się na specyalne nad żargonową literaturą żydowską studya i kilka ciekawych w tym kierunku próbek ogłosił. Innych współpracowników *Wieku*, podobno dość licznych, bliżej nie znam.

Z kolei przechodzę teraz do najmłodszego z naszych pism codziennych — do *Słowa*. Daje mi to nareszcie tyle pożądaną sposobność mówienia o Henryku Sienkiewiczu, o którego tak się natarczywie dopytujesz. Ciekawość twą doskonale pojmuję, ale wątpię, czy sprostać jej zdołam. Sienkiewicz nie należy do tych, co sami rzucają się w oczy; raczej od ludzi stroni, aniżeli ich szuka. Próżnemi były od lat kilku moje zabiegi, osobiście poznać go nie zdołałam, aczkolwiek spotykaliśmy się nieraz. Muszę więc kreślić tę sylwetkę zapożyczonemi barwami, więcej niestety z opowiadań drugich, aniżeli z własnej obserwacyi. Tobie zaś, skoro tak gorąco prosisz, abym Ci

wskazała drogę poznania tyle głośnego dziś pisarza, jednej tylko udzielić mogę rady. Bawiąc w Krakowie, zapukaj do pp. Janczewskich, szwagrów H. Sienkiewicza; tam go jeszcze najłatwiej spotkasz i tam znajdziesz go najmniej do mizantropii skłonnym, bo w atmosferze stosunków rodzinnych ożywia go nadto specyalna z gospodarzami tego domu przyjaźń.

Wszystko w tym człowieku jest jakoś dziwnie równe, harmonijne, artystycznie pełne. Weź samą jego postać. Twarz piękna, ale nie banalnie przystojna, rysy ostre, wyraziste, męskie, w spojrzeniu jakiś odcień zadumania, które nie jest bynajmniej rozmarzeniem. W zachowaniu się spokój, miara, prostota. Nigdy żadnej pozy, nigdy udawania czegoś lub kogoś. Raczej apatyczny, aniżeli nieśmiały, nie znosi towarzystwa ludzi mało sobie znanych. Nowa znajomość jest dla niego istnem poświęceniem. Skorym też do niego nie bywa, a odczułam to, jak widzisz, na samej sobie. Za to w gronie bliższych przyjaciół staje się swobodnym, wesołym, dowcipnym czasami, dawniej zwłaszcza, nawet swawolnym, jak żak. Bez fałszywej skromności, obojętnym jest jednak na pochwały i uzna[illegible] o tyle naturalnie, o ile człowiek śmiertelny, któ[illegible] zawsze woli, aby go spotkało dobre, aniżeli [illegible] obojętnym być może. Powodzeniem nie gardzi [illegible] yłoby to bowiem pozą — ale gdyby go zab[illegible] ądzę, że nie uskarżałby się wcale i nic [illegible] wet palcem, aby je sztuczną posiąść k[illegible]

W rezultacie wszystko, co o nim i na niego piszą, zarówno dobrze, jak źle, mało go obchodzi, nie dlatego, aby był tak bezdennie zarozumiałym, ale skutkiem pewnej w tym kierunku apatyi i znieczulenia nerwów. Trzeba jakiejś bardzo wybitnej i istotnej powagi, aby zdanie, które o nim wygłosiła, mogło go zainteresować. W całem powodzeniu „Ogniem i mieczem“ oraz „Potopu“ jedno mu tylko zrobiło istotne zadowolenie, to mianowicie, że dochód, jaki mu te powieści przyniosły, umożliwił troskliwą kuracyę chorej żony. Po za tem, jak napaści nie robiły żadnego wrażenia, tak i pochwały sprawiały względne tylko zadowolenie, o tyle tylko, że mógł je pokazać żonie i tem jej sprawić przyjemność. Czuje dobrze wartość swego talentu i dzieł, niemniej jednak zarozumiałym nie jest i nie był nigdy. Przeciwnie, nikt chyba z piszących równie łatwo nie przyjmuje wszelkich uwag, rad i wskazówek, aniżeli on. Powolność w tym kierunku posuwa często aż do przesady, słuchając takich nawet, którzy prócz życzliwości osobistej żadnej innej kompetencyi nie przedstawiają. Jest jednym z tych rzadkich, co nie cierpią o sobie samym rozmowy. To go głównie odstręczyło od bywania w świecie, gdzie salonowych komplementów i zdawkowych pochwał znieść nie mógł, tak go one nużyły, a co gorzej, nudziły. Nie należy zaś do tych, coby nudę jak sport uprawiali. Owszem, boi się jej straszliwie i starannie unika, choćby z narażeniem swej po-

pularności i kosztem zdobycia przydomku: mizantropa.

W sądach o drugich czasem aż do słabości wyrozumiały; czyni to zapewne głównie z obawy, aby go kto o małostkową zazdrość nie posądził. Natura to na wskróś estetyczna, która wielu rzeczy nie popełnia głównie dlatego, że się niemi brzydzi i że jest zanadto na to wykwintną. Z sztuk pięknych najwięcej lubi malarstwo, zna się na niem i zawsze żałuje, że malarzem nie jest. Zamiłowany podróżnik i namiętny myśliwy, gdyby się nie był ożenił, spędzałby niewątpliwie całe życie na koczowniczych wędrówkach. Skoro znuży go czczość i szablonowość naszego codziennego życia, wówczas przychodzi mu na myśl Ameryka i wybiera się do Meksyku, to znów do Kalifornii, gotów szukać przygód, rzucać się z oszczepem na niedźwiedzia, polować na jaguary... Jedną z najulubieńszych jego lektur są też opisy podróży: Stanley, Liwingston, Ereveau, Hewet Cameroun. Z powieściopisarzy lubi może najwięcej starego Dumasa. Od ławy studenckiej ma wielkie zamiłowanie do Szekspira, ciągle go czytuje, głównie „Burzę" „Hamleta" i seryę „Henryków." Do Falstaffa ma specyalną predylekcyę, którą znać trochę w panu Zagłobie... Z książek polskich najulubieńszym chyba przekład „Odyssei" Siemieńskiego, z którym się prawie nigdy nie rozstaje.

Niezawsze był Sienkiewicz takim, jak jest dzi-

bienie były zawsze te same. Wielki wpływ na rozwój a raczej na skondenzowanie się jego talentu miała zmarła w roku zeszłym żona (Marya z Szetkiewiczów). Ona go przykuła do miejsca, ona dała mu to szczęście, które sił przysparza, ufność w siebie samego budzi, możność pracy podwaja. Bez niej nie mielibyśmy może ani „Ogniem i mieczem“ ani „Potopu,“ bo ich autorowi, przyzwyczajonemu dotychczas do kilkunasto fejletonowych nowelek, zabrakłoby wytrwałości do napisania obszerniejszych rozmiarów powieści. Ona przytłumiła w nim tę pesymistyczną nutę, która dźwięczała zawsze trochę rozpaczliwie we wszystkich jego poprzednich utworach; ona rozpogodziła ten umysł, co zbyt czarno zaczął już na świat patrzeć; ona była największem jego na ziemi uczuciem, przyjaciółką, powiernicą, doradczynią, krytykiem i jedyną osobą, o której sąd i zadowolenie dbał istotnie. Nosił się kiedyś Sienkiewicz z myślą napisania powieści, której przeznaczał tytuł: „Kronika szczęścia.“ Było to wkrótce po jego ślubie. Nietrudno zgadnąć, czyjego szczęścia miała to być kronika.... Przyszło ono i znikło jak cień, pozostawiając tylko po sobie rzewne zawsze wspomnienie osoby gruntownie, choć niepretensyonalnie wykształconej, dziwnie miłej, zacnej i dobrej, która w życiu takiego jak Henryk Sienkiewicz człowieka odegrała ważną i zwrotniczą niemal rolę.

Henryk Sienkiewicz ma swój odrębny, charakterystyczny sposób tworzenia. Nie pisywał on

nigdy inaczej jak urywkami, z fejletonu na fejleton. W ten sposób powstawała niegdyś w *Gazecie Polskiej* pierwsza jego obszerniejsza powieść: „Hania,“ tak samo w *Słowie* i w *Czasie* „Ogniem i mieczem“ i „Potop.“ Niektóre tylko drobniejsze nowelki przyszły na świat za jednym zamachem; reszta pisaną była z dnia na dzień. Cały plan układa w myśli, żadnych notatek nie robi, nie wie, co to brulion — pisze odrazu do druku. Dopiero w ciągu roboty rozmiary powieści i figur rosną mu pod piórem. Kiedy zaczynał „Ogniem i mieczem,“ sądził, że powieść ta będzie miała tylko dwa tomy — zrobiło się cztery. „Potop“ miał mieć cztery, a powstało sześć. Skoro raz zasiędzie do pisania, skoro się do roboty wciągnie, idzie mu ona niezmiernie łatwo i prędko. Wpierw jednak przygotowuje się bardzo długo, mozolnie i pracowicie. Studya historyczne do „Ogniem i mieczem“ trwały przeszło rok, do „Potopu“ trochę mniej. Czyta on bardzo dużo, wertuje całą prawie literaturę historyczną danego przedmiotu, głównie pamiętniki współczesne, rękopisma, kroniki, *Silva rerum*, wżywa się w ten sposób w epokę, zaznajamia się z nią w najdrobniejszych szczegółach, i dopiero kiedy postacie historyczne stoją przed jego oczyma żywe, z krwi i kości — zaczyna pisać. Mylą się też ci, co zarzucają Sienkiewiczowi odtwarzanie figur historycznych z fantazyi *à la Dumas* (ojciec). Kolosalna między sposobem tworzenia jednego i drugiego zachodzi różnica, a opo-

wiadano mi niedawno ciekawą pod tym względem dyskusyę między Sienkiewiczem i Brandesem za pobytem tego ostatniego w Warszawie.

Brandes powziął odrazu wielką dla talentu Sienkiewicza sympatyę i z niezmiernemi odzywał się pochwałami. Znał on naturalnie drobne tylko jego nowelki z przekładów francuskich i niemieckich, ani „Ogniem i mieczem,“ ani „Potopu“ nie czytał — wychodząc jednak ze swej doktrynerskiej zasady, zarzucał mu, że zamiast pisać powieści współczesne, kreślić to życie, które zna i na które patrzy, rzucił się na temata historyczne i tworzy nie z obserwacyi, ale z fantazyi. Odpowiedź Sienkiewicza na ten zarzut była bardzo prosta. Realistyczna metoda nigdzie właśnie nie da się lepiej stosować, aniżeli w historycznej powieści. Tu bowiem autor rozporządza w całej pełni tem, co realiści nazywają: „dokumentami ludzkiemi.“ Ma on cały zasób tych dokumentów i wie nietylko, jak się taki np. Bogusław Radziwiłł ubierał, jak wyglądał, ale zna najtajniejsze jego plany i zamysły, zna jego listy, pamiętniki, korespondencye prywatne i urzędowe, wyznania, wyrwane z głębi duszy, myśli skrzętnie ukrywane przed całym światem. Może go więc obserwować w najrozmaitszych położeniach i wypadkach życia, może te dokumenta segregować i rozróżniać, jakim był wtenczas, kiedy pozował przed drugimi, a jakim wówczas, gdy występował przed powiernikami w całej swej nagości. A nadto obser-

wator ma tu przed sobą postać całą, skończoną, życie zamknięte; wie nietylko, czego chciało, ale czego dokonało; ma fakta niezbite, historyczne, bardzo łatwo skontrolować się dające. Nie potrzebuje więc tworzyć, ale odtwarzać z systematyczną prawie ścisłością daną postać. Fantazya odgrywa tu artystyczną tylko rolę, daje formę, treści zaś dostarczają owe najpewniejsze, najbardziej skrupulatne i niezawodne „dokumenta ludzkie.“ Nie obserwuje on tu sam jeden, ale zlewa obserwacye tysięcy ludzi i pokoleń. Po czyjej więc stronie istotna prawda i istotny realizm? Zresztą cóż go obchodzić może ta szara, mgława codzienność nasza. Tam rozgrywają się wielkie wypadki i występują wielcy ludzie. Tam jest się do czego i czem się zapalać — są wielkie charaktery, wielkie zbrodnie i wielkie poświęcenia. Czyż może go do tyla obchodzić jakiś współczesny pan *X* lub pani *Y*, aby go miał obserwować, badać życie i cierpienia jego odtwarzać? Oni go przedewszystkiem nudzą. Jeśli zaś idzie o tendencye i oportunizm powieściopisarski, to czyż nie lepiej i zdrowiej zamiast malować dzisiejszy stan umysłów i ludzi, dzisiejszą ich nędzę, sprzeczność z samymi sobą, bezsilność i szamotanie się — pokazać swemu społeczeństwu, że były chwile jeszcze gorsze, straszniejsze i bardziej rozpaczliwe, i że pomimo tego ratunek i odrodzenie przyszło. Tamto może do reszty zniechęcić i zrozpaczyć — to sił dodaje, nadzieję wlewa, ochotę do życia zagrzewa.

I oto, co go głównie skłoniło do przerzucenia się na pole historycznej powieści. Długo nosił się z tą myślą, zaczątek jej znać już w „Niewoli tatarskiej,“ ale kto wie, czy ostateczny przełom nie nastąpił skutkiem obrzydzenia, jakie mu sprawiła cała rzesza naśladowników i naśladowniczek, te legiony „Janków muzykantów,“ które nagle zaczęły się pokazywać w każdem piśmie, codzień niemal. Znienawidził biednego „Janka“ za to, że tak liczną miał progeniturę, a istotnie mogła mu go ona obrzydzić. Pojawiały się tu bowiem monstrualne w tym kierunku rzeczy, rozpoczęło się powszechne na tę nutę kwilenie. Każdy tworzył swojego „Janka,“ każdy kazał mu kraść, nawet zegarki [1]) i powstał chór, który mógł istotnie zdenerwować i zniechęcić tego, co pierwszy właściwie poddał mu nutę. Sprzykrzyło się więc Sienkiewiczowi wygrywanie na „wyciągniętej kwincie uczucia“ i postanowił z innego zagrać tonu.

W początkach r. 1880 nosił się on z myślą napisania powieści, której bohaterem miał być Władysław Warneńczyk. Temat podsuwała mu wzmianka kroniki o jakiejś bardzo romantycznej przygodzie miłosnej króla na Węgrzech. Zaniechał jednak niebawem tego zamiaru dla „Bartka zwy-

---

[1]) „Złoty zegarek,“ nowela p. Chomińskiego, drukowana w *Kuryerze Warszawskim*, w której bohater z zapału do mechaniki, jak Janko do muzyki, kradnie.... złoty zegarek, widziany na wystawie sklepowej.

ciężcy." A kiedy wyszły „Szkice" Kubali, pod ich wpływem wziął się do studyów nad Kozaczyzną. I oto geneza „Ogniem i mieczem." Zrazu miała się ta powieść nazywać „Wilcze gniazdo" i skupiać się głównie około rodziny Kniaziów Kurcewiczów. „Wilcze gniazdo," to rodzina Heleny. Pod piórem dopiero rozwinął się obraz, wzrosły postacie, powieść przybrała obecne rozmiary. Tytułem „Ogniem i mieczem" ochrzcił ją, o ile słyszałam, nie sam Sienkiewicz, ale jego przyjaciel i najzaufańszy doradca Dyonizy Henkiel. W różnych miejscach pisaną była ta powieść, z początku w Warszawie, później w Nałęczowie, potem w Zell am See, w Arcachon, w Mentonie w miarę, jak choroba żony przerzucała ich obojga z jednej stacyi klimatycznej do drugiej. W podobnych, tylko w cięższych jeszcze warunkach powstał i „Potop." Niektóre jego rozdziały pisane były wśród najstraszniejszych cierpień i rozpaczy, w chwili, kiedy wszelka nadzieja ratunku biednej pani Henrykowej nikła i kiedy jedynym środkiem oderwania myśli od przewidywań rychłej katastrofy była właśnie przymusowa i forsowna nad tą powieścią praca.

Jak każdy prawdziwy talent, tak i Sienkiewicz nie wszystkie utwory swej fantazyi równem obdarza sercem. Wspomniałam już, że nienawidzi „Janka." Tak samo dzieje się z wielu innemi. Z dawniejszych najwięcej może lubi „Przez stepy," a kocha się zawsze jeszcze w „Lilianie,"

specyalnym zaś faworem obdarza pana Zagłobę i nieboszczyka pana Podbipiętę. Z kobiecych jego postaci ulubioną chyba Oleńka; kniaziówna Helena, choć taka ładna, stoi daleko niżej w afekcie autora. Skoro pan Zagłoba umrze (a niestety stanie się to podobno niebawem), cały fawor ojcowski przejdzie niewątpliwie na pana Wołodyjowskiego. Skrzetuskiego Jana więcej szanuje i poważa, aniżeli kocha. Za Rzędzianem czasem tęskni i niewątpliwie czynniejszą przeznaczy mu rolę w „Panu Wołodyjowskim.“ Kogo jeszcze bardzo lubi, to Anusię Borzobohatą, i wątpię, czy będzie miał serce ukarać ją w końcu przykładnie za tyle bałamuctw i wichrzeń sercowych.

Zamiłowany w Dickensie i wogóle w Anglikach, z współczesnej beletrystyki francuskiej ceni najbardziej, a może nawet jedynie Alfonsa Daudeta i sam kilka drobnych jego nowelek tłumaczył, a był czas, że zamierzał nawet tłumaczyć *Tartarin sur les Alpes*, bo dla Tartarina ma taką niemal jak dla pana Zagłoby słabość. Nie cierpi zaś Feuilleta, Ohneta i wszystkich salonowych romansistów, zarzucając im ckliwość i szablonowość. O Zoli i całej szkole naturalistycznej wypowiedział swe zdanie w dwóch odczytach, mianych przed paru laty w ratuszu, a drukowanych później w *Niwie*. Po powrocie z Ameryki pisywał w *Niwie*, a później czas jakiś i w *Słowie*: „Mięszaniny artystyczno-literackie,“ rodzaj przeglądów bardzo ciekawych i zajmujących, o książkach, obrazach

i teatrze. Kto go chce dobrze poznać, ten powinien do tych „Mięszanin“ zaglądnąć, a znajdzie w nich niejedno estetyczne wyznanie wiary, niejeden do jego literackich poglądów komentarz.

Powieściom Sienkiewicza zawdzięcza głównie *Słowo* swój wzrost i powodzenie, na szczęście bowiem publiczność nasza nie nauczyła się jeszcze od waszej zachwytów swych platonicznie tylko wyrażać. Pierwsze wydanie „Ogniem i mieczem“ rozeszło się w parę miesięcy w 3000 egzemplarzy, z których, rzecz charakterystyczna, niewiem, czy i 200 przypadło na Galicyę, u was bowiem uwielbiają powieści, urządzają na ich tle bale kostiumowe i żywe obrazy, u nas kupują je i czytają. Drugie poszło równie szybko, a trzecie jest na wyczerpaniu... To samo prawdopodobnie będzie z „Potopem,“ a wogóle jedynemi dziełami, które teraz w handlu księgarskim idą, są powieści Sienkiewicza. Na tych powszechny zastój nie odbił się wcale..

Byłabym jednak niesprawiedliwą, gdybym nie przyznała, że na wzrost i powodzenie *Słowa* składają się nie same tylko powieści Sienkiewicza, i gdybym powtórzyła złośliwą uwagę jednego z tutejszych *Kuryerków*, który w polemice ze *Słowem* prenumeratorów jego nazwał prenumeratorami „Potopu“. Owszem, dziennik ten, założony przed pięciu dopiero laty, wyrabia się coraz bardziej, a już z tego tytułu posiada całą moją sympatyę, że ostatecznie jest to jedyny u nas organ codzienny,

naprawdę, szczerze i konsekwentnie zachowawczy i katolicki; pismo, którego właściciele i redakcya dają rękojmię, że innym nigdy nie będzie i żadnemi względami z drogi swej zepchnąć się nie da.

Redakcya *Słowa*, złożona zrazu trochę chaotycznie, z żywiołów niezbyt do siebie dopasowanych, z ludzi za młodych i nie dość doświadczonych, u których zapał i gorączka do pojmowanego zbyt może platonicznie przedsięwzięcia zastępowała równowagę, wytrawność i wytrwałość, w początkach swego wydawnictwa niejeden popełniła błąd i postawiła niejeden krok fałszywy. Robiła ona na mnie wrażenie źle sprzężonej czwórki, któréj brakło woźnicy o silnej i energicznej ręce. Złożono tę czwórkę trochę na gwałt i bez zastanowienia się, rumaki były niezłe, ale jeszcze nieujeżdżone, jeden ciągnął w prawo, drugi w lewo, a brakło im głównie wytrzymałości. Ztąd jazda była trochę karkołomną. Później jednak zmieniło się to znacznie. Czwórkę skompletowano i dopasowano, a chociaż woźnica ciągle właściwie złaził z kozła, wciągnęla się jednak do biegu i idzie dziś równo a zgodnie.

Obok Sienkiewicza, który od kilku lat skutkiem choroby żony i ciągłych podróży mało się pismem mógł zajmować, redakcya *Słowa* składa się z owej właśnie czwórki, którą stanowią: p. Władysław Olendzki, p. Antoni Zaleski, X. Zygmunt Chełmicki i p. Adam Breza.

Władysław Olendzki, to dawny zamaszysty Jacek Soplica z *Niwy*, ten Jacek, którego polemiki w swoim czasie narobiły dużo hałasu i były jedną z głównych podstaw ówczesnej wziętości odrodzonej *Niwy*. Sławny ze swego trochę bombastycznego a pełnego porównań stylu, polemista zanadto może ostrokończasty, Soplica miał dużo w kronikach swych werwy i temperamentu, i tej zamaszystości, z którą, jak wąsaty bohater Mickiewicza, rąbał na prawo i na lewo, niby *Rückerinnerung* Stańczyków z czasów ich wojowniczych. W gorących walkach ówczesnych między t. zw. starą a młodą prasą, szedł on pierwszy w ogień z żołnierską fantazyą, z burszowską brawurą i z animozyą, którą zaprawiał wszystkie swe kronikarskie wycieczki. Jego „sprawy bieżące“ stanowiły też lekką kawaleryę, używaną przez *Niwę* do podjazdów. Czytano je bardzo, polemizowano z niemi gorąco, a Soplica stał się jedną z najbardziej znanych postaci dziennikarskich w Warszawie. W kołach koleżeńskich, nie wiem dobrze dlaczego, powszechnie „majorem“ zwany, Olendzki ma dużo w sobie wojskowej fantazyi, a w artykułach jego czuć zawsze brzęk ostróg i wojownicze popędy. Od chwili, kiedy wszedł do *Słowa,* biorąc w niem na swe barki cały ciężar wewnętrznej redakcyjnej pracy, sam pisuje mało, od polemiki cofnął się zupełnie, a bez niej wygląda trochę jak ryba wyjęta z wody i rzucona na ląd

dziennika przywiązany, jest też główną jego siłą pociągową i jak się sam trochę śmiesznie z francuska podpisuje: „dyrektorem politycznym“.

X. Zygmunt Chełmicki należy niewątpliwie do najlepszych kaznodziei naszego miasta. Wychowaniec niemieckiego uniwersytetu jest też proboszczem, a raczej, jak tu zowią „rektorem“ niemieckiego kościoła po Paulinach i przemawia również dobrze po niemiecku, jak po polsku. Dar słowa ma wielki, język żywy i barwny, głos piękny, oczytania dużo, a podstawą jego kaznodziejskiej sławy są głównie dwie mowy: jedna nad zwłokami Odyńca, druga na nabożeństwie żałobnem za Mianowskiego, obie bardzo ładne, gorące i pełne rzewnego uczucia, elektryzującego słuchaczy. Dziennikarzem został dopiero od kilku lat, pracując głównie w *Słowie* i *Niwie*.

Specyalnością jego są kwestye socyalistyczne i rzemieślnicze, które zna nietylko z teoryi, ale z praktyki, jest bowiem dyrektorem, a właściwie także jednym z założycieli kas pożyczkowych dla rzemieślników. Niezmiernie ruchliwy i czynny, czas swój dzieli między kościół, różne instytucye dobroczynne i dziennikarstwo, w które potrafił się wżyć i nabrał do niego wiele zamiłowania i zapału.

P. Antoniego Zaleskiego zdarzało mi się częściej może spotykać na salonach, aniżeli... w dzienniku. Pisuje mało, a podobno wogóle pracowitością nie grzeszy. Paraduje on z pewną prozopo-

10*

peją ze swoją heraldyką dziennikarską, która ogranicza się na tem, iż w jednym z zamiejscowych i poważnych dzienników miał być podobno przez jakiś czas współpracownikiem, sięgać on jednak lubi dalej, przypominając, że w niemowlęcych już leciech pisywał korespondencye z Pragi. Tutaj Stańczyk *in partibus infidelium*, ogłoszony ich rezydentem, zdaje się, jakby z czasem zwątpił w możność odegrania roli krakowskiego epigona. Ma on dla mnie jedną głównie wadę, której mówiąc szczerze nie znoszę... Oto nie robi, ale zrywa się. W działalności jego dziennikarskiej na naszym gruncie brak przedewszystkiem ciągu. Początki bywają zwykle dobre, ale na początkach też się kończy. Tak było dawniej w *Echu*, tak jest teraz w *Słowie*... Zrazu wziął się do niego z zapałem i przyczynił się głównie niemal do założenia tego dziennika, później jednak ostygł, a dziś jest prawie obojętnym. Za to studyuje w praktyce Brillat-Savarina, ma coś z postaci Rabelais'ego a nie chcę przez to powiedzieć, iż ma apetyt Gargantui. W tym bowiem kierunku więcej jest podobny do Chapelarda z *Serafiny* W. Sardou. Może najlepiej go określa nazwa „Antałka,“ pod którą tu jest powszechnie znany, aczkolwiek w tym wypadku nie chcę twierdzić, aby *omen* było *nomen*, czego najlepszym dowodem, iż zwią go także: *Antalissime frater*.

Zastęp pozaredakcyjnych współpracowników *Słowa* duży i wyborowy. Liczy ono między nimi

wiele nazwisk głośnych, wiele ludzi poważnych i na stanowiskach. Ma też to pismo zaletę, że jedyne z naszych grupuje obok siebie grono wybitnych, wpływowych i znaczących osobistości i nie jest tylko dziennikiem, ale i do pewnego stopnia organem. Redakcya zaś jego składa się z ludzi, którzy właściwie z dziennikarstwa nie żyją i więcej pracują dla zasady, aniżeli z potrzeby. Złączeni wspólnością przekonań z właścicielami pisma, dążą oni do wytworzenia organu, który nie będąc skrajnym byłby jednak konsekwentnie zachowawczym i katolickim, zarówno w sprawach wewnętrznych jak i zagranicznych. Kierunek ten zaznacza *Słowo* bardzo wyraźnie w każdej kwestyi i przy każdej sposobności. Z góry można przewidzieć, jakie w tej lub owej sprawie zajmie stanowisko i stanowiska tego można być pewnym, o ile stosunki koleżeńskie wielką w Warszawie grają rolę, które raz objawiają się pod formą srogiego teroryzmu, to znów gorącej miłości koteryjnej, nie zahamują i tak zawsze powolnego w biegu rydwanu konserwatywnego.

Swoją droga jedyny to z naszych dzienników, który n. p. w sprawach galicyjskich idzie ręka w rękę z waszymi zachowawcami i staje śmiało oraz jawnie po ich stronie i w ich obronie. Konserwatyzm *Słowa* nie jest bowiem biernym, lecz przeciwnie polega na ciągłej a stałej afirmacyi. Cokolwiek zaś można mu zarzucić, tej jednak konsekwentności kierunku odmówić trudno. Pod

tym względem ma *Słowo* dużo zasług, niejedno mylne zapatrywanie, niejeden dawniejszy przesąd zwalczyło. Stanowisko zaś jego nie pozostało bez wpływu na pewne tony umiarkowania w innych pismach, zwłaszcza tych, które również za zachowawcze uchodzić pragną. Przez samą konkurencyę owe pisma na półkonserwatywne widząc względne powodzenie tego kierunku, pragną się doń nagiąć i w zachowawczości nie pozostać w tyle. Godnem podniesienia jest także stanowisko, jakie zajmuje *Słowo* w sprawie żydowskiej. Odznaczało się ono zawsze wielkiem umiarkowaniem, roztropnością i zrozumieniem istotnego interesu krajowego, którego nie poświęciło nigdy dla popularności w tej właśnie kwestyi, tak łatwej do zdobycia i tyle popłatnej.

Z t. z. postępową prasą prowadzi walkę zawziętą, otwartą i z podniesioną przyłbicą. W walce tej jedną z głównych ról odgrywają od lat paru fejletony polemiczne, trochę może za ciężkie i jak na pismo codzienne zanadto naukowe, bardzo zdolnego pióra, podpisywane *Publicola.* Sprawami ekonomicznemi i socyalnemi bardzo zajęte, poświęca im *Słowo* stosunkowo najwięcej ze wszystkich naszych dzienników miejsca, traktuje je poważnie, czasem nawet za poważnie a zwłaszcza za nudnie, ale gruntownie, a między współpracownikami tego działu ma wiele sił fachowych i pierwszorzędnych zdolności. Zarzucić mu zaś głównie trzeba nie dość ścisłą kontrolę językową i pewną ociężałość re-

dakcyi, która grzeszy nieraz szablonowością i zaniedbaniem działu krytyczno-literackiego, przyznać zaś należy staranie o informacye czerpane z poważnych i pierwszorzędnych źródeł, korespondencye pisane przez ludzi świadomych położenia i nie tuzinkowych, oraz ostrożność w podawaniu wszystkich wiadomości, które czasem się spóźniają, co jednak temu przypisać należy, że dotąd jeszcze wogóle całe dziennikarstwo warszawskie nie przejęło się dostatecznie duchem telegramu i własnej swej nazwy.

Z pism codziennych pozostaje mi jeszcze do wzmianki trzy.

Kuryer Codzienny po rozmaitych perypetyach przeszedł obecnie na własność najstarszej u nas firmy drukarskiej braci Orgelbrandów, ludzi porządnych i uczciwych, ale nie dziennikarzy i niemających wiele wydawniczego sprytu. Główną wadą *Kuryera* jest to, że nie wie właściwie, czego chce. Chyli się on bardzo często ku pozytywistom, ma kilku współpracowników z tamtego obozu, dzięki którym zamiast być skromnie *Kuryerkiem*, pozuje na organ postępowy i wyprawia nieraz bardzo śmieszne ewolucye. Prowadzony trochę chaotycznie, sił wybitniejszych niema, nudnym bywa często, a brak mu ożywienia i werwy. Wpływu właściwie żadnego nie posiada, a jak na pismo brukowe prenumeratorów ma stosunkowo mało.

Kuryer Poranny jest obok *Warszawskiego* najbardziej poczytnym i znajduje się codzień rano

w rękach każdego prawie Warszawianina. Redagowany przez p. Fryzego nie bez pewnej zręczności, opiera się główmie na reporterach i staje się nieraz ich łupem. Skutkiem tego zaczął on uprawiać plotki, już nietylko brukowe, ale nawet... rodzinne. Przed skandalem nie cofnie się, ale więcej się nim bawi, aniżeli go wyzyskuje. Czyni to zaś w sposób platoniczny, bez cienia tego, co się zwie „szantażem,“ na to bowiem p. Fryze jest za porządnym i za uczciwym człowiekiem. To nie dziennik, ale przedsiębiorstwo, podobno wcale nawet rentowne. Ostatecznie wszyscy na *Porannego* i jego skandaliki krzyczą, ale wszyscy je czytają.

O *Dzienniku dla wszystkich* mogę tylko parę słów powiedzieć. Jest on najtańszym z pism codziennych, ma wskutek tego kilka tysięcy abonentów, a redagowanym jest przez reporterów bez najmniejszej pretensyi do jakiejkolwiek wartości i zasad.

Tyle o naszem dziennikarstwie. Rzecz prosta, że jako codzienne i najbardziej wpływowe najwięcej mi też ono zajęło miejsca i czasu.

Z kolei muszę teraz przystąpić do innych wydawnictw peryodycznych, sądzę jednak, że nie będziesz odemnie wymagała dokładnego i szczegółowego przeglądu, któryby rozszerzył i tak już zbyt wielkie rozmiary niniejszego listu... Postaram się więc być zwięźlejszą, mówiąc zawsze więcej o ludziach, aniżeli o pismach, te bowiem z natury

rzeczy bardziej aniżeli dzienniki są u was znane i czytane.

Najstarszym z naszych pism illustrowanych jest *Tygodnik.* Od samego początku swego istnienia pozostaje on pod kierunkiem Ludwika Jenikego, którego jubileusz redaktorski obchodzono już przed paru laty. Starego to autoramentu literat, tłómacz Goethego, więcej w dosłowności, aniżeli w kolorycie wierny, języka polskiego wielki znawca, drobiazgowy, systematyczny, suchy, ale zasłużony i baczny redaktor, który potrafił *Tygodnikowi* bardzo poważne wyrobić stanowisko i uczynić go na wskróś krajową illustracyą, zbiornikiem pamiątek naszej przeszłości, rodzajem zabytkowego muzeum. Pod tym względem zasług ma wiele i istotnych, a chcąc je ocenić, trzeba do nich inną niż dzisiejsza przykładać miarę; trzeba nie zapominać, że ten *Tygodnik* musiał u nas bardzo wiele rzeczy zastępować i najrozmaitsze działy uprawiać. Dawniej własność Ungra, należy obecnie do znanej firmy Gebethnera i Wolffa. W ostatnich czasach ożywił się bardzo, wzmocnił swe siły redakcyjne, zmienił kierunek artystyczny, a połączywszy się z *Tygodnikiem Powszechnym* wzrósł do imponującej cyfry 7,000 abonentów. Jako pismo obrazkowe stanął też obecnie na wysokości zagranicznych tego rodzaju wydawnictw. Illustracyj daje dużo i dobrych, a przeważnie oryginalnych; ruchliwym jest wielce, a jak dawniej, tak i teraz kierunek ma rozsądny i umiarkowany, za-

„Wędrowca" został „Tygodnik" jedynym wielkim pismem polskim ilustrowanem i, posiadając tego monopol, a może i skutkiem tego bardzo się zaniedbał i byle co daje swoim prenumeratorom.

chowawczy, a choć redaktor jego jest protestantem, a nawet prezesem zboru ewangielickiego, niemniej jednak odznaczał się zawsze wielkiem poszanowaniem religii katolickiej i bacznem unikaniem wszelkich w tym kierunku jaskrawości.

Korzystam z tego, że Edward Lubowski jest recenzentem teatralnym *Tygodnika*, aby choć w kilku słowach dać Ci charakterystykę tej postaci, bardzo znanej i popularnej na naszym bruku, a w gruncie rzeczy niezmiernie sympatycznej. Komedyopisarz, Lubowski uprawia wszystkie niemal możliwe działy dziennikarstwa i publicystyki, pisuje powieści i nowele, studya historyczne, krytyki i kompendya filozoficzne, obserwuje przywary ludzkie, wydaje nawet „kodeks przepisów światowych", a przez parę lat bierze czynny udział w pewnem bardzo poważnem i ścisłem dziele statystycznem. Dawniej współpracownik *Biblioteki Warszawskiej*, później fejletonista *Kłosów*, recenzent *Tygodnika* należał za Lewestama do redakcyi *Wieku*, potem jakiś czas do redakcyi *Słowa*, pisywał w *Bluszczu* — słowem z wyjątkiem *Prawdy* i *Przegl. Tygod.* no i... *Przeglądu Katolickiego* niema prawie pisma w Warszawie, w któremby nie ukazywały się prace i artykuły Lubowskiego ze wszystkich prawie dziedzin — z wyjątkiem chyba... teologii. Tej jednej jeszcze nie uprawiał. Sądzę jednak, że przyjdzie czas i na nią. Płodny bardzo — książek, studyów, artykułów, szkiców ma więcej za sobą, aniżeli włosów

na głowie. Jako komedyopisarz odznacza się głównie doskonałą charakterystyką figur i wybornym zmysłem obserwacyjnym, w budowie sztuk jest słabszy, zaprawia je jednak zawsze szerszą społeczną tendencyą, zacną i czystą. Ten zawodu swego do kramarstwa nigdy nie poniżył i nie poniży... w paszkwilach rozgłosu nie poszuka, krętą drogą za powodzeniem nie pogoni. On to powodzenie lubi bardzo i do tego stopnia, że radby mieć pewną na nie wyłączność; on je niechętnie u drugich widzi, nie dlatego, aby był zazdrosnym, ale że z natury niezmiernie podejrzliwy, posądza zaraz, że sukces tej lub owej komedyi p. X. albo p. Y. jest z góry urządzonym przeciw niemu zamachem. Wszystko to jednak wypływa raczej z temperamentu, a nie — broń Boże — ze złej i złośliwej z gruntu natury. Zresztą słabości te i słabostki mają platoniczne tylko objawy. Szkodzą one zdrowiu i humorowi jego tylko — nigdy drugich; owszem stają się raczej źródłem wesołości tych drugich. Ztąd też wypływa ta ogólna sympatya, jakiej w kołach koleżeńskich i po za niemi tutaj zażywa; ztąd ta jego popularność, której spory dział przechodzi i na komedye Lubowskiego, cieszące się na naszej scenie specyalnem powodzeniem i istotnie powodzenia tego warte. On w tę sympatyę może nie wierzy i przekonany o swym „pechu“ sądzi, iż w całem mieście ma samych tylko spiskujących skrycie przeciw niemu wrogów, ale takie już jego szczęście, że właśnie dzieje się wprost przeciwnie,

na przekór jego własnemu mniemaniu i przekonaniu.

Na pozór trudny w pożyciu, jest w niem jednak najłatwiejszy; charakter to zacny, czysty, pisarz zdolny i wytrawny, a chociaż subjektywista typowy, subjektywizm ten zostawia zawsze *intra muros*, w piśmie zaś i druku zapomina o swych sympatyach, antypatyach i podejrzeniach — jest bezstronnym, sprawiedliwym i poważnym i względem tych nawet, których mniema swymi nieprzyjaciołmi, bardzo pobłażliwym.

Kłosy podpisuje jako redaktor właściciel ich i wydawca p. Salomon Lewental. Był czas, że opłacały się one świetnie i korzystne stanowiły przedsiębiorstwo. Dziś spadły bardzo, ch oć redak cya ich złożona z ludzi wytrawnych, poważnych i zasłużonych, na których czele stoi Adam Pług (Antoni Pietkiewicz).

Organiczną wadą *Kłosów* jest ta możliwa jedynie na warszawskim gruncie anomalia, że pismo, które usiłowalo zawsze nabrać charakteru zachowawczego, a nawet katolickiego, jest własnością dygnitarza czy prezesa gminy izraelickiej. Tenże sam zaś p. Lewental wydaje i podpisuje również jako redaktor postępowy *Świt*, będący pod względem kierunku i tendencyi przeciwieństwem *Kłosów*. Zagorzały izraelita jest więc w jednem piśmie katolikiem, w drugiem bezwyznaniowym, a wskutek tego, jak to mu słusznie w pismach naszych wytykano, w obu nie może być

niczem innęm, tylko spekulantem... P. Lewental zaś na tej roli pospolitego spekulanta poprzestać nie chce, lecz ma podobno pretensye do obywatelskiego stanowiska i pozuje na człowieka, który coś znaczy i ma jakieś zasady. To zaś wytwarza ten trudny niezmiernie stan rzeczy, w którym redakcya pragnie wysunąć *Kłosy* z po za sfery wszelkiej spekulacyi, piętno zaś tej spekulacyi cięży na nich w samej osobie wydawcy.

Nad tym stanem rzeczy można ubolewać, ale nie godzi się zań potępiać tych, którzy w skład redakcyi *Kłosow* wchodzą i ile się tylko da, do zasad swoich nagiąć je pragną. Oni tego stanu nie wytworzyli, lecz tylko z konieczności zaakceptowali, przyznać zaś im trzeba, że się wytrwale, choć często bezskutecznie od następstw jego bronią i *Kłosy* na zachowawczym poziomie utrzymać usiłują.

Główna zaś w tem zasługa Antoniego Pietkiewicza. Dopóki Pług stać będzie na czele *Kłosów*, dopóty będą one i zachowawcze, i ku katolicyzmowi skłaniające się. Bez niego stracą grunt pod nogami i p. Lewental przemieni je choćby w illustrowany *Przegląd tygodn.*, jeśli to tylko będzie popłatnem. Ztąd też zasługę i pracę Pługa w dwójnasób trzeba oceniać. Wobec położenia, jakie w *Kłosach* zastał, działalność jego redaktorska równa się bohaterskiej obronie zagrożonego ze wszystkich stron fortu. On tego fortu broni do upadłego, aby go dla zachowawców utrzymać, siły wytęża, sztur-

my wszelkie odpycha, a choć podwójną tą walką strudzony i zmęczony — nie ustępuje jednak i na stanowisku trwa. Rzadkiej to zacności i poświęcenia człowiek, literat z innej, idealniejszej epoki, pełen dawnej wiary, dawnego zapału, skromny, cichy, pracowity niezmiernie, bezinteresowny aż do przesady, a katolik wierzący i gorący, jeden z tych, których się już nietylko szanuje, ale czci. Cały oddany *Kłosom*, w których boryka się ustawicznie — poświęcił dla nich, a raczej dla zasad, którychby w nich bronić pragnął, bardzo wiele, nic prócz przykrości w zamian nie zyskując. Dawną swą powieściopisarską i poetyczną niwę zaniedbał zupełnie, siły swe targa w *Kłosach* na nekrologi i artykuły przygodne; całe życie idealista i łatwowierny, był i jest ciągle wyzyskiwanym i pustelniczy prowadzi żywot.

Obok Pługa głównym stałym współpracownikiem *Kłosów* jest Kazimierz Kaszewski, b. profesor Szkoły głównej, krytyk i literat bardzo poważny, filolog wytrawny, klasyków i literatury starożytnej wielki lubownik i znawca. Tego ocena, że musiałaby być specyalniejszą — wymyka się z pod mojego pióra.

O *Świcie* powiem Ci krótko. Jestto pismo p. Lewentala, poświęcone modom, które między arkuszem krojów a wizerunkiem najnowszego fasonu „kapotki“ uprawia emancypacyę kobiet i pozytywizm. Przez parę lat „budziła w nim kobiety“ (wyrażenie z prospektu) głośna poetka pani

Konopnicka. Budzenie to jednak niewielki miało sukces.... *Świt* miał raz tylko szerszy trochę rozgłos, w roku zeszłym, kiedy zaczął ogłaszać listy ś. p. Maryi Raczyńskiej.... Narobiło to trochę hałasu, a skoro się urwało, *Świt* poszedł znowu w zapomnienie i dziś ledwie dyszy. Redakcyę jego prowadzi obecnie pani Marrené, powieściopisarka, która wiele w swojem życiu spłodziła tomów, ale bardzo mało rzeczy talentu a nawet wybitniejszych zdolności. Typowa to reprezentantka licznej u nas rzeszy powieściopisarek postępowych, wyrastających co roku jak grzyby na deszczu. Pretensyi dużo, pozy jeszcze więcej, wielkie o sobie mniemanie, zdolność słaba, umysł chaotyczny— mierność skończona.

Bluszcz, drugi nasz tygodnik mód, jest o wiele od *Świtu* dawniejszym, lepiej redagowanym i niepozbawionym pewnej literackiej wartości, głównie dla dość starannego wyboru oryginalnych i tłumaczonych powieści. Redaguje go pani Ilnicka, także poetka, „rozanielona“ wielce, ale przynajmniej cicha, spokojna i nienarzucająca się ze swemi reformatorskiemi zapędami.

Biesiada literacka jest najtańszem z naszych pism illustrowanych, wskutek tego abonentów ma dużo, przeważnie na wsi wśród niższego duchowieństwa, uboższej szlachty, małomieszczan i oficyalistów. Redagowana przez Władysława Maleszewskiego, umie ona doskonale stosować się do przeciętnych wyobrażeń swoich czytelników i tra-

fiać do ich gustu oraz serca. P. Maleszewski zaś (Sęp) używa w swych odezwach redakcyjnych tonu i stylu, który dawno już wyszedł z praktyki i wygląda dziś zanadto sentymentalnie i przesadnie, a nawet śmiesznie; jest bardzo często płaczliwym, moralizującym i pozuje trochę na św. Jana wołającego na puszczy — niemniej jednak pismu jego przyznać trzeba zacność tendencyi i szlachetność kierunku. Rozumu w niem może nie wiele, ale za to uczucia bardzo dużo. Jest ono często ckliwem i kwilącem, ale w gruncie niezmiernie uczciwe, wpływ wywiera dobry i w zdobyciu swej obecnej poczytności nigdy nieszlachetnemi nie posługiwało się środkami.

Wędrowiec, za ś. p. Sulimierskiego pismo specyalnie geograficzne, przeszedłszy na własność p. Artura Gruszeckiego, przemienił się obecnie w organ młodego pozytywizmu. Co to jest ten młody pozytywizm, zobaczysz później, kiedy przyjdzie kolej na naszą t. z. postępową prasę. Tu wspomnę tylko, że pod względem artystycznym *Wędrowiec* redagowanym jest starannie, daje dobór pięknych illustracyj i pomieszczał niedawno bardzo ciekawe wspomnienia z wojny serbsko-bułgarskiej z przepysznemi rysunkami A. Piotrowskiego.

Pomiędzy te pisma wtrącić muszę choć krótką o Piotrze Jaksie Bykowskim wzmiankę. Dawniej należał on do dziennikarstwa, a dziś drukuje swoje szlacheckie powieści... Jest więc okazya,

abym o nim mówiła. Słynna to była ni…
Podolu zwłaszcza postać. Facecyonista st…
trochę hulaka, Bykowski długi czas b…
Podole swoim humorem nieco rubasznym…
nawet swawolnym, zawsze jednak sz…
i jowialnym, przez co trafiał do serc pa…
i był wśród nich wielce popularnym. Do…
na Podolu starsza generacya powtarza so…
Bykowskiego, opowiada anegdotki o jeg…
z Bibikowem zatargach, o gastronomic…
zarami w Humaniu zakładach, dekla…
cznościowe wierszyki, lokalne satyry…
we Lwowie Stefanowi Oczosalskiem…
Bykowskiemu przypisywano wszystkie…
py, facecye, któremi się bawiono i kt…
z ust do ust. Ten ginący dzisiaj, a b…
zaginiony już rodzaj jowialności szla…
chuje też głównie powieści Bykowsk…
raczej dawnego autoramentu gawędy…
wiadania, które aby dobrze zrozumieć…
w sobie choć trochę owej starej trad…
ckiej, która poszła już dzisiaj w poni…
dycyę tę ma Bykowski w wysokim…
to nadaje jego powieściom ową p…
dla wszystkich już dzisiaj smac…
od lat trzydziestu w Warszawie, st…
równie prawie jak na Podolu popu…
Anegdot jego i facecyj do nieda…
mnóstwo, a powieści czytywane…
starszą zwłaszcza generacyę z tą…

daje zawsze wspomnienie dawnych przeżytych lat, które już się nigdy nie wrócą.

Rola, to wydawnictwo antisemickie, prowadzone z wielkim hałasem przez p. Jeleńskiego. — *Rola* redagowana jest bez stylu, a nawet bez gramatyki, z zasobem wiadomości, nawet z dziedziny hebraiki, bardzo szczupłym, a mniej zręcznie niż wydawnictwa antisemickie Niemiec, Austryi lub Francyi. Wydawnictwo to grzeszy niesłychaną monotonią, a ton jego jest niesmaczny.

O *Chwili* p. Przyborowskiego nie potrzebuję się długo rozpisywać; jeśli dziś jeszcze istnieje, to lada dzień efemeryczny swój żywot zakończy. Myliłby się ten, co w powstaniu owego pisma dopatrzyćby się pragnął jakiejś politycznej myśli i objawu, czy to pewnej cząstki opinii kraju, czy chociażby pojedynczej jednostki. Tego wszystkiego nie było i niema. *Chwila* powstała dlatego, że p. Przyborowski chciał mieć po zamknięciu *Echa*, którego był redaktorem, swój dziennik, a chcąc nań zwrócić uwagę i racyę bytu usprawiedliwić, raczej bezmyślnie, aniżeli w złej myśli wywiesił sztandar ugody z Rosyą i t. z. „primirenja.“ W takich zaś okolicznościach, jak dzisiejsze, i wobec prądu, jaki względem nas w Petersburgu wieje, było to poprostu dziecińćstwem.... Bardzo słusznie ktoś o *Chwili* powiedział, iż główną jej wadą, że nie pobiera subwencyi rządowej. Subwencya — ta bowiem byłaby czemś przynajmiej, stanowiłaby objaw jakiejś ugodowej chęci... Nie dano jej (nie

sądzę zresztą, aby p. Przyborowski subwencyę tę przyjął), bo poprostu nikt dziś o jakiejś z nami „ugodzie“ nie myśli, nikt się nią nie zajmuje. *Chwila* nie zdołała nawet zwrócić na siebie uwagi prasy rosyjskiej, jako dziennik skończyła na anemię, a taż sama choroba trapi ją i jako tygodnik, na który zamieniła się przed paru miesiącami.

Dwutygodników mamy u nas dwa; jednym jest *Kronika Rodzinna*, drugim *Niwa*.

Kronika, do niedawna jeszcze jedno z najlepiej u nas redagowanych pism literackich, zostaje pod kierunkiem p. Borkowskiej, a za życia duszą jej był Odyniec. Bardzo to zacne i w najlepszym kierunku prowadzone pismo, a rzeczywiście trudno pojąć, dlaczego tak mało ma abonentów, chociaż tyle ciekawych drukuje artykułów, podając mnóstwo pierwszorzędnej wartości pamiętników, wspomnień i korespondencyj. Wina w tem może zbytniej skromności pisma i jego redakcyi, która nie umie zewnętrzną formą ściągać czytelników. To, co w innem piśmie zrobiłoby furorę (listy Odyńca, Domejki, Zana, pamiętniki ks. Wirtemberskiej, Korespondencya M. Wiszniewskiego i t. d. i t. d.) w *Kronice* mija bez wrażenia i ma ona więcej znaczenie zbiornika literackiego, aniżeli peryodycznego pisma.

Niwa zajmie niewątpliwie w historyi naszego dziennikarstwa bardzo wybitne miejsce, odegrała ona bowiem w swoim czasie pierwszorzędną rolę.

Założona przez pozytywistów, przeszła później na własność Mścisława Godlewskiego, H. Sienkiewicza i J. Ochorowicza. Po wyjściu zaś Ochorowicza a wyjeździe Sienkiewicza, Godlewski zgrupował około *Niwy* bardzo poważne grono ludzi wybitnych stanowiskiem, oraz znaczeniem w społeczeństwie, i przy ich pomocy wytworzył pierwszy u nas właściwie szczerze, konsekwentnie, śmiało i jawnie występujący organ zachowawczy. Skupiło się około *Niwy* grono ludzi młodych, a wśród nich wiele pierwszorzędnych zdolności — wszedł do jej redakcyi Aleksander Rembowski, Z. Sumiński, Władysław Olendzki (Jacek Soplica); ze starszych należał L. Górski, prof. Kasznica, Adam Goltz. Pismo nabrało wielkiego ożywienia, a choć nigdy nie liczyło więcej, aniżeli 800 abonentów, miało jednak wpływ duży, który odbił się nawet na dalszem ukształceniu się naszych grup dziennikarskich. Obok artykułów specyalnych i fachowych celowało polemiką i śmiałością wystąpień; z obozem pozytywistycznym prowadziło żywą i ciętą walkę, w wielu kwestyach występowało z rozumną inicyatywą, zawsze poważnie i rozważnie, chociaż z młodzieńczym zapałem i werwą, jednającą poczytność i zainteresowanie się wszystkich obozów. Wywierała też *Niwa* wpływ pośredni nietylko na swoich czytelników, ale i na inne pokrewne jej zasadami pisma, niemające jednak dość odwagi czy energii do jaskrawszych wystąpień i wydobycia się z ogólnie mdławego

à la Kenig i inni konserwatyzmu. Mylnie robią ci, co początek konsekwentnie zachowawczych na naszym gruncie zasad przypisują *Niwie* i powstanie tych zasad od niej datują. Jest to przesada, której ona sama w pewnej mierze ulega. Niewątpliwie jednak do tego, cobym nazwała „skonsolidowaniem" się owych zasad, *Niwa* przyczyniła się wielce i zasługa jej w tem niezaprzeczona a znaczna. Ożywiła ona obóz zachowawczy, wlała weń gorętszą krew, ze skromnego dwutygodnika ekonomiczno-literackiego stała się organem poważnym i znaczącym, z którego głosem rachowano się i bardzo nań uważano. Dziś znaczenie jej a raczej wpływ zmalał dużo, ale głównie z powodu, który dowodzi właśnie skutecznej *Niwy* działalności. Zasady, które reprezentuje, zyskały więcej rzeczników i więcej organów; niema ona dawnej wyłączności, choć ma dawną powagę, ociężała, i jak to zwykle bywa, postarzała się. Spełniła jednak swą rolę dobrze, zasług ma bardzo wiele a pożyteczną i potrzebną być nie przestaje. W ostatnich czasach zbliżyła się do „Towarzystwa popierania przemysłu i handlu" i stała się organem „Delegacyi rolnej" tego Towarzystwa, przez co zamieszcza dużo ciekawych i ważnych prac z dziedziny wewnętrznego gospodarstwa krajowego.

Biblioteka Warszawska to raczej instytucya naukowa, aniżeli pismo peryodyczne. Zasług niezmiernych, znaczenia bardzo poważnego, *Biblio-*

teka zastępowała u nas długi czas mnóstwo rzeczy i w chwili najtrudniejszej, w epoce Mikołajewskiej powszechnego marazmu, ożywiała naukowo i literacko cały kraj. Żadne pismo nie posiada też takich zasług, jak ona. Wszystko, co kraj miał naukowo i literacko świetniejszego, grupowało się około niej i drukowało tam swe prace. Dziś *Biblioteka* jest własnością grupy ludzi, podtrzymujących ją nietylko jako zabytek świetnej niegdyś przeszłości, ale jako instytucyę, która tyle przetrwać zdołała i ostała się jak łącznik między dawnemi a nowemi laty. Redaktorem jej jest b. profesor szkoły głównej, znany historyk J. K. Plebański. Jak zwykle tego rodzaju wydawnictwa abonentów ma mało, ale powagę wielką. W ostatnich czasach dąży ona wytrwale do zmodernizowania się, zajmuje się znacznie więcej aniżeli dawniej kwestyami bieżącemi i zaprowadziła wytrawnie, a bardzo rozumnie pisaną kronikę miesięczną.

Ateneum jest własnością malej grupy ludzi, złożonej przez Włodzimierza Spasowicza. Redaktorem jego Dr Piotr Chmielowski. Od *Biblioteki* odróżnia ją ton bardziej liberalistowski, z pewnym odcieniem pozytywizmu, który jednak pomimo osoby redaktora nie trzeba brać za pokrewny lub nawet zbliżony do t. z. postępowego obozu. Różnica między tą a tamtą grupą olbrzymia. To są ludzie nauki, poważni, wytrawni, rozumni, ludzie na stanowiskach i ze znaczącym w społeczeń-

stwie głosem; tamci dziennikarscy hecarze. Nie piszę studyum publicystyczno-naukowego, więc nie wdaję się w głębsze zarówno nad *Biblioteką*, jak i nad *Ateneum* uwagi. Pragnęłam tylko w króciutkiej wzmiance kierunek ich i znaczenie u nas zaznaczyć. Ludzie ci, a zwłaszcza p. Chmielowski w swoim „Zarysie,“ choć są wielce waszym „Stańczykom“ niechętni, bardzo często przeciw nim występują i to z wielkiem uprzedzeniem, a nawet zawziętością, odwołują się jednak niejednokrotnie na pewną wspólność jeżeli nie przekonań, to taktyki obozu pozytywistów w Warszawie, a stronnictwa waszego w Krakowie. Przeciw temu jednak muszę się stanowczo zastrzedz. Nie mówiąc o mnóstwie innych zasadniczych różnic, przytoczę tę najkardynalniejszą, że jeżeli p. Chmielowski żali się, iż to co uszło Stańczykom w Krakowie, nie uszło pozytywistom w Warszawie, to zapomina czy nie chce widzieć, że przedewszystkiem Stańczycy byli wytworem rodzimym, wzrosłym z potrzeby narodu na gruncie krajowym, kiedy przeciwnie pozytywizm, to zawsze bądź co bądź import zagraniczny, to naleciałość obca, która już przez to samo, że jest taką, nie mogła znaleźć u nas gruntu i musiała stać się szkodliwą.

Z umysłu zachowałam sobie na sam koniec niniejszego listu prasę pozytywistyczną, inaczej „postępową“, a jeszcze inaczej „młodą“ nazywaną. W genezę jej i w historyę powstania na naszym gruncie i określenie wpływu, jaki wywarła, i skut-

ków, które osiągnęła, wdawać się nie myślę. — Zbyt to znany temat, o którym pisano już bardzo wiele i różnostronnie. P. Chmielowski w swoim *Zarysie* przecenił wpływ i znaczenie pozytywistów, przypisując im wielki przełom społeczny i reformę nietylko literackich, ale i ogólnych w kraju pojęć. Stało się z nim to co zwykle się dzieje z ludźmi, co zbyt zaciśnięte mają poglądy. Widział tylko drzewa, a nie dojrzał lasu. Sądził zaś z parafiańsko-warszawskiego stanowiska, a zapomniał, że po za Warszawą jest jeszcze szmat kraju i ogniska społeczne, naukowe i literackie, trochę ważniejsze i większe od grupy kilkunastu młodzieńców, którzy tłumacząc Comta i Darwina mniemali, iż odkryli Amerykę i zbawili Polskę. Studyum p. Chmielowskiego z przeciwnego stanowiska pisane, acz wogóle bardzo bezstronne i sumienne, w wielu szczegółach grzeszy przesadą i przecenieniem niektórych działań i ludzi. Zresztą nie idzie mi wcale o reminiscencye historyczne. Porównanie obu powołanych powyżej prac, oraz rozmaitych krytyk ich i uzupełnień, dla ciekawych przeszłości wystarcza. Co do mnie, pragnęłabym tylko skonstatować dzisiejszy stan rzeczy i podać Ci wierną o ile możności charakterystykę ludzi i pism tego obozu.

Przedewszyskiem jednak, jeśli mówię „obóz“, to używam tu utartego wyrażenia, które właściwie przestało mieć faktyczną podstawę. Obóz pozytywistyczny w znaczeniu stronnictwa, czy chociażby

solidarnej grupy ludzi, wspólnemi złączonej przekonaniami i zasadami, razem walczącej i działającej, dziś już nie istnieje. Są pojedyncze usiłowania, niema działalności zbiorowej, tej, która dawniej główną stanowiła siłę i była tajemnicą wpływu oraz znaczenia. Wśród tych, którzy mienią się być pozytywistami czy tam postępowymi, jest nie dwie, ale kilka już frakcyj, odłamów i grupek. Wszystkie zaś nienawidzą się wzajemnie i tajną, zakulisową między sobą prowadzą walkę, chociaż nibyto wspólne wyznają przekonania. Rozbicie więc zupełne, a powstało ono nie z zasadniczych, lecz z czysto osobistych powodów. Kiedyś przed laty wszyscy złączyli się w *Przeglądzie tygodniowym* pod egidą p. Adama Wiślickiego. To był ich matecznik. Wtenczas rzeczywiście najwięcej mieli wpływu i ruchliwości, a samą jaskrawością i stosunkami koleżeńskiemi ciągnęli młodych. Solidarność ta jednak trwała tylko parę lat. Wielu przypatrzywszy się bliżej robocie i jej motywom, czmychnęło co prędzej, rozrzucając się po rozmaitych starych pismach. Wreszcie powstała wkrótce schizma. Główny współpracownik p. Wiślickiego, p. Aleksander Świętochowski, uważając, że *Przegląd* zanadto swych kolaboratorów wyzyskuje, wystąpił z jego redakcyi i wraz z kilkoma innymi przeszedł do *Nowin*, a następnie założył *Prawdę*. Schizma odbyła się przy fanfarach sądów honorowych, wzajemnych rekryminacyj

i oskarżeń i zredukowała się do kwestyi osób i konkurencyi wydawniczej — a zatem interesu.

Dwa wrogie przeciw sobie stanęły obozy: Swiętochowszczycy i Wiśliczani. Walka była głucha i tajona, niemniej jednak zacięta. Nie minęło jednak parę lat, a identyczna słowo w słowo historya powtórzyła się i w *Prawdzie*. Współpracownicy jej osądzili, że ów p. Świętochowski, który oderwał się od p. Wiślickiego, dlatego, że jego i kolegów „eksploatował" — wyzyskuje ich nad miarę wszelkiej wytrzymałości ludzkiej. Urządzili więc nową schizmę, tak samo przy fanfarach sądów, tylko już nie honorowych, ale kryminalnych (proces Snieżko-Zapolskiej) i przy odgłosie ulicznej bójki (proces Popławski-Wścieklica). P. Świętochowski został teraz prawie sam, jak niegdyś był sam p. Wiślicki po jego z *Przeglądu* wyjściu. Neo-schizma założyć ma podobno nowe pismo; powtórzy się w niem zapewne ta sama, co w dwóch poprzednich historya. Po paru latach matka, która ten rój, co z ula p. Świętochowskiego wyleciał, wyhoduje, zacznie *de noviter* wyzyskiwać, wedle ich zdania — swych współpracowników i powstanie na razie najnowsza trzecia schizma, z tej wytworzy się czwarta — z tamtej piąta i t. d., aż nareszcie każdy z nich iść będzie w pojedynkę, każdy będzie miał swoje pismo i dopiero wówczas nastanie ogólne zawieszenie broni, kiedy nikt już nikogo *faute de combattants* nie zdąży wyzyskiwać i potem się jego wykarmiać. Dodaj

jeszcze do tego, że wiele poważniejszych z dawnego obozu jednostek, taki np. Chmielowski, Karol Dunin, Władysław Smoleński, dawno już wycofało się i z *Prawdy*, i z *Przeglądu*; że inne znowu podrzędniejsze żywioły, zrażone i do p. Wiślickiego, i do p. Świętochowskiego ich procesami, bójkami i polemiką brutalną, ugrupowały się około *Wędrowca*, że kilku także odciągnął *Kraj* petersburski, mniej dla nich pod względem zachowawczości wstrętny, aniżeli inne pisma warszawskie — a przekonasz się, że z tego, co się kiedyś mogło nazywać obozem pozytywistycznym, pozostały tylko strzępki, paru ciurów, trochę niedobitków, szczupłe bardzo gronko zaślepionych, którzy jeszcze wierzą w wielkość p. Świętochowskiego. Wśród tej pogoni nie za „pozytywistycznem niebem," lecz „za chlebem," obie figury i p. Wiślickiego, i p. Swiętochowskiego ogromnie zmalały, obie się obniżyły i resztka uroku, jaki ich do niedawna otaczał, upadła zupełnie. Więcej też może ze względu na ich przeszłość, aniżeli na teraźniejszy wpływ i stanowisko pragnę Ci sylwetki ich przedstawić. Za dużo bowiem około tych dwóch nazwisk było hałasu, abym nie rozumiała Twego niemi zainteresowania się.

P. Wiślicki to przedewszystkiem nie pozytywista i postępowiec, nie ateusz i wróg chrześciaństwa, nie twórca nowej wiary i reformator przekonań społecznych, ale — wydawca. — Rodzaj towaru nie obchodzi go tyle, ile raczej

obrót nim. Ten, który na nasz rynek targowy wprowadził, dzięki zręczności kupca poszedł dobrze, znalazł odbyt, więc się go trzyma, a ma doświadczenia za dużo, aby wszelkiej konkurencyi nie przetrwał i nie zmógł. Tylko p. Jeleński jest małym kupczykiem, równym temu, co roznosi zapałki po ulicach, p. Wiślicki zaś engrosistą. Wniósł on do handlu wiele sprytu, latami wyrobił sobie doświadczenie, zna gusta swoich odbiorców, wie, gdzie najtaniej i najlepiej towaru dostać. Czy w gruncie rzeczy wierzy w to, co sam pisze, nie rozstrzygam. Z faktu bezwzględnej jego przeciw wszystkiemu opozycyi wnosić można, że chyba nie, bo przecież jakiś stary autor francuski powiedział, że: *qui n'a point d'opinions à soi contredit toujours celles des autres.* Nowością towaru dorobiwszy się powodzenia, za nowością też ciągle goni. Wprowadził on do dziennikarstwa warszawskiego nieznany poprzednio rodzaj pisania i polemiki, ognisty, bezwzględny, czysto osobisty, pełny zaczepek prywatnych, napaści, insynuacyj, szkalowań, nawet skandalów. Podobało się to jako nowe i dało powodzenie. Więc p. Wiślicki rozpuścił wodze i sobie, i swoim współpracownikom. Były numera *Przeglądu* zapełnione od początku do końca — „wymyślaniami.“ Artykuł wstępny „wymyślał“ strupieszałej szlachcie, zgangrenowanemu kapitałowi, sobkowskiemu mieszczaństwu; artykuł historyczny — barbarzyńskiej przeszłości; krytyczny — poezyi; filozoficzny — Panu

Bogu; ekonomiczny — pracy organicznej; fejleton — wszystkim razem i każdemu z osobna. Rozciągano tam po kolei redaktorów i dziennikarzy, dyrektorów banków i dróg żelaznych, inżynierów, techników, lekarzy i t. d., a przedewszystkiem księży. Nie pytał p. Wiślicki, co kto pisał, tylko jak pisał. Wszystko jedno, co za potrawa, strawna lub nie, zdrowa czy trująca — aby tylko pieprzna. Względu na nic i na nikogo nie miał nigdy. Nie dbał nawet, czy go kto o brak patryotyzmu i pędzenie wody na cudzy młyn posądzi lub nie. To mu było zawsze obojętnem i trzeciorzędnej nie miało nawet w jego oczach wartości. Jeśli nie wychwalał ks. Bismarcka za wydalania i nie podnosił jego wiekopomnych zasług około wytępienia „strupieszałej" szlachty — to jedynie dlatego, że bał się przeholować i sądził, że nawet jego czytelnicy tego nie strawią. Inaczej nie wahałby się z pewnością. Byłoby to bowiem nowem i efektownem. Tak samo nie dbał nigdy o to, czy napaść jego słuszną była lub nie. Uważał to za taką drobnostkę, że chyba się nigdy nad nią nie zastanawiał. Mniejsza o to, jaka, aby tylko była. Z biegiem czasu potrafił on swoją metodę udoskonalić, a repertoar rozszerzyć. Kiedy spowszedniały już zwłaszcza przy konkurencyi innych organów postępowych wymyślania na Pana Boga, Kościół, wiarę, szlachtę, pracę organiczną, poezyę, przeszłość historyczną, z obawy, aby się nie stać monotonnym, rzucił się na liberalizm zachodni i ten

się stał dla niego z kolei „strupieszałym.“ — Bił więc Gambettę, zwał go „zbogaconym kosztem ludu mieszczuchem,“ rzucił się na kapitalistów, smagał cały obecny ustrój społeczny Europy, Izby francuskie były mu za mało postępowe, Paweł Bert za mało ateuszem.... Za parę lat *Intransingeant* będzie dla niego zanadto serwilistycznym, Rochefort podłym zacofańcem, a Luiza Michel — „starą dewotką.“ Nie idzie tu bowiem tyle o zasady, ile o utrzymanie tego ciągłego fermentu „wymyślań.“

On w gruncie z tego wszystkiego się śmieje i w to, co sam pisze, nie zawsze wierzy, ale... aby handel szedł... Idzie też, chociaż od paru lat znacznie gorzej, aniżeli dawniej. Stara procedura zaczyna zawodzić. P. Wiślicki jest obecnie w fazie przełomu. Niezawodnie łamie sobie głowę nad jakimś nowym sortymentem towaru. Za wielkiego gieniusza siebie nie ma, zbyt jest na to trzeźwym i za dobrze się zna na handlowej wartości ludzi. Do sławy nie ma pretensyi, o opinię ludzką nie dba, nauki, talentów i zdolności dlatego w drugich nie uznaje, że w procederze swym wcale na nie nie liczy, lada chłystka do swego sposobu pisania zaprawi — i to wystarczy. Osobiście na nic nie pozuje i pod tym względem ma jednę zaletę, że się przedstawia, jakim jest istotnie, szczerze i otwarcie i bez żadnych do jakichś laurów pretensyj. Uznają w nim wszyscy swoi i przeciwnicy sprytnego i zręcznego wydawcę. To mu

wystarcza, to jedyna jego ambicya, innych niema.

P. Świętochowski to odmienny wcale typ. Nie powiem gorszy albo lepszy — ale inny. O ile tamten żadnej ambicyi nie ma, ten ma ją olbrzymią; o ile tamten w nic nie wierzy i w siebie także nie wierzy, ten jest fanatykiem własnego ja i kolosem zarozumiałości; o ile tamten żadnego uznania nie łaknie, a wie, że materyalne zdobywa się tylko zręcznością i pomysłowością, ten ma pretensyę do społeczeństwa, aby jemu, największemu z największych, wypłacało moralną i materyalną listę cywilną; o ile tamten jest szczerym i na nic przynajmniej nie pozuje, ten jest pierwszym na świecie pozerem, wspina się wciąż na szczudłach i laurami czoło zdobi. Wiślicki jest zdeklarowanym spekulantem, ten spekulacyą nie gardzi, ale pokrywa ją misyonarstwem, wdziewa na siebie Mesyasza szaty, w zanadrzu jednak tych szat tę samą co tamten merkantylną wagę trzyma i za ladą kupiecką siaduje. Wiślicki był mniej zawsze niebezpiecznym, bo wiązał ludzi tylko interesem, ten oddziaływal na młode umysły fanatyzmem niewiary i nienawiści, przyciągał talentem i powierzchowną nauką, wyhodowywał w nich ślepą w swoją własną wielkość wiarę, a następnie wiarę tę, jak pańszczyznę, na swą korzyść obracał. Rzecz zaś najgłówniejsza: tamten nie miał nigdy talentu, a zdolności li tylko wydawnicze, ten go ma i dosyć

duży, jeno samobójczy zrobił z niego użytek, zaprzepaścił go i w usłudze własnego ja zmarnował.

Są ludzie, dla których świat cały zaczyna się i kończy na nich. P. Świętochowski do takich właśnie należy. Ateusz, pragnie on, aby ci, co w Boga nie chcą uwierzyć, w niego wierzyli; sceptyk, o wszystkiem, tylko o sobie nie wątpi; deklamator wolności, jest jednym z najstraszliwszych absolutystów i samodzierżców, demagog, w gruncie największy arystokrata, bo wszystkiem, co sądzi niższem od siebie, gardzi i pomiata. Po za sobą nie widzi nikogo, imponuje mu tylko jego talent, jego wielkość, jego rozum, jego niby nauka — zresztą nic... On, to alfa i omega; kto weń wierzy, zbawion będzie, a kto nie, potępion. Stoi więc sam i napróżno się rozgląda... Wszędzie pustka, on jeden tylko, a dokoła szara i mgława rzesza, z której nikt i nic nie wyrasta... Napróżno wzrok wytęża: nic, nic i nic... Więc stęskniony staje przed sobą samym, kornie uchyla czoła, i rozdarłszy arcykapłańskie szaty, woła: jam wielki, jedyny, innym być nie mogę — dajcież mi mój haracz...

Na działalność tego człowieka dwa głównie składają się czynniki. Jeden jest natury fizyologicznej: choroba wielkości *(Grössenwahn)*; drugi — psychologiczny: zawiść do społeczeństwa za to, że dało mu mniej niż innym — obraza, że nie chce w nim uznać tego, czem się sam być mieni. Oba te czynniki mają swoją genezę w warunkach,

w jakich na świat przyszedł i wśród których działał.

Syn pisarza gminnego czy jakiegoś ubogiego urzędniczka, od dzieciństwa był w niezgodzie z społeczeństwem i jako malec zaprawiał się do zaciskania przeciw niemu pięści. Nie rozumiał on jeszcze, co to jest namiętność polityczna i za co wymierza ona kary, a już pamięć tej kary ciągle mu stała przed oczyma, surowość jej wszczepiała nienawiść do tych, co opinię tworzyli i wyroki wydawali. Podczas kiedy inni starsi od niego szli do lasów i ginęli w szalonych ale bądź co bądź bohaterskich zapasach, on wskutek swych stosunków rodzinnych, z prawa natury, musiał instynktownie nienawidzić nie ideę, której jeszcze nie rozumiał, lecz ludzi, co za sprzeniewierzanie się tej idei tak srodze karali. To zaś złe, które go spotkało od jednostek, zrzucił na całe społeczeństwo, zrzucił przedewszystkiem na tych, co wówczas główną w tem społeczeństwie odgrywali rolę: na szlachtę... Ztąd ta jego do niej nienawiść, w której objawach znajdziemy nieraz odgłos, jakby zaprzysiężonej przez Korsykanina *vendetty*.....

Za młodu znosił tylko same gorycze, przykrości, może i tortury, a na swoich widział piętno, jeśli nie prześladowania, to — odrazy. Z natury subjektywista, nie dociekał przyczyn złego, co go spotykało, tylko czuł, że cierpi „za cudze winy,“ a więc podli ci, co mu te cierpienia zgotowali — nikczemne społeczeństwo, co takie tortury możebnemi

czyni — wstrętnemi idee, w których imieniu owe razy zadawano. Instynktownie zatem musiał znaleść się w sprzeczności i z wierzeniami ogółu i z moralnością publiczną, jaką ogół ten przepisywał. Nie ludzi była w tem wina, że to wszystko go spotykało. On to jednak na karb ludzi, ich urządzeń społecznych położył — i wyrobił w sobie jad — który odtąd zawsze z pod pióra jego tryskał. Jadowitość będzie też główną pióra jego cechą, codzienną pisma zaprawą. Dojrzalszy wchodził więc do tego społeczeństwa z olbrzymią dozą nienawiści, z silnem postanowieniem jeśli nie zemsty to odwetu. Bez domowego wychowania, bez tej wiary, którą wszczepia życie rodzinne, bez tradycyi, która łańcuchem miłości z własnym krajem łączy, kiedy zaczął czerpać ze studni nauki zwrócił się przedewszystkiem do tego zdroju, który odpowiadał najwięcej jego ówczesnemu usposobieniu, wytworzonemu przez owe warunki, w jakich wzrósł i dziecinne spędził lata. Dała mu je w całej pełni filozofia pesymizmu, dali mu uczeni, a później uniwersytety niemieckie. Rzucił się więc z lubością w ten prąd, szczęśliwy, że jego subjektywnemu usposobieniu tak odpowiadał. Zdolności miał bardzo dużo, umysł chwytliwy i żądny odznaczenia się. Pracował też wiele, uczył się, pochłaniał, ale tego wszystkiego nie przetrawiał i w umyśle swym chemicznie nie przerabiał. Świętochowski umie też dużo, ale nie jest człowiekiem nauki. Nauki tej nie posunął on ani

o krok naprzód, niczego dla niej nie zrobił, co więcej — zrobić nie mógł pomimo swych zdolności i pomimo niezaprzeczonego talentu pisarskiego. Nie uważał jej bowiem nigdy za cel, lecz tylko za środek, a zbyt był subjektywnym, aby ten subjektywizm na wszystkiem, czego się kiedykolwiek tknął, nie wybijał swego piętna. Stworzył on właśnie z niego polemistę i w tym kierunku całą jego skoncentrował zdolność. Polemistą jest też Świętochowski zawsze i wszędzie zarówno w dramacie jak w nowelli, artykułach politycznych jak i filozoficznych, w pracy naukowej jak w fejletonie dziennikarskim...

Dramata jego, to tylko dyalogowane polemiki. Niema w nich ludzi, jeno idee; niema obserwacyi, jeno frazesa; niema charakterów, jest tylko dyalektyka. To samo w nowelkach. W niektórych z nich („Damian Capeńko,“ „Krug“) znajdziesz wcale wyraźny ślad owych warunków, w jakich przeszła jego młodość. Polemicznym jest nawet jego ateizm. On nie ignoruje Pana Boga, lecz go za osobistego uważa nieprzyjaciela; on nie to, aby zaprzeczał jego istnieniu, ale szuka na nim odwetu. Jeśli o Mirosławskim ktoś powiedział, że nie wierzy w Pana Boga, ale kocha Matkę Boską Częstochowską, jako dobrą patryotkę, to do Świętochowskiego zastosowaćby tego nie można. Struna polskości dźwięczała w nim zawsze bardzo słabo, a jeśli ożywiła się nieco w ostatnich latach, to jakby wymuszenie, z chęci podniesienia upa-

dającego kredytu... Do wszelkiej roboty społecznej należałby o tyle, o ile tylko pierwsze miałby w niej miejsce. Innegoby nie zniósł i gdyby go nie otrzymał, gotówby cały gmach podpalić....

Na chorobę wielkości, która coraz straszniejsze przybiera u niego rozmiary, różne składały się przyczyny. Jedną z najważniejszych był temperament dziwnie absolutny i samowładny, drugą jednak otoczenie, w którem żył i które w nim na własną biedę żyłkę tę wyhodowało. W starym *Przeglądzie tygodn.* jedyny prawie istotny talent z aureolą bezpośrednio z niemieckich autorów przywiezionej nauki zajmował wyjątkowe stanowisko. Zdolniejszy od innych, ciągnął do siebie młodych, imponował im swym naukowym balastem, nęcił ciętością pióra... Owa ciętość była ideałem każdego z nowozaciężnych „przeglądowiczów.“ Świętochowski posiadał ją w najwyższym stopniu, a w lepszym bądź co bądź gatunku od Wiślickiego i innych. Przytem był to fanatyk negacyi, a wiadomo, że fanatyzm zawsze pociąga... Nic zaś łatwiejszego jak tam, gdzie są naturalne żywioły opozycyjne, zszeregować je i stanąć na ich czele... W *Przeglądzie* żywiołów tych było dużo. Idealniejszych młodzieńców kramarstwo p. Wiślickiego zaczęło coraz więcej oburzać i zrażać. Skorzystał z tego Świętochowski i urządził schizmę, urządziwszy zaś ją, *ipso facto* tych, co z nim razem wyszli, pod swą absolutną zagarnął władzę i stał się panem ich życia oraz śmierci.

Do *Przeglądu* nie mogli wrócić, innego pisma prócz *Prawdy* nie mieli. Cześć dla mistrza, z początku dobrowolna, stała się później przymusową. Od jej stopnia zależało „być albo nie być“ oderwanego od *Przeglądu* schizmatyka. Wielu też szczerze, drudzy z interesu, inni w poczuciu, że to ostatecznie główna ich frakcyi siła, zaczęli wytwarzać ową atmosferę czołobitności, która dodana do samorodnych Świętochowskiego popędów, musiała trafiwszy na chełpliwe z natury usposobienie, wywołać manię wielkości. Był czas, że chadzał on jak rabin cudotwórca otoczony małamedami, proch z pod jego nóg zmiatano, każde słowo jak wyrocznię powtarzano, szarpnięcie się na jego wielkość za zbrodnię poczytywano, dostrzeżenie choćby najlżejszej skazy mianem odstępstwa piętnowano. Powstało coś w rodzaju sekty Towiańskiego z przeciwnego końca. Jak w tamtej potworzono koła godnych, godniejszych i najgodniejszych braci, a te w miarę stopnia swej u mistrza wiary stały od niego bliżej lub dalej. Do ciągłego z „mistrzem“ obcowania dopuszczani byli tylko najgodniejsi i przygotowani. Reszcie wolno go było uwielbiać zdaleka, wykonywać rozkazy, a w sądy się nie wdawać. Wszystko to zaś było otaczane pewną tajemniczością, pokrywającą wszelkie domowe sprawy solidarnem milczeniem. Organizowano dla niego pamiętną w Ratuszu scenę ofiarowania „od młodzieży“ złotego pióra, trąbiono na wszystkie strony sławę dzieł i

czynów jego, a czyniono to jeszcze wówczas nawet, kiedy laury zaczęły już więdnąć, a purpura arcymistrza płowieć. Wielcy bowiem wikaryusze mistrza sądzili, że wszystkie domowe niesnaski dadzą się zatrzeć i do powszechności nie dojdą. P. Świętochowski jednak postarał się, aby doszły. Kiedy jeden z najgorętszych jego wielbicieli i fanatyków p. Piltz założył *Kraj*, a ten stał się niebezpiecznym dla *Prawdy* konkurentem, p. Świętochowski obrzucił go błotem i najhaniebniejszemi insynuacyami. Przyszło do sądu honorowego, a jego przebieg był tą pierwszą bombą, która dalsze koła zachwiała i rozproszyła. Nawet laik odczuł odrazu, że nie idzie tu o zasadę, ale o interes. Pokazało się więc, jak niegdyś z Towiańskim, że i „mistrz" ulega ułomnościom ludzkim i kruchą ma naturę. Niewtajemniczeni dotychczas zaczęli przeglądać, ten i ów odstrychnął się, każdy się w swej wierze zachwiał. Wkrótce jednak takich bomb przybyło kilka. Posypały się procesa i sądy, a z nich wszystkich wyszła jak oliwa na wierzch bardzo smutna dla dawnych Świętochoszczyków prawda, że owa wielkość, którą sobie wyhodowali, poczuła się nią istotnie i postawiła kwestyę: *aut-aut*, albo ze mną i dla mnie, albo odmawiam wam racyi bytu. Bezemnie jesteście niczem, boście tylko narzędziami, które gdy odrzucę będą, jako cymbał brzmiące i jako miedź brząkające. W brutalnych polemikach, jakie się z powodu tych wszystkich procesów wywiązały, p. Świętochowski zmasakro-

wał dawnych swych wyznawców, co śmieli przeciw niemu sarkać, odsądził ich od czci i wiary, odmówił nietylko zdolności, nauki, ale nawet przekonań. Posypały się *anatema* — tylko mistrz, rzucając je na wsze strony, nie spostrzegł się, że wyklinając wszystkich sam jeden pozostanie. Cała zaś ta heca wywołała wielkie w opinii najzagorzalszych nawet postępowców rozdrażnienie. Jednym niemal głosem zwróciła się ona przeciwko niemu... i dawny mistrz pozostał bez obrońców...

Sic transit gloria mundi. Tak kończy *der Fanatiker mit den traümerischen Augen*, jak go nazwał kiedyś Brandes, który choć tak samo bezwyznaniowiec, zakwalifikował jednak warszawskiego „Mistrza" do rzędu: *Mediocritées des provinces*; tak kończy ten hałaśliwy apostoł negacyi, o którym można z Słowackim powiedzieć, że „mu ambicya serce z pod żeber wyjadła"... To, co w nim wyhodowali jego dawni wyznawcy i wielbiciele, jego zabiło a ich rozbiło. Dziś dawny naczelnik sekty jest nie Ojcem Makarym, ale Ojcem Hyacyntem (Loysonem), herezyarchą bez heretyków i kto wie, czy wkrótce nie będzie musiał jak tamten własnego kościoła zamknąć i u obcych szukać przytułku. Sztuczna wielkość, skoro raz upadnie, podnosi się z trudnością. Czy p. Świętochowski do dawnego znaczenia i wpływu wróci — wątpię. Sądzę, że nie, i że pozostanie on czytanym dla swej polemicznej werwy pisarzem, ale ani dawnego wpływu na młodzież, ani dawnego

przewodnictwa nie posiędzie. Młodzież pisząca opuściła go zupełnie, młodzież czytająca czyni to samo. Pozostały przy nim najgorsze z całego obozu odpadki, a te skompromitują go i uniemożliwią do reszty. *Prawda* zaś traci coraz bardziej na poczytności, staje się nudną, ciężką i anemiczną, a jeżeli powstanie jak słychać nowe schizmatyków pozytywistycznych pismo, ulegnie niewątpliwie w konkurencyi nietyle może z niem, jak z *Przeglądem*, i rzecz charakterystyczna, w rezultacie p. Wiślicki zrobi na tem wszystkiem — doskonały interes.

O innych dawnego obozu pracownikach rozpisywać się nie będę. Wybitniejszych zdolności wśród nich mało, a ostatecznie zastanawiając się po tylu latach, do czego doprowadził ten przeszczepiony na nasz grunt z takim hałasem pozytywizm, przychodzi przedewszystkiem zapytać: co zrobili? co za sobą zostawiają? jakim jest ich naukowy remanent? I odpowiedź choćby najbezstronniejsza musi przyznać, że nic, zgoła nic. Prócz kilku, często bardzo lichych tłómaczeń dzieł, raczej polemicznych aniżeli naukowych, niech zacytują choć jednę poważną książkę, niech prócz Chmielowskiego, który ma zresztą więcej wiadomości i skrzętności, aniżeli talentu i jest dziwnie suchym, a nawet ciasnym, wskażą choć jednego z swych szeregów pisarza, coby istotnie coś dla nauki w jakimkolwiek kierunku zrobił. Świętochowskiego chyba nie zacytują, bo przekonali się

sami, co wart, i wiedzą doskonale, że więcej w nim blichtru naukowego, aniżeli istotnej nauki, a po za nim kto ostatecznie wśród nich wybitniejszy? — Trochę pozytywizmu do rozbujałej i zromantyzowanej krwi naszego społeczeństwa byłoby się nawet przydało. Lecz nawet tego nie zdołali dokonać. Zajęci tylko polemiką i walką ze wszystkiem, co społeczeństwu temu drogiem i ukochanem, ścisłymi badaczami naukowymi nie byli nigdy. Badacze ci, to nie wśród nich, ale w potępianym przez nich obozie; zadanie ich całe ograniczało się na hałasach i krzykach, na tumanieniu siebie i drugich, na sztucznej około haseł wrzawie, na burzliwej i burzącej walce, którą brali za pracę około postępu i przemiany społeczeństwa. W gruncie zadania swego nie zrozumieli zupełnie, nie zdołali zastosować go ani do dzisiejszej chwili, ani do położenia, w jakiem się kraj znajduje. Jeśli komu należy się tytuł zacofańców, to im właśnie; jeśli kto zgrzeszył utopizmem, to oni głównie. Bo czyż nie jest utopią przypuszczać, że teorye pozytywistyczne, opierające się w gruncie na sile brutalnej, mogą być nieszkodliwemi i niezgubnemi w kraju, który od lat tylu przeciw tej sile brutalnej walczyć musi; czy nie jest zacofaniem, nie zdawać sobie sprawy z sytuacyi i nie zastanowić się, że socyalizm państwowy, do którego przerzucili się, jest zasadniczo niemożliwym tam, gdzie wszystkiego od najmniejszej do największej rzeczy trzeba przed państwem bronić i z rąk jego wydzierać.

Zauważył to za krótkim u nas pobytem zagraniczny ich koryfeusz, Brandes, i nie mógł wyjść z podziwienia, jak dalece ludzie ci zapoznają realne położenie swojego kraju, jak nie liczą się z jego warunkami i nie rozumieją, że to, o czem można mówić we Francyi, Anglii i Niemczech, tutaj wymyka się z pod teoretycznej nawet dyskusyi, a w praktyce prowadzi do najstraszniejszych i wprost sprzecznych z interesem narodowym — rezultatów. Widzi to i rozumie cudzoziemiec, ale oni tego zobaczyć ani zrozumieć nie chcą. I niech się też nie dziwią, jeśli tak często spotyka ich zarzut szkodliwego pod względem narodowym oddziaływania; niech się nie dziwią, jeśli trudno w gruncie ich robót dopatrzeć jeśli nie narodowej nuty, bardziej może od pewnego czasu ożywionej, to narodowego celu. Kilkunastoletnia walka z tem, co nazwali „przesądem“ i „stęchłą tradycyą“ znieczuliła w nich ten nerw, pozwoliła mu zgrubieć i stracić przyrodzoną tkliwość. Sami temu winni, sami odcięli się od społeczeństwa, które ani tradycyi, ani przeszłości uszanować nie umieli. Sami rozpoczęli druzgocącą wszystko i wszystkich walkę, w której ostatecznie rozbili się i rozszarpali, ogółowi żadnej korzyści nie przynosząc, a szkód co niemiara....

Rozproszeni i zdezorganizowani czy zdołają dziś na innych oprzeć się podstawach i w tym przynajmniej kierunku zreformować swoją działalność? Wątpię. Nic w nich bowiem niema samorodnego,

nic takiego, coby z rodzimego wypływało gruntu. Obca to naleciałość, podsycana ciągle wpływami zagranicznych prądów, a nie potrzeb miejscowych. Wszystko to szczepy, nic z gruntu nie wyrosło. Nic też dziwnego, że gruntu trzymać się nie chce, że jak źle przesadzona flanca więdnieje i powoli ginie.... Nie w rdzennie polskiem społeczeństwie znaleźli też oni chwilowy posłuch i adeptów.... Lgną do nich głównie żywioły semickie, zawsze do wszelkiej skrajności i bezwyznaniowości skłonne; lgnie młodzież, zarażona nabytemi w rosyjskiej szkole teoryami, a doskonale pod ich posiew przygotowana zupełnym brakiem religijnego ducha i wykształcenia; lgną ci, co w Rosyi żyjąc tamtejszym przejęli się pesymizmem i wpływom rosyjskiej ulegli literatury; lgną wszyscy, co teoretycznie lub praktycznie od narodowych oderwali się wierzeń; lgnie wreszcie najliczniej rzesza ciekawych a bezmyślnych, których wabi jaskrawość i polemiczna żywość.

Skoro zaś jednak zapuściłam się w te ogólne nad dawnym pozytywistycznym obozem uwagi, to na jeden jeszcze ciekawy zwłaszcza fenomen muszę zwrócić Twoją uwagę A mianowicie na tę nienawiść, jaką wszyscy ci ludzie pałają do waszego „stańczykowskiego“ obozu.... Nienawiść ta przechodzi czasem w furyą, o której wy zapewne nie wiecie, a która się objawia w najrozmaitszych formach rodzimych i napływowych. Weź *Prawdę* lub *Przegląd* do ręki, a przekonasz się, co się

tam na „Stańczyków“ nie wypisuje i jakiemi obdarza się ich epitetami... Najzabawniejsze przytem wytwarzają się sojusze. Ci, co u was w Galicyi pozują na skrajnych szowinistów i są rozsiewaczami tromtadracyi, ci tutaj podają dłonie ludziom pod względem patryotycznym co najmniej chłodnym i powtarzającym wciąż: „my trzeźwi, zimni, od wszelkich porywów wolni....“ Dość jest przeczytać „wskazania polityczne“ p. Świętochowskiego (w *Ognisku* dla Jeża), aby się przekonać, jak pod względem zasad politycznych kierunek *Prawdy* i *Przeglądu* różnym jest od tego, jakim się posługuje cała wasza tromtadracya. Zasadniczo więc powinni być właściwie wrogami. Schodzą się jednak i godzą cudownie na punkcie nienawiści do Stańczyków. Nie idzie tu bowiem o zasady, ale o ludzi. Niedarmo mawiał Szujski, że takich godłem nie jest: n i e t o, ale n i e t y....

I oto na tej niezmiernie głębokiej uwadze Szujskiego, która gdy patrzę na wszelkie dziennikarskie zachody ciągle na myśl się nasuwa, przychodzi mi kończyć moje o prasie warszawskiej notatki. Konkluzyi wyciągać nie chcę. Uczyń to sama. Starałam się przedstawić Ci ludzi, ich i pism ich kierunki, a jeślim zadaniu sprostać zdołała, konkluzya nie będzie chyba trudną.... Masz światła i cienie, stwórz z nich sama obraz....

Mnie spieszno wywiązać się z jednego jeszcze zobowiązania, jakie zaciągnęłam w poprzednich listach. Muszę choć kilka słów powiedzieć o jedy-

nym dzienniku, jaki wychodzi w Warszawie w języku rosyjskim.

Dziś nazywa się on *Warszawski Dniewnik* i drukuje wyłącznie w języku rosyjskim, dawniej zwał się *Dziennikiem* i wychodził po polsku. Założony po zwinięciu *Dziennika Powszechnego* margrabiego, tytułu zapożyczył od wydawanej niegdyś przez Henryka Rzewuskiego gazety. Ta jednak nie ma nic z rodowodem *Dziennika* wspólnego. Przemieniła się ona na *Kronikę Wiadomości krajowych i zagranicznych* a z tej w *Gazetę Codzienną*, później *Polską*. Na *Dniewniku* odbijają się doskonale wszystkie fazy naszych po-powstaniowych rządów. Za namiestnictwa hr. Berga zaczął wychodzić po polsku i podawał tylko ukazy cesarskie w dwóch tekstach. Redakcyę jego powierzono Pawliszczewowi, naczelnikowi ówczesnej cenzury. Zrazu hr. Berg roił sobie, że będzie wywierał przez organ urzędowy jakiś wpływ na kraj. Uposażył go więc doskonale, przeznaczając 30 000 rs. subwencyi prócz obowiązkowych ogłoszeń rządowych i polecił Pawliszczewowi, aby starał się zaciągnąć do redakcyi najwybitniejsze siły dziennikarskie i literackie, nie żałując złota. Próżnemi jednak były zabiegi i obietnice sowitych płac. Z głośniejszych literatów jeden tylko Aleksander Niewiarowski wstąpił do redakcyi *Dziennika* i pisywał w nim przez parę lat... Zresztą żaden. Delegowano tam kilku podrzędnych urzędniczków i ci zapełniali „po ukazu“ szpalty. Pawliszczew

przepuścił nietyle na *Dziennik*, jak na siebie kilkadziesiąt tysięcy rubli, a redaktorem po nim został Weinberg, żydek z Berdyczowa. I ten nie długo gościł, narobił deficytów, pozaciągał długi i zmarł w chwili, kiedy mu wytoczono proces kryminalny o nadużycia. Z kolei objął redakcyę Mikołaj Berg, lektor uniwersytetu i tłumacz *Pana Tadeusza*. Ten stosunkowo był najprzyzwoitszym ze wszystkich urzędowych redaktorów, ograniczał się na podawaniu komunikatów, ale sam polityki na własną rękę nie prowadził i nie podjudzał. Nie pamiętam już dobrze, czy za Weinberga, czy za niego *Dziennik* przemienił się na *Dniewnik* czysto rosyjski i tylko ukazy cesarskie podawał obok oryginału w tłumaczeniu polskiem. Później i to się zmieniło, a *Dniewnik* obecny i tego nawet nie czyni. Polskie czcionki są w nim niezmierną rzadkością, a ukazują się naówczas tylko, kiedy daje ogłoszenie Towarz. kredytowego ziemskiego. Wszystkie inne ogłoszenia i rozporządzenia drukowane są wyłącznie po rosyjsku.

Po Bergu objął redakcyę jakiś Galicyn z bocznej linii, dawny naczelnik tajnych szpiegów, figura niepoczesna, brudna i w interesach prywatnych powikłana. Było to za Albedyńskiego, więc nowy redaktor *Warszawskiego Dniewnika* próbował wywiesić jakiś ugodowy sztandar, pisywał o „złotym moście,“ który miał połączyć Polaków i Rosyan, starał się wciągnąć w polemikę prasę tutejszą i wyzywał ją do tego wszystkiemi sposo-

bami. Skończył zaś swą karyerę zaciągnięciem kilku tysięcy rs. długu i zarwaniem dostawców papieru, którzy później, już po jego z Warszawy zniknięciu, procesowali o to rząd. Pretensye ich oddalono jednak, bo w ciągu tego czasu zmieniła się organizacya *Dniewnika*, a rząd wyznaczał mu tylko subwencyę i nie prowadził już więcej wydawnictwa na własną rękę.

Po Galicynie wreszcie urzędowym redaktorem został p. Szczebalskij, zmarły na wiosnę tego roku. Exdyrektor gimnazyum, fanatyk Apuchtinowskiego pokroju, Szczebalskij wnet się pokumał z Maryą Andrejewną, odczuł instynktownie, jaki prąd z Zamku wieje, i stał się wiernem jego odbiciem. *Dniewnik* z organu urzędowego przemienił się w organ osobisty pani jenerał-gubernatorowej. Ona nadawała mu ton i podsuwała do artykułów myśli. Znikła dawna rezerwa, znikły owe względy, któremi każdy organ urzędowy zawsze krępować się musi i ze szpalt *Dniewnika* zaczęła buchać całą falą nienawiść i fanatyzm, chęć rusyfikacyi i oprawosławienia wszystkiego i wszystkich w tym kraju, zawziętość przeciw Austryi i co więcej jawne popychanie waszych „świętojurców“ do zdrady stanu. Ten anti-austryacki ton *Dniewnika*, ta propaganda prawosławia w Galicyi doszły do tego stopnia, że aż ambasador austryacki w Petersburgu interpelował p. Giersa — jak należy tłómaczyć podobną postawę urzędowego w Warszawie organu i co ona ma znaczyć. Mi-

nister wyparł się wszelkich stosunków z *Dniewnikiem* i całą odpowiedzialność zwalił na jego redakcyę, całkiem jakoby samoistną i niezależną. Lichy epigon Katkowa, p. Szczebalskij prowadził też *Dniewnik* na wzór i model *Moskiewskich Wiedomosti*. Pełno w nim było zawsze różnych denuncyacyj, pełno projektów exterminacyjnych, pełno myśli podsuwanych — z których wiele wchodziło później w wykonanie. Kiedy za Berga *Dziennik* udawał organ „polski" i pozował na to, że jest wyrazem rządowego w kraju stronnictwa; kiedy za Kotzebuego cichy, spokojny, nie śmiał zdobyć się na jakikolwiek krok samoistny, a za Albedyńskiego, acz niezręcznie i niezgrabnie, budował jednak jakiś „most złoty," od chwili objęcia rządów przez jen. Hurkę stał się on widomym i najhałaśliwszym reprezentantem *des nouvelles couches*, prekursorem nowych ludzi i nowego prądu, ową trybuną, z której spada zapowiedź wszystkich zamysłów i ciosów, mających dotknąć Królestwo Polskie. Djejatielom i djejatielnicom Zamku wtóruje on też brutalnie, z cynizmem, wiernie odbijającym usposobienie naszej wielkorządczyni, z bezwzględnością, na jaką żaden z innych urzędowych organów rosyjskich nie śmiał się dotychczas zdobyć. Wszystkie jego komunikaty zaprawione są obecnie jakimś dziwnie drażniącym i ostrym sosem, a taką dozą nienawiści i zawziętości, że przelewa sie ona po za szpalty, irytuje, wyzywa i najspokojniejszych nawet wzburza. Po

śmierci Szczebalskiego redaktorem *Dniewnika* został p. Kułakowskij, lektor uniwersytetu, figura licha i arcypodrzędna. Prowadzi on ową gazetę w tym samym co Szczebalskij tonie i pod temi samemi wpływami. Egerya bowiem Zamkowa umiała dobrać sobie powolne narzędzie i wciąż dalej przez *Dniewnik* głównie wszystkie swe zamysły wylewa. Po Kułakowskim został redaktorem [illegible], z zawodu [illegible], autor głośnych „Petersburskich [illegible]". Kierunek Dziennika był ten sam [illegible] takim nadal, gdyż otrzymał wyższą aprobatę [illegible] i w prasie [illegible] Katkowowskiej [illegible]

—— ···✱··· ——

[illegible] ludzi z [illegible] [illegible] Timanowski [illegible] z zawodu [illegible], figura arcylicha i nieudolna [illegible] [illegible] w Warszawie [illegible] o jeden stopień wyżej. Za to [illegible] [illegible] Murawiewa.

Za czasów [illegible] Dziennika [illegible] [illegible] do [illegible] [illegible] „Narodnimi [illegible]" i do [illegible] Admirała.

LIST SIÓDMY.

Teatr i życie artystyczne w Warszawie.

TREŚĆ: Teatromania naszej prasy. — Nadmierne znaczenie teatru w Warszawie. — Gdzie jego źródło? — Teatr rosyjski. — Jego szanse. — Organizacya naszych teatrów. — Trzej prezesi. — Sergiusz Muchanow. — Pani Muchanow-Kalerdżi. — P. Wsiewołod-Wsiewołożskij. — Senator Gudowski. — Dramat i komedya. — P. Tatarkiewicz. — Opera. — Teatr mały. — Życie artystyczne. — Towarzystwo muzyczne. — Z. Noskowski. — Nasi muzycy. — Towarzystwo zachęty sztuk pięknych. — Fawor publiczności. — Nasi malarze. — Salony literackie. — Dawniej i dzisiaj. — „Czwartki" Deotymy. — Wieczory muzykalne. — Popisy deklamacyjne. — Balet w salonie. — Teatr amatorski i bale kostiumowe.

Kto często bywa w Warszawie, tego wśród innych jedna także rzecz uderzyć musi oto nieproporcyonalne miejsce, jakie w zajęciu ogółu zajmuje teatr. Znać to przedewszystkiem w prasie. Nigdzie tyle, co u nas, nie piszą o teatrze, nigdzie tyle o nim nie mówią i z tego powodu nie kłócą się. Teatromania jest jedną z chorób naszego dziennikarstwa. Dawniej zwłaszcza podnosiło ono

wszystkie, choćby najdrobniejsze sprawy teatralne do nadmiernego znaczenia, zalewało niemi szpalty, dzieliło się na frakcye i stronnictwa. Dziś choć trochę mniej, to samo jeszcze istnieje. Dziennik *X.* proteguje specyalnie tę artystkę, dziennik *Y.* tamtą lub tamtego, dziennik *Z.* wreszcie ma swego faworytalnego autora i reklamuje go niezmordowanie, a potępia współzawodniczących. Wszystkie zaś chwytają w lot każdą o teatrze wiadomostkę, donoszą, że pani A. ma chrypkę, pan B. dostał kataru, że sztuka pana C. rozdaną została do nauki, to znów, że odbyła się próba czytana, że jutro będzie pamięciowa, że obsada ról jest taką a taką i t. d. w nieskończoność. Latem zwłaszcza, kiedy zjadą do ogródków trupy prowincyonalne, teatr wzbija się niemal na pierwsze miejsce i reporterya teatralna zaczyna dopiero na dobre hulać. Reporterya ta tłumi prawdziwą krytykę i nabiera coraz bardziej większego od niej wpływu. Kilkowierszowe wzmianki, powtarzane codzień przez wszystkie pisma, znaczą u publiczności więcej, aniżeli najpoważniejsze recenzye Te mogą być jaknajgorsze, niech reporta będzie dobrą i zachęcającą, a powodzenie niechybne... Kiedy nazajutrz po pierwszem przedstawieniu w teatrze jakiejś sztuki weźmie się którekolwiek pismo warszawskie do ręki, to czuć odrazu, że ta wczorajsza „premiera“ jest wypadkiem dnia, że spycha ona na bok wszystkie inne choćby najważniejsze i najbardziej doniosłe... Cóż dopiero, kiedy następuje

zmiana w zarządzie teatru, nominacya nowego prezesa albo występ jakiejś silnie reklamowanej „gwiazdy“... Wówczas tyle o niej mówią i tak ją komentują, że nieznający stosunków sądziłby zrazu, iż nastąpił jakiś gwałtowny przewrót systemu, że powrócił do władzy Loris-Melikow albo hr. Szuwałow został namiestnikiem Królestwa... Tymczasem to tylko p. Gudowski objął miejsce po p. Wsiewołożskim albo pani Kochańska ogłosiła zanadto wysokie na swe koncerta ceny...

Teatr porusza u nas wszystkie namiętności, które gdzieindziej miewają w szerszem życiu publicznem ujścia. Wytwarza stronnictwa i dzieli ludzi, kłóci między sobą dzienniki i waśni dziennikarzy... Teatr sprawia, że lada chłystek, co w nim wystawi choćby marną jednoaktówkę, staje się nazajutrz więcej w całem mieście znanym i ciekawszym, aniżeli autor najpoważniejszej pracy naukowej... Teatr jest przedmiotem ogólnego zainteresowania się i bywają chwile, że trzeba iście nadnaturalnego wysiłku, by uwagę publiczności od niego odciągnąć i na inny zwrócić przedmiot. Na całym świecie teatr zajmuje tylko wieczorem w godzinie swoich przedstawień, u nas dzień cały od samego rana... Niema też lepszego dla teatru aniżeli Warszawa miasta, żadne bowiem nie jest tyle, co ona rozteatrzone...

Pochodzi to jednak w części z bardzo prostej przyczyny. — Nigdzie teatr niema tego co u nas wyjątkowego znaczenia. Wytworzyło je po-

łożenie polityczne. Jedyna to instytucya publiczna, w której ostał się jeszcze język polski. Niema go już w urzędach, niema w szkole i w sądach, jest tylko w kościele i w... teatrze. Z tego też powodu interes ogólny wytęża się z taką gorączkowością w stronę ostatniego paladyum żywego słowa rodzinnego, ztąd ta pieczołowitość o nie i troska o jego losy, ztąd specyalna w tym kierunku drażliwość nerwów. Nadto ten polski teatr jest własnością rządu i prowadzonym bywa z jego ramienia, więc sprawy jego sądzi się z naturalną podejrzliwością, z chęcią tłumaczenia wszystkiego jako konsekwencyi systemu i oznaki zamiarów sfer wyższych. Jeśli dyrekcya jest złą i scenę ku upadkowi chyli, to mimowolnie rodzi się przypuszczenie, iż ten upadek nie wypływa z ogólno-teatralnych lub indywidualnych przyczyn, ale jest umyślnym, systematycznym, konsekwentnym... Wytwarza się położenie anormalne i całkiem różne od tych, jakie istnieją w teatrach całego świata. Nigdzie nikt rozsądny nie posądza kierowników jakiejś sceny, aby z zasady chcieli doprowadzić do upadku, aby to było ich interesem i zamiarem. Mogą prowadzić źle, ale nie prowadzą umyślnie źle. U nas takie posądzania bywają częstemi, a mają one swe usprawiedliwienie w ogólnym systemie, dążącym do powszechnego obniżenia i degradacyi.

Kiedy na wiosnę b. r. przybyła do Warszawy trupa rosyjska z Moskwy i dawała przedstawie-

nia w Teatrze Wielkim, fakt ten zrobił nietylko w mieście, ale w całym kraju ogromne a deprymujące wrażenie. Gdzież źródło tego wrażenia? czyż w powszechnej, ciasnej i szczepowej niechęci do wszystkich przedstawień w innym niż polski języku? Wszak byli w Warszawie Meiningeńczycy, był teatr francuski, byli Włosi i to w tym samym co Rosyanie gmachu, a publiczność chodziła na ich przedstawienia i zapełniała je po brzegi. Dlaczegóż od rosyjskich tak stroniła, że literalnie nie znalazł się ani jeden widz Polak? Przyczyna bardzo prosta. Ilu jest Polaków na świecie, żaden nie mógł przypuścić, żeby w sprowadzeniu trupy rosyjskiej do Warszawy sztuka odgrywała jakąkolwiek rolę. Poszła ona tu w służbę polityki, stała się *diejatielnicą*, a dość przeczytać mowy, które aktorowie moskiewscy wygłaszali na uczcie, dawanej dla nich w ruskim klubie, aby przekonać się, w jak monstrualnym stopniu tak istotnie było. W fakcie tym widziano zamach na byt sceny polskiej w Warszawie, widziano chęć zaboru i tego zakątka języka, widziano zamiar rusyfikacyi teatru, jako ostatniego ogniwa w ogólnym łańcuchu wynarodowienia. A widziano to wszystko dlatego, że widzieć musiano, że to odpowiada i duchowi czasu, i systemowi, pod jakim żyjemy. Widzieli zaś nietylko ludzie inteligentni, ale i ten tłum uliczny, co w dzień pierwszego przedstawienia rosyjskiego stał na skwerze przed Teatrem Wielkim, śledząc, kto tego wieczora do

teatru idzie i czy wśród spieszących niema kogo z Polaków.

Nie wchodzę w to, czy istnieje u góry zamiar zniesienia wogóle rządowego teatru polskiego w Warszawie, a zaprowadzenia rządowego teatru rosyjskiego, lub czy eksperyment wiosenny ma być tylko zapowiedzią corocznych w tym rodzaju prób. Wprawdzie żyjemy wśród ciągłych nieprawdopodobieństw, i to, co wydawało się nam wczoraj wprost niemożliwem, stawało się nazajutrz tylokrotnie już istotnem. Wprawdzie w dzisiejszych czasach i przy dzisiejszych prądach oraz ludziach nic niemożliwego niema, pomimo to jednak, zdaje mi się, że zupełna rusyfikacya rządowych teatrów warszawskich należy do tych życzeń i chęci, które mogą się rodzić w niektórych pustych głowach i być pieszczoną myślą pewnych wielkorządczyń, w praktyce jednak nigdy urzeczywistnić się nie dadzą. Nawet zaślepienie bowiem i nienawiść muszą się koniecznie pogodzić z tym faktem, że rusyfikacya rządowego teatru w Warszawie równałaby się zupełnemu jego zniesieniu. Miasto zaś liczące blisko pół milionową ludność, bez teatru istniećby nie mogło, a wątpię, aby było w interesie rządu, aby bez rządowego istniało. Skoro zaś teatr rządowy przestanie być polskim, jako rosyjski nie zdoła się utrzymać. To fakt, z którym musi się liczyć nawet Marya Andrejewna. Może ona sobie roić różne plany, ale musi pamiętać, że do wprowadzenia tych planów w życie,

trzeba koniecznie pieniędzy. Tegoroczna próba mogła ją przekonać, że przedstawienia rosyjskie winny liczyć tylko na rosyjską publiczność, że z polskiej nie wpłynie do ich kasy ani kopiejka, że nadto są one niezmiernie kosztowne ze względu na bardzo wysoką skalę płac, jakie wogóle aktorowie rosyjscy pobierają, że wreszcie ta garstka publiczności rosyjskiej w Warszawie, która w czerwcu zapełniła przy nadzwyczajnej forsie, agitacyi i teroryzmie w Zamku 15 przedstawień, nie byłaby nigdy w stanie i nie miałaby po prostu na to pieniędzy, aby zapełniać je stale. Teatr rosyjski w Warszawie, z położenia rzeczy ciągle pusty, kosztowałby więc co najmniej 200.000 rs., a z operą, baletem pół miliona rocznie, a takiej szalonej subwencyi nie wstawi do budżetu żaden minister skarbu w Petersburgu, a tembardziej nie zatwierdzi jej cesarz, znany z swych oszczędnościowych popędów, ten Aleksander III, który świeżo właśnie obniżył więcej niż o połowę pensye wszystkich członków swej rodziny. Żeby się zaś nie jedna, ale sto Maryj Andrejewien uwzięło, to nie sprawią tego, aby publiczność polska chodziła na teatr rosyjski. Nie pójdzie, nawet gdyby w całej Warszawie innego tylko ten, teatru nie było; nie pójdzie, choć taka z natury chciwa wrażeń i widowisk, jeśli już nie przez patryotyzm, to skutkiem tego, że nie rozumiejąc dobrze języka i tak nawskróś rodzimego repertoaru, zamiast zabawić, znudzi się. A zresztą, przecież w Wilnie więcej

jest Rosyan, aniżeli w Warszawie, przecież żydzi tamtejsi mówią wszyscy po rosyjsku i za Rosyan się uważają, a jednak teatr tamtejszy bankrutuje co rok, pomimo bardzo wysokiej (podobno 40.000 rs. rocznie) subwencyi rządowej.

Może więc sobie pani Hurko roić o rusyfikacy rządowych teatrów warszawskich, będą to jednak zawsze rojenia. I Napoleon nie mógł bez pieniędzy prowadzić wojny, nie poprowadzi jej Marya Andrejewna i przemyski rysownik, p. pułkownik Palicyn... Są to *pia desideria*, zbyt kosztowne, aby przy największej nawet ku nam zawziętości o zdwojonej nienawiści mogły stać się kiedykolwiek faktem dokonanym. I niech mi kto powie, że pieniądz niema swoich dobrych stron, a pustki w skarbie nie są doskonałem na wiele rzeczy lekarstwem. Na zakończenie dodam, że pierwszy pobyt aktorów rosyjskich w Warszawie nader tragiczny miał epilog. Byli to aktorowie z Moskwy, z pod dyrekcyi słynnego i istotnie utalentowanego autora dramatycznego rosyjskiego Ostrowskiego. W chwili, gdy na bankiecie pożegnalnym w klubie ruskim jeden z aktorów wnosił jeden z tych tendencyjnych toastów, o których wyżej mówię, przyniesiono z telegrafu depeszę, zwiastującą nagłą śmierć — Ostrowskiego.

Nic zawikłańszego, jak położenie prawne teatru warszawskiego. Wielki gmach teatralny stoi na gruncie, który należał niegdyś do PP. Kanoniczek i zwał się „Marywilem“. Grunt ten dało rządowi

pod budowę gmachu miasto, płacąc zań wieczystą dzierżawę Kanoniczkom. Dziś więc położenie jest takie: plac należy do Kanoniczek, czynsz dzierżawny płaci zań magistrat, gmach wystawił rząd i jest jego posiadaczem. Magistrat więc powinien mieć właściwie głos w zarządzie teatru i wpływać nań. Tymczasem płaci on za teatr około 10,000 rs. rocznie, ale dyrekcya teatrów warszawskich jest czysto rządową, opartą na innych zupełnie zasadach, aniżeli zagraniczne intendentury. To nie teatr dworski, ale rządowy, podlega on więc nie ministrowi dworu, lecz ministrowi spraw wewnętrznych, a prezes dyrekcyi na równi z naczelnikami innych dykasteryj musi co tydzień chodzić z raportem do jenerał-gubernatora. Jenerał-gubernator zatwierdza etaty, kontrakta, czasowe z przyjezdnymi artystami umowy, nawet tygodniowy repertoar. Od niego zależy pozwolenie na benefisowe dla artystów poranki oraz użyczanie sali na przedstawienia dobroczynne. W biurze naczelnika kraju jest specyalny do spraw teatralnych referent, a cała zewnętrzna korespondencya prowadzi się naturalnie po rosyjsku. Dyrekcya składa się z prezesa i vice-prezesa, na sesyach zasiadają reżyserowie i dyrektorowie opery. Do niedawna istniała jeszcze posada „towarzysza prezesa", obecnie zniesiona czy chwilowo nieobsadzona tylko, nie wiem tego dokładnie. Urzędników, sekretarzy, kontrolerów i piszczyków mnóstwo, bo aparat biurokratyczny olbrzymi, a pisaniny

co niemiara. Na każdy guzik do trzewika trzeba podawać „zapotrzebowanie“, pisać asygnacye, kwitować, wciągać do ksiąg i rejestrów, kancelarya zużywa stosy papierów, a manipulacya administracyjna jest niezmiernie skomplikowaną. Teatr rządowy ma monopol i pobiera szóstą część od wszystkich przedstawień w granicach rogatek warszawskich. Subwencyi pobierał teatr dawniej 60,000 rs. rocznie. Nadto zwracano mu straty poniesione wskutek obowiązkowej żałoby dworskiej po śmierci cesarza, cesarzowej lub następcy tronu. Subwencya ta zmalała później do 30,000 rs. t.j. do połowy; za ostatnią żałobę (trzy tygodnie teatr był zamknięty) nie zapłacono wcale, a w końcu cofnięto wszelką zapomogę, płacąc tylko jednorazowo długi, jakie zaciągnął teatr za rządów p. Wsiewołożskiego i przeznaczono 38,000 rs. z funduszu użyteczności publicznej *) na odbudowę Teatru Rozmaitości. Słyszałam, że subwencya ma być znowu przywróconą w. wysokości 30,000 rs. O ile ta wiadomość pewną, nie wiem, jest ona jednak prawdopodobną. Prócz szóstej części ze wszystkich widowisk ma jeszcze teatr stały do-

*) Fundusz użyteczności publicznej powstał w myśl uchwały sejmowej z kar, płaconych za spóźnienie w ratach przez stowarzyszonych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Wynosił on 3.500,000 rs., który to kapitał rząd kazał przelać Towarzystwu do Banku Państwa i nim dysponuje. Ma on być podobno obróconym na założenie Banku włościańskiego.

chód z gmachu i znajdujących się w nim sklepów oraz lokali. Dochód ten mógłby być o wiele znaczniejszym, gdyby zrestaurowano całą połać gmachu od ulicy Wierzbowej i Trębackiej i potworzono w niej sklepy oraz mieszkania. Możnaby tam także wybudować trzecią salę teatralną na pomieszczenie t. zw. „małego teatru".

Prezesem teatrów warszawskich jest obecnie senator Gudowski. Był nim przedtem p. Wsiewołożski, a jeszcze pierwej Sergiusz Muchanow. Nie zapuszczając się w reminiscencye historyczne, wybieram te trzy rządy jako najważniejsze i konsekwentnie ze sobą złączone.

Sergiusza Muchanowa znasz już trochę z poprzednich listów i wiesz, co to za człowiek. Obejmował on naszą scenę stosunkowo w bardzo pomyślnych warunkach. Zastawał Żółkowskiego, Królikowskiego, Rychtera, Bakałowiczową, Palińską, w operze Filleborna i Dowiakowską, a jen. Hurko przekazywał mu w spuściznie ową „żelazną skrzynię," tak skrzętnie niegdyś zapełnianą przez jen. Rautenstraucha. Muchanow wnosił do teatru dwa wielkie na kierownika przymioty. Lubił teatr niezmiernie i palił się do niego, a bez tego nikt dobrym dyrektorem nie będzie, energicznym był z natury i miał w sobie taką dozę despotyzmu — jaka do zarządu teatrem wszędzie i zawsze jest niezbędną. Miał przy tem dużo zimnej krwi i spokoju w traktowaniu spraw i interesów z natury zapalnych i roznamiętniających. Na sztuce znał

się doskonale, wykształconym był i oczytanym bardzo, a wszedł z ambicyą i poczuciem, że scena warszawska musi być pierwszorzędną, że ma po temu warunki i że stanowiskiem winna dorastać „Burgowi“ wiedeńskiemu lub paryskiemu *Théatre français*.

Je faisais de l'art, aujourd'hui on fait de l'argent — powiedział kiedyś Muchanow, tłumacząc merkantylizm dzisiejszego zarządu. I rzeczywiście tak było. Jenerał Abramowicz to oberpolicmajster teatru, rządził nim po Mikołajowsku, sadzał aktorów do kozy i walił ich tabakierką w nos; późniejsi jego następcy to administratorowie, spokojni, porządni, regularni, ale niemający żadnego o sztuce pojęcia, kierowali oni teatrem tak, jak się kieruje kancelaryą, spychając całą robotę na podwładnych; p. Wsiewołożski nie rządził wcale, ale był wspaniałomyślnie — rozrzutnym, zaciągał długi, a p. Gudowski zasklepia rany i robi pieniądze. Pierwiastek i ambicyę artystyczną wnosił do dyrekcyi teatru jeden tylko Muchanow. Ten naprawdę na sztuce się znał i wiedział, czego ona wymaga; ten roił sobie, że poziom naszej sceny podniesie i gust publiczności wykształci... Przedewszystkiem zaś Muchanow miał szczęśliwą do teatru rękę, objął on go w chwili, kiedy pojawiły się na scenach polskich istotne a pierwszorzędne talenta. Udało mu się niektóre z nich zdobyć i zaraz na wstępie Krakowowi zabrał Modrzejewską, Lwowowi Popielkę, z wszystkich teatrów w Polsce pościągał wybit-

niejsze niektóre siły (Rapacki, Leszczyński), wśród młodszej generacyi artystów patrzał na rozwój i postępy Ostrowskiego, Tatarkiewicza, Szymanowskiego, Wolskiego. Szczęście to sprzyjało mu zrazu we wszystkiem, czego się tknął, nawet w operze włoskiej, której imprezę powierzył Merellemu. Przez parę lat miała Warszawa takich Włochów, jakich posiadać może tylko Petersburg, Wiedeń lub Paryż. Wszystkie gwiazdy Europy ściągały tu nad Wisłę i za skromne stosunkowo pieniądze słuchaliśmy Artôt i Trebelli, rozkoszowaliśmy się Cotognim, Padillą, Massinim i t. d. W polskiej operze Filleborn był jeszcze w całej pełni głosu, a Dowiakowska w sile wieku.

I to specyalne Muchanowa do „gwiazd“ szczęście musiało się odbić na ogólnym jego systemie teatralnym. System ten nie polegał na artystycznej całości, lecz na wirtuozowskich popisach jednostek. Zarówno w dramacie, jak i w operze mieliśmy zawsze szereg występów różnych znakomitości, ale nie stałą, pierwszorzędną scenę. Były sztuki grywane *arte*, bywały i takie, których przedstawienia raziły prowincyę. Cała forsa zwracała się tylko w stronę „gwiazd,“ reszta stanowiła środek pomocniczy, otoczenie. Wytworzył się więc stosunek anormalny i przez to samo już niezdrowy. Dobierano nie aktorów do sztuk, lecz sztuki do aktorów. Do nich naginał się cały repertoar i tworzyła go właściwie nie dyrekcya teatru, lecz „gwiazdy.“ To też tłumaczy olbrzymi wpływ, jaki

na rozwój sceny warszawskiej wywierała Modrzejewska. Wyjątkowy talent wyjątkowe zajął stanowisko i oddziaływał na repertoar, wyciągając go z dawnej zapleśniałości i marazmu. Od niej zaczyna się właściwie przejście z melodramatu do dramatu, ona wprowadziła Szekspira, Słowackiego, Schillera... Świetne to były czasy, na mnie jednak robiły one wrażenie onego szczęśliwca, co wygrawszy wielki los na loteryi żył jak magnat i hojny mecenas sztuki, nie bacząc o jutrze i jakby pewny, że w krytycznej chwili nowe zabłyśnie szczęście i nowa przyjdzie wygrana. Tymczasem jak zwykle w grze „passa“ minęła, nowej nie umiano uchwycić i złota epoka nie trwała długo. Kiedy Modrzejewska wyjechała do Ameryki, system „gwiazd“ zachwiał się już przez to samo.... Nadeszła chwila, w której należało zdecydować się odrazu na radykalną zmianę i zmianę tę przeprowadzić za jednym zamachem. P. Muchanow nie zrobił tego. Więcej może nie mógł, aniżeli nie chciał. Wżył się on zanadto w złotą swego teatru epokę, aby odważył się na gwałtowną przemianę całego artystycznego kierunku, zbyt wreszcie wierzył w szczęście, aby ustawicznie nie miał go brać w rachubę, a przy wszystkich swych zaletach grzeszył niezwykłym uporem, który był nieraz do istotnego rozwoju sceny przeszkodą. Pozostawała mu jeszcze Popielka, wielki talent, pozostawał Żółkowski, Królikowski, tylu innych drugorzędnych, jedna „gwiazda“ ubyła, oparł się

więc na reszcie... Tylko zaczął go już opuszczać dawny zapał, a miejsce jego zajęło zniechęcenie. Zniechęcenie to zwiększyło się jeszcze, skoro wewnętrzne stosunki teatralne poczęły się psować, a wymagania artystów nieproporcyonalnie wzrastać. Muchanow wchodząc do dyrekcyi podniósł etaty, powiększył uposażenia. Było to bardzo sprawiedliwem, nawet koniecznem, ale poruszyło nader niebezpieczną w teatrze sprawę: kwestyę podwyszek, jednę z tych, co raz wszczęta nie ma właściwie nigdy końca. Nie miała go też ona za rządów Muchanowa, lecz przeszła w sukcesyi na następców, a o mało, że nie podminowała zupełnie teatru za p. Wsiewołożskiego.

Po śmierci żony, która wśród najcięższych chwil podtrzymywała w nim zapał i dodawała wytrwałości, p. Muchanowa zaczęło ogarniać coraz większe zniechęcenie... Odstrychnął się od dramatu i komedyi, zaniedbał zupełnie prawie operę, a zwrócił się wyłącznie ku baletowi. W ostatnich latach dramat i opera były tylko dodatkiem do... kultu Terpsychory. Ten wysforował się na pierwsze miejsce i zaczął się rozsiadać. Pochodziło to raczej ze zobojętnienia, aniżeli z predylekcyi. Kto wie zresztą, czy nie z nabytego wewnętrznemi zatargami przekonania, że szkoda już zapału, i że nie warto i niema dla kogo tłuc głową o mur.... Talentów ubywało coraz więcej na scenie warszawskiej, nowe nie rodziły się; te, co starannie gdzieindziej wyłowiono, zrażały pretensyami i wymaganiami,

sięgającemi poza wszelką miarę: dalej łowić już p. Muchanow nie potrafił lub wskutek zobojętnienia czy innych przyczyn nie starał się albo nie mógł. Zyskiwały na tem inne sceny polskie, warszawska się obniżała. — Teatr warszawski stał się też dalekim od ideału, o jakim marzył p. Muchanow. Doszedł on więc do mniemania, że gdyby nawet chciał i ożywił się na nowo, to jednak nie mógłby już go na tym co poprzednio utrzymać poziomie. Zamiary stanęły w przeciwieństwie z możnością, a wskutek tego zrodziła się decyzya, że skoro nie można robić dobrze, lepiej nie robić wcale. Abdykował więc, a kiedy w dodatku do tego wszystkiego osobisty stosunek z hr. Kotzebue dalsze jego urzędowanie uczynił niemożliwem, usunął się zupełnie... Prócz innych zalet wnosił także p. Muchanow rzadki w stosunkach teatralnych żywioł: prawdziwą gentelmaneryą, którą stosował także do innych scen i dyrekcyj polskich. Znany jest wypadek, w którym zakontraktowanemu przez teatr krakowski aktorowi rozkazał dopełnić warunków umowy i dopiero po jej upłynięciu zgodził się na przyjęcie go do teatru warszawskiego. *Rara* zaiste *avis* między dyrektorami polskich teatrów.

Ktokolwiek dotyka się teatru i spraw jego, ten z góry musi być przygotowanym na tysiące zarzutów, krytyk, oskarżeń, hałasów, insynuacyj a przedewszystkiem nienawiści; uznania zaś czekać dopiero wówczas, kiedy się usunie. Przykładem tego p.

Muchanow. Kiedy był u władzy, narzekano nań niesłusznie i zawzięcie, wołając, że teatr gubi, że chyli go umyślnie ku upadkowi, że go zaprzepaszcza, a nawet wyzyskuje. Wśród aktorów mnóstwo miał wrogów, którzy obyczajem teatralnym zaczęli go żałować od chwili, kiedy podpisał dymisyę. Po paru zaś miesiącach rządów p. Wsiewołożskiego opinia zwróciła się znowu za p. Muchanowem i dała mu zupełne za wszystkie spotykane poprzednio przykrości zadośćuczynienie. Zapomniano o jego błędach, a podnoszono tylko zalety. Sam nigdy nie sądził, że do tyla jest żałowanym, sam nie spodziewał się takiej dozy uznania i pochwał, mogłabym powiedzieć popularności. U nas bowiem zawsze tak w małych i wielkich rzeczach. Aby być sprawiedliwie ocenionym, trzeba usunąć się albo umrzeć. P. Muchanow na szczęście nie umarł, tylko niestety się usunął. Może on teraz przyznać, że społeczeństwo nasze niewdzięcznem z natury nie jest, lecz co ważniejsza, może sam sobie przyznać, że zawsze zacnie postępował i istotne położył około bytu sceny warszawskiej zasługi.

Mówiąc o Sergiuszu Muchanowie nie podobna mi pominąć jego żony. Zbyt wielką odgrywała ona rolę w Warszawie i w życiu artystycznem naszego miasta była jedną z najbardziej interesujących postaci nietylko warszawskich, ale wszystkich prawie stołecznych salonów i słynęła zarówno ze swej piękności jak z dobroci i inteligencyi. Później-

sza pani Marya Muchanow, to dawna pani Kalerdżi, a o tej słyszałaś już i czytałaś, jeśli nawet nie znałaś jej osobiście.

Córka jenerała Nesselrode, brata głośnego kanclerza cesarza Mikołaja — przez matkę tylko miała w swych żyłach krew polską. Wychowana na dworze petersburskim; główna niegdyś ozdoba kanclerskich salonów, młodziutką panienką wyszła za bardzo bogatego Greka p. Kalerdżi, który służył w dyplomacyi i był ulubieńcem czy nawet wychowańcem wszechpotężnego kanclerza. Małżeństwo to jednak nie odznaczało się szczęśliwem pożyciem. Pani Kalerdżi rozwiodła się też wkrótce z mężem i zamieszkała w Paryżu. Piękną była bardzo, ale ta piękność miała w sobie coś niezwykle inteligentnego, coś, co pociągało i zajmowało. Słynny Lehmann robił aż pięć jej portretów z różnych epok, tak twarz ta była pełną wyrazu i ciekawą dla wielkiego artysty. Ja poznałam ją wówczas, kiedy miała już lat 50 i abdykowała zupełnie z powodzeń światowych. Pomimo jednak wieku pełną była jeszcze uroku i pięćdziesiątkę swą nosiła, jak pani de Thauzette z *Dyonizy* Dumasa: 25 lat rano, a 25 wieczorem. Jeden z naszych salonowców zwykł był o niej mawiać: „Kiedy wchodzę do salonu, widzę podżyłą już damę, po kwadransie jednak rozmowy zdaje mi się, że mam 20-letnią kobietę przed sobą.“ Różne głośne i w politycznym świecie figury składały tej piękności hołdy. Kochał się w niej kiedyś Cavaignac,

a równocześnie także jeden z najznakomitszych w Polsce ludzi, a podobno i ówczesny prezydent Rzeczypospolitej a późniejszy cesarz Napoleon. Dowcipna niezmiernie, miała ten dowcip lekki, salonowy, francuski... Dwie były wówczas panie Muchanow w Warszawie, ona i bratowa jej męża, żona naczelnika komisyi do spraw duchownych, rezydującego w pałacu arcybiskupim. O ile *la Muchanow théâtrale* słynęła z dowcipu i inteligencyi, o tyle tamta nie grzeszyła ani jednym, ani drugim. Zwano ją też w odróżnieniu od dawnej pani Kalerdżi *la Muchanow spirituelle*, robiąc aluzyę do stanowiska „duchownego“ jej męża. Kalambur był dobry i w swoim czasie bardzo się podobał. Nie mogę zaś zapomnieć, że przez swą „duchowną“ bratowę późniejsza teatralna pani Muchanow robiła wiele dobrego w sprawach dotyczących duchowieństwa katolickiego. Sama po matce katoliczka nigdy pomocy swej w tym kierunku nie odmawiała, a wiele dobrego zrobiła. Artystka całą duszą, grała prześlicznie na fortepianie, złączona była węzłami zażyłości i przyjaźni z mistrzami i wirtuozami całego świata. Ona to właściwie wraz z Lisztem wynalazła Wagnera, a szkoda wielka, że po śmierci kazała całą swą korespondencyę spalić, bo niewątpliwie było w niej wiele cennych materyałów, godnych ogłoszenia drukiem. Kiedy mąż jej został prezesem teatru, pani Muchanow z całym zapałem oddała się protekcyi sceny i jej adeptów. Urządzała u siebie przyjęcia dla artystów,

opiekowała się nimi, a bardzo miłosierna i złotego serca świadczyła wiele biedzie teatralnej, wszystko zaś w ten wykwintny sposób, że w sprawy teatralne zewnętrzne i zakulisowe nie mieszała się wcale. Ogólny zaś wpływ jej na kierunek teatru był i duży, i dodatni. Wykształcona wielce, natury na wskroś artystycznej, miała smak wytworny i niezmiernie wybredny we wszystkiem co dotyczyło sztuki. Protekcya jej wnosiła do teatru ten dobry prawdziwie salonowy ton, który uderzał później na scenie u niejednej z artystek. Nic dziwnego, wzorowały się one wszystkie na pani prezesowej, zawsze łatwej, przystępnej, nieoszczędzającej rad, wskazówek i wszelkiej pomocy... Jeśli był kiedy w Warszawie prawdziwie artystyczny salon, to u niej właśnie. Przyjmowała mało osób, ale wyborowe grono artystów i ludzi pióra, a obiady i wieczory pani Muchanow należały do najmilszych i najbardziej tentujących zebrań. Czytano tam nowe sztuki, zajmowano się wielce muzyką, rozprawiano z Modrzejewską, Romaną Popielką i Królikowskim o rolach i ich pojęciu, a sama gospodyni domu zaznajamiała swych gości z najnowszemi utworami muzycznemi i raczyła ich Chopinem, którego tak doskonale rozumiała i wykonywała... Jej także staraniom zawdzięcza Warszawa Towarzystwo Muzyczne. W czasach niezmiernie trudnych wyrobiła ona pozwolenie głównie przez W. ks. Helenę, z którą bliskie łączyły ją stosunki. Interesowała się też Towarzy-

stwem bardzo, zwłaszcza w pierwszych początkach, kiedy prezesem jego był S. Muchanow, a dyrektorem a Aleksander Zarzycki, kiedy miało ono, najwięcej powodzenia i znaczenia.

Kiedy hr. Kotzebue odjeżdżał z Warszawy, to polecając swemu następcy różne osoby, szczególniejszy nacisk położył na p. Wsiewołożskiego, którego świeżo mianował prezesem teatrów. Uczynił to więcej może z nienawiści do p. Muchanowa, aniżeli z sympatyi dla swego protegowanego, Dlaczego właściwie p. Wsiewołożski objął dyrekcyę naszego teatru i jakie miał do tego kwalifikacye, tego nikt nigdy nie wiedział... Jedną chyba była ta, że brat jego jest od wielu lat intendantem scen dworskich w Petersburgu... Pełniący obowiązki łowczego Najwyższego Dworu (takim był jego tytuł oficyalny), p. Wsiewołod-Wsiewołożskij miał niewątpliwie dobre chęci, na muzyce znał się trochę i sam komponował różne utwory, wykonywane później na koncertach teatralnych... Jemu publiczność warszawska zawdzięcza zapoznanie się z waszym Ładnowskim, a zwłaszcza pierwsze zapoznanie się z waszą wielce utalentowaną Hoffmannową, której gra zbliżona tak bardzo do prawdy życiowej, a przecież skończona, swobodna i naturalna, a nieraz niepospolita, była pod pewnym względem dla Warszawy nowością i rewelacyą. Ani o teatrze jednak, ani tem bardziej o zarządzie nim, nie miał ten w gruncie dobry tylko niezmiernie słaby człowiek dostatecznego

wyobrażenia... Nie on rządził, ale w jego imieniu rządziły rózne, bardzo liche figury, którym pozwolił się owładnąć i zawładnąć, sam zaś niezawsze wiedział, co się w teatrze dzieje i nie znał nawet aktorów... Wszedł on do teatru z chęcią i postanowieniem reform, które, że były chaotyczne, dorywcze, nieprzemyślane, więc zgubniejsze jedna od drugiej. Kiedy dawniej cała władza spoczywała absolutnie w rękach jednego prezesa, on ją rozdrobił na kilkadziesiąt cząstek. Potworzył najrozmaitsze nowe posady, komitety, vice-prezesów, towarzyszów-prezesów, dyrektorów artystycznych i dyrektorów honorowych i t. d. Słowem spłodził cały szereg dygnitarzy i wywołał istną manię honorów. Kto tam do tego teatru nie należał i kto się doń nie mięszał... Wszyscy radzili, proponowali, pisali, tylko nikt nie rządził. Co zaś najgorsza, zaczął sypać pieniądzmi na prawo i na lewo. Nastała epoka rozrzutności szalonej, wszystkim prawie podniesiono pensye, angażowano każdego, kto się tylko zgłosił, a właściwie ten jedynie nie wszedł w owym czasie na etat teatrów warszawskich, kto sam nie chciał... Powstał najniepotrzebniej na świecie trzeci teatr t. z. mały, liczba artystów wzrosła w dwójnasób, jakość ich była coraz gorsza, ale za to ilość coraz większą. Wydatki rosły olbrzymio, intrygi kwitły jak nigdy, poziom sceny coraz bardziej opadał i po paru latach p. Wsiewołożski, wtrącił teatr warszawski w dług stutysięczny Dług ten zaś był

tem lekkomyślniejszym i niepojętym, że p. Muchanow opuszczając teatr zostawił przeszło 40.000 rs. w remanencie... Dzięki rządowi, a raczej nierządowi p. Wsiewołożskiego, egzystencya teatrów warszawskich została nagle zachwianą. Subwencyę cofnięto zupełnie, wszystkie kredyta wyczerpały się, banki odmówiły dalszych. Przyszła chwila, w której zdawało się, że teatr zbankrutuje zupełnie i ogłosi likwidacyę, a rzeczywiście, gdyby nie vice-prezes dyrekcyi p. Folland, który jeden wśród tego pogromu utrzymywał w ruchu całą machinę teatralną, przestałaby ona funkcyonować i zahaczyłaby się odrazu o ruinę finansową, wywołaną „szeroką naturą" p. Wsiewołożskiego; natura ta jednak nie była zła, raczej szlachetna, tylko za miękka na teatr i na nasze teatralne stosunki. Zresztą chęci były najlepsze, ale te nigdzie, zwłaszcza w teatrze nie wystarczają. Osobistych widoków lub nawet protekcyj nie było; te co się pojawiały, pochodziły z dobrego serca lub nieznajomości stosunków.

Niebawem spostrzeżono się u góry, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może. Nie pomogło dodanie p. Wsiewołożskiemu pomocnika i jakby kontrolora, utworzono więc specyalną komisyę, a gdy ta przedstawiła jenerał-gubernatorowi rezultaty swych finansowych badań, p. prezes otrzymał dymisyę, a zarząd teatrów powierzono tajnemu radcy i senatorowi p. Gudowskiemu.

Nastąpiła naturalna w takich razach reakcya. Zadaniem p. Gudowskiego było przedewszystkiem uporządkować finanse, oczyścić teatr z długów, umożliwić dalszą jego egzystencyę. Zadanie to dawało się zaś osiągnąć dwoma drogami: zaprowadzeniem równowagi w wydatkach, oszczędnością i wyrobieniem u rządu jednorazowej przynajmniej na zapłacenie długów zapomogi, skoro o przywróceniu dawnej subwencyi nie było na razie mowy. P. Gudowski chwycił się przedewszystkiem drogi pierwszej jako najbliższej i najnaglejszej. Długoletni administrator i sprężysty urzędnik, ścisły biurokrata, porwał odrazu władzę w swą rękę i w miejsce dawnego bezrządu zaprowadził rząd energiczny, absolutny a drobiazgowy. Niezaprzeczona to jego zasługa. W tym kierunku nawet przesada była na razie konieczną i potrzebną. Dobro i egzystencya teatru jako instytucyi rządowej zależały od tego, aby w pierwszym zaraz dniu zaprowadzić mały stan oblężenia i przekonać umysły teatralne, że dawna anarchia skończyła się niepowrotnie. Z drugiej strony p. Gudowski, doskonale za dawne zasługi u góry postawiony, umiał wykołatać i zapomogę rządową na zapłacenie długów, i 38,000 rubli na odbudowę spalonego Teatru Rozmaitości. To także niewątpliwa jego zasługa i dodatnia działalności jego strona.

Tylko to, co było na razie dobrem, stało się szkodliwem, przeszedłszy w stan chroniczny. Do-

skonale zrobił p. Gudowski zaprowadzając w miejsce bezrządu i powszechnego w teatrze rozprzężenia ład i porządek, doskonale zastępując lekkomyślną rozrzutność ścisłą oszczędnością, ale z drugiej strony zapomniał on, zwłaszcza w późniejszych latach swego urzędowania, że prócz zmniejszania wydatków jest drugi jeszcze sposób, prowadzący do równowagi budżetowej: powiększenie dochodów; że, jak powiedział kiedyś minister Dunajewski, „wielkie deficyta pokrywają i usuwają radykalnie małe“. Jak w każdym interesie, tak i w tym nakład był niezbędnym, bez niego zmniejszały się wprawdzie wydatki, ale wraz z niemi i dochody. P. Gudowski jednak zrozumieć tego nie chciał. O ile poprzednik jego posuwał rozrzutność do ostatnich niemal granic, o tyle ten uczynił to samo z oszczędnością. Z jednej ostateczności wpadliśmy w drugą, a reakcya objawiła się nadto w innej jeszcze formie. Dwie strony ma każdy teatr: artystyczną i administracyjną. Zupełna między niemi równowaga i równouprawnienie może tylko zapewnić prawidłowy ruch przedsięwzięcia. Jeśli jedna wzbije się nad drugą, musi to uczynić kosztem tamtej, a ze szkodą instytucyi. Za p. Wsiewołożskiego artystyczna pożarła administracyjną. Za p. Gudowskiego dzieje się odwrotnie. Wszedł on do teatru tylko jako administrator, nie mając ani wykształcenia, ani przygotowania, ani wiadomości, ani nawet gustów artystycznych, wszedł z zadaniem zrównoważenia budżetu i o to jedynie

tylko dba i na tem się wyłącznie zna. Nie sztuka wchodzi tu w grę, ale buchhalterya. *Il fait*, jak słusznie powiedział Muchanow, nie *de l'art*, ale *de l'argent*. Usprawiedliwia go w tem okoliczność, że nie mając subwencyi a odziedziczywszy długi, po części tak robić musi, niemniej jednak fakt pozostaje faktem i wzbija się po nad wszystko. I oto źródło wszelkich dzisiejszego zarządu naszych teatrów wad i błędów. Z instytucyi stały się one przedsiębiorstwem. Kwestya pieniężna weszła na pierwszy plan i usunęła na bok wszelkie inne. „Robić kasę“ — oto cała tajemnica, cel i sprężyna działania, sztuka poszła w służbę merkantylizmu, kwestya powodzenia zaćmiła wszelkie inne. Wszystko oblicza się na kasę; jak dawniej dla „gwiazd,“ tak teraz dla niej dobiera się sztuki choćby najgorsze, ale popłatne; dla niej układa się repertoar i scena warszawska nie stara się kształcić gustu publiczności, ale raczej gustowi temu hołduje i przez to samo deprawuje go. A wobec tego czemże są dzisiaj teatra rządowe warszawskie, jeśli nie na większą skalę przedsiębiorstwem, w rodzaju tych, jakie co roku zjeżdżają do naszych ogródków? czemże ich prezes, jeśli nie spotęgowanym Tekslem i Puchniewskim? Większe środki, szersza sfera działania, ale *modus procedendi* ten sam. Artystycznych aspiracyj niema w nim ani śladu, myśli przewodniej żadnej; gdyby nawet chciał, nie mógłby się na nią zdobyć; chęci oddziaływania na publiczność i kształcenia jej gu-

stu również niema żadnej. Wszystko obraca się tylko około kasy, ona reguluje repertoar, dobiera artystów, przyjmuje lub odrzuca sztuki, ona stanowi w całym zarządzie teatrów jedyne kryteryum.

Żywioł artystyczny, wygnany z dyrekcyi, musiał się więc schronić pod skrzydła kierowników pojedynczych teatru naszego działów. Od dobrej woli też i usiłowań tych kierowników zależnem się stało z jednej strony materyalne powodzenie, a z drugiej artystyczna wartość układanego przez nich repertoaru i urządzanych przedstawień. O ile oni mają artystyczne aspiracye i jakiś program i o ile umieją je pogodzić z merkantylizmem panującego systemu, o tyle działy ich prosperują lub upadają. W dzisiejszym stanie rzeczy od nich właściwie wychodzi inicyatywa i zależnym jest kierunek. Powiększa to ich odpowiedzialność, ale także i zasługi.

Komedyą i dramatem kieruje od lat kilkunastu p. Jan Tatarkiewicz. Był on reżyserem jeszcze za Muchanowa i przetrwał wszystkie trzy systemy, do każdego się naginając. Nie można mu odmówić pracowitości i zapału. W ostatnich zwłaszcza latach, pod naciskiem merkantylizmu, ożywił bardzo repertoar i kiedy dawniej nowa sztuka była *rarissima avis* na naszej scenie i wystawiano ich kilka zaledwie na rok, dziś widzimy ich kilkanaście. Sama wprawa, doświadczenie i zmysł wrodzony czyni go dobrym reżyserem, zawsze jednak reżyserem że tak powiem tylko ze-

wnętrznym, o ile idzie o układ sceniczny, o „wystawienie“ sztuki, informatorem nie był nigdy, a na kierownika repertoaru brak mu czasem wykształcenia literackiego i artystycznego. Jako podwładny reżyser mógłby być nawet doskonałym, zwłaszcza, że od paru lat, od bytności Meiningenczyków, olbrzymie w tym kierunku zrobił postępy i kilkanaście sztuk doskonale „umontował.“ Zostawiony jednak sam sobie, całkiem samoistny, zawsze chromać będzie na brak systemu w układzie repertoaru, na pewną jego chaotyczność i doraźność, a przedewszystkiem nie oddziała niczem na rozwój powierzonych jego kierunkowi artystów, nie wykształci ich i nie wyrobi. I oto główna jego i warszawskiego teatru wada. Każdy z artystów puszczanym tu jest samopas... Reżyser dba tylko o to, aby stanął na właściwem miejscu i aby całość zgrabnie się układała. Do tego, jak gra i jak rolę pojmuje, nie miesza się wcale i właściwie mięszać się nie może, bo po dawnych „gwiazdach“ została tradycya zupełnej w tym kierunku abdykacyi reżysera, a niezależności aktorów. Przytem na nikim bardziej, jak na nim nie ciąży klątwa owego nieszczęśliwego *feu* [1]). Dyrekcya każe mu przestrzegać, aby suma tych *feu* była jak

[1]) W teatrze warszawskim każdy aktor, choćby najpodrzędniejszy, prócz stałej pensyi, zwykle niewielkiej, ma osobne wynagrodzenie od każdego występu, zwane właśnie *feu* — w wysokości od 50 kop. do 35 rubli za wieczór. To *feu* wynosi zwy-

najmniejszą, czyli aby dobierał jak najtańszych, a zatem i najgorszych aktorów, koledzy radziby grać codzień i figurować w obsadzie wszystkich sztuk. Ztąd różne gniewy, dąsy, opozycye i... przeszkody. Ztąd taki nawał zawad i kłopotów, że trzeba iście anielskiej cierpliwości, ażeby z nich wybrnąć. Ztąd wreszcie niemożność dublowania ról i obsadzania ich młodemi siłami, byłoby to bowiem z materyalną krzywdą starszych, zasłużeńszych i schodzących z pola.

Dopóki *feu* nie będzie zniesionem, dopóki ręce reżysera będą skrępowane, a swoboda obsady hamowana względami koleżeńskiemi i materyalnemi, dopóty droga dla młodych i nowych sił do teatru warszawskiego zamknięta. Wytwarza to nadto drugą, inną kardynalną wadę organizacyi: nietykalność ról. To, czego niema nigdzie na świecie, to dzieje się w teatrze naszym. Skoro p. X lub pani Y dostała przed 30 laty jaką rolę, to choć dziś rola ta nie odpowiada zupełnie ani jej wiekowi, ani warunkom fizycznym, zostaje jednak przy niej, bo nie było dotychczas w zwyczaju, aby reżyser śmiał ją odebrać. Ztąd w starych zwłaszcza sztukach obok Żółkowskiego, Rapackiego, Ostrowskiego i Tatarkiewicza grywają większe nawet role ostatniego rzędu aktorowie, ztąd

---

kle dwa, a nawet trzy razy tyle co pensya. Łatwo więc zrozumieć, jak wielki ma w tem każdy aktor interes, aby grać jak najczęściej i jak ważną rolę wzgląd ten odgrywa w obsadzie sztuk.

młodziutkie mężateczki reprezentują podtatusiałe damy.... ztąd częsta w owych wypadkach pstrokacizna, która przypomina debiut znakomitości w prowincyonalnym teatrze.... P. Tatarkiewicz w ostatnich czasach stara się bardzo o artystyczną całość, kilka sztuk szło pod względem *ensemblu* wzorowo, ale mnóstwo jest jeszcze wad organizacyjnych — które należy koniecznie usunąć, bo one tamują swobodę reżysera.

Jak zawsze tak i teraz dramat i komedya stanowią główną podstawę materyalną naszego teatru. Co one zarobią, to zjadał dawniej balet (dziś bardzo pod względem wydatków zmoderowany), a dziś zjada opera. Ta chroma wielce, pomimo że ma takiego, jak p. Myszuga tenora i jak p. Seidemann basa.*) I znowu wada organiczna jest tego chromania przyczyną. Opera nasza liczy aż czterech dyrektorów i kapelmistrzów, a nie posiada żadnego kierownika. Ten, co nim się mieni, p. Rebiczek, zaznaczył dotychczas swą działalność niefortunnym doborem sprowadzanych z zagranicy śpiewaków. Skoro on którego wybrał, z pewnością robił *fiasco*, a teatr narażał na zawód i koszta. Powodzenie zaś mają jedynie ci, których sprowadzi — baletmistrz. Zamiast czterech dyrektorów żeby był jeden, a najwięcej dwóch, ale dobrych i istotnie znających się na sztuce — to opera nasza, opierając się głównie na własnych a niesprowadzanych siłach, mogłaby ruchliwością repertoaru

Teraz się wyniósł do Peszta.

*) Seidemann [illegible]

jeśli nie zupełnie, to przy małym niedoborze utrzymać się i prosperować.

Dawne anarchiczne rządy p. Wsiewołożskiego ostały się jeszcze w trzecim t. z. „Małym teatrze,“ powołanym przez niego do życia i najniepotrzebniej stworzonym. Nikt tym teatrem właściwie nie kieruje, idzie on jakoś sam, wystawia co tydzień sztuki, które natychmiast upadają, repertoar ma jak najgorszy, siły z wyjątkiem paru marne a reżyseryę niedołężną. Trochę dochodu przysparza mu operetka. Ta ma właściwie racyę bytu i wielki u publiczności popyt. Jest jednak bardzo mierną i potrzebuje koniecznie odświeżenia i troskliwszej opieki.

Takie miasto, jak Warszawa, liczące blisko pół miliona mieszkańców, z tradycyami stolicy, z ruchem żywym, gorączkowym, przyspieszonym, mogłoby mieć właściwie życie artystyczne na szeroką skalę i odpowiednie ku niemu żywioły. Nie ma go jednak, albo raczej ma w dozie niezmiernie małej i nieznaczącej... Dwa są właściwie tego życia artystycznego jakby urzędowe ogniska: jednem jest Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, drugiem Towarzystwo muzyczne. Pierwsze znajduje się obecnie w fazie żywotności i rozwoju, drugie w stanie chwilowego omdlenia i upadku. Przyczyna obu tych zjawisk jest jednaką: zmienność gustów naszej publiczności, która jak wszędzie zresztą w Polsce równie łatwo zapala się i ostyga.

Kiedy przed kilkunasty laty po długich zachodach zdołano wykołatać u rządu zatwierdzenie Towarzystwa muzycznego, weszło ono w modę, stało się niezmiernie popularnem, wszyscy się doń garnęli, wszyscy zapisywali się na członków i uczęszczali na wieczory i koncerta. Zgromadzenia Towarzystwa należały do najgłośniejszych i najruchliwszych. Zaprawiali się na nich młodzi retorowie... popisywali studenccy trybuni. Towarzystwo liczyło mnóstwo członków ze wszystkich sfer miasta, było w łaskach u publiczności, prasy, przesadzano jego znaczenie, podnoszono interes. Miało dyrektorów zdolnych i ruchliwych i krzątało się istotnie koło podniesienia muzykalności Warszawiaków, uprawiało sztukę... Na czele jego stali kolejno Aleksander Zarzycki, Józef Wieniawski i Władysław Żeleński... Później jednak odwróciła się karta. Publiczność zobojętniała dla Towarzystwa i odjęła mu swój fawor. Dziś jest ono raczej resursą towarzyską, aniżeli artystycznem ogniskiem, i urządza więcej zabaw i wieczorków w rodzaju niemieckich *Kränzchen*, aniżeli koncertów i poważnych produkcyj muzycznych. Ze wszystkich artystów muzycy byli zawsze najbardziej *irritabile genus*. Żyją też oni w ciągłej niezgodzie, a kółek i stronnictw między nimi kilka; zamiast się skoncentrować w Towarzystwie, część ich odsunęła się od niego zupełnie, pozostała zaś garstka nadała mu trochę koteryjny charakter; wciąż też słychać o jakichś wewnętrznych zatar-

gach i drobnych osobistych zawiściach, wywlekanych często za pośrednictwem recenzyj i recenzentów na *forum* dziennikarskie. Dyrektorem Towarzystwa jest obecnie Zygmunt Noskowski. Firma doskonała i jedno z pierwszych w Polsce nazwisk oraz talentów muzycznych, a przecież z wielu stron słyszę narzekania, a nawet przesadne oburzenia, iż kierownik takiej jak Towarzystwo instytucyi rozdrabnia swoją cenną pracę, stając czasem na czele ogródkowej orkiestry i nazwisko swe umieszczając na afiszach jakiejś podobno bardzo niesmacznej i krotofilnej operetki... Zarzuty te podnoszono w swoim czasie w dziennikach, ale ostatecznie są to drobnostki, może rażące, lecz nie takie znowu, aby je mianem występku piętnować i im głównie upadek dawnej powagi i znaczenia Towarzystwa przypisywać. Ożywić i rozruszać na nowo Towarzystwo moze tylko sama publiczność... Niech wytworniejsze sfery, niech ci, którym istotnie o sztukę, a nie o tanią zabawę i resursę chodzi, gromadnie do Towarzystwa wejdą, a zreformują je i na właściwą sprowadzą drogę... Sam dyrektor nic nie poradzi przy najlepszych nawet chęciach... Ostatecznie jest on zależnym od członków Towarzystwa i musi ich gustom hołdować...

Fawor publiczności przeniósł się obecnie z całym ciężarem na Towarzystwo zachęty sztuk pięknych... To jest w wielkich łaskach, rozwija się z każdym rokiem olbrzymio, nabiera coraz wię-

cej ruchliwości i prowadzi swą wystawę z tą dozą kupieckiej reklamy, jaka jest niezbędnym warunkiem powodzenia. „Salon“ Towarzystwa zasługuje istotnie na takie miano. Wszystko, co malarstwo polskie wydaje wybitniejszego, przesuwa się przez tę wystawę, a od paru lat Towarzystwo sprowadza głośniejsze obrazy zagraniczne i stara się utrzymać publiczność w ciągłem zainteresowaniu. Viceprezesem Towarzystwa (prezesem jest z urzędu p. kurator okręgu naukowego) jest obecnie p. Lucyan Wrotnowski, znany mecenas. On to głównie potrafił w instytucyę tę, prowadzoną dawniej z pewną biurokratyczną ślamazarnością, wlać więcej życia i rzutności, on ją ożywił i rozruszał. Dziś Towarzystwo stało się ogniskiem naszych malarzy, a rzecz wyjątkowa, wszyscy oni grupują się solidarnie około niego i bardzo energicznie je popierają. Między jednymi też malarzami niema właściwie w Warszawie koteryi i stronnictw, a jest pewne życie koleżeńskie, pewna solidarność korporacyjna. Solidarność ta objawia się czy to w urządzaniu wystawy szkiców, czy w rozmaitych zbiorowych usiłowaniach...

Wybitniejszych malarzy, stale przebywających w Warszawie, mamy właściwie niewielu... Kilku z nich zagląda do nas latem podczas feryj, zimę spędzając w Monachium lub w Rzymie... Tak np. Józef Brandt ma swą rezydencyę w Oblęcinie i spędza w niej parę skwarnych miesięcy; co roku prawie zjeżdża tu do rodziny Henryk Siemi-

radzki... Tak samo Rosen, Ejsmund, młody Szymanowski i wielu innych, których nazwiska nie wpadają mi w tej chwili pod pióro. Są to wszystko Warszawiacy, przedzierżgnięci w Monachijczyków. Tam mają swoje *ateliers*, do nas zaś zaglądają tylko podczas willegiatury. Stałymi mieszkańcami Warszawy są: Leopold Horowitz, Wojciech Gerson, Stanisław Witkiewicz, Maszyński, R. Szwojnicki, Żmurko, Buchbinder, Brodowski, Łaszczyński, Dowgird, Miller, Miłosz Kotarbiński, Gerson jest profesorem szkoły rysunkowej, a był długi czas viceprezcsem Tow. zachęty sztuk pięknych. Uważają go za seniora korporacyi malarskiej i dawniej zwłaszcza przemawiał zawsze w jej imieniu, na wszystkich uroczystościach, ucztach i przy wszelkich okazyach. Horowitz, z pochodzenia Węgier, po żonie zacięty Warszawiak, do niedawna jeszcze, miał swe *atelier* w Zamku, w pracowni urządzonej niegdyś przez Stanisława Augusta dla Bacciarellego. Przed rokiem jednak odebrano mu tę historyczną pracownię i obrócono ją podobno na jakiś skład...

Bardzo popularną nietylko w kołach malarskich, ale w całem mieście postacią jest Franciszek Kostrzewski. Jego rysunki humorystyczne w pismach illustrowanych, chociaż dowcipniejsze nieraz w podpisie, aniżeli w ołówku, miały w swoim czasie olbrzymie powodzenie, a nazwisko Kostrzewskiego było synonimem śmiechu w całym prawie kraju. I dziś jeszcze on jeden

tylko z licznej rzeszy naszych koncepistów rysunkowych ma prawdziwy humor i dobry smak... Stanisław Witkiewicz prowadzi dział artystyczny w *Wędrowcu*, gdzie też debiutował z większym hałasem aniżeli powodzeniem jako krytyk obrazów, którymi mniej się ostatecznie zajmował, aniżeli drobiazgową i zjadliwą polemiką z wszystkimi prawie recenzentami malarskimi, a głównie z prof. Struve, pisującym do *Kłosów*. Na literacką niwę zagląda także często Wojciech Gerson. Jest on stałym współpracownikiem *Tygodnika illustrowanego*.

Już dawno się wyczerpał.

Pomimo to napisał wcale dobrą rzecz p.t. „Sztuka i krytyka u nas," a także pisywał ilustrowane opisy „Na przełęczy"

Prócz Towarzystwa zachęty, które bądź co bądź jest tylko instytucyą jakby urzędową, malarze nasi nie mają właściwie żadnej korporacyi, żadnego centrum, żadnego stowarzyszenia w rodzaju waszego „Koła"; trzymają się dość solidarnie, ale rozrzuceni, a liczba ich zbyt mała, aby po za wystawą mogli wywierać jakikolwiek wpływ na nasze życie artystyczne. Było wprawdzie kilka żywych obrazów, parę majówek i bali malarskich, więcej jednak pod ich egidą, aniżeli przez nich urządzanych, a co roku prawie słychać o jakimś *Kunstfeście*, w rodzaju słynnych monachijskich... Dotychczas jednak kończyło się zawsze na zapowiedziach, a szkoda, bo publiczność warszawska tego rodzaju usiłowania poparłaby z ogromnym zapałem i wielką lubością.

Najwięcej rozrzuceni są literaci i dziennikarze. Ci właściwie między sobą nie żyją, żadnego sto-

warzyszenia nie mają (rząd bowiem nigdy nań nie chciał pozwolić), a kto wie nawet, czy gdyby je mięli, byłoby ono istotnie literackiem i zdołało sprzeczne żywioły skupić. Za wiele tu wchodzi w grę interesów, zawiści i zazdrostek osobistych, aby one miały zginąć i stopnieć odrazu w ogniu korporacyjnego życia. Nadto stowarzyszenie takie, jak mi ktoś słusznie powiedział, miałoby li tylko firmę literacką, a właściwie stałoby się pastwą tych wszystkich, coby się pod literatów i dziennikarzy podszywać pragnęli. Gdyby istniał tego rodzaju klub, prawdziwi literaci nie chodziliby do niego, a reporterzy i rzemieślnicy dziennikarscy zdołaliby w szybkim czasie wziąć w nim liczebną przewagę i kompromitować już nietylko siebie, ale cały fach. Może więc lepiej, że go niema. Co jednak jest koniecznem i na co prasa warszawska powinna się zdobyć, to na rodzaj syndykatu dziennikarskiego, na wzór tych, jakie istnieją we Francyi. Przy wzroście dzienników i różnych wydawnictw, syndykat taki mógłby wielkie oddać prasie usługi i wykonywać pewien rodzaj kontroli zarówno nad wydawcami, jak i współpracownikami. Regulowałby on ich wzajemny stosunek i w dobre ręce oddany przyczyniłby się niewątpliwie do podniesienia zewnętrznej powagi i wewnętrznych stosunków prasowych.

O ile dawniej miała Warszawa kilka bardzo ciekawych i wybitnych salonów literackich, o tyle dzisiaj zupełna prawie pod tym względem panuje

pustka. Słynne niegdyś wieczory u pani Nakwaskiej, poniedziałki u Niny Łuszczewskiej, piątki Aleksandra Przezdzieckiego, wódki niedzielne Leona Łubieńskiego, należą już do tradycyi i pamiętnikowych wspomnień. Salonu literackiego na dawną modłę i skalę nie mamy obecnie wcale... Były usiłowania w tym kierunku, ale zabrakło im ciągłości, zabrakło zmysłu organizacyjnego i osobnego do tego rodzaju zebrań daru, któryby umiał jednoczyć a nie spędzać, zabawiać a nie nudzić, nie był wyłącznym i koteryjnym, ale nawzajem nie ściągał ludzi ze wszystkich kątów świata bez wyboru i segregacyi, i salonu nie zamieniał na literacką giełdę. Od czasu do czasu w tym lub owym domu odbędzie się wieczór dla uczczenia jakiejś znakomitości przyjezdnej, dlatego literackim zwany, że nań kilku literatów zaproszono, ale to jeszcze nie salon literacki w tym rodzaju, w jakim być powinien i w jakim dawniej bywał. Są to chwilowe gospody literackie, w których mówi się o wszystkiem, tylko nie o sztuce i o literaturze; są to dwory urządzane dla własnej apoteozy, zbiegowiska przygodne, a na popis obliczone; są to wreszcie przyjacielskie zebrania, ale nie salony, pretendujące do wpływu i wpływ ten istotnie wywierające. Nie byłam nigdy przyjaciółką tego rodzaju zebrań, a wolę zawsze czytać pamiętniki o salonach literackich, aniżeli na nich figurować, ale przyznać muszę, że dawniej za młodych lat moich miały one pewien swój urok,

choć tak samo jak dzisiejszym nie brakło rm różnych śmieszności, wad, i usterek, miały swoją odrębną cechę, nieraz pretensyonalną, przesadną, często nudną, ale nie tak banalną, szablonową i nieznośną, jak te dzisiejsze, co na dawne pozować pragną. Pretensyonalność tamtych salonów była przynajmniej stylową, tych jest pospolitą i szablonową. Salon literacki dawniejszy odznaczał się zawsze pewnym wykwintem, nie zewnętrznym ale umysłowym — dzisiejszy jest bardzo często targowicą próżności, zwykle zbiorowiskiem ludzi, z których jeden mści się na drugim za to, że się nudzi, i uważa za swój obowiązek nudząc się sam nudzić innych, wszyscy zaś mimowolnie przybierają miny tuzinkowych powag prowincyonalnych. Tamte pozowały na słynne niegdyś salony paryskie, te naśladują z drugiej ręki i starają się kopiować już nie z oryginału, ale z trzeciorzędnej kopii.

Typem salonu literackiego Warszawy były głośne w swoim czasie „czwartki“ Deotymy. Dziś tak jak nie istnieją już one, ale dawniej w pierwszych latach po powstaniu miały wielkie powodzenie i ważyły na szali towarzyskiego życia naszego miasta. Bywało tam mnóstwo osób z najrozmaitszych sfer, literatura spotykała się z finansami i arystokracyą, obywatele wiejscy z mieszczanami, lekarze, urzędnicy, inżynierowie z profesorami uniwersytetu i uczonymi, młodzież z artystami wszelkich gałęzi, panny z epuzerami, a więdnące

piękności z gronem wielbicieli. Wszystko, co miało Warszawa w jakimkolwiek kierunku wybitniejszego, przesuwało się przez te salony, a świat modny i elegancki uważał za rzecz szyku bywać na „czwartkach". Mamy wprowadzały tam panny, młodzież szukała stosunków. Tłoczono się też na schodach, w przedpokoju trzeba było czekać kolei, aby dostać się do drzwi, a w salonie gwarno, huczno, strojno, panie w wielkich toaletach, panowie we frakach i białych krawatach, z miną poważną, uroczystą, jak na recepcyi dworskiej. Przez parę lat salony Deotymy były tak uczęszczane i modne, że aż ówczesny namiestnik br. Berg zapragnął je zobaczyć, i sama widziałam, jak ta stara mumia o mało nie spadła z krzesła, drzemiąc podczas czytania *Wandy* czy jakiegoś innego poematu gospodyni.

Na końcu długiej sali wisi portret wieszczki pędzla Simmlera, przedstawiający młodziutką panienkę w fantastycznym greckim stroju, gdy w chwili natchnienia improwizuje.... Pod portretem stał na podniesieniu tron poetycki, srebrną i złotą lamą przybrany. Obok stolik, a na nim siedmioramienny świecznik jerozolimski, dar wielbicieli talentu. Gdy nadchodziła chwila czytania, wieszczka w otoczeniu dworu ukazywała się na sali. Najprzód szli marszałkowie, później szambelanowie, w końcu paziowie. Majestatycznym krokiem przechodziła wieszczka salony i zasiadłszy na złotolitym tronie zaczynała czytać... Dokoła uroczy-

sta cisza. Wszyscy w błogiem uniesieniu słuchali szmaragdowych wierszy poematu, każdy chwytał wątki losów Wandy...

Po skończonej deklamacyi następował *cercle.* Wieszczka obchodziła kolejno swych gości, starając się od każdego wydobyć o przeczytanym ustępie zdanie. Sypały się więc pochwały i komplementa, prześcigali się w nich literaci i profani; im kto mniej rozumiał, tem więcej chwalił, każdy bał się otwarcie zdanie swe wypowiedzieć, bo byłoby to niegrzecznem względem damy oraz gospodyni, i niebezpiecznem, gdyż marszałkowie i szambelanowie słuchali głosu ludu, a gdyby który z tych głosów śmiał być nieprzychylnym, można było stracić łaskę i nie dostać na drugi czwartek zaproszenia... Więc pokorna rzesza piała hymny pochwalne i zewsząd rozlegała się woń kadzidła...

Mój Boże! nie takie to dawne czasy, a jak się wszystko zmieniło. Kiedy Deotyma była modną, cały świat tłoczył się na jej salony. Szambelańskie jej klucze nosiło wielu takich, co dziś głośne mają w literaturze nazwiska, a nie sądź, aby te tytuły i urzędy były moim wymysłem. Nie, one istniały na prawdę, a urzędnicy dworu królowej poezyi nosili nawet przy frakach godności swej oznaki... Była to zabawa zapewne pretensyonalna, ale ostatecznie dla nikogo nieszkodliwa i niezmniejszająca bynajmniej znaczenia, jakie w poezyi i literaturze polskiej ma Deotyma. Powiem więcej nawet, popularność ówczesna jej

czwartków była wynikiem nietylko mody, ale czasu, w jakimeśmy żyli... Po powstaniu wszystkie zabawy ustały, przez parę lat nie tańczono wcale, nie zbierano się nigdzie liczniej i huczniej. Więc tę lukę towarzyską zapełniały wieczory Deotymy. Miały one tradycye salonów jej matki, miały wykwintne towarzystwo, dużo pięknych i wesołych pań, ładne dekoracye, urok głośnego imienia poetki i improwizatorki... A przedewszystkiem były prawie jedyne, a więc przez to samo niezmiernie ponętne. Po kilku latach jednak moda minęła, „czwartki“ zaczęły się przerzedzać, odczyty nudzić... „Czwartki“ Deotymy nie były więc właściwie nigdy salonem literackim, lecz raczej salą prelekcyjną. Ona jedna zabierała w niej głos, jej tylko słyszano tam utwory. Zrazu słuchało tych prelekcyj całe miasto, później tylko pewne jego sfery, potem wierni, a w końcu mała garsteczka najwierniejszych, którzy zdołali wytrwać.

„Czwartki“ jednak przejdą do literatury pamiętnikowej, bo ostatecznie po za wszelką przesadą miały one wiele stron dobrych, zaznajamiały i jednoczyły ludzi, były w chwilach powszechnego rozbicia towarzyskiego, kiedy każdy w domu siedział i od świata stronił, jedynym prawie punktem zbornym i neutralnym...

Innego zupełnie rodzaju zebrania literackie odbywały się w poście przez wiele lat w obszernych salonach pałacu hr Stanisława Kossakowskiego. Te miały wyłącznie męzką cechę a odzna-

czały się powszechnością. — Spotykało się tam podobno wszystkich, co jakąkolwiek mieli z literaturą i dziennikarstwem styczność. Bywało czasem i po 200 jednego wieczoru osób, a główną rozrywkę stanowiła deklamacya. I te wieczory jednak ustały wskutek żałoby domu, który w życiu towarzyskiem Warszawy wielką dawniej odgrywał rolę i był jednym z najbardziej gościnnych, uprzejmych i otwartych...

Dziś liczniejszych zebrań literackich niema prawie żadnych. O ile słyszałam, pewne kółko literatów i dziennikarzy, przez innych dla swej solidarności zwykle „kliką“ zwane, zbiera się podobno co piątek czy sobotę w domu redaktora *Gazety Polskiej*, ale zebrania te mają mieć wyłączną koleżeńską, przyjacielską, a jak niektórzy mówią koteryjną cechę; inne znów kółko równie regularnie spotyka się u pani Waleryi Marrené, to jednak ma odcień więcej postępowy i pozytywistyczny. Muzycy są pod tym względem szczęśliwsi. Mają oni właściwie dwa swoje ogniska towarzyskie. Jedno w domu p. Ludwika Grosmana, a drugie na porankach i wieczorach u p. Feliksa Gebethnera. Wieczory muzykalne p. Grosmana mają być bardzo interesujące z powodu, że wszystkie gwiazdy artystyczne, przejeżdżające przez Warszawę, ukazują się na salonach autora „Ducha Wojewody“. Można tam było poznać Rubinsteina i Zofię Menter, Sarasatego i Massiniego, panią Vażeti i pana Verger, Teresinę Tua, Grünfelda, Saureta,

Bülowa, Auera, Anettę Essipow itd., a tam właśnie miało się odbyć przed kilku laty bardzo podobno ciekawe spotkanie p. Modrzejewskiej z Sarą Bernard. O ile mi mówiono, wszystkie te gwiazdy popisują się bardzo chętnie z swemi talentami; odbywają się tam produkcye zbiorowe i kwitnie *Kammermusik*, a muzyka owa ma ten niezmierny urok, że zawsze jest pierwszorzędną i wykonywaną przez największe znakomitości europejskie. U p. Feliksa Gebethnera bywają wyłącznie męskie zebrania, uprawiające muzykę kwartetową. Raz do roku jest także wielki wieczór muzykalny u dyrektora konserwatoryum Aleksandra Zarzyckiego. Wogóle muzyka zaczyna odgrywać coraz większą rolę w naszem życiu towarzyskiem. Stało się od pewnego czasu modą, aby na postnych zwłaszcza rautach było zawsze trochę muzyki... Należy to do dobrego tonu i nadaje salonowi pozę „inteligentnego“. Więc niektórzy angażują śpiewaków z opery lub drugorzędnych fortepianistów, inni urządzają kwarteta, inni wreszcie poprzestają na domorosłych popisach i kontentują się amatorami... Dawniej na rautach zamkowych występowali zawsze Włosi z goszczącej w zimie trupy, a zwyczaj ten przyjęło kilka większych salonów naszego miasta... Nie można powiedzieć, aby był on złym i nie urozmaicał monotonii z nudów rautowych... Ale kiedy do muzyki zaczęła się mięszać deklamacya i to albo amatorska, albo tuzinkowa teatralna, wówczas istotnie trudno było

czasem wytrzymać i przychodziło zmykać w samym początku wieczoru... Deklamacya bowiem jest jedną z tych rzeczy, która albo musi być doskonałą, albo nie być wcale. Zła, dla mnie przynajmniej jest więcej niż nieznośną, bo zamiast bawić, irytuje i drażni, jak zgrzyt żelaza po szkle... Wolałbym już proste czytanie... Przed paru laty był także w Warszawie eksperyment wprowadzenia do salonów baletu. Jakiś bogaty przemysłowiec nie wiedząc czem już ma gościom zaimponować, zamówił całe *corps de ballet*, które w połowie rautu odtańczyło farandolę... Nowość ta podobała się bardzo panom, a jeden z nich zaręczał mi, że to daleko zabawniejsze, aniżeli deklamacya. Uwierzyłam mu odrazu.

Teatr amatorski i żywe obrazy należą już do rzadszych objawów życia towarzyskiego; dawniej bardzo modne — dziś wypadły trochę z łaski, jak również bale kostiumowe, które u was tak świetnie się zawsze udają, u nas zawodzą i wogóle salony warszawskie nie mają do nich wielkiego gustu.



LIST ÓSMY.

Epilog.

TREŚĆ: Moje wyznania. — Wieś i prowincya. — Położenie kraju. — Fałszywy cel. — *Delenda Cartago!* — Stan ekonomiczny. — Kwestya włościańska. Przeciętny Rosyanin. — Wpływ urzędnika rosyjskiego na społeczeństwo polskie. — Wszechwładztwo państwa — Samodzierżawje i czasy przedpiotrowe. — Rosya dzisiejsza. — Co zrobiono w Królestwie polskiem przez lat dwadzieścia kilka? — Religia i Kościół. — Unia i Unici. — „Zabużje". — Szkoły i uniwersytet — Sądownictwo. — Bezkarność i jej następstwa. — Administracya i jej organa. — Dawniej i dzisiaj. — Komitet urządzający. — Pierwsi djejatiele. — Ogólne rozprężenie. — Wzrost budżetu i marnotrawstwo dóbr skarbowych. — Samowola urzędników. — Zamożność kraju. — Porównanie czasów Mikołajewskich z dzisiejszemi. — „Z góry na dół". — Teorya samobytników. — Car i lud. — Fałszywa rachuba. — Jakiem jest istotne usposobienie włościan dla rządu? — Braterstwo prześladowania. — Socyalistyczne podmuchy i ich następstwo. — Uwagi ogólne. — Mrzonki przyszłości. — Zakończenie.

I oto dobiegam do końca... Starałam się, moja droga, przedstawić ci w tych listach Warszawę i jej życie, nakreślić kilka odręcznych szkiców i

sylwetek zarówno napływowych, jak i tuziemczych żywiołów naszego miasta... Polka z krwi, ale stosunkami rodzinnemi związana z Zachodem i cudzoziemskie nosząc nazwisko, łatwiejszy może od innych miałam wstęp tam nawet, gdzie sądzono, iż żyją w zupełnem odosobnieniu i przed ciekawością oczów ludzkich zakryci są murem chińskim. Mimo to jednak zadanie, któreś mi powierzyła, nie było łatwem... Pisząc z bezpośredniej obserwacyi wówczas, kiedy kreśliłam sylwetki urzędowe i rosyjskie, potrzebowałam uciekać się do pośrednictwa trzecich, a nawet czwartych osób, skoro mi przyszło przedstawić z kolei figury z towarzystwa polskiego lub ze świata dziennikarskiego. A pośrednictwa tego musiałam używać niezmiernie ostrożnie i przezornie, w ciągłej obawie, aby nie skompromitować kogoś lub czegoś i nie narazić drugich, zwłaszcza od chwili, kiedy listy niniejsze wywołały w pewnych sferach takie rozgoryczenie, że aż robiono śmieszne usiłowania celem odkrycia ich źródła, usiłowania tem zabawniejsze, żem bywała często ich i owych oburzeń powiernicą. Współautorowie też moi nie wiedzą sami, kiedy i w jaki sposób byli mi w tej pracy pomocnymi. Niemniej jednak nieznanym nieznana dziękuję na tem miejscu najserdeczniej; niektórym faworytom Zamku radzę być ostrożniejszymi w mowie i zaufaniu. Nie sądź atoli, abym nie czuła sama, że szkice te i sylwetki, mające przedstawiać „towarzystwo warszawskie“, nie są pełne

i zupełne. Aby takiemi były, musiałabym je kreślić w innych warunkach, aniżeli te, jakie mamy obecnie. Z natury bowiem położenia powinnam była zamilczeć o wielu rzeczach i osobach, uciekać się do jakichś ogólnych typów i zbiorowych portretów, a już przez to samo zamazanych i niewyraźnych, a to wszystko ze względu na otaczające nas okoliczności i stosunki, wśród których żyjemy.

Takie jednak, jakiemi są z konieczności, mniemam, że dają zbliżony przynajmniej obraz miasta, choć nie społeczeństwa, które daleko żywiej i głębiej odzwierciedla się w życiu wiejskiem, ziemiańskiem, aniżeli w Warszawie. Tak zawsze było w Polsce, tak jest i teraz. Już z tego jednak, com powiedzieć mogła, będziesz chyba w stanie złożyć sama obraz miasta, które w ostatnich dwudziestu kilku latach zaludniło się bardzo znacznie, handlowo i przemysłowo wzmogło się wielce, pod względem towarzyskim jednakże i społecznym upadło znacznie w porównaniu z przeszłością. Salony i ludzie w nich, że tak powiem, zmaleli i zesmutnieli, a to zesmutnienie ogólne i powszechne jest bodaj czy nie najwyraźniejszą cechą obecnego życia towarzyskiego. Niemożność udziału w zajęciach i karyerach wyższej i niższej administracyi, w stowarzyszeniach ogólniejszego zakresu, w powołaniach naukowych i uniwersyteckich, ucisk i arbitralność na każdem polu, zubożenie skutkiem wygórowanych podatków rolnych,

rozstrój wszelkich organów bezpieczeństwa osób i mienia, powszechne przesilenie rolnicze, słowem wszystkie nasze biedy i codzienne troski musiały się odbić na życiu towarzyskiem, na przedmiotach rozmowy, na umyśle i układzie biorącej w niej udział młodzieży płci obojej. Życie karnawałowe i salonowe stało się zabiciem czasu a nie rozrywką. Zabrakło mu wesołości prawdziwej, ostrzejszego dowcipu, materyału do ożywionej dyskusyi. Ludzie zrodzeni i wykształceni w szczęśliwszych nieco warunkach kraju, wymierają — młodzi patrzą w przyszłość bez promieni, bez widoku, w rozgoryczeniu, jakie każdy dzień wzmaga, nieczynni i beznadziejni.

Pod tym względem na życiu towarzyskiem Warszawy musiały się odbić losy i przygody całego kraju, mniej może widocznie, aniżeli na życiu prowincyi i wsi, równie jednak dobitnie i dotkliwie. Wzmógł się w niej wprawdzie ruch, powiększył handel i obroty finansowe, ale za to skupił się niezmierny napływ ludzi spadłych z urzędu, szukających zajęcia i zarobku, młodzieży bez pracy i karyery, obywateli ziemskich zniszczonych i wydziedziczonych, zgoła ubóstwo materyalne, a bardzo często i moralne. Na stokilkadziesiąt tysięcy ludności przybyłej do Warszawy trzy czwarte kontyngensu stanowią ludzie ubodzy, bez pracy i zajęcia. To też niema dziś miasta w Europie, któreby jak Warszawa raziło taką ilością wszelkiego rodzaju żebraków, widokiem

tylu ludzi wynędzniałych, odartych i głodnych, a przedewszystkiem smutnych i osowiałych. — W żadnem zaś mimo dużej ofiarności prywatnej obojętność rządu i magistratu na biedę i nędzę ludzką nie dochodzi do tego, co u nas stopnia.— W tym kierunku i jeden, i drugi nic zgoła nie czynią. Mimo podwojonej ludności uszczuplono nawet dawniejsze zasiłki dla szpitali — a po za niemi nie zobaczysz tu ani jednego przytułku, ani jednego schronienia, ani jednej ochrony lub bióra dobroczynności, słowem ani jednej szkoły lub zakładu miłosierdzia, utrzymywanego z funduszów rządowych lub miejskich. A jednak nie wina w tem zacnego prezydenta naszego miasta, ale ogólnych przepisów i obojętności władz wyższych. Jesteś tu wśród społeczeństwa, żyjącego dla urzędników, dla wojska, dla napływających Rosyan, ale dla społeczeństwa tego nic się nie czyni, a samemu dla siebie nic się czynić nie dozwala. Jak w mieście, tak i w całym kraju ulice, drogi, gościńce, mosty karkołomne czyszczą się i porządkują wówczas dopiero, kiedy p. gubernator lub wyższy jaki urzędnik ma niemi przejeżdżać. Wszystko dla nich, nic dla dobra ogólnego; wszystko dla rządzących, nic dla społeczeństwa. Oto w wielkich i małych rzeczach dewiza rosyjskich w Królestwie polskiem rządów, oto główna ich cecha i typowe piętno.

Kto nie zajrzał do ościennych krajów zachodnich, kto nie pamięta lepszych tutaj czasów, ten

nie zdoła zdać sobie sprawy, jak położenie ogólne szybkim krokiem stoczyło się ku dołowi; ten nie będzie w stanie zrozumieć, co w ciągu lat dwudziestu kilku cała czereda diejatieli wyrabia z tym krajem i do jakiego doprowadza go stanu. Widać to w Warszawie, widać jeszcze wyraźniej i dotkliwiej na prowincyi i na wsi.

Wszystko skierowanem zostało do jednego fałszywego celu politycznego, do obrusienja i oprawosławnienia Królestwa. Sprawiedliwość, sądownictwo, administracya, policya, wojsko, stan nauczycielski, nikt z nich nie dba o porządek, bezpieczeństwo, słuszność, o uszanowanie własności, o zdrowe wykształcenie młodego pokolenia, o rozwój i potrzeby ekonomiczne, rolnicze, przemysłowe i handlowe kraju, o kościół, o zakłady dobroczynne i moralność publiczną; słowem rząd i jego narzędzia o nic się nie troszczą, jeno o *delenda Carthago* polskości i katolicyzmu. Owszem zubożyć, zniszczyć, spodlić, zepsuć moralnie, oto środki, które mają dopomagać temu dziełu religijnej i narodowej eksterminacyi. Przyjedzie jakiś nowy naczelnik kraju lub prosty gubernator, rozumniejszy, uczciwszy, mniej namiętny i zawzięty niż zwykle, i ten ubezwładni się natychmiast w tych istotnych rzeczach zarządu, które dotyczą bodaj materyalnego tylko porządku, bo cały czas i siły pochłonie mu propaganda rusyfikacyi i prawosławia. Przy najlepszej woli i chęci nie będzie miał czasu zająć się drogami, mostami, bezpie-

czeństwem osób i mienia, porządkiem administracyjnym, bo trzeba pilnować księży, szlachty, zjazdów sąsiedzkich, trzeba śledzić za każdem drgnieniem życia, baczyć na wszystkie jego objawy, trzeba pisać, donosić, raportować. Nie administrują też oni, ale dozorują; nie zarządzają krajem, ale go jak osadzonego w więzieniu zbrodniarza pilnują.

Statystycy i urzędnicy rosyjscy lubią się niejednokrotnie powoływać na fakt, że w ostatnich latach wzmógł się w Królestwie przemysł i handel, że podniósł się dobrobyt ludu i że ludność jednej tylko Warszawy wzrosła w dwójnasób. Fakt jest istotnym, tylko że przyszedł on nie z powodu rządu, lecz raczej mimo niego, dzięki szczęśliwemu położeniu geograficznemu, upadkowi waluty, dzięki energii i samozachowawczym usiłowaniom oraz pracy społeczeństwa, dzięki napływowi kapitałów żydowskich i niemieckich Inicyatywa lub pomoc rządu nie odgrywała tu żadnej zgoła roli. Po r. 1863 nastała w cesarstwie przez lat kilkanaście epoka budowania kolei, tworzenia instytucyj finansowych, czulszej nad przemysłem opieki. Za hr. Berga, Kotzebuego, trochę jeszcze Albedyńskiego, kilku przedsiębiorców tutejszych korzystało z panującego w Petersburgu usposobienia, aby wyjednać koncesyę na budowę trzech kolei, uznanych za strategiczne, otrzymać pozwolenie na parę instytucyj finansowych, założonych tutejszemi kapitałami. Oto wszystko, co dano zro-

bić inicyatywie miejscowej, trudno bowiem było, choćby ze względu na samo cesarstwo, pominąć i w tym kierunku kraj, stykający się z Zachodem, ku któremu zmierzały koleje rosyjskie. Ale i ten ruch dziś ustał zupełnie, i rząd i jego organa nic nie robią dla komunikacyj lądowych i wodnych, dla szos w opłakanym znajdujących się stanie, dla rzek, które dziko sobie płyną, zalewając co roku nadbrzeżne okolice. Spróbuj zaś prosić o pozwolenie założenia jakiejkolwiek choćby najskromniejszej instytucyi np. kasy zaliczkowo-wkładkowej, kasy emerytalnej lub przezorności i pomocy dla służących i oficyalistów, o spółkę rolniczą, o towarzystwo ubezpieczeń od gradu lub życia, o towarzystwo warrantów lub choćby o najprostsze stowarzyszenie melioracyjne albo wychowawcze, a uparcie niczego nie otrzymasz. I stracisz tylko czas i wyłożone na starania pieniądze, a w zysku będziesz miała przekonanie, że w tym kraju i przy zasadniczem usposobieniu rządu spotka Cię zawsze odmowa. Nic też dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy w ludziach słabnie inicyatywa, niknie chęć do tylokrotnie bezskutecznych już usiłowań i ręce opadają i braknie ochoty, a miejsce jej zajmuje apatya i bezradność.

Kwestyą włościańską zajmował się kraj od dawna i pragnął ją załatwić. Za Mikołaja nie można jej było ruszyć z miejsca, później Towarzystwo rolnicze upomniało się o nią i przygotowało odpowiednie projekta. Wielopolski otrzymał sankcyę

dla swych w tym przedmiocie praw. To, co zrobiono po r. 1863, było dziełem politycznej propagandy i zemsty. Przy dobrej woli i chęci uwłaszczenie włościan dałoby się przeprowadzić racyonalnie i sprawiedliwie bez rabunku i jątrzenia, bez szachownic na gruntach i bez serwitutów, niszczących pola i lasy, bez owej rewolucyjnej i politycznej przymieszki, która długo jeszcze odbijać się będzie fatalnie na dobrobycie rolniczym i moralnym włościan i właścicieli. Jednakże uwłaszczenie to było tak potrzebnem, zbawiennem i ztąd słusznie przez kraj wymaganem, że mimo owej przymieszki, mimo że wiele było prawdy w nazwie, jaką nadał wówczas temu ukazowi p. Leonce de Lavergne, zwąc go *une loi Tamerlan-Baboeuf* — mimo to wszystko dobrobyt włościan znakomicie się polepszył i dzięki poczciwej naturze naszego ludu a oględności właścicieli, stosunki między dworem i wsią pozostały wogóle dobremi. Ale ileż to krzyczących krzywd wyrządził ten tabun komisarski i urzędniczy, który to uwłaszczenie przeprowadzał! ile okazał zaciekłości, nieznajomości rzeczy i grubej samowoli! Pchnął on włościan na drogę wygodnego a nieprzeczonego lenistwa, nierzetelnego wyzysku, marnotrawstwa czasu, zagnieździł wśród nich wszystkie te wady, wstrzymując w ten sposób postęp rolnictwa i zamożności, która mogłaby być stokroć większą i znaczniejszą.

A spojrz teraz z kolei na działanie rządu w kraju tutejszym w innych daleko donioślejszych sferach.

Najobojętniejszego nawet dla tego kraju przybysza musi zdjąć zgroza i oburzenie na widok tego łoża Prokrusta, na którem męczą go i dręczą, mimo absolutnej przez lat dwadzieścia kilka ciszy, mimo wyleczenia po nieszczęśliwych pokuszeniach 1863 r. I k'woli czemu te męczarnie? K'woli wszechjedności państwa, która stała się hasłem p. Katkowa, służalczego lub szowinistycznego dziennikarstwa, iście Tamerlanowskich liberałów, pospolitego gminu urzędniczego i jego zwierzchników, których cechą, jak mówi poeta:

Jest karność niezachwiana obok żądz korzyści,
A wobec pastwy każdej — ogrom nienawiści.

Rosyanin — naturalnie mówię tu nie o wyjątkach, ale o przeciętnym ogóle — jest w chwilach gorączkowego i rozbudzonego życia niepowściągliwym i zapamiętałym w swych zachciankach i żądzach, bezwzględnym i dzikim w środkach. Nie liczy się on z prawem, porządkiem społecznym, z najprostszemi wymaganiami normalnego postępu. Wydęty bezgraniczną, plemienną i państwową pychą, nie zwykł brać w rachubę jakiejkolwiek ogólniejszej idei sprawiedliwości i ludzkości. Obudzone w peryodzie reformatorskim Aleksandra II poczucie narodowe i dążenia do politycznego choć nieokreślonego przetworu, trafiły na niewczesne ruchy polskie 1863 r. i na kraju naszym wywarły cały swój zapas brutalnej energii narodowej i rewolucyjno-socyalnych aspi-

racyj. Z czasem legion ten pierwotnych dziejatieli zastąpiono pospolitemi Taszkiendcami bez wszelkiej moralności i zasad, którzy dla chleba wyzyskują i ciągną dalej roboty owych początkowych zagorzalców idei rusyfikacyi i państwowej socyalno-rewolucyjnej jedności. I tu powtórzyć Ci znowu muszę to, com powiedziała gdzieś mimochodem w jednym z poprzednich listów, że najbardziej narodowym wyrobem rosyjskiej cywilizacyi i przemysłu jest czynownik. Mimo niezmiernych obszarów, większych niż niejedna część świata, mimo ogromnych zasobów rolniczych i przemysłowych, leżących dotychczas odłogiem, Rosya może doznawać głodu, może oddać swój przemysł krajowy w niemieckie i cudzoziemskie ręce, jednej atoli rodzimej rzeczy nie zabraknie jej nigdy: czynownika. Roją się oni bezustannie, upadek i ruina szlacheckich majątków mnoży ich zastępy. Muszą oni koniecznie wynajdywać coś do zmiany i przekształcania, muszą tropić i wietrzyć urojone knowania, religijne i narodowe opozycye, muszą starać się ustawicznie, aby tą drogą zwrócić na siebie uwagę, stanowisko utrzymać, awans pozyskać. Dla nich to już nie kwestya zasad, ale kwestya chleba i bytu. Jak szarańcza obsiedli też oni Królestwo i kraje zabrane, wyrugowali pod pozorem politycznym cichych, spokojnych i zasłużonych Polaków z urzędów, z sądownictwa, ze szkół i kolei żelaznych, z wyższych nad oficera stopni wojskowych. Stworzyli więc

w ten sposób w kraju zastęp proletaryatu inteligencyi, zwiększanego ustawicznie przez młodzież, która nigdzie nie może znaleść pomieszczenia. Każdy taki czynownik musi stwarzać widma jakiejś narodowej szlachecko-katolickiej agitacyi, wymyślać najrozmaitsze sposoby odznaczenia się wobec rządu w służbie prawosławia i rusyfikacyi. I przyszło do tego, że w kraju, który ma miliony bagnetów, krocie moskiewskich urzędników, w którym Polak nigdzie ruszyć się i odetchnąć nie może, gdzie konfiskują jego majątki, gdzie odbierają mu prawo kupna, dzierżawy i zastawu, prasa i urzędnicy wciąż krzyczą, że Polacy tępią Rosyan, a katolicyzm prawosławie. Każdy taki czynownik wobec polskiego mieszkańca, to samowładny satrapa; każdy, zawsze naturalnie prócz szlachetnych wyjątków, pobierając wyższą niż urzędnicy w cesarstwie pensyę, wyciąga jeszcze z kieszeni tutejszego mieszkańca i z wszelkich robót publicznych wszystko, co się tylko wyciągnąć da i można.

Wiesz dobrze, że nie należę do nieprzejednanych, że przeciwnie, znalazłszy prócz macierzyńskiej drugą na Zachodzie ojczyznę, nie przestając być Polką, spoglądam jednak na ten kraj, stan jego i rządy przez cudzoziemski raczej, wolny od wszelkiej namiętności pryzmat. Owszem patrząc wokoło i za słupy pruskiej granicy, patrząc na trzy czwarte dawnej Polski pod panowaniem rosyjskiem, patrząc na mękę tutejszego społeczeń-

stwa, szukam na gwałt sposobów znośniejszego bytu i chwilowego przynajmniej odetchnienia, szukam środków zbliżenia się i jakiegoś *modus vivendi* z tym bądź co bądź ogromem słowiańskiego państwa — ale szukam daremnie, bo wyznać muszę, że to, na co od lat tylu spoglądam, niweczy najbardziej nawet upartą cierpliwość. Tu każdy, teraz szczególniej, urzędnik czy wojskowy rosyjski, jest prawie wszechwładnym, skoro idzie o dręczenie i szkodzenie — bezwładny i nie mocny, skoro chciałby ulżyć i coś dobrego dla kraju zrobić.

Nie przez żadną niechęć lub uprzedzenie, ale skutkiem najtrzeźwiejszego zastanowienia się i codziennego doświadczenia każdy choćby obcy przyjść tu musi do uznania i wyznania, że żywioł rosyjski: urzędniczy, sądowniczy czy nauczycielski, w stosunku i zetknięciu się ze społeczeństwem polskiem staje się rozkładowym, demoralizującym i socyalno-rewolucyjnym. Polak może być anarchicznym, niesfornym, płochym, powodującym się czasem zbytecznie fantazyą i nerwami, w gruncie jednak jest nieskończenie więcej aniżeli przeciętny Rosyanin zachowawczym, społecznie, politycznie nawet i cywilizacyjnie bardziej wykształconym, w instynktach swych monarchicznym, w uczuciach religijnym i moralnym, w postępowaniu uczuciowym i łagodnym. Od lat kilkudziesięciu Rosya znajduje się w fazie wewnętrznej fermentacyi i przekształcenia się.

Stan to tem niebezpieczniejszy, że brak jej zasobu doświadczenia, brak tradycyi, warunków swobodniejszego życia socyalnego i politycznego, brak owego zarodku w jednostce i społeczeństwie, jakiego nabywały one na Zachodzie w ciągłem obcowaniu z prawem, z względną swobodą, z samoistnym rozwojem życia religijnego, naukowego, filozoficznego, publicznego a wreszcie i ekonomicznego. Takie zaś społeczeństwa bywają zwykle w nowym swym pochodzie wykolejone, stropione i zbłąkane. Szukają one po omacku nowych dróg i chwytają chciwie wszelkie nowości. Następstwa przekwitu i rozkładu cywilizacyi biorą one za postęp, skrajne programy i instytucye za wyższy szczebel rozwoju, burzące i radykalne teorye religijne, filozoficzne i społeczne za kwiat cywilizacyi. Wolność upatrywać będą — w bezkarności i anarchii; normalny ustrój społeczny — w niwelacyi; działalność i energię — w pospolitym gwałcie; swobodę myślenia i nauki — w wyuzdaniu wszelkich praw wyższego porządku, religii i moralności. Z drugiej zaś strony przerzucą się w inną, ale zawsze pokrewną ostateczność — do wszechwładzy państwa. I powstanie teorya, że bez państwa społeczeństwo rosyjskie niczego samo przez się wydać nie zdolne, że należy więc zmiażdżyć zupełnie jednostkę, zaprowadzić bezwzględną jednolitość i jednostajność imperyum, i że to zastąpi i zadowolenie, i naturalną zgodę różnorodnych, narodowych, cywilizacyjnych, religij-

nych i historycznych państwa tego składników. To też młoda Rosya powiła takich absolutystów, jak Bakunińscy anarchiści, jak cały zastęp nihilistów i dzisiejszych biurokratycznych niwelatorów. Skoro zaś tego rodzaju i pokroju żywioły zawładnęły administracyą, sądami i szkołami, to łatwo można sobie wyobrazić, jak trującym i rozkładowym musi być ich wpływ na społeczeństwo, lud, a zwłaszcza na młodzież, wychodzącą z zakładów naukowych. I stajemy tu wszyscy wobec pełnego zgrozy dylematu: albo trzeba uledz temu prądowi i podlić się, albo walczyć z nim pod osłoną fałszu, którym się każdy okrywa, bo on niezbędny i nieunikniony, gdyż umożliwia życie i istnienie. *Aut-aut* — pośredniej drogi niema, jest tylko spodlenie lub hipokryzya, która stała się koniecznym warunkiem bytu i życia.

W pierwszych latach panowania Aleksandra II mimo wielu niezdrowych objawów płynęły z góry jakieś szlachetniejsze i bardziej dodatnie prądy. Z reakcyą dzisiejszą i to się zatrzymało. Powszechny marazm i sceptycyzm, zniechęcenie i wyłączna troska o jutro, o chleb powszedni, zajęły miejsce wszelkich ożywczych aspiracyj. Reakcya ta jednak potrąciła o pewne fibry narodowe. Przystroiła się ona i upozorowała potrzebą powrotu do rdzennych tradycyj przedpiotrowskich, podnosząc w ten sposób i tak już wygórowaną pychę i szowinizm narodowy. Musiało zaś to oddziałać najfatalniej na całe usposobienie i postę-

powanie rządu oraz biurokracyi w Królestwie polskiem i w krajach zabranych. Zdwoiło też i zaostrzyło zaciekłość i bezwzględność tych już nie narzędzi, ale bojowników rusyfikacyi i prawosławia, nasłanych na kraj milczący, spokojny i bezgranicznie cierpliwy. Ludzie ci, stojący nawet na najwyższych szczeblach, głoszą flegmatycznie i po doktrynersku, jak niegdyś w konwencie francuskim: *Que voulez vous? — c'est la guerre!*... Tak, to wojna, brutalna, bezwzględna, eksterminacyjna wojna, prowadzona z nienawiścią i zawziętością, z fanatyzmem, który nie wstydzi się być cynicznym i jawnie swe cele głosić. Kierunek, co pchnął do tej wojny, wiele jeszcze ofiar i nieszczęść przyczyni, ale ostatecznie tu niczego nie osiągnie, a u siebie niczego nie stworzy. Jałowe to hasło i jedno tylko po niem pozostanie, oto dowód, że każdy ustrój polityczny i społeczny, każdy zdrowy postęp liczyć się musi z przeszłością i z tradycyą, z rzeczywistemi warunkami wszelkiego bytu narodowego. A do tego przekonania mógł dojść każdy roztropny, bez owej tragicznej i straszliwej na naszej skórze próby. Żadna reakcya, choćby ostrzejsza jeszcze niż obecna, nie powstrzyma konieczności odpowiednich w cesarstwie reform i nie usunie potrzeby korzystania z zachodniej cywilizacyi. Można ruch czasowo powstrzymać, tamy chwilowo usypać, ale skutkiem tego wszystkiego będzie fakt nieunikniony, że albo

prąd rozleje się tem gwałtowniej na zewnątrz, lub osiądzie bagniskiem na własnej glebie.

Garstka wyzyskiwaczy dzisiejszego systemu, ludzie, którzy raczej pragną z owego prądu skorzystać, aniżeli w zbawienność jego istotnie wierzą, wywiesiła sztandar powrotu do samodzierżawia. „Samodzierżawie“ owo jednak to autokratyzm nie monarchy, lecz raczej kilku fanatycznych, samolubnych, tępych i pożądliwych władzy mierności. Żeby usłuchać żądań „samobytników“ i cofnąć się do czasów przedpiotrowskich, to w końcu trafiłoby się może i doszło logicznie do wspomnień rzeczypospolitych nowogrodzkich i pskowskich. Ale bądź co bądź w takim razie nie trzeba było przenosić stolicy z Moskwy do Petersburga, zagarniać i ćwiartować Polski, umizgać się do encyklopedystów i filozofów XVIII wieku i napawać się ich naukami; nie trzeba było przez lat kilkanaście z krociową armią mięszać się i zlewać z Europą, bratać się z Francyą w wielkiej epopei militarnej i politycznej Napoleona. Nie należało dalej przyjmować reform Sperańskiego, wtrącać się i rej wodzić w sprawach zachodniej Europy i Śródziemnego morza, usamowalniać i uwłaszczać włościan, zaprowadzać ogólną służbę wojskową i nadawać prasie względną swobodę, oddzielać sądownictwo od administracyi i uposażać je niezależnością, organizować ziemstwa i zarządy miejskie, zaprowadzać sądy przysięgłych i mnóstwo innych zachodnio-europejskich reform. Dziś

na powrót do przedpiotrowskich czasów już zapóźno. Z instytucyj, jakie Rosya na modłę europejską otrzymała, można będzie wiele skoszlawić lub zgładzić, ale wymazać je zupełnie z dzisiejszego cywilizacyjnego pochodu narodu i państwa niepodobna. Ślepy tylko tego nie widzi, a głuchy nie chce głosu rozsądku usłyszeć. „Samobytnictwo,“ to czczy i pusty frazes, może on pochlebiać dumie narodowej i łechtać szowinizm, ale w praktyce należy do tych utopij, które się nigdy urzeczywistnić nie dadzą. I ostatecznie dziś ci sami reprezentanci reakcyi i powrotu do przedpiotrowskich czasów kiedy chcą przedsięwziąć coś w sprawach i urządzeniach wewnętrznych, muszą znowu wzorować się na Zachodzie i mimowolnie a bezwiednie stają się tak potępianymi przez nich „zapadnikami.“ — Rozmaitość, różnorodność i oryginalność są warunkami rozkwitu cywilizacyjnego, ale na wyżynach spotkać się one muszą z koniecznością, wynikającą z jedności i solidarności ludzkiej. Zresztą owa rdzennie rosyjska cywilizacya i jej najwyższe upostaciowanie: samodzierżawie, jest dziś, że tak powiem, wiarą ogołoconą z osobistego bóstwa. I cywilizacya ta i samodzierżawie stały się jakby bezosobistym panteizmem, mającym swe emanacye i rozlanym po części w całej rosyjskiej przyrodzie, coraz mniej jednak widomym, dotykalnym. Czeka on na jakieś przeobrażenie, aby w nowych wystąpić kształtach.

Ks. Gorczakow mówił kiedyś: *la Russie se recueille.* O dzisiejszej należałoby powiedzieć: *qu'elle est devenue sournoise et se morfond.* Obok pozornej ciszy, wśród tych milionów dusz i niezmierzonych przestrzeni pracuje coś i szamocze się w głębiach. Gniecie wszystkich powszechna niedola i bieda, niezadowolenie jest ogólnem, a pycha narodowa i jakieś wszechświatowe pragnienie nurtują tę płaską na pozór powierzchnię. Jeden z francuskich pisarzy i wielki Rosyi wielbiciel doskonale ją kiedyś określił: *On dirait l'esprit d'un chimiste anglais dans l'âme d'un boudhiste hindou; se charge, qui pourra, d'expliquer cet étrange accouplement: celui qui y parviendra expliquera toute la Russie.* Wielkie siły elementarne, gruby realizm, materyalizm i pożądliwość, a obok tego sceptycyzm, nieoględność i pesymizm; niesłychana nerwowość w danych chwilach obok apatyi i bezwładności gatunkowej, tej, którą spotykamy u *boa constrictora*; wielka stateczność w dalekich zamiarach i zadaniach politycznych obok równie wielkiej wrażliwości i zmienności w pojedynczych momentach egzystencyi; potrzeba formy i kultu zewnętrznego, a w duszy nihilizm, mistycyzm, nieogarniona tęsknota i buddyjska Nirwana, dziwnie z sobą zmięszane; serwilizm bez granic i zuchwalstwo, pozorna uległość a twardość i upór, pominięty czasem aż do bohaterstwa; ogromne poczucie posłannictwa i potęgi państwa oraz narodu rosyjskiego, a obok tego samolubstwo i wstrętne

a nizkie wyzyskiwanie rzeczy publicznej — oto Rosya dzisiejsza. Chaos więc zupełny, żywioły elementarne w robocie, sprzeczne i sporne ze sobą duchy poruszają tym ogromem, co fermentuje wewnątrz pod wpływem nowych zaczynów cywilizacyjnych. Wszystko to trzymane dotąd w karbach samodzierżawia, które jednak obecnie zaczyna się rozchwiewać. Dla Polski zalew i działanie takich żywiołów to działanie jadu, gangrena moralna a zarazem i potop. Zieje ten kolos ogniem, który wszystko pożera, a cały kraj zalany jego potopem i nurtujące Rosyę prądy podmywają nasze brzegi i nasze niszczą pola. Na nas się odbijają chwilowe natury rosyjskiej zachcenia, myśmy temi ofiarami, na których wiwisektorowie rosyjscy swoich dokonywają eksperymentów. Ale stan ten nietylko groźny i zabójczy dla nas, ale i dla Europy. Jeśli bowiem nie sprowadzi wewnętrznego gnicia i rozkładu, to w dalszych wzburzeniach swoich gotów wyrzucić na świat milionowe tłumy, twarde, sfanatyzowane, zaprawione do niewygody, bezwzględne a pożądliwe i zgłodniałe upów, dzikim patryotyzmem i pogardą śmierci ożywione. Nie będzie im wstrętnym ani socyalizm, ani rewolucya, owszem pokrewne znajdzie w nich pierwiastki. Kto wie zresztą, czy po takim dopiero wylewie nie przyjdzie dla społeczeństwa rosyjskiego chwila nowego na wewnątrz życia i ustroju.

Dramat ten rozegra się prawdopodobnie z okazyi półwyspu bałkańskiego, Konstantynopola i Bo-

sforu, bo tam pcha Rosyę konieczność i wiekowa tradycya. Do katastrofy może jeszcze daleko, ale tymczasem nie powinno być obojętnem dla Europy, by ostatki zachodniej cywilizacyi na północy uratować od zupełnej zagłady; co więcej, nie powinno być zkądinąd pożądanem dla samej Rosyi, by na spustoszonym przez nią gruncie słowiańskim tem łatwiej rozsiadła się w danym wypadku pruska potęga.

Odbiegłam na pozór od przedmiotu i zbyt może rozszerzyłam ramy niniejszych uwag, ale na to tylko, żebyś lepiej mogła zrozumieć, jak w Królestwie polskiem owa pasya, żywioły i fermenty nurtujące kolosem rosyjskim, muszą szarpać, dręczyć i deptać, wstrętne im w zaślepieniu i zapamiętałości dzisiejszej— polskość, katolicyzm i wierność dla cywilizacyi Zachodu. Przez té dwadzieścia kilka lat co zrobiono z religią i Kościołem? W ostatnich czasach strach, wywołany postępami nihilizmu, i wpływ kilku lepszych osobistości przyniósł jedną przynajmniej ulgę, dając możność obsadzenia kilku biskupstw. Oto wszystko, co uczyniono, ale i to było wielką pociechą. Obok tego jednak zniesiono klasztory, kilku biskupów a księży setkami wywieziono, tak, iż pozostali nie wystarczają dla pasterstwa dusz lub dosłownie zamęczać się muszą. Seminarya tak ściśnięte i okrojone, że liczba alumnów, jaka z nich wychodzi, jest zawsze mniejszą od liczby księży, zmarłych w dyecezyi. Na Litwie, Rusi i w tak zwanem

dziś „Zabużju" kościoły setkami zamykano, a i dziś jeszcze zamykają ustawicznie, wszystkich prawie gorliwszych księży wywieziono, a pozostałych, z których wielu jest wątpliwej moralności, poddano przez szereg lat samowładztwu gubernatorów i jak niegdyś w Wilnie rządom duchownym administratorów-renegatów. Na Litwie zwłaszcza trzeba często objechać kilkanaście mil naokoło, by spotkać księdza nie apostatę i kościół otwarty. W szpitalach i zakładach dobroczynnych od paru lat nawet w Królestwie osadzają siostry prawosławne, a obsługę katolicką i Siostry Miłosierdzia systematycznie rugują. Propaganda prawosławia sięga nawet do podrzutków i sierot, utrzymywanych w zakładach rządowych. Urzędników Polaków wypędzają lub wciągniętych w nędzę kuszą obietnicami utrzymania, jeśli przejdą na prawosławie.

Ksiądz na wsi nie może się ruszyć z obrębu parafii bez osobnego na każdy raz paszportu. Donos strażnika ziemskiego a na Litwie „uradnika" lub „pristawa" wystarcza, aby go narazić na karę pieniężną, osadzenie w klasztorze lub nawet wygnanie. Wielu z nich usunięto z parafii za to tylko, że przez nieuwagę w dzień *tabelny* (uroczystość dworską) odprawiali nabożeństwa w ciemnych ornatach; innych za niedanie na spowiedzi rozgrzeszenia kobiecie, która wyszła za prawosławnego; innych wreszcie za urządzanie różańca lub jak w pewnym wypadku na Podolu za za-

prowadzenie Towarzystwa wstrzemięźliwości i namawianie chłopów, by nie pili wódki — i w tem bowiem dopatrzono się nieprzyjaznej dla rządu agitacyi. Słowem, skoro ksiądz katolicki trochę więcej robi i rusza się, wnet albo przenoszą go z parafii, lub osadzają na pokucie w klasztorze. W urzędowym stylu nazywa się to, że jest zanadto „wpływowym“... Każdy zaś „wpływowy“ podpada *eo ipso* w podejrzenie i bywa źle notowanym. Aby się utrzymać, zwłaszcza na Litwie i Rusi, ksiądz katolicki musi dbać więcej o dobre stosunki z urzędnikami powiatowymi, aniżeli o zdanie swej duchownej władzy; jeśli jest zamożnym musi się opłacać różnym „sprawnikom i stanowym,“ w przeciwnym zaś razie z nimi żyć, pić i grywać w karty, zastępując niedawanie łapówek zażyłością sąsiedzkich stosunków i obfitością libacyj. Gdy od tego pożycia i libacyj stroni, już jest przez to samo podejrzanym i na liczne naraża się „donosy.“ Po za urzędnikami powiatowymi jest druga jeszcze osobistość, bardzo dla księdza niebezpieczna — pop prawosławny. Ten także na swoją rękę denuncyuje, zwłaszcza kiedy przychodzi na stół kłopotliwa i niezmiernie dla katolickiego sumienia drażliwa kwestya małżeństw mięszanych. Pop zaś na Unii, nie mając innego zajęcia, specyalnie i wyłącznie niemal denuncyacyi się poświęca. W Chełmie wychodzą t. z. *Eparchjalne Wiedomosti*, które od początku do końca zapełnione są donosami na księży katolickich i obywateli,

a jednych i drugich wymieniają tam po nazwisku. Naturalnie, że wszystkie kary, wymierzone na księży, wykonywają się w drodze samowoli administracyjnej, bez udziału sądów, a nawet bez dania oskarżonemu możności obrony. Nie mówiąc już o krajach zabranych, ale i w Królestwie Polskiem ksiądz katolicki niema wstępu i wpływu w szkółce elementarnej, a na „Zabużju“ to i nauka katechizmu, udzielana dzieciom w kościele ulega ścisłym ograniczeniom i prześladowaniu. Grunta kościelne zabrano, a księży zostawiono na łasce parafian, pensya bowiem rządowa jest strasznie mała i w największych parafiach wynosi zaledwie 300 rs. rocznie, co nie przeszkadza jednak p. Hurce do wydawania okólnika, piętnującego powszechny jakoby wyzysk włościan przez proboszczów i polecanie urzędom gminnym, aby interweniowały w tego rodzaju wypadkach.

A co się działo i dzieje na Unii, to już woła o pomstę do Boga. Batóg, męki, gwałty zbrojnego żołdactwa, morderstwa, przesiedlanie całych wiosek w głąb Rosyi, rozpoczęły to dzieło miłościwego powrotu na łono prawosławnego kościoła. Teraz prowadzi się ono dalej egzekucyami wojskowemi i administracyjnym rabunkiem całych wsi, karami i więzieniem, albo pokusą nowego podziału gruntów i lasów właścicieli majątków. Trwający przy swej wierze unita, to istny parjas, nieszczęśliwy, odarty z wszelkich praw, otoczony ze wszystkich stron, ścigany po lasach i pustkowiach,

gdzie z swemi praktykami religijnemi kryć się musi, i jak skorpion otoczony dokoła ogniem wije się i szamocze ten męczennik, co kiedyś w martyrologii katolickiej zajmie miejsce obok pierwszych chrześcian z rzymskich katakumb. Nikt mu nie może dać pomocy, nikt bratniej podać ręki, nikt jego cierpieniom ulżyć, bo każdy podpadałby tym samym co on rygorom i ściągał na siebie tysiące kar i tysiące prześladowań. Persekucya doszła już do tego wyrafinowania, że biednemu unicie odebrano nawet możność zarobku, zapowiadając, że każdy pracodawca, który pozwoli, by „były unita“ — jak się to urzędownie nazywa — szedł do roboty w święto prawosławne, a katolickie obchodził, płaci wysoką karę pieniężną (25 rs. za każdy raz). Obawiają się więc ludzie przyjmować ich do służby folwarcznej, obawiają się nawet dziennie najmować, bo jakże to zmuszać takiego człowieka, by wbrew swej wierze w święto katolickie robił a w prawosławne próżnował, i stawać się przez to narzędziem prześladowania rządowego; jakiej to zresztą trzeba baczności, aby wszystkie te prawosławne święta (a jest ich mnóstwo) spamiętać i za każdym razem przypilnować, by Prokopowi lub Marcie nie dawano w ten dzień roboty, lecz kazano iść do cerkwi. Nieuwaga zaś w tego rodzaju drobnostkach ściąga kary pieniężne, które w jednym roku uróść mogą i do kilkuset rubli, a w końcu wywołuje rozkaz opuszczenia majątku i przymusowej jego

sprzedaży. Jak skazane na śmierć głodową zwierzęta tułają się biedni unici po lasach i odepchnięci z konieczności przez wszystkich, tam szukają zaspokojenia religijnych swych potrzeb. Wytrwałość pozostałej przy wierze garstki przechodzi często w iście męczeńskie bohaterstwo. Wolą oni chrzcić się i żenić bez księży, byle tylko popa prawosławnego nie widzieć, a niedawno w jednym z szpitalów na Podlasiu umierający unita, gdy mu przyprowadzono „brodatego księdza,“ ostatnich sił dobył, zerwał się z łóżka i zaczął się zawzięcie bronić przed natrętnym, gdy ten gwałtem chciał go „na śmierć pomazać“ i wśród tego szamotania się z popem, przebranym w szaty kościelne, skonał, wołając wciąż: „nie chcę, nie chcę.... dajcie mi mego księdza!“ W innem znów miejscu matka z dzieckiem spaliła się w stodole, byle tylko niemowlę jej nie zostało na prawosławie ochrzczone.

Niedość na tem, prócz „byłych unitów“ wytworzono drugą kategoryę t. z. „zakwestyonowanych.“ „Zakwestyonowany,“ to już nie unita, ale łacinnik, którego ojciec lub dziad był kiedyś w kościele unickim chrzczony lub choć raz sakramenta tam przyjmował. Liczba takich zakwestyonowanych jest wielką, dawniej bowiem przyjmowanie sakramentów przez łacinników w cerkwi unickiej było i dozwolonem, i częstem.

W ostatnich latach prześladowanie Unitów wzrosło jeszcze w dwójnasób. Datuje się to głównie od chwili objęcia rządów Królestwa przez

jenerała Hurkę. Znalazł on doskonałe do tej roboty narzędzie w osobie p. Mirosława Dobrjańskiego, znanego Ci z procesu Hniliczek. Pan ten sprawuje obecnie funkcyę urzędnika do szczególnych poruczeń przy biurze jenerał-gubernatora. Te „szczególne poruczenia“ — to właśnie gnębienie Unitów. W tym kierunku nadano mu dyktatorską prawie władzę. Podejrzenia jego są wyrokami. Chodzi on przebrany za Unitę po wsiach i kościołach, ma całe zgraje akolitów, którzy klękają przy konfesyonałach, aby wypróbować księdza, czy bez kartki wysłucha spowiedzi, odgrywają rolę ajentów prowokacyjnych wśród samych Unitów, proponując im ułatwienie praktyk religijnych lub zasięgając rady, gdzie można wyspowiadać się, ochrzcić dziecko lub wziąć ślub. Udają też czasami księży, przybyłych jakoby potajemnie z Galicyi, aby podtrzymywać w wierze Unitów, perorują przeciw prawosławiu, zachęcają do oporu, chcąc tym sposobem wzbudzić zaufanie i rozwiązać język. W rozmaitych przebraniach i rolach występują ci ludzie. Raz jako współwiercy kryją się jakoby przed strażnikami w chatach unickich, najmują się nawet do roboty, aby tylko podsłuchać rozmowy, wyszpiegować sposoby, jakiemi biedni paryasi zaspokajają swe potrzeby religijne. Doszło do tego, że w okolicach, gdzie się ostała Unia, trudno bardzo odróżnić prawdziwego Unitę od fałszywego ajenta Dobrjańskiego. To zaś zdwaja jeszcze ostrożność wszystkich i zaszczepia

nieufność nawet do męczenników, w których każdy podejrzywać musi szpiegów. Dzięki tej robocie p. Dobrjańskiego, zamknięto już w tym roku kilka kościołów nietylko na „Zabużju", ale i po tamtej stronie Bugu, na Litwie. Znane wypadki w Lublinie przed klasztorem Dominikanów były jego dziełem, a w cytadeli siedzi obecnie wielu podejrzanych o „nakłanianie b. Unitów do oporu przeciw prawosławiu". Z jego inicyatywy wyszło też świeże rozporządzenie, aby tych wszystkich „byłych Unitów", którzy brali śluby w Krakowie lub Galicyi, ścigano na drodze sądowej za „nieprawne pożycie" i obrazę moralności publicznej. Położenie księży katolickich tam, gdzie są Unici, jest poprostu nieznośnem i niemożliwem do wytrzymania. Muszą oni chodzić jak po szkle, oglądać się na wszystko i wszystkich, pilnować konfesyonału, by przy nim nie klęknął ktoś osobiście proboszczowi nieznany, muszą baczyć, by na nabożeństwie nikt z „zakwestyonowanych" nie był obecnym, muszą na każdym kroku zapierać się swego powołania i stawać w sprzeczności z kapłańskiem sumieniem. Doszło do tego przecież, że na Podlasiu jeden z najprzykładniejszych kapłanów, znany ze swej pobożności a nawet ascetyzmu, nieszczęśliwą tą kwestyą unicką doprowadzony został do takiego rozdrażnienia, iż chwilowo zmysły postradał i pod wrażeniem rozkazu przemiany swego kościoła na cerkiew targnął się na własne życie.

Ale to nie wszystko jeszcze. To zaledwie drobna cząstka tych męczarni, które chyba pióro w krwi serdecznej maczane opisaćby zdołało. Nie kilka luźnych kartek, lecz tomów by na to potrzeba i z pewnością kiedyś tomy się takie ukażą, a jakiś przyszły Taine Unii, opierając się tylko na dokumentach i tajnych raportach Zamku, złoży dopiero pełny obraz tego teroryzmu, co przypomina żywcem czasy pierwszej rewolucyi francuskiej i epokę „podejrzanych.“ Tylko, że kiedy się te tomy ukażą, nikt z ówczesnych nie zechce może wierzyć, aby pod koniec XIX wieku, w samem prawie sercu Europy, działy się podobne gwałty i barbarzyństwa. I sam historyk zachwieje się nieraz i w jego poszukiwaniach urzędowe dokumenta wydadzą mu się przesadzonemi i przejmie go zgrozą ten obraz cynizmu ludzkiego, co swe okrucieństwa i męki religijną śmiał pokrywać powłoką i dzieło prześladowania zwać dziełem „dobrowolnego na łono prawosławia powrotu.“

I zastanowi się wówczas ten historyk, jak zaciętym i zawziętym musiał być umysł owych instygatorów, skoro po dokonanem już raz „nawróceniu,“ nie przyszedł im na myśl bardzo prosty środek uniknięcia dalszych przynajmniej gwałtów i dalszej wobec późniejszych pokoleń kompromitacyi. Chcąc zakończyć straszliwą represyę należało tylko pozwolić opornym, aby przeszli na łaciński obrządek i zapisali się do ksiąg ludności katolickiej. Byłby to najpraktyczniejszy dla rządu śro-

dek wyjścia z kwestyi unickiej, a położyłby tamę dalszym gwaltom. Zapewniłby on rządowi widoczne korzyści. Niepodobna bowiem, aby bohaterstwo opornych nie oddziaływało na tę małoduszną większość, -- co prawosławie przyjęła i je praktykuje. — Fanatyzm religijny jest zaraźliwym — a to, co się na Unii dzieje, może najlepiej rząd rosyjski o tej zaraźliwości przekonać. Więc lepiej nie tworzyć bohaterów i zakończyć męczeństwo radykalnem przecięciem kwestyi... Ale nie, myśl ta, podobno z miarodajnych sfer katolickich kilkakrotnie podnoszona, nie znajdzie nigdy posłuchu, bo jej nie dopuści owa czereda urzędnicza, która tę kwestyę unicką z większą jeszcze lubością niż każdą inną eksploatuje... Jeśli w całym kraju urzędnik rosyjski jest satrapą, to na „Zabużju" używa dopiero dowoli, zwłaszcza przy dzisiejszem usposobieniu naszego Zamku i Petersburga. Jak p. Dobrjańskiemu, tak i wszystkim dano tam zupełną *Carte blanche*, nieograniczoną swobodę diejatieli i misyonarzy prawosławia, niczem ich nie skrępowano i względami nawet na zwierzchność nie miarkowano. Jenerał-gubernator z góry wszystko, co oni zrobią, uzna za dobre, z góry udziela aprobaty, z zasady wszelkich skarg nie rozpatruje, największe bezprawia akceptuje i w obronie ich staje. Niedawno na Podlasiu był wypadek, iż strażnik ziemski zabił człowieka, ścigając go w podejrzeniu, iż jest przebranym księdzem. Prokurator wytoczył z urzędu

śledztwo, pokazało się bowiem, że zabity był mieszczaninem z pobliskiego miasteczka, wszystkim doskonale znanym i łacinnikiem, nawet nic „zakwestyonowanym.“ Powstała z tego powodu scysya między naczelnikiem powiatu i prokuratorem, a sprawa była tak krzycząca, że oparła się aż o Petersburg i tam podobno prokuratorowi przyznano słuszność. P. Hurko jednak z zasady bronił niesłychanej samowoli naczelnika powiatu i tłumaczył względami „politycznemi“ zuchwały opór, jaki ten stawiał władzy prokuratorskiej w kwestyi czysto kryminalnej. Ale jakież skutki takiego prześladowania na stosunki polityczne, socyalne i moralne? Oto hoduje się powoli na Litwie, Rusi, na Zabużju, a po części nawet i w reszcie „przywiślańskiego“ kraju lud bez Boga, bez moralności, bez wiary, chciwy, obojętny, krzywoprzysiężki, skory do łupiestw i do podpalania. Niech rząd wtedy nie narzeka na rozpasanie się złych między nim namiętności. Będzie miał i ma już po części taki lud, jaki sobie sam wypielęgnował. Jeśli nie wszędzie jeszcze złe się rozwielmożniło, to wzmaga się wciąż. Dowodem statystyka kryminalna i rozgęszczenie się niebywałych przedtem zbrodni. Moralność i Boga nawet poświęcają tu dla politycznej i narodowej propagandy. Bóg swoje odrobi, ale sprawców tego stanu srogo kiedyś ukarze.

Szkoła — to drugi akt tej prześladowczej polityki. — Zrusyfikowano ją zupełnie, profeso-

rów Polaków wciąż usuwają, jedna tylko religia w krajowym wykładaną jest języku, a dla nauki języka polskiego wymyślono nawet książki drukowane grażdanką. Obowiązujące jeszcze za Mikolaja uczęszczanie na mszę codzienną, spowiedź kwartalną, rekolekcye wielkanocne kasują, a natomiast jako kompensatę profesorowie chcą zachęcić młodzież do czytania po rosyjsku i dają jej z biblioteki studenckiej już nie anti-katolickie, ale sprośne i nieobyczajne książki. Mniejsza o to, co uczeń czyta, aby tylko czytał po rosyjsku. Niech 14-letni chłopak napawa się nawet Zolą — byle tylko w rosyjskim przekładzie. Liczbę szkół i uczniów ograniczono bez miary, wpisowe podwyższono, wykłady przeciążono, a egzamina tak wyśrubowano, że jeśli połowa uczniów przejdzie do następnej klasy, to profesorowie i dyrektor dostają naganę za to, że zbyt lekko egzaminują.

A co to za profesorowie i pedagodzy! W cesarstwie setki katedr nieobsadzonych, więc się bierze fusy i szumowiny, byle tylko rusyfikować Polaków. O jakimś systemie pedagogicznym większość ich nie ma nawet wyobrażenia; sami mało przygotowani, drugich uczyć nie potrafią. Więc mechanicznie, pamięciowo, a z nadmiernemi wymaganiami tłoczą i męczą młode umysły. Wzięto niby metodę i programat szkolny pruski, ale cóż z tego, kiedy do wnętrza aparatu niema kół i sprężyn odpowiednich?

Już za cesarza Mikołaja gnieździł się w uniwersytetach rosyjskich gruby pozytywizm i materyalizm. Buchner był katechetą i nauczycielem profesorów i uczniów. Od tego czasu prąd ten wzmógł się jeszcze z przymieszką socyalną — rewolucyjnych teoryj i brutalnej negacyi. Reakcya obecna, fanatyzm Pobiedonoscewa *e tutti quanti*, działa tylko na pozory zewnętrzne, płaszczy ludzi, ale nie zmienia wewnętrznego ustroju ciała nauczycielskiego. I oni to są hodowcami i przewodnikami polskiej młodzieży, ciepłej i trochę do idealizmu skłonnej. Jak zaś te doktryny na nią działać muszą, jak kleszcze rygoru i formuł bez treści miażdżą zdolności, jak fałsze w historyi, urąganie wiedzy i uczuciom narodowym coś zawsze z brzydoty swej na młodych umysłach pozostawią, jakie gorycze, zniechęcenia i zwątpienia budzić się muszą w duszach tych studentów, którym nauk dokończyć nie pozwolą, a skoro je przejdą, nigdzie do zastosowania ich nie dopuszczą — zrozumie każdy, kto jest tylko ojcem i obywatelem. To też nigdzie częściej, aniżeli u nas nie zdarzają się samobójstwa studentów. Prócz gimnazyów klasycznych i kilku realnych niema nadto żadnych szkół specyalnych, technicznych, przemysłowych, rzemieślniczych, a nawet wyższych początkowych.

Szkoły zaś wiejskie, to znowu środek propagandy i sposobność umieszczania seminarzystów, kształconych z góry jako misyonarzy obrusienia i oprawosławienia ludu. Szerzą też oni bardzo

często wprost rewolucyjne i socyalne między ludem zasady, podburzają go przeciw inteligentnym warstwom społeczeństwa, szczepią nienawiść do „surdutowych“ — a propagandę swoją pozorują sympatyczną wszystkim zwierzchnikom agitacyą przeciw „panom“ i szlachcie. Pięknie rozwijająca się „Szkoła główna“ i powstały z niej później uniwersytet, co w parę lat tyle pożytecznych wydały ludzi, dziś upada coraz bardziej. I tu zastosowano powszechny system rusyfikacyi, aplikując go nietylko do języka wykładowego, ale i do ludzi. Po zwinięciu Szkoły głównej kilkunastu profesorów Polaków przeszło do uniwersytetu, poddając się śmiesznemu rygorowi składania powtórnych na wszechnicach rosyjskich egzaminów doktorskich. Podczas kiedy w całej Rosyi wszystkie uniwersytety posiadają pewien rodzaj autonomii akademickiej, a przedewszystkiem prawo wyboru rektora, wszechnicy warszawskiej prawo to cofnięto, rektora jej mianuje rząd, a nie było wypadku, żeby został nim człowiek istotnej nauki i naukowego imienia, lecz zwyczajny diejatiel bez żadnej powagi i znaczenia w samej nawet Rosyi. Pozostałych zaś kilku czy kilkunastu profesorów Polaków kolejno wyrugowano. Pozbyto się najcelniejszych sił naukowych, aby tylko sami prawosławni mieli sposobność nauczania młodzieży. Nie wahał się ten niby uniwersytet przebalotować nawet takie powagi medyczne jak prof. Baranowski, a w przyszłym roku usuniętym także

zostanie jeden z pierwszych w całej Rosyi chirurgów prof. Kosiński, dlatego jedynie, że jest Polakiem i katolikiem. W miejsce zaś ich przybywają z Rosyi nędzni belfrowie, niegodni nawet w gimnazyach wykładać, stek niedouków, niemających za sobą nietylko książki, ale nawet podręczników naukowych, pospolici kompilatorowie bez znaczenia, często nawet bez stopnia naukowego, a zarażeni moskiewskiemi doktrynami, słowem same z całego cesarstwa wybiorki i szumowiny. To też uniwersytet warszawski stoi pod względem naukowym niesłychanie nisko, za granicą najgorzej ze wszystkich rosyjskich uważany, w świecie uczonym najmniejszej niema powagi, a u młodzieży traci coraz bardziej wziętość i musi się ratować sprowadzanymi za pomocą stypendyów polskich popowiczami. Frekwencya jego zmalała do połowy, znaczenie znikło, a powagi niema zgoła żadnej. W naukowej Rosyi tytuł profesora warszawskiego uniwersytetu lekko się bardzo ceni, a wiedzą tam wszyscy, jakie głównie kwalifikacye przeważają w wyborze. Najwyższa więc w kraju szkola koronuje godnie wychowawczy system rządowy.

Od kilku lat a mianowicie od objęcia kuratoryi przez p. Apuchtina, wszystkie złe wpływy szkoły spotęgowały się bardzo. Co gorzej jednak, grasuje w tych szkołach (nie z przykładu kuratora, bo mu tego zarzutu nie czynimy, lecz skutkiem jego zaślepionego systemu) coraz srożej przekup-

stwo nauczycieli. Są gimnazya i to najczęściej w Warszawie, w których syn jako tako zamożnych rodziców nie dostanie promocyi, jeśli rodzice jego lub opiekunowie nie okupią się profesorom, inspektorowi lub dyrektorowi. Pod rozmaitemi formami składanym bywa ten haracz: bezpośrednio z ręki do ręki, to znowu pod pozorem dawania lekcyj lub przyjmowania uczniów na stancyę. Trzeba przyznać, że p. Apuchtin stara się różnemi okólnikami przekupstwo to utrudnić, na nic się to jednak nie zdaje, gdyż kto chce wziąć, ten tak lub inaczej weźmie i na swojem postawi. Z rosyjskich zaś nauczycieli każdy wziąć pragnie, a ci, co nie biorą, należą do rzadkich wyjątków. Wskazałam Ci już gdzieindziej, jak taki stan rzeczy wpływa demoralizująco na młodzież i jak zawczasu rodzi w niej przekonanie, że w tym kraju do niczego nie dochodzi się prostą drogą, że wszystko zdobywać trzeba krętemi ścieżkami, podejściem, nadużyciem i faworem pieniędzy lub protekcyi.

I pytam znowu — jaką takie szkoły państwu i porządkowi publicznemu gotują przyszłość? Zgorszenie tych maluczkich wywołało niegdyś w ustach Zbawiciela klątwę, obwieszczającą, że kto się tego dopuszcza, godzien jest, aby mu przywiązano kamień młyński u szyi i wrzucono do wody. Ale takie zbrodnie i w życiu politycznem potężną ściągają karę. Podczas kiedy policya i żandarmi śledzą gniazda spiskowców i

nihilistów, tu samo państwo hoduje ich sobie całe stada pod hasłem tępienia polskości i katolicyzmu, i jeśli zaraza ta nie jest powszechną, to dzięki tylko narodowej tradycyi i dzięki wychowaniu domowemu, które to, co szkoła zepsuje, odrobić starannie musi. Zamyka ono przed młodzieżą przybytki światła i gruntownej nauki, tym zaś, co szczęśliwie przebrnęli, nie daje dostępu do pracy i chleba, a skoro tak jest, jakimże sposobem młodzież ta nie ma oczekiwać zbawienia od światoburczego przewrotu, jak niema w zwątpieniu i gorzkości rzucać się w tę otchłań, co ją wabi i nęci nadzieją tego przewrotu i doktrynami zasianemi w szkole! Chwaliły się niegdyś Prusy, że ich *Schulmeister* przygotował Sadowę i Sedan; nauczyciel rosyjski poszczyci się kiedyś, że utorował drogę do wewnętrznego rozkładu i wychował hordy, co się z czasem najazdem rozleją.

Sądownictwo liczy jeszcze stosunkowo najwykształceńsze i najuczciwsze pierwiastki rosyjskie. Należą jeszcze do niego ludzie starsi, z pierwszej epoki poprzedniego panowania, kiedy jeszcze nie zawsze zdrowe, ale szlachetniejsze przemagały prądy. Był czas, że mieliśmy w Królestwie epokę Gerardów i Zakrewskich i to, co jest lepszego, to po nich jeszcze pozostało. Bądź co bądź jednak, w odniesieniu do Królestwa, rozwijającego się od lat sześćdziesięciu na ustawodawstwie francuskiem, które w latach od 1808—1831 i później do r. 1876 wytworzyło bardzo uczciwą i wykształconą magi-

straturę — reforma sądowa była cofnięciem się w tył. A cóż dopiero powiedzieć o wprowadzeniu do sądownictwa i notaryatu języka rosyjskiego, o zastąpieniu dawnych sług sprawiedliwości obcokrajowcami, nieznającymi ani języka, ani zwyczajów, ani stosunków, ani prawa cywilnego, hipotecznego i handlowego tutejszego kraju. Musiało to z natury rzeczy obniżyć wymiar a zwolnić bieg sprawiedliwości, musiało wpłynąć na załatwianie interesów, na zadosyćuczynienie potrzebom codziennego życia, na pewność i jasność pierwszorzędnej wagi dokumentów, skoro wszystkie wyroki, rozprawy sądowe, badania, kontrakty, testamenta i t. d. spisują się w języku zupełnie obcym tak ludności jak i wykształceńszym klasom.

Zresztą trudno zataić, że nawet i to sądownictwo, które w pierwszych latach dbało jeszcze o dobre imię i uczciwość, ulega powoli powszechnemu prądowi biurokratycznemu i staje się coraz leniwszem, coraz mniej niezależnem i wpływom postronnym uległem. Procent Polaków w nim nie wielki, sądowników polskiego pochodzenia spotykamy najwyżej na posadzie viceprezesa sądu okręgowego lub członka Izby sądowej. Dwóch czy trzech z nich jest prezesami wydziałów tej Izby, ale to dzięki temu tylko, że jeden z tych wydziałów sądzi sprawy według dawnego porządku, a drugi prezes Polak jest znakomitością uznaną i bardzo cenioną w całej Rosyi i w najwyższych sferach Petersburga. Do niedawna trzymano się

zasady, że po sędziu Polaku tylko Polak może być mianowany, tak samo jak po Rosyaninie tylko prawosławny. Dziś i ta zasada coraz częściej jest łamaną. Polacy mają być przenoszeni w głąb Rosyi, a na ich miejsce sprowadzani ludzie, niemający przedewszystkiem pojęcia o naszem ustawodawstwie cywilnem i o kodeksie Napoleona. Resztki zaś te polskiego wśród sądownictwa żywiołu niestety nie zawsze oprzeć się zdołały szerzącemu się w około nich zepsuciu. Dziś, i znowu to dla pełności obrazu powtórzę, szczególnie w Warszawie każdemu wiadomo, że w sądach karnych jakość wyroku zależy od ilości wyłożonych przez stronę pieniędzy. Sędziowie rosyjscy, powszechnie bardzo rozrzutni, znajdują się w rękach lichwiarzy, którzy następnie za wziętą od strony opłatę wymuszają lub kupują wyroki.

Oczywiście wypadki takie odnoszą się jeszcze do wyjątków — ale samo odcięcie obcego stanu sędziowskiego od społeczeństwa — ujmuje mu powagi i zaufania.

Słyszałam także, że zepsucie zaczyna powoli wglądać i do wydziałów cywilnych, do niedawna nieposzlakowanych, i z postępem czasu a napływem sędziów rosyjskich ogarnia ono coraz bardziej wszystkie przybytki sprawiedliwości. To zatem, com poprzednio powiedziała o wpływie urzędników rosyjskich w Polsce, i tu się także stosuje. Przeciętny Rosyanin ma tylko wyrobione instynkta polityczne, ale nie pojęcia o warunkach życia spo-

łecznego i cywilnego — nie nawykł on do zrozumienia wymagań prawdziwej wolności, prawa, bezpieczeństwa i godności osobistej. Wszystko zaś to oddziaływać musi fatalnie na wymiar sprawiedliwości. Dla niego *bezkarność* łączy się i międsza z pojęciami liberalizmu i swobody. Sprężystej, czujnej, surowej nawet sprawiedliwości w sądzie i w zarządzie ogólnym nie uważa on za podwalinę i konieczny warunek wolności i postępu normalnego. Przeciwnie upatruje on je w apatyi, ospałości i rozluźnieniu wszystkich sprężyn władzy i porządku publicznego. To też ból ogarnia serce każdego Polaka, kiedy widzi, jak pod wpływem tego stanu rzeczy psuje się i gangrenuje moralność bardzo z natury poczciwego ludu i społeczeństwa. Z jednej strony *bezkarność* i *bezczynność* sądownictwa i administracyi, z drugiej propaganda polityczna, dworactwo względem mas i podsycanie ich złych instynktów, zmieniają postać tutejszej społeczności, zawsze powtarzam, wyjątkowo, wogóle poczciwej, bogobojnej, cichej, łagodnej i cierpliwej. Liczba i jakość przestępstw wzmogły się przerażająco w porównaniu z tem, co dawniej bywało. Przedtem — prócz politycznej, nie było tu prawie po wsiach i miastach, że tak powiem, administracyjnej i cywilnej policyi. Dziś wszędzie jej pełno; w samej Warszawie i w miastach gubernialnych pochłania ona olbrzymie sumy, a koszta utrzymania po wsiach „straży ziemskiej“ są niepomiernie wielkie. Dawniej jednak

prócz zwykłych kradzieży i to przeważnie przez żydów popełnianych i nader rzadkich wypadków zbrodni, bezpieczeństwo i spokój były zupełne. Dziś zagęściły się nieznane dotąd zabójstwa, morderstwa, podpalanie, rozboje i rabunki, dziś wsie nawet nie są od nich wolne. Bywają okolice, w których bez broni nie można w nocy bezpiecznie podróżować, a dworki szlacheckie i plebanie muszą trzymać straż i tarasować się, jak niegdyś przed napadami kup swawolnych. W Warszawie w biały dzień na ulicach rabują, na prowincyi tworzą się bandy, głośne, znane, jak niegdyś sycylijskie w maskach i przebraniach, i mijają nie miesiące, lecz lata, zanim banda taka zostanie wykrytą i osadzoną w więzieniu. Codzień prawie gazety donoszą o całym szeregu napadów i zasadzek, ale rzadko kiedy trafi się notatka, iż zbrodniarzy schwytano. Najczęściej giną oni bez śladu i znów nazajutrz ukazują się w innej okolicy. Niema zaś niedołężniejszej w tym kierunku policyi, jak tutejsza, zajęta propagandą, szpiegowaniem wszystkich, których o myślenie posądza — poluje tylko na łapówki, a na ściganie złodziei oraz zbrodniarzy nie ma nigdy czasu. Cieszą się też oni względnie największą ze wszystkich swobodą, gospodarują w całym kraju i „wieś spokojna, wieś wesoła,“ o której śpiewał niegdyś poeta, stała się dziś mytem i archeologicznym terminem.

Z tego wszystkiego widzisz więc moja droga, że administracya i jej organa stały się u nas po-

lem specyficznego rozstroju, niedbałości, samowoli i przekupstwa. Polaków wyrugowano zupełnie, z wyjątkiem najniższych tylko posad, a wogóle przekształcono tę administracyę na modłę bardzo zacofanego w tej mierze cesarstwa.

Z dumą i pociechą wyznać to trzeba, że za Księstwa Warszawskiego i za Królestwa Kongresowego istniał tu zastęp urzędników administracyjnych, coraz gruntowniej wykształconych, pracowitych, idealnie nieposzlakowanej uczciwości i wielkiego poczucia, cechującego ową epokę honoru. Ta atmosfera urzędnicza zaczęła się już psuć za panowania Mikołaja. Nie było w tem nic dziwnego; samowola, brutalność, przewaga politycznych i antinarodowych celów i środków, brak niższych i wyższych zakładów naukowych, wszystko to prowadziło w naturalnej konsekwencyi do spaczenia i zubożenia zdolności i wiedzy, do upadku charakterów. Żyły jednak i działały długo jeszcze zasoby dawniejsze, ludzie z grona tych urzędników, którzy służyli i pamiętali Mostowskich, Lubeckich, Sobolewskich, Koźmiana i tylu innych. Zostawało jeszcze szerokie pole dla autonomii, i lubo pod brutalnemi rządami i teroryzmem Paskiewicza, kraj dobrą i wdzięczną pamięcią otacza dotąd nazwiska Morawskich, Łęckich, Skarbków, Wyczechowskich, Łaszczyńskich, Kantego Wołowskiego i wielu innych. Jeżeli nie było dobrych szkół i uniwersytetu, to jednak w służbie publicznej na wszystkich jej szczeblach, począwszy

od gminy aż do zarządów dyrektorstwem głównem, wyrabiali się ludzie zdolni i uczciwi, zaprawiając się do znajomości interesów kraju i kierowania sprawami rozleglejszego znaczenia i zakresu.

To była dawna administracya Królestwa Polskiego w tej chwili, kiedy reorganizacyę, a raczej dezorganizacyę rozpoczął Komitet urządzający. Zrazu pierwszy transport djejatieli składał się z fanatyków, doktrynerów, apostołów, ale i wśród tych ludzi można było spotkać się czasem z jakąś myślą ogólniejszą, z pewnem poczuciem niezależności i potrzeby zadowolenia bodaj ekonomicznych interesów kraju, a nawet nie przypuszczalnie jeszcze ani możności, ani potrzeby bezwzględnej rusyfikacyi.

Sam nawet Mikołaj Milutyn w znanym memoryale swoim wyraźnie oświadczył, że zupełne zniszczenie Królestwa Polskiego należy do nieuchwytnych mrzonek. Później jednak tych lekarzy od polskości i katolicyzmu zastąpiono coraz pospolitszymi weterynarzami i felczerami. Miejsce apostołów i kunsztmistrzów zajęli prości rzemieślnicy, chciwi wyzysku i chleba. (Zastrzegam się po raz dziesiąty, że nie mam tu na myśli uczciwych i zdolniejszych, a w położeniu obecnem istotnie zaszczytnych wyjątków).

To też będę echem wszystkich mieszkańców tego kraju, kiedy powiem, że nigdy w administracyi naszej nie panował taki nieład i rozprzężenie, taka ospałość i obojętność dla interesów ogólnych,

takie lenistwo i nieczaradność, a zarazem taka samowola i przekupstwo, jak teraz. Budżet Królestwa Polskiego wzrósł od r. 1830 więcej niż w czwórnasób, a od 1862 podwoił się, pomimo tego jednak drogi i rzeki zaniedbane, policya polowa, leśna i gminna, nieczynne, rozprzężenie stosunków służebnych, publicznych i prywatnych — jak najdokuczliwsze, nadużycia i łapownictwo — powszechne. Najsprawiedliwszego i najdrobniejszego interesu niepodobna przeprowadzić bez okupienia się, a prąd ogólny porywa i małych urzędników Polaków, gorzej od Rosyan płatnych i w ciągłej obawie wydalenia, polujących za zapewnieniem sobie bytu. Zakłady publiczne i dobroczynne, kościoły zaniedbane i niedostatecznie lub niesłychanie skąpo uposażone. Fundusze miejskie rozszarpywane lub obracane na inne cele, policya budowlana, ogniowa, sanitarna, niezmiernie słaba; ochrona własności, porządku, bezpieczeństwa, wszędzie prawie żadna.

Duże, liczne bardzo i piękne dobra skarbowe i poduchowne do szczętu roztrwoniono, rozdając je ludziom bez szczególnych w boju lub w służbie cywilnej zasług, ale Rosyanom. To samo stało się także po części z obszernemi lasami rządowemi, które dawna administracya doskonale utrzymywała. Górnictwo rządowe zupełnie zaniedbane lub zmarnowane na korzyść pojedynczych wyzyskiwaczy.

Aby dać Ci przykład, do czego dochodzi samowola urzędnika administracyjnego, przytoczę Ci

jeden z tysiąca wypadków. Pewien obywatel ziemski bronił się od niesłusznej opłaty, nałożonej na niego przez naczelnika powiatu, który miał nawet reputacyę względnie uczciwego człowieka. Zaskarżył go ostatecznie do Senatu i po długich a kosztownych podróżach wygrał sprawę. Zgniewało to bardzo p. naczelnika, poprzysiągł zatem zemstę. Dowiedziawszy się więc pięknego poranku, że ów obywatel przyjechał do miasta, każe wyprowadzać jego prześlicznej rasy konie i zastrzelić je na miejscu, pod pretekstem, że dostały nosacizny. Nic nie pomogły skargi obywatela, wartujące blisko 1000 rs. konie zginęły, a p. naczelnik przechwalał się jeszcze, że w ten sposób „nauczy każdego subordynacyi.“ Ów zaś obywatel uważał się jeszcze za szczęśliwego w porównaniu z pewnym hrabią polskim na Rusi, który w r. 1863 dostał się za to tylko na Sybir, że konie jego wyminęły na drodze powóz p. jenerał-gubernatora, budząc srogi gniew satrapy.

Taki stan rzeczy odbić się musiał na zamożności kraju, a przedewszystkiem rolników. Przed r. 1863 dobrobyt ich był prawie ogólnym. Obecnie podatki skarbowe i opłaty gminne wzmogły się niepomiernie, ciągła potrzeba okupywania się urzędnikom zwiększa je w dwójnasób. Niedbałość zaś o interesa ekonomiczne kraju, rozstrój, nadużycia, tolerowanie niekarności w stosunkach ze służbą i włościanami, nieposzanowanie własności i brak bezpieczeństwa publicznego musiały do

reszty zubożyć ziemian, skoro powszechne przesilenie rolnicze i tutaj zawitało.

Nie piszę dzieła, lecz luźne notatki, więc ograniczyć się muszę na ogólnych wrażeniach i rezultatach. Inaczej bowiem musiałabym kreślić studyum naukowe, a nie szkice towarzyskie, do czego zresztą inne potrzebnemby było pióro. Dla ogólnego scharakteryzowania dzisiejszego stanu rzeczy dość chyba powiem, jeśli zaręczę, że wszyscy tutaj zamieniliby chętnie położenie obecne na to, jakie istniało za Mikołaja. Wówczas ciężyło nad krajem, nad myślą i każdym jej objawem ołowiane niebo grozy i teroryzmu, ale rządził jeden. Jeśli kościół i język w szkole paraliżowano, działo się to na podstawie określonego prawa, a nie samowoli jednostki, nie z inicyatywy każdego, pragnącego się podchlebić rządowi i opinii rosyjskiej urzędnika. Wówczas był rząd i karność w narzędziach. Dziś program z góry nakreślony wykonywa partyzantka swawolna i samozwańcza. Wówczas kraj mimo żelaznych kleszczy, w których go trzymano, posiadał prawa i język swój w sądownictwie i urzędzie, duże pole dla autonomii, a władza mimo dzikich zboczeń samowoli, zanadto była jednak przejęta zasadami dostojności swojej, karności, porządku i ładu społecznego, by wszystko to poświęcać dla celów propagandy narodowej i socyalnej. Wówczas wiedziano czego chcą u góry, dziś tę wolę sfer najwyższych wyrabia i formuje urzędnicza czereda. Wówczas mo-

narcha znał kraj i wiedział, co się w nim dzieje, dziś istotne położenie przed nim zakryte, a wszystko przedstawione w sztucznem i z umysłu tendencyjnie zabarwionem świetle. Wówczas było „samowładztwo,“ dziś jest samowola, wówczas był absolutyzm jednego, dziś jest brutalstwo i rozpasanie tysięcy.

W panegiryku żałobnym ostatniego z rodu Wiśniowieckich czytałam kiedyś opis następującego zdarzenia: Hetman W. K. L. Michał Serwacy ks. Wiśniowiecki stoi w oknie pałacu z Piotrem carem moskiewskim; dyskurując o wolności polskiej, zawoła żołnierza swego z szyldwachu car i skoczyć mu za zdrowie swoje z okna każe. W punkcie skoczył i nie wiem, czyli szyi nie złamał. I rzecze car do książęcia: Co podobnego wasza wolność! odpowie książę: Miłościwy Panie, twoje rządy z góry na dół, nasza wolność z dołu do góry ludzi wyprowadza.

Miał racyę Wiśniowiecki. Rządy rosyjskie tak samo, jak ludzi, sprowadzają i kraje „z góry na dół“. Przykładem Królestwo polskie! Którejkolwiek tkniesz się sfery, wszędzie nie postęp, ale upadek, wszędzie cofnięcie się w tył, wszędzie staczanie się ku dołowi, wszędzie obniżenie poziomu i w porównaniu z przeszłością wstecznictwo zupełne.

Prowodyrowie dzisiejszego prądu w Rosyi zwykli powtarzać, że państwo ich nie powinno się w Polsce opierać ani na duchowieństwie i szlachcie,

ani na mieszczaństwie i inteligencyi, lecz jedynie tylko na ludzie. Car i lud — oto hasło „samobytników“, hasło, które według wyznania ich samych ma być dewizą rosyjskich w Polsce rządów i punktem wyjścia ich polityki. Zniszczyć zatem należy duchowieństwo i szlachtę, wyplenić resztki Polski „feudalnej i szlacheckiej“, a ta nowa „demokratyczna, ludowa“ będzie wiernie Rosyi oddaną, będzie tą, z którą paktowania i układy doprowadzą dopiero do pomyślnego rezultatu i trwałą pozyskają podstawę. Piosnka ta powtarza się ustawicznie w dziennikach rosyjskich, a ile razy który z nich dotknie kwestyi „pojednania“, wnet musi zapewnić, że tylko lud polski jest wiernie cesarzowi i Rosyi oddany, że z nim jednym zatem można mówić, brać go w rachubę, resztę zaś trzeba zgnieść i wyplenić. Pomijam, że kto dziś mówi o „szlachcie“ w znaczeniu jakiejś odrębnej kasty, która wszystkiem władnie i wszystko zagarnia, ten dopuszcza się śmiesznego zaiste anachronizmu; pomijam, że żadne społeczeństwo nie może być z ludowych wyłącznie złożone pierwiastków i że w każdem inteligencya pracy i myśli przewodnie zawsze zajmuje miejsce, że wykluczenie z rachuby wszelkich „surdutowców“ może być tylko dokonywanem na papierze, nigdy zaś w praktyce — ale czy istotnie ten lud Królestwa polskiego jest tak cesarzowi i Rosyi oddany i czy mogą oni na nim budować i jego przywiązania oraz wdzięczności być pewnymi? — I oto

przychodzę do jednego z tych pytań, co do którego w Rosyi panuje ogólne a dziwne zaślepienie. Lud polski jest z natury monarchicznym i względem władzy karnym. Czy ta władza w tych lub innych spoczywa rękach, to już dla niego kwestya podrzędna. Mógł on być czasowo wdzięcznym zmarłemu cesarzowi za uwłaszczenie i podział gruntów, wdzięczność ta jednak miała zawsze bardziej materyalne, aniżeli moralne pobudki. Po za nią atoli nie istnieje ani jeden węzeł między tym ludem a rządem, ani jeden punkt styczny, ani jedno ogniwo. Przez lat dwadzieścia kilka szlachcic, mieszczanin, ksiądz był paryasem i bezbronną ofiarą; wszystko natomiast robiono dla włościanina, a przynajmniej głoszono, że się dla niego robi. Jakiż jednak rezultat tej roboty? Oto ten, że i ów włościanin, również jak wszyscy, odczuwa brzemię rządowego systemu, że i na nim odbija się stan całego kraju, że i on widzi doskonale, do czego takie postępowanie zmierza i jak w praktyce wygląda. I on pada ofiarą teroryzmu i wyzysku biurokracyi, a bardziej, niż każdy inny, wyzysk ten w pamięci notuje i z obietnicami porównywa. Kto się przypatrzy obchodzeniu się naczelników powiatu z wójtami gmin, kto widzi, jak ci chłopi na wsi wyzyskiwani bywają przez swych pisarzy gminnych i urzędników powiatowych, jak muszą łasić się komisarzowi i jak komisarz ten opiekę nad nimi uważa tylko za środek dorobienia się fortuny,

jak wójci muszą się zwierzchności swej na każdym kroku okupywać, jak drżą przed strażnikami ziemskimi i przed „powiatem,“ jak sami ponosząc różne koszta muszą te koszta na członkach gminy odbijać — ten zrozumie dopiero, że owo hasło „car i lud“ to doktryna tylko i że w praktyce brzmi ono tak samo, jak względem innych warstw społeczeństwa: wszystko dla urzędników, wszystko przez nich i dla nich. A przedewszystkiem kto chciał mieć włościanina polskiego za sobą — ten powinien był zacząć od uszanowania jego religii. To najczulsza jego strona, której drażnienie może nawet doprowadzić do wybuchu. Ani uwłaszczenie, ani dalsze nawet obietnice lasów i pastwisk nie zatrą w jego pamięci wywożenia biskupów i księży, zamykania klasztorów, konfiskaty kościołów i przemiany ich na prawosławne cerkwie. On ciągle tych lasów i pastwisk pożądać będzie, ale niemniej każdy Rosyanin to dla niego heretyk i schizmatyk, to prześladowca katolicyzmu i ciemiężyciel wiary. Wieść o gwałtach na Unii rozbiegła się po wszystkich chatach polskich a kiedy niedawno temu zjawiła się pogłoska o zaborze Częstochowy i wprowadzeniu monachów do klasztoru Jasnogórskiego, wśród pobożnych chłopków polskich takie powstało wzburzenie, że aż p. Hurko uważał za stosowne zaprzeczyć jej w urzędowym komunikacie i komunikat ten zaprawić wielką dozą oburzenia na tych, co śmią rządowi podobne przypisywać zamiary.

Widzi doskonale ten chłop, co z jego religią robią; wie wybornie na całym obszarze Królestwa, jakim mękom ulegają Unici, a wie to nie od księży lub inteligencyi, ale od swoich, od tych kompanij pobożnych, co ściągają do miejsc cudownych, od zbiegających przed pościgiem straży ziemskiej Unitów. Wie doskonale, a skoro wie, to takiemu rządowi nigdy szczerze i wiernie oddanym nie będzie, chociażby go bardziej jeszcze wszelkiemi drogami przeciw szlachcie i surdutowcom podżegał. Ci zaś pp. „samobytnicy,“ co tak śmiało na przywiązanie ludu do cesarza i Rosyi budują, niech raczą zajrzeć do chat włościańskich i niech przekonają się, że na Podlasiu np. podczas ostatniej wojny wschodniej chłopi chowali umyślnie pszenicę dla Turków, w przekonaniu, że oni innego aniżeli pszenny chleba nie jedzą. Jeśli to ma być dowodem przywiązania do Rosyi i wiary w jej potęgę, to winszuję. Jakie zaś są dynastyczne uczucia włościan, przekonywa przebieg ściągania składek na pomnik ces. Aleksandra II na Jasnej Górze. Inicyatywa tego pomnika wyszła nie od nich, ale od jen. Kochanowa, kiedy ten był jeszcze gubernatorem piotrkowskim. Chwycił się jej dzisiejszy Zamek i polecił naczelnikom powiatu, aby na zebraniach gminnych proponowali powszechne na ten monument składki. Na jednem z takich zebrań naczelnik zaproponował składkę od morga. Powstało ogólne oburzenie. „Nie chcemy od morga, dobrowolne ofiary, niech każdy daje,

ile może.“ P. naczelnik odwoływał się na przykład kilku innych gmin, które uchwaliły po 2 kopiejki z morga. „Jakie tam gminy“? — zawrzały wzburzone głosy — a jeden włościanin zdobył się nawet w rozdrażnieniu na uwagę, że „zawsze mówią: „gminy to zrobiły, gminy to uchwaliły, a później się pokazuje, że to wszystko łgarstwo... Nie dawajmy i kwita, bo i tak pieniądze rozkradną, a pomnika nigdy nie będzie...“

Kto chciał wreszcie mieć za sobą chłopa polskiego, ten powinien był dać mu szkoły we własnym jego języku, puścić do tej szkoły księdza, baczyć, aby w niej nie podkopywano religii, lecz raczej ją wszczepiano; ten powinien mu zabezpieczyć jego własność, chronić go od złodziei i koniokradów, ścigać podpalaczy, tępić zbrodnie i zbrodniarzy. Bezkarnością nikt jeszcze ludu na swoją nie przeciągnął stronę, owszem lud drażliwiej niż inni dba o sprawiedliwość i jak w stosunku służbowym oceni tylko surowego ale sprawiedliwego pana, tak i w rządzie uzna jedynie ten, co słusznie tylko karze, win nie przepuszcza i przez szpary na nie nie patrzy.

Pewien wysoko położony Rosyanin, który długo w kraju naszym przemieszkiwał, patrząc na robotę Komitetu urządzającego nie wahał się powiedzieć ks. Czerkaskiemu:

Rok 1831 był rewolucyą szlachecką, 1863 mieszczańską, wy moi panowie przygotowujecie w Polsce powstanie chłopskie...

I rzeczywiście postępowanie rządu w Królestwie polskiem nie zbliżyło chłopa do cara i Rosyi, ale go raczej znacznie od nich obojga oddzieliło. Rozbudziło ono w ludzie złe instynkta; na tych jedynie instynktach gra, siejąc zasady socyalne i rewolucyjne, podżegając przeciw właścicielom i wszystkim „surdutowcom“, obniżając poziom moralny i religijny. Wszystko to siłą rzeczy musi się zwrócić przeciw samemu rządowi. Jeśli rząd ten mniema, że w chwili stanowczej wypuści „chłopów“ przeciw „panom“, to może srogiego doznać zawodu, bo nie zna tego ludu, lecz sądzi go z raportów naczelników powiatów i komisarzy włościańskich, z elaboratów układanych sztucznie przy zielonym stoliku. Straszenie takiem widmem to farsa tylko. Dalsza gra na instynkcie chciwości i dalsze obietnice dziś już niemożliwe, bo narażałyby one porządek publiczny w samem cesarstwie, gdzie w porównaniu z naszym lud jest stokroć mściwszym, twardszym, do rzezi skłonniejszym, materyalnie uboższym. Włościanin nasz jest zanadto religijnym, aby podobnemu podmuchowi, gdyby się go nawet chwycono, uległ, a zresztą stosunki obecne między wsią i dworem czysto sąsiedzkie, wspólność jarzma i brzemienia rządowego, wyrabiają coraz bardziej pewne braterstwo prześladowania, pewną solidarność, jaka zwykle łączy tych, co jednemu ulegają losowi. Podmuch taki może ogarnąć pożarem całą Rosyę, może tam wywołać krwawą pożogę — u nas rozbije się o

poczciwą niezmiernie naturę chłopa polskiego, o żale, jakie i on ma w wielkiej mierze do rządu, o religijność jego i ostatecznie o brak wszelkiego do nienawiści i zawziętości powodu i materyału palnego.

Nie sądź zresztą, aby w ogólnym eksterminacyjnym programie i ten lud, o którym tak czule wyrażają się „samobytnicy,“ miał stanowić wyjątek, aby i jego nie przeznaczano na zruszczenie i oprawosławnienie. O nie! i on także ma uledz ogólnemu losowi Polaków. Czuje on to doskonale i wie bardzo dobrze, że chcą go „zmoskalić,“ wiarę mu odebrać i dlatego pomimo wszystkiego nigdy temu rządowi oddanym nie będzie, nigdy mu „swej duszy nie zaprzeda.“ Trzeba wielkiej dozy złudzenia, aby iż jest inaczej ,wierzyć, trzeba wielkiego zaślepienia, kiedy się głosi, że te masy, to gotowa partya rządowa, że na nich wyłącznie Rosya się opiera i przez nich celu swego dopnie. A im większe zaślepienie, tem ocknięcie się będzie straszliwszem.

I oto przeszliśmy wszystkie gałęzie rządowego tutaj wpływu oraz działania, i oto widzisz, jak sprowadzono nas „z góry na dół“ i jak na każdem polu, wśród wszelkich warstw system rosyjskiego w Królestwie rządu dąży do wyplenienia narodowości, do zupełnej niwelacyi polskości i katolicyzmu.

A skoro tak jest, to warto zapytać, jaką może być myśl przewodnia, polityczna tego blisko ćwierć

wieku trwającego tępienia? I odpowiedź musi być prostą i jasną: radykalnie fałszywa i doktrynerska zasada bezwzględnej jednolitości państwa, zasada, którą dla własnych celów podżega i podtrzymuje w Petersburgu dyplomacya pruska. Czują to dobrze niektóre bystrzejsze w Rosyi umysły, a czują nie od dziś, choć brak zwykle odwagi płynięcia przeciw prądowi i otwartego wypowiedzenia prawdy. Że jednak ludzie obdarzeni takiem poczuciem są i istnieją; że opinia rosyjska nie składa się tylko z „samobytników" i koryfeuszów dzisiejszego systemu rządowego; że choć dziś zgnieciona i nieśmiała, dawniej jednak, choćby pod koniec ostatniego panowania widomy nawet przybierała wyraz — przeto warto się zastanowić, czy dzisiejsze prądy i nastrój umysłów wiecznie ostać się zdoła i czy żadnej już zgoła niema nadziei zmiany i zwrotu ku lepszemu i racyonalniejszemu względem nas programowi?

Rosya nie jest zwykłym krajem i państwem, to więcej niż część świata. Liczy ona w swem łonie przeszło trzy czwarte ludności czysto rosyjskiej i prawosławnej.

Jednolitość ta aż nadto dostateczna, aby zapobiegała wszelkim odśrodkowym dążeniom zagarniętych pod jej berło narodowości. Najliczniejsza zaś z tych narodowości, choć wyróżniona wiarą i językiem, jest jednak pochodzenia słowiańskiego i niedość silna, by samoistne państwo utworzyć. Politycznej zatem jedności państwa rosyjskiego

nic nie zagraża. Do pewnego jednak stopnia można jeszcze wyrozumieć usiłowania, przedsiębrane ku jej skrzepieniu i skonsolidowaniu. Ale zkądinąd Rosya jest zbyt kolosalną, by mogła być centralistycznie rządzoną. Są konieczności mechaniki i statyki, których nie uznając, dochodzi się do faktu, że szyna, choćby żelazna, ale za długa, pęknąć musi. Różnica klimatu, natury, rodzaju ziemi, zaludnienia, odległości wzajemnej, różnice ekonomiczne, cywilizacyi, historyi, języka, wiary i t. d. muszą być w takim ogromie uwzględnione i uznane, jeśli normalny ruch i życie krążyć ma bujnie w całym organizmie. Kształtowanie się jednolitości państwowych i narodowych należy do pierwszej epoki państw w średnich wiekach, kiedy części ich składowe były gliną, płynem, co się łatwo zlewa i urabia. W XIX wieku chcieć indywidualności dziejowe i cywilizacyjne pomięszać i zrównać, to kusić się o rzecz niemożliwą, całości szkodliwą, naturze przeciwną. Można je druzgotać, ale nigdy z pożytkiem dla całości zużytkować. Co więcej, ponieważ bezowocna pokusa taka używać musi gwałtu, niszczenia, samowoli bezwzględnej wobec warunków powszechnych każdego bytu, przeto tem samem podkopuje ona i uniemożliwia w własnym łonie normalny rozwój, życie i postęp przemagającego w tej robocie plemienia. Postępowanie zaś takie kazi wszystkie organa rządu i władzy. Dzięki temu właśnie Rosya nie dojdzie nigdy u siebie samej do odpowie-

dniego jej potrzebom rozwoju politycznego, społecznego, cywilizacyjnego, a nawet finansowego, dopóki nie zrozumie tych prawd elementarnych.

Nieszczęśliwe ze wszech miar ruchy 1863 roku były następstwem chwiejnego postępowania rządu w dziele reformy, rozegzaltowania i rozgorączkowania umysłów, powszechnej atmosfery politycznej, panującej wówczas w Europie, której w równej niemal mierze ulegała opinia i polityka w Rosyi. Nadto rząd rosyjski nie umiał nigdy robić ustępstw i ulepszeń we właściwej porze. Czyni on je w chwili, kiedy okoliczności zmuszają go do tego, tymczasem gorycz, żale, krzywdy, cierpienia przeszłe tak już wezbrały, że kiedy rząd przystępuje do reform, namiętności biorą górę i stają się silniejszemi niż głos rozwagi i samozachowania. Tak było w r. 1863. Mimo to jednak ruchy te były zrazu tak słabe, że gdyby nie późniejsze podmuchy Zachodu i rzucane ztamtąd hasła, a przedewszystkiem, gdyby nie nieopatrzność i zła wola władz wojskowych, można je było w krótkim bardzo czasie uśmierzyć. Ale sfery wojskowe i urzędnicze rosyjskie tak były Margrabiemu osobiście i jego programowi przeciwne, że dano czas rozwinąć się nielicznym kupom powstańczym i koncentrując wojska w kilku tylko punktach, dozwolono powstańcom ogarnąć i steroryzować obywateli, wszystko z umysłu i wyrachowania, byle tylko nienawistne dzieło i człowieka unicestwić. Od tego czasu kraj wystawiony był nieraz na po-

kusy i podżegania zagraniczne (wojna wschodnia), na spiski rewolucyjne i nihilistyczne, sięgające tu z cesarstwa i z Zachodu, mimo to jednak został absolutnie spokojnym, cichym, w umyśle jego wyrobiła się powszechna przeciw dawnej metodzie reakcya, nie znalazł się nietylko tu, ale w całym obszarze myśli polskiej ani jeden głos poważniejszy, któryby roku 1863 nie żałował i raz na zawsze się nie wyparł. Przyszła więc chwila, w której należało zmienić postępowanie i zgodnie z obietnicami listu z Liwadyi powrócić krajowi możność życia, pracy i odetchnienia. Należało wówczas pamiętać, że kto zagarnie kraj obcy wiarą, przeszłością i indywidualnością historyczną, musi być z góry przygotowanym na pewne żywioły oporne i długie ich trwanie, musi nawet czasem znaleźć się w konieczności użycia środków represyjnych, nie zmiemia to jednak obowiązku i celu, do jakiego powinien dążyć rząd każdy, utrwalając panowanie swoje zaspokojeniem słusznych na każdem polu potrzeb podbitego kraju. Należało usłuchać rady dawanej w Paryżu w loży opery Aleksandrowi II przez ówczesnego potentata Europy, należało po pogromie nie dobijać, ale do nowego powołać życia, należało skorzystać z najsposobniejszej chwili — jaką kiedykolwiek Rosya względem Polski miała.

Ale nie — postąpiono wprost przeciwnie. Zwyciężył nie głos rozsądku i rozumu politycznego, ale złowieszczy podszept upartej zemsty, nienawi-

ści i niskich żądz. Rzucono się w objęcia Berlina, a ten doradzał rozdwojenie, prześladowanie i wytępienie. Ztamtąd płynęło wciąż hasło *divide*, ale nie po to, by *impera*, by samemu rządzić, lecz żeby rządy drugim gotować, im ścieżkę prostować, dla nich słać wygodną a niekosztowną drogę. — I powtórzyła się znana bajka o wyciąganiu kasztanów z ognia...

Skorzystano z zaślepienia i nienawiści Rosyi, aby ją jako narzędzie do swych własnych użyć celów, a ta ślepota była tak wielką, iż w zastawione sidła poleciał monarcha, wszystkie rządzące umysły i naród cały. Zbliżenie się i pojednanie Polaków z Rosyanami było zawsze zmorą Berlina. Obawiano się go z łatwo zrozumiałych powodów, a nic lepiej nie charakteryzuje już nie tę obawę, ale jej konieczność, jak owe słowa pewne wysoko położonej osobistości berlińskiej, która oświadczyła wyraźnie, że od chwili, w którejby się przekonano, iż Margrabia zdoła się utrzymać i dzieło swe ku końcowi doprowadzić, wojska pruskie przeszłyby natychmiast granicę. W miejsce armat użyto dyplomacyi. Ta zwyciężyła i dotąd wytęża wszystkie swe siły, by nie dopuścić powrotu dawnych usposobień i jątrzyć wciąż ranę, nienawiścią i zaślepieniem ognioną.

Po ostatniej wojnie wschodniej ks. Bismark rozmawiając w Salzburgu z pewną znaną osobistością, wyrzekł te i dziś mające swoją doniosłość i zastosowanie słowa: *La Russie est hors question*

pour 20 ans à moins qu'elle ne se reconcilie avec les Polonais, mais elle ne se reconciliera pas.

Nie było zaś sposobniejszej do tej „rekoncyliacyi“ chwili, jak właśnie po r. 1863. Konstytucya r. 1815 była anomalią względem cesarstwa a w Królestwie żyły świeże jeszcze wspomnienia braterstwa z narodem i armią, której orły zwycięzki odbywały pochód po całym lądzie Europy. Urok Francyi, urok liberalnych prądów, wiejących z głównych ognisk Zachodu, utrudniały sprawę uspokojenia umysłów i zwycięztwo politycznej rozwagi, chociaż pomimo tego jedyna była to epoka, w której istniała w Królestwie Polskiem liczna i szczera partya rządowa.

Po r. 1863 zmienił się zupełnie widnokrąg polityczny. Znaczenie i wpływ Francyi zmalały, na pograniczu powstała potęga, co od wieków i „na resztę naszą wyciąga gardziele.“ W samym kraju rozwój żywiołów miejskich i wogóle demokratycznych, postęp przemysłu i potrzeb ekonomicznych nadały kwestyi codziennego chleba bardzo doniosłe znaczenie. Żywioły te zaś upatrywały i słusznie w łączności z Cesarstwem warunki pomyślnego rozwoju i dobrobytu. Kraj był wycieńczony i niezmiernie znużony. Wystarczałyby wówczas nawet bardzo skromne następstwa. Zabezpieczenie narodowości, religii, pracy, godności i bezpieczeństwa osobistego, usłałoby drogę do trwalszego porozumienia i współdziałania. Społeczeństwo z gorączkowem prawie natężeniem oczekiwało ustawi-

cznie jeżeli nie radykalnej zmiany, to jakiegoś przynajmniej zelżenia. Lada drobiazgowi nadawano wagę lepszej na przyszłość wróżby; każdy mniej gwałtowny krok tłumaczono, jako zapowiedź ulg, a dość było widzieć, jak zrazu przyjęto taką nawet błahostkę, jak utworzenie katedry literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, aby się przekonać, że była chwila, w której Rosya mogła za miskę soczewicy kraj ten na swoją przeciągnąć stronę i rany przeszłości jeśli nie zupełnie zagoić, to przynajmniej znacznie podgoić. Rady pruskie pozwoliły jednak zmarnować tę wyjątkową chwilę... Szowinizm i pożądliwość biurokracyi podały ręce poddmuchowi berlińskiemu. Powstał sojusz, o który jak o taran rozbijało się wszystko. I Rosya pracowała dalej dla króla pruskiego...

Wśród rasy germańskiej Prusy, wśród słowiańskiej Rosya wypiętrzyły najwyżej ideę państwową. Stanęły one obecnie twarzą w twarz. Konieczność dziejowa, a przedewszystkiem nieprzeparte prawa ekonomiczne i kwestya cłowa czynią nieodzownem bliższe lub dalsze starcie się tych dwóch potęg. Mimo zwątlenia, udział wyegzaltowanego boleściami, a z natury bitnego narodu, nie może być obojętnym walczącym i każdy z nich musi zadawać sobie pytanie, po czyjej stanie on stronie. Zamiary ks. Bismarka są przejrzyste: u siebie tak zabór pruski z Polaków wyplenić, żeby zaledwie parę tylko powiatów mogło się nazwać

polskiemi, w Polsce pod zaborem rosyjskim niedopuścić do jakiegokolwiek zbliżenia się dwóch słowiańskich plemion, a korzystając z zaślepienia rządu, krainy te tak zniszczyć i zubożyć, by po okupacyi pruskiej stać się one mogły jak najprędzej łupem germanizmu. Wątpić zaś należy, czy zamiar taki spełniony po Wisłę, Dźwinę i Niemen, może odpowiadać widokom Rosyi.

Jeśli rozszarpała ona wraz z innymi Polskę, toć chyba na to, aby swą potęgę państwową pomnożyć i stanowisko utrwalić, a ku Zachodowi posunąć. Cel ten dawał się tylko osiągnąć powolną drogą zadowolenia ogólnego. Wytępić narodowość, to w XIX wieku pokusa niemożliwa, a szalona. Narodowość ta zaś uszanowana, to w wewnętrznem życiu państwa siła zachowania, utrwalenia i rozkwitu; w przeciwnym zaś razie, to rak toczący, to rewolucyjne pokusy i dynamit. I tu istotny rozum stanu nie nakazywałby zrażać się nieudanemi, i to wyznać trzeba nieraz i z winy Polaków próbami, lecz właśnie zapanować nad żalem, zemstą i zawodem, gdyż dopiero takie zapanowanie jest prawdziwą sztuką rządzenia i przynosi istotne a trwałe państwu korzyści.

Wiadomo mi dobrze, że w Petersburgu nie brak takich, co liczą na przyrodzoną nienawiść Polaków do Prus. Rachuba ta ma być tak pewną, że śmiano się nawet, gdy o jej niezawodności ktoś z dyplomatów cudzoziemskich raz powątpiewał. Ależ i w tej, wzmożonej ostatniemi wypadkami

nienawiści, są pewne granice. Jeśli pod berłem rosyjskiem ani narodowość, ani wiara, ani obyczaj, ani język, ani bezpieczeństwo pracy i własności, ani godność osobista, nie znajdą uszanowania i uznania, to w ostateczności Polacy mogą co najmniej obojętnie patrzeć i na taką walkę, i na wynikłą z nich zmianę losu; takiego zaś uczucia nie dopatrzyłeś się dawniej, jest zaś ono dowodem, iż ból wzbiera codziennie i cierpliwość traci swą wartość moralną.

Nawzajem zaś myli się także Rosya, jeśli przypuszcza, że takie państwo, jak Prusy, militarnie potężne, ale bronione od wschodu bardzo złą granicą, może ostatecznie zezwolić, by Rosya w zaborze swym wytępiła doszczętnie wszelką polskość, by granica żywiołu rosyjskiego rozpostarła się tak daleko, aby Prusy stanęły o ścianę z państwem rdzennie moskiewskiem nad Wartą, Prosną i Drwęcą, by w Kaliszu i na całej wschodniej okrainie zapanował ten sam co w Moskwie i Twerze, język, duch i wiara; by wreszcie od Narwi, Rygi i Połągi całe wybrzeże bałtyckie uległo takiemuż losowi. To przecież stokroć lepiej usadowić się samemu w tych stronach i powoli je germanizować.

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta.
Czy Bóg na niej wypisze zakłady
Miłości swojej? Czy szatan swe zdrady?

Tak ongi określił poeta ten kolos rosyjski. Od tego czasu wiele już niebożych kart wypisali na nim ludzie. Ale ostatecznie losy tej seciny milionów dotąd się jeszcze ważą. Kolos ten ma w swem łonie różne tętna i oddechy. Niesłychanie wrażliwy i do pewnego stopnia młody i niewyrobiony szuka wciąż drogi swych przeznaczeń. Za Aleksandra I szlachetne w sobie uczuł drgnienia. Za Mikołaja choć wrócił do tradycyi milczenia i samowładztwa, ale w 1831 r. armia karna nie dopuszczała się gwałtów i w pierwszych po nim latach nie znęcano się jeszcze nad krajem i nad uczestnikami rewolucyi, którzy pozostali w Królestwie. W początkach panowania Aleksandra II znowu wyszły na jaw bardziej ludzkie aspiracye. Królestwu przyznano bardzo ważne reformy, które należycie spożytkowane ogromnej byłyby doniosłości i otwierały wielką przyszłość. Choć przeważnie z samolubnych pobudek, ale ze społeczeństwa tego odzywały się nieraz uczucia wszechsłowiańskiego posłannictwa i hołdu dla praw narodowych. Dopomagano Grecyi, przyklaskiwano odrodzeniu się Włoch, Słowianom bałkańskim nie szczędzono ofiar mienia i krwi. Dziś panrusycyzm wyrugował dawne aspiracye, a wewnątrz powrót do przedpiotrowskiego samodzierżawja chciałby zgładzić wszystkie nabytki cywilizacyi zachodniej. Wszakże bolesne doświadczenia, komplikacye zewnętrzne, konieczność choćby lepszego tylko bytu ekonomicznego, a nade-

wszystko ta zawsze budząca się i odmładzająca potrzeba pełniejszego życia — nie pozwolą Rosyi ostać się na miejscu. Prędzej czy później trawiona niezmierną pychą, musi ona dojrzeć, że ze zmianą wewnętrznej polityki, z prześladowaniem zapamiętałem Polski upada jeśli nie wpływ brutalny, to urok jej moralny w Słowiańszczyźnie zachodniej; musi dojść do przekonania, że bądź co bądź kluczem do tych krain słowiańskich jest jej postępowanie z Polską, a zaporą widok dzikich eksperymentów, jakie na naszej dokonywa skórze.

Mimo dziwnych sprzeczności, jakie społeczeństwo rosyjskie może z siebie wydać, są w niem wielkie zasoby patryotyzmu, odwagi, karności, ofiarności, chrześciańskie nieraz instynkta, wielka twardość i wytrwałość w przedsięwzięciach obok objawów tkliwości dla nieszczęśliwych, wielkie poczucie kohezyi narodowej i państwowej, oraz duży zmysł organizacyi i posłuszeństwa w samoistnych stowarzyszeniach. Posiada ono armię, która jest poniekąd wyrazem tych zalet, cnót i tej potęgi, a jeżeli w ciągu tych listów wyraziłam się czasem nieco gorzko, a może nawet namiętnie o postępowaniu przeciętnem wojskowych w Warszawie i kraju, to przecież nigdy nie zapoznawałam ani kart dziejowych, na których czyny tej armii są zapisane, ani siły istotnej, jaką ona przedstawia, ani waleczności, jakiej składała dowody niedalej jak w ostatniej wojnie tureckiej. Wszystko zaś to może uczynić ów naród sposobnym do auto-

nomicznego ustroju, nieprzedstawiającego niebezpieczeństw dla państwa. Trudno pomyśleć, aby ogrom ten powołanym był jedynie do wewnętrznego rozkładu i zgnilizny. Na to zawiele w nim żywotności, siły, patryotyzmu i poczucia własnej potęgi. Trudno także przypuścić, by był po wieczne czasy przeznaczonym tylko do grozy i uciemiężania wszystkiego, co go otacza. Musi się jednak przerodzić i przekształcić. Zmiażdżone w nim wiekami godność i prawa jednostki ockną się i powoli, po różnych kolejach i doświadczeniach, zdążać zacznie do odpowiedniej wolności, uszanowania prawa, swobody sumienia, myśli, języka i nauki, do dobroczynniejszego wpływu i znaczenia w słowiańszczyźnie i na świecie.

W indywidualności swej i w zachodniej cywilizacyi Polska ma wszystko, na czem Rosyi zbywa. Jest ona naturalnym łącznikiem i przewodnikiem między tą cywilizacyą a Rosyą, nawzajem Rosya posiada siłę, instynkt polityczny, władzę, karność i posłuszeństwo, których zawsze Polsce brakowało. Dość zaś rzucić okiem na mapę, aby przekonać się, że przyszłość Rosyi spoczywa w urzeczywistnieniu idei szerokiej autonomii i federacyi. Sprawiedliwość wymierzona Polsce dałaby jej siłę ogromną wobec niebezpieczeństwa, jakie zagraża obu ze strony wybujałej potęgi pruskiej...

Zarzucisz mi może, że wszystko to mrzonki i marzenia rozegzaltowanej kobiety, co nie waha się tak daleko w przyszłość okiem sięgać i tak sprze-

czne ze stanem dzisiejszym snuć plany! Odpowiem Ci na to słowami głębokiego pisarza francuskiego:

Jamais nous ne verrons tout pendant nôtre voyage, et souvent nous nous tromperons; mais si nos conjectures sont plausibles, si elles s'appuient sur des idées universelles, si surtout elles sont consolentes et propres à nous rendre meilleurs, que leur manque-t-il? Si elles ne sont pas vraies, elles sont bonnes; ou plutôt, puisque elles sont bonnes!, ne sont elles pas vraies?

Żyjemy w epoce ciężarnej wielkiemi zmianami. Można do niej zastosować słowa de Maistra: *une certaine accumulation de vices rend une certaine revolution necessaire.* Co ona przyniesie, co przynieść może, najbystrzejszy umysł tego nie zgadnie. Próżno silisz się, by choć jeden róg przyszłości odsłonić; próżno zagłębiasz się, by jaką pomyślniejszą wywróżyć dolę. W takiem położeniu jak obecne, umysł badacza jak w kwestyach religijnych, tak i w polityce dochodzi do owych ostatecznych granic, po za które sięgnąć nie śmie w obawie, by się nie pomieszał, i waha się, i drętwieje, i służbę swą wypowiada. Ludzie dzisiejsi są za mali, za zwątpiali i sceptyczni, żeby tę „niezbędną rewolucyę" zawarli i załatwili. I znowu przychodzą mi na myśl słowa wielkiego Bossueta: *Quand Dieu veut faire voire qu'un ouvrage est toût de sa main, il reduit toût à l'impuissance et au desespoir: puis il agit.*

A społeczeństwo polskie? Choć o niem od ćwierć wieku tak głucho wśród szczęku broni, kłamstw dyplomatycznych, prasy przekupnej, trybuny służalczej, wśród brzęku złota i giełdowych matactw— ono na chwilę o sobie nie zwątpiło. Mimo gwałtów i zbrodni, co się na nie zażarły, broni się i pracuje, modli i spodziewa. Odkąd pierwszy raz targnięto się na dziedzinę Polaków, przez lat sto dwadzieścia czynią wciąż to samo i dzisiaj bodaj że nie są słabszymi, niż wtedy. Jeżli ludy niepodległe mogą powoływać się na powodzenie i rozrost jako na świadectwo swej żywotności, to stokroć wymowniejszem jest owo świadectwo niespożytego bytu wśród męczeństw, klęsk ustawicznych i niedoli składane. Sama zawziętość wrogów i kute przez nich prawa wyjątkowe głoszą światu, że jeszcze żyje, że żyje uparcie i silnie, że musi coś znaczyć i ważyć, kiedy drżą przed niem z obawy....

Pod berłem wielkodusznego monarchy, co prawa narodowe uszanował i zabezpieczył, życie to pełniejszem zawrzało tętnem i stali się tam Polacy podporą tronu i porządku społecznego; praca ich jawna i widoczna, a w niej postęp taki, że wobec świata za resztę całą świadczyć może. W zaborze pruskim i rosyjskim odstępstwa nie zobaczysz, zwątpienia nie ujrzysz. Stoją i bronią się i lepszej czekają doli. Dwanaście jednoplemiennych milionów czekać może. Czekać i spodziewać się, że w wieku, który widział odrodze-

nie Grecyi, Włoch i Irlandyi, w wieku, w którym nowem zawrzały życiem Czechy, Słowiańszczyzna austryacka, Rumunia, Serbia i Bułgarya — i my, mimo najtrudniejszego ze wszystkich położenia geograficznego zginąć i upaść nie możemy, bo byłoby to urąganiem i targnięciem na prawo życia, na obowiązki pokoju i sprawiedliwości dziejowej, na doniosłe i cywilizacyjne zasługi. Możemy czekać i ufać, że w końcu wyprosimy, „to co Boskiem jest, u Boga.“

Ojciec Gratry powiedział kiedyś, że od podziału Polski Europa popadła w stan grzechu śmiertelnego. Tę samą myśl w stylu i argumentacyi dyplomatycznej wyraził Talleyrand na kongresie wiedeńskim. W rozrachunku, który wypadki gotujące się wszędzie koniecznym uczyniły, prawda ta stanie nago, a gwałt o zadosyćuczynienie zawoła i *modus vivendi* dla społeczeństwa polskiego, którego większość jego dziś jest pozbawioną, wynaleść się musi. Widzenia wieszcza „Irydiona,“ „Przedświtu,“ „Psalmów“ i „Nieboskiej“ zdają się stosować do rodzących się dopiero czasów i wypadków, jego też słowami zakończę, śląc „do braci mojej wezwanie“:

A wśród tych zdarzeń strasznego wybuchu,
O czystą tylko błagamy cię wolę
Wewnątrz nas samych: Ojcze, Synu, Duchu!



DODATEK.

NA PROWINCYI.

LIST BARONA T. W. Z.

do przyjaciółki żony.

Obraz obecnego nieszczęśliwego stanu rzeczy tutaj, przedstawiony w listach mojej żony do Ciebie Pani, byłby i niedokładnym, i niezupełnym, gdyby w kilku przynajmniej słowach omówionemi nie zostały opłakane stosunki tutejsze na prowincyi; że zaś takowe żonie mojej dokładnie znanemi być nie mogą, zatem pozwól Pani, abym ją wyręczył.

Szlachecka Wola d. 25 listopada 1886 r. [1])

Pani!

Listy żony mojej dały Ci niejakie wyobrażenie o Towarzystwie Warszawskiem jakoteż o gospodarce Rosyan w stolicy dawnej Rzeczypospolitej, o prowincyi jednak nie wiesz nic i cała zatopiona w sejmowej galicyjskiej polityce ani się domy-

---

[1]) List ten napisanym został po francusku i podajemy go w przekładzie. (*P. R.*).

ślasz, co się tam na wsi za Wisłą dzieje. Celem mojego listu będzie zapoznać Cię z głęboko-cywilizacyjnym wpływem na nasze społeczeństwo wiejskie władz gubernialnych, powiatowych, sądów, żandarmeryi i straży ziemskiej. Wiedz bowiem, iż podczas kiedy żona moja bawi się w Warszawie i sylwetki zbiera do eleganckich portretów, ja ziemianin z krwi i kości pilnuję gleby i szlacheckiego dworu. Powiaty i gubernia znane mi jak własne podwórzowe śmiecie. Dzieje się tam różnie, a co i jak się dzieje i jakie tam skrzydła opiekuńcze władzy, *sine ira et studio* pokrótce opiszę.

A tout seigneur, tout honneur. Zacznę od gubernatorów. Sołtykow nazwał ich Pompadurami, twierdząc, że u nich pompa i duŕ znajdują się chemicznym związkiem połączone. O wielkości pompy przekonałem się przed kilku dniami na jednej ze stacyj kolei. Miał odjeżdżać suwałkski gubernator pan Tchorżewskij. Otóż nie wystarczało mu, jak każdemu śmiertelnikowi wsiąść do otwartego wagonu 1 klasy. To byłoby dostateczne dla jakiego prefekta francuskiego lub niemieckiego landrata, nasz satrapa uznał za stosowne krzyknąć portyerowi: *Skażitie naczalniku stancyi, sztob on mnie pokazał kupé pierwawo kłasa* — i trzeba było interwencyi i asysty zawiadowcy, ażeby naszego dostojnika wyprawić koleją. Pompa to tedy i to pompa nowogrodzkiego pokroju, a służba kolejowa ma do przytoczenia liczne przy-

kłady wschodniego wychowania naszych cywilizatorów. Trzeba mieszkać w Rosyi, żeby przestać się dziwić zachowaniu się w miejscach publicznych tak zwanych grubych figur. Lecz wróćmy do naczelników gubernij.

Był niegdyś Piotrków grodem trybunalskim, gmach sądowy starożytną oryginalną budową ozdobny wznosił się nad miastem. Było to za czasów barbarzyńskiej rzeczypospolitej. Dzisiaj cywilizacya wschodnia wszystko zmieniła. Piotrków otrzymał zaszczyt nazywania się Petrokowem; gmach trybunalski jako wspomnienie buntowniczych czasów, został zburzony, natomiast postawiono błyszczącą cerkiew; ulice otrzymały nazwy „swojskie narodowe,“ jedna zwie się Peterbergską, druga Archangielską, jakaś trzecia Nowogrodzką; napisy na tych ulicach także i jedynie tylko w języku państwowym. Olbrzymiego tego dzieła cywilizacyi dokonał p. Kachanow, autor owej głośnej mowy w Wilnie i w jego też duchu rządzi jego następca p. Zinowjew. Jako gubernator, to typ „nastojaszczego obrusitiela;“ wierny tradycyom Kazimierza Wielkiego, jest on zarazem królem chłopków i dzięki jego włościanofilskiej propagandzie stosunki między dworem a chatą w gubernii Piotrkowskiej są idealnie zagmatwane i unicestwiają „polską intrygę.“

Śmieje się z tego wszystkiego Niemiec, skupuje majątek jeden po drugim i p. Zinowjew jako chłopomański prezes komisyi włościańskiej może

być pewny, iż na polu pracujących *pour le roi de Prusse* nie należy do ostatnich, mimo to, iż i fizycznie, i moralnie znać i czuć w nim przybysza z nad Wołgi.

Zupełnie inny typ przedstawiał ex-satrapa radomski, kniaź Dołgoruki, *bon vivant*, karciarz, no i naturalnie don Juan nibyto o wielkopańskim zakroju, zwłaszcza co się tyczy długów, ale zawsze z nowogrodzkim odcieniem. Za jego rządów najpierwszym obowiązkiem każdego czynownika było.... mieć ładną żonę. Na tym punkcie elegancki kniaź niechętnie dopuszczał wyjątków i dzisiaj jeszcze urzędnicy radomskiej gubernii pokazują palcem na kilka czynowniczych osobników, którzy dzięki „powolności“ dla galanteryi swego zwierzchnika porośli w pierze.

Kniaź Dołgoruki żył jak wielki pan, a kiedy opuścił Radom, puszczono złośliwą pogłoskę, że tylko druga część jego nazwiska odjechała a „Dołgi“ (długi) pozostały się w Radomiu. Nie wiem, ile w tem prawdy, w każdym razie nikt tego w Petersburgu za złe kniaziowi mieć nie może, był on bowiem dobrym patryotą i jego gospodarka była zupełnie w duchu czasu. Naprzywoził ze sobą najrozmaitszą „swołocz“ urzędniczą, księży trzymał krótko, u pewnej naiwnej polskiej szlachty pijał czasem szampana i nawet po obiedzie tak *entre la poire et le fromage* raczył zahazardować liberalny frazes, poczem jednak w gronie swoich wyśmiewał *ces gueux de gentilhommes po-*

lonais, qui vous empoisonnent avec du mauvais champagne. Na szczęście chłopi dawali na nerwy wielkiemu panu i temu tylko zawdzięcza się, iż sprawy serwitutowe w gubernii radomskiej nie doszły do *tabula rasa*... Zupełnie innym jest jego następca Arkadij Andrejewicz Tołoczanow; w niczem nie przypomina czynownika. Jest to poprostu człowiek dobrze wychowany, a że jest przytem wszechstronnie wykształcony, pojmuje więc służbę po europejsku. Temu też przypisać należy, że gubernia radomska ma szosy dobrze utrzymane, urzędników grzeczniejszych, stosunki służebnościowe przynajmniej nie systematycznie jątrzone, wreszcie jestto jedyna gubernia, w której gminach przy wyborze wójtów, pisarzów i t. d. trzymają się przepisu prawa. Niedługo to jednak potrwa, pan Tołoczanow jest zanadto dobrze wychowanym, aby go dzisiejszy system mógł długo cierpieć. Przyjedzie kiedyś do Radomia taki Mołczanow, Muriaszko, panruski strażnik lub który inny ze szlachetnych dziennikarzy-pielgrzymów i przekonawszy się, iż w Radomiu niema ani ulicy „Permskiej,“ ani placu „św. Aleksandra,“ ani wyłącznie russkiego klubu, ani wogóle oznak patryotyzmu à la *Dniewnik Warszawskij*, dojdzie do przekonania, że pan Tołoczanów się opolaczył, co mu wezmą tem więcej za złe, że mieszka pod okiem takiego anioła stróża, jakim jest pan Dobrowolskij, dyrektor okręgu naukowego, jeden z wielkich propagatorów zdrowej oświaty i wielki

„ludu nadwiślańskiego“ przyjaciel. System rządowy tak jest jednak rusyfikacyjny, iż nawet taki pan Tołoczanow nigdy do interesantów inaczej nie mówi, jak po rosyjsku, choć włada doskonale językiem polskim i francuskim i jest *par excellence* znawcą naszej literatury.

Innych gubernatorów osobno sylwetkować nie będę. Ostatecznie wszyscy oni, tak jak są, nie robią nic z tego, co właściwie do ich funkcyj należy. Działania polityczne absorbują tych panów, co jest tem wygodniejsze, że pod pokrywą tego działania, tej misyi, można bezpiecznie nic nie robić, zjadać spokojnie 7.000 rubli pensyi i w dodatku być „u steru“ jaknajlepiej notowanym.

O drogi, porządek w gubernii, spokój jej mieszkańców, wyłapanie złodziei, o to cywilizatorom naszym nie chodzi, w państwie, w którem „błahomizny wor“ jest lepiej notowany, aniżeli „biespakojny pamieszczyk.“ Mogą być i są niezawodnie i między gubernatorami ludzie dobrej woli. Ale darmo, służą oni dziś systemowi, który wziął sobie w Królestwie Polskiem za zadanie owo sławne Szczedrynowskie: „razzorit' i wysielit' a kraj niesomnienno zacwieťiot.“ Pytanie, jakie kwiat ten wyda owoce, jakie będzie żniwo, a zwłaszcza, kto zbierać będzie? Z kolei omówić mi należy falangę komisarską. Tu śmiało powiedzieć mogę: *majora canamus*, stan bowiem, który opiszę, wywiera ogromny wpływ na większą własność i od niego spokój ziemianina zależy. Skoro w r. 1863

Rosyanie się spostrzegli, że samą bronią nie tak łatwo z powstaniem się uporać, znalazł się Milutyn, człowiek rozumny, który uwłaszczeniem włościan zadał ostateczny cios polskim aspiracyom. Jak zaś to uwłaszczenie zostało przeprowadzone, to my obywatele Królestwa wiemy i czujemy dobrze, Europa zaś wie tylko tyle, że katowanego przez polską szlachtę chłopa oswobodził car rosyjski. Jakże było w rzeczywistości i czy rzeczywiście chłop był katowany przez szlachtę? Zapewne w wielu miejscach działy się znaczne nadużycia i nieraz szlachcic nadużywał prawa swego; po większej części jednak śmiało rzec można, iż ogół był ludzkim.

Nie dziwota też, iż pomimo dwudziestu lat umizgania się rządu do chłopa, dziś wszędzie, gdzie obywatel z ludem dobrze sobie poczyna i gdzie sprzeczne służebnościowe interesa nie istnieją, chłop znacznie więcej wierzy księdzu i obywatelowi, aniżeli carskim urzędnikom.

W r. 1863 dla uwolnienia „uciśnionego ludu“ od więzów szlacheckich nasłano z Rosyi całą falangę cywilizatorów. Praporszczyki, oficerowie marynarki, zbankrutowani szlachcice przywędrowali z nad Wołgi w misyi cywilizacyjnej. I oto, jak tu nie podziwiać szerokości natury rosyjskiej. Tensam praporszczyk, który w Nowogrodzie tłukł niemiłosiernie i okradał swoich żołnierzy, nagle nad Wisłą stał się chłopomanem, a zrujnowany szlachcic, który gdzieś koło Kurska knutował swoich wło-

ścian, nad Pilicą zmetamorfozował się w liberała. Widoczny był tu chyba wpływ klimatu, inaczej bowiem sam Turgieniew w swoim *Dymie* nie jest w stanie wytłómaczyć sobie, dlaczego szlachcic rosyjski, który u wód zagranicą jest skończonym wolnodumcem, u siebie na wsi jest tatarskim satrapą.

W tych warunkach rzecz jasna, iż całe uwłaszczenie było grubą, ciesielską robotą, tak nieumiejętnie wykonaną, iż kilka dziesiątek lat nie wystarczy na uregulowanie ostatecznie prawa własności. Ale powie może ktoś, iż właśnie w interesie rządu leży zostawienie tych stosunków nieułożonych, aby zawsze włościanin czegoś od rządu mógł się spodziewać.

Rzeczywiście takie jest ponoś zapatrywanie obecnego jenerał-gubernatora, który jednemu z komisarzy, chwalącemu się, iż wszystkie służebności w jego powiecie ułożone, miał powiedzieć: postąpiłeś sobie pan, jak dobry urzędnik, ale jak zły patryota. Dowodzi to, iż dzielny wojownik może być słabym ekonomistą. W Petersburgu nieco inaczej na to się zapatrują, i minister Tołstoj, którego chyba o przyjaźń dla Polaków posądzić trudno, nie podziela zdania obecnego wielkorządcy nadwiślańskiego. Na krok energiczny naprzód jednak i on się nie zdobędzie. Prawda, iż służebności z głęboką nieznajomością rzeczy jeszcze podczas niepokojów powstańczych przez ekonomicznych ignorantów nadane, z trudnością do przymusowej zamiany się kwalifikują, zwłaszcza po 20-letniem

bałamuceniu chłopów przez spóźnione i niedość surowe kary za tak zwane „przewyzrzenie serwitutowe“ (przekroczenie prawa własności).

Podczas koronacyi w Peterhofie cesarz przemówił do wójtów i starszyn w te słowa: „Skoro rozjedziecie się po domach, pamiętajcie iść za radami marszałków szlachty i nie wierzyć niemądrym wieściom o jakowem nowem rozdaniu ziem. Wszelka własność, a więc i wasza powinna być nietykalną.“ Słowa te wielkiej doniosłości nie są niestety zapisane złotemi literami w socyalistycznych mózgownicach większej części komisarzy włościańskich, i własność wskutek ciągłych nadużyć ze strony bałamuconych włościan, wskutek lekkomyślnych interpretacyj tabel przestała być „nietykalną“, jak sobie tego najwyżej wyrzeczone słowa życzyły.

Przejdźmy teraz do charakterystyki obecnych komisarzy. Jest ich pokaźna liczba, bo 84, nie licząc w tem „niepremiennych członów“; zjadają oni skarbowi rocznie przeszło 300,000 rubli, a że z innych źródeł wyciągają także nieco mamony, wogóle więc powiedzieć można, iż kosztują rocznie blisko pół miliona rubli.

Każdy Rosyanin jest właściwie stworzonym na to, żeby być komisarzem włościańskim. Piastując skromny ten urząd, można nic a nic nie robić, dużo jednak „działać,“ brać rocznie 3 tysiące rubli pensyi, skontrybuować łapówkami od obywateli drugie tyle i po kilkunastu latach nieskazitel-

nej służby awansować sobie spokojnie na vicegubernatora, chyba że „wziatki“ były za jawne lub połączone z nałogami nowogrodzkiego pokroju, w którym to razie zostało się wydalonym ze służby. *Casus* taki nazywa Gogol ironicznie „pretierpiet na służbie za prawdu.“ Na to jednak trzeba już bezczelnej jawności we wziatkowaniu i na pochwałę komisarzy bezstronnie dodać muszę, iż takiej bezczelności się nie dopuszczają. Gubernator, naczelnik żandarmeryi i straży ziemskiej, naczelnik powiatu, ci wszyscy coś jednak robić muszą lub przynajmniej udawać, że robią. Komisarz włościański nawet udawać nie potrzebuje i jeżeli w jednym roku „rozebrał“ 30 spraw, zagmatwał drugie 30, pouczył włościan „szto wam nie śleduje być uciśnione władielcami,“ to on już *bene meruit de patria* i sowicie wypracował swoje 3 tysiące rubli pensyi, a na „łapówki“ należy patrzeć przez szpary, bo przecież idą z polskiej do ruskiej kieszeni, co winę kompletnie zmazuje.

Komisarze dzielą się na dwie kategorye, na tych, którzy „biorą“, i na tych, którzy „nie biorą.“ Wspólne obu kategoryom cechy są następujące: nie wstają nigdy przed godz. 11, piją wszelkie trunki szklankami, gdyż kieliszki są za małe; po kilku szklankach wpadają w mglisty socyalizm, narzekają regularnie na próżniactwo swoich poprzedników, mają przyzwoitą liczbę długów, wreszcie używają w stosunku z włościanami języka, który nie będąc ani polskim, ani rosyjskim,

ani Volapückiem, pozwalam sobie nazwać „narzeczem komisarskiem.“

Od roku 1863 zwaryowało 29 komisarzy t. j. 21%. Z tego przypada 17% na kategoryę „niebiorących,“ co pod względem patologiczno-fizyologicznym przemawia stanowczo za zasadą: *Leben und leben lassen* i dowodzi prawdy przysłowia narodowego: „Wsio možno, tolko astorožno.“

Do kategoryi niebiorących należą tak zwani diejatele. Natury po większej części zgryźliwe. Nie doczekawszy się za swoją „nieskazitelność“ ani od rządu, który jest na to dziwnie obojętny, nagrody, ani sympatyi obywateli, którzy ich nie cierpią, ani wreszcie nawet sympatyi chłopów, którym niestety żadnych już gruntów nie mają do rozdania, panowie ci wegetują nędznie, rozpijają się często i nieraz kończą na chorobę: *alienatio mentalis commissaria.*

Do tej kategoryi oprócz prawdziwie uczciwych Rosyan, chłopomanów z przekonania, należą także i nietoperze zwani „perekińczykami.“

Do znacznie weselszej kategoryi należą komisarze, którzy „biorą.“ Sam fakt przejścia pieniędzy z rąk obywatelskich do kieszeni komisarskiej odbywa się w siedmioraki sposób: 1) przez sekretarza; 2) przez służącą „Marusię;“ 3) przez „Mośka;“ 4) przez szczęśliwą grę w karty, przyczem interesant powinien ciągle, lecz przypadkowo przegrywać; 5) przez zakupno lub sprzedaż koni; 6) przez pożyczkę z warunkiem zwrotu w ra-

zie wygrania przez komisarza wielkiego losu lub też za okazaniem kwitu na sądzie ostatecznym; 7) przez przedstawienie interesantowi „biednego swego położenia i licznych długów,“ przyczem obywatel jeżeli jest człowiek honorowy i ma służebności do ułożenia, powinien bezwarunkowo wejść natychmiast w położenie.

Co się tyczy samej natury interesu, ten przedstawia się w dwojaki sposób. Albo rzecz jest bardzo ważna i niezupełnie legalna, w takim razie należy z całą ufnością tak przemówić: Panie komisarzu dobrodzieju, muszę „chlastnąć“ 10 wlók starodrzewiu, inaczej nie wyjdę z długów i pójdę z torbami; pan komisarz sam najlepiej wie, co to znaczy -- tj. nie torby, tylko długi; mam ja się starać o pozwolenie cięcia w Petersburgu, toć to koszta ogromne — lepiej my to między sobą załatwijmy. Przy tej sposobności należy przymrużyć lewe oko, silnie ścisnąć dłoń komisarską, wstrząsnąć palcami i powiedzieć na końcu: „ja będę panu komisarzowi bardzo wdzięczny,“ „ja uspieju was pobłahodarit,“ przyczem trzeba mu patrzeć w oczy tak długo, póki ich nie spuści. Jeżeli na to otrzyma się odpowiedź: „Nu, pan widzisz, ja nie wiem, to bardzo trudno“ i t. d., to już interes załatwiony; posłać po traczy, las „chlastnąć“ i gotować zawczasu „prawny procent“ dla zwierzchności. *Probatum est*, a owe ułatwienia są jedyną ulgą, jaką dają autokratyczne rządy Rosyi. Nie darmo jeden z pisarzów francuskich wyrzekł: *Le*

Russe est un être excellent corrompu par l'etat social, ou il vit. Jeżeli przeciwnie chodzi o to, żeby „pan komisarz“ był łaskaw zjechać na miejsce, celem na przykład zatwierdzenia dobrowolnej umowy, która leży już u niego od 1½ roku, należy poprostu złożyć panu komisarzowi wizytę, poprosić go grzecznie, żeby raczył przyjechać, na co odbierze się nieodmienną odpowiedź: „Wiesz pan co, ja taki zajęty, że dalibóg nie wiem, kiedy ja tam do pana będę mógł zajechać,“ wtedy należy się niedać zbić z tropu i powiedzieć śmiało: „Co mi tam pan komisarz mówi, toć to od pana zależy; niech pan komisarz to dla mnie zrobi, a będę panu wdzięczny“ — te ostatnie słowa należy cokolwiek wolniej wymówić, a wtedy jest wszelkie prawdopodobieństwo otrzymania odpowiedzi: „Postaram się.“ Są ludzie uparci, którzy nigdy żadnej łapówki dać nie chcą i robią sobie z tego zasadę; jestto poprostu śmieszne, tacy czekają też całe długie lata na załatwienie interesu i są oprócz tego nadzwyczaj źle przez władze widziani. O takim jednym bogatym bardzo obywatelu, który „z zasady“ grosza łapówki nie dał, mówił mi raz pewien podochocony komisarz, dobry mój znajomy: „Wiesz pan co, to człowiek głupi; jakżeż można, taż to panie czyste waryactwo, toż nasza ruska posłowica powiada: „Boh dał ruki, cztoby brać,“ ależ na to trzeba, żeby ktoś dał, a tu nic; wiesz pan co, ten człowiek nie zajdzie daleko, chyba, że on tam gdzieindziej

daje, taki może w Warszawie ili w Pietierburgu — istny szkandał, ale zawsze, prosto skazat' nas nie powinien pomijać.“

My Polacy wogóle bardzo stronnie się na tę łapowniczą stronę zapatrujemy i piszemy o tem stare komunały o przedajności Moskali, o tem, co już przed nami w daleko dowcipniejszy sposób Grybojedow, Gogol, Sołtykow i Niekrasow wypowiedzieli. Ten ostatni, zwłaszcza w wierszu pod tytułem „czynownik,“ dał niezłą charakterystykę moskiewskiego urzędnika. Odnajdą się w niej główne rysy przeciętnego komisarza, nie od rzeczy tedy będzie, gdy ją na koniec mej o komisarzach rzeczy podam w wiernem tłomaczeniu:

„Człowiek był zwykły, zwykłym też szedł torem, nie tracąc czasu na zbytnie myślenie i jedno tylko w życiu miał pragnienie, to jest koleżskim zostać asesorem.

„Wielkiej mądrości nie dostał on w darze. O los spokojny przyszłości nie badał. Przed starszym rangą, jak zwyczaj każe, w nieobliczoną uniżoność wpadał i kilkakrotnie kłaniał się do ziemi. Przy krewnych, żonie, ciotce, był on stale cichym jak trusia, za to przed niższymi rangę zachować umiał doskonale. W służbie czystości był hermelinowej, łapówek nigdy jawnie nie przyjmował, jednak kupiony dom 5-cio piętrowy na imię żony zahipotekował. Po służbie zawsze był błahonadiożny, o resztę nie dbał, drugim to zostawiał. Lecz za satyry jakiej ukazaniem, której autor pasożyt

i łotr wyuzdany tym, co się rządu cieszyli uznaniem, za jakieś wziatki śmiał szukać szykany, trząsł się ze złości— (niebaczny na zdrowie) dziwił się, jakto prawomyślni ludzie mogą gustować w tak bezecnym brudzie i jak dopuścić mogli cenzorowie. Ze złości — wina mu było za mało i wódką swoją poprawiał herbatkę i mawiał wciąż, żeby wypadało autorów w Sybir albo na Kamczatkę wysłać.“

Najdzielniejszy satyryk rosyjski taką dziejów swej ojczyzny zwięzłą daje charakterystykę: „Przybyło z zamorza trzech kniaziów, Ruryk do Nowogrodu, Sineus do Ładogi, Trubor do Iskorska. Przybyli i zmęczeni drogą spać się położyli. Zaledwie usnęli, aliści wszyscy trzej widzą we śnie jeden i tensam szereg obrazów, wyobrażających przyszłe ich ojczyzny losy. Nasamprzód udzielny peryod: kniaziowie palą; potem tatarski peryod: Tatarzy palą; dalej moskiewski peryod: Moskowici palą, w rzece topią i w synody zapisują; dalej jeszcze samozwańszczyzna: palą, krzyże całują i brody włos po włosie wyszczypywać każą; dalej leib-kampański peryod: palą, walą knutem, odrywają języki, rozdają chłopów i piją węgierskie wino“... (Sołtykow: Sowremiennaja Idillia). Samo przez się rozumie się, że w państwie z taką przeszłością historyczną i o takich despotyczno-nihilistycznych zasadach szpiegostwo odgrywało i odgrywa ogromną rolę. Ma ono rzeczywiście w Rosyi swój wybitnie „Nastojaszczo narodowy

charakter". Wobec Priwislańców wykonywują tę służbę dwojacy czynownicy: nasamprzód jasno niebiesko umundurowani żandarmi, powtóre — i ci są najważniejsi: tajni szpicle, którą to funkcyę spełnia pierwszy lepszy czynownik, często tak, że o tem jego wysoko prawomyślnem zatrudnieniu nie wie nic jego największy przyjaciel, który z nim codzień gra kilka partyj „wista", wypija odpowiednią dozę spirytualiów, a którego on później *pour le bien de l'etat* denuncyuje i gubi. Widome głowy żandarmeryi nie są jednak tak niebezpieczne, i nie nas to głównie, nie nas obywateli pilnuje niebieski mundur, stojący raczej na straży prawomyślności własnych rodaków, czynowników powiatowych i gubernialnych.

Wobec nas jednak nie są panowie ci zbyt natrętni, a czynność ich ogranicza się zwykle na jakiejś tam co 3 lub 4 lata wizycie i obwąchaniu siedziby szlacheckiej. — Przyjeżdżają zwykle na obiad, bo tak im najdogodniej, rozprawiają bardzo liberalnie, udają nieraz i podchmielonych, w nadziei, że się czegoś dowiedzieć można. Ale ostatecznie wszystko to figle, konspiracyi u nas niema i doprawdy po wsiach, dworkach i plebaniach niema poprostu co szpiegować.

Jeżeli jednak masz z zagranicznemi polskiemi dziennikami stosunki, jeżli się zbyt interesujesz wypadkami na Zabużu, jeżli korespondujesz z Jezuitami. albo co najgorsza jeżeli głowę twoją zaprząta ruch ukraiński, to radzę ci wystrzegaj się

twego żandarmskiego kapitana. Jego fińsko-tatarska bystrość wyczyta z twoich oczów cały szereg nieprawomyślnych postępków, których się dopuszczasz; pamiętaj, że wtedy i „mzda“ nie pomoże, a o bezpłatny bilet do Wołogdy nie tak trudno jak się zdaje. To też jabym się na podobne manowce nie puszczał, ja, którego jedyną ambicyą jest wypełniać z całą gotowością „naczalstwiennyje predpisanja“, a krytykę własnego rządu i karykaturę czynowników zostawiam.... samym Rosyaninom. Gogol, Niekrasow i Szczedryn dawno nas w tem wyręczyli.

Pozostają mi do omówienia *dii minorum gentium* i z trybuny gubernialnej zstąpić wypada do prostej pościółki... do śmieci powiatowych. W każdym z 84 powiatów „prywiślańskawo kraja“ egzystuje naczelnik powiatu. Mówię „egzystuje“ umyślnie, żeby wyrazić rodzaj pracy, jakiej się oddaje przeciętny królik powiatowy. Gdyby zadaniem rządu w Kongresówce było wprowadzić prawdziwy porządek i gdyby w tym kierunku z góry działano, naówczas urząd ten nie byłby synekurą. Niestety jednak nie o to chodzi, a skutek wiatru wiejącego od Strastnego bulwaru jest ten, że każdy czynownik w Królestwie Polskiem uważa się za ajenta politycznego i jeżeli jest sprytny, a wogóle wszyscy Moskale są sprytni, pozna on doskonale, że tak, jak rzeczy stoją, jedno go tylko skompromitować może, tj. opolaczenie. Jeżeli jednak nie opolaczy się, jeżeli służby ostentacyjno - polskiej nie

posiada, jeżeli w tak zwanym „prisutcwi“ nie używa języka polskiego, jeżeli przy braniu rekrutów, przy tak zwanej brance bierze wziatki z ostrożnością (najlepiej przez służącą), jeżeli nie kompromituje się pożyciem z obywatelami, co ostatecznie także jest tylko jedną z form opolaczenia, jeżeli jednem słowem zachowuje wszystkie anti-polskie ostrożności — to może spać spokojnie i spokojnie swoje 1,500 rubli pobierać *ad vitam aeternam*. Jeżeli zaś oprócz tego będąc człowiekiem ambitnym, karyerowiczem, uda mu się pochwycić w swe ręce jakąś agitacyę unicką lub wogóle zwrócić uwagę rządu na jakiś cień intrygi polskiej... to już i awans pewny. Są jednak wyjątki i to nawet przyznać musimy liczne wyjątki. Wśród tych panów znajduje się jeszcze dziś nawet dużo dobrych ludzi, a zwłaszcza między tymi, którzy służyli wojskowo i w funkcyach swoich umieją zachować przynajmniej odpowiednią powagę i podwładnych w karbach trzymać.

Typem skończonym tego rodzaju jest znany naczelnik Miechowski Oreł. Nie jest to bynajmniej przyjaciel Polaków, a polonizmu jest nawet wrogiem nieugiętym. Mimo to przyznać trzeba, że gdyby wszyscy jego koledzy taką jak on mieli powagę i tyle co on robili, kraj wyglądałby inaczej. Niestety, typ dawny Mikołajowskiego urzędnika, okrutnego wprawdzie, ale trwogę i pewne poszanowanie wzbudzającego, zniknął niemal zupełnie. Tamci byli wprawdzie okrutni, nieubła-

gani, mieli wady rządu despotycznego, ale byli czemś, byli rządem, byli powagą, a jak dali słowo, można im było wierzyć. Rząd miał powagę, a włościanin, który rygoru koniecznie potrzebuje, więcej czuł władzę nad sobą. Epigoni Mikołajowskiej epoki znają tylko ujemne strony despotycznego rządu, który przedstawiają; łapownictwo i chęć używania zastąpiły dawną godność osobistą, brak religii zrodził cynizm, a przynależność do prawosławia objaśnia się u tych panów jedną tylko rzeczą tj. nienawiścią religii katolickiej. Znam kilku takich, którzy są kompletnymi ateuszami, liberałami czystej wody, materyalistami, dla których świat ideału, to po prostu „wzdor“, a jednak ci sami nawracali unitów, wszczepiali religię knutem, zatwardziałych męczyli i katowali... wszystko dla krestu i awansu. Prawdziwego fanatyka między nimi, takiego, któryby wierzył, że to, co robi, robi dla uszczęśliwienia w życiu przyszłem zbłąkanych owieczek, takiego nie znalazłem i takiego niemą. Tacy są chyba w Warszawie i Petersburgu w górnych sferach, ale ci chyba nie wiedzą, co i jak się działo wśród cichej wsi nad Bugiem, a jeżeli wiedzą... sąd nad nimi nie do nas należy.

Odeszliśmy mimowoli od przedmiotu, pomni na sposób działania niektórych naczelników powiatu, którym przypadło być diejatelami na Zabużu. Na lewym brzegu Wisły ich urząd więcej jest ograniczony i za to, co robią, są doskonale wynagrodzeni. Całą bowiem ciężką robotę, a poniekąd i

odpowiedzialność dźwigają w powiecie referenci, którzy muszą znać wybornie całą manipulacyę, a także i charakter pryncypała, w którym nieraz tatarskie instynkta przeważają, a wtedy biedny referencie, biedny Akakij Akakiewiczu, trzeba ci się uzbroić w cierpliwość i znieść bez szemrania „stragij wygowor,“ bo choć tylko 600 rubli pobierasz, a łapówkami i do 100 nie dociągniesz, ale jednak utrzymujesz nieraz całą familię, wychowujesz dzieci, ślesz je do szkół, gdzie je russyfikują, a sam walczysz z biedą całe życie, z biedą o czystym kołnierzyku, z biedą surdutową, o tyle straszniejszą od biedy w łachmanach i siermiędze. Nie potrzebuję dodawać, że referent, jeśli Polak i katolik, nie może awansować na naczelnika powiatu, jak wogóle Polakom pozostawiano w urzędach te miejsca, gdzie robota najcięższa, a płaca najmniejsza, i dlatego to półurzędowy organ warszawski uznał, że Polacy znajdują się pod rządem rosyjskim „w zupełnie normalnem położeniu.“ Wolno im oddychać *ad libitum*, jeździć kolejami, tramwajami, wolno chodzić do teatru, wolno podatki płacić, wolno żyć z własnych dochodów, pić wino krymskie lub francuskie oclone: *Liebchen, was willst du noch mehr?*

Po haniebnej zwykle drodze jedziemy z powiatu do gminy. Takich gmin powiat liczy od 20 do 30, w całem Królestwie jest ich 1313, a na ich czele 1313 po większej części niepiśmiennych wójtów, po za którymi widzę już zdaleka typowe

fizyonomie całych setek Zołzikiewiczów. Dziwić się nie można, przeciętny Zołzikiewicz jest człowiekiem ubierającym się w surdut, używającym jeżeli nie całej koszuli, to w każdym razie kołnierzyka, niechodzącym nigdy boso, a tu na to wszystko jest 180 rs. rocznie. Wyżyj tu za pół rubla dziennie! Łapownictwo Zołzikiewiczów, dające się silnie we znaki dworom a szczególniej włościanom, jest *malum necessarium*, na sądzie ostatecznym będzie im to napewne odpuszczone, a jeśli nie wszyscy 1313 posiędą niebo, to chyba dlatego, że oprócz „wziatkowania" wykonywują nieraz najrozmaitsze inne pokątne roboty, nieczawsze ku pożytkowi bliźniego zmierzające. Prawda, że z czasem się to zmieni, zwłaszcza skoro miejsce ich zajmą powoli właściciele sprzedanych majątków ziemskich. O wójtach niema co mówić. Są to istoty bierne, robią tak, a nie inaczej, bo „nacelnik kozoł" albo „pon pisorz godoł." Powiesz może: a więc czemu obywatele nie przyjmują tych godności? Odpowiem: przeczytaj ustawę gminną, zastanów się nad rodzajem zależności wójta od naczelnika powiatu, a zrozumiesz — zresztą funkcya ta absorbuje całą pracę. Niemajętnego obywatela któż zastąpi w gospodarstwie? a majętny nie zechce się narażać na wybryki samowoli pana naczelnika.

Pewnego razu, było to w małem miasteczku podczas jarmarku, ukradziono mi w biały dzień parę koni. Szukają wszyscy za wójtem: w szynku

pijany; za pisarzem: w cukierni podchmielony; za strażą ziemską: cała straż ziemska w kościele, bo galówka. Jest to niezła stosunków naszych ilustracya! Straż ziemska ma główne zadanie pilnować „galówek“ i odpustów, mianowicie czy podczas galówki jaki niebłahonadiożny szlachcic nie pozwolił sobie usiąść lub co gorsza ironicznie się uśmiechnąć. Na odpustach zaś muszą zliczyć księży, zraportować, jacy są i czy mają paszporta, oprócz tego na Zabużu strażnicy przeistaczają się w apostołów i ściągają owieczki do prawosławnej owczarni. Co się tyczy pilnowania złodziei, to na to strażnicy patrzą przez palce, boć ostatecznie złodziejstwo jest tylko rodzajem socyalizmu, a socyalizm to przecie nie jest „niebłahonamiczenny prostupak,“ zresztą jak się ma 100 rubli pensyi, to przecież trudno „zadriczać“ ze złodziejami. Powiadam raz do gubernialnego naczelnika straży ziemskiej: „Panie pułkowniku, czy nie możnaby tak dostać do mojej gminy uczciwego starszego strażnika? Ja już go i wynagrodzę, bylebym tylko uczciwego dostał.“ — „Panie — odpowiada zapytany — toby chyba trzeba gdzieś zkądś z drugiej gubernii sprowadzić, bo u mnie „wsio swołocz,“ a i nawet jeden z moich kapitanów pod sądem za kradzież, a dwaj drudzy znowu takie pijaki, że się z nimi nigdy dogadać nie można. Za to złodzieje i koniokrady dosyć sobie strażników chwalą.“

Kiedy już jesteśmy w gminie, to i do szkoły wstąpićby warto. Widnieje zdala rosyjski napis „Gminnoje naczalnoje uczyliszcze“ — wchodzę, wita mnie nauczyciel zgarbiony, zbiedzony i ofukany ciągłemi wygoworami, które odbiera od nauczyciela naukowej dyrekcyi za niedość szybkie postępy uczniów w rosyjskim języku — nauka odbywa się po rosyjsku — jest to nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe, a gdy włościańskie dziecko z biednej polskiej chałupy przyjdzie do szkoły, zaczyna się nauka modlitwą rosyjską. Na szczęście chłopi nie lgną do takich szkół i po większej części uczą się między sobą, nie dlatego, żeby mieli odrazę do języka państwowego, ale dlatego poprostu, że nie widzą dobrych skutków z owej nauki. Tymczasem dyrektorowie naukowych dyrekcyj — a posiada takich każda gubernia — starają się wszelkiemi siłami szerzyć rusyfikacyę. Czy znane ci są „Gawędy starego Macieja“? Jestto broszura puszczona między lud z tendencyą szerzenia nienawiści między ludem a szlachtą, słowem propaganda zasad socyalistycznych i niechęci jednego żywiołu do drugiego, rzecz przewidziana nowo powstałym jeśli się nie mylę 1036 artykułem kodeksu karnego. A wiesz, kto autorem? może który z oskarżonych socyalistycznego procesu warszawskiego? Bynajmniej — wyszła ona pod patronatem *Dniewnika Warszawskiego*, drukowaną była czcionkami gubernialnej warszawskiej drukarni, a dyrektorowie dyrekcyj naukowych roz-

dawali ją nauczycielom wiejskim dla rozpowszechnienia między ludem. *Sapienti sat*! Między owymi gubernialnymi wizytatorami szkółek jest kilku zawziętych rusyfikatorów nowego pokroju. Przeglądając tak zwane „Wizytacionne knigi“ szkółek wiejskich, można się tam ciekawych rzeczy doczytać. Na szczęście wpływ tych panów na nauczycieli wiejskich jest iluzyjny i wszędzie, gdzie ksiądz i obywatel swoje obowiązki pojmują, cała rusyfikacya istnieje tylko „na bumagie“ (na papierze.) Wogóle przeciw złemu płynącemu z góry pod najrozmaitszemi formami nikt tak skutecznie przeciwdziałaćby nie mógł, jak duchowieństwo, ale tu ma zupełnie skrępowane ręce. Za to po miasteczkach dzieje się jaknajgorzej. Małomieszczanie ciemni i najmniejszej do przemysłu nie zdradzający ochoty. Kradzież kwitnie, policyi żadnej, strażnicy w zmowie ze złodziejami, a liczne sprytne żydostwo korzysta z wszystkiego i wyzyskuje niedołężne masy.

Przechodzisz koło sądu gminnego. Przed domem mnóstwo chłopów i żydów. Pieniactwo w całej pełni. A jednak jedyna to jeszcze instytucya, w której chociaż wszechwładnie panuje język rosyjski, że jednak nie wytrącono jej z rąk naszych, sądy gminne funkcyonują po największej części prawidłowo. Sporo mamy sędziów, którzy wzbudzają zaufanie u włościan i oddają prawdziwą usługę obywatelską, piastując urząd, wymagający ciągłego niemal zajęcia, a retrybuowany nad-

zwyczaj słabo. Ostatecznie powiedzieć można, że to jeszcze jedyna władza, która wywiązuje się z godnością ze swego obowiązku i której przekupstwo nie dotknęło.

Zastanawiając się dzisiaj nad stanem Królestwa Polskiego i nad systematycznem usuwaniem żywiołu miejscowego od udziału w rządzie, jeżeli rusyfikacya nas nie zniszczy, czego przypuścić trudno, to ogólne niezadowolenie narodu wzrastać będzie coraz więcej i kopać coraz szerszą przepaść między obu narodami.

„Udowletworenje *status quo*“ tj. kontentowanie się stanem obecnym, którego się rząd w imię nie wiem już jakiej logiki od nas domaga, jest zupełnie niemożliwe. Sami Rosyanie w to nie wierzą. Rząd neguje wprawdzie do pewnego stopnia narodowość polską i twierdzi, że oprócz wiecznie konspirującej szlachty i duchowieństwa reszta narodu Panu Bogu dziękuje, że się wydostała z pod szlacheckiej gospodarki... pod knut rosyjski. Rząd sam siebie łudzi, a najczęściej zwodzi sam siebie wtedy, kiedy rachuje na rzekome włościan polskich sympatye. Można było rzeczywiście w 1863 roku podczas rozdania gruntów chwilowo sympatye te obudzić, choć i wtedy już chłopi mówili: dał cesarz, ale czy to dał ze swego. Na to jednak, żeby sympatye te utrzymać, trzeba było sobie postępować zupełnie inaczej, aniżeli sobie rząd przez lat 20 postępował. Gospodarka komisarzy włościańskich zdyskredytowała ostatecznie

mniemanych dobroczyńców ludu. I na lud więc rachować rząd nie może.

Zachodzi tedy pytanie, jak długo z korzyścią można rządzić 7-milionowym krajem, w którym każdy z myślących Polaków dochodzi do politycznej desperacyi. O powstaniu nikomu w Królestwie Polskiem ani się marzy, zasady socyalistyczno-nihilistyczne również opornie na naszym gruncie powstają, ale zarazem i cierpliwości miarka się przebiera. Chwilowo dziecińStwem byłoby z naszej strony, nie mówię już grozić i wymyślać Rosyi, ale nawet łudzić się, że czemkolwiek możemy zmusić ją do zmienności postępowania względem nas. Bądź co bądź rosyjska machina państwowa choć znacznie już osłabiona, jest jeszcze imponująco silna.

Żyjemy jednak w wieku, w którym wszelkie narodowości, nawet drobne, dążą do wybicia się i wyswobodzenia z pod cudzej opieki.

Nietylko my Polacy cierpimy pod absolutnem panowaniem Rosyi — znajdą się prócz nas i inne narodowości, które prędzej czy później o prawa swoje się dopomną i separatystyczne dążności ujawnią.

Nie zwalczy ich wtedy ani potęga cenzury, ani całego ustroju państwowego siła. Są to żywioły niechętnie ręki ludzkiej opór znoszące i pytanie, czy obojętnem będzie kiedyś Rosyi usposobienie owych 10 milionów Polaków, którzy dziś pod jej berłem smutną prowadzą egzystencyę.

Minęły czasy, w których ogniem i mieczem narodowości tępić było można. Tyle pod innym względem szkodliwy wiek XIX zahartował jednak uczucia i wzmocnił pojęcie wyrazu „Ojczyzna.“ Chociaż tedy o powstańczych szaleństwach niktby nie śmiał i myśleć, przypomnieć jednak zwycięzcom naszym winniśmy owe słowa Byrona:

Walka o wolność, gdy raz się zaczyna,
Z ojca krwią idzie dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów złamana potęgą —
skończy zwycięztwem.



[illegible] wydano majoratów:

					morgów				
z dochodem	4.500 zł.	razem	31 500	w tem ziemi	22.604	lasu	12.806	folwarków	37
„	3.000	„	57.000	„	52.517	„	34.288	„	73
„	2.250	„	31.500	„	25.702	„	14.057	„	50
„	1.500	„	43.500	„	52.152	„	21.108	„	76
„	1.200	„	10.800	„	12.424	„	3.442	„	30
„	750	„	45.000	„	61.363	„	26.874	„	37
			219.300		226.562		112.575		335
					339.137				

[illegible] 1864 [illegible] majoratów [illegible] 81.269 [illegible] 115 [illegible] na 15.119 i 90 folwarków z ogólnym [illegible] 41.732, [illegible] morgów 57.168 i lasu 29.604 a razem morgów 86.772

Największe majoraty (na 4.500 zł.) otrzymali jenerałowie [illegible], Nabokow, Rydiger, hr. Toll, hr. Czernyszew i [illegible] Fuerhamm [illegible]

Zaznaczyć [illegible], że pierwsze [illegible] r. 1807 marszałkom i jenerałom z dóbr narodowych [illegible] 2 Maja 1813 r. zabrane do Skarbu [illegible] w [illegible] Warszawskiem 15, [illegible], Kaliskiem 3 i w Krakowskiem 12, a [illegible] 37.

1	x dochod 5000	ogółem 5000	ziemi	morgów 12.000	lasu 5000	folwarków 21
1		4500	4500			18
1		4000	4000	3.915	2.048	7
1		3300	3.300	3.333	892	7
32		3000	96.000	118.144	39.246	254
4		2000	8.000	6.492	3.200	19
30		1.500	45.000	40.311	23.004	160
4		1.200	4.800	5.200	2.964	12
8		1000	8.000	8.656	2.186	18
41		750	30.750	35.334	11.892	107
7		500	3.500	5.153	2.660	14
130			212.850	238.518	93.092	637
				331.610		

Razem rozdano: morgi

	ziemi		lasu		razem
za Paskiewicza:	226.562		112.575		339.137
za Berga:					
nagrody za straty po zaburzeniu włościan	57.168	"	29.604	"	86.772
majoratów	238.518	"	93.092	"	331.610
	522.248		235.271		757.519

Ogółem 268 majoratów, w tem 992 folwarki, około 370.000 dziesiatin ziemi z nominalnym dochodem rocznym 432.150 rs.

O ile rzeczywisty dochód rożni się od nominalnego, dość wskazać, że w gub. lubelskiej z majoratów obliczonych na 1500 r. dochodu jeden daje 3.900, a drugi 5.830; z 3000 rsrb jeden daje 6.150, drugi 8.250 i trzeci 10.000; jeden zaś z oceniony[ch] na 4.500 daje 15.500.

Z tych faktów można wnioskować, ile wynosi rzeczywista wartość rozdanej naszej ziemi...

Sam Paskiewicz na prawie rzetelnej własności otrzymał w r. 1840 i 1845 w gub. lubelskiej około Iwanogrodu majątki Demblin i Gołomb, które razem tworzą t. zw. Iwanowskie sioło, — przeszło 500 włók folwarcznej ziemi.

Po r. 1863 [illegible] się [illegible] różnych dygnitarzy i [illegible] na majątki [illegible]. Kto [illegible] sobie [illegible] starał się [illegible] sposobem [illegible] właściciela. Konstanty Plater [illegible] na Podolu, jakkolwiek podczas [illegible] znajdował się zagranicą, nie [illegible] był aresztowany i [illegible] przez gen.-gubernatora kijowskiego Bezaka, [illegible] został na własność jego majątek. Żona Platera [illegible] Sołtan, córka [illegible] Wiedeń [illegible] Ks. Czartoryskiego, kanclerza, z czasów gdy był [illegible] Wiednia [illegible] do Petersburga. [illegible], co [illegible] Bezakowi i [illegible] dostał [illegible] jeszcze [illegible] Ks. Demidow [illegible] (w Kijowie), chociaż [illegible] wszystkie zobowiązania Platera [illegible] Żonie. [illegible] niezrażony [illegible] Młodszego, ale [illegible] Lubomirskiemu [illegible] był ranny pod Sewastopolem [illegible]

posiadał względy cesarskie, i miał prawo kupna majątku. Chociaż miejscowe jurysdykcye, pod naciskiem Bezaka, nie chciały tej sprzedaży potwierdzić, jednak ks. L. udał się osobiście do cesarza i ten zażąd uznać takową za ważną. Musiał więc Bezak ustąpić. Również niewinnego Justyna Abramowicza i narownie majątek jego Żelcfówkę w pow. berdyczowskim otrzymał. Gubernator kijowski Kaznakow otrzymał Łysiankę po chorym na umyśle Wilhelmie ks. Radziwille. Następca jego Katakazi dostał część dóbr Konst. Platera, inne części dostali generałowie Karcew i Antonowicz (kurator kijowskiego okręgu naukowego). Pomocnik ostatniego ks. Szirinskij-Szichmatow wziął Sołowijówkę po Erazmie Michałowskim, gen. Tiepow Jerczyki po Radziwille, nawet sławna dewotka prawosławna i rusyfikatorka hrabianka Bludowa, córka znanego ministra, (którą zwano Antonina-Bludnica t. j. jawnogrzesznica), wyprosiła sobie Bryków po Danielu Mężyńskim. etc. etc.!

SPIS TREŚCI.



Kiedy „Listy o Towarzystwie Warszawskiem", a mianowicie ustępy o Pani Hurko ukazały się w „Czasie", gniew jéj nie miał granic. Naturalnie, że ołówkowe pierwsze wydanie listów nie mogło się ukazać u nas w handlu księgarskim, pomimo to osoba, osobiście znajoma i posiadająca zaufanie mogła takowe dostać prawie w każdéj księgarni Warszawskiéj. Wyznaczona była podobno nagroda za wykrycie autora i u kilku podejrzanych o to literatów, jak u Sowieniecka, robiono rewizye. Pewnego razu dwaj oficerowie Grodzieńskiego pułku huzarów gwardyi weszli do księgarni Ferd. Hösicka na Senatorskiéj ul. i zażądali egzemplarza „Listów". Pułk Grodzieński oddawna konsystuje w Warszawie; służą w nim synowie najpierwszych rodzin w Rossyi lub najbogatszych kupców, mają wszyscy wydatne stosunki w Petersburgu i obawiać się bardzo pana lub pani Hurko nie mają powodów. Po paru latach za kulisami baletu lub wśród półświatka każdy z nich przyswaja sobie język polski który mu poprzednie stosunki ułatwia. Zabójca Wiśniowskiéj Bartenjew właśnie w tym pułku służył, jak również rozstrzelany z rozkazu Hurki Perłow czy Orłow, syn znanego kupca. I najmłodszy syn Hurki to także swą karyerę rozpoczął. Dumny ze stanowiska ojca, był młody ten [illegible] i nieuleczonym widokiem starszych kolegów, a szczególnie nielubionym przez nich za szpiegowanie tajemnic pułkowych i raportowanie ojcu.

Otóż gdy księgarz wypierał się posiadania podobnéj książki, owi oficerowie zaręczyli go słowem honoru, że z powodu sprzedania im książki nie będzie miał najmniejszéj przykrości. Wtedy Hösick ustąpił, oświadczając, że musi wierzyć w słowo honoru rosyjskiego oficera. Oficerowie opowiedzieli kolegom pod jakim warunkiem zdobyli książkę i po wzajemnem zobowiązaniu się do zachowania tajemnicy, listy wśród ogólnéj wesołości były czytane w klubie pułkowym. Po kilku dniach w nocy księgarnia Hösicka została splondrowana przez żandarmów, wiele książek zabrano, więcéj zniszczono i właścicielowi kazano zapłacić 500 rs kary. Po niejakim czasie jeden z owych oficerów znowu zaszedł do księgarni i wtedy właściciel z goryczą wyznał mu, że odtąd musi mieć złe wyobrażenie o honorze rosyjskiego żołnierza. Gdy okazało się że oficerowie nic o téj rewizyi nie wiedzą, opowiedziano im całą sprawę dokładnie. Oburzeni wojskowi opowiedzieli o tem kolegom i denuncyator bez trudu został wykryty. Wtedy wszyscy oficerowie pułku jednomyślnie zażądali wydalenia się z pułku młodego Hurki. Komendant pułku przerażony udał się do jenerał-gubernatora. Ten naturalnie zgromił go, że śmiał mu mówić o czemś podobnem i o wydaleniu z pułku syna ani chciał słyszeć, grożąc swą zemstą inicyatorom zajścia. Gdy komendant zakomunikował oficerom odpowiedź p. Hurki, wtedy na drugi dzień wszyscy oni bez wyjątku podali się do dymisyi. Skandal groził dojściem do Petersburga, pułk nie mógł pozostać bez oficerów i tu duma pana Hurki a jeszcze większa Hurkowéj, musiała znieść srogie poniżenie, gdyż ich ukochany Benjaminek musiał ze wstydem pułk opuścić. On to wywołał zajście ze [illegible] pościeli p. [illegible]skiéj, opowiedziane w „Listach Warszawskich".